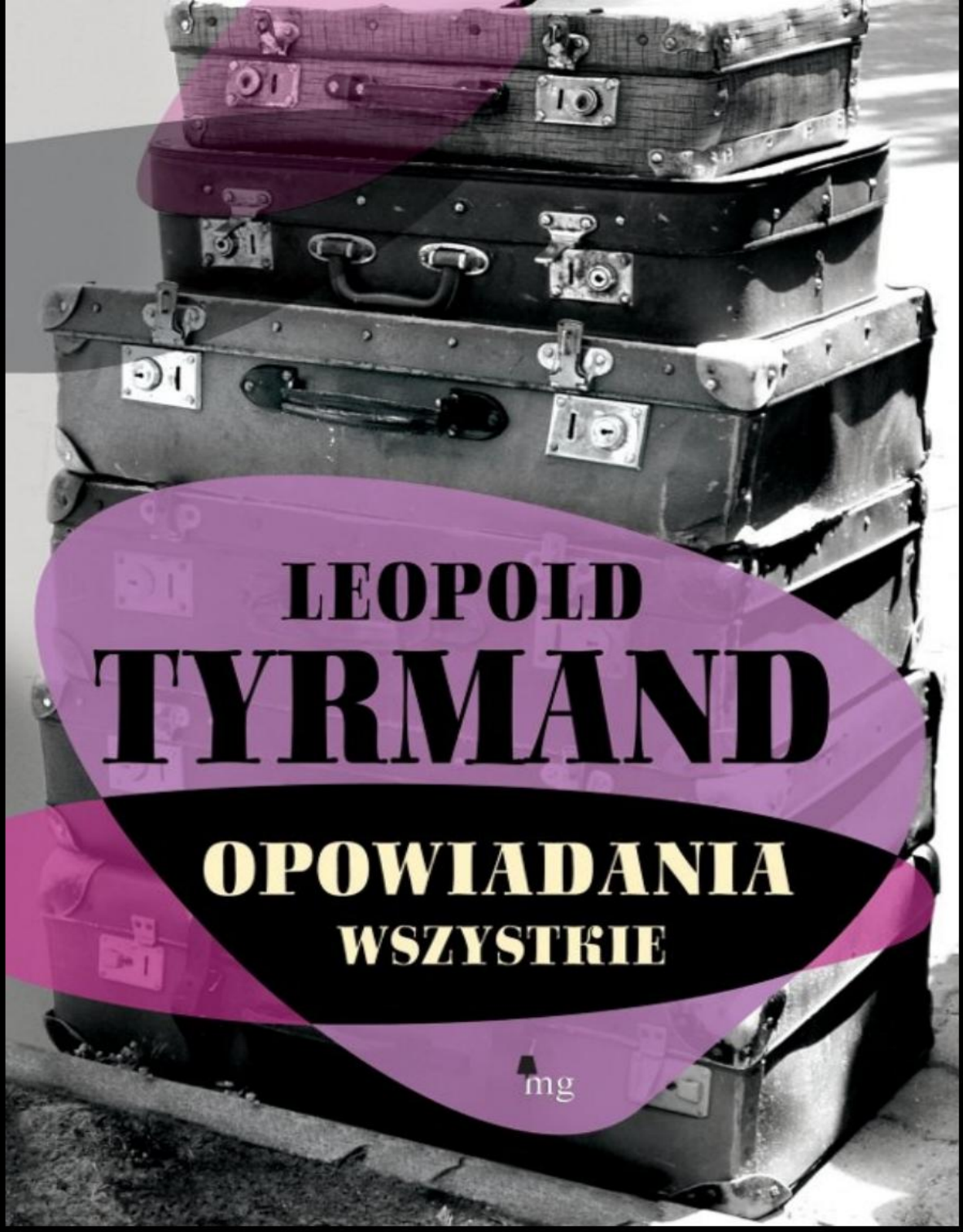

LEOPOLD TYRMAND

OPOWIADANIA WSZYSTKIE

mg

LEOPOLD TYRMAND

OPOWIADANIA WSZYSTKIE

Copyright © 2012, Mary Ellen Tyrmand
Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiejkolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN: 978-83-7779-110-3

Projekt okładki: Elżbieta Chojna

Skład i łamanie: Jacek Antoniuk

Opracowanie redakcyjne: MG

www.wydawnictwomg.pl

kontakt@wydawnictwomg.pl

Konwersja do formatu EPUB:
Legimi Sp. z o.o.

ROWER, CZYLI ZEMSTA MORALNOŚCI

Jest to zupełnie nieprawdopodobna historia i gdyby nie fakt, że byłem jej bardzo bezpośrednim świadkiem, nigdy bym sam w nią nie uwierzył. Zaczęła się tak, że szedłem wolnym krokiem przez wielką halę Dworca Głównego w Sztokholmie, gdy podszedł do mnie jakiś zgoła obdarty facet, który rzekł jękliwym głosem:

– Co łaska, litościwa osobo, jeszcze dziś nic w ustach nie miałem… – To mówiąc wyciągnął po datek prawidłowo brudną rękę.

– Panie – rzekłem zdumiony – czy nie pomylił się pan cokolwiek w szerokości i długości geograficznej? Nie mam zwyczaju śnić chodząc, a pan wydaje mi się regularnym, warszawskim żebrakiem, co zarówno ze względu na narodowy charakter pana osoby, jak i na pana zawód, stanowi w Szwecji zjawisko raczej niezwykłe.

– Owszem – uśmiechnął się żebrak nieco melancholijnie – toteż rzadko kiedy nagabuję Szwedów. Uważam na cudzoziemców, starając się zwracać do nich w ich rodzinnym języku. Czasami się mylę, ale na ogół robi to doskonałe wrażenie. Do pana – tu skłonił się z niejaką wytwornością – miałem szczerą przyjemność zwrócić się w naszym wspólnym języku ojczystym. Gazeta wystająca z pana kieszeni i zaczepny wzrok, jakim obrzuca pan wszystko napotkane na obcym dworcu, powiedziały mi prawdę.

Rzeczywiście, w kieszeni mego płaszcza tkwiła jeszcze warszawska gazeta. Co do wzroku, nie poczułem się dotknięty, gdyż agresywność uchodzi w przekonaniu niemal wszystkich Polaków za zaletę. Natomiast żebrak o refleksyjności wolterowskich bohaterów i gestach światowca

zainteresował mnie znakomicie. Był bardzo obdarty, to prawda, lecz w zapuszczeniu tym był pewien styl, jakby całkiem umyślnie pielęgnowany. Nie wydało mi się jednak, aby ta bezsprzeczna dekoracyjność miała być jednym z akcesoriów branżowych; wynikała ona raczej z bezinteresownego przejęcia się rolą, pewnego rodzaju artyzmu, jaki cechuje ludzi wysokiej klasy życiowej we wszystkim, co robią. Facet powiedział sobie widocznie w pewnej chwili „teraz będziemy się trudnić żebraniną przez taki a taki czas", a więc robi wszystko, aby to mu się nie znudziło. Nie przeczę, warunki także mogły go do tego zmusić, tym niemniej istota założenia pozostaje ta sama.

– Proszę pana – rzekłem, jak mogłem najobojętniej – mam do pociągu około trzech godzin czasu, albowiem przejeżdżam tylko przez Sztokholm. Czy nie zechciałby pan napić się ze mną filiżanki kawy?

– Mój Boże – powiedział z lekką ironią – jestem wzruszony tymi objawami sympatii. Mam nadzieję, że to bynajmniej nie solidarność narodowa powoduje panem w tej chwili.

– Ma pan rację. Po ostatniej wojnie i jej migracyjnych skutkach unikam raczej objawów solidarności narodowej za granicą.

– A czy nie wstydzi się pan usiąść ze mną w kawiarni?

– Mój panie, już sam fakt, że nie dałem panu jałmużny, dowodzi zapewne, iż nie należę do powierzchownych konwencjonalistów. W Warszawie, być może, zastanowiłbym się nad sytuacją. W Sztokholmie, jestem pewien, będą mi tylko zazdrościć oryginalnego towarzysza.

– Przekonał mnie pan – rzekł z ponownym, lekkim ukłonem i za chwilę już szliśmy w kierunku Kungsgatan.

W eleganckiej herbaciarni, zgodnie z mymi oczekiwaniami, przywitały nas raczej zaciekawione spojrzenia. Przyjrzałem się w pełnym świetle memu towarzyszowi. Mógł liczyć dobrze ponad 30 lat i miał twarz i oczy człowieka, któremu myślenie nie jest rzeczą obcą. Chodziło tylko o gatunek tego myślenia.

– No i cóż? – powiedziałem wyczekująco.

– Oczywiście – odparł, zaciągając się głęboko papierosem – mogłem się tego spodziewać. Ciekawość starego, wytrawnego zbieracza interesujących historii, hę? Cóż, ja nie mam nic do ukrywania, przeciwnie, taka kawiarniana spowiedź może mi przynieść ulgę, a może i dobrą radę.

– Wybuch wojny – zaczął – zastał mnie w Gdyni, gdzie stałem na czele pewnego, doskonale prosperującego przedsiębiorstwa. Nie twierdzę, iż przedsiębiorstwo to miało większe znaczenie ekonomiczne niż społeczne, i to społeczne w bardzo określonym kierunku. O nie, bądźmy szczerzy, gospodarczy ciężar gatunkowy mojego interesu był nikły, cóż bowiem może znaczyć mały, czysty i leniwie prowadzony sklepik tytoniowy w skali obrotów wielkiego portu. Nawet fakt, że w sklepie tym można było zawsze otrzymać przemycany z całego świata tytoń, nie stanowił istotnej jego treści. Szmugiel tytoniowy, a więc drobny mankament w stosunku do obowiązujących praw, był niewinną, pełną wdzięku fasadą. Wszyscy wyżsi oficerowie gdyńskiej policji portowej zaopatrywali się w moim sklepie w ukryte pod ladą „Camele" i „Abdullahy", klepiąc mnie przy tym porozumiewawczo po ramieniu. „Gdybyśmy mieli do czynienia tylko z takimi, jak pan…" – mawiali z pobłażliwym uśmiechem, w chwili gdy ja celebrowałem misterium sprzedaży przemyconej paczki papierosów najgroźniejszym przedstawicielom władzy. Za sklepem był niewielki, ładnie urządzony pokój, w którym najmilszy mi szczegół stanowiła całkiem zasobna biblioteka. Kochałem te książki, będąc z nimi związany rozlicznymi węzłami. W kartach niektórych z nich kryły się konosamenty ładunków milionowej wartości, przekazy frachtowe, stanowiące fortuny najróżniejszych centrów finansowych Warszawy, Budapesztu, Pragi, Wiednia, routy i punkty odbioru towarów o niewielkiej kubaturze, za to o znaczeniu całożyciowych dorobków. „Des affaires louches" – powie pan, jak mówią we Francji w takich wypadkach. Owszem, ale to nie wszystko. Moje uczucie do książek miało także rys najczystszej wdzięczności za rzeczy niematerialne. Z książek tych czerpałem wiarę w samego siebie i w słuszność mych życiowych założeń. W oparciu o nie budowałem moją etykę

i moralność, mój światopogląd. Nie był on skomplikowany, ten światopogląd, a tym bardziej nowy. Stanowił po prostu system doskonale usprawiedliwiający wszystkie moje instynkty, doznania i rozumowania od lat najwcześniejszych, a co najważniejsze – dawał stempel logiki i słuszności temu wszystkiemu, co od wielu lat robiłem. Co zaś robiłem? – spyta pan. To proste: kradłem. Najzwyczajniej w świecie kradłem i to z niezwykłą maestrią. Przyzna pan chyba także, że z książek, usprawiedliwiających, a nawet gloryfikujących kradzież można skomponować prześliczną bibliotekę.

Wyznam panu, że chwilami dziwiłem się sam sobie, skąd wzięła się we mnie owa pasja wewnętrznej legalizacji mych postępków. Byłem synem warszawskiego sklepikarza z ulicy Kruczej. Chodziłem do dobrego gimnazjum, odznaczając się w nim ponoć inteligencją i zdolnościami. Przez cały okres młodzieńczości dostrzegałem wyraźną sprzeczność między życiem a marzeniami mego ojca. Pragnął się wzbogacić, handlując skrupulatnie i uczciwie towarami kolonialnymi. Jego pragnienia wydawały mi się godne pochwały, sposób ich realizacji sprawiał wrażenie głębokiego nieporozumienia. Gdy rozglądałem się wokoło, stwierdzałem z łatwością, że wszyscy kradną, w mniejszym lub większym stopniu hamowani przez strach lub brak kwalifikacji. Przez krótką chwilę zastanawiałem się, czy tak jest dobrze, czy błąd nie tkwi w układzie stosunków międzyludzkich, szybko jednak doszedłem do wniosku, że nie jest to wcale błąd, a istota życia, i że tak nie jest źle, a właśnie bardzo dobrze. Uwierzyłem w doktrynę wzajemnego pożerania się istot żyjących i dostosowałem ją do swych spostrzeżeń. W wyniku tych rozmyślań zrozumiałem, że kradzież jest skutkiem postępu cywilizacji, wyższą formą zdobywania przewagi nad bliźnim i niszczenia go, że jest przywilejem mądrzejszych i zręczniejszych i że jest swego rodzaju szlachectwem. Komplikowanie się form kradzieży – prawdziwa historia cywilizacji! Uczciwość stanowiła dla mnie religię ludzi słabych i małowartościowych. Miałem żal do Nietzschego, że cofnął się w pół drogi i nie sformułował tej prawdy.

Niebawem też opuściłem dom rodzinny i zasłynąłem jako jeden z najzręczniejszych złodziei w Warszawie. Pracowałem sam i wkrótce znał mnie świat przestępczy stolicy. Warszawscy jubilerzy drżeli na wspomnienie mego pseudonimu, byłem nieuchwytny, tropiącą mnie policję uważałem za przeciwników, których celem jest nie ochrona własności innych, lecz zniszczenie mnie jako swego konkurenta w walce. Zachłystywałem się poczuciem indywidualnej mocy. Z czasem porzuciłem kradzież i zająłem się oszustwem w wielkim stylu. Doszedłem do wniosku, że stanowi ono jeszcze wyższy stopień rozwojowy, matematyczną antytezę uczciwości, pełną pasjonującego, myślowego wysiłku. Spekulatywność współczesnych wielkich afer wydała mi się równorzędną czystej filozofii, wyżywałem się w niej umysłowo i twórczo. Osiadłem w Gdyni jako drobny kupiec i cichy epikurejczyk. Mój tryb życia, naturalny zresztą i niewymuszony, spokojne wieczory nad książką i wykwintne przyjęcia dla niewielu przyjaciół, ładny zbiór antyków i niewinne, opanowane rozrywki urobiły pozytywną o mnie opinię w mieście. Niebawem przedsiębiorstwo me rozrosło się do gigantycznych rozmiarów. Mały sklepik tytoniowy stał się centralą sieci, obejmującej Rotterdam i Lulea, Bahia-Blanca, Sajgon i Marsylię. Rzecz jasna, stałem się człowiekiem bardziej niż bogatym, mogłem sobie pozwolić na luksus nieposiadania żony i częstego oddawania się rozmyślaniom w wygodnym fotelu przy butelce łagodnego sherry.

Wojna zburzyła to wszystko. Czułem głęboki wstręt do polityki i do polityków. Ich działalność uważałem za rodzaj najprymitywniejszego przestępstwa. Wszelka przemoc budziła we mnie odrazę, była zaprzeczeniem postępu cywilizacji, której przecież najwyższym wcieleniem była dla mnie zręczność i finezja złodzieja czy oszusta. Polityka niosła ze sobą zbrodnię, zaś zbrodnia to regresja, to pochód wsteczny w kierunku ery kamienia łupanego. Zbrodnią, przemocą, morderstwem gardziłem zawsze i strzegłem przed nimi czystości swoich rąk. Wszystko się we mnie burzyło na widok Niemców, którzy uosabiali idealnie politykę zbrodni. W nowych warunkach, gdybym rozpoczął działalność przeciwko Niemcom, musiałbym

z czasem zejść do roli Janosika, taka zaś rola wydawała mi się zawsze tania i melodramatyczna. Z łatwością tedy przeniosłem się do Szwecji.

Rzecz jasna, byłem nadal człowiekiem bardzo zamożnym. W Szwecji posiadałem znaczny majątek, piękną willę i wszystkie akcesoria wygodnego życia. Przez pierwszy okres czasu studiowałem pilnie nowe otoczenie i doszedłem do wniosku, że los nie mógł mnie lepiej umiejscowić. Szwecja wydała mi się terenem misyjnym, jakby czekającym na moje przybycie i moją działalność. Rychło też sprecyzowałem w sobie przekonanie, że przysłowiowa uczciwość mieszkańców tego kraju jest sztuczną, wymuszoną dyscypliną, stanowiącą przestarzały kaganiec na drodze do rozwoju prawdziwego życia. Z żartobliwym zapałem i w przeświadczeniu, że raczej bawię się, niż pracuję, przystąpiłem do organizacji czarnej giełdy w Szwecji. Pewne sukcesy w sensie zysku były do zanotowania, stanowiły one jednak wynik ograniczonej spekulacji w licznej grupie uchodźców politycznych i wojennych, jacy napłynęli do Szwecji w początkach lat czterdziestych. Kilkuset Szwedów, którzy dali się wciągnąć w orbitę nielegalnej gry giełdowej, nie zabawiło w niej długo, za wyjątkiem kilku, kompletnie zrujnowanych, dla których powrót na pozycje wyjściowe stał się niemożliwy. Gdy koło walutowego obrotu straciło zupełnie na atrakcyjności wziąłem się do odbudowy kontaktów przemytniczych, przystosowałem je do warunków wojennych i skonstruowałem czarny rynek towarowy. Po pierwszym okresie powodzenia szmuglowanych specyfików, spirytualiów i drogiego tytoniu, po kilku zręcznie zorganizowanych haussach i baissach brylantowych i narkotykowych, stwierdziłem z zainteresowaniem, że zasadniczą masę społeczeństwa szwedzkiego czarny rynek nic a nic nie obchodzi. Zniżałem ceny do minimum, ponosząc przy tym ogromne straty. Chciałem przepoić szarego Szweda pragnieniem kupna oryginalnej szkockiej whisky, a szarą Szwedkę rozpłomienić nadzieją zdobycia oryginalnych perfum Coty'ego za psie pieniądze. Ankietowe rozmowy, przeprowadzane przeze mnie przy każdej okazji, wykazały mi, że wysiłki moje idą na marne, że szarzy Szwedzi bynajmniej tego wszystkiego nie pragną, że oburzają się dogłębnie na ludzi,

sabotujących zakazy rządowe, uważają ich działalność za szkodliwą i wierzą, iż skoro państwo postanowiło pewnych rzeczy nie sprowadzać – obywatel powinien obejść się bez nich dla swego własnego dobra.

Ta syta, tępa, ograniczająca się do posiadania małego, lecz dozwolonego, uczciwość wzburzyła mnie do głębi. Nie potrafiłem pojąć, jak można kontentować się danym i nie pożądać tego, co nie swoje. Legalizm Szwedów wydał mi się tragicznym przesądem, ich uczciwość – krańcową głupotą. Postanowiłem wydać walkę na śmierć i życie klimatowi etycznemu, jaki panuje w tym kraju na codzień. Zapadłem w swoje domostwo, po dniach całych obmyślałem w mym gabinecie gigantyczne plany walki z uczciwością. Wreszcie plan był gotów. Postanowiłem wywołać powszechny kryzys zaufania wzajemnego i zacząć od serii wstrząsających kradzieży, które podminowałyby i wysadziły w powietrze leniwy spokój tej ziemi. Opracowałem dokładny schemat działania. W zaciszu mej willi wprawiałem się i trenowałem do zadziwiających akcji, które miały przerazić i zrewoltować opinię publiczną Szwecji.

Jakby dla małego treningu w terenie, przed rozpoczęciem akcji właściwej, postanowiłem okraść niewielki sklep jubilerski przy jednej z głównych ulic Sztokholmu. Muszę tu pana poinformować, iż w swoim czasie byłem niedoścignionym mistrzem kradzieży sklepowej, zwanej popularnie w Warszawie szopenfeldem. Moje wyczyny w kraju i na gościnnych występach za granicą, w największych stolicach Europy, pasjonowały wówczas całą prasę i powodowały napady melancholii szefów zainteresowanych policji. Moim dziełem było wyniesienie z paryskiej firmy Duval et Duval czterech pereł, od którego to czynu zachwiało się kilka jubilerskich dynastii przy rue Rivoli. Technika szopenfeldu znalazła we mnie owego męża, którego przeznaczeniem było uczynić z niej Wielką Sztukę. Słynna akademia złodziejska w Wilnie przy ulicy Straszuna, której absolwenci trzęsą światem przestępczym trzech kontynentów, ofiarowała mi katedrę teorii szopenfeldu, z płacą 1000 dolarów za cykl wykładów. Odmówiłem, lecz wygłosiłem jedną prelekcję w gronie profesorskim, za co

zostałem doktorem honoris causa tej, dziś już nieistniejącej, uczelni. Prezydent policji belgijskiej wystosował do mnie prywatny list, pełen słów podziwu, po okradzeniu przeze mnie kilku najbogatszych szlifierzy diamentów w Antwerpii. Po zagwarantowaniu mi absolutnej nietykalności odbyłem z nim dwugodzinną rozmowę, w czasie której ofiarował mi swą fotografię z dedykacją: „Arcymistrzowi – stary detektyw" i zostaliśmy trwałymi przyjaciółmi. Uzbrojony w taką tradycję jechałem na mój trening jak na miłą, od dawna niepraktykowaną rozrywkę. Zrezygnowałem nawet z akcesoriów, nie wziąłem auta, ubrany byłem po sportowemu. Zaopatrzyłem się jedynie w paszport na fałszywe nazwisko, wsiadłem na rower i pogwizdując sobie jechałem gwarnymi ulicami Sztokholmu. Po przybyciu na miejsce postawiłem rower na placyku przy zbiegu ulic Królowej i Apelbergsgatan i z rękami w kieszeniach wyszedłem na główną ulicę. Otworzyłem drzwi sklepu i wszedłem do środka po to, aby wyjść stamtąd w towarzystwie dwóch policjantów. Tak, tak, wtedy dopiero przekonałem się o względności wszelkich wartości. Poczciwy, różowy i matołkowaty mieszczuszek, trzeciorzędny jubiler sztokholmski, okazał się pierwszym mym pogromcą. Zauważył gest-błyskawicę, gest niklejszy od tchnienia wietrzyka i szybszy od światła, gest, o dostrzeżeniu którego marzyli najwytrawniejsi tropiciele. Następnie wymógł na mnie podniesienie obu rąk do góry przy pomocy zręcznie dobytego rewolweru, zamknął sprawnie sklep i szybko skontaktował się z policją. Te pięć minut zmienności losów kosztowały mnie w sumie półtora roku więzienia, nauczyły zaś potęgi relatywizmu.

Czas odosobnienia, którym płaciłem za porażkę, wykorzystałem na rozmyślania zasadnicze. Raz jeszcze, w dokładnej analizie mego życia i mych czynów, upewniłem się w ich słuszności i słuszności ich założeń. Przypomniałem sobie chwile mej wczesnej młodości, kiedy odkrywałem oszałamiający smak przestępstwa. Odżywały dawno zapomniane momenty pierwszych nadużyć i pierwszych kradzieży. Przypomniałem sobie, że już jako dziecko cieszyłem się, gdy nie zauważony przez nikogo mogłem

wytrzeć usmarkany nos w czysty cudzy ręcznik lub oczyścić buty najpiękniejszymi firankami na wizycie u znajomych. Wywoływałem w sobie wspomnieniami ową niezastąpioną radość, jaka napływała mi do serca po zręcznym przywłaszczeniu sobie jakiegoś przedmiotu, bez względu na to, czy był to krawat przygodnego towarzysza w rozbieralni basenu pływackiego, czy złota bransoletka z lady jubilerskiego magazynu. Przez każdy z tych kilkuset dni więzienia umacniałem w sobie wiarę we własną moc, wyższość i niezależność, każdego zaś wieczoru zasypiałem na więziennej pryczy w błogim przeświadczeniu, że mam rację, i z czystym sumieniem człowieka, który obrał właściwą drogę życia. Toteż gdy wyszedłem z więzienia i przekonałem się, że w międzyczasie służący mój sprzedał willę i zniknął bez śladu, nie czułem doń żalu. Uważałem go za dzielnego człowieka, który wiedząc o mnie wiele i nie chcąc informować policji o mym prawdziwym nazwisku i pozycji, wykorzystał swoją szansę w sposób najwłaściwszy. Co do mnie, musiałem zaczynać od nowa. Byłem jednak pełen energii i radości wewnętrznej, jaką daje wyraźny życiowy cel. Ponieważ mam w sobie wiele sportowego ducha, wraz z owym niezastąpionym „esprit de revanche", postanowiłem wznowić swą działalność od doszczętnego okradzenia owego jubilera, z którym miałem jeszcze niewyrównane rachunki. W tym celu ucharakteryzowałem się znakomicie, co należało do mych niewymienionych jeszcze talentów, i udałem się tam, pełen radosnego nastroju walki o słuszną sprawę. Idąc wolno przez ulicę Królowej stanąłem w pewnej chwili przed najzupełniej dla mnie nieoczekiwanym zjawiskiem. Proszę sobie wyobrazić, że mój rower, na którym przyjechałem na ten sam placyk przed dwudziestu miesiącami, stał, spokojnie oparty o stojak, w tym samym miejscu, w którym go własnoręcznie postawiłem. Podszedłem bliżej, przecierając oczy ze zdumienia, lecz fakt ten okazał się najzupełniej realny. Przede mną stał mój rower, nieco zardzewiały od deszczów i zakurzony, lecz ten sam. Trzeba zaś panu wiedzieć, że był to piękny rower, najlepszej marki angielskiej, bardzo drogi i modny, oraz wyposażony we wszystkie możliwe ulepszenia, dynama,

lampki sygnałowe, reflektory. Ponadto w torbie bocznej – wie pan, tu w Szwecji używa się takich bocznych torb bagażowych – a więc w takiej torbie pozostawiłem około 500 koron w drobnych banknotach. Przypomniałem sobie jeszcze w więzieniu o tych pieniądzach, które leżały tam od czasu jakiejś wycieczki. Teraz drżącymi rękami odpiąłem torbę i drżąc wewnętrznie wyjąłem z niej 500 koron i jeszcze kilka drobiazgów jak złota papierośnica i takaż zapalniczka.

To był cios! Uderzenie w równej mierze zbawcze jak niszczące. 500 koron stanowiło wtedy pensję miesięczną dobrze zarabiającego urzędnika. W mojej sytuacji suma ta mogła okazać się zbawienną jako poważny kapitał zakładowy. Lecz z drugiej strony te same 500 koron, leżące przez 20 miesięcy w samym centrum ożywionej ulicy i nie zabrane przez nikogo – to był cios w moją życiową koncepcję. Stałem nad rowerem, nie wiedząc, co czynić. Moja drapieżna energia walki, energia zemsty i świadomego dążenia uległa jakiemuś gwałtownemu rozkładowi. Po dziesięciu minutach postanowiłem zabrać pieniądze i rower, po następnych dziesięciu doszedłem do wniosku, że byłaby to moja największa życiowa klęska. Wiedziałem już dobrze, że dziś nie zdobędę się na rozprawę z moim jubilerem. Ostatecznie zostawiłem wszystko na miejscu. „To niemożliwe – powtarzałem sobie – dziś, jutro lub pojutrze znajdzie się jakiś rozsądny człowiek, który to wszystko zabierze…”

Odtąd przychodziłem na róg ulicy Królowej i Apelbergsgatan, codziennie. Byłem niezdolny do jakiegokolwiek przedsięwzięcia. Utraciłem sens istnienia, a co za tym idzie – zaufanie we własne siły. Bałem się, że zawiodą mnie nerwy, gdy przystąpię do jakiejkolwiek akcji, i załamię się jak nowicjusz. Godzinami wystawałem na ulicy, wpatrując się w rower jak zahipnotyzowany. Zacząłem go nienawidzić. Wywiązała się pomiędzy nami jakby milcząca walka, straszliwe zmaganie pomiędzy rowerem a mną. Lżyłem go, jak lży się w myślach osobistego wroga, stojąc odeń oddalony o kilka kroków. „Ty świnio – powtarzałem – mógłbym cię zgruchotać na drobną kupkę starego żelastwa, ale nie, nie jestem przecież głupcem, twoim

przeznaczeniem jest być ukradzionym wraz z forsą, jaka tkwi w twojej torbie…" Drżałem na myśl, że może być w końcu sprzątnięty przez służbę uprzątania miasta i że ogłoszą o nim w gazetach, w rubryce rzeczy zagubionych. Z przerażeniem otwierałem poranne dzienniki i z niezmierną ulgą stwierdzałem codziennie, że tak się nie stało. Po nocach śniłem niezmiennie, że widzę, jak do roweru skrada się skulona postać ludzka, szybkimi, ukradkowymi ruchami wyjmuje z torby pieniądze, ogląda się na wszystkie strony, wskakuje na siodełko i odjeżdża pędem, w obawie przed pościgiem. Budziłem się, pełen błogiej radości, że wszystko jest w normalnym rzeczy porządku, że znów świat kręci się wokół słońca, a nie na odwrót, jak to czynił przez ostatnie kilka dni. Zrywałem się i biegłem na ulicę Królowej, aby stwierdzić, że rower jest, stoi, i przeczy najcudniejszym sennym marzeniom. Usiłowałem odeń uciec. Uciekałem na najdalsze krańce miasta, do odległych, pustawych parków, siadałem na ławkach i układałem precyzyjne, niezawodne plany wspaniałych kradzieży. Podrywałem się z ławki pełen nowych sił i optymizmu i biegłem do miasta. Wtedy nogi poczynały same zmierzać ciągle tą samą drogą, u kresu której sterczał w ulicznym stojaku samotny, zardzewiały, sczerniały rower. Raz zdecydowałem się na wyjazd ze Sztokholmu. Kupiłem bilet i wsiadłem do pociągu. Na minutę przed odjazdem wypadłem jak oszalały z dworca i pobiegłem na ów nieszczęsny róg. Zdało mi się naraz, że już jest po wszystkim, że roweru nie ma, że nie mogę wyjeżdżać, nie wiedząc o tym wielkim zwycięstwie. Ale rower był. I były pieniądze, i papierośnica, i zapalniczka. Powoli wyczerpał się zapas pieniędzy, jaki zwrócono mi przy wyjściu z więzienia. Do zarobkowania nie byłem zdolny, ja, biedny wrak człowieczy, któremu naraz cała ludzkość i pogląd na nią uciekł z ziemi na księżyc i tam stanął do góry nogami. *Et, me voila* – jak mówią Francuzi…

Skończył, zapalił papierosa i uśmiechnął się do mnie. W uśmiechu tym ironia walczyła o lepsze z rozpaczą. Czułem się mocno zakłopotany. Cóż tu powiedzieć człowiekowi, który utracił złudzenia? Nie zmienia istoty rzeczy fakt, że zachodzi tu dziwne zjawisko utraty złudzeń a *rebours*, sama treść

straty gruntu pod nogami, straty własnego poglądu na świat jest dostatecznie tragiczna i może prowadzić do katastrofy. Ten biedny człowiek przesadził nieco w negatywizmie, lecz zdarzyło się to już niejednemu na świecie. Gorzej jest, że ze swych początkowych, pesymistycznych stwierdzeń wyciąga zbyt daleko idące wnioski, lecz to stanowi już problem indywidualnych przeznaczeń.

– Proszę pana – rzekłem nieśmiało – a czy nigdy nie wziął pan pod rozwagę okoliczności, że ludzie mogą być uczciwi, no, powiedzmy – ze względów całkowicie altruistycznych, ot, tak, z poczucia równowagi moralnej, z prostej świadomości złego i dobrego albo nawet z popędu serca?

Spojrzał na mnie przeciągle. W jego oczach ustępowała wyraźnie rozpacz, a pozostawała sama ironia.

– To dobre, co pan powiedział. Przecież pan sam w to nie wierzy. Pan chce tylko w to uwierzyć. Zbiera pan bukiecik komunałów, którymi chce mnie pan przekonać, odnosząc przy tym skutek całkiem odwrotny od zamierzonego. Czy uważa pan, że uczciwość ludzką można jakoś uzasadnić? Czy sądzi pan, że gdyby nie było strachu przed karą, to jakakolwiek gromada ludzka mogłaby w ogóle zrozumieć pojęcie uczciwości?

Zrobiło mi się całkiem nieswojo.

– Wie pan co – powiedziałem – proszę mi pokazać ten rower. Z chęcią go sobie obejrzę. To zawsze podnosi na duchu.

Skłonił głową z niesmakiem. Zapłaciłem i wyszliśmy na rozjarzoną światłami Kungsgatan. Mijając bogate wystawy jubilerskie i portale banków mój obdarty towarzysz obrzucał je wzrokiem doświadczonego myśliwego. Skręciliśmy w ulicę Królowej. Zbliżając się powoli do skrzyżowania, żebrak pochylił się w przód, natężając wzrok. Zbladł i usta zaczęły mu drżeć. Złapał mnie za rękę i szepnął:

– Nie ma go!

Dochodząc do pustego o tej porze placyku, widziałem już wyraźnie pusty, wieloprzedziałkowy stojak uliczny. Z człowiekiem obok mnie działy się dziwne rzeczy. Trząsł się i ręce latały mu jak w febrze.

– Proszę mi dać papierosa – szeptał gorączkowo – oddam panu zań tysiąc. Za miesiąc wyprawię na pana cześć bankiet w najdroższej restauracji Sztokholmu. Skończyła się obsesja roweru! Wygrałem! Triumfuję! Jutro zaczynam od nowa. A jednak ja miałem rację. Za tydzień będę jednym z najbogatszych ludzi w tym przeklętym, głupim kraju. Zapraszam pana do mojego pałacu, którego adres niebawem panu przyślę. Będziemy pili sherry i rozprawiali przy kominku o wiecznym, niezmiennym, ludzkim Złodzieju…

Od ciemnego muru po przeciwległej stronie ulicy oderwała się jakaś postać. Przechodziła ulicę prosto w naszą stronę. Był to wysoki, tęgi mężczyzna w jakimś uniformie. Podszedł do nas i przyłożył palec do czapki. Potem rzekł kilka słów, z których z trudem zrozumiałem, że pyta, czego tu szukamy. Mój towarzysz milczał.

– Roweru – powiedziałem łamanym szwedzkim językiem – tu stał nasz rower.

Szwed zaczął coś tłumaczyć. W natłoku wyrazów przestałem się orientować. Ze zdumieniem stwierdziłem tylko, że żebrak cofa się do tyłu, patrząc przerażonym wzrokiem w Szweda. Nagle odwrócił się i zaczął biec. Po chwili zniknął nam z oczu.

Szwed był przerażony do ostatnich granic. Na szczęście znał trochę niemiecki. Jąkając się z niepokoju pytał co się stało memu towarzyszowi. Było mi bardzo głupio, gdyż nie wiedziałem, jak mam mu to wytłumaczyć. W każdym razie obróciłem kilka razy palcem przy czole, co jest międzynarodowym określeniem tego samego zjawiska. Szwedowi tłumaczyło to niewiele i denerwował się nadal. Był nocnym stróżem tej dzielnicy i jak się okazało, nawet hipoteza lekkiego szmergla u zbiegłego nic a nic go nie uspokajała.

– Ale dlaczego tak go poruszyło – powtarzał – kiedy mu powiedziałem, że rower jest do odebrania? Nawet wariata taka wiadomość nie powinna wyprowadzić z równowagi. Bo widzi pan, ja ten rower wziąłem. Żal mi się zrobiło maszyny, tyle czasu stoi, pomyślałem sobie: wezmę go i oczyszczę.

Nie wiem dlaczego właściciel po niego nie przychodzi, ale jak przyjdzie, to przynajmniej znajdzie go w porządku. I tak nie mam co po nocach, w czasie dyżuru, robić, to chociaż będzie trochę zajęcia. Była tam forsa, papierośnica i zapalniczka, ale wszystko jest, znajdzie pan na miejscu.

– Proszę pana – rzekłem po chwili milczenia, w czasie której Szwed bez ustanku kręcił głową – niechże mi pan powie tak szczerze: rower stoi tu od dawna, nikt się po niego nie zgłasza, niszczeje na deszczu… Czy nie przyszło panu na myśl, żeby go sobie po prostu zabrać?

– Nie.

– Ale dlaczego? Czy nie potrafi pan powiedzieć, dlaczego pan tego nie zrobił?

– To takie proste – uśmiechnął się szeroko Szwed – przecież ten rower nie jest mój.

Warszawa, 1949 r.

HANKA

W jednym z warszawskich gimnazjów uczyła się młoda, nie więcej chyba niż czternastoletnia, dziewczynka imieniem Hanka i nazwiskiem Klimczak. Ta Hanka Klimczakówna nie była ani ładna, ani brzydka, ani mądra, ani głupia, ani zalotna, ani skromna, ani krzykliwa, ani zbyt spokojna i w ogóle trudno powiedzieć, jaka była, gdyż o dziewczynkach w tym wieku nie można nic takiego powiedzieć. Mówi się o nich zazwyczaj, że dopiero przyszłość pokaże, co z nich będzie, i powiedzenie to nie jest pozbawione słuszności, gdyż przyszłość taka nadchodzi bardzo szybko i nim się człowiek obejrzy, po jednej wiośnie i po jednym lecie ma przed sobą bardzo ładną i bardzo mądrą pannę, albo nic z niczym. W tym jednak czasie, kiedy przedstawiam wam Hankę, jest ona jeszcze zupełnie nieforemnym zadatkiem na kobietę, z przydługimi rękami, o palcach uwalanych atramentem, kilkoma piegami wokół nasady bladego noska i błękitnymi oczami. Jedynym szczegółem, który jest w Hance modny i światowy zarazem, są włosy; tak się bowiem złożyło, że modne są obecnie włosy krotko przycięte i niedbale a filuternie potraktowane, *à la cochon irrité* – jak je nazwała pewna wielka polska pisarka. Ta moda jest niesłychanie na rękę pensjonarkom, gdyż mogą one sobie wzajemnie przycinać włosy, ignorując fryzjera. Zabieg taki wymaga jedynie dobrej woli, pary dobrych nożyczek i jako wzoru eleganckiego magazynu ilustrowanego z modnie uczesanymi główkami. Natomiast, dla sprawiedliwości, przyznać trzeba, że mimo tych zainteresowań Hanka uczyła się znośnie, nie została w żadnej klasie na drugi rok i rodzice byli z niej na ogół zadowoleni, co nie znaczy jednak, aby poświęcali jej zbyt wiele czasu. Ojciec Hanki był technikiem budowlanym, wiemy zaś wszyscy, jak bardzo są zajęci technicy budowlani teraz właśnie, kiedy odbudowuje się Warszawę. Matka Hanki pracowała

również, jako ekspedientka w wielkiej spółdzielni spożywczej, toteż rodzinie tej powodziło się znośnie. Hanka chodziła dobrze i ciepło ubrana, a jej starszy brat Roman, studiował inżynierię lądową na politechnice. Ciemną stroną ich życia było ciasne, niewygodne i brzydkie mieszkanie; tak się bowiem złożyło, że pan Klimczak był uczciwym człowiekiem, gardził wszelkimi kombinacjami i żył z ciężko zapracowanych wynagrodzeń, co nie pozwalało mu na kupno własnego, wygodnego mieszkania, zaś Warszawa nie jest jeszcze aż tak dalece odbudowana, żeby wszyscy rzetelni i pilni pracownicy mogli otrzymać przestronne, jasne pomieszczenia mieszkalne. Te okoliczności powodowały, że Hanka, o ile to było możliwe, spędzała czas poza domem. Rodzice dawali jej dziesięć złotych tygodniowo jako tak zwane kieszonkowe, którą to sumę Hanka, zależnie od nastroju, obracała na bilety kinowe, względnie chrupkie rurki z kremem, wypiekane w specjalny sposób na oczach konsumenta. Bardzo dużo też spacerowała w towarzystwie dwóch swych najlepszych przyjaciółek, Basi i Zuzy, która w istocie nazywała się Zosia, lecz od najmłodszych lat była w pretensjach i zdeformowała sobie kokieteryjnie, zbyt prosto – jej zdaniem – brzmiące imię. Basia i Zuza we wszystkim niemal podobne były do Hanki, z tą różnicą, że rodzice Basi byli biedniejsi i Hanka do spółki z Zuzą pokrywała zazwyczaj rachunki w lodziarni i koszt biletów kinowych. Wszystkie trzy należały do organizacji młodzieżowych, słuchały referatów, ale mało interesowały się życiem świetlicowym. Wynikało to z tego, że ani Hanka, ani Basia, ani Zuza nie miały żadnych ambicji artystycznych, zaś w świetlicach przeważnie gra się albo tańczy w zespołach, albo śpiewa, albo wystawia się różne rzeczy na scenie. W ogóle te zamierzenia ich były jeszcze całkiem nieskrystalizowane, a w związku z tym – ambicje nieustalone. Wprawdzie Hanka mawiała, że chce studiować w przyszłości medycynę, Zuza miała zamiar być kiedyś bardzo elegancką i marzyła w cichości o swej przyszłej wielkiej urodzie, ale były to jeszcze pierwociny zamiarów. Jedynie Basia zwierzała się przyjaciółkom, że chce mieć dom, rodzinę, dzieci oraz gotować swemu kiedyś-mężowi dobre i obfite posiłki, i chociaż była ona jeszcze smarkulą,

wszystko wskazywało na to, że tak będzie. Na razie tedy wszystkie trzy wystawały godzinami w ogonkach przed kinem po to, aby zobaczyć Celikowską, którą bardzo lubiły, czy pozazdrościć trochę Szaflarskiej. Ważkim momentem w ich życiu było, gdy Zuza dostała pierwsze pantofle na wysokim obcasie, drewniaczki – rzecz jasna – ale zamszowe i bardzo ładne. Spacerowały wtedy długo po Marszałkowskiej.

Zuza, choć bardzo ją bolały stopy, wcale się do tego nie przyznała. Rozważały wtedy żarliwie problem kobiecej wytworności, który dla nich dopiero co zaistniał, i oceniały krytycznie, pewne swego świeżutkiego znawstwa, przechodzące warszawskie elegantki i piękności, bez względu na wiek. Doszły przy tym do wniosku, że kobieta powinna być ładna i wzbudzająca podziw, że to chyba bardzo w życiu pomaga, chociaż nie jest jedynym celem kobiety, i wprawdzie Zuza upierała się przy tym, że to może być jedynym celem, to jednak Hanka i Basia miały swoje zdanie. Natomiast uroda i wytworność słabo kojarzyły się dla nich jeszcze z faktem istnienia na świecie mężczyzn i wydawały się im raczej konieczne dla imponowania innym kobietom. W tym miejscu należy powiedzieć słów kilka o stosunku Hanki, Zuzy i Basi do chłopców. Otóż trzy te dziewczynki były dziewczynkami współczesnymi co się zowie, uczyły się w szkole biologii i nawet nie wiedziały o tym, że winę za pewne sprawy zwalało się kiedyś na bociany, jako że miały współczesnych rodziców, którzy potrafili unikać przestarzałych metod w informowaniu swych dzieci o świecie! W klasie ich było także sporo dziewcząt, które całowały się już z chłopcami na wieczorkach szkolnych i w strasznym sekrecie opowiadały o tym wszystkim koleżankom, na pauzach. Tym niemniej Hanka, Basia i Zuza mało interesowały się tymi sprawami, mało interesowały się chłopcami i co tu dużo mówić – chłopcy jeszcze mniej interesowali się nimi. Czy ten stan rzeczy zawdzięczać należy temu, że wszystkie trzy miały jeszcze bardzo patykowate nogi, czy temu, że żadna z nich nie była specjalnie ładna – sam nie wiem, po prostu było tak i już. I chociaż znały wielu chłopców z ulicy Belwederskiej i okolic (mieszkały przecież niedaleko od siebie właśnie

w tamtej dzielnicy), a także chodziły czasem z chłopcami na spacery, po których wymieniały wrażenia i poglądy na temat, który chłopiec jest ładny, a który głupi, to jednak wszystko to mniej je obchodziło niż ploteczki o koleżankach, nauka w szkole i nowe filmy. Sportem interesowały się trochę, po części dlatego, że wszyscy się nim interesowali, a już brat Hanki, Roman, i stryj Zuzy, niejaki pan Wąsik, byli cenionymi i znanymi sportowcami, głównie jednak za sprawą nauczycielki gimnastyki z ich szkoły. Ta nauczycielka, panna Danuta, była zapaloną entuzjastką sportu, młodą absolwentką Akademii Wychowania Fizycznego, która wynajmowała dla swych uczennic wspaniałe sale gimnastyczne w warszawskich domach kultury fizycznej, grała z nimi w siatkówkę i starała się im zaszczepić całą znaną sobie radość, płynącą ze sportu. Panna Danuta była przy tym ładna, zgrabna, zawsze schludnie i przyjemnie ubrana, umiała ciekawie opowiadać o wyczynach sportowych i wielkich polskich sportowcach, podbijała wszystkie serca swym urokiem i miłym sposobem bycia, zdobywała ogólną sympatię. Jednym słowem wywierała taki wpływ, że wiele dziewczynek, a także trzy znane nam przyjaciółki, zastanawiało się poważnie, czy po skończeniu szkoły nie wstąpić na AWF i być potem taką jak panna Danuta.

Zeszłego roku późną wiosną i latem, przed wyjazdem na wakacje, dziewczęta chodziły nad Wisłę od strony Portu Czerniakowskiego, na dawną plażę Ligi Morskiej, gdzie opalały się, kąpały i czytały książki. Potem rozjechały się każda w swoją stronę. Hanka wyjechała do krewnych na Dolny Śląsk; Zuza udała się wraz z matką na wczasy do domu wypoczynkowego w Ustroniu Morskim, zaś Basia spędziła lato u ciotki w Klarysewie pod Warszawą. Hanka poza rozlicznymi przyjemnościami, jakie nastręczył jej pobyt w małym miasteczku nie opodal Jeleniej Góry, w czasie tych wakacji nauczyła się pływać. To znaczy, że i przedtem Haneczka jako tako poruszała się w wodzie, ale tam, w tym Agnieszkowie, był bardzo ładny basen pływacki, a także pewien kuzyn Hanki, miejscowy sportowiec i motocyklista, który patrząc na jej pływanie, rzekł:

– Eee tam, też pokraka z ciebie, Hanka – i nauczył ją ruchów żabki.

Było trochę niesprawiedliwe to powiedzenie o pokraczności Hanki, sprzeczne z rzeczywistością i dowodziło zarazem niefachowości kuzynowego spojrzenia. Hanka mimo niedorosłej, nieukształtowanej jeszcze sylwetki i szczupłych kończyn – miała w sobie jakąś naturalną zręczność i płynność ruchów. Wody nie bała się ani trochę, szybciutko nauczyła się strzałki, unosząc się lekko na wodnej powierzchni, a potem, przedziwnie szybko, opanowała ruchy i system pływania żabką, a nawet krytą żabką. Nie przywiązywała zresztą do tego zdarzenia większej wagi poza zamiarem chwalenia się przed koleżankami w Warszawie, ale z czasem odkryła w sobie szczególne upodobanie do pławienia się w ciepłej i czystej wodzie pływalni. Odtąd, przez resztę pobytu, gdy pogoda dopisywała, nie opuszczała basenu; wskakiwała, pełna zapału, do wody, nurkowała, bawiły ją bąble wypuszczanego pod wodą powietrza, kładła się na wznak, pływała tam i z powrotem, otwierając oczy w zielonym bezmiarze pod powierzchnią i wsłuchując się w przyjemny szum, otaczający uszy, gdy płynęło się z zanurzoną głową. Po powrocie z wakacji pani Klimczakowa spojrzała na Hankę bez specjalnego uznania i rzekła:

– Opaliłaś się, to prawda, ale i zeszczuplałaś, dziewczyno, na tych feriach. Cóżeś ty tam robiła?

Hanka tłumaczyła, lecz tłumaczenie to nie trafiło mamie do przekonania. Istotnie, mama swoją rację miała, gdyż Hanka mizerniejsza była niż przed wyjazdem; oczywiste jest jednak, że mama nie mogła dostrzec, jak niektóre ścięgna Hani stały się ściegnami z iście stalowych nitek, ani jak woda wygładziła i wzmocniła to, co z czasem miało się stać mięśniami Haninych nóg, ramion i barków.

Pierwsze spotkanie z Zuzą i Basią było przyjemne i ożywione. Patrzyły na siebie wzajemnie z dużą ciekawością, gdyż bardzo się w gruncie rzeczy przez ten czas zmieniły, jak to się mówi: wydoroślały. Zuza nawet coś tam zrobiła ze swymi brwiami, ale nie było na razie o tym mowy, natomiast

Hanka, skora do wykazania swych nowonabytych umiejętności, zaproponowała pójście na plażę. Na to Zuza:

– To nie ma sensu, ta cała brudna plaża. Chodźmy na „Legię", tam jest naprawdę elegancko, a my już jesteśmy na tyle dorosłe, że trzeba się pokazywać między ludźmi.

Pływalnia na Łazienkowskiej, zwana w Warszawie popularnie „Legią", była rzeczywiście gwarna, elegancka i bardzo zajmująca. Pełno w niej było atrakcji i ładności: ładne rozbieralnie, kabiny i leżaki, mnóstwo ładnych pań w oryginalnych kostiumach kąpielowych, ping-pong, wieża skoków i inne różności. Dziewczęta znały „Legię" i przedtem, przedkładały jednak dotąd zaciszność czerniakowskiej plaży nad światowość pływalni. Teraz uznały jednak, że Zuza ma rację i że plaża nie umywa się do pływalni. Spotkały też wielu znajomych chłopców z Belwederskiej, którzy, rzecz ciekawa, zaczęli baczniej przyglądać się starszym o jedno lato dziewczętom. Leżeli więc wkoło nich na słońcu i toczyła się zajmująca rozmowa towarzyska, w czasie której Zuza opowiadała o tym, jak tańczyła tango ze znajomym jej mamy w Ustroniu, zaś wiodący prym wśród chłopców piętnastoletni młodzieniec, niejaki Witek Ciepuszyński, poinformował wszystkich, że jest juniorem sekcji pływackiej klubu „Legia" i że ma startować niebawem w zawodach stylem klasycznym. Hanka spytała, co ma on na myśli, mówiąc „styl klasyczny"; Witek wykonał dla objaśnienia kilka ruchów, na to Hanka oświadczyła, że to żabka, zaś Witek, zły z powodu dewaluacji terminu „styl klasyczny", rzekł z ironią:

– No tak, niby żabka, ale głowę trzeba mieć pod wodą.

Na to znów Hanka, że oczywiście, że to kryta żabka i że ona także to potrafi. Całe towarzystwo, zaintrygowane wyraźnym sporem, przeniosło się tedy na brzeg basenu, po czym Hanka wskoczyła z wdziękiem do wody i przepłynęła krytą żabką całe pięćdziesiąt metrów.

Na brzegu basenu stał właśnie nieduży, bardzo opalony pan w kolorowym czepku pływackim, białych spodenkach i drewnianych wodniackich chodakach. Pan ten miał szeroką, umięśnioną klatkę piersiową,

krótkie, ale bardzo potężne, brązowe ramiona, bystre, ciemne oczy i rozmawiał z innym panem, szczupłym i jasnowłosym, z zakręconym na szyi włochatym ręcznikiem. Kiedy Hanka płynęła nie opodal, tęgi i opalony pan rzekł:

– Oho.

Na to drugi, ten z ręcznikiem:

– Co to znaczy: oho?

Na to znów opalony, wskazując na Hankę:

– Widzi pan tę dziewczynkę?

– Widzę. Pływa. I cóż z tego?

– Nic.

– A właśnie, że nic, bo pływa źle.

Hanka wychodziła z wody i obciągała na sobie mokry kostium. Na ten widok blondyn w ręczniku dodał:

– Smarkata. I to wcale niełądna.

Ale Hanka kłóciła się widać z Witkiem, czego z odległości nie było słychać, za chwilę wskoczyła znów do wody i płynęła z powrotem. Gdy przepływała obok, tęgi i opalony pan rzekł:

– Hmmm.

– Panie – zwrócił się doń owinięty w ręcznik – co to wszystko ma znaczyć?

– Nic pan nie dostrzega? – spytał opalony.

– Nic a nic. Po prostu pływa dziewczyna, jak może.

– Widzi pan, panie redaktorze, ludzie dzielą się na tych, co lubią pływanie, którzy znają się na pływaniu i którzy zjedli zęby na pływaniu. Ja należę do tych właśnie, co zjedli zęby.

– O tym wie cała Polska – przyznał redaktor zgodliwie, choć z przesadą – ale co to ma wspólnego z tą smarkulą?

– Otóż ma. Ta mała nie ma zielonego pojęcia o pływaniu, ale ma także ruchy urodzonej pływaczki. Niech pan spojrzy, jak ona ładnie leży na wodzie, na jej miękkie, ekonomiczne ruchy, zda się dokonywane bez

wysiłku, a jakże efektywne. To są rzeczy wrodzone, których nie da żadna nauka. Kto wie, może jakiś talent? Ale pan się na tym nie zna.

– Oczywiście – zgodził się raz jeszcze redaktor – skąd ja mogę o tym wszystkim wiedzieć i widzieć wcześniej od pana, skoro ja jestem tylko dziennikarzem sportowym, a pan jest słynnym Karrambą.

– Mhmm – oświadczył Karramba i krzyknął głośno w stronę Hanki: – Hej, ty tam, koleżanko, wyłaź z wody!

Upłynęło kilkanaście sekund, zanim Hanka spostrzegła, że się na nią woła. W pierwszej chwili przeraziła się bardzo, czy aby coś się nie stało, potem przeraziła się jeszcze bardziej, skoro uświadomiła sobie, że woła na nią ktoś starszy, wyglądający jak dyrektor pływalni. Przemknęło jej przez myśl, że może zgubiła w wodzie kostium, ale tak nie było. Pełna niepokoju dopłynęła więc do brzegu i wyszła po schodkach z wody tuż obok Karramby. Cała ta scena wywołała sensację w grupie znajomych Hanki, którzy pobiegli w ich stronę, przy czym Witek był kompletnie zelektryzowany i wołał:

– Rany Julek! Czego od niej może chcieć Karramba?

Ale Karramba zostawił zaciekawionego redaktora i rozgorączkowane towarzystwo Hanki, pchnął tę ostatnią lekko przed siebie i zaprowadził ją na jedno z pięter wieży skoków, gdzie usiedli sobie, wygodnie zwieszając nogi i mając zieloną powierzchnię basenu pod sobą. Po czym odbyła się między nimi następująca rozmowa:

Karramba: – Ile masz lat?

Hania: – Czternaście.

Karramba: – Lubisz pływać?

Hania: – Lubię.

Karramba: – A czy wiesz, że nie umiesz?

Tego Hania nie wiedziała, a była raczej przekonana, że jest odwrotnie. Ale jako nieśmiała i dyplomatycznie uzdolniona panienka odparła:

– Umiem bardzo słabo.

Karramba: – A chcesz się nauczyć dobrze i crawlem?

Hania: – Chcę.

Karramba: – Do szkoły chodzisz?

Hania: – Chodzę.

Karramba: – Przed czy po południu?

Hania: – Przed.

Karramba: – To dobrze. Posłuchaj: teraz nie warto zaczynać, zbliża się jesień i koniec letniego sezonu. Przyjdziesz do mnie we wrześniu, powiedzmy: dwudziestego, na krytą pływalnię. Zapiszę cię do klubu i zaczniesz trenować. Zobaczymy, co z ciebie można zrobić. Aha, moje nazwisko jest Majewski, ale wszyscy nazywają mnie Karramba. Ty też możesz.

– Klimczakówna jestem – przedstawiła się w odpowiedzi Hanka.

– Klimczak. No, dobrze – powtórzył Karramba – pamiętaj: we wrześniu. A teraz do widzenia i nie mocz się zanadto w wodzie, bo i tak chuda jesteś aż strach.

Hanka była trochę zrażona obcesowością pana Karramby i tym, że ją tykał. Ostatecznie nie jest przecież dzieckiem. Ale skoro Witek powiedział jej, kto to jest Karramba, jaki to wielki trener i instruktor i jak wszyscy w Warszawie, to znaczy cały świat pływacki, uważają go za ostateczną instancję i wyrocznię w sprawach stylów, czasów, rekordów, crawla, motyla, battement i wielu innych mało zrozumiałych wyrazów – wtedy Hance zrobiło się całkiem przyjemnie. „Co on we mnie zobaczył?" – zastanawiała się w duchu. W domu opowiedziała o tym zdarzeniu, ale nikt się tym bliżej nie zainteresował, nawet brat Roman, zapalony wprawdzie lekkoatleta, lecz w tym czasie mocno zajęty egzaminami. Rozpoczęły się lekcje, życie przyniosło ze sobą we wrześniu dużo nowych i ciekawych wrażeń, ale Hanka nie zapomniała o umówionej dacie. Nie powiem, aby wyczekiwała jej z bijącym sercem i marzyła o niej przed zaśnięciem, co to, to nie, ale nie zapomniała. Poszła więc w oznaczonym dniu do owego wielkiego gmachu użyteczności publicznej w okolicach placu Trzech Krzyży, o którym wiedziała, że mieszczą się w nim sale świetlicowe, hale sportowe, kryta

pływalnia, czytelnie i sala teatralna. Gmach ten nie był jej obcy, jak nie jest obcy żadnemu uczniowi czy żadnej uczennicy w Warszawie, nie znała go jednak bliżej i więcej wiedziała o nim z opowiadań starszych koleżanek, które bywały w nim na zabawach tanecznych, niż z własnych doświadczeń. Zaraz przy samym wejściu jakiś pan spytał ją o legitymację, której Hanka nie posiadała, zmieszała się przeto bardzo i wydawało się jej, że wszyscy ludzie, których pełno było w obszernym hallu, patrzą na nią uporczywie. Zmieszała się więc jeszcze bardziej i szepnęła, że ona na pływalnię, do pana Karramby, na co kontrolujący pan zmarszczył się i spytał:

– Do kogo?

Hanka pomyślała sobie, że ten pan to chyba nie pływak i już zupełnie cichutko dodała, że do trenera Majewskiego. Wtedy pan ten uśmiechnął się, pozwolił jej wejść i Hanka poczuła się trochę zagubioną w tym rozgwarze czternastoletnią dziewczynką, nie mającą pojęcia, w którą stronę należy iść dalej. Spytała jednak rezolutnie kogoś, gdzie jest pływalnia, ten ktoś rzucił: „Na lewo, w prawo, potem schodami w dół", gdyż śpieszył się widocznie, i Hanka powędrowała długimi korytarzami i schodami. Powietrze stawało się coraz cieplejsze, coraz więcej widać było dziewcząt i chłopców, pań i panów w kolorowych dresach i wreszcie Hanka znalazła się przed jakimś łysym człowiekiem w zielonej koszulce gimnastycznej, który stał za kratą z drutu i spytał:

– Obywatelka młodociana do kogo?

– Ja do pana Kar…. to jest Majewskiego.

– Zaraz. Już się robi.

I zaprowadził ją na pływalnię. Hanka była już tu kiedyś z panną Danutą i ze swoją klasą, ale wówczas ta długa, ciepła, wilgotna hala, wykładana kafelkami, z zieloną taflą chlorowanej wody pod silnymi lampami – wywarła na niej inne wrażenie. Wtedy pluskały się w wodzie i wszystko przypominało wesołą zabawę w nieco dziwacznej, wielkiej łazience; teraz Hanka ujrzała pływalnię tętniącą pracą jak radosna fabryka i rozbrzmiewającą rozkazami jak obóz harcerski. Karramba w długich

petkach i białej koszulce sunął wzdłuż brzegu, zaś w wodzie po torze, oddzielonym od reszty basenu sznurem z korkami, płynął crawlem jakiś młody człowiek.

– Głowa w dół! – krzyczał Karramba – głowa w dół! Nogi! Nogi mocniej!

Trenujący pracował ostro, zrobił nawrót, wtedy Karramba odwrócił się i spostrzegł Hankę.

– Aha, Klimczakówna – rzekł podchodząc do niej. – Czekałem dziś na ciebie. Punktualna jesteś, nie ma co. Zaczekaj chwilę, zaraz pogadamy.

Hance, która stała w płaszczyku i berecie, było bardzo gorąco, ale zrobiło się jeszcze goręcej. Zapamiętał jej nazwisko, proszę, ten Karramba. Ciekawy typ. Trener zawołał jakiegoś młodego pana w płaszczu kąpielowym, z klubowym emblematem na piersi, któremu powiedział:

– Przypilnuj, żeby Jurek popłynął jeszcze dwieście, a Halina pięćdziesiąt na gaz. Zaraz i tak koniec godziny. Zapisz trening. Ja już idę, bo mam coś załatwić.

Po czym wszedł do rozbieralni i za chwilę wrócił zupełnie ubrany, tylko że zamiast marynarki miał na sobie górną petkę z emblematem klubowym. No i zaprowadził Hankę do jadalni. Hanka stanęła w pąsach, gdy wchodzili na salę pełną roześmianych młodych ludzi i kolorowych dziewcząt. Bo i proszę, oni, ten wspaniały, wielki Karramba i ona, czternastoletnia dziewczynka w dziecinnych bawełnianych pończochach, a wszystkie oczy, z całej sali – tak się przynajmniej Hance wydawało – wbite w nich właśnie. Usiedli przy stoliku, Karramba zamówił dwie herbaty i po ciastku, po czym rzekł:

– Jak się nazywasz?

– Hanka.

– A więc słuchaj, Haniu, coś mi się widzi, że z ciebie będzie można zrobić niezłą pływaczkę, i to zawodniczkę. Musisz jednak wiedzieć, że droga do tego będzie bardzo trudna, uciążliwa i prowadzi tylko przez pilną pracę. Sport wyczynowy to praca, praca, i jeszcze raz praca nad samym sobą, to

żmudne i męczące treningi. Czy możesz zdecydować się na poświęcenie swego wolnego czasu, po szkole, na taką pracę?

– Chyba… uważam, że tak – rzekła niepewnie Hanka.

– To dobrze – uśmiechnął się Karramba. – Oto moja ręka. Postaramy się zostać przyjaciółmi, lecz musisz mi przyrzec jeszcze następującą rzecz: kiedy poczujesz, że jesteś zmęczona, że masz dosyć, że więcej nie możesz i nie chcesz – przyjdź do mnie i powiedz: „Karramba, mam dosyć!", ale nie wymiguj się, nie markieruj, nie opuszczaj treningów. Wtedy będziemy kwita.

Uścisnął mocno rękę Hanki. Pogadali jeszcze trochę i Hanka poszła do domu. Przez drogę marzyła o swej fotografii w gazetach i o pobiciu rekordu Polski w niedalekiej przyszłości. Położyła się spać bardzo rozgorączkowana.

Nazajutrz Karramba wręczył jej legitymację klubową i przystąpili do nauki crawla. Karramba układał jej ręce, długo pokazywał i obszernie tłumaczył zasady poruszeń – „na sucho" na brzegu basenu. Potem pozwolił Hance jeszcze dłużej pluskać się w wodzie, zajął się innymi zawodnikami i tak było przez kilka dni. Cały ten czas Hanka bawiła się sama; było to bardzo przyjemne i poznała wielu miłych, młodych ludzi, którzy traktowali ją bardzo po koleżeńsku. Potem Karramba nauczył ją oddechów i kazał pływać z deską treningową w wyciągniętych ramionach, lekko poruszając nogami; zaznaczył przy tym, żeby przerywała, jak tylko poczuje zmęczenie. Nie było to specjalnie miłe, gdyż ręce szybko cierpły, przy skrętach głowy i pomyłce w oddechu woda wlewała się do ust i uszu, lecz na ogół można było wytrzymać. Aż tu pewnego dnia Karramba krzyknął do niej:

– No, Hanka, bierz dechę i pięćdziesiąt metrów same nogi!

Hanka wzięła deskę i popłynęła, ale już po dwudziestu kilku metrach poczuła, że dalej nie może. Spojrzała z rozpaczą w górę, na kroczącego brzegiem basenu Karrambę, ale ten parsknął:

– Czego patrzysz? Pracuj! Wolno. Wolniej, regularniej…

Hanka zacięła usta i stukała dalej cienkimi nogami rozpaczliwe battement: „Mój Boże!- kołatało jej w głowie – jak to wolno idzie! Nie wytrzymam, Matko święta, nie dopłynę!" Ale waliła po desperacku

i przeciwległy brzeg zbliżał się jakoś. Gdy wyszła, nogi chwiały się pod nią, ale Karramba poklepał ją po mokrych wątłych plecach i rzekł:

– Bardzo dobrze.

Odtąd zaczęły się koszmarne dni. Na następnym treningu rozkrzyczany Karramba zmusił ją do przepłynięcia siedemdziesięciu pięciu metrów, na jeszcze i następnym – stu. Przez trzy treningi płynęła po sto, z oczyma pełnymi łez. Potem sto pięćdziesiąt. Kładła się spać z bólem w lędźwiach, ze zdruzgotanymi plecami i porwanymi ścięgnami, czując każdą kosteczkę swego umęczonego ciała. Gdy Karramba po dwustu metrach kazał jej przepłynąć na gaz dodatkowe pięćdziesiąt, poczuła, że to koniec. Wywlokła się z wody i uczyniła krok w kierunku trenera. Ten jakby czekał na to. Ale wraz ze łzami w gardle jakiś ząb przyciął niezależnie od jej woli jej własną wargę aż do krwi – i nie rzekła ani słowa. Karramba uśmiechnął się. Był to bardzo tkliwy uśmiech, aż tak tkliwy, że Karramba musiał się natychmiast odwrócić. Hanka zaś myślała: „To trudno. Jakoś wytrzymam. Zobaczę, co z tej męki wyjdzie. Jak nic, jak przegram w pierwszych zawodach – rzucę to wszystko! Ale wytrzymać muszę…" Po dwóch miesiącach skonstatowała, że gdy płynie normalnie, ręce-nogi, to przebywa jakoś strasznie szybko zamierzony dystans. Karramba mierzył coś tam na stoperze, jak pływała, ale nic jej nie mówił. Za to któregoś piątku rzekł:

– W niedzielę są zawody międzymiastowe, w ramach których odbędzie się szereg konkurencji lokalnych. Jesteś wystawiona w klasie juniorów w naszej klubowej reprezentacji. Pamiętaj, to twój pierwszy start. Masz prawo przegrać, ale będziesz musiała walczyć.

Przez dwie noce Hanka prawie nie spała. „Jak to dobrze – rozmyślała intensywnie – że w gruncie rzeczy nikt nie interesuje się bliżej ani w domu, ani w szkole tymi moimi szaleństwami pływackimi. Niby to wiedzą, ale nikogo to nie ciekawi. W niedzielę przegram, nikt się o niczym nie dowie, rzucę pływanie i koniec. Mam dosyć."

W niedzielę po południu, o godzinie piątej z minutami, Hanka wygrała w ładnym stylu i o kilka długości przed przeciwniczkami swój pierwszy bieg w zawodach. Było to tak: kiedy weszła na pływalnię wraz z całą reprezentacją Warszawy, oszołomił ją inny niż zwykle wygląd tego miejsca. Pustawa zawsze pływalnia była jasno oświetlona i wypełniona ożywionymi tłumem. Wszędzie głowy, oczy, twarze widzów, na górnych trybunach i ze wszystkich stron. Przy słupkach startowych znów tłum sędziów mierzących czas, oficjeli, panów ze związku pływackiego, działaczy klubowych. Wokół Hanki – zawodnicy Warszawy z Syreną na płaszczach kąpielowych, i ich przeciwnicy z Katowic, w niebieskich slipach i czepkach, oraz mnóstwo zawodników z jej klubu i innych klubów. Hanka przycupnęła na ławce, wciśnięta pomiędzy starsze zawodniczki, nikt na nią nie zwracał uwagi, a Karramba miotał się gdzieś daleko, przy stoliku sędziowskim, pertraktując z kierownikami ekipy Katowic i instruując czołowych zawodników Warszawy. To wszystko mogło oszołomić, lecz po kilku minutach oszołomienie ustąpiło gorącemu zainteresowaniu zawodami; Hanka darła się wraz ze wszystkimi i dopingowała swoich. W pewnej chwili usłyszała, jak speaker wymówił jej nazwisko i wezwał ją na start wraz z innymi zawodniczkami, i serce w niej zamarło. Nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, kiedy skoczyła do wody, bez falstartu, którego tak się obawiała; dopiero w wodzie uświadomiła sobie jasno, że płynie pięćdziesiątkę dowolnym, że musi płynąć jak najszybciej i dać z siebie wszystko. Finiszowała z całych sił, a gdy ukończyła bieg, odwróciła się natychmiast i ujrzała, że cała reszta stawki płynie dopiero pół basenu z tyłu. Wtedy też dotarł do niej po raz pierwszy, grzmot oklasków, jakim widownia przyjęła jej zwycięstwo. Wychodząc z wody ujrzała nad schodnią roześmianą twarz Karramby, który wołał:

– Haneczko! Extra-klasa!

Oczywiście nie wiedziała i nic nie powinna była wiedzieć o tym, że gdy ona, tam w wodzie, dawała z siebie wszystko – działacze, oficjele i znawcy klepali Karrambę po ramieniu, mówiąc na wyprzódki:

– Ty stary draniu! Skądżeś tę smarkulę wygrzebał? Na medal jest! Proszę, jak leży na wodzie! A jaki posuw!

Słowa te były nacechowane serdeczną, życzliwą zazdrością, a jeden dziennikarz zawołał nawet entuzjastycznie:

– Panowie! To przecież talent!

W tym miejscu Karrambą żachnął się srogo:

– Skończ pan tę nieprzytomną mowę, panie redaktorze, dobrze? Dziewczyna ledwie uczy się pływać, a wy już talent!… Po co ten krzyk i ta cała wasza zakichana reklama? Już byście chcieli przewrócić jej w głowie i cała robota na nic…

Ale o tym wszystkim Hanka nie wiedziała, natomiast oklaski zapadły jej głęboko w serce. Tak już na całe życie; ten pierwszy, najbardziej upajający moment popularności, który pamięta się do śmierci. Dla takich oklasków robi się później wiele rzeczy, ale nigdy nie osiąga się takiego upojenia; w sporcie zaś, o ile nie żyje się równie silnym pragnieniem zwycięstwa jak pożądaniem oklasków, owacje zniszczyły już niejednego człowieka. Ale o tym także Hanka jeszcze nie wiedziała i słodkie uczucie radosnej dumy zalewało jej serce, gdy stwierdziła, że ludzie pokazują ją sobie palcami, kiedy w swym szkolnym płaszczyku i berecie opuszczała gmach pływalni.

Nazajutrz we wszystkich warszawskich gazetach pisano wyraźnie: „50 metrów stylem dowolnym pań w kl. jun. 1. Klimczakówna H. 51,3", a „Przegląd Sportowy" dopisał jeszcze: „Pewne nadzieje na przyszłość rokuje młodziutka zawodniczka warszawska Klimczakówna, która w konkurencji lokalnej juniorów odniosła przekonywające zwycięstwo." Widocznie jednak ostry ton Karramby zrobił swoje i dziennikarze powściągnęli nieco swój przedwczesny entuzjazm. Ale i to wystarczyło, aby wywołać sensację w szkole i w domu. Zuza czuła się, nie wiadomo czemu trochę urażona, Basia cieszyła się serdecznie z sukcesu Hanki, pani Danuta gratulowała jej serdecznie i dodała:

– Wchodzisz na trudną drogę. Pamiętaj – w sporcie grunt to wytrwałość i charakter. Wyniki przyjdą z czasem.

W domu Hanka miała minę dość niepewną, zwłaszcza gdy mama zaczęła:

– Teraz już wiem, dlaczego mi ciągle mizerniejesz. Nowa zabawa – pływanie. I to jeszcze w tajemnicy…

Ale ojciec i brat Roman oświadczyli zgodnie:

– Daj jej mamo, spokój. Hanka, dzieciuch, ale wcale nas nie zawstydziła. Tylko dlaczego ty, dziewczyno, nic nie mówisz? Uprzedź, kiedy pływasz w zawodach, a przyjdziemy cię podziwiać…

Długo, bardzo długo musieli wszyscy czekać na następny start Hanki. O sprawach tych decydował Karramba, a był to człowiek, który znał się na rzeczy i wiedział, jak trzeba w takich wypadkach postępować. Staszek Majewski, znakomity trener, był kiedyś w Ameryce Południowej i po powrocie stamtąd polski świat pływacki nazwał go Karrambą, chociaż przezwisko to było niczym nie uzasadnione. Majewski nigdy nie używał tego hiszpańskiego słowa w rozmowie, klął zawsze po polsku i po prostu ktoś kiedyś rzekł nań Karramba i tak już pozostało. Przyznać należy, że ten dźwięczny, pękaty przydomek pasował doń doskonale i wszędzie w Polsce, gdzie ktokolwiek pływał na czas jako zawodnik, stanowił synonim doskonałego znawcy, instruktora i fachowca. Tak więc Karramba zdawał sobie świetnie sprawę z tego, co należy z Hanką robić dalej, i w związku z tym postarał się o radykalną likwidację nastroju sensacji, jaki począł się wokół dziewczyny wytwarzać. Ujął tedy Hanię w karby żelaznej treningowej dyscypliny i słowem nie napomknął o możliwości jakichkolwiek startów w zawodach. Hanka pływała regularnie i długo, Karramba przedłużał dystanse, szlifował styl, mierzył czasy, wygładzał braki w pracy nóg, rąk i oddechach – jednym słowem pracował nad nią co się zowie. Treningi stawały się coraz mniej uciążliwe, nie przestając jednak wyczerpywać. Po wyjściu z wody Hanka odczuwała miłe zmęczenie spracowanych, lecz wyraźnie krzepnących mięśni. Sama nawet nie spostrzegła, kiedy rozpoczęła ową walkę o sekundy, a i ułamki dziesiętne sekund z oporną wodą i jeszcze

oporniejszym czasem, walkę, w której umysł jej pracował w wodzie równie precyzyjnie jak członki, walkę, która jest udziałem tylko prawdziwego zawodnika. W życie jej wkroczył wtedy stoper, to nieubłagane i zagadkowe bóstwo, którego niespodziewane i nieodwołalne wyroki stanowią źródło ogromnej rozpaczy lub rozsadzającej radości. Karramba posługiwał się stoperem umiejętnie, najczęściej mierzył czasy Hanki dla własnej obserwacji, nie informując jej wcale; czar stoperu jednak działał, Hanka zaczęła dopominać się o swe rezultaty, Karramba musiał więc ustąpić i dopuścić ją, chociaż w małym stopniu, do pewnych rozważań nad tajemnicami sukcesu. Tak płynęły miesiące; Hanka była nadal niezłą uczenncą, chodziła od czasu do czasu do świetlic organizacji młodzieżowych oraz do kina z Basią i Zuzą wszyscy i zaczęli powoli zapominać o jej pierwszym zwycięstwie, a o to przecież Karrambie chodziło. Wszystko zepsuł Witek Ciepuszyński. Spotkał on kiedyś Hankę na Belwederskiej i uważając się w duchu za właściwego odkrywcę jej pływackiego talentu oraz żywiąc do niej niejasną urazę, rzekł z ogromną ironią:

– Ty, Hanka, co ten Karramba tak cię konserwuje? Taki wielki talent, już mogłabyś być jakąś mistrzynią, ty zaś tylko trening i trening, nigdy nie startujesz… A tu młodość mija…

Hanka wyczuła złośliwość, toteż odparła z wyrażanie akcentowaną wyższością:

– Phi, znawca się znalazł… My mamy naszą metodę…

Ale słowa Witka rzuciły zły posiew. Przed zaśnięciem Hanka rozmyślała: „Bo też rzeczywiście! Jak popatrzę na taką Cielątkównę czy Kopciszewską i na te inne wielkie mistrzynie, jak się ruszają w wodzie, to jak babcię kocham – mogłabym z nimi walczyć jak równa z równymi. Czego ten Karramba chce?”

A nazajutrz, na treningu, powiedziała odważnie do Karramby:

– Proszę mi powiedzieć, Karramba, dlaczego ja wcale nie startuję? Tyle było ostatnio spotkań międzymiastowych, mógł mnie pan wystawić

przynajmniej w konkurencji lokalnej a tu nic. Przecież ja potrzebuję szlifu i otrzaskania się z zawodami, potrzebuję rutyny…

Karramba spojrzał na Hankę bystro.

– Kto ci to powiedział? – rzucił.

– Nikt… ja tak sama sobie myślę…

– Nieprawda. Ktoś cię tu nieszczęśliwie napuszcza. Słuchaj, Hanka, ja wiem, co robię. A ty chyba masz do mnie zaufanie?

– No… mam…

– To w porządku. Będziesz startowała dopiero w mistrzostwach Warszawy, nie wcześniej jak za trzy miesiące. I to od razu w kategorii seniorów, słyszysz? A teraz marsz do wody, łap się za dechę i dwieście metrów nogi. No już!

Ciało Hanki zatoczyło śliczny łuk ze słupka do zielonej tafli. Biła nogami miękkie, miarowe battement, a w głowie jej tłukła się jedna, wielka radość. „O raju – furczało w tej głowie. – To ja im pokażę! Trzeba jeszcze zejść poniżej minuty dwadzieścia dwa, którą wydusiłam tydzień temu, a jak popłynę na mistrzostwach!…"

Wszystko odbyło się po myśli i według życzeń Karramby. W mistrzostwach Warszawy Hanka, w obecności swej rodziny, swych przyjaciółek, panny Danuty i jeszcze z górą tysiąca widzów, zwyciężyła bezapelacyjnie i w doskonałym czasie sto metrów stylem dowolnym pań, o trzy długości przed Kopciszewską i Cielątkówną. Karramba pocałował ją w policzek, publiczność łomotała owacje, ojciec i Roman promienieli, mama Klimczak myślała, co tu dać Hani na kolację, aby ją pokrzepić po tym wysiłku, a Basia nawet uroniła coś ze trzy łzy ze wzruszenia. Gazety podały nazajutrz tłustym drukiem imię i nazwisko Hanki, prasa sportowa pisała w tytułach: „Rewelacyjna zawodniczka warszawskiego »Ogniwa«, Hanka Klimczakówna, zdobywa mistrzostwo stolicy!", zaś w szkole panna Danuta i dziewczęta powitały ją oklaskami, przy czym bardziej wylewne ściskały ją mniej lub bardziej szczerze za szyję. Hanka żyła kilkanaście godzin jak we

śnie, była przy tym bardzo wzruszona, ale już w dwa dni później poczuła się znów zagubioną, piętnastoletnią dziewczynką, która nie wie, co począć, a nawet – czego chcieć. Dnia tego bowiem przyszedł na trening znany działacz władz okręgowych związku pływackiego i w obecności Hanki rzekł do Karramby:

– No, Karramba, mam nadzieję, że zgodzisz się na to, że zaczniemy wystawiać Klimczakównę do reprezentacji?

Na to Karramba:

– Nie.

– Jak to? – zdziwił się działacz. – Karramba, chłopie, przecież chyba zezwolisz na jej start w tegorocznych mistrzostwach Polski? To byłaby dla naszych barw duża pomoc i szansa.

A Karramba znów:

– Nie.

– Ale dlaczego?

– Bo nie chcę, abyście zrobili z dziewczyny sezonową gwiazdę. To będzie klasowa zawodniczka… Kiedyś… a jak do tego dojdzie, to moja w tym głowa.

I odesłał Hankę do wody, skąd widziała, jak długo jeszcze Karramba kłócił się z działaczem. W duszy Hanki zaś wrzała wałka. Kto ma rację? Z jednej strony stoi Karramba z sobie tylko wiadomym celem i środkami do tego celu wiodącymi, stary, poczciwy Karramba, któremu zawdzięcza wszystko, który jej nigdy nie zawiódł i któremu jest winna bezgraniczne zaufanie. Z drugiej – wyraźna, dotykalna już sława, cały haszysz szczęścia płynącego z popularności i sukcesów, wiecznie młodzieńcza zuchwałość i wiara w swe młode możliwości, w swoje nabrzmiałe młodością mięśnie i chodzące jak dobry motorek serce. Ta zuchwałość i wiara nie liczy się z niczym, jest w swej istocie bardzo głupiutka i niejednego doprowadziła już do klęski. Biedna Hanka! Myśli stukają w jej głowie jak czcionki maszyny do pisania, a w sercu zmaga się tkliwa przyjaźń do Karramby z zarozumiałością. Tak ją to wszystko zmęczyło, że popruła pięćdziesiątkę pełnym gazem jak

smukły ślizgowiec, aż siedzące nad brzegiem basenu zawodniczki gwizdnęły z podziwu:

– Ale ta Klimczakówna ma zryw! Talencik, nie ma co…

Tuż przed samym zakończeniem zimowego sezon zaszedł wypadek, który zepsuł wiele krwi Karrambie. Wprawdzie wymusił on jeszcze względny spokój wokół Hanki, trenującej pilnie, żmudnie i bez protestu, użerał się z młodocianymi redaktorami przychodzącymi po wywiady i pracował nad Haninymi myślami, nie pozwalając im zbytnio hasać po bezmiarach fantazji – to jednak nieszczęśliwy zbieg okoliczności pokrzyżował wszystko. Miał się właśnie odbyć mecz Warszawa – Wybrzeże, gdy dwie reprezentacyjne zawodniczki zachorowały i związek, pod groźbą kar dyscyplinarnych, nakazał Hance startować. Hanka wygrała łatwo, bijąc dwie rutynowane przeciwniczki z Gdyni, a przy okazji i rekord okręgu. Fotografowano ją w wodzie i po wyjściu z wody ze wszystkich stron, a to co się nazajutrz działo w prasie – to już była sława. Karramba wyglądał w czasie zawodów jak gradowa chmura, Hankę poklepał po ramieniu, ale nic nie powiedział, wyszedł nie pożegnawszy z nikim, natomiast późnym wieczorem spotkałem go w jednym z warszawskich barów. Siedział sam nad szklanką czarnej kawy, ale poznać było, że rozmawiał przedtem długo z alkoholem i że to była smutna rozmowa. Ponieważ znamy się od dawna i bardzo lubimy, Karramba zwierzył mi się:

– Takie już moje szczęście, psiakrew! Znalazłem sobie dziewczynę – złoto, duży talent, powiadam panu, taki, o jakim każdy trener marzy, a jaki tylko raz w życiu znajduje. Sam pan przecież wie, że ja się na tym znam. Chciałem z niej uczynić zawodniczkę najwyższej klasy, taką, z którą moglibyśmy się pokazać na przyszłej olimpiadzie. I tu były możliwości, chociaż droga do takiego poziomu jest ciernista i trudna. Ale ja wiem, jak po niej iść, i o tym, że ja wiem, wiedzą w Polsce inni. Tylko co? U nas w kraju z takimi rzeczami chcą na siłę, żeby już, od razu wyniki, gazety i w rezultacie przewracają zdolnym smarkaczom w głowie. A teraz? Chyba zmarnują dziewczynę i tyle…

Usiłowałem go pocieszać, lecz szło mi to bardzo opornie.

Któregoś wieczoru, wychodząc z treningu na krytej pływalni, Hanka spotkała w hallu owego gwarnego, pełnego młodzieży gmachu – Zuzę. Zuza stała w otoczeniu kilku chłopców; miała na nogach swe zamszowe pantofle o wysokim obcasie i gdy Hanka podeszła bliżej, zauważyła puder na czole, nosie i policzkach Zuzy. Wyglądało to trochę śmiesznie, gdyż właśnie bez pudru twarz Zuzy miała koloryt i świeżość apetycznego jabłka, ale widocznie tak się Zuzie lepiej podobało i uważała pudrowanie za rzecz potrzebną. Zuza chwyciła przechodzącą Hankę za ramię i przedstawiła swym towarzyszom, którzy odnieśli się do niej z dziwną atencją, jeśli wziąć pod uwagę, że Hania miała na sobie tanie buciki, granatowy uczniowski płaszczyk i wyglądała nader mizernie przy bardzo wytwornej Zuzie. Jeden z młodych ludzi, zdobny we wzorzyście kolorowy krawat i ze śladami golenia na siedemnastoletnim obliczu, rzekł:

– A… sławna pływaczka. Znamy panią, znamy i podziwiamy. Tylko dlaczego nie udziela się pani towarzysko?

Hanka spytała, co on rozumie przez towarzyskie udzielanie się, na co pan ów odparł, że ma na myśli wspólne bywanie w kinach, taniec bugi-wugi, względnie sambę i picie lemoniady w stołówce tegoż gmachu, na dole, oraz dał do zrozumienia przy pomocy kilku dowcipnych i swobodnych powiedzonek, że światowcom w jego typie nie obcy jest również alkohol. Hanka porozmawiała jeszcze trochę, odpowiedziała odmownie na wszelkie propozycje w sprawie tak mile zaczętego wieczoru, krępując się – co dużo mówić – swego skromnego ubioru. Inny z młodych ludzi wyciągnął z tylnej kieszeni spodni alpakową papierośnicę, w której tkwiły cztery „Górniki" i zwrócił się do Hanki:

– Pani pali?

Hanka zarumieniła się po rzęsy i odmówiła, wywołując tym pełną finezji uwagę:

– No jasne. Wy, ludzie sportu… Trening i surowy tryb życia.

Natomiast Zuza pełnym dystynkcji ruchem sięgnęła po papierosa i zapaliła, krztusząc się przy tym nieznacznie.

Wracając do domu Hanka rozmyślała intesywnie nad tym, czy rzeczywiście nie udziela się za mało w towarzystwie. Ostatecznie – jest kimś, pisują o niej w gazetach, oklaskują ją, a tymczasem poza pływalnią nikt na nią nie zwraca uwagi. Czyżby to jakiś zastój w jej towarzyskim rozwoju? Zuza i inne koleżanki tak się zmieniły na przestrzeni roku, a ona ciągle jeszcze wygląda jak jakieś szare kacząteczko. To chyba wina tego całego pływania, za dużo mu ona, Hanka, poświęca czasu i pracy. Trzeba rzeczy jakoś zmienić… A na zakończenie pomyślała sobie, że ciekawe jest, co też ludzie widzą w paleniu papierosów, jaką to może sprawiać przyjemność. Trzeba kiedyś spróbować…

W początkach maja Karramba wezwał Hankę do pokoiku trenerów i rzekł:

– Twój start w reprezentacji Warszawy uważam za błąd. Ale trudno, nie odrobimy już tego. Postaram się natomiast o wyrównanie tego błędu w całym systemie letniej zaprawy, jaką dla ciebie przygotowuję. Teraz będziesz miała miesiąc przerwy, zaś w czerwcu przystąpimy do treningu na otwartej pływalni, w godzinach rannych. Aha… – tu przerwał na chwilę i sięgnął do swej szafki, skąd wyjął nieduży pakunek. – A widzisz… dostałem od znajomych z Węgier, damski kostium kąpielowy. Tam robią takie ładne kostiumy. Mnie on na nic, ale pomyślałem sobie, że może tobie zrobi przyjemność, taki kostium. Proszę cię, to dla ciebie…

I dał wzruszonej Hance bardzo piękny i strasznie modny, a zarazem szatańsko szykowny ciemnowiśniowy kostium, ze specjalnego materiału, zwanego teraz lanitexem. Hance aż się gorąco zrobiło z radości na myśl, jak w tym kostiumie będzie wyglądać i jak podziw wzbudzi w koleżankach. Chciała podziękować bardzo serdecznie Karrambie i powiedzieć mu, za jak dobrego go uważa przyjaciela, lecz nie mogła znaleźć od razu odpowiednich słów, a Karramba wyszedł na pływalnię i krzyczał coś tam do trenujących zawodników.

W domu Hanka przymierzyła kostium i z radością stwierdziła, że opina on ciasno i zgrabnie jej dziewczęcą figurkę. Natomiast pani Klimczakowa, asystująca przy tej przymiarce rzekła nie bez zadumy i niepokoju:

– Aleś ty się rozwinęła przez ten rok, dziewczyno… toż to cała panna na wydaniu…

Rzeczywiście, ten rok intensywnej i mądrze kierowanej regularnej zaprawy sportowej zaznaczył się wyraźnie na sylwetce Hanki. Jej szczupłe dziewczęce ramiona nabrały krągłości i siły, rozrosła się i rozwinęła w plecach, a nade wszystko jej długie, dotąd tak chude nogi zarysowały się wreszcie prześlicznie smukłe, wygładzone wodą i ćwiczeniami. Nie tracąc nic ze swej młodzieńczej wiotkości podlotka, figura Hanki nabrała cech zgrabnej i silnej postawności. W nowym kostiumie Hania przypominała udany bardzo posążek, wymodelowany ręką jakiegoś radosnego rzeźbiarza, i wcale nie należy się dziwić, że w westchnieniu pani Klimczakowej znalazły się akcenty niespokojnej melancholii.

Maj tego roku był wyjątkowo piękny, toteż skoro tylko otwarto pływalnię Legii, Hanka spędzała tam właśnie wszystkie swe wolne chwile. Wprawdzie kończył się rok szkolny i było trochę kłopotów z lekcjami, lecz Hanka była dobrą uczennicą i przejście jej do następnej klasy nie ulegało wątpliwości. Przychodziła więc na pływalnię po południu, a już we wszystkie niedziele i święta demonstrowała obowiązkowo swój nowy kostium bywalcom „Legii". Z zaciekawieniem i nie bez zupełnie dla niej nowego uczucia satysfakcji uświadomiła sobie kiedyś, że ściąga na siebie spojrzenia osobników płci odmiennej i to nie tylko chłopców w jej wieku czy trochę starszych, ale i takich panów, którzy jeszcze w zeszłym roku, a może nawet i dziś – gdyby ją ujrzeli w ubraniu na ulicy czy w tramwaju – nie zwróciliby na nią najmniejszej uwagi albo mówiliby do niej per: „panienko! niech panienka…" Spojrzenia te niepokoiły ją nieco, chociaż nie potrafiłaby sobie wytłumaczyć dlaczego, a jednocześnie sprawiały jej wyraźną przyjemność. Jeśli zaś chodzi o koleżanki, to te, z Zuzą na czele oświadczyły, że kostium

jest wprawdzie ładny, ale już niemodny, że takie nosiło się w zeszłym roku o czym one, koleżanki, już na pewno dobrze wiedzą.

Wokół Hanki, Zuzy i jeszcze kilku koleżanek gromadziło się zawsze wielu chłopców. Dawni znajomi z ulcy Belwederskiej, z Witkiem Ciepuszyńskim na czele przedstawiali dziewczętom coraz to nowych kolegów, następowała wymiana ukłonów podczas przygodnych spotkań, a po przybyciu na pływalnię szło się od razu na ulubione miejsce, na trybuny nie opodal wieży, i pewnym się było spotkania innych znajomych. Do już obecnych mawiało się wtedy: „Kto jest ze znajomych?" i w ten sposób powstawało towarzystwo, swoja paczka czy jak tam to chcecie nazwać, bo dobrze wiecie, o co chodzi, i sami przynależycie do podobnych paczek. Gdy tak leżeli i siedzieli w słońcu młodzi, zdrowi, opaleni chłopcy i dziewczęta w kolorowych kostiumach i czepkach na spłowiałych od słońca i wody włosach, o brązowych nadętych siłą i młodością ramionach i szczupłych brzuchach, gdy flirtowali, gwarzyli i spierali się, roześmiani i krzykliwi, puszący się i nadymający kandydaci na rekordzistów i waterpolistów – gdy tak to właśnie wszystko czynili – wyglądali na doroślejszych, niż byli w istocie. Dopiero ubrani w swe szkolne mundurki, harcerskie koszule czy skromniutkie, zdobne taniutkimi efektami sukienki – wracali do swego właściwego, bardzo jeszcze smarkatego wymiaru.

Do dalszych, urzekających swą nowością doznań, jakie przynosiła Hani ta wiosna na pływalni, należało następujące odkrycie: jak dotąd, od czasu kiedy znalazła się w towarzystwie, chłopcom imponowała przede wszystkim jej sportowa kariera. W rozmowach z nią, prowadzonych najbardziej światowym tonem, nie przestawali rozprawiać o pływaniu, startach, czasach, a komplementy, które jej prawili, były komplementami natury sportowej. Smuciło ją to nieco, gdy spostrzegła, jak sprawy stoją, i chociaż nie formowała takich nastroików w określone wnioski, to jednak bolało ją w głębi młodej duszy, że niejasne nadzieje związane z rewelacyjnym kostiumem, nie spełniają się jakoś. Tymczasem, sama nie wiedząc kiedy, Hania skonstatowała, że chłopcy coraz mniej mówią o pływaniu, natomiast

coraz mocniej interesują się jej gustami w dziedzinie rozrywek towarzyskich, coraz częściej napominają o tym, że Hanka ma ładne oczy, a już naprawdę bardzo ładne nogi. Zaś ze zjawieniem się Tadeusza Hanka zrozumiała wyraźnie, że strasznie chce, aby w ten sposób właśnie o niej mówiono, a nie o jakichś tam głupich 1:20,3, które zrobiła na sto metrów crawlem. Tadzio pojawił się jak tylu innych, jako jeden z kolegów niezliczonych kolegów, ale od chwili poznania nie interesował się w najmniejszym stopniu sławą Hanki, natomiast opowiedział jej szereg najważniejszych rzeczy o sobie. Hania dowiedziała się więc, że Tadeusz ma lat 18, robi w tym roku maturę, do której jest dobrze przygotowany i nic a nic nie boi się żadnych niespodzianek, po maturze zaś wybiera się na architekturę, albowiem uwielbia rysować ładne rzeczy, a nade wszystko jasne, wesołe domy. W kilku rozmowach na brzegu basenu Tadzio odsłonił przed Hanią w pasjonującym stylu, cały ogromny świat fasad gmachów i elewacji, obok którego przechodziła przez tyle lat, lecz o którym nie miała zielonego pojęcia. Słuchała go tedy, pochłonięta wartkim potokiem wymowy Tadzika, a że zdawała sobie przy tymi dokładnie sprawę, iż oczy jego mają przyjemny, szary kolor, szczupła twarz pod falą miękkich, jasnych włosów jest miła i ładna, zaś jego klatka piersiowa przypomina brązowe, kute w miedzi tarcze – po paru takich dniach pojęła, że jest po raz pierwszy w życiu zakochana. Odtąd zamyślała się w szkole, wtapiając oczy w ćwiartkę błękitnego nieba za oknem, określała Tadeusza w swych marzeniach przymiotnikami: „cudny", „wspaniały" (podczas gdy dotąd znajomi chłopcy byli dla niej ładni, brzydcy, komiczni lub nudni), po obiedzie zaś biegła na pływalnię, gdzie od wejścia z niepokojem wypatrywała jego sylwetki. Potem okazało się, że Tadeusz mieszka na Mokotowie i że mogą wracać razem do domu, znaleźli sobie śliczną drogę, dołem, Łazienkami, aż do ulicy Podchorążych. Te powrotne spacery po godzinie ósmej wieczór, wśród soczystej, wzbierającej, łazienkowskiej zieleni, w prześlicznym, złoto-niebiesko-rozedrganym powietrzu, miały w sobie tyle romantycznego czaru, że oboje, Hanka i Tadzio, wyczuwali, iż dzieją się w ich życiu jakieś rzeczy bardzo ładne

i zupełnie niepowtarzalne. Wreszcie pewnego wieczoru w pustej alejce, pod lepkim od wiosny kasztanem, Tadeusz postanowił pocałować Hanię. Nie udało mu się nie dlatego, że Hania nie chciała, lecz z tej przyczyny, że nie wiedziała, jak to się robi. Tadzio machnął ręką i powiedział na pół z żalem, a na pół z życzliwym zadowoleniem:

– Ale z ciebie jeszcze szczeniak, Hanka!…

Po czym powtórzył sobie w duchu swoją młodą, lecz bardzo dojrzałą zasadę, polegającą na unikaniu kłopotów płynących ze znajomości ze zbyt młodymi dziewczętami, oraz przypomniał sobie trzy rozdziały nauki o Polsce współczesnej, których jeszcze nie umiał, a z których mogą go niebawem ostro pytać egzaminie. Wziął więc Hankę czule za rękę i doprowadził do domu, w którym Hania, przed zaśnieciem, wylała kilka całkiem miłych zresztą, łez w poduszkę na wspomnienie, jaką się musiała wtedy, tam pod kasztanem, wydać Tadeuszowi dziecinną i niezgrabną. W najbliższą sobotę sprawy te wyjaśniły się jednak daleko lepiej. Cała paczka, wraz z Tadeuszem i Hanką, postanowiła udać się po pływalni na wieczór taneczny w jednej z zaprzyjaźnionych świetlic, okazało się tam, że w oczach Tadeusza Hania może posiadać inne niepowszednie uroki. Tadzio lubił tańczyć, zaś Hanka tańczyła znakomicie. Otóż faktem jest, że Hanka tańczyła jak dotąd bardzo rzadko i nie była wyspecjalizowana w modnych dziś pląsach, w sambie czy bugi-wugi, tym niemniej innym, równie bezspornym faktem był wdzięk i płynność ruchów Hanki, owa melodyjność chodu i poruszeń, którą albo kobieta ma od urodzenia, albo której nie ma i nigdy nie zdobędzie ani się wyuczy. Cała figurka Hani emanowała tą wrodzoną, miękką zgrabnością, która w tańcu dawała wspaniałe rezultaty i która oczarowała Tadeusza. Pod koniec wieczoru, po kilku godzinach nauki, Hania tańczyła bugi-wugi jak Murzynka z Nowego Orleanu, a sambę – jak rodowita, córa wyspy Kuby. W obliczu tego zjawiska rozentuzjowani znajomi, z Tadziem na czele, zaraz nazajutrz, w niedzielę, zaprosili Hanię do pewnej kawiarni, w której na pięterku, na dużej antresoli, tańczono już od wczesnego popołudnia, i w ten sposób Hanka znalazła się po raz pierwszy

w życiu w lokalu rozrywkowym. Panowie zamówili z gestem kilka butelek piwa i lemoniady u patrzącego na nich z odrazą kelnera oraz zakupili dwa pudełka papierosów, wszyscy palili, nie wyłączając dziewcząt, co wywołało w Hani przekonanie, że dla prestiżu własnego i całego towarzystwa musi także zapalić. Dało to asumpt do wesołej nauki zaciągania się dymem tytoniowym, wreszcie Hanka zaciągnęła się prawidłowo po raz pierwszy w życiu i doznała leciutkiego zawrotu głowy, wcale nie nieprzyjemnego, ani mdlącego. Tadzio tańczył niemal bez przerwy z Hanią, i to bardzo ostentacyjnie, tak że reszta towarzystwa zaczęła ich uważać za parę. Było to o tyle nieścisłe, że Tadeusz ciągle się jeszcze zastanawiał i miotany był sprzecznymi pragnieniami; to wydawało mu się, że Hania jest świetnym narybkiem i że należy ją sobie wychować, to znów dochodził do wniosku, że nie warto zajmować się taką smarkulą, co to tylko dobrze tańczy i nic więcej. Jeśli zaś chodzi o Hankę, to ta, tańcząc tango „Przybądź do mnie, dam ci kwiat paproci…", upewniała się w myśli, że jej miłość do Tadzia nie jest wcale mniejsza ani inna, niż miłość bohaterki pewnego filmu, który niedawno widziała, do bohatera tegoż filmu, który z kolei kochał bohaterkę, jak zapewne Tadzio kocha ją, chociaż nic na ten temat dotąd nie mówił. Tymczasem, jak Tadzio ją kocha, czy, mógłby kochać, Hania dowiedziała się w szkole z ust Zuzy, która rzekła jej nazajutrz nie bez lekceważenia:

– Ty, Hanka, uważaj na tego Tadka, bo to jest okropny cwaniak. Na pewno cię kręcił tym rysowaniem domów, a w gruncie rzeczy to on ma zupełnie coś innego w głowie…

Z dalszych wynurzeń Zuzy wynikały rewelacje, które zdruzgotały Hankę, ale okazały się nagą i bolesną prawdą, gdy w kilka dni później Hania spotkała Tadzia na pływalni w towarzystwie bardzo wymalowanej dziewczyny o wydatnie zarysowanych wdziękach i dwuznacznej reputacji. Tadzio ukłonił się Hance bardzo pięknie, lecz nie bez uśmiechu wyższości. W ten sposób życie wymierzyło Hance pierwszy poważny cios. Hanka wyszła z pływalni i poszła do Łazienek. Po drodze, za jakimś niewytłumaczalnym podszeptem, kupiła pudełko papierosów, po czym

usiadła pod znajomym kasztanem i wypaliła dwie sztuki. Papierosy sprawiły jej podwójną przyjemność: smakowały jej i drapowały ją niezwykle interesująco w jej nowej roli zdradzonej, porzuconej i cierpiącej kobiety. Potem schowała je dobrze, wypiła w budce szklankę wody sodowej, płucząc nią długo usta, i poszła do domu. Nazajutrz, na pływalni, oświadczyła Witkowi Ciepuszyńskiemu, który jej się najmniej ze wszystkich podobał, że ma ochotę pójść potańczyć i że gotowa jest partycypować w kosztach piwa i lemoniady. Witek odniósł się do tej propozycji z zapałem, zmontował szybko towarzystwo i wszyscy udali się do owej kawiarni na pięterku, gdzie można było tańczyć, ile się chciało. Był tam Tadzio ze swoją nową wybraną i aczkolwiek Hania szalała, gięła się w najwymyślniejszy sposób i zachwycała wszystkich, Tadeusz zdawał się nie zwracać na nią uwagi. Hanka połknęła kilka łez i niebawem doszła do wniosku, że taniec sam w sobie też jest wielką przyjemnością. Odtąd całe towarzystwo wraz z Hanką przychodziło tu niemal codziennie. Szczęściem rok szkolny się skończył, a Hanka przeszła do następnej klasy, zdobywając sobie spokój w domu, a nawet pochwały pewnych nauczycieli.

Przez cały ten okres czasu Karramba bywał na „Legii", ale nieregularnie. Zajęty był sprawami klubowymi i związkowymi, odbywał jakieś konferencje, załatwiał jakąś robotę teoretyczną, jak mawiał. Były jednak dnie, kiedy leżał na słońcu albo wskakiwał do wody, gdzie lubił od czasu do czasu kłębić się w waterpolowych pojedynkach z innymi entuzjastami piłki wodnej. Z Hanką rozmawiał kilka razy, śmiał się i żartował, pilnie zaś obserwował ją z daleka i wiedział o niej niemal wszystko. Było to o tyle zrozumiałe, że niejaki Tłamczyk, wysoki i chudy kąpielowy o smutnej twarzy, który dzierżył swój urząd od chwili powstania pływalni, był starym totumfackimi Karramby i odpowiednio przezeń nastawiony – dawał baczenie na każdy krok Hanki.

W przeddzień owego umówionego terminu, w którym Hanka miała podjąć treningi z Karrambą, tańczyła ona długo i zapamiętale. Zasmakowała

w tańcu; to było takie przyjemne, a także schlebiające jej próżności, teraz, gdy nawet bardzo wytworni panowiej podchodzili prosić ją od stolika, przy czym nawet jej młodzi towarzysze zdawali się być mile pogłaskani powodzeniem ich partnerki. Trening miał się rozpocząć o wpół do dziewiątej, lecz Hanka przyszła dopiero piętnaście po dziewiątej. Przyszła, albo przybiegła raczej, gdyż głupio jej było trochę wobec Karramby, który siedział na słupku startowym i czekał na nią czytając książkę. Ranek był śliczny, kolorowy, świeży, lecz trochę chłodny; Hanka rozebrała się szybko, narzuciła petkę na stary treningowy kostium i podeszła do Karramby.

– Aha – podniósł na nią swe spokojne, wszystko widzące oczy, ten Karramba. – Jesteś. Spóźniłaś się.

– Wie pan – zaczęła szybko Hanka – to tak, że ja wczoraj byłam u znajomych… Tańczyło się, było wspaniale, a dzisiaj zaspałam. Ale to się nie powtórzy.

– Nie wiem, czy się nie powtórzy – uśmiechnął się Karramba – nie jestem taki pewny. Zmieniłaś się trochę, Hanka, co? Wyglądasz na zmęczoną. Pod oczami takie sińce…

– Co też pan opowiada, Karramba? Dlaczego miałam się zmienić? Wszystko jest po dawnemu. Zaczynamy od dzisiaj i wydaje mi się, że będzie pan ze mnie zadowolony.

– Być może. Jak rzucisz palenie.

Hanka stanęła w pąsach. Zrobiło jej się gorąco i bardzo niewyraźnie. Była przekonana, że te kilkanaście papierosów, jakie dotąd w ogóle wypaliła, są dobrze zamaskowaną tajemnicą. Na pływalni nigdy nie pozwoliła sobie na palenie i tylko w owej kawiarni paliła parę razy. A tu, ten straszny Karramba.

– Słuchaj, Hanka – kontynuował trener wobec jej milczenia, patrząc na nią spod oka – mnie to twoje palenie nic by nie obchodziło, gdyby nie prawa skutecznego treningu. Jestem twoim przyjacielem i twoje tajemnice są moimi tajemnicami; twojej matce nigdy bym słowa nie pisnął. Ale nie możesz trenować do wyczynu na wielką skalę i jednocześnie palić papierosy,

bo jedno z drugim nie godzi się. Tak samo z tym dancingiem, a nawet jeszcze gorzej. Możesz sobie zatańczyć od czasu do czasu, owszem, proszę bardzo, ale musisz skończyć z tym codziennym hopsaniem. To gorsze od palenia, nawet nie obejrzysz się, kiedy mięśnie tak ci zwiotczeją, a oddech tak straci regularność, że nawet 400 metrów niej przepłyniesz bez zadyszki. A już największe szczęście, że ten kozaczek, co się przy tobie kręcił, blondyn, jak mu tam było?…

– Tadek… – szepnęła Hanka.

– Właśnie… Tadek… szczęście, że on się od ciebie odczepił. Oj, Hanka, Hanka… Uderzyła ci trochę woda sodowa do głowy i jeżeli chcesz dalej pływać, jak należy, to musisz ją stamtąd wypompować. No więc jak?

W odpowiedzi na to Hanka wolnym ruchem ściągnęła petkę, stanęła na słupku i wskoczyła do wody. Woda była strasznie zimna, ale Hania uczyniła kilka gwałtownych ruchów, miotała się przez chwilę jak smukłe zwierzątko w czarnozielonawej toni, podpłynęła do nawrotu, uniosła zaczerwienioną, świeżą i trochę skruszoną twarz w górę i zawołała:

– Karramba! Ja tak strasznie pana lubię! Niech mi pan przebaczy i proszę znów zacząć na mnie krzyczeć… Jestem gotowa.

– No to wal, Haneczko, 400 metrów ręce-nogi… – i uśmiechnął się Karramba, lecz był to uśmiech nieufny i pełen troski. Zresztą słusznie. Po 120 metrach Hanka poczuła się bardzo zmęczona i przerwała. Niebawem też wyszła z wody. Karramba był bardzo zafrasowany, lecz nie dał nic po sobie poznać.

Przez kilka następnych treningów Hanka wydawała się podciągać w oczach; była posłuszna i utemperowała nieco swój tryb życia. Na treningi przychodziła punktualnie, to prawda; wszystko wskazywało na to, że coś tam zakiełkowało jej w główce po przemowie Karramby. Ale Karramba był niezadowolony, nieco smutny i zamyślał się ciągle. To był głęboki i wytrawny znawca, ten Karramba, i powody smutku były tylko jemu wiadome, jemu – specjaliście, który zęby zjadł na pływaniu. Bo tak na oko to nie działo się źle. Hanka trenowała regularnie i czasy jej, osiągane na treningach, były wcale-

wcale. Można było nawet powiedzieć, że czyniła postępy, a w jednym z pism sportowych, w rubryce pod tytułem: „Co robią nasi pływacy?", pojawiały się co pewien czas notatki, kreślące pracę Hanki w superlatywach, że skromna, że pilna, że sumienna, że pracowita, że systematyczna, że można się po niej dużo spodziewać. Ale tylko Hanka wiedziała, co ją kosztują te pochwały, bowiem zdobywała je wielkim wysiłkiem woli, zaś jedynie młodość Hanki, ta jej najpierwsza młodość i płynąca z niej siła, była przyczyną, że nikt nie orientował się, jakim nakładem fizycznego wysiłku opłacała swą regularność i postępy w treningu. Czy nikt? Chyba nie, Karramba wiedział i widział. Karramba spotykał się już z takimi przypadkami w swym trenerskim doświadczeniu i słusznie oceniał stan rzeczy, znajdujący swe uzasadnienie w fakcie, że Hanka nie przestała tańczyć ani palić. Lecz Hanka także zawzięła się, lubiła serdecznie Karrambę, była uczciwą i lojalną dziewczyną i nie chciała mu robić przykrości, a już bynajmniej nie chciała rezygnować ze swej sportowej kariery. Z drugiej strony nic przecież Karrambie nie przyrzekała. Rozmyślała dużo o tych sprzecznościach jej młodego życia i doszła do rewelacyjnego wniosku, że można je pogodzić, że można bawić się, tańczyć i palić od czasu do czasu, a jednocześnie trenować usilnie i osiągać sukcesy w pływaniu. Robiła więc to wszystko naraz, nie przypuszczając nawet, w jak błyskawicznym tempie zdziera swe młode siły. Przecież ma talent! O, pierwsze w życiu nałogi i namiętności! Jakże trudno was zwalczać, gdy ma się szesnasty rok życia, i nawet rozum jest jeszcze po waszej stronie… A oto sport, ów wspaniały katalizator współczesnej młodości, jest w stanie wykazać, kto z was, młodych, nosi w sobie wielkie życiowe wartości i kto z was przejdzie z honorem, chociaż w trudzie i walce z samym sobą, najcięższą próbę progu życia. O tym właśnie wiedział Karramba, o tym nic nie wiedziała Hanka.

Pomiędzy Karrambą i mamą Klimczak stanął układ, że Hanka pojedzie dopiero w sierpniu na wakacje, cały zaś lipiec spędzi w Warszawie, trenując pod opieką Karramby. Tak się też stało i pod koniec lipca Karramba był już

nawet trochę lepszej myśli, gdy oto otrzymał oficjalne pismo z sekretariatu klubu, z którego dowiedział się, że Hanka została wystawiona do reprezentacji na zbliżające się mistrzostwa Polski. Pismo zredagowane było oschle i kategorycznie, stanowiło jaskrawe zaprzeczenie zwyczajów panujących w warszawskim światku pływackim i w ogóle wyglądało tak, jakby panowie ze związku chcieli uniknąć jakichkolwiek rozmów, narad, dyskusji i kłótni z Karrambą. Polecenie, zarządzenie i basta. Karramba zmiął pismo w ręku, pociemniał tylko bardziej na opalonej twarzy i uśmiechnął się złym uśmiechem. Ale nie powiedział nic, co zaś dziwniejsze – spotkawszy tego dnia działaczy z władz okręgowych – nawet nie wspomniał o sprawie Hanki. Jednocześnie ukazał się w prasie sportowej sążnisty artykuł, w którym wyno- szono pod niebiosa Karrambę, chwalono go i chwalono się nim, że niby najlepszy trener pływacki Polski, a jeden z lepszych w Europie – co nie było zresztą dalekie od prawdy. Na samym końcu tego artykułu wspomniano mimochodem, że Karramba przygotowuje obecnie do mistrzostw Polski rewelacyjną zawodniczkę warszawską, Hankę Klimczakównę, która, według dotychczasowych obserwacji, powinna odegrać w mistrzostwach sensacyjną rolę. I tyle. Karramba tym razem nie zmiął gazety i nie cisnął do kosza, lecz wygładził ją starannie i schował do kieszeni. Po czym udał się do sekretariatu związku, gdzie zrobił piekielną awanturę. Darł się tam, bijąc pięścią w stół, że on ma dosyć, że rzuca do jasnej grypy tę całą zabawę, że on nie będzie sobie nerwów zrywać, aby coś tu zrobić, podczas gdy inni, niby też fachowcy, będą mu tu w najgłupszy sposób bruździć, że nawet jeśli oni, ci ze związku, myślą, iż zrywają już dojrzałe, przez innych wyhodowane jabłko, to mylą się grubo, gdyż jabłko jeszcze wcale niedojrzałe i tylko naiwniacy lub laicy mogą dać się wprowadzić w błąd pozorami dojrzałości. Ale okazało się, że w związku też nie siedzą sami w ciemię bici, bo oto podniósł się pewien wielki, zwalisty inżynier, stary działacz pływacki a ongiś doskonały waterpolista, obecnie zaś ceniony sędzia, który rzekł:

– Ty, Karramba, przestań tutaj rozrabiać. Taka zapadła decyzja i koniec. Natomiast jeśli masz trochę czasu, to chodź ze mną na kawę i porozmawiamy rozsądnie.

W kawiarni przy stoliku sędzia powiedział:

– Widzisz, Karramba, ta twoja Hanka to talent, nie ma co, wszyscy się na to zgadzamy i wiemy, że tylko twoje oko może w czternastoletniej smarkuli takie możliwości odnaleźć, a tylko twoja ręka może w rok czasu tak dziewczynę oszlifować, że gazety tracą głowę. Znamy cię przecież wszyscy i wiemy, co jesteś wart. Wiemy także, że te rezultaty, jakich się spodziewasz wychowując tę Kłimczak na rekordzistkę i olimpijkę, wymagają długofalowej polityki, odrzucenia wszelkiego pośpiechu i usilnej pracy w spokoju. Bez startów, bez doraźnych sukcesów, bez rozgłosu. Znalazłeś złote jabłko, dziewczynę jedną na milion i widzisz to dobrze, zdajesz sobie z tego sprawę; jesteś jak stara mądra kaczka – jak widać, inżynier lubił barwne porównania i uprawiał metaforę artystyczną – która nie chce pozwolić, aby kacząteko nauczyło się zbyt wcześnie latać, gdyż to jest złe i grozi katastrofą. Ty, stary i nieporównany wyjadacz, dostrzegasz niebezpieczeństwo, którego większość, rzecz jasna, nie dostrzega, ale zapominasz, że są jeszcze inni, którzy też znają się na rzeczy. Ci faceci, którzy przedwczoraj gardłowali za tym, żeby Klimczakównę wystawić, powoływali się na poziom, konieczność wykazania się osiągnięciami, niezamykanie drogi talentom i atakowali szamańskie praktyki trenerów, mając na myśli ciebie. To były, oczywiście, nonsensy i faceci dysponowali skalą widzenia nie dalej własnego nosa. Tym niemniej ja i Grumkiewicz, a także Szpulko, poparliśmy ich, a przecież do nas masz chyba zaufanie? Słuchaj, Karramba, czy ty się przypadkiem trochę nie łudzisz, bo widzę, że przepadasz za tą dziewczyną? Ta twoja Hanka to cacy-cacy, ale zapytaj kelnerów w „Góralskiej", ile razy tygodniowo i po ile godzin ona tam skacze w tym bugi-wugi… Oni ci powiedzą. Ty sam zaś wiesz, że jak taka pestka tak wcześnie zaczyna, to już nie to… Pojedzie na mistrzostwa i przegra, nie zaprzeczaj, dobrze wiesz, że tak będzie i w tym tkwi sedno rzeczy, ażeby

zobaczyć, jak ona przyjmie przegraną. Od tego wszystkiego zależy i to tylko może wszystko uratować. Widzieliśmy już takie numery w naszym życiu, co? Karramba, stary koniu?… Taka klęska czasami stawia na nogi i dlatego ja głosowałem za tym, żeby ci napisać ten list, no, wiesz który?…

– To było świństwo… – szepnął Karramba przekonany, lecz jeszcze pełen żalu.

– Za takie świństwa czasami się bardzo dziękuje… – szepnął inżynier i zamyślił się nad własną młodością.

Z wyjazdu na wakacje nie wyszło nic, a pani Klimczak nawet nie protestowała. Domem Klimczaków rządziło pływanie, pływanie stanowiło temat rozmów przy posiłkach, zaś najmniejsza wzmianka o starcie Hanki w mistrzostwach przyprawiała o bicie serca Klimczaków seniora i juniora. Hanka tymczasem trenowała jak szalona, rzuciła na dobre tańczenie i towarzystwo, zapomniała nawet o papierosach i niejakim Zbyszku, który był jej ostatnią sympatią i doskonałym partnerem w choreografii. Koniec lipca i pierwsza połowa sierpnia upłynęły na tak intensywnej zaprawie, że sam Karramba chciał popuścić nieco, ale, o dziwo, Hanka zaprotestowała jak najostrzej. Postanowiła zostać mistrzynią Polski i pobić rekord na swym dystansie. Gdy powiedziała to Karrambie, ten uśmiechnął się tylko, lecz gdy nazajutrz przepłynęła sto metrów w 1:16,1 – stoper wypadł mu niemal z ręki. W duszy Karramby zawirowało tornado sprzecznych uczuć i myśli. A co będzie, jeśli Hanka wygra? Wtedy będzie źle. Znał już dobrze tę swoją wychowankę i oczami wyobraźni widział jej fochy jako mistrzyni Polski, jej popularność w kołach młodzieży, jej zarozumiałość, która wyrośnie jak ciasto na pysznych drożdżach sukcesu i sławy, jej skłonność do opuszczania się w pracy, która w oparciu o sytą próżność może zawalić wszystko. Widział także jej szczerą skruchę po reprymendach, skruchę płynącą z prawego charakteru, lecz cóż taka skrucha pomaga? Żałuje się, a potem robi się takie same głupstwa. Z drugiej strony, czy przegrana po takim wysiłku i nakładzie pracy nie załamie Hanki, nie rozgoryczy jej i nie rozczaruje?… Biedny

Karramba. Na razie to on chodził złamany, robiąc dobrą minę do złej gry i dziwiąc się esom-floresom, jakie wyczynia z nim życie, gdy stwierdził na dalszych treningach, że Hanka nie jest w stanie powtórzyć tego doskonałego wyniku i że właściwie on, Karramba, z tego się cieszy, że to 1:16,1 to był zryw, jednorazowy wysiłek, rezultat ambicji i młodych sił, a nie konsekwentny wynik zaprawy, żelazna i nie do wydarcia pozycja. I to rozumowanie, pożal się, Boże, cieszyło Karrambę, bo dawało pewne nadzieje na przyszłość…

Pierwsze sekundy po skoku startowym nie zdawały się usprawiedliwiać gorzkiego zadowolenia Karramby, gdyż Hanka pruła naprzód jak torpeda, a publiczność rozdarła się wielkim krzykiem i wstała z miejsc. Ale zaraz. Muszę to opowiedzieć dokładniej od początku, gdyż byłem w Bielsku na tych mistrzostwach i wszystko sam widziałem.

Podróż, ekipa reprezentacyjna, śmiechy i żarty w specjalnie zarezerwowanym wagonie – jednym słowem: pierwszy w życiu wyjazd w reprezentacji – już to wszystko oszołomiło i przygasiło nieco Hankę. Wprawdzie koledzy-zawodnicy i koleżanki-zawodniczki byli jej doskonale znani, to jednak walizki z nalepkami hoteli, kłęby pary na peronie, poważni panowie w wagonie restauracyjnym, cały ów posmak światowości i wagi każdej chwili, jaki dają dalekobieżne pociągi, zmniejszył ją do właściwego jej wymiaru kilkunastoletniej dziewczynki. Trzymała się nieopodal Karramby, w przedziale oparła głowę o jego ramię, zdrzemnęła się i wyglądała bardzo niepozornie. Nazajutrz, na pięknej, obszernej i bogato udekorowanie flagami pływalni bielskiej, wobec szczelnie wypełnionych publicznością trybun, Hanka poczuła się jeszcze niepokaźniej. Znów była nieśmiałym podlotkiem, czyli sobą, to znaczy kimś takim, kogo zagubiła przed kilku miesiącami. Nie pomógł ani wspaniały dres reprezentacyjny Warszawy, żółty, zdobny w czerwoną Syrenę na piersiach, nie pomógł piękny płaszcz kąpielowy, jaki narzucono na nią po prezentacji zawodników; Hanka snuła się za Karrambą, który miał pełne ręce roboty jako trener i dusza warszawskiej ekipy i zajęty

był nieustannymi targami o tory, o kolejność startów i o inne rzeczy od strony pływackiej kuchni. Hanka przysiadła sobie w kącie żelaznego ogrodzenia i obserwowała otoczenie, a im więcej obserwowała, tym bardziej czuła się zagubiona i speszona. Był to wspaniały i radosny zarazem widok, ta rozłożysta szmaragdowa pływalnia w kotlinie śląskiego Beskidu, w ramach betonu i we wdzięcznych skrętach żelaznych opłotów, obwarowana rzędami głów ludzkich i szczytami górskimi na dalszym tle, naszpikowana kolorowymi sylwetkami zawodników w barwnych petkach i kostiumach, nakryta złoto-błękitnym kloszem z nieba i słońca – widok wesoły, lecz bynajmniej nie ośmielający. Gdy zaś speaker, obwieszczający porządek biegów i listę startujących zawodników, wywołał jej nazwisko tu, pośród tych tłumów i tego nastroju, rzucił ją, Hankę Klimczakównę, w sam środek ważnego łańcucha wydarzeń, którymi interesuje się cała Polska – Hania poczuła szybkie, przyśpieszone bicie serca. „Niedobrze – pomyślała z niepokojem – nie wolno mi się denerwować. Ja przecież chcę wygrać. Muszę. Muszę! Trzeba się opanować…" Wstała, rozejrzała się niepewnie i poszła w stronę szatni. Zaciekawiło mnie to. Przedtem też obserwowałem Hankę, lecz dopiero teraz, gdy uświadomiłem sobie, że wygląda jak spłoszone zwierzątko, postanowiłem nie spuszczać jej z oka. Podszedłem do damskiej szatni – Hania znikała właśnie w jednej z kabin. Już, chciałem odejść, gdy pewien drobny szczegół przykuł mą uwagę. Z wentylatora kabiny dobywał się niebieskawym kłębem papierosowy dym.

Wróciłem na miejsce obok słupków startowych, tam gdzie stał sprawozdawca radiowy i strasznie się miotał.

– Teraz płyną, proszę państwa, ostatnią setkę z tych czterystu metrów! – krzyczał do mikrofonu. – Oooo, jaki nawrót! Ten Pulpikowski, proszę państwa, płynie jak maszyna! Rekord Polski, proszę państwa, wisi na włosku!

Był on bardzo emfatyczny, ten sprawozdawca, gdyż jakkolwiek Pulpikowski płynął bardzo ładnie, reszta stawki również, a publiczność bardzo krzyczała, to jednak były to dopiero eliminacje i rekord wcale jeszcze

nie wisiał na włosku, lecz na bardzo grubym sznurze. Po tym biegu startowały kobiety, potem znów mężczyźni i jeszcze raz mężczyźni. W tym czasie zauważyłem, że Hanka wróciła z szatni i usiadła pomiędzy zawodnikami Warszawy. Wreszcie speaker zapowiedział eliminacje w konkurencji 100 metrów stylem dowolnym pań. Zbliżyłem się do słupka nr 3, z którego miała startować Hanka.

Hanka zrzuciła płaszcz kąpielowy na ręce Karramby i podeszła do stolika sędziowskiego, aby się zameldować. Prosta, strzelista, smukła w lekkim, obcisłym kostiumie zawodniczym czarnego koloru wyglądała jak figurynka ze starego, cennego brązu. Była blada, jeszcze mocniej pobladła jej lekko pokryta piegami nasada noska, gięła nerwowo palce. W chwili, gdy mówiła ostatnie słowa do Karramby, Karramba zdobył się na jasny, szczery, bardzo kochany uśmiech.

– Płyń, Hanka, z całego serca i z całych sił, a zobaczysz, wszystko będzie dobrze – powiedział do niej i klepał ją czule po gołych plecach. Hanka stanęła przy swoim słupku. Przy innych stanęły dwie krępe, mocno zbudowane Ślązaczki, grubo starsze od Hanki. Wysoka, silna, dwudziestoletnia Poznanianka, pulchna jak pulpet Krakowianka z czerwoną buzią i bardzo chuda zawodniczka z Łodzi, nazwiskiem Lirt. Starter zapowiedział:

– Sto metrów stylem dowolnym, dwa baseny, tam i z powrotem. Na miejsca…

Dziewczęta wstąpiły na słupki.

– Gotowy… Gwizdek. Poooszły!…

Hanka jakby zapaliła silnik odrzutowy u swych stóp, bijących błyskawiczne, skotłowane battement. Od pierwszego ułamka sekundy wszyscy poczuli, że coś się w tym biegu będzie dziać, coś innego niż zwykle, coś niezwykłego. Publiczność, jak już napisałem, poderwała się z miejsc i rozpoczęła doping, zaś Karramba, a ja za nim, przypadliśmy do ziemi, do słupka, jadąc spojrzeniem za sunącym po wodzie jak torpeda, kształtem Hanki.

– Cholera – syknął przez zęby blady Karramba – jak wygra tę eliminację, to potem jest bez konkurencji…

Oczy zwężyły mu się do cienkich, czarnych szparek, a serce łomotało w jednym rytmie z sercem walczącej Hanki. Zapamiętywał się w walce ten Karramba i teraz, w tej chwili, odpadło odeń wszelkie rozumowanie, a zostało jedynie wielkie pragnienie zwycięstwa tej dziewczyny. Ale nie było to takie łatwe. Jedna ze Ślązaczek i Poznanianka jakby się przykleiły do Hanki i szły tuż-tuż za nią. I one miały widocznie poza sobą wiele miesięcy wytrwałej zaprawy, opiekę dobrych trenerów, a ponadto przewagę kilku lat doświadczenia i silniejszych mięśni. Talent? To prawda – Hanka ślizgała się przez wodę jakby w niej urodzona, jak nieznane stworzonko z obcego wodnego świata; płynność i miękkość jej ruchów wywoływały uśmiech zachwytu na twarzach widzów. Nogi obu zagrażających jej zawodniczek ciężej i wolniej biły wodę, ręce z wyraźniejszym trudem pokonywały opór obcego żywiołu, lecz w ich ramionach i lędźwiach stukotała regularność dobrze naoliwionych i przygotowanych do pracy maszyn. Przez pół basenu Hanka prowadziła zdecydowanie, zdobywała sobie nieznacznie, lecz stale przewagę i odsuwała się od Ślązaczki i Poznanianki. Pół metra – metr – półtora – już dwa!… Goniące pracują ciężko, naciskają dźwignie swych rezerw – a są to dużo, długo zbierane w intensywnym treningu rezerwy – i znów są o metr zaledwie od Hanki. Hania ma je obydwie ze swej lewej strony, bierze oddech z lewa, ogląda się!…

– Teraz! – zgrzyta Karramba. – Odrywaj się!!…

Jakby niewidzialny radar łączył Karrambę z Hanką, gdyż nogi i barki Hani zaczynają pracować jeszcze intensywniej, jeszcze pełniej, mocniej. Widownia wyje: – Alleeeż!!… Aaaaaa!” Już nawrót – Hanka zręcznie koziołkuje, śmiga pod własnym przybijającym do nawrotu ramieniem, zwija się pod wodą jak węgorz i wypryskuje naprzód. Ponad trzy metry dzielą ją teraz od jej prześladowczyń.

– Jeszcze!!… – błaga Karramba i skręca się w pasji zmagania. – Jeszcze odrobina wysiłku!!… Jeszcze!!…

Ściska moje ramię tak mocno, jakby wprawić chciał w ruch ostatni, najpotężniejszy motor, ostatni bieg do zwycięstwa.

Ale co to jest? Hanka idzie ciągle zdecydowanie pierwsza, lecz mimo iż ruchy jej wydają się takie jak przed ułamkiem sekundy, wszyscy jednak wyraźnie widzą, że to już nie to. Nie ten sam zwycięski zryw sprzed kilku sekund. Hanka traci szybkość… Nikt nie wie, jak się to dzieje i dlaczego, ale Ślązaczka zaczyna finiszować i wyraźnie dochodzi Hankę. Przez chwilę wszystko zamiera, cisza jest niemal tragiczna i brzemienna w ogromny ładunek emocji, lecz oto już wybucha krzyk w jednym miejscu widowni:

– Plukówna! Plukówna!!! Krysia! Krysia!!

To Śląscy zawodnicy dopingują swoją Plukównę, za nimi cały stadion, na którym przecież przeważają Ślązacy, drze się wielkim głosem: Kry-y-y-sia!…

Druga Poznanianka w błękitnym kostiumie płynie na śladzie Ślązaczki. Trzydzieści metrów przed metą płyną wszystkie trzy w zgodnym rytmie obok siebie. I oto Ślązaczka, w ciężkiej walce, nieuchwytnie, lecz systematycznie zaczyna zdobywać przewagę. Już jest o pół długości przed Hanką, już o całą i ciągle odsuwa się w przód. Hanka słabnie w oczach. Jej ruchy są piękne i stylowe, lecz pozbawione już teraz zupełnie dynamiki. Hanka przegrywa i kielich goryczy musi być wychylony do końca. Jeszcze krótka, bezskuteczna walka z drugą przeciwniczką i duży kształt Poznanianki mija Hankę o pół długości na finiszu. Karramba podnosi się powoli z przysiadu, ma zmiękłą i smutną twarz.

– Tak – mówi – sława, popularność, tanga i papierosy, oto właściwa kolejność. To jest droga w dół. No zobaczymy…

Hanka podpływa zwolna do schodni, gdzie w górze czekamy na nią, Karramba i ja. Widzę z góry twarz Hanki, gdy wchodzi po żelaznych stopniach. Dyszy ciężko, jest blada i wygląda bardzo dziecinnie. Jak zmęczona, rozczarowana dziewczynka. Karramba narzuca na jej barki płaszcz kąpielowy, otula ją pieczołowicie, uśmiecha się do niej. Wtedy usta Hanki ściągają się w zwykłą dziecinną podkówkę, a w oczach jej stają duże

szkliste łzy. Karramba obejmuje ją serdecznie ramieniem, przyciąga do siebie i mówi:

– No, Hanka, daj spokój… Jak ci nie wstyd?… To przecież nie twoja wina, tak już w sporcie jest, raz się przegrywa, raz wygrywa… Następnym razem będzie inaczej, zupełnie inaczej, zobaczysz… Ja ci to mówię…

Prowadzimy Hankę do szatni, Karramba i ja. Wokół, w tłumie działaczy, zawodników, sędziów, reporterów nikt nie mówi o zwycięzczyni, Plukównie, ani Poznaniance, tylko zewsząd słychać nazwisko „Klimczak" i takie wykrzykniki, jak: „wielki talent", „co za walka!", „jak leży na wodzie!", „przecież to jeszcze smarkata!". Jacyś instruktorzy i specjaliści, Ślązacy i ze Szczecina, klepią Hankę i Karrambę po ramionach i gratulują im. Hanka nawet się uśmiecha. Gdy przechodzimy obok trybun, zrywają się wielkie brawa.

Odprowadzamy Haneczkę aż do kabiny. Karramba surowo każe jej się natychmiast osuszyć i ubrać, gdyż w ogóle jest trochę chłodno. Hanka zamyka się w kabinie, lecz nagle woła:

– Karramba!

Podchodzimy do drzwi kabiny. Są lekko uchylone, spoza nich wystaje szczupłe dziewczęce ramię, w którego dłoni tkwi paczka zagranicznych papierosów.

– Proszę, niech pan to wyrzuci.

Karramba uśmiecha się, szczerze i głęboko zadowolony.

– Dlaczego od razu wyrzucać – mówi – daj komuś, kto to lubi i komu to nic a nic nie szkodzi.

Tego roku wczesną jesienią spotkałem Karrambę na jednej z warszawskich przystani wioślarskich nad Wisłą. Poranek był sliczny, postanowiliśmy więc wziąć tak zwane „cztery krótkie", czyli hamburkę na dwie pary wioseł i udać się w górę rzeki na krótki spacer. W chwili gdy spuszczaliśmy łódź na wodę, usłyszeliśmy znajomy dziewczęcy głos wołający z radością:

– Karramba. Jakże się cieszę, że pana widzę!

Hanka nie była sama, lecz z panną Danutą, nauczycielką gimnastyki, z którą ostatnio bardzo się zaprzyjaźniła. Zaproponowaliśmy więc Hance i pannie Danucie wybranie się razem z nami, na co przystały z ochotą. W drodze toczyła sie następująca rozmowa:

Karramba: – No, Hanka, niedługo do roboty. Ja ci dam w tym roku szkołę…

Hanka: – Ojej, wcale sie nie boję. Zacznę z najwyższą przyjemnością, bo już mi się nudzi.

Panna Danuta: – Pływanie wyczynowe to bardzo piękna i pasjonująca rzecz, ale oprócz tytutów i odznaczeń trzeba by także pomyśleć o praktycznym jego stosowaniu dla potrzeb społeczeństwa. Pan Karramba – przepraszam, że tak pana nazywam ale nie znam pana nazwiska, zaś Hania inaczej o panu nie mówi – otóż pan opiekuje sie Hanką, traci na nią całe godziny, dnie i tygodnie, a tymczasem wiele naszych dzieci nie potrafi wcale pływać. W tym jest jakiś błąd.

Ja: – Otóż nie…

Karramba: – Przepraszam, że ci przerwę. Myli się pani, w tym nie ma błędu. My z Hanką popularyzujemy pływanie. Dzieki sukcesom Hanki ludzie zaczynają się interesować pływaniem, coraz więcej młodzieży uczy się pływać, widząc przed sobą jej przykład. Spośród tych zainteresowanych niektórzy zdobędą sami sukcesy i stworzą kadrę wyczynową, kadrę pływaków; mniej utalentowani, lecz oddani sportowi i pływaniu, pójdą w społeczeństwo, na wieś i do osiedli robotniczych, i będą uczyć pływać innych, ci zaś, dla których pływanie jest tylko przyjemnością, rozrywką młodości, będą po prostu umieli pływać już na całe życie i w tym jest wielki pożytek. Oto co znaczy przykład Hanki, jeśli osiągnie ona rzeczywiście wielkie międzynarodowe sukcesy, i taki jest właściwy porządek rzeczy.

Hanka: – Dla mnie pływanie ma znaczenie praktyczne w takim wypadku: powiedzmy, że mój przyszły narzeczony, w którym się romantycznie kocham obwozi mnie romantyczną łódką po romantycznym

stawie, jak to było w tym filmie „Przestworza miłości". Nagle – chlups – wpada do wody, zaczyna tonąć, na to ja wskakuję za nim w długiej wieczorowej sukni i wyciągam go bez wysiłku za uszy. Pada mi do nóg i jest mi wdzięczny całe życie. Oto moje sukcesy pływackie w praktyce…

Tu Hanka zaniosła się prawdziwie pensjonarskim chichotem. Ten śmiech nie miał w sobie nic z ciasnej maniery dawnej bywalczyni górki w „Góralskiej" i bardzo się z tego powodu cieszyłem. Śmieliśmy się zresztą wszyscy w czasie tej wycieczki, serdecznie i wesoło, tak jak tylko można śmiać się w słońcu i nad wodą. Zauważyłem także, że Karramba coraz częściej i przeciągłej spogląda w stronę panny Danuty, w czym nie znalazłem nic dziwnego, skoro zważymy, że panna Danuta była ślicznie zbudowana, miała długie zgrabne nogi, kształtny nos i wesołe oczy. Stwierdziłem, że Hanka zauważyła także owe spojrzenia, a za chwilę mrugnęła do mnie porozumiewawczo lewym okiem. To mrugnięcie wprawiło mnie w tak dobry humor, że mocniej naparłem na wiosła i że chciało mi się coś zaśpiewać. Tylko nie wiedziałem co.

Warszawa, grudzień 1949 r.

OPOWIEŚĆ O TRAGICZNYM TENISIŚCIE

We wrześniu 1945 roku znajdował się w Y, na francuskiej Riwierze, pewien młody człowiek, nazwiskiem Kłuzda i imieniem Anatol. Czasownik „znajdował się" jest w danym przypadku jedynym precyzyjnym określeniem stanu rzeczy, aczkolwiek brzmi nieszczególnie zręcznie. Kłuzda nie mieszkał w Y ani nie przejeżdżał tamtędy; po prostu znajdował się w punkcie mapy, zwanym Y, akurat w tym czasie, i to było wszystko. Z punktu widzenia zagadnień migracyjnych epoki był to zresztą fakt pozbawiony głębszego znaczenia.

Y tętniło swym pierwszym powojennym sezonem. Robotnicy francuscy w granatowych kombinezonach rozbijali przy pomocy młotów pneumatycznych niemieckie bunkry i betonowe stanowiska karabinów maszynowych; nikt z tych stanowisk nie strzelał, wszystko przeszło tu gładko i teraz, wśród radosnego pyłu resztek wojny, krążył już tłum gości. Goście byli niemal wszyscy w mundurach, niemniej jednak byli gośćmi – stosunek miejscowej ludności do tych Amerykanów, Brytyjczyków, Nowozelandczyków i innych aliantów był z miejsca niemal stosunkiem komercyjnym. Zwycięstwo zwycięstwem, wyzwolenie wyzwoleniem, a stali mieszkańcy Y ani przez chwilę nie przestawali być sobą. Od pokoleń obowiązuje na Riwierze zasada, że wszyscy przyjezdni są nabywcami morza, powietrza, słońca i klimatu, które należą bez reszty do autochtonów i dane im są w odwieczny pacht. Toteż ciepłe uczucia Francuzów do wyzwolicieli spod hitlerowskiego jarzma ochłodły mocno, gdy kwatermistrze różnych armii podzielili pomiędzy sobą luksusowe hotele, zainstalowali kantyny, magazyny i messy oficerskie i rozpoczęli zaopatrywanie gości z własnych

zapasów. Początkowo wydawało się to koniecznością wojenną, ale gdy wojna się skończyła, kiedy z Paryża, Londynu i Skandynawii napłynęli prawdziwi cywilni goście, a kwatermistrze nie zwalniali gmachów i nie likwidowali mess – wtedy serca obywateli Y wezbrały głuchą niechęcią. Inna rzecz, że sytuacja aprowizacyjna Francji nie należała do różowych, tak że problemy turystyczne wikłały się w skomplikowany sposób. Z jednej strony trzeba było zarabiać, aby żyć, z drugiej zaś zarobkowanie, gdy brak jest mięsa i jarzyn, stawało się kwadraturą koła. Właściciele pensjonatów i barów, dyrektorzy biur podróży i wielkich hoteli, kierownicy przedsiębiorstw rozrywkowych i pośrednicy wynajmu, stali wobec poważnych zagadnień. Jedynie fryzjerzy i czyściciele obuwia nie narzekali, gdyż nie robiło im różnicy, czy w Y są wojskowi, czy cywile.

W chwili gdy rozpoczyna się moje opowiadanie, Anatol Kłuzda stał w małym bistro przy Avenue de la Gare i nikłą francuszczyzną prosił o kieliszek whisky. Francuski patron, z gorzko zwisającym wąsikiem na nalanej twarzy, spojrzał nań z ironią i rzekł:

– Takie zamówienie może pan uczynić naprzeciwko, nie jestem tylko pewny, czy pana stamtąd nie wyrzucą.

Przy czym wskazał na widniejącą po drugiej stronie ulicy fasadę potężnego hotelu. Mieściły się tam messy oficerskie 63-ej dywizji generała Smitha, o czym zawiadamiały tablice parkingowe dla aut i co potwierdzał masywny żołnierz Military Police w białym hełmie i białych getrach.

– Ma pan rację – uśmiechnął się Kłuzda. Był to zmęczony i roztargniony uśmiech zdezorientowanego podróżnego lub nałogowego pijaka przed pierwszą, dzienną dawką alkoholu – wobec tego proszę mi dać to świństwo, które nazywa się u was Martini. Tylko doublé… – dodał wskazując palcami żądaną objętość.

Francuz skrzywił się z pogardą i nalał. Nie był pewny, czy otrzyma należność za ten płyn, ryzyko, jak to w handlu. Rzeczywiście – wygląd Kłuzdy wzbudzał mało zaufania. Nie ogolony, o zapadłych policzkach i zaczerwienionych powiekach, miał na sobie tandetną i przykrótką

amerykańską marynarkę, narzuconą na kolorową trykotową koszulkę. Nosił z pewnym wdziękiem ten mundur epoki i manifest zwycięstwa, tchnący na milę unrrowskim punktem rozdziału odzieży; co zaś do pozycji społecznej samego Kłuzdy, to po przewędrowaniu wzdłuż i wszerz całych Niemiec nie mogłem mieć, w tych miesiącach radości i zmęczenia, żadnych wątpliwości.

– Czy mogę panu służyć wodą sodową? – spytałem po polsku od stolika.

Kłuzda odwrócił się powoli i spojrzał na mnie bez entuzjazmu. Strzał językowy był, jak widać, celny.

– Dziękuję – rzekł – jest pan człowiekiem odważnym.

– Słusznie. Ale dlaczego pan tak sądzi?

– Odezwał się pan do mnie w naszym wspólnym, ojczystym narzeczu, ryzykując, że zaraz w pierwszym zdaniu poproszę pana o pożyczkę paru franków. Wygląda pan na takiego, który musiał wziąć tę ewentualność pod uwagę, tym większa pana zasługa. Ale wygrał pan. Nie potrzebuję pieniędzy i nie używam wody sodowej do tych świńskich aperitifów.

– Też słusznie. Po co osłabiać zawarte w nich minimum alkoholu i to nienajlepszego gatunku. Czy nie zechce pan usiąść przy moim stoliku?

– Kłuzda jestem. Anatol Kłuzda – przedstawił się, siedząc. Patron patrzył na nas z odrazą. W jego najświętszym przekonaniu cudzoziemcy, nie rozmawiający po angielsku, powinni byli o tej porze pracować w pobliskich kamieniołomach, a nie siedzieć w przyzwoitym bistro.

– Skąd ja znam to nazwisko? – zastanowiłem się na głos i niezbyt grzecznie.

– Nie wiem – głos Kluzdy ochłódł aż do opryskliwości. – Może się pan na nie natknął w rubryce „wypadki i kradzieże".

– Myślę, że w innej rubryce, ale na pewno w gazecie. Już wiem. Strasznie jestem zadowolony, że pana poznałem.

– Patron – Kłuzda przeszedł na francuski – gdzie tu są korty tenisowe w tym waszym cichym zakątku.

– Nie można panu odmówić tupetu – uśmiechnął się krzywo gospodarz – na kortach naszego cichego zakątka grywali Tilden, Cochet i Borotra,

a takie łapciuchy jak pan, tylko czyściej ubrani, podawali im piłki.

Głos Francuza zabrzmiał dramatycznym rozgoryczeniem; widocznie trafiony został w splot swoich pozazawodowych upodobań, a więc najdroższych współczesnemu człowiekowi rzeczy. Ton ten zmusił mnie do zajęcia postawy pełnej godności – w grę zaczęły wchodzić imponderabilia, sprawy trudno uchwytne, lecz niezmiernie ważkie. Podniosłem się i rzekłem sztywno do Francuza:

– Raczy pan miarkować swe słowa, oberżysto. Mówił pan przed chwilą do ostatniego przed wojną mistrza Polski w grze pojedynczej panów.

Patron zakręcił się niepewnie w swym bufetowym mechanizmie butelek, szklanek, syfonów; po chwili uniósł twarz, na której gościł przyjazny, szczery uśmiech.

– Przepraszam – rzekł – korty są zaledwie o kilka kroków stąd, na skraju Parku Cesarskiego. Pamiętam, jak grała u nas ta znakomita Polka, Jetschesha, Jedchiska – łamał sobie język z pełnym uszanowania zażenowaniem – grała z królem szwedzkim. A jeśli pan pozwoli, to oto kieliszek whisky z mego prywatnego zapasu.

Zwinnie wydobył z dołu kontuaru pękatą butelkę Huntly Blend i nalał trzy kieliszki żółtawego płynu, który wypiliśmy we trójkę i za które zapłaciłem mu najbardziej wyśrubowaną, czarnorynkową cenę. Niemniej byliśmy obydwaj z Kłuzdą wzruszeni.

– Zadziwiająca jest władza i potęga sportu w naszym dzisiejszym świecie przeżyć i uczuć – mówił Kłuzda, gdy w kilka minut potem wędrowaliśmy przez zalaną słońcem Quai du Midi. – Ma on ten sam psychiczny zapach, co ongiś braterstwo broni, wspomnienie poległych towarzyszy i przebytych kampanii, czyli chwil krótkich, a pamiętnych na całe życie. Najlepszym tworzywem wspomnień są fakty, działanie, gorszym – słowa, jeszcze gorszym – uczucia, a najgorszym – myśli, cóż zaś jest bardziej uroczym działaniem niż mecz, gra, rozgrywka pełna celowości ruchów i błyskawicznej pracy mózgu…

Był inteligentny, jak widać. Dwie dawki alkoholu miały nań dobry wpływ – wyzwoliły zeń walory umysłu zadziwiającego gatunku u tak wybitnego sportowca. Refleksyjność i skłonność do wnikliwego komentarza nie są zazwyczaj udziałem zawodników wysokiej klasy.

– Proszę pana – odezwał się po chwili, gdy mijaliśmy nowe bistro o wyjętych z okien szybach, lśniące wypolerowanym niklem i czarnym lakierem kontuaru – może pan chwilę zaczeka albo wejdzie ze mną. Mam pragnienie i nie czuję się dobrze. A w ogóle trzeba się napić za zwycięstwo, niepodległość, wierzby płaczące i kilka innych rzeczy, skoro już spotkaliśmy się.

– Czy pan musi?

– Nie muszę. Po prostu chcę. Mam ochotę.

– Rozumiem. To znaczy, że pan musi. Skoro tak…

– Ma pan rację. Muszę.

Spojrzały na mnie oczy człowieka świadomego swego upadku, a więc w tym wypadku człowieka straconego. Weszliśmy więc i Kłuzda wypił dwie duże stopki „finu" – taniego, lecz mocnego koniaku z winnych wytłoczyn. Była godzina dziesiąta rano. Rysy twarzy rozmazały mu się nieco pod uderzeniem wódki, trwało to jednak chwilę. Na ulicy znów był zwykłym spokojnym Kłuzdą o trochę tylko żywszych ruchach i częstszym uśmiechu.

Niebawem doszliśmy do kortów – ciągnęły się szerokim terenem oddzielonym od ulicy pięknym żywopłotem. Wchodziło się przez biało-zielony domek klubowy w stylu kolonialnego bungalowu; z jego obszernej, pełnej stolików i głębokich drewnianych szezlongów werandy rozciągał się widok na ceglaste doliny kortów, leżące wśród łagodnych, białych zboczy świeżo pomalowanych trybun. Dwa centralne korty były puste, idealnie wygładzone, urzekające nieskazitelnością swych białych linii, tajemniczych jak chińska prostokątna ornamentyka. Na bocznych kortach uwijali się zażywni panowie w shortach, obsługiwani przez grzecznych i znudzonych jak kelnerzy trenerów. Stosunek wzajemny był zresztą ten sam: panowie

z brzuszkami przychodzili tu po swą dzienną porcję radości życia, namiastki młodości i prawidłowej przemiany materii.

Usiedliśmy z Kłuzdą na szezlongach. Kiedy spojrzałem na mego towarzysza, uderzyła mnie w nim jakaś dziwna przemiana: znikła gdzieś jego nonszalancka rezygnacja, owa abnegacka obojętność, zaprawiona trochę goryczą a trochę ironią, wiejąca z jego wyblakłych oczu i przesiąkłego dobroczynnością ubrania. Siedział oto z wdziękiem wciśnięty w fotel człowiek tego świata kortów, leżaków, pięknej pogody klubowych domków, pryszniców, nowych piłek „Dunlopa", oryginalnych puloverów, wytwornych shortów z drogiej flaneli i kolorowych szalików – należący i pasujący do tego jedynego dla siebie kontekstu każdym fibrem swej osobowości, znajdujący doń drogę w każdym cywilizowanym punkcie ziemi – w Warszawie i Kopenhadze, w Salonikach, Buenos Aires i na Riwierze. Inna droga dlań nie istniała, nie mogła istnieć, prowadziłaby tylko w dół, w upadek, w istnienie bez twarzy i bez nazwiska, a więc w wegetację. Jego szlachectwo było z tego świata, chociaż był synem szewca z Bednarskiej ulicy. Tu, w złoto-błękitnym powietrzu, wśród dźwięcznych odgłosów rakietowych uderzeń i krótkich okrzyków, w zapachu głogu, lawendowej wody i dobrego tytoniu dostrzegłem naraz modną, współczesną urodę jego twarzy, opalonej, sciągłej, mocnej, ujrzałem smukłość i siłę jego ręki, związanej żelaznym przegubem z muskularnym przedramieniem, dojrzałem go takim, jakim był w swej istocie – Anatolem Kłuzdą, znakomitym tenisistą, popularnym przedstawicielem specyficznej kasty wielkich dnia dzisiejszego, jaką wyprodukował nasz świetny wiek XX, jego tęsknoty i jego prasa.

– Dwa kruszony owocowe – powiedziałem do przechodzącego kelnera. Kłuzda uśmiechnął się i dodał: – Jeden kruszon i jeden calvados dla mnie, ale – doublé – uczynił charakterystyczny gest, określający objętość, po czym zwrócił się do mnie: – tu panuje napojowy liberalizm, nikt za nikogo nie decyduje o napojach, nikt nikogo nie obślinia pocałunkami i nie zmusza do picia. Pan wybaczy, ale będziemy się stosować do zwyczajów tego kraju. Jeśli

się upiję i zachowanie moje nie będzie panu odpowiadało, zawsze może się pan spokojnie oddalić, nie troszcząc się o uregulowanie rachunku.

Rozzłościł mnie ten pseudowytworny chłód i te narodowe aluzje. Nie zważając na konsekwencje gafy powiedziałem na pozór obojętnie i zupełnie niegrzecznie:

– Pan wpadł w nałóg. To niedobrze. Szkoda. Zapewne są to skutki wojny?

– Myli się pan – lodowato odrzekł Kłuzda – piłem tak samo przed wojną.

– Mistrz Polski, wielka nadzieja polskiego tenisa – nałogowcem?… Nigdy nic o tym nie słyszałem.

– Nabzdyczył się pan w tak rozbrajający, nadwiślański sposób, że nie da się na pana gniewać. Panu wydaje się, że powiedział coś mądrego, że wnikliwie zwątpił pan w coś, co jest według pana niemożliwością. Co za bzdura! A tak, proszę sobie wyobrazić, że mistrz Polski, obrońca barw, defensor tenisowej ojczyzny i chwały, człowiek cytowany przez nauczycieli gimnastyki jako wzór dla młodocianych, rycerz niezłomny spod Wimbledonu i Roland Garros – był nałogowcem. Zwiódł opinię i wyprowadził w pole najbardziej lisich reporterów, omamił kierowników klubu, trenerów, menadżerów i kapitanów narodowej reprezentacji. Pił wódkę masami, litrami, rurociągami i nikt o tym nie wiedział. Bo nałóg, mój panie, nałogowi nierówny, trzeba go tylko oderwać od społecznego szablonu, a natychmiast wpływa się na nim, jak na upiornym żaglowcu, na wody nieznanego i na odmęty własnych tajemnic. Czymże jest pijaństwo w Polsce? Jest to ogólnonarodowe błazeństwo z tragicznymi skutkami, tak samo jak tragicznym błazeństwem jest spacer po rynnie na szóstym piętrze, zakończony rozbiciem sobie czaszki o bruk. Wie pan, jeden z francuskich pisarzy stworzył niegdyś pojęcie „réjouissance nationale" – „narodowego ubawiania się". Co to jest? W Hiszpanii to walki byków, we Francji – licytacje, w Nowym Orleanie i Harlemie – muzyka jazzowa, w Niemczech – parademarsch, a w Polsce – pijaństwo. Na żadnej ulicy świata nie patrzy się

z tak obojętną zgodą na zataczającego się pijaka, jak na warszawskiej, przy tym zgoda ta jest powszechna i niezmiernie łatwo zmienia się w objawy źle pojętej solidarności. Oto korzenie zła. W Europie patrzy się na wesołego pijaka z sympatią, w Polsce jest się solidarnym w stosunku do każdego obrzydliwego, zatruwającego powietrze, spitego jak bela bydlęcia. Narodową dewizą jest, że każdemu to się może zdarzyć. Znak równania stawia się u nas nie pomiędzy alkoholem a rozrywką, lecz pomiędzy zabawą a upiciem się, stąd pijaństwo jest naszą „réjouissance nationale". Przy tym ta nasza idiotyczna megalomania: wydaje nam się, że jesteśmy najtęższymi pijakami pod słońcem, mając wyjątkowo słabe głowy. Na wytrzymałość i odporność przegrywamy do większości europejskich narodów, nie darmo mówi się we Francji: „saoul comme un Polonais" – pijany jak Polak – a nie mówi się w żadnym języku: pije jak Polak. Pije dużo, lecz bez żadnej klasy; ilość, ilość i jeszcze raz ilość – oto norma naszego pijackiego honoru i heroizmu, naszej pijackiej moralności. Brrr… aż mdli mnie, kiedy to wspomnę… Bo ja, widzi pan, ja to robiłem inaczej, mimo że czasem musiałem w najbardziej swojskim stylu. Ja od razu wiedziałem, co mnie czeka, przyjmowałem świadomie na siebie brzemię, które było mi wybawieniem, ratowała mnie samowiedza o własnej małości. Nałóg był dla mnie ucieczką, o której dobrze wiedziałem, że nigdzie nie prowadzi, że jest kresem sama w sobie, dlatego znalazłem w sobie siłę do skutecznego ukrywania nałogu, dlatego musiałem zdobyć się na nadludzki wysiłek utrzymywania kondycji przy jednoczesnym zatruwaniu wódką organizmu. Przychodziłem na ranne treningi różowy jak dziecko, ja, który kilka godzin przedtem, w zamkniętym na rygle mieszkaniu, znajdowałem w lustrze przerażające odbicie mojej zmiętej jak szmata twarzy. Nie jestem pewien, czy zdoła pan zrozumieć gigantyczność tego wysiłku, na to trzeba być choć raz w życiu czynnym zawodnikiem…

– Rozumiem. Ale… dlaczego pan pił?

– Spodziewałem się tego pytania. Ciekawość wzięła górę nad dobrym wychowaniem, hę? Może jest pan psychologiem, policjantem lub pisarzem i potrzebne są panu doświadczenia, notaty. „The strange case of mr. Kluzda,

the famous tennis-player", podoba się panu taki tytuł, co? Nadaje się równie dobrze do kryminalnego dossiers, kartoteki lekarskiej, jak i do noweli. Ja służę, właśnie dziś mam na to ochotę. Pyta pan, dlaczego piłem? To proste. Przeciwko mnie sprzęgły się złe moce. Pan nie wierzy w złe moce, rozumiem, większość ludzi dziś w nie nie wierzy; ja też nie wierzyłem w ich istnienie, dopóki nie zagnały mnie one w nałóg. Zagadnienie moje jest problemem nadprzyrodzonym i moralnym. Widzę, że pan tłumi uśmiech, mogłem się tego spodziewać, skoro jednak wysłucha mnie pan do końca, zmuszę pana przynajmniej do zastanowienia się nad sensem tego sformułowania. Tymczasem proszę zamówić butelkę jakiegoś taniego koniaku i dbać o zawartość kieliszków.

Czy myślał pan kiedyś nad tym, co to jest talent? Ja myślałem dużo, całe noce, bezsenne i gorzkie, nigdy też nie doszedłem do tego, co to jest. Wie pan, współczesna biologia chełpi się, że niebawem będzie można formować charakter człowieka przy pomocy zastrzyków. Podobno endokrynologowie, tacy specjaliści od gruczołów dokrewnych, mają na to już swoje sposoby i rozprawiają buńczucznie o tym, jak będą z nas czynili jednostki odważne lub nikczemne, w zależności od rodzaju płynu w strzykawce. Nigdy jedynak nie słyszałem, aby któryś z tych panów wspomniał o możliwości stwarzania talentów w ludziach. To by dopiero była gratka dla tych biednych pyszałków, którzy uwierzyli w wymierność tego świata – móc produkować to, co jest w ludziach najcenniejsze, co wiedzie człowieka do chwały lub do zguby, co można w sobie samym ukochać aż do samozaparcia i znienawidzić aż do samobójstwa. Nie znalazł się jeszcze biolog, który ośmielił się pomyśleć, że zdoła stworzyć w człowieku to niezwykłe „coś", zwane talentem, ów przedziwny, nadmaterialny a tak realny składnik osoby ludzkiej, który krył się w wyczuleniu koniuszków palców Rembrandta, w małżowinie ucha Chopina, w spojrzeniu Napoleona. Talent może wypełnić życie ludzkie, może je także zniszczyć, jego różnorodność jest nieskończona, a jego odkrycie decyduje o prawdziwym szczęściu, przy tym jego ciężar gatunkowy jest bezwzględny. Można stać się wielkim rozwinąwszy wrodzony sobie

talent poetycki, talent sprzedawania tekstyliów lub talent hotelowego portiera – trzeba tylko o nim wiedzieć i odkryć go w sobie. Ja urodziłem się obdarzony wielkim talentem do gry w tenisa, długo jednak o tym nie wiedziałem. Mój ojciec miał warsztat szewski na ulicy Bednarskiej, nie najbiedniejszy, uchowaj Boże, ze sklepem, wąskim, niskim i położonym nieco poniżej poziomu ulicy, ale zaopatrującym w modne obuwie co elegantsze przekupki, dozorczynie i pokojówki z całej dzielnicy, a zatem przynoszącym niezłe dochody. Moja wczesna młodość związana była nierozłącznie z Bednarską i jej czarującymi, biegnącymi w dół ku Wiśle rynsztokami, jezdnią z kocich łbów, podwórkami, wśród których pełno było skrawków warszawskiej przeszłości – jakieś fragmenty starych murów, ukryte przejścia na zapuszczone pałacowe ogrody na skarpie, labirynt i chaos małych zeszłowiecznych podwórek, królestwo dzieci, handlarzy starzyzną i żebraków. Widzę w oczach pana błyski zrozumienia, znaczy to, że wie pan, czym była ulica Bednarska, jakie miała uroki, za co i jak można było ją kochać. Zapewne zna pan podniosłą emocję biegania za fajerką, kierowaną przy pomocy zagiętego żelaznego pręta. Do tego rodzaju imprez Bednarska ulica była niezastąpiona – wyścig fajerek w rozedrgane majowe popołudnie trasą od skweru Hoovera w dół aż do nadwiślańskiego bulwaru sprawiał, że przechodnie chronili się do bram i małych sklepików z włoszczyzną, których właścicielki miotały w nas zepsutą cebulą.

W okolicach Bednarskiej nie było kortów tenisowych, toteż kariera moja nie zaczęła się od podawania piłek, jak to zazwyczaj sentymentalnie wspomina wiele sław białego sportu. Tym mniej mogła się ona zacząć od lekcji, jakie pobierali chłopcy z tak zwanych dobrych domów, od dobrze płatnych instruktorów. Ale ojciec mój posyłał mnie do przyzwoitej szkoły w śródmieściu, miałem łyżwy i zamożnych kolegów, wszelkie przejawy sportu były w tych początkach lat trzydziestych treścią życia mojego pokolenia, tak więc znalazłem się kiedyś na korcie. Miałem wtedy czternaście lat – pamiętam przecież każdy szczegół tego dnia – było to na kortach przy ulicy Wareckiej, które zimą służyły za ślizgawkę. Przyszło nas

kilku kolegów, aby obejrzeć wielkie spotkanie o mistrzostwo świata i okolic pomiędzy jedynymi w naszej klasie posiadaczami rakiet. Po pół godzinie śmiechu i kawałów zrzuciłem marynarkę i po raz pierwszy w życiu wziąłem do ręki rakietę. Miałem potem, w ręku najdroższe białe slazengery, w Wimbledonie, po morderczym półfinałowym spotkaniu, dostałem w prezencie rakietę od Perryego, ofiarowaną mu przez najwybitniejszego mistrza od Dunlopa – nic jednak nie da się porównać z przeżyciem, jakie stanowiło dla mnie ujęcie tej zwykłej „Fremy-Stelli", taniej, tandetnej, prostackiej. Zdało mi się naraz, że uchwyt rakiety przedłuża moje własne ramię, że niewidzialne nity lutują mą prawą dłoń do drzewa rączki, że przedziwna siła wiąże nerwy mych palców z tym obojętnym jeszcze przed chwilą przedmiotem, który naraz, w sposób niezwykły, stał się jakby cząstką mnie samego, przedłużeniem mej własnej ręki. Rzecz jasna – nikogo nie olśniłem swą grą, byłem raczej pocieszny, nie mogłem trafić w piłkę i wzbudzałem śmiech jak każdy nieporadny nowicjusz, ale, rzecz osobliwa – każde uderzenie piłki miało głęboki rezonans w mym systemie nerwowym, transmitowane było przez ową dziwaczną spójnię nierealnych włókien, które łączyły mnie z trzymaną przeze mnie rakietą. Od tego dnia datuje się mój zabobonny kult rakiety, który towarzyszy mi do chwili obecnej. Miałem w swym życiu rakiety-przyjaciółki, rakiety-niewolnice, rakiety-oszustki i rakiety-wiarołomne – dziełem tych ostatnich były najboleśniejsze klęski – nigdy jednak nie zapomnę tej pierwszej w mym ręku, tak jak nie zapomina się pierwszego w życiu pocałunku.

Nazajutrz poprosiłem ojca o rakietę. Odniósł się do mej prośby życzliwie. Był solidnym, dobrze zarabiającym rzemieślnikiem i podobało mu się, że syn jego chce grać w tenisa. Marzył, abym został adwokatem, i zdawało mu się, że tenis jest pożytecznym szczeblem społecznego awansu, rodzajem korzennej przyprawy do przygotowywanego wykwintnego dania. Kupił mi rakietę i piłki, co było oczywistym powodem, że w trzy lata później nie zdałem matury. Odtąd bowiem moje dni przeszły tenisem jak ubranie zapachem naftaliny – każda godzina i minuta, o ile nie była poświęcona

tenisowemu działaniu, kryła na swym dnie tenisowe myśli. Moje przedsenne marzenia dotyczyły wyłącznie tenisa; jeśli w nocy trapiły mnie freudowskie widziadła, to miałem tylko jeden wariant: śniło mi się wtedy, że nie mogę odbić piłki, krzyczałem we śnie i budziłem się, zlany zimnym potem. Nie wiem, czy zna pan z własnego doświadczenia taki stan koncentracji całej osobowości na jakimś przedmiocie lub działalności, nie wszystkim jest to dane. We mnie było to przemożne, silniejsze od wszystkiego, a wraz z tą obsesją zaczynał pęcznieć i wychylać się z poczwarkowej niezręczności mój wielki talent. Były to dni i miesiące, w czasie których biegałem wraz z kilku młodymi zapaleńcami po wszystkich kortach Warszawy. Nasze szkolne mundurki, zdarte tenisowe pantofle, zużyte piłki, koszule wysunięte w gorączce gry ze spodni, rozognione twarze i nieustanny entuzjazm jednały nam wszędzie sympatię i na pół ironiczne, na poły przyjazne uśmiechy. Starzy cyniczni trenerzy i dzierżawcy kortów, którzy niegdyś marzyli o karierze i mistrzowskich ty-tułach, a których sny roztopiły się w wódce i skonkretyzowały w paru złotych za godzinę gry z otyłymi córkami bogatych fabrykantów, patrzyli na nas z szyderczą czułością i pozwalali nam grać za pół ceny. Ich spojrzenia mówiły: „Głupie szczeniaki! Dali się wziąć na tę tenisową truciznę. My też zaczynaliśmy tak samo, tak samo wypruliśmy z siebie młodość w pogoni za piłką, całą siłę uczuć i nadziei włożyliśmy w nasz piorunujący – jak nam się wydawało – drive z forehandu i proszę, co teraz? Jedyną naszą radością jest para nowych zagranicznych pantofli, a dumą – zaproszenie na kolację z grubym dyrektorem banku, któremu pomogliśmy w uregulowaniu trawienia…” To rozgoryczenie czyniło ich tkliwymi, mimo pozorów męskiej szorstkości i opryskliwości. Niby to nabijając i śmiejąc się z nas ustawiali nam rękę i poprawiali styl, patrzyli przez palce na urwane kilkanaście minut gry ponad czas lub wykorzystywanie każdej chwili na wolnym korcie. O, korty warszawskie! – pan wybaczy ten odruch wzruszenia, lecz ich wspomnienie wyrywa mi zawsze cichy okrzyk z piersi… Leżały zazwyczaj w zupełnie nieoczekiwanych miejscach, co ustokrotniało w naszych sercach radość na

ich widok. Mój Boże, jak niewielu, zapewne, pamięta dziś korty Jasińskiego na Nowym Świecie, leżące za kilku połączonymi podwórkami, w olbrzymiej studni, ocembrowanej z trzech stron potężnymi kamienicami… Któż pamięta dziś korty w głębokim parowie pomiędzy ulicą Książęcą a Frascati? My trafialiśmy wszędzie, wiedzeni szczurzym, chłopięcym instynktem dotarcia do każdego zakamarka. Wkrótce biłem bezapelacyjnie moich kolegów. W szerokich kołach towarzyskich młodzieży warszawskiej, w rozbieralni Agrykoli, na gimnazjalnym boisku „Giżyckiego", na pauzach i w kuluarach „Batorego", „Kreczmara", „Władka Czwartego" zaczęła kiełkować moja tenisowa sława. Zostałem na drugi rok w VI klasie, ale za to w zaimprowizowanym na korcie parku Sobieskiego spotkaniu z mistrzem „Reja" rozniosłem tego ostatniego w oczach licznie zgromadzonych widzów obojga płci. Słodyczy tego zwycięstwa nie da się z niczym porównać – zdobycie przeze mnie mistrzostwa Danii było tanim winem owocowym po tym szampanie, który uderzył mi wtedy do głowy. Tego samego dnia – była to sobota – odbywał się wieczorek szkolny na pensji Królowej Jadwigi; kiedy wszedłem na salę, poczułem po raz pierwszy smak i potęgę sławy. To zostaje na całe życie. Ciemnooka Irenka w białym pensjonarskim kołnierzyku, dla której gotów byłem wtedy wszystko uczynić, utwierdziła mnie jeszcze w mym najnowszym życiowym doświadczeniu. Odtąd sława stała się mym wielkim pożąniem i moją wielką udręką, gdyż wkrótce dane mi było zrozumieć, jak trudną rzeczą jest dobry jej gatunek.

Niebawem trafiłem do klubu. Powie pan, że było to zakazane dla młodzieży szkolnej. Zgoda, warszawska „Legia", klub o najsilniejszej sekcji tenisowej, mogła sobie pozwolić na zaopiekowanie się zdolnym uczniakiem i wziąć na siebie konflikt z nauczycielem gimnastyki jego gimnazjum. Zresztą szkoła przestawała powoli odgrywać zasadniczą rolę. Wiedziałem już, gdzie będą moje uniwersytety; na tarasie domku klubowego „Legii", w chwili gdy grałem tam po raz pierwszy, siedziało kilku panów, którzy momentalnie wyrobili sobie analogiczne do mojego zdanie w tej sprawie. To byli znawcy, zaś istota sportowego znawstwa polega na uchwyceniu

arcytrudnej do odszyfrowania proporcji pomiędzy ewentualnym rozwojem a możliwościami zawodnika. Ci, rozparci niedbale w wiklinowych fotelach, ludzie mieli, tak zwane „oko". Siedział wśród nich doktor Manel wysoki, srebrnowłosy gentleman w białych flanelowych spodniach i granatowej marynarce – słynny w Europie kibic i koneser, który w życiu nie odbił piłki, a do którego zwracała się o rady jeszcze Zuzanna Lenglen i pisywał ciągle listy Austin. Patrząc wtedy spod przymrużonych powiek na moją szesnastoletnią sylwetkę, powiedział do kapitana teamu tenisowego „Legii": – Ten smarkacz to wielki talent. Ma on w czubkach palców bezwiedną, instynktowną wiedzę o tenisie. Nie wolno wam wypuścić go z rąk, nawet za cenę wielkich ingerencji w jego młode życie. Nie wypuścili mnie. Zajął się mną najwybitniejszy trener tenisowy, uczeń Kożelucha. Omotał siecią treningów, zapraw, meczów sparringowych, w której poczułem się szczęśliwy. Kiedy jasnym się stało, że nie zrobię matury, w domu wybuchła piekielna awantura – myślałem, że ojciec rzuci się na mnie. Ale gdy w trzy dni później zdobyłem mistrzostwo Polski juniorów, mój biedny ojciec usiadł na starej pluszowej kanapie, cisnął oburącz skronie wpatrując się tępo w numer „Przeglądu Sportowego" z moją fotografią na pierwszej stronie. Przestał się orientować, stracił busolę swych ojcowskich zasad. Byłem tym szczerze zmartwiony, lecz uspokoiłem się nazajutrz, słysząc, jak ojciec krzyczy w sklepie na kogoś przez telefon: – Kłuzda. To moje nazwisko, K-ł-u-z-d-a, do licha, czy nie czytuje pan gazet!? Ze mną zaś działy się dziwne rzeczy, przechodziłem zasadniczy kryzys, krytyczny moment w każdej sportowej karierze. Uderzyły mi do głowy sukcesy. Zacząłem dbać o elegancję rakiet i shortów, pasjonowały mnie zagraniczne szaliki i rodzaj tenisowych pantofli. Wchodząc na pływalnię „Legii" w nieskazitelnie modnych slipach, chłonąłem pożądliwie zapach popularności. Łowiłem ów zabójczy szmer rozmów: – To Kłuzda, popatrz… Nadzieja polskiego tenisa… wielki talent! … mistrz Polski juniorów!… – zależało mi na tym szmerze tak samo, jak z drżeniem szukałem w gazetach swego nazwiska, umajonego superlatywami. Mój panie, wiele wspaniałych sportowych

przeznaczeń zniszczyły gazety, te ampułki z najgorszym arszenikiem dla zdolnych wyrostków! Gdyby to zależało ode mnie, nie pozwoliłbym redakcjom zatrudniać jako reportera sportowego nikogo, kto nie przedstawi dyplomu doktora psychologii. Oczywiście – mój stan psychiczny znalazł wkrótce odbicie w mojej grze, która nabrała cech maniery.

Zacząłem grać na pokaz, przed startem do piłki myślałem błyskawicznie o efekcie gestu, układałem repertuar odbić na miarę wrażenia, jakie wywrę na widzach. Stanąłem naraz na niebezpiecznym rozdrożu. Wygrywałem nadal, to prawda, nosiłem bowiem w sobie ogromny talent jak w bajce o stoliczku, który się sam nakrywał; wystarczało jednak, abym uczynił kilka kroków w niewłaściwą stronę, a wszystko byłoby stracone. Moi opiekunowie i trenerzy łamali ręce, ale nic mi nie mogli pomóc; ich rzeczowe, szorstkie wymówki i nauki trafiały mi do przekonania, nie zdołały jednak uleczyć mnie z niedorzecznego spojrzenia na samego siebie – tej choroby zawodu, tak nieodłącznej od sportu jak rozedma płuc od pracy w hucie szkła. Kiedy stanąłem na progu zupełnej degrengolady, interweniował doktor Manel. Schodziłem z kortu pewnego wrześniowego popołudnia, owinięty swetrami i ręcznikami, z naręczem rakiet pod pachą, po ciężkich pięciu setach z długoletnim reprezentantem Polski w deblu. Wygrał ze mną, ale po morderczej walce, z której byłem bardziej dumny niż z jakiegokolwiek dotąd zwycięstwa – miałem przecież niecałe osiemnaście lat. Na werandzie stał doktor Manel; kiedy zbliżyłem się doń, wypuścił z ręki trzymane pudełko zapałek. Chciałem go minąć, ale zatrzymał mnie i rzekł: – Dobre wychowanie obowiązuje nawet mistrza Polski juniorów. Podnieś, chłopcze, te zapałki.

Podniosłem pudełko bez słowa. W owym „chłopcze", na pół ciepłym, na poły pogardliwym, zawarty był cały stosunek tego wspaniałego człowieka do mnie, a jednocześnie – prawda o mojej właściwej pozycji. Musiałem wyglądać bardzo żałośnie, jak każdy strącony z wyżyn zarozumiałości w dolinę zrozumienia, gdyż doktor Manel dodał z ową nieopisaną wytwornością, która sprawia, że ludzie jego pokroju potrafią narzucać

innym ludziom wyzbytą poufałości serdeczność wzajemnych stosunków: – Idź pod prysznic, Antolku, przebierz się, po czym poszukaj mnie w dolnym rogu prawej trybuny. Będę tam czekać na ciebie, paląc fajkę, a kiedy przyjdziesz – pogawędzimy o sprawach równie ważnych jak interesujących.

W kwadrans potem siedziałem obok doktora Manela, który ssał swój dunhillowski ustnik, obserwując z uwagą grę młodego, wysokiego mężczyzny w białych shortach i granatowym pulowerze. Była to czwarta rakieta Polski, znakomity stylista demonstrujący zawsze śliczny gatunek tenisa.

– Zwróć uwagę – odezwał się naraz doktor Manel, chociaż zadawałem sobie pytanie, czy w ogóle zauważył moje przybycie – na nieporównany wdzięk ruchów Zenona. Oceń należycie ów pełen harmonii, zręczności i siły skręt ciała przy serwie, kiedy linia nóg, przechył klatki piersiowej i rozrzut ramion są samym rytmem zwinnej, błyskotliwej radości życia, muzyką i porywającym rysunkiem gestu zarazem. Tu nie trzeba dodatków ani ornamentyki, tu celowość i umiejętność są zarazem pięknem i doskonałością formy. Widzisz – tenis jest jedyną grą w sporcie, w której nie ma walki wręcz; przeciwnik jest od ciebie oddzielony siatką i przestrzenią kortu, nabierając dzięki temu cech nieco abstrakcyjnych. Stąd w czasie gry zdany jesteś na większą refleksyjność, na lepsze uświadamianie sobie własnych myśli i miotających tobą uczuć. Stąd też cięższe brzemię nerwów w czasie ciężkich meczów, stąd łatwiejsze załamania i uleganie pokusom. Jest w tym czar wielkiej różnorodności przeżyć, ale i większe niebezpieczeństwo skrzywień, których i ty ostatnio padłeś ofiarą. Patrz, chłopcze jak Zenon pięknie gra, nie zamierzając wcale tego piękna, nie wiedząc o nim i nie myśląc o niczym innym, jak tylko o pokonaniu przeciwnika, patrz i zrozum to, w przeciwnym bowiem razie jesteś stracony dla tenisa.

Zrozumiałem to wtedy, a dziś rozumiem, co zawdzięczam Manelowi. Wtedy też zaczął się mój triumfalny pochód od sukcesu do sukcesu. W wieku lat dziewiętnastu zdobyłem mistrzostwo Polski Południowej. Na międzynarodowym turnieju w Wiedniu tego samego roku, uplasowałem się

na trzecim miejscu, przy silnej międzynarodowej konkurencji. Prasa pisała o mnie: „Fenomenalnie utalentowany młody singlista! Człowiek – ściana! Polska gwiazda na firmamencie tenisowym Europy!" Siwowłosy włoski hrabia, przewodniczący europejskiej federacji tenisowej i główny sędzia turnieju, po szarpiącej nerwy półfinałowej rozgrywce z mistrzem Węgier starym weteranem kortów, którego pokonałem w pięciu setach (przy czym ostatni set publiczność oglądała na stojąco, a jeden z widzów uległ atakowi histerii, kiedy piłka wędrowała w ostrych przerzutach po kilkadziesiąt razy tam i z powrotem ponad siatką powiedział mi: – To była najbardziej imponująca walka talentu i instynktu przeciw rutynie i wiedzy. Twoja wrodzona żywiołowość, mój chłopcze, nie potrafi się jeszcze uwolnić od nieśmiałości i niedoświadczenia. Kiedy je pokonasz żyjąc jednocześnie jak mnich, odsuwając od siebie wszystko poza tenisem, wtedy pojawią się przed tobą laury Wimbledonu i najbardziej ekskluzywnych kortów Kalifornii i wystarczy, że wyciągniesz po nie rękę, a będą twoje. Zapamiętałem sobie te słowa. Nastąpiły miesiące w czasie których żyłem tenisem. Rezultaty były oczywiste. Zostałem pierwszym rezerwowym naszej ekipy daviscupowej w wieku dwudziestu lat. Kopenhaga, Budapeszt, Ostenda i Mentona – oto etapy turniejów międzynarodowych, na których sukces następował po sukcesie. Kolorowe kartki pocztowe zbiegały się na ulicy Bednarskiej ze wszystkich stron Europy, a zagraniczne żurnale obuwia, które zewsząd sumiennie przesyłałem, zdobiły wąziutkie okno zakładu szewskiego mojego ojca, epatując okoliczne ekspedientki i buchalterów.

Następny sezon zaczął się turniejem w Biarritz, obsadzonym silnie przez Amerykanów i Australijczyków. Zostałem tam wysłany jako jedyny Polak i doszedłem, mimo wszystko, do półfinału, budząc powszechną sensację. Po raz pierwszy zanotowany zostałem w angielskiej klasyfikacji, w trzeciej dziesiątce na świecie, co było niesłychanym wyróżnieniem. Na pożegnalnym bankiecie zbliżył się do mnie jakiś niepozorny, źle ogolony człowiek, ubrany licho i tandetnie. Czuć go było alkoholem, a jego blade oczy w zaczerwienionych obwódkach spoglądały krzywo nieżyczliwie, lecz z jakąś

wzbudzającą litość melancholią. Akcent, z jakim mówił po francusku, wskazywał na Anglika. Nie przedstawił się, tylko rzekł: – Mam ochotę z panem porozmawiać. – Proszę bardzo – odparłem chłodno, urażony bezceremonialnością tak mało reprezentacyjnego osobnika, co najlepiej tłumaczy się moim młodym wiekiem – jestem do pana dyspozycji. – Więc wyjdźmy stąd. Znajdziemy sobie spokojniejsze miejsce do pogawędki.

Wydawało mi się, że salony recepcyjne kasyna w Biarritz są dość odpowiednim i wygodnym miejscem do rozmowy, ale nie wypadało się cofać. Wyszliśmy więc na Boulevard d'Atalaya; od zatoki wiała porywista, wilgotna, przejmująca do kości bryza, typowy kaprys Baskai, w której chwiały się rzadkie latarnie, jedyne światła wśród chmurnej, bezgwiezdnej nocy. Postawiłem kołnierz płaszcza i kroczyłem obok mojego dziwnego towarzysza, zadając sobie w duchu pytanie: w jaki sposób ten człeczyna o wyglądzie tracącego klientelę i upijającego się z tego powodu tapicera mógł znaleźć się na turniejowym bankiecie? – kiedy naraz rzekł on: – Zastanawia się pan, jakim cudem znalazłem się w kasynie. Zapewniam pana, że miałem zaproszenie.

Nie odpowiedziałem, zaskoczony trafnością uwagi; cóż zresztą mogłem powiedzieć? Szliśmy dość długo, dzielnica willowa została za nami, wreszcie doszliśmy do portu rybackiego. W wąskiej uliczce towarzysz mój pchnął jakieś drzwi i weszliśmy do zadymionej, rozwrzeszczanej knajpy, pełnej rybaków, szyprów, poławiaczy sardynek, w baskijskich beretach, prostytutek, pasiastych koszulek francuskich marynarzy z wojennej, oraz dźwięków mechanicznego pianina, ryczącego bez przerwy „Toujours 1'amour…". Krępował mnie mój smoking, widoczny spod płaszcza, nikt tu jednak nie zwracał na to uwagi. Anglik poruszał się w tym miejscu z zupełną swobodą, znalazł natychmiast wolny stolik, jakiś łysy atleta w fartuchu starł z blatu tatuowanym ramieniem rozlane wino i spytał, czego sobie życzymy. Mój towarzysz zamówił gin, ja poprosiłem o piwo. – Rozumiem – rzekł Anglik – separacja od alkoholu. To panu nic nie pomoże i tak będzie pan kiedyś pił. – Panie – rzekłem szybko i szorstko – dość mam tego wszystkiego. Wyciąga

mnie pan z kasyna po to, aby się bawić w niedowarzone przepowiednie. Kto pan w ogóle jest i czego pan chce? – Jestem obrazem pańskiej przyszłości, młody człowieku. Wiem, co cię czeka, albowiem niegdyś byłem tobą.

Zrobiło mi się nieswojo. „Wariat! – pomyślałem w pierwszej chwili – obłąkaniec na tle tenisa. Ładna historia!" Ale nie, ten człowiek nie był szaleńcem; ta sama niezdefiniowana siła, która prowadziła mnie za nim do tego stolika, nakazała mi przemożnie wierzyć jego słowom, wymawianym spokojnie i beznamiętnie, słowom równie niesamowitym i fantastycznym, jak urzekającym. – Niech mi pan wierzy młodzieńcze, że każdy z tych wspaniałych mężczyzn, tam, w kasynie, dałby wszystko, żeby się znaleźć w pańskiej sytuacji. Jestem biednym tenisowym diabłem i mówię tenisistom prawdę o nich samych. I panu też powiem, zanim skończy się butelka dżinu.

Nalał sobie szklaneczkę tego piekielnego płynu i wypił, jakby to była woda. Powoli traciłem poczucie rzeczywistości. „La pauvre diable" mogło oznaczać zarówno nędzarza, jak przedstawiciela złych mocy. – Skąd się pan tu wziął, w Biarritz? Na turnieju, a potem w kasynie? – Rozumiem – uśmiechnął się demonstrując zęby żółte i zepsute – zdezorientował pana mój wygląd. Cóż, minęły dni chwały. Ale nie ma ważkiej imprezy w europejskim sezonie, na którą nie byłbym zaproszony. O zaproszeniach na niektóre nawet sam decyduję. Chciałby pan zagrać na trawiastych kortach Wimbledonu, hę? – Aha, pan jest z brytyjskiego związku… – Bynajmniej. Mam mały warsztat naprawy rakiet na jednym z londyńskich przedmieść. Nowe naciągi dla amatorów i tak dalej. Lecz „Big Bill" Tilden, gdy przyjeżdża do Londynu, przesiaduje całymi godzinami u mnie, zaś prezes królewskiego stowarzyszenia lawn-tenisowego zaprasza mnie przed każdą ważną decyzją do swego klubu na kolację, mimo że ubieram się bardzo źle i piję o wiele za dużo, niż pozwalają na to regulaminy ekskluzywnych klubów na Pall Mall. Bo, widzi pan, ja się znam na tenisie. Kiedyś sam grałem, ale krótko. Zabłysłem jak meteor i rokowano mi największą karierę w dziejach tenisa. Nie zrobiłem tej kariery – lecz to inna historia. W każdym razie pan i ja jesteśmy jednej krwi, jak mawiał Kipling. Gdy tylko pana ujrzałem na korcie

wzruszenie ścisnęło mi gardło. To byłem ja sprzed dwudziestu lat – jeżeli kiedykolwiek urodzili się dwaj ludzie z szóstym zmysłem do odbijania piłek, którego narządem jest rakieta, to ludźmi tymi jesteśmy my dwaj. Pan ma tenis w żyłach, w stawach, ścięgnach i korze mózgowej. Piłka szuka pana na korcie, a nie pan goni piłkę, jak to czynią wszyscy inni. Instynkt najkorzystniejszego ustawienia się jest tak panu właściwy jak to, co jest dane gołębiowi pocztowemu, aby go wieść właściwą drogą. Niebawem dojdzie pan do przekonania, że na pańskim szczeblu tenisowej potęgi umiejętność, kondycja i rutyna nie znaczą nic, że są to atrybuty tenisowych rzemieślników, bez względu na to, jakie mistrzowskie tytuły byłyby ich udziałem. Na pańskim stopniu wtajemniczenia rządzi już tylko instynkt i wszystkie nadprzyrodzone siły, skrystalizowane w przypadku. Mój Boże, jak łatwo się stać ich igraszką, a im wyżej wzbije się pan na poziomy tenisowego geniuszu, tym łatwiej spowodują one pana upadek. Pan jest Polakiem, młody człowieku, strzeż się tedy rozpaczy i alkoholu, bowiem z tymi rzeczami Polacy słabo na ogół dają sobie radę.

Byłem zaszokowany tymi słowami, chaotycznymi lecz pełnymi treści – chociaż bynajmniej nie przekonany. A już za żadną cenę nie chciałem wrażenia, jakie na mnie wywarły. – Więc co pan radzi? – spytałem z niepewnym uśmiechem po chwili milczenia – cóż czynić? Jak postępować?

Po raz pierwszy Anglik uśmiechnął się serdecznie ujmująco, z prawdziwą sympatią. – Widzę, że pan nie bierze moich słów poważnie. Może to i dobrze. Nie wyobraża pan sobie, jak bardzo pragnąłbym się w tym wypadku pomylić. Moje sądy były zawsze trafne, przestało mi to sprawiać satysfakcję a pan mi się podoba, mój chłopcze. Obawiam się jednak, że jestem skazany na słuszność. Dopił gin, zapłacił, ruszyliśmy ku wyjściu. Zaraz za progiem powiedział: – Gdy ci już nic nie pozostanie, kiedy znajdziesz się bez zdrowia i siły, bez sławy i przyjaciół, bez pieniędzy i nadziei – wtedy odszukaj mnie. Ale nigdy przedtem – tylko wtedy bowiem będziemy mogli usiąść do prawdziwej rozmowy o tenisie przy butelce starej whisky. Tymczasem – *good luck*… – znikł w ciemnościach tak nagle, jak się

zjawił przede mną w kasynie. Nigdy nie miałem okazji rozmawiać z Tildenem ani z prezesem brytyjskiego Tennis Clubu, a pytani przeze mnie angielscy tenisici nie mieli pojęcia o tym człowieku. Nigdy nie spotkałem go w Wimbledonie mimo usilnych poszukiwań, zaś doktor Manel, kiedy spytałem go o słynnego tenisistę Anglika z początków lat dwudziestych, który zabłysnął jak meteor i równie szybko zgasł, popatrzał na mnie jakoś dziwnie i uciął rozmowę. Szybko zapomniałem o tym epizodzie, jak lawina przetaczały się przez moje dwudziestoletnie życie sukcesy na korcie, jak pozew mobilizacyjny wkroczyła w nie nagle Karolina. Raz tylko nawiedziło mnie, z niezwykłą siłą wspomnienie rozmowy w Biarritz. Było to podczas mego pierwszego pobytu w Wimbledonie; w eliminacjach drugiej rundy grałem z trzecią rakietą Szwecji, rudym, zwalistym olbrzymem o ramionach gorylej długości. Przegrywałem haniebnie. Szwed bił mnie kondycją, techniką, a nade wszystko ogromną siłą fizyczną, która dawała jego piłkom dynamikę artyleryjskich granatów. Dwa sety przegrałem gładko, w trzecim, przy stanie 5:2, Szwed ma trzy piłki meczowe. Dwie bronię dzięki błędom przeciwnika, trzecią – niezwykle ostry serw – łapię z trudem i idę za nią po desperacku do siatki.

W ułamku sekundy widzę, jak Szwed czeka na słabo odwróconą piłkę, ustawia się do straszliwego drive'u, którego uderzenie zdolne byłoby zabić wołu, czuję raczej niż dostrzegam tor piłki, wystrzelonej prosto w moją głowę, kulę się przy siatce w skurczu strachu, wystawiając na oślep obronnym gestem, rakietę ponad siebie, piłka odbija się od rakiety pod niezwykle ostrym kątem, kończąc bezapelacyjnie wymianę na moją korzyść. Za chwilę zaczynam grać jak z nut. Wyrównuję w gemach, Szwed jest wytrącony z równowagi, wygrywam seta i dwa następne przy zupełnym załamaniu nerwowym przeciwnika. W tłumie gratulujących wydaje mi się, że dostrzegam twarz mego dziwnego rozmówcy z Biarritz. Rzucam się w tę stronę, lecz jest to złudzenie, przy czym zachowanie moje wzbudza wśród obecnych obawy o stan moich nerwów. Zaś w nocy śni mi się zmięta,

niechlujna twarz znad zalanego winem stolika, powtarzająca spoza butelki ginu: „A widzisz!… A widzisz!…”

Karolina zjawiła się w chwili, gdy sięgałem po rzecz najważniejszą – po mistrzostwo Polski. Była to szczupła dziewczyna o ciemnych włosach, smukłych nogach i szarych oczach. Nie grała w tenisa, z tej dziedziny interesowały ją tylko moje sukcesy i moja pozycja, nigdy zaś nie potrafiła wniknąć w to wszystko, co kryło się poza zwycięstwami, co było mną samym.

Kochała mnie, to prawda, znajdowała pełne upodobanie w mej młodzieńczej żywotności i sile, lecz w niczym nie potrafiła mi pomóc. Była mi wierna, lecz nade wszystko ceniła sobie powodzenie u innych mężczyzn, owe przelotne, jednodniowe konkiety i zachwyty, które łowiła z najwyższą satysfakcją w oczach każdego świeżo poznanego. Wiarołomna i prawa zarazem, przekonana o swojej subtelności i uczuciowości, a w gruncie rzeczy bezwzględna i trzeźwa, nie odegrała w mym życiu roli niszczącej, ale nie umiała podać mi ręki w chwili klęski. Oczywiście nie dostrzegałem tego wszystkiego tak, jak to widzę obecnie, oślepiała mnie nieszczęśliwa miłość, ten wyrostek robaczkowy w psychice każdego człowieka, ta krzywda niezasłużona, będąca udziałem każdego z nas; niebawem jednak życie miało mi ukazać prawdę. Klęska wisiała nad mą głową, złe moce rozpoczynały właśnie wokół mej postaci swą piekielną sarabandę. Złe moce w tenisie, ha… ha… ha…, a cóż to za chora fantazja może się dopatrywać jakichś nadprzyrodzonych igraszek wśród zalanych słońcem realiów świata kortów, białej flaneli, pełnych widzów trybun? A przecież jak nazwać to, co się zaczęło dziać ze mną? W mistrzostwach Polski zająłem drugie miejsce – było to duże osiągnięcie, rokujące świetne widoki na przyszłość. Ale sukces ten miał skazę: w półfinałowym spotkaniu, które wygrałem po pięciosetowym, trzygodzinnym boju z dotychczasową drugą rakietą Polski, zaszło kilka nieporozumień sędziowskich. Sędziowie liniowi nie mogli się zgodzić co do prawidłowości kilku ważnych, rozstrzygających piłek, publiczność podzieliła się na dwa obozy i zwycięstwo moje powitane zostało

nie bez zastrzeżeń. W prasie były o tym wzmianki. Radość z tytułu wicemistrza zmącona została lekkim uczuciem niesmaku, tym bardziej że wiedziałem o swej rzeczywistej wyższości nad pokonanym przeciwnikiem. Sprawa poszła rychło w zapomnienie aż do chwili, gdy w meczu daviscupowym z Francją stała się rzecz następująca: grałem z młodym singlistą francuskiej ekipy, przystojnym, żywiołowym mężczyzną, na wypełnionych po brzegi kortach Roland Garros. Miałem swój dzień; piłka, jakby uwiązana na niewidocznej nitce, szła bezbłędnie tam wszędzie, gdzie kierował ją mój wzrok i moja ręka. Wygrałem pierwszego seta i prowadziłem wysoko w drugim, zwycięstwo moje nie ulegało dla nikogo wątpliwości, gdy naraz mój przeciwnik skręcił nogę. Nie było w tym żadnego pozerstwa, tak częstego na korcie, autentyczny wyraz bólu skrzywił mu jego miłą, ładną twarz. Ale odmówił zejścia z kortu i grał dalej. Mnie nie wolno było nic powiedzieć, ani nic uczynić, regulamin nakazuje w takich wypadkach grać. Poczułem rodzaj psychicznych mdłości, było mi niewypowiedzianie przykro i głupio, cała radość gry i walki, cały smak zwycięstwa zatruty został czymś gorzkim, a niezawinionym. Cokolwiek bym nie uczynił, byłoby źle, mój przeciwnik będzie miał zawsze rację. Jeśli wygram – będę brutalem, jeśli przegram – niedołęgą. Byłem człowiekiem pozbawionym nagle prawa wyboru, a więc wpadłem w najgroźniejszą zasadzkę moralną. Postanowiłem zagrać bardzo ostro, sądząc, że jest to najwłaściwszy sposób okazania szacunku dla przeciwnika; sprawiło to, że następny set był formalnością, ale za to schodząc z kortu, po raz pierwszy nie usłyszałem ani jednego oklasku. Przeszedłem do szatni ze spuszczoną głową, czując na plecach wrogie spojrzenia. Wieczorem wymknąłem się mym towarzyszom, usiadłem na barowym krzesełku jakiegoś bistro i po raz pierwszy w życiu wypiłem samotnie kilka kieliszków koniaku. Szukałem w nich pomocy dla rozwikłania gnębiących mnie zagadnień natury moralnej – znalazłem sztuczną wesołość i zapomnienie i to było najgorsze. Nazajutrz nie chciałem czytać gazet, wiedziałem co w nich znajdę, a przecież nie było w tym mojej winy. W Warszawie opowiedziałem o wszystkim

Karolinie, o tym, co czułem, i o tym, czego się obawiałem. – Mój drogi – rzekła – postąpiłeś słusznie, w jedyny właściwy sposób.

Nagła fala niechęci zalała mi serce. Karolina nie rozumiała, że w mojej sytuacji żaden sposób postępowania nie był właściwy i że w tym właśnie tkwi-fa tragiczność. Jak zapach z nieodcyfrowanych sfer bytu rozbłysło w mej duszy wspomnienie Anglika z Biarritz.

Sezon, o którym mówię, upłynął pod znakiem niekończących się sukcesów. Grałem świetnie, wygrywałem zawsze i wszędzie, w meczach międzypaństwowych i w turniejach międzynarodowych, w kraju i za granicą. Były to jednak zawsze zwycięstwa ze skazą, cieniem, z jakimś „ale". W Katowicach mylili się na moją korzyść sędziowie liniowi, w Brukseli, po zdobyciu przeze mnie zimowego mistrzostwa Belgii na krytych kortach, prasa zakwestionowała wymiar kortów, w Baden-Baden dwóch mych kolejnych przeciwników łamało w czasie gry rękę. W ten sposób wydzierano mi owoce zupełnie zasłużonych zwycięstw nad przeciwnikami, od których byłem niedwuznacznie lepszy; spadały na mnie niezawinione ciosy przed którymi nie mogłem się bronić. Jedno z angielskich pism sportowych, donosząc o mych sukcesach na Riwierze, nazwało to, co się wokół mnie działo „a dirty mystery" – brudną tajemnicą. Byłem bliski płaczu, kiedy mi pokazano to zdanie; zrozumiałem, że nieznany dziennikarz trafił w sedno sprawy. Było to zaraz po owym strasznym wypadku w Antibes, który związał mnie na zawsze z alkoholem. Grałem finałowy mecz z doskonałym Amerykaninem, notowanym na czwartej pozycji w klasyfikacji swego kraju. Był on faworytem w tym spotkaniu. Pierwszego seta wygrał po ciężkich zmaganiach, w drugim prowadziłem ja; byłem świetnie usposobiony, znalazłem skuteczny środek na szybką i silną grę mego przeciwnika, atakując równie agresywnie i ostro przy siatce, i wydawało mi się, że wywalczę zwycięstwo, gdy naraz stało się coś potwornego. Mój bardzo silny serw Amerykanin odwrócił dość miękko i poszedł do siatki, nie doszedł jednak i osunął się na ziemię. Piorunujący volley z połowy kortu, którego nie zdołał złapać na rakietę, trafił go w nasadę szyi, powodując

natychmiastowy krwotok. Całą noc przesiedziałem w korytarzu szpitalnym, skąd poszedłem prosto do knajpy, gdy życiu Amerykanina przestało zagrażać niebezpieczeństwo. Cóż mogłem innego uczynić? Ja wiem, to zakrawa na zwykły powieściowy kicz, takie topienie nieszczęść w wódce, ale czy zastanawiał się pan kiedyś nad tym, ile racji tkwi w szmirowatych bulwarowych piosenkach o miłości, ile życiowej prawdy wyrażają nieudolnymi słowami różne: „Pamiętam twoje oczy dzikie…" lub: „I zawsze będzie czegoś ci brak…". Te niezręczne, śmieszne w swej lichocie zdania mają dla człowieka uległego miłości jasne i doniosłe znaczenie. Alkohol i miłość – najbardziej atrakcyjny sztafaż rzeczy ciekawych – miałem wkrótce zaznać jego uroku w pełni, albowiem Karolina wyszła niebawem za mąż za pewnego bogatego przemysłowca. Nie wiem, co ją do tego skłoniło, być może zagęszczająca się wokół mojej osoby odrażająca atmosfera, może po prostu przestała mnie kochać, a może nigdy nie kochała. Dla mnie był to wstrząsający cios. Powiedziała mi na pożegnanie: – Nie obawiam się o ciebie, dasz sobie radę w życiu. Jesteś mocny, mądry, utalentowany, masz wszystko przed sobą.

Te słowa osłodziły mi trochę rozstanie, albowiem od dawna nie słyszałem tak głupich i beztreściwych słów. Ich nicość była mi pociechą w tej chwili właśnie, gdy byłem słabszy, bardziej niż kiedykolwiek przerażony i zdezorientowany. Pozostawał tenis, o którym wiedziałem już dobrze, że prowadzi mnie w przepaść. Popadłem w dziwny stan duszy: bałem się gry i nie mogłem bez niej żyć. W ciągu bezsennych, topionych w alkoholu nocy przysięgałem sobie tysiąckrotnie, że nie wezmę więcej rakiety do ręki – rano wymykałem się chyłkiem, jakby tropiony przez kogoś, na korty, na które wchodziłem pełen obrzydzenia do samego siebie, jak do palarni opium. Wódka niosła ze sobą nieoczekiwane skutki, pod jej wpływem sięgnąłem po książki. Zacząłem od Claude Farrère'a i Choromańskiego, ale już wkrótce zapędziłem się w Norwida i świętego Augustyna. Dziwne, co? Te przesycone wódką noce miały w sobie jakąś orgiastyczność najbardziej nieoczekiwanego gatunku: spirytusowy płomień, który rozpalał mi mózg, rozjaśniał

jednocześnie stronice książek. Leżałem w kręgu lampy na tapczanie, piłem i czytałem. Czy szukałem w książkach jakichś odpowiedzi? Raczej nie – zresztą, nie wiem. Dość, że kiedy przeczytałem w jednej z rozpraw filozoficznych te słowa: „A jednak musimy sobie powiedzieć, że człowiek nie jest Bogiem i że bez uznania tajemnicy mowy być nie może o obiektywizmie…" – poczułem się nieco uspokojony i podniesiony na duchu. Niedługo trwała ta ulga, gdyż niebawem zabiłem człowieka. Wiem, co chce pan teraz powiedzieć, a raczej wykrzyknąć, rozumiem, że przerażenie walczy w panu ze zdumieniem i pożądaniem odpowiedzi na pytanie: jak to się stało, że nikt o tym nie wiedział, że gazety, opinia, plotki nawet nie odegrały w tej sprawie żadnej roli? To proste – miała ona tak tragiczny posmak, że musiała zostać zatuszowana bez reszty. Widzi pan, ja miałem wroga śmiertelnego, gotowego na wszystko wroga, którego głębię nienawiści do mnie znałem tylko ja, być może – on sam. Nienawidził mnie zaś za to, że posiadałem wszystko, co jemu było odmówione: był to doskonały tenisista-wyrobnik, uparty rzemieślnik bez krzty talentu i polotu, który żmudną, pełną udręk i morderczych wyrzeczeń pracą zdołał po wielu latach osiągnąć to, co dawała mi jedna chwila, jeden przebłysk mego talentu, jeden odruch wrodzonego instynktu. Kochał tenis całą siłą gigantycznego wkładu pracy, jakiego dokonał, aby osiągnąć swą dobrą, choć nie czołową pozycję w polskiej klasyfikacji. Marzeniem jego życia było wygrać ze mną, którego nienawidził, było to jednak marzenie nieziszczalne, wobec czego zaczął mi szkodzić; czynił to finezyjnie, zręcznie i z takim mistrzostwem, na jakie zdobyć się może tylko wysokiej klasy namiętna nienawiść. Wreszcie stała się rzecz groźna: człowiek ten wpadł na trop mego nałogu. Wiedziony jakąś szatańską intuicją przyszedł do mnie o trzeciej nad ranem i zastał mnie w domu samego i kompletnie pijanego. Nazajutrz, na kortach, zaproponował towarzyską partię debla, śledząc czujnie każdy mój gest. Przystałem niechętnie – zagraliśmy razem, mając za przeciwników reprezentacyjną parę Polski. Grał wtedy znakomicie, jak nigdy w życiu – jednocześnie czułem jego wzrok, wwiercający się we mnie; bezustannie; najwidoczniej doznawał

rozkoszy myśliwego, który za chwilę strzeli pewnie i bez pudła do zagonionej, upadającej ze zmęczenia zwierzyny. Mylił się, ale nie to było najgorsze. Najgorsze stało się, kiedy odwracając błyskawicznym forehandem piłkę z głębi kortu, trafiłem go, pochylonego przy siatce w kark. Zatoczył się, ale nie upadł, roztarł miejsce i grał dalej. Po grze robił cienkie i subtelne aluzje do wizyty u mnie, dając mi do zrozumienia, że wie wszystko i że ma mnie w ręku. W nocy został przewieziony do szpitala z wstrząsem podstawy czaszki i zapaleniem mózgu. Umarł po trzech dniach, nieodzyskawszy przytomności. Wyjechałem z Warszawy, wsiadłszy do pierwszego lepszego pociągu po trzech nocach nieprzytomnego pijaństwa. Następne dni stanowią kompletną lukę, białą plamę pamięci. Wiem tylko, że zostałem odnaleziony przez doktora Manela na dworcu w Radomiu, w łachmanach i cuchnący alkoholem, śpiący jak ostatni włóczęga na ławce w dworcowej poczekalni. Otworzyłem wtedy leniwie zaropiałe powieki, ujrzałem bladą z wrażenia twarz doktora i usłyszałem jego schrypły ze wzruszenia głos: – To nie twoja wina, Anatolu. Możesz wracać. Uczyniliśmy wszystko co trzeba w takim wypadku uczynić. Musisz mi tylko przyrzec, że już nigdy w życiu nie weźmiesz do ręki rakiety.

Wtedy zrozumiałem, że doktor Manel wie wszystko, absolutnie i bez reszty to wszystko, co się działo we mnie i wokół mnie. Pojąłem, że chce mnie ratować przede mną samym, przed ciemnymi potęgami, tkwiącymi we mnie i w moim losie. Odpowiedziałem: – Przyrzekam. I dziękuję panu za to, że pan tego ode mnie zażądał. – W dwa tygodnie potem wybuchła wojna i wszystko utonęło w wydarzeniach o największym wymiarze.

W butelce zostało jeszcze trochę calvadosu. Nalałem sobie szybko do długiej szklanki po kruszonie i równie szybko wypiłem. Kłuzda uśmiechnął się, ale nic nie powiedział. Palił wolno papierosa, zaciągając się głęboko.

Na taras wszedł krępy, mocno zbudowany pan o ciemnych, siwiejących włosach i krwistej cerze czerstwego Francuza, któremu dobrze służą jeziora i wina, wypijane przy każdym posiłku. Był ubrany w szare spodnie z flaneli i biały pulower; przechodząc obok naszego stolika stanął naraz jak wryty.

– Nom de Dieu!… – zaczął wskazując palcem na Kłuzdę i dławiąc się potokiem słów, które momentalnie wypełniły mu usta – przecież… no nie!… no tak!… Pan jest?… Ależ naturalnie – to Kłuzda, wielki Kłuzda! To pan! Jakże się cieszę! Poznaje mnie pan, prawda?

Kłuzda wstał i podał mu rękę.

– Ależ tak, poznaję pana… – powiedział z miłym uśmiechem, który dowodził, że nie ma zielonego pojęcia, z kim rozmawia – poznaję pana, panie…

– Fraise. Jean Fraise z paryskiego Racing Clubu. Przecież pamięta pan…

– Pamiętam, pamiętam… – mówił Kłuzda z głębokim namysłem, z którego wynikało, że nic absolutnie nie pamięta. Były to zresztą ostatnie słowa Kłuzdy, gdyż za chwilę Francuz zapanował nad nami niepodzielnie. Wyrzucał z siebie wyrazy z szybkością karabinu maszynowego, zadawał dziesiątki pytań, odpowiadając sam sobie na większość z nich. Interesowało go, jak Kłuzda przebył wojnę, co się z nim działo, dlaczego tak źle wygląda, czy się ożenił, czy ma dzieci, kto zginął z jego rodziny, co robi w tej chwili na Riwierze, jakie ma zamiary, czy potrzebuje pieniędzy, czy zamierza brać udział w nadchodzących turniejach. Na to ostatnie pytanie Kłuzda odpowiedział tak krótkim i suchym „nie", że Francuza zastopowało na moment. Szybko jednak przyszedł do siebie i znów rzucił się na Kłuzdę z bezmierną żałością w głosie:

– Ależ monsieur Kłuzda, jak tak można, tu się teraz kroi championat na światową skalę, przyjeżdżają zawodnicy z Paryża, a także Amerykanie i południowi Afrykańczycy. Pański udział byłby prawdziwą ozdobą, solą tej znakomitej potrawy, a jeśli chodzi o inne rzeczy, to ja rozumiem, Warszawa zdruzgotana przez tych salauds nazi, ale ja jestem w komitecie organizacyjnym, proszę się o nic nie troszczyć, pan rozumie, dla nas to będzie wielki zaszczyt ponieść pewne koszta…

– Nie, panie Fraise, niestety, nic się nie da zrobić. Przez prawie trzy godziny wyjaśniałem temu panu, dlaczego nie gram w tenisa, i jestem już trochę zmęczony wyjaśnieniami. Chętnie przyjdę popatrzyć, o ile da mi pan

wolny bilet wstępu i o ile jeszcze będę w Y, ale nic ponadto, drogi panie Fraise. Kelner – zawołał – chciałbym zapłacić.

Nie pozwolił mi uregulować całego rachunku i zapłacił za calvados. Fraise atakował dalej bez powodzenia. Wreszcie zrezygnowany rzekł:
– Panie Kłuzda, proszę mi przynajmniej zostawić swój adres, tak na wszelki wypadek…

– Ja… nie mam adresu – odparł cicho Kłuzda. I dodał po polsku w moją stronę: – Proszę mi wierzyć, to nie jest poza, to jest prawda.

Pożegnał się i szybko wyszedł. Zostałem sam z Fraisem, który był człowiekiem inteligentnym i szybko zrozumiał, że stał się naraz świadkiem spraw trudnych i skomplikowanych. Oględnie poinformowałem go o tym, że Anatol Kłuzda, świetny polski tenisista o światowej sławie, przestał grać w tenisa na skutek pewnych, bliżej nie znanych szerszej opinii przyczyn osobistych. Fraise węszył sensację, był niezmiernie ciekaw szczegółów i indagował mnie dość bezceremonialnie a wnikliwie, jak zorientowany fachowiec. Rozstaliśmy się jako dobrzy znajomi, przy czym Fraise pragnął koniecznie umówić się ze mną na następną pogawędkę, licząc widocznie na odstępstwa od mej powściągliwości.

Przez kilka dni nie miałem żadnych wiadomości o Kłuzdzie, myślałem, że opuścił Y. Szukać go nie miało sensu w tym czasie, gdy cała Europa przypominała gwałtownie przemeblowywane mieszkanie, a miliony ludzi żyły w stanie nieustannej przeprowadzki. Wreszcie którejś nocy zbudziło mnie natarczywe pukanie do drzwi mojego pokoju. Zerwałem się z łóżka – zegarek, na który rzuciłem okiem, wskazywał piątą rano – narzuciłem szlafrok i otworzyłem; przede mną stał Kłuzda. Twarz miał bardzo bladą i zmiętą, wyglądał jak po długotrwałym pijaństwie, czuć było odeń wódkę. Uśmiechnął się nieprzyjemnie i rzekł:

– Bardzo przepraszam, że tak rano. Zbudziłem pana?

– Oczywiście, ale nie szkodzi. Niech pan siada. Gdzie się pan podziewał? – Usiadł, zapalił papierosa i zaczął bez wstępów.

– Będę musiał poprosić pana o pożyczkę. Zmieniłem zamiary, startuję w tym turnieju, o którym mówił Fraise.

Niedbały na pozór ton Kłuzdy, z jakim wypowiadał te arcyważkie słowa, miały w sobie akcenty tragiczne. Dreszcz przeleciał mi po plecach; może to gwałtowne przebudzenie, a może niezwykłość sytuacji ścisnęła mi gardło i serce owym zimnym skurczem, którego doznajemy wobec rzeczy wielkich.

– A pańskie przyrzeczenie na radomskim dworcu? – rzekłem cicho.

– Proszę się ubrać – powiedział Kłuzda – chcę panu coś pokazać, co znajduje się dość daleko od tego hotelu, za daleko na spacer w szlafroku. A jeśli chodzi o przyrzeczenie – dodał cedząc wolno słowa – to jestem od niego zwolniony. Nie zdążyłem tego panu wtedy opowiedzieć, zanim zjawił się Fraise, dokończę więc dzisiaj.

Ubrałem się szybko i wyszliśmy – odprowadzani podejrzliwym okiem nocnego portiera mego hotelu – prosto w prześliczny śródziemnomorski brzask dnia. Kłuzda prowadził mnie szybkim krokiem w stronę starej, zapuszczonej, ubogiej dzielnicy miasta. Nie zdradzał ochoty do rozmowy, na moje pytania odpowiadał krótko i niechętnie. Po kwadransie zatrzymał się w wąskiej uliczce przed małym, nędznym sklepem komisowym, zamkniętym o tej porze na cztery spusty. Poza okratowaną szybą, wśród starych aparatów fotograficznych, zakurzonej porcelany, fuzji myśliwskich i książek leżała rakieta tenisowa. Była to bardzo ładna rakieta, o smukłej lecz mocnej szyjce, nad którą wyraźnie widniała marka „Maxplay", nie zniszczona, widać mało używana.

– To moja rakieta – wskazał palcem Kłuzda – są na niej jeszcze moje inicjały, była specjalnie dla mnie zrobiona przez specjalistów od Dunlopa.

– Skąd pan wie?

– Oczywiście poznałem ją od razu. Byłem także wczoraj w tym sklepie, żeby się upewnić. To ta sama. Stary Włoch, właściciel sklepu, powiedział mi, że ta rakieta przynosi nieszczęście. Zostawił ją pewien Meksykanin, który przegrał cały swój majątek w miejscowym kasynie i popełnił samobójstwo. Znaleziono przy nim kwit komisowy i w ten sposób obecnie rakieta nie

należy do nikogo. Oddając ją tutaj Meksykanin ów miał powiedzieć: „To jest piekielny przedmiot. Wiem o tym dobrze od jej poprzedniego posiadacza, który uderzył się nią w kolano tak fatalnie, że wywiązał się stan zapalny i facet stracił nogę. Mnie też wyrządziła kilka świństw, nie chcę jej więcej wziąć do ręki…" To by się zgadzało z moimi doświadczeniami. Ten podły zlepek wypolerowanego drewna i zwierzęcych jelit miałem w ręku w chwili wypadku z owym młodym Amerykaninem w Antibes. Natychmiast po tym zdarzeniu sprzedałem ją jakiemuś Norwegowi, który skakał ze szczęścia, kupując za psie pieniądze tak świetny sprzęt. Nie wiem, co się z nim stało, ale przypuszczam, że nic dobrego. Mam wstręt do tego „Maxplay'a", mało, obawiam się go i dlatego zagram nim w nadchodzącym turnieju. Trzeba przerwać jego złą wędrówkę po świecie, bez względu na to, co się ze mną stanie.

Zrozumiałem. To miała być wspaniała ekspiacja, pogłębiona o nieprzytomne ryzyko. W obecnej sytuacji Kłuzdy niewiele już było gorszych ewentualności od jego własnego losu, a te, które pozostawały, nosiły charakter rozwiązań ostatecznych.

– A pańskie przyrzeczenie? – spytałem po raz drugi tego ranka.

– Widzi pan, w Powstaniu biłem się w okolicach placu Teatralnego, w tej dzielnicy mieszkał doktor Manel. Spotkałem go w jednej z piwnic. Był smutny i zrezygnowany, ale nie złamany, miał wielodniowy zarost na twarzy, lecz nie stracił nic ze szlachetnego wykwintu swego sposobu bycia. Rozmawialiśmy krótko i serdecznie, parę minut zaledwie, mój oddział wychodził na pozycje. Zdążył mi jednak powiedzieć: „Nad twoją głową, chłopcze, sprzysięgły się złe moce. Gdy będziesz w moim wieku, uwierzysz w ich rzeczywistość, ale mimo wszystko – wiedz o tym – człowiek sam wykuwa swój los. Spróbuj się jeszcze raz z nim zmierzyć, jeśli uznasz, że nadeszła odpowiednia chwila. Może uda ci się zwyciężyć i ocalić to, co sam w sobie kochasz najbardziej…" Były to ostatnie jego słowa, w kilka godzin później bomba lotnicza zdruzgotała dom, zasypując piwnice, z których nikt

nie wyszedł żywy. Otóż ta chwila, o której mówił Manel, nadeszła. I dlatego proszę pana o kilkaset franków na wykupienie tej rakiety.

Wyjąłem banknot z kieszeni i podałem mu. Podziękował, pożegnał się obojętnie, zawrócił na pięcie i zniknął w jednej z krzywych, bocznych uliczek.

W kilka dni później otrzymałem zaproszenie do loży na otwarcie pierwszego po wojnie turnieju tenisowego w Y. Ogarnęła mnie jakaś dziwna gorączka; całą noc, poprzedzającą dzień otwarcia, męczyłem się bezsennie, byłem przejęty i podniecony, jakby turniej ów stanowił coś niezmiernie dla mnie ważkiego i rozstrzygającego. Drżały mi ręce, kiedy przed pójściem na korty wiązałem krawat.

W loży obok mnie siedziało dwóch angielskich pułkowników – jeden mały i chuderlawy, drugi gruby i pocący się niemiłosiernie w promieniach śródziemnomorskiego słońca. Niedziela była piękna jak rzadko, tłumy widzów, przeważnie w mundurach, pokryły stoki trybun centralnego kortu. Mer miasta Y wygłosił emfatyczne przemówienie, w którym przypomniał heroiczne boje tenisowe, toczone niegdyś przez różnych asów na tychże kortach, i zakończył apostrofą o pełnej chwały, nieśmiertelnej Francji, ojczyźnie Joanny d'Arc. Speaker odczytał listę spotkań dnia: w pierwszej parze na centralnym korcie grał Kłuzda z młodym, wysoko notowanym singlistą paryskim. Był to zaszczyt, wyróżnienie, a może tylko wyczucie sensacji, jakie w nieoczekiwany sposób przejawił komitet organizacyjny turnieju. Siedzieli w nim widać dobrzy specjaliści, pamiętający przedwojenne wyczyny Polaka. Nazwisko Kłuzdy nieobce było także widzom: kiedy speaker dodał przy nim „mistrz Polski w grze pojedynczej panów na rok 1939", lekki szmer przebiegł po trybunach, a siedzący w sąsiedniej loży oficer amerykański rzekł do swej towarzyszki:

– Widziałem przed wojną tego chłopaka. Pokazał on tak wspaniałą grę w defensywie, jakiej nigdy przedtem ani nigdy potem nie zdarzyło mi się zobaczyć.

Przeciwnik Kłuzdy był wysokim, mocno zbudowanym młodym człowiekiem o szerokiej klatce piersiowej. Kłuzda, smukły i drobniejszy, wyglądał przedziwnie młodo, gdy wchodzili razem na kort, owinięci w pulowery i ręczniki, z naręczem rakiet w ramionach. Francuz uśmiechał się przyjemnie i młodzieńczo, rozmawiając z sędzią i prowadzącym zawody prezesem miejscowego klubu; Kłuzda natychmiast wyłuskał mnie wzrokiem z tłumu, uśmiechnął się jakoś po polsku i prawą ręką wykonał ów arcywarszawski gest zgiętym przedramieniem i z wysuniętym na bok łokciem, mającym oznaczać, że wszystko jest w niebywałym porządku. Uśmiechnąłem się w odpowiedzi, dodając ten sam gest, co wywołało zdziwioną dezaprobatę moich angielskich sąsiadów. Serce jednak ścisnęło mi się nieoczekiwanie, jakby nie wszystko było w tak zupełnym porządku. Już od pierwszych piłek widać było, że Francuz jest groźnym przeciwnikiem i przedstawicielem najnowszego, ofensywnego, bazującego na sile fizycznej stylu gry. Wraz z piekielnie silnym i szybkim serwem pruł – jak biała błyskawica – do siatki, wyłapywał w fantastycznym rozrzucie całego ciała, usiłującą go minąć piłkę i kończył ją bezapelacyjnie. Przez pięć pierwszych gemów Kłuzda nie istniał na korcie. Rozczarowanie wzbierało na trybunach, jak nadciągający deszcz. Byłem wściekły na siebie i przerażony zarazem; wyrzucałem sobie, że tkwiąc przez cały czas w urzekającej atmosferze, jaką wytwarzał wokół siebie Kłuzda, zapomniałem o najważniejszych w sporcie prawach treningu i kondycji. Przecież to był bezgraniczny nonsens zgodzić się bez protestu na jego udział w normalnym, ciężkim i silnie obsadzonym turnieju po sześciu latach kompletnej separacji od tenisa. To zakrawało na groteskę i szmirę zarazem.

W ostatnim gemie nawiązała się krótka walka rozstrzygnięta przez Francuza na jego korzyść, i w ten sposób Kłuzda przegrał gładko seta. W przerwie Kłuzda, podszedł do mojej loży. Ze zdumieniem zauważyłem zupełny niemal brak zmęczenia na jego twarzy, był tylko lekko spocony.

– No i co? – spytał. Natychmiast też poczułem bijącą odeń woń alkoholu.

– Tego się mogłem spodziewać – zgrzytnąłem panując nad sobą – nie dość, że stał się pan tu bohaterein smutnej komedii, zgadzając się na start po tylu latach absencji, ale jeszcze jest pan pijany!

– Mówi pan głupstwa – uśmiechnął się bez urazy – nie jestem pijany, mam tylko za sobą nieprzespaną noc. Rozmawiałem przez wiele godzin z tą rakietą i wypiłem kilka kieliszków nad ranem, aby się rozgrzać. Zresztą zobaczy pan, co tu się zaraz będzie działo.

Powiało niesamowitością i szaleństwem. W słoneczne, kolorowe popołudnie, wśród tłumu ludzi, poczułem jakiś mroczny dreszcz, jak na upiornych filmach o nocnych, zasnutych deszczem i mgłą zamczyskach.

Nagle znów stało się jasno, mimo że na korcie zaczęły się rozgrywać rzeczy naprawdę niesamowite. Huraganowe ataki Francuza natrafiły naraz na ścianę. Szatańskie skróty, piorunujące volleye o sile i szybkości odrzutowego pocisku, nieprawdopodobne smashe, zdolne wybić dziurę w korcie – wszystko to natrafiało u końca swego toru na rakietę Kłuzdy ustawioną tak właśnie, jak trzeba do skończenia piłki. Zdawało się, że cały korpus Kłuzdy w nieprzytomnym skręcie leci za rakietą ciągniętą w przestrzeń przez magiczną siłę. Zjadliwe, wijące się po ziemi piłki znajdowały tę rakietę na ułamek dziesiętny sekundy przed ponownym dotknięciem kortu; odwracane z tych straceńczych pozycji lądowały nieomylnie o kilka milimetrów od linii rogów po przeciwległej stronie. Francuz szalał, dawał z siebie maksimum pasji i umiejętności, grał najlepszy mecz w swoim życiu, raz po raz zrywał się do gigantycznych ataków, pomnożonych tysiąckrotnie przez siłę namiętnej młodości – lecz rakieta Kłuzdy była wszędzie, każdy atak rozbijał się o coś nie do przebycia i siły atakującego kruszały, nikły, rozpływały się jak fale powietrza sprężonego w burzę, która nic nie poradzi skalnemu murowi. Przy stanie 5:1 dla Kłuzdy Francuz rozpaczliwie poderwał się raz jeszcze do walki, ale był to ostatni zryw heroizmu raczej niż możliwości; publiczność wstała z miejsc, cisza zapanowała jak na pogrzebie – ciszę rozerwał za chwilę gwiżdżący drive setowej piłki, która strzeliła z ramienia Kłuzdy, i – grzmot oklasków. Znalazł

się naraz przy mnie Fraise, rozgorączkowany i zachłystujący się tysiącem słów jednocześnie, moi angielscy sąsiedzi powtarzali na przemian: „Wspaniale!" i „Znakomicie!". Kłuzda, zmieniając stronę, zatrzymał się przy mnie. Wycierał twarz ręcznikiem.

– Ta rakieta jest zaczarowana. To ona gra, a nie ja – rzekł spokojnie i poważnie. Oczy miał przytomne i smutne.

Poczułem naraz przypływ strachu i chęć ucieczki, jak człowiek wplątany w tajemnicę, której nie chciał znać i której się bał. Kłuzda odszedł na kort i zostałem sam ze swoją wiedzą, jedyny wśród tego tłumu, widzącego tylko najzewnętrzniejszą stronę rzeczy, przykuty niewidzialnym nitem do krzesła.

Dwa następne sety były prostą formalnością, naprzeciw Kłuzdy walczył już cień zawodnika sprzed godziny, znikome resztki żywiołowości, uśmiechające się tylko z podziwem po każdym udanym zagraniu przeciwnika. Ostateczne zwycięstwo Polaka było czymś tak oczywistym, że nie wywołało nawet owacji.

Punkt kulminacyjny widowiskowej frenezji leżał w drugim secie.

Siedziałem, otępiały z wysiłku nerwów, pośród zemocjonowanego i komentującego tłumu. Nie spuszczałem oka z Kłuzdy, otoczonego przez dziennikarzy, organizatorów, ciekawskich. Naraz ujrzałem, jak do grupy dopadł Fraise, blady i roztrzęsiony, krzyknął coś, po czym wszyscy rzucili się w stronę domku klubowego. Poderwałem się jak w transie – coś sformułowało mi w duszy dwa wyrazy: „Stało się! Stało się!… – powtarzane jękliwie jak na zepsutej płycie – i zacząłem przepychać się ku szatniom. Walczyłem z tłumem jak w koszmarnym śnie; już osiągałem taras, gdy ktoś złapał mnie za ramię i tuż przy swoje twarzy poczułem raczej niż ujrzałem nalaną twarz i zwisający wąsik właściciela bistro z Avenue de la Gare, entuzjasty tenisa.

– Cudownie! – zachłystywał się zachwytem, obejmując mnie wpół. – Genialne! Niech pan z nim potem przyjdzie, stawiam całą ciężarówkę najdroższej przedwojennej whisky!…

– Puść pan, słyszysz!… Do cholery, puść bo… – pchnąłem go gwałtownie ramieniem w pierś i skoczyłem na taras.

Przebiegłem restaurację i wpadłem do męskiej rozbieralni. Było tu mnóstwo ludzi, otaczających ławkę, na której leżał rozciągnięty jakiś biały kształt. Zdołałem zauważyć poszczególne elementy obrazu: stetoskop lekarski, przyłożony do czyjejś piersi, plamę krwi na podłodze, blade twarze stojących wkoło – to było wszystko. W głowie łomotało mi jedno: Kłuzda! Tu go nie było. Szarpnąłem najbliżej stojącego:

– Gdzie jest Kłuzda?

Nie wiedział. Nikt nie wiedział. Rzuciłem się w korytarz prowadzący do kabin i natrysków – było tu pusto i cicho. Pobiegłem aż do końca i już miałem wracać, gdy spoza zamkniętych drzwi umywalni usłyszałem cichy jęk.

– Otworzyć! – krzyknąłem po polsku. – Otworzyć! Natychmiast otwórz, ty durniu, idioto! Otwórz, bo…

Nie zmyliła mnie nagła cisza. Odbiłem się od przeciwległej ściany i rąbnąłem ramieniem w drzwi. Lakierowana dykta puściła od razu i siła rozpędu wrzuciła mnie na środek toalety. Kłuzda stał oparty o ścianę, z rakietą w ręku. Był już przebrany w swe unrowskie ciuchy, wyglądał jak pijany włóczęga. Oczy miał przymrużone, a w kącikach ust pianę. Rzekł:

– Po co ta cała awantura? Po co te warszawskie zwyczaje? Niech się pan ode mnie odczepi, dobrze?…

– Co się z panem dzieje na litość boską, niech pan skończy raz na zawsze z tymi fanaberiami, Kłuzda… – schwyciłem go za ramię, ale odepchnął mnie silnie. Pociągnął lekko palcami po naciągu. Struny wydały niebywały, niesamowity jęk, zupełnie jak płacz złego dziecka. Włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Skończę – powiedział Kłuzda z nieprzytomnym uśmiechem – zaraz skończę z tym piekielnym narzędziem nieszczęścia, z tym diabelskim prezentem. Niech pan będzie spokojny, zaraz…

Schwycił nagle oburącz rakietę i zaczął tłuc nią z potworną siłą w muszlę pisuaru. Trzask pękającego drzewa zmieszał się z ohydnym jękiem jakiegoś mordowanego stwora. Ogarnął mnie lepki, wstrętny lęk, nie mogłem się jednak ruszyć z miejsca. To potworne skomlenie dartych strun zdawało się doprowadzać Kłuzdę do szału. Mełł w ustach jakieś obelżywe polskie i francuskie przekleństwa, kopał i deptał strzępy drzewa i naciągu. Wreszcie odepchnął wszystko nogą, obciągnął marynarkę i zbliżył się do mnie.

– Pana mam dość – rzekł spokojnie i arogancko – proszę się raz na zawsze przestać mną zajmować i dać mi święty spokój.

I wyszedł z toalety opanowanym krokiem.

Na uginających się kolanach dotarłem do klubowego baru, gdzie wypiłem szybko dwa koniaki. Musiałem być bardzo blady, gdyż barman powiedział:

– Ale pana wzięło. Bo też i sądny dzień u nas dzisiaj.

– Aha. Ale co się właściwie stało z tym młodym paryżaninem? Nikt nie umie mi dokładnie powiedzieć.

– To ja panu powiem, któż zresztą może dokładniej ode mnie wiedzieć. Ma się to stanowisko… Otóż, kiedy ten chłopiec grał, przyszła depesza, że urodził mu się syn. Ci faceci z kierownictwa powiedzieli, że pokaże się mu tę wiadomość dopiero po meczu, bo i po co wcześniej. Jak wygra, to się ucieszy jeszcze bardziej, jak przegra, to go ta dobra nowina pocieszy, a tymczasem niech sobie spokojne gra. I rzeczywiście przegrał, dali mu depeszę, tak się uśmiechnął z radości, jakby w nim reflektor zapalili, narzucił tylko płaszcz i wyskoczył na ulicę, chcąc jak najszybciej na poczcie nadać gratulacje dla żony. Z zakrętu wypadł wojskowy jeep – wie pan jak ci pijani Amerykanie prują – no i resztę pan zna. Na śmierć, oczywiście, pęknięcie nasady czaszki, jak mówili ci, co się orientują. No i co jest warte życie ludzkie? I ta odrobina ludzkiego szczęścia? Tyle co ta ścierka do kieliszków, no nie?…

Chciałem poprosić o potrójny koniak, ale wydało mi się, że takie skwitowanie słów barmana byłoby za bardzo w jego własnym stylu.

Kłuzdy nie ujrzałem już nigdy. Wraz z Jeanem Fraise, z którym jeszcze tego samego dnia odbyłem kilkugodzinną rozmowę, objechałem całe Y, wszystkie knajpy, nabrzeża i komisariaty policji. Kłuzda znikł bez śladu i wieści, morze nie wyrzuciło jego trupa po kilku dniach, jak to zazwyczaj bywa w wypadkach samobójstwa. Co dziwniejsze – nikt nie miał pojęcia, co się stało z resztkami, pogruchotanego przez Kłuzdę fatalnego Maxplay'a. Wieczorem, po wspomnianej rozmowie, pojechaliśmy na korty; toaleta była czysto sprzątnięta, a nazajutrz cały personel klubu, od zarządzającego do ostatniej sprzątaczki przysięgał, że nie widział żadnych szczątków połamanej rakiety w żadnej toalecie.

Po kilku latach dostałem list od Fraise'a. Pisał mi obficie i ze swadą, że zafrapowany moim powiadaniem czynił w Londynie gruntowne i wytrwałe poszukiwania Anglika z Biarritz, owego „pouvre diable du tennis" – ale wszystko na próżno. Mimo świetnych kontaktów z elitą znawców i specjalistów nikt tam nic nie wiedział o takiej postaci, w konsekwencji czego on, Fraise, zaczyna się skłaniać ku przypuszczeniu, że spora część mego opowiadania o Kłuzdzie była owocem mej narratorskiej fantazji. Nie odpisałem na ten list, poczułem się urażony, aczkolwiek w tym czasie sam już zbyt dobrze nie wiedziałem, co wtedy, w Y, należało do świata rzeczywistości, a dziś nie dałbym nawet głowy za to, czy kiedykolwiek w życiu rozmawiałem z Anatolem Kłuzdą, znakomitym tenisistą. W każdym razie pewien jestem realności jednej rzeczy: owego potwornego uczucia strachu w klubowej toalecie. Dziś, wspominając to, czuję zimny dreszcz przerażenia, paraliżujący mi ruchy, identyczny lęk, jaki schwycił mnie za serce i mózg wtedy, kiedy uciekałem z toalety, bojąc się panicznie nawet spojrzeć w stronę leżących na klinkierowej podłodze połamanych kawałków drzewa.

Warszawa, październik 1951 r.

KOLACJA

Muchomorki stały na swoim miejscu i nie sprawiały wrażenia zepsutych. Piotr zeskoczył do kuchni po chleb, usiedliśmy na wyłączonych grzejnikach i jedliśmy z namaszczeniem: każdy muchomorek kosztował niemal jedną czwartą naszych oficjalnych poborów miesięcznych.

– *Pâtissier* robi ten farsz z portugalskich sardeli – rzekł Piotr.

-To taka pasta – przytwierdziłem. – Trzeba natychmiast powinszować sukcesu staremu *pâtissierowi*. Wyborne.

– Wypiłbym kieliszek reńskiego – westchnął Piotr – ale już za późno.

– Zorganizuję dziś ze dwie butelki – powiedziałem. – Chyba Brütsch da mi robić na stacji?

– Najwyższy czas, żebyś się o coś postarał – rzekł Piotr. – Nie wymawiam ci, ale sam rozumiesz…

– Ty holenderska glizdo – obraziłem się – jesz moje bułki, moje masło i moje muchomorki, za które czynisz mi przedtem obłudne wyrzuty natury etycznej, ponadto palisz moje byki i jeszcze wymawiasz mi parę nędznych łyków wina?…

– Na kolację jest *Eintopfgericht* – zwekslował Piotr, wymijająco – taki, jaki lubimy. Z fasolą i zapiekanymi ziemniakami.

Zeszliśmy na dół. W jadalni kelnerów siedzieli Pierre, Marcel, Jupp i Vessely. Rozepchnąłem Juppa i Pierre'a, usiadłem między nimi, postawiłem talerz na stole i zacząłem jeść.

– Ty nieokrzesany, słowiański parobku! – zawołał Jupp z maksymalnie dobrotliwą żartobliwością. – Czego się pchasz?

– Fakt – rzekł z drugiej strony Pierre po francusku – przestań, stary. Zgnieciesz mi frak. Dopiero co prasowałem klapy.

– Nie ma dla was litości – pochyliłem się nad talerzem, chłepcząc rozgłośnie i mlaskając. – Koniec świata zachodniego. Postępuję z wami jak moi pobratymcy spod Charkowa i Kurska.

Wszedł Savino w nieskazitelnym fraku, wytworny i pachnący, w ręku trzymał głęboki talerz pełen *Eintopfgerichtu*.

– *Conte* – powiedziałem – co się stało? Nieprawy wnuk Mussoliniego spożywający *Eintopfgericht*? Co jest?

– Wyjątkowo to lubię – oświadczył Savino – mimo że kartofle. Zróbcie trochę miejsca.

Wszedł Leo, usiadł na brzeżku ławki pod ścianą i zapalił papierosa marki Laurens-Abdullah.

– Oczywiście, jadłeś kolację w domu? – spytał Vessely.

– W ogóle nie jadłem kolacji – poinformował nas Leo. – Nie mam apetytu.

– Dzieci kapitalistów nigdy nie mają apetytu – rzekł Jupp. – Palą za to najdroższe papierosy na świecie.

– Jupp – ostrzegłem go – nie rozniecaj walki klasowej. Może się to dla ciebie smutno skończyć. Masz nakazane nienawidzić wyłącznie anglo-amerykańskich plutokratów. Rodzimych masz kochać i poważać.

Wszedł Abbelé z otwartą puszką tuńczyka na talerzyku.

– Skąd masz tuńczyka? – zainteresował się Savino. – Przecież nie było tuńczyka w obiadowym *hors d'oeuvres*?

– Miałem pewne należności u *entremetiera* – Abbelé uśmiechnął się krzywo.

– Ciekawym, co on może mieć za należności w kuchni? – spytał obojętnie Piotr.

– Jakieś brudne kombinacje w stylu króla Leopolda – powiedziałem; należało atakować, by uprzedzić ewentualny atak.

Abbelé stropił się nieco.

– Kto chce kawałek tuńczyka? – spytał trochę za głośno. – Sam nie zjem całej puszki. Za tłuste. Ale zmarnowali im Koblencję, co? – nadał

z wysiłkiem inny kierunek rozmowie.

– Co za siła to alianckie lotnictwo, nie? – odezwał się Marcel.

– Też jest się z czego cieszyć – rzekł Leo z lekceważeniem. – Niewinni ludzie giną.

– Jakoś nie martwiłeś się, jak ginęli niewinni ludzie w Warszawie i w Rotterdamie – rzekł spokojnie Piotr. – No, powiedz, martwiłeś się czy nie?

– Może się nie martwił, bo był głupi – wtrącił się Jupp. – A teraz zmądrzał i wie, że to wszystko do chrzanu i że nie powinno tak być. Ja też wiem i co drugi Niemiec wie.

– Teraz wiecie – powiedziałem – jak wam dosunęli aż do wątroby. Ale przedtem jakoś dziwnie nie chcieliście wiedzieć. Nic a nic.

– Jak wiecie – rzekł spokojnie Piotr – to dlaczego nie skończycie sami z tym gównem?

– Jak jesteś taki mądry – zaperzył się Jupp – to idź do Kancelarii Rzeszy i zamorduj Hitlera tym widelcem!

– Może tak dosyć tych głupich gadek o polityce – rzekł Abbelé. – Jesteście mali, zasrani kelnerzy i nic na to nie poradzicie. Po co to wszystko?

– Słuchaj, Abbelé – powiedziałem – wcale nie zdziwiłbym się, gdybyś zapisał się jutro na ochotnika do tej esesmańskiej dywizji Degrelle'a, która walczy na froncie wschodnim. Pomyśl: może by tak do intendentury, popracować przy belgijskich dostawach…

Abbelé poczerwieniał na karku.

– Za wielki szczyl jesteś – rzekł napastliwie, lecz bez przekonania – żeby tak do mnie mówić.

– Czego ty się w ogóle ciskasz? – poderwał się do mnie Jupp; na chudych policzkach wystąpiły mu ceglaste plamy. – Przyjeżdża tu taki dobrowolnie, z zupełnie dzikiego kraju, je, pije, wymiguje się od rzetelnej roboty w najlepszym hotelu Frankfurtu, chodzi ubrany jak lord i wyleguje się na pływalni po całych dniach. I jeszcze pyskuje.

Skończyłem jeść, otarłem usta, spojrzałem na Juppa bez słowa i pokiwałem głową. Musiał być jednak kawał kamienia w tym spojrzeniu, gdyż po chwili ciszy Jupp rzekł dość płaczliwie:

– Za co ty mnie właściwie nienawidzisz? – Był pewny, że mu zaprzeczę, że będę się tłumaczył z tak ciężkiego zarzutu absurdalnego na pozór w naszych warunkach.

– Za to, że jesteś Niemcem – powiedziałem spokojnie, zaś Piotr skinął głową z aprobatą.

– Ale przecież nie zrobiłem ci nic złego, no nie? – upierał się Jupp. – Możesz mnie nie lubić, możesz mną pomiatać, uważać mnie za durnia i ofermę, ale nie wolno ci mnie nienawidzić. No, powiedz, zrobiłem ci coś złego? Ja, Jupp? Ja przecież sam uważam Hitlera i wojnę… no, mniejsza o to…

– Więc dobrze – powiedziałem bez pośpiechu – postarajmy się wyjaśnić sprawę raz na zawsze i do końca. Nienawidzę cię za to, że przychodzicie do nas siłą, przemocą, gwałtem narzucacie nam siebie, popełniacie zbrodnie, przeciw którym nie pozwalacie protestować i mordujecie tych, którzy się przed tym wszystkim bronią.

– Ale przecież nie ja! – Jupp pochylił się żarliwie nad stołem i pukał chudym palcem we własną pierś. – Nie ja! Popatrz, co ja mam z tym wszystkim wspólnego? Jestem biednym popychadłem, nie ruszam się nigdzie poza Frankfurt, nikogo nie morduję. Czego chcesz ode mnie?

– To fakt – zaświadczył Vessely. – Jupp jest bardzo przyzwoity chłopak.

– Co on powiedział? – pytał gorączkowo Pierre Marcela. – Tłumacz szybciej, idioto, już nic nie rozumiem.

– Jupp – powiedziałem – bardzo cię lubię, ale gdyby mi przyszło strzelać do ciebie, zabiłbym cię bez wahania.

– Juppa? – zgniewał się Savino. – Zabiłbyś Juppa? Za co masz go zabijać? Nie lubię takiej zapiekłej nienawiści, takiej zapienionej zaciętości.

– Ale za co? – zasmucił się Jupp. – Za co?

– Za to, że jesteście sobą, tylko sobą. Za to, że jest was tylu. Za to, że zawsze będziecie myśleć, że macie rację i takie myślenie zawsze was będzie prowadzić do zbrodni, o której będziecie przekonani, że wcale nie jest zbrodnią, lecz czymś dobrym, pożytecznym, sprawiedliwym. Nie jestem szowinistą ani przesadnym patriotą i słabo mi się robi na myśl o zabijaniu ludzi, ale wiem dobrze, że do was mógłbym strzelać z bliskiej odległości, prosto w wasze twarze, nie myśląc o tym, czy ten, do którego strzelam, jest dobry czy zły…

– Nawet do mnie? – Zasmucił się jeszcze bardziej Jupp. – Czy nie pamiętasz, jak ci dałem pół cielęcego sznycla, pierwszego dnia kiedy tu przyszedłeś? Czy nie wystarczy ci, że mnie od czasu do czasu zrzucisz ze schodów?

– Przykro mi, ale nawet do ciebie – powiedziałem, zapalając wyjęty wprost z kieszeni niedopałek. – Musisz mi to wybaczyć, Jupp.

– Potworny facet. – Abbelé wskazał głową na mnie; kończył jeść tuńczyka i miał zajęte obie ręce; był zadowolony, że już nie mówi się o nim.

– Ale wierz mi, Jupp – dodałem – że bardzo cię lubię i sprzeczność ta sprawia mi bardzo wiele kłopotu. Zwłaszcza, gdy myślę nad tym, co będę robił, kiedy tu przyjdą alianci.

– Tak właśnie mówią najgorsi bandyci – odezwał się Leo lekceważąco, ale zastrzegł się od razu, zwracając się do mnie: – Co bynajmniej nie znaczy, że mam cię za najgorszego bandytę.

Staliśmy wszyscy w sali śniadaniowej, światła były pogaszone, jedynie blask z oświetlonej *a giorno* sali głównej przechodził tu, wśród drogich mebli i miękkich obić ściennych, w przyjemny, ciepły półmrok. Przyszedł Brütsch i obejrzał każdego z osobna, jak dowódca pułku przed defiladą. Na jego obrzękłej od całodziennego kosztowania twarzy odbiło się zadowolenie wyższego rzędu, takie z pogranicza dumy i leciutkiej euforii, jakiej doznaje zawsze koneser na widok ukochanego dzieła sztuki. W istocie, wyglądaliśmy urzekająco: Marcel, Piotr, Savino i Pierre, bardzo wysocy, długonodzy, noszący swe fraki z niebywałą dystynkcją młodych, zapalonych

zawodowców, fordanserów czy kelnerów, dla których frak jest drogim sercu mundurem z pól rozlicznych zwycięstw; pozostali dorabiali braki walorami indywidualnymi: Vessely i Leo doskonałością ubioru, umiejętnością noszenia go i dyskretną powściągliwością postawy, Abbelé wzbudzającą zaufanie statecznością, ja – nonszalancją. I tylko Jupp, w wyświechtanym fraku, za dużych, nieoczyszczonych butach i zmiętej koszuli, wyłażącej z przerwy pomiędzy spodniami a kamizelką, odbijał nieco od całości obrazu.

– Muszki w porządku? – spytał rytualnie Brütsch i wszyscy dotknęli sprawdzającym ruchem swych muszek: albowiem niewybaczalnym przestępstwem byłoby mieć źle zawiązaną, starą lub wygniecioną muszkę, a już założona przez pomyłkę muszka biała równałaby się apokaliptycznej katastrofie i oznaczałaby rychłe samobójstwo Brütscha w imię odpowiedzialności za nienaruszalny porządek świta. – A więc proszę panów kelnerów za mną na salę – wypowiedział słowa sakramentalne Brütsch; stanął przed pierwszym, najwyższym, to jest Marcelem, otworzył drzwi od offisu i poprzez offis prowadził nas gęsiego, dość wolnym krokiem na salę. Dokładnie w tym momencie stary, niderlandzki kurant w hallu zaczynał wybijać godzinę ósmą i przyznać trzeba, że takie *entrée* czyniło zawsze duże wrażenie na siedzących już przy stołach gościach: stoły do kolacji były na ogół zamawiane uprzednio i zajmowane parę minut przed ósmą. Sala jarzyła się wszystkimi żyrandolami, migotliwe światło tonęło miękko w bogato marszczonych, adamaszkowych zasłonach okien, odbijało się matowo od naszych namiętnie wyczyszczonych fraków, przydając niezwykłej głębi ich czerni, kontrastując je ostro z pastelem boazerii, obić i mebli, zaś harmonizując z wyostrzonym blaskiem dopucowanych nakryć, sreber, szkła i bielą obrusów. Było to rzeczywiście, w pierwszej chwili, bardzo ładne widowisko, w którym młodość naszych sylwetek i jasnoblond włosy Marcela czy Piotra nad przystojnymi, młodzieńczymi twarzami grały niepoślednią rolę, nic więc dziwnego, że jedna ze stałych bywalczyń Park-Hotelu, pani zasobna w stosunki, doświadczenia, etole futrzane i nieco już zwiędłą, choć

wypielęgnowaną cerę, nie mówiła o nas inaczej jak: – Ach, już znowu Brütsch wprowadza na salę tę swoją brygadę z Hollywoodu… – Zważywszy epokę, należało jej wybaczyć nieco wojskową terminologię.

– Na deser suflet z sokiem czekoladowym – ucieszył się szeptem Pierre; był to nasz ulubiony deser, arcydzieło wiedzy, kunsztu, doświadczenia i zmysłu oszustwa *pâtissiera*. Wraz z Savinem i Pierre'em jako *commis* pracowałem na dwóch dużych stołach, nakrytych na kilka osób każdy. Przy jednym z nich odbywało się wręcz luksusowe przyjęcie sześciodaniowe, którego *menu* otrzymał Savino od pana Kesslera: obsadę stanowiło tu czterech dość przyzwoicie wyglądających facetów w stylu zamożnych przemysłowców z wczesnych lat trzydziestych – granatowe dwurzędówki, jedwabne krawaty z wpiętymi perłami, sygnety, złote papierośnice i trzy dość młode, bardzo modnie ubrane panie – włosy zaczesane na karku do góry lub schowane pod spadające na ramiona upięcie z tego samego materiału co suknia, czarne zamszowe pantofle na wysokim koturnie.

– Biorę *hors d'oeuvres*, napoje, desery – powiedziałem do Savina przy stacji, patrząc na *menu*. – Weź resztę.

– Cwaniak – rzekł Savinno. – Bo nie jesteś głodny po *Eintopfgericht* i nie masz ochoty na nic pożywnego. Serów ci się zachciewa i słodyczy, co?

– Jakbyś zgadł – uśmiechnąłem się. – Zgoda?

– Zgoda – rzekł – ale ja inkasuję rachunek.

– Oczywiście – odparłem służbiście – jesteś przecież *chef de rang*…

Uderzył mnie lekko pięścią w brzuch z zadowolenia; był łasy na pochlebstwa jak dziecko.

– Aha – powiedział – pamiętaj o jednej butelce wina dla mnie. Najlepiej mozelskie.

Podszedłem do Brütscha, który stał na środku sali, wskazałem na nasz duży stół.

– Czy piątka otrzymuje napoje? – spytałem.

Brütsch uniósł podbródek i łypnął półprzymkniętym okiem w tamtą stronę.

– Stary Böllinghausen – mruknął – jego dyrektorzy i jakieś zdziry. Pewno ich żony. Obok masz hrabiego von Amorsbach z rodziną. Dobrze, już tam idę. – Podreptał chyboczącym się krokiem, pochylił się nad dużym stołem. – *Menu* pańskiego stołu przekazane jest już do kuchni, panie prezesie? – zwrócił się do najstarszego z panów w ciemnych dwurzędówkach. – Pozostają nam tylko napoje do uzgodnienia.

– Ach, Brütsch – ucieszył się kordialnie pan prezes. – Powinieneś pamiętać moje ulubione marki i roczniki.

– Notuj – rzekł Brütsch do mnie, po czym recytował: – Kieliszek duńskiej kminkówki lub kieliszek *kirschu*, Moselle Ravelsbach trzydzieści dwa do ryby i Assmannshäuser Rotwein rocznik dwadzieścia osiem do pieczystego, koniak Meukow do kawy. Czy tak, panie prezesie?

– Bezbłędnie – rzekł pan prezes i całe towarzystwo rozpłynęło się w pełnych uznania uśmiechach i uwagach zarówno dla perfekcji Brütscha, jak dla dobrego smaku pana prezesa oraz dla trwałego śladu, jaki wycisnęła na mózgach *maître d'hóteľów* jego długoletnia działalność we frankfurckich restauracjach.

Przy stacji zjawił się naraz Kessler.

– Proszę nie brać żadnych kartek ani od prezesa Böllingnausena, ani od hrabiego von Amorsbach – rzekł do mnie i do Savina.

– Tak jest, panie Kessler – powiedział Savino.

– Taki fart nam obciął – zgrzytnąłem zębami, gdy Kessler poszedł.

– Jasne, od prezesów i hrabiów żadnych kartek, zrewanżują się już czymś tam… Cholera… – przytaknął Savino; chwilę przedtem widzieliśmy jeszcze w marzeniach całe kilogramy mięsa i tłuszczów, jakie padną łupem naszych nożyczek przy tych dwóch stołach. – Ten prezes jest od huty żelaza – rzekł po chwili Savino, wykazując skłonność ku towarzyskim refleksjom. – Co on może takiemu Kesslerowi odpalić? Rurę?

– Pies ich jechał – powiedziałem z goryczą. – Kopniemy ich za to na parę marek.

Brütsch wręczył mi bon na wina.

– Daj im, ile chcą – powiedział i poszedł.

– W takim razie dla mnie jedną – rzucił Pierre po francusku; zawsze zaczynał doskonale rozumieć po niemiecku, gdy chodziło o jakieś nadużycia.

– Dobra, dobra – powiedziałem – nie skrzywdzę was. Pierre, ładuj *hors d'oeuvres*. – Podszedłem do dużego stołu i pochyliłem się nad panem prezesem. – A więc *kirsch* czy kminkówka, proszę łaskawego pana? – spytałem cicho, dyskretnie.

– Kminkówka, młody człowieku – odparł kordialnie – i to podwójna.

Poszedłem do baru, nalałem siedem dużych szklaneczek kminkówki i przyniosłem na srebrnej tacy. Pierre nakładał z wprawą korki z *anchois* z kaparkami na małe talerzyki, obok, na nieco większe, drobną kupkę sałatki z porów z krewetkami. Serwowałem wódkę, pochylając się nieco niżej nad paniami; szedł od nich pociągający zapach pięknych, zadbanych, utrzymanych w dobrobycie kobiet. Jedna odwróciła do mnie głowę; z bliska twarz jej zastanawiała, zaś odruch ten zawsze kojarzy się gdzieś odlegle z negacją: zdepilowane, wyskubane brwi i dość ostry nos odbierały tej twarzy czystość urody, nie dając w zamian ani wielkoświatowego akcentu, ani wyrafinowanej elegancji. Spojrzała na mnie z życzliwą obojętnością; uśmiechnąłem się, mówiąc:

– Łaskawa pani pozwoli… – tuż przed postawieniem przed nią kieliszka.

Przyszła mi na myśl dziewczyna z plaży. „Jaka świetna… – przypomniałem sobie wyraźnie jej wygląd. – O ile lepsza od tych tu. Chociaż… z tego samego gatunku. Takie nie dla nas, zasranych kelnerów w nieskazitelnych frakach…". Francuskie perfumy, wionące delikatnym przypływem od stolika, nie dawały myślom wytchnienia, obracały je ciągle wokół samego przedmiotu wszelkich skojarzeń.

– Mam dwie sardynki – szepnął Pierre. – Chcesz jedną?

– Nie mam apetytu – powiedziałem – daj Piotrowi.

– Chory jesteś? – zaniepokoił się Pierre. Obojętność wobec sardynek z mej strony mogła być wyłącznie objawem jakichś niedomagań.

– Zjeżdżaj po zupy – rzekł Savino do Pierre'a. – Fil, zejdź już po wino. To potrwa, zanim je załatwisz.

Poszedłem do offisu po zmianę kieliszków do wina.

– Fil – krzyknął Leo, prując przez offis jak bolid. – Wielkie polowanie na zapiekany mózg w kokilce!

– Włączam się! – odkrzyknąłem. Rzuciłem szklanki, zleciałem na dół do kuchni i zacząłem od razu raban: – Do jasnej cholery! Gdzie są te zupy na piątkę i szóstkę? Myślicie, że jak nasz *commis* nie może sobie dać rady po niemiecku, to można go rolować! Jak długo trzeba jeszcze u was czekać na specjalne zamówienie Kesslera!

– Zaraz, zaraz… – zająknął się szef. – Czego ty chcesz, Leo? Należy ci się jeszcze trzy razy mózg w kokilce i masz go tu…

– Cztery – upierał się Leo. – Dałem panu bony na sześć, a dostałem tylko dwa.

– Wziąłeś trzy, złodzieju! – zdenerwował się szef.

– Co z tymi zupami? – darłem się. – Czekajcie, przyjdzie Kessler, to wam pokaże! Mamy stół specjalny!

– Przestań ryczeć, smarku – rzekł *pâtissier*. – Dość tego bezczelnego szumu…

Leo wstawiał już cztery mózgi na tacę.

– To dla Vesselego – rzekł po chwili, w offisie – bo prosił. Tobie załatwię suflet, nawet dwa, tylko nie zabij Juppa, dobrze?

– Wykluczone – odparłem, wracając do szklanek. – Sufletem ze sztuczną czekoladą nie kupisz jego życia. Muszę go zabić.

– Dodam ci trzy papierosy marki Abdullah – prosił Leo.

– To co innego – powiedziałem. – To zmienia postać rzeczy. Załatwione. Będzie żył. – I wybiegłem ze szklankami.

W piwnicy wziąłem najpierw cztery butelki i zaniosłem do mojej szafki w rozbieralni kelnerów.

– Assmannshäuser po ile? – spytałem staruszka piwnicznego.

– Drogi, kochasiu, drogi – wymamrotał piwniczny – sześć marek butelka.

Była to dlań cena niebotyczna, pamiętał, jak bułka kosztowała feniga, za cesarza. Wytarłem ręce z kurzu w jego granatowy fartuch, zaabonowałem mu osiem butelek na numer stacji Savina i wziąłem cztery butelki na górę. „Na pewno się już nie wykoleję…", rozmyślałem z żalem, idąc powoli po schodach: udany numer z winem nastrajał mnie zawsze lirycznie. Jeszcze teraz marzyłem dość często o swobodnym, nonszalanckim nacinaniu świata i ludzi jako jedynej godnej mnie drodze. Przemyślny, pełen fantazji kant wydawał mi się urodą życia, czerpanie pieniędzy z pokera, wyścigów i kobiet było w moich oczach szlachectwem mego czasu, korzystanie z wszelakich okazji i uderzanie frajerów nie tylko nie nastręczało mi żadnych obiekcji, lecz kryło w sobie jakiś walor moralny. Mym pozytywnym bohaterem długo był nie czyniący krzywdy farmazon, zabierający bogatym w imię atrakcyjności gestu i swoistego solidaryzmu z bogatymi. Cóż uczyniła z moją młodością wojna? Pozbawiła ją ideałów. Wprzęgła mnie w pracę produktywną i zaraziła nią. Walka z niegodziwością zniszczyła we mnie smak obijania się po życiu, pozbawiła mnie sielankowego wyobrażania młodości, której ulubioną scenerią był straszliwie zabałaganiony pokój sublokatorski czy pensjonatowy, w nim stół pełen butelek po wódce, resztek kiełbasy w papierze, kart do gry i papierosów. Budziliśmy się w mocno zużytej pościeli, zawsze gotowi do porannej fanfaronady na temat wczorajszych wspomnień, przeciągaliśmy muskularne, opalone ciała w koszulach gimnastycznych zamiast mieszczańskich pidżam, wyciągaliśmy niezmożone ramiona po porannego papierosa czy klina wódki i odmawialiśmy paciorek uciech o naszych całonocnych dokonaniach, zaczynający się nieodmiennie od słów: – Ale numer był wczoraj, co? – Tak płynęła nam młodość, której kolory były fałszywie krańcowe: albo brudnawa, monotonna, zabijająca szarzyzna zwykłej pracy i studiów, albo przesadna podejrzana jaskrawość pozłacanego życia ułatwionego. I oto wkroczyła wojna, po to chyba, by uczyć nas odpowiedzialności, pojęć dobra

i zła, rozpaczy i rzetelnej roboty, czyli tego, dlaczego nie było dotąd miejsca wśród naszych filmów, rozmów i westchnień do wesołej płycizny bytu.

– Niech żyje wojna! – powiedziałem do Piotrusia w offisie, przygotowując kubełki z lodem na białe wino, podczas gdy czerwone leżało już w podgrzewaczu.

– Zwariowałeś? – mruknął Piotr.

– Wojna nie pozwoliła nam wykoleić się – wytłumaczyłem mu – dzięki niej nie spędzisz życia jako wyleniały z latami, podstarzały i stetryczały hochsztapler. Tylko nieletni, złoty młodzieniec jest atrakcyjny, kozakieria i cwaniactwo stanowią nierozłączną część młodości, o ile pretendują do uroku, a nie do nielegalnego zarobkowania. Trzeba umieć o tym zawczasu pomyśleć. Czyż nie wydaje ci się śmiesznym niebieski ptak o sztucznych zębach, pijący ziółka na woreczek żółciowy i nielubiący chodzić późno spać? Złotym młodzieńcem można być do czasu, przekuwanie tej skłonności do pewnego rodzaju życia w zasadę życia prowadzi ku śmieszności. Wojna nas przed tym ocaliła. Bójki, alkohol i dziewczęta, kibicowanie na meczach, muzyka swing i ostre, bajeczne dowcipy, kino i niekończące się partie pokera, rolowanie całego świata na forsę i na kartki żywnościowe… cóż za radość!… Ale do czasu…

– Pojęcia nie mam, o czym mówisz – rzekł Piotr – ale wydaje mi się, że mówisz niegłupio. Co ci się zresztą ostatnio rzadko zdarza – dodał przezornie. – No, chodź, popracujemy trochę dla odmiany – uśmiechnął się – trzeba zarobić parę marek i skombinować trochę wina.

– Wino już mam – rzuciłem niechętnie i westchnąłem nad jałowością wszelkiego apostolatu.

Savino i Pierre sprzątali szalki po zupie żółwiowej i rzucali mi dość naglące spojrzenia w sprawie napojów. Podciągnąłem stolik na kółkach z trunkami, skłoniłem się przed panem prezesem i podałem mu butelkę Ravelsbacha. Pan prezes potrzymał pieszczotliwie smukłą, ciemną, lecz przejrzystą flaszkę w obu dłoniach, po czym dobył monokl z kieszonki

kamizelki i skrupulatnie przeczytał zielonkawo-srebrną etykietkę, pełną gotyckich liter.

– Owszem, młody człowieku – rzekł do mnie. – W porządku. Możesz nalewać.

Jak spod ziemi wyrósł Brütsch z kieliszkiem od wina w jednej, a z korkociągiem w drugiej ręce, wyjął mi butelkę z dłoni, skłonił się wszystkim przy stole, nieporównanie wprawnym ruchem odkorkował, nalał sobie trochę do kieliszka, wolno, nie przechylając do tyłu smakował napój, mlaszcząc lekko wargami, po czym rzekł do pana prezesa:

– Z czystym sercem mogę polecić. Bukiet subtelny, smak przetrawiony.

Oddał mi butelkę, rozpocząłem ceremoniał nalewania białego wina. Brütsch, Savino, Pierre stali przez cały czas nieporuszenie koło stołu, w postawie zasadniczej.

– Gdzie masz kwit rachunkowy? – spytałem po chwili, przy stacji Savina.

– Ile wziąłeś? – spytał Savino.

– Dwie dla ciebie, po jednej dla Pierre'a i dla mnie.

– Dużo, cholera…

– Na pewno wypiją jeszcze ze dwie.

– Zaczekaj, wstawię na końcu.

– Tylko nie pomyl się. Już raz zrobiłeś ten numer, pamiętasz? Na rachunku było o trzy więcej niż na przebitce, ty baranie.

– Nie, nie…

– Pokaż rachunek.

– Tu go masz.

– Sardynki, już widzę, wkitowałeś na chama?

– Też muszę coś jeść, no nie? Przy takiej robocie…

– Uważaj, ten prezes nie jest taki jeleń, na jakiego wygląda. A ja chcę jeszcze trochę sera.

– To urwij w kuchni. Nie będę już dobijał do kwitu.

– W kuchni Dunkierka. Gonitwa sprzedażna za mózgiem i sufletami. Pilnują jak cholera. Ser możesz władować. Nie troknie się.

– Zobaczę, ale ci nie przyrzekam. Zorientuje się. Zresztą sam mam ochotę na trochę sera. Dziś gorgonzola i allgauer.

– Pamiętaj, ten Böllinghausen daje bombowe napiwki. Skonstruuj przytomnie sumę, to trafimy ze dwadzieścia marek. I bez żadnych numerów, ty neapolitański gangsterze, słyszysz?

– No, wiesz… – Savino poczuł się wyraźnie dotknięty. – Jak możesz tak myśleć?

– Mogę. Wino kosztuje dwadzieścia cztery marki. Po sześć marek butelka. Wszystko rozliczymy razem. Wyłożysz, a ja i Pierre zwrócimy ci, o ile napiwek nie pokryje. Kapujesz?

– *Okey*, Fil…

– Co to za wrogie zwroty? Mogą cię wylać z partii faszystowskiej za takie odezwanie. Uważaj!

– Mam krewnych w Chicago – westchnął Savino. – Są właścicielami restauracji. Jak tylko przegramy tę wojnę, pojadę tam popracować. Może się we mnie zakocha jakaś żydowska plutokratka…

„Przegląd Kulturalny", 1960

Opowiadanie „Kolacja" w nieco zmienionej wersji stanowi fragment powieści Leopolda Tyrmanda „Filip".

AMULET,
CZYLI ZŁA WIARA

Ja jestem przesądny i wcale się z tym nie kryję. Wierzę w kabałę, horoskopy, trzynastkę, czarne koty, linię życia na lewej dłoni, swędzenie nosa i ręki, odpukiwanie w suche drzewo, talizmany i przynoszące szczęście przedmioty, spluwanie trzy razy, złe sny (niemowlęta, wypadające zęby, etc), szczęśliwe i nieszczęśliwe cyfry, wróżby z drobnych przypadków, zakaz podawania ręki przez próg, lusterko, dzwonienie w uchu, wstawanie z łóżka prawą nogą, kominiarza, garbusa, piątek i poniedziałek oraz mnóstwo innych rzeczy całkiem już intymnej natury. Wydaje mi się, że gdybym w to wszystko nie wierzył, życie – to zwykłe tuż – obok – życie – byłoby uboższe i nudniejsze. Nie twierdzę pyszałkowato, że wszystkie wróżby się sprawdzają, co to, to nie, lecz z radością i pokorą witam każde pieniądze, jeśli dzień przedtem odczuwałem swędzenie lewej dłoni, co – jak wiadomo – oznacza liczenie monet lub banknotów. Czuję się wtedy podwójnie zadowolony i podniesiony na duchu; jeżeli zaś przychodzi mi po znaczącym swędzeniu dłoni prawej coś płacić – wtedy przygnębienie me rozjaśnia płomyk mądrej i pełnej wiedzy melancholii, dzięki któremu wiem, że nie jestem przedmiotem ślepych i nieawizowanych igraszek losu.

Toteż historia, którą opowiadał mi kiedyś pewien znajomy antykwariusz, umocniła mnie raczej w tym wszystkim, mimo swych racjonalistycznych tendencji. Potrafiłem wyłuskać z niej element tak szlachetnego zabobonu, że antykwariusz ów spojrzał na mnie z niesmakiem. Było mi z tego powodu trochę nieprzyjemnie, albowiem kocham antykwariuszy i antykwariaty, wszelkie sklepy ze starzyzną i dziwnościami, które – moim zdaniem – stanowią najlepszą metrykę kultury miasta lub kraju. Narody ubogie

w antykwariaty są narodami ubogimi w kulturę; żyłem wśród takich narodów i żal mi ich było, pewna sfera cennych wzruszeń, nastrojów, zachwyceń, owego dziwnego ciepła wokół serca na widok starego talerza lub pistoletu pozostanie im zawsze obca. Warszawa, być może, nie nosiła w sobie antykwarycznej i starosklepowej przepastności Wiednia, Paryża czy Rzymu, zawsze jednak przedstawiała bardzo atrakcyjny teren łowów. Są miasta o jakiejś naturalnej antykwaryczności, czego mieszać, broń Boże, nie należy ze starożytnością lub starym artystycznym pięknem, widocznym wyraźnie w ustalonych przez tradycję, historię i geografię miejscach. W antykwariatach bynajmniej nie same dzieła sztuki leżą, wiszą, wypełniają kąty, urzekający czar antykwariatów tkwi w nagłości niespodziewanych objawień. Z miastami jest podobnie: muszą one kryć w najbardziej nieoczekiwanych miejscach jakieś najbardziej nieoczekiwane cuda; w studniach czynszowych odrażających kamienic, jak w mrocznych, brzydkich sklepikach, błyskać muszą nieoczekiwane objawienia stylowego piękna i oryginalności jak ów bezcenny barokowy dwór polski w pewnym przedwojennym, obskurnym podwórku przy ulicy Chmielnej. O takich i innych rzeczach i wspominkach z nie zburzonej Warszawy gawędziliśmy z mym znajomym antykwariuszem godzinami całymi w jego ocalałym po wojnie sklepiku. Cudownie było siedzieć w starych, połamanych kurdybanach lub empirowych fotelach o podartym atłasowym pokryciu, bawić się staroturecкimi kindżałami, przerzucać broszki, monety, witrażyki w ołowiu, pomorskie świątki, cudaczną porcelanę, litewskie krucice, śląskie szkło, zakurzone, stare litografie, brzydkie i ciekawe warszawskie sztychy lub choćby puste, kunsztowne ramy. Nasze brudne z grzebania w starzyźnie ręce i chciwe, nigdy niesyte wrażeń oczy pasowały nas na ludzi sobie bliskich; byliśmy jednej krwi – jak mawiał Kipling – z tej samej dżungli przeżyć i doznań. W chwilach odpoczynku rozprawialiśmy o pływaniu, albowiem mój antykwariusz był krzepkim staruszkiem, kąpiącym się codziennie latem, w bardzo pasiastym kostiumie, w Wiśle. Karierę swą rozpoczął jako rzeźbiarz, zdobył sobie nawet w swoim czasie ogólnokrajowy rozgłos, po

czym utrzymywał salon sztuki w dobie moderny. Kiedyś był pozytywistą, hołdował postępowi i z czasów tych pozostała mu niezachwiana wiara w nauki ścisłe i całkowitą możność wyjaśnienia świata oraz członkostwo honorowe Warszawskiego Towarzystwa Cyklistów, którego był współzałożycielem jako jeden z pionierów ruchu fizycznego na świeżym powietrzu. Stopniowo przemienił się w rasowego, rdzennego antykwariusza, który najbardziej znienawidził wyzbywania się nagromadzonych rupieci w drodze naturalnej sprzedaży. Była jakaś antynomia pomiędzy jego jasną, utylitarną filozofią a ciemnymi siłami fanatycznego przywiązania do swej sklepowej starzyzny, której to sprzeczności nie potrafił w żaden sposób wyjaśnić. Być może, że ona to właśnie sprowadziła nas kiedyś na ścieżkę rozmowy o talizmanach:

– Oczywiście, cały ten kult martwych przedmiotów, obdarzanych przez ludzi urojonymi właściwościami, mam za nic – powiedział wtedy stary antykwariusz czyszcząc jakąś przedziwną wenecką bransoletkę – a któż jest bardziej ode mie powołany aby mieć w tym względzie dojrzały sąd… – dodał nieco zagadkowo po chwili.

– Co za bzdura! – zawołałem porywczo, gdyż w dniu tym naładowany byłem bardziej niż kiedykolwiek uwielbieniem dla tajemnicy – wszystkie przedmioty wokół nas bytują bynajmniej nie biernie, ale wpływając na zjawiska, zdarzenia, ludzkie losy. Osobiście żywię najgłębszy szacunek dla kilku mych starych koszul i chustek do nosa, których pomyślne ingerencje w me życie są dla mnie faktem niewątpliwym. Mają one zapewnione miejsce w mym ruchowym dobytku bez względu na ich przydatność, traktuję je jak starych przyjaciół. Moja pierwsza narzeczona, która nie miała zrozumienia tych rzeczy, porzuciła mnie, gdyż nie pozwoliłem użyć owych ukochanych strzępów popeliny na szmatki do okien. Ta dziewczyna miała w sobie pańską oschłość bez pańskiej inteligencji; jej krótkowzroczność jest wybaczalna, pańska – irytująca, albowiem nie dostrzega pan, że przeznaczeniem tych wszystkich wspaniałych, osobliwych, pięknych przedmiotów, tu przez pana nagromadzonych, był żywy, czasem przemożny

udział w losach ludzkich. Te jatagany, medaliony i kielichy stwarzane były przez pełnych uczucia rzemieślników-artystów z gorącą myślą o ich oryginalnej, bogatej w treść wędrówce przez ludzkie ręce i ludzkie przypadki, miały one budzić pożądanie, uszczęśliwiać lub niszczyć. Jestem przekonany, że każdy lichtarz i każda farfurka w tym sklepie ma na swym koncie pokaźną liczbę zbrodni lub dobrodziejstw, spełnionych w czasie swej wędrówki po świecie.

– Najciemniejsi mistycy każą się panu kłaniać – uśmiechnął się ironicznie antykwariusz. Jego rzadka, siwa bródka i szare oczy były samą złośliwą radością i triumfem nad mą ciemnotą. – Dziecinnieje pan, młodzieńcze, radzę wrócić do Andersena, który miał przynajmniej dar poetyckiej lekkości w traktowaniu tych zagadnień, wzbudzających w panu już tylko bezsensowną zapalczywość. Ostatnia wojna winna była pana nauczyć, że człowiek zależy wyłącznie od człowieka, a nie od przedmiotów czy innych rzeczy; i że decydująca o życiu jest przede wszystkim wikłanina tych międzyludzkich zależności, która powinna być ciągle rozplątywana i naprawiana, a nie jakieś metafizyczne błąkanie się w mrocznym, martwym i niewiadomym.

– Do widzenia – powiedziałem sztywno, wciągając wolno i z urazą rękawiczki. Dosyć miałem tej filozofii, równie starej, zakurzonej i zbutwiałej jak leżące tu osiemnastowieczne resztki mebli, a pozbawionej ponadto ich wdzięku. – Co zaś do tych staromiejskich akwafort to kupię je, jak tylko dostanę pieniądze. Proszę odłożyć kilka z nich dla mnie, o ile może to pan uczynić bez zadatku.

– Typowe dla was, mętnych spirytualistów – zgrzytnął staruszek – nic dla was nie znaczy dowód, uzasadnienie czyichś myśli. Gwiżdżę na pański zadatek, proszę wziąć wszystkie akwaforty i to zaraz! Zgadzam się na uregulowanie należności w życiu przyszłym, które dla pana nie podlega dyskusji, co ostatecznie mogę uwzględnić w mych handlowych kalkulacjach. I pomyśleć, że już miałem się zabrać do parzenia ostatnich gramów

cejlońskiej herbaty w pańskim ulubionym imbryku, ale skoro pan woli arogancję i dogmaty, to proszę bardzo, wolna droga…

– Nie jestem spirytualistą, a tym mniej mętnym – rzekłem z godnością, lecz daleko mniej pewnie – dowodów zawsze słucham chętnie, bez względu na to, czy są poparte herbatą, z samego umiłowania dialektyki…

Był to niełady chwyt z mej strony; całą jego nielojalność poczułem niebawem, gdy ze skruchą i ze smakiem popijałem nalany mi z ślicznego, starochińskiego imbryka wonny, gorący napój. Stary antykwariusz górował nade mną wyrozumiałością i głębią swych sympatii, jego triumf był pełny, choć milczący, mnie zaś ciężko było się przyznać do porażki. Siedział więc w zniszczonym, wytartym wolteriańskim fotelu o jednej krótszej nodze i patrząc na mnie na pół szyderczo, na pół dobrotliwie mówił:

– Kiedy pan zaczął o talizmanach, przypomniała mi się pewna historia, która rozegrała się tu przed kilku laty. Miała ona w sobie jakąś dziwną tragiczność, fatalną i przesyconą gestami, a także wzmożoną o jedność miejsca, jak w klasycznych pantomimach o nieodwracalności losu – co mówię, rzecz jasna, przez czystą w stosunku do pana przekorę. Pamięta pan zapewne te czasy, zaraz po zwycięstwie, kiedy wstrząśnięte i przeorane wojną społeczeństwo ujrzało przed sobą nowe życie i łapczywie się na nie rzuciło. Takie czasy sprzyjają pionierstwu, przedsiębiorczości i pogardzie dla kodeksu karnego i rzeczywiście – te trzy cechy epoki sprzęgły się znakomicie na szerokich połaciach kraju. Szybkość wydarzeń i chaos pojęć utrudniały bliższe rozpoznanie, gdzie kończy się mściciel krzywd narodu, a zaczyna kryminalista, kto buduje, a kto łowi w mętnej wodzie; pociągi bez szyb i ławek i usiane lejami artyleryjskimi szosy pełne były osobników żądnych zysku za wszelką cenę, wielbiących użycie i przemoc, a nade wszystko przekonanych o czystości swych intencji i moralnej słuszności swych akcji. Młode państwo, zajęte bez reszty palącymi problemami polityki i gospodarki, zmuszone było odłożyć interwencję w obyczajność na później; stąd, jak w erze wszelkiej kolonizacji, przestępczość zdewaluowała się do rzędu codzienności, nikt jej nie ukrywał, stanowiła przedmiot potocznych

żartów, a nawet przechwałek, jak w owej historii o cyrkowych koniach. Jest to nader pouczająca historia o tym, jak kilku sprawnych młodzieńców trafiło pod Opolem na cyrk, który rozsprzedali detalicznie wśród amatorów. Między innymi parę pięknych ogierów sprzedali pewnej aptekarzowej w Kielcach, która odtąd z dumą wyjeżdżała w takim zaprzęgu na spacer. Były jeszcze wtedy na ulicach megafony, ogłaszające komunikaty i nadające płyty; kiedy więc raz rozległy się z nich dźwięki „Marsza gladiatorów" wykształcone konie, nie bacząc na swój nowy zawód, wspięły się na tylne kopyta i rozpoczęły popis, wysypując aptekarzową z pojazdu. Morał tej historii jest taki, że podobno odtąd aptekarzowa opłacała po kryjomu obsługę miejscowego radiowęzła, aby nadawała owego marsza w czasie jej promenady.

Otóż gdy okres tej barwności obyczajów dobiegał końca, wszedł do mego sklepu jakiś silnie zbudowany, wysoki, młody człowiek. Ubrany był z krzykliwą elegancją swego gatunku w długie, lśniące buty, oficerskie spodnie, nowiutką dwurzędową marynarkę z wieczorowego garnituru i bardzo pstry krawat. Na głowie nosił czarny kapelusz, właściwy dyplomatom i stojący w krańcowej sprzeczności z próbką manier i metod, jaką zaprezentował na wstępie. Nie powiedział nawet „dzień dobry", natomiast wyjął z kieszeni zwartą w pięść prawą dłoń i położył ją nie bez odgłosu na wierzch chippendalowskiej komody.

– Czy wie pan, co tu jest? – spytał wskazując okiem na kułak.

– Nie, aczkolwiek zawsze staram się być dobrej myśli – odparłem dość obłudnie, gdyż ranek był wczesny i ulica dość pusta.

– Pan jest rzeźbiarzem, prawda?

– Tak, ale… – byłem zaskoczony, sprawa zaczynała się wikłać. Zaciśnięta na stylowym meblu pięść była groźbą i tajemnicą, przy czym nie wpływała dodatnio na jasność myśli.

– Mam dla pana zamówienie…

Przemknęło przeze mnie głuche podejrzenie, że nadeszła chwila, gdy szabrownicy zamawiają sobie popiersia w marmurze. Okazało się jednak, że

nie o to chodzi.

– … Chodzi o amulet – kontynuował przybysz.

– Jeśli tylko to – rzekłem z ulgą – to proszę sobie wybrać jakiś talizman z tych drobnych przedmiotów czy ozdób, których widzi pan tu pod dostatkiem. Talizmany to rzecz bardzo osobistego upodobania, tego się nie poleca jak gorsze czy lepsze jabłka.

– O nie, nie rozumiemy się. Mnie zależy na amulecie, to co innego. Amulet trzeba zrobić, na zamówienie i specjalnie dla kogoś, tylko wtedy ma on siłę i przynosi szczęście. Nauczył mnie tego jeden marynarz, który był w Kongo i wie jak się robi amulety u plemion murzyńskich. Amulet musi być zupełnie prywatny, tak jak to na przykład…

Podciągnął rękaw znad zaciśniętej pięści. Na muskularnym przedramieniu wytatuowana była kudłata głowa kobieca, serce, sztylet i słowa: „Kochaj, bo…

– Ten wzór zrobił mi jeden specjalista w Szczecinie. Oryginalny, tylko dla mnie i dlatego przynosi szczęście.

Miałem wątpliwości co do oryginalności wzoru, których jednak nie zakomunikowałem na głos,

– Ależ ja… – zacząłem znów niepewnie i wtedy mój dziwny klient rozwarł palce. Duża, sękata dłoń pełna była złotych dziesięciodolarówek.

– Chciałbym, aby mi pan z tego coś zrobił. Drugie tyle dla pana.

Na to nie mogłem przystać. W ostatecznej konkluzji byłoby to zaopatrywaniem takich panów w narzędzia zawodu. Nie miałem zamiaru zajmować się sprzedażą lub fabrykowaniem łomów czy „raków” do kas pancernych ani ich psychicznych odpowiedników. Pozostawały pertraktacje.

– Proszę pana, nie jestem jubilerem i nie zdołam przetopić złota. Ale wzruszył mnie pan swą wiarą w szczęśliwe przedmioty. Mam tu u siebie pewien osobliwy posążek egipskiego kapłana imieniem Imhotep – przypuszczalnie liczy on około trzech tysięcy lat. Nie nosiłem się wprawdzie z zamiarem jego sprzedaży, lecz w tym wypadku mogę to uczynić. Proszę go

sobie obejrzeć, może się panu spodoba, zaznaczam przy tym, że już sam wiek tej figurki stanowi o jej niezwykłości i dowodzi utajonych w niej mocy.

Ze stojącej w głębi sklepu sekretery wydobyłem dziwaczną statuetkę. Był to niewielki odprysk diorytu, przedstawiający starca. Dwaj moi przyjaciele, mocni w egiptologii, sprzeczali się niegdyś żywo na temat tej postaci: jeden z nich utrzymywał, że jest to Imhotep, kapłan i święty mędrzec z czasów króla Zofera, drugi widział w nim samego faraona Amenemheta z XI dynastii. Co do mnie, to skłonny byłem przypuszczać, że starzec pochodzi z okolic Himmelpfortgasse w Wiedniu, gdzie podobne starożytności fabrykowało się w swoim czasie z maestrią i na pęczki. W każdym razie posążek był niezwykły, jeśli nie urzekający. Miał z grubsza ociosany, sztywny, niezręczny korpus w staroegipskiej, trójkątnej spódniczce, kapłański strój głowy i martwą, a pełną złośliwości i wyrazu twarz o niskim czole, płaskim nosie i ciężkich, podłużnych powiekach.

Oczy mego klienta rozbłysły pożądaniem. Nie wiem dlaczego, ale Imhotep jakby zapalił w nim nieomylną pewność, że oto zjawił się od dawna poszukiwany sprzymierzeniec. Dziwność, złośliwa brzydota figurki i jej przypuszczalny wiek musiały się złożyć na zaufanie do jej możliwości, które naraz jakby opanowały tego człowieka bez reszty. Wrzucił niedbale złote monety do kieszeni i wyciągnął z szacunkiem rękę po Imhotepa,

– A czy pan… – spytał cicho – wierzy w moc tego amuletu?…

– Ja nie wierzę, lecz jeśli pan wierzy, to wszelkie moce zaczynają funkcjonować – zaryzykowałem otwartą drwinę.

– Wierzę, bardzo wierzę… – powiedział tak żarliwie, że zrobiło mi się trochę nieswojo.

– W antykwariatach panuje przesąd, że nie wolno się targować, gdyż kupione po targach przedmioty nie przynoszą szczęścia – ironizowałem coraz wyraźniej, lecz bezskutecznie. Wyjął gruby plik tysiączłotówek i zapłacił bez słowa wygórowaną cenę, jaką rzuciłem dla sondy raczej niż z chęci zysku. Poczęstował mnie jeszcze papierosem, dobytym z ciężkiej

złotej papierośnicy, błysnął drogim sygnetem – wszystko to tchnęło paskarskim, lecz nader realnym bogactwem – i poszedł unosząc Imhotepa.

Minęło kilka miesięcy i zapomniałem już o tym nieco śmiesznym epizodzie. Nadszedł listopad, błotnisty, ponury, wietrzny, pełen śniegu z deszczem w owym roku. Któregoś wieczora szykowałem się do opuszczenia sklepu, gdy w pewnej chwili ujrzałem za szybą okienną jakąś bladą, zmiętą twarz, śledzącą mnie uporczywie. Chwiejny odblask lampy ulicznej i zmętniała od deszczu i mgły szyba nadawały twarzy tej, jakby oddzielonej od tułowia i zawieszonej w cieplnej próżni, charakter upiorny i gorączkowy zarazem. Byłem uderzony tym niesamowitym widokiem, stan mój przeszedł w prawdziwe przerażenie, kiedy obok twarzy za szybą ukazał się jakiś niewyraźny przedmiot, tańczący bezsensownie przed moimi oczyma: jasnym było, że człowiek z ulicy chciał mi w ten sposób coś pokazać. Dostrzegając moją reakcję, wszedł do sklepu. Był to osobnik o wyglądzie ostatniego żebraka, ogarnięty w brudne strzępy starego płaszcza, z jakimś łachmanem miast szalika wokół szyi; z jego rozerwanych butów ciągnęły się niechlujnie unurzane w błocie szmaty.

– Czy pan mnie poznaje? – spytał schrypłym głosem – Czy pan widzi, jak ja wyglądam?

Oczywiście, że go poznałem. Pokiwałem głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

– Niech go pan zabierze – rzekł wyciągając ze swych łachmanów Imhotepa – niech go pan weźmie z powrotem. Od trzech dni jadę do Warszawy na stopniach i dachach pociągów, aby go panu oddać. Bez biletu i bez jedzenia. Widzi pan, co on ze mną uczynił? Lecz śnił mi się tydzień temu i kazał się odwieźć do pana. Dokonałem tego wbrew wszystkiemu i powinien mi dać wreszcie spokój…

W głosie jego nie było ani nienawiści, ani wściekłości, ani rozgoryczenia, ani żalu. Był tylko bezgraniczny lęk.

– Zaraz – powiedziałem widząc, że zabiera się do wyjścia bez pożegnania – oto pańskie pieniądze. Z talizmanami tak już jest – dodałem

zachęcająco, wyjmując banknoty z szuflady – przyjmę ten posążek z powrotem, ale pan weźmie pieniądze.

W jego sytuacji suma, którą mu zwracałem, stanowiła prawdziwy majątek. Wziąłem diorytową figurkę, wciskając mu banknoty w dłoń. Stał przez chwilę nieruchomo, patrząc tępo przed siebie. Potem szybko odwrócił się, mruknął coś i wyszedł. Kiedy otworzył drzwi – wie pan, te nasze podwójne drzwi, oddzielone malutkim korytarzykiem od drzwi wejściowych – doznałem wrażenia, jakby coś upadło, jakby wychodzący coś rzucił. Ciemno było w tej części sklepu, podszedłem tam i znalazłem na podłodze niewielką paczkę, owiniętą w gazetę. Szybko wybiegłem na ulicę, wołając: „Proszę pana! Halo! Zgubił pan coś!!… – ulica jednak była pusta, ciemna, zasnuta wichrem, mgłą i deszczem, roztopiona w błocie. Powróciwszy do sklepu rozwinąłem pakiet; były tam różne dokumenty, dowody osobiste, kenn-karty, wszystkie odpowiadały rysopisowi młodego mężczyzny. Nazajutrz odniosłem je do komisariatu milicji i to wszystko.

Zapadła cisza. Dopiłem herbatę i spytałem:

– No i co pan z tego wnosi?

– Mój wniosek jest krótki i prosty: przesąd to bzdura. Dopiero zupełna odwrotność zamierzonych w zabobonnym myśleniu skutków uwidacznia cały bezsens zabobonu.

– Drogi panie, z uporem godnym racjonalisty upraszcza pan wszystko, co się wokół pana dzieje. Pańska historia ma dla mnie dwojaki sens: jeden nader moralny, drugi – wręcz optymistyczny, przy czym oba mają pozytywne znaczenie. Nie ulega wątpliwości, że bohater pańskiej opowieści to przestępca, oszust, złodziej, voleur du grand chemin, a w najlepszym razie jakiś aferzysta lub hochsztapler. Otóż dla pana moce tajemne, utajone w posążku, o ile takowe istniały, są czymś amoralnym, wyzbytym jakiejkolwiek orientacji pomiędzy dobrem i złem. W tym tkwi błąd, bo cóż nas właściwie uprawnia do takiego sądu? Dla kogoś, kto przyjmuje istnienie tych mocy, nie może być obojętne i pozbawione znaczenia, w jakim kierunku mają one działać i na jakie sprawy wpływać. Z losów posiadacza

Imhotepa wynika niedwuznacznie, że ów kawałek diorytu, o ile nosił w sobie jakąś moc wpływania na sprawy ludzkie, to bynajmniej nie zamierzał popierać swymi możliwościami przestępstwa, kradzieży lub rozboju – co przecież bardzo dobrze o nim świadczy. Znam śliczną średniowieczną opowieść o talizmanie wykutym przez szatana, który to talizman pomagał zbrodniarzowi we wszystkim, niemniej jednak ściągał go na dno upadku i nie uchronił od kary ostatecznej; stąd morał, że nie ma talizmanu, który przynosiłby szczęście, służąc celom wszetecznym. Brak panu wiary w moralność nadprzyrodzoną, stąd trudności w pojmowaniu tych rzeczy, podczas gdy – jak widać ze zdarzeń – pański kapłan musiał być mędrcem cnotliwym, miał daleko głębszą świadomość tych spraw niż pan, wyboru dokonał konsekwentnie i jasno, nie bawiąc się w skomplikowane działania. Ale spójrzmy na to wszystko od strony optymistycznej i budującej: ostatecznie nie uważam, aby Imhotep przyniósł pańskiemu klientowi zdecydowaną klęskę, aby go zniszczył. Zmusił go do porzucenia pewnego sposobu życia poprzez szereg jakichś dotkliwych porażek, to prawda, lecz tym samym ukazał mu chyba niskość pewnych postępków i nicość pewnych dążeń. Możemy sobie pozwolić na próbę konstrukcji dalszego ciągu: porzucone dokumenty wskazują na chęć zerwania z dotychczasowym życiem, pieniądze, zwrócone przez pana, umożliwiają skromny, lecz uczciwy start, rozpoczęcie wszystkiego od nowa. Pewnego dnia rozpłynięty w deszczu, mgle i ciemnościach nędzarz, skatowany przez przeciwności losu przestępca, wynurza się w słoneczne przedpołudnie na tej samej ulicy już jako uczciwy, szanowany obywatel, sumienny referent lub magazynier, otoczony gromadką jasnowłosych dziatek i szukający u pana kryształowego wazonu dla żony na rocznicę ślubu. Stanowiłoby to niezgorszą robotę zacnego Imhotepa, któremu trudno byłoby wtedy odmówić udanej i celowej operacji, mimo drastyczności i mylnych początkowo pozorów podjętych środków. W tym ujęciu przypisywałbym tej statuetce wręcz błogosławiony wpływ na losy jednego z ludzi – po prostu przyniosła szczęście, była dobrym amuletem…

– Proszę zabrać swoje akwaforty – rzekł lodowato stary antykwariusz. Był naprawdę zły i miał mnie już zupełnie dosyć. – Aż wstyd, żeby zdrowy, wysportowany i umiejący posługiwać się radiem młody człowiek mógł dopatrywać się takich idiotyzmów w martwym kawałku diorytu podejrzanej proweniencji.

Pożegnałem się grzecznie i wyszedłem. Nie chciałem już tłumaczyć, że według mnie Imhotep mógł pochodzić nie tylko od wiedeńskich specjalistów, lecz mógł być wystrugany przez stolarza z Radzymina i że to nic dla mnie nie zmieniało z jego talizmanowej substancji, bowiem zapomniane w kieszeni opakowanie od wedlowskiego cukierka też może przynosić szczęście.

W kilka dni potem wyjechałem do Zakopanego. Pogoda była prześliczna. Któregoś przedpołudnia pojechałem na Gubałówkę; słońce grzało, śnieg skrzył się uroczo, w powietrzu pachniało wiosną. Nie śpieszyło mi się do zjazdu, odbiłem się od tłumu wczasowiczów i narciarzy, złożyłem z nart rodzaj leżaka i położyłem się w promieniach słońca, w krystalicznie czystej atmosferze, w przejrzystym błękicie, w blaskach, barwach, jasności – w samej radości istnienia. Kiedy przymknąłem oczy, radość ta dzwoniła mroźnie i szkliście, smakowała jak najwonniejsze muśnięcie na wargach. Wszystko to było proste.

Rzeczywiste, piękne, bliskie i zrozumiałe – cały ten mój ludzki świat, równie mój i ludzki w potędze widniejących przede mną złoto-lazurowych szczytów tatrzańskich z odległej głębi bezchmurnego nieba, jak i w znajomym zapachu narciarskiego smaru koło moich policzków. Wtedy – nie wiem przez jak zawiłe i nieodcyfrowane skojarzenia – przyszedł mi na myśl staroegipski kapłan. Pod przymkniętymi, przesyconymi blaskiem słonecznym powiekami zadrgało mi wyobrażenie jego brzydkiej figurki, takiej, jaką opisał stary antykwariusz. Zapragnąłem naraz jakiejś bliżej nieokreślonej pomocy w najbliższej przyszłości, jakiegoś niczym nie tłumaczącego się znaku czy rozjaśnienia, nie wiadomo skąd – czekały mnie ważkie rozstrzygnięcia po mym powrocie do Warszawy. Otworzyłem oczy

i dławiący dreszcz przerażenia skoczył mi do gardła. Tuż obok mnie ciemniała na śniegu postać starej Cyganki. Jej pomarszczona twarz koloru starej skóry zwrócona była do mnie, czarne oczy patrzyły uważnie i przymilnie. Nie mogłem pojąć jak to się stało, że nie słyszałem jej kroków.

– Dajcie parę groszy, pane, biednej Cygance… – wyciągnęła rękę wprawnym gestem – nie odmawiajcie, pane....

– Dam – powiedziałem wolno i z naciskiem, otrząsnąwszy się z wrażenia – dam nawet parę złotych, Cyganko, ale powróżcie mi, dobrze…

– Ja nie wróżę, pane – rzekła surowo. – Ja wierzę w Boga…

Z jej oczu znikł uśmiech i prośba. Było mi bardzo wstyd, jak nigdy w życiu.

Warszawa, luty 1952 r.

ZWYCIĘŻAĆ ZNACZY MYŚLEĆ

Zimą 195… roku odbyło się w Warszawie spotkanie pięściarskie pomiędzy drużynami Warszawy i Poznania. W tym czasie trudno było bardzo o pomieszczenie nadające się do urządzania zawodów, toteż imprezy takie odbywały się przeważnie w hali gier sportowych jednego z ośrodków kultury fizycznej w śródmieściu stolicy. Ta hala nie była ani specjalnie duża ani wygodna, zaś kierownictwo jej dostawało białej gorączki i nerwowej wysypki na dwa dni przed taką każdą bokserską awanturą, po czym płakało ze wściekłosci przez całe dwa dni po niej. Nie należy im się dziwić, tym ludziom z kierownictwa, gdyż boks liczy w Warszawie rzesze niezbyt delikatnych miłośników, którzy z kolei nie liczą się wcale z parkietem hali do koszykowki, depczą, niszczą i na nic nie zwracają uwagi. Raz, na tej samej sali, zapaliły się przewody od ringowych jupiterów, przechodzące tuż obok wypełnionej ludźmi galerii, akurat w czasie walki Szymury z jakimś Czechem. Oczywiście nikt nawet nie zwrocił uwagi na płomień, natomiast najbliżej stojący pomachali trochę czapkami, jakby w celu gaszenia, nie przestając zresztą ani na chwilę krzyczeć do Szymury:

– Lej go, Franek!…

Pożar, widząc, że na nikim nie czyni wrażenia sam wygasł.

Przy takiej determinacji warszawskich kibiców, którzy dla obejrzenia meczu gotowi są do aktów wszelkiej odwagi, organizacja każdej imprezy jest zadaniem nie lada, a bezpieczeństwo urządzeń stanowi rzecz zupełnie względną. Ten mecz Warszawa-Poznań miał jednak-szczególnie burzliwą inwokację, gdyż poza nadmiarem sprzedanych biletów i wynikającym stąd ściskiem w ciasnych przejściach, pewna grupa młodych ludzi dokonała

całkiem specjalnej akcji celem dostania się na widownię. Chłopcy ci nagłym uderzeniem przerwali kordon straży porządkowej przy wejściu, wbiegli do gmachu, po czym zmylili pogoń, rzucając się w stronę przeciwną niż hala, w której miały się odbyć zawody. Obiegłszy gmach, przedsiębiorczy młodzieńcy usiłowali wyłamać drzwi prowadzące na widownię od zupełnie innej, zamkniętej strony, co wskazywało zarówno na ich nieugiętą wolę oglądania zawodów, jak na ich rozmach i znajomość gmachu ośrodka. Niestety, jak zwykle w takich wypadkach, ślepy los pod postacią przechodzącego woźnego pokrzyżował ten śmiały a zarazem misterny plan. Woźny zaalarmował porządkowych, ci – milicję, nastąpiła krótka szamotanina w ciemnym korytarzu, w wyniku której większa część grupy uderzeniowej zdołała uciec, zostawiając w rękach porządkowych dwie miotające się postacie. Schwytanych zaprowadzono do małego pokoiku kierownictwa, w którym oczekiwał już trybunał, złożony z kierownika, dwóch woźnych, przedstawiciela związku bokserskiego i podoficera milicji. W pełnym świetle okazało się, że przyłapani są jeszcze bardzo młodymi ludźmi, jeśli nie rzec: wyrostkami. Obydwaj ubrani byli z bardzo tanią i tandetną niedzielną elegancją, ich ręce, szyje, uszy świadczyły o zupełnej pogardzie dla fizycznej czystości, natomiast włosy mieli długie, spadające na kark, hojnie wysmarowane brylantyną i kunsztownie zaczesane na boki. Wraz z ich wejściem woźnym ośrodka złowrogo błysnęły oczy, a ręce zaczęły drżeć niespokojnie, co oznaczało chyba, że gdyby nie obecność wyższych władz, to oni by już tym lamusom pokazali. Nie było w tym nic dziwnego, skoro wziąć pod uwagę to, co zazgrzytał z miejsca jeden z woźnych:

– My tu, cholera, całe dnie i noce sprzątamy, pucujemy, staramy się, żeby było gdzie grać i trenować, a tu przychodzi kilku takich łapciuchów jak te, i łamią, taka ich mamusia, drzwi, rozwalają szyby, poręcze i drabinki. Ja bym ich w mordę, jednego z drugim, tak, żeby ich nauczyć trochę kultury.

I uczynił niedwuznaczny gest w stronę wyrostków, podjęty zresztą z entuzjazmem przez drugiego z woźnych. W pokoju powstało wielkie zamieszanie, wszyscy chcieli coś powiedzieć, mówili naraz i starali się

wzajemnie przekrzyczeć, jeden z wyrostków skulił się pod ścianą, drugi stał dość hardo, nawet zaczepnie, milicjant rozdzielał, działacz bokserski wygrażał, i tylko kierownik siedział, patrzał i nic nie mówił. Wreszcie pięść jednego z woźnych wylądowała na policzku skulonego w kącie, na co drugi z chłopaków doskoczył do woźnego, krzycząc:

– Zostaw go, ty!…

I zaprawił woźnego baranem w podbródek, zostawiając mu na twarzy i krawacie plamę z brylantyny. Wtedy dopiero powstało zamieszanie co się zowie, w którym obydwaj woźni i milicjant dosunęli kilka wychowawczych razów złapanym i już zabierali się do dalszego ich kształcenia, gdy powstał kierownik i zagrzmiał:

– Dosyć tej karuzeli! Bić nie wolno!

Pisząc: „powstał", trudno jest oddać przeobrażenie się pokoju z chwilą podniesienia się kierownika z krzesła. Z tego kierownika był kawał chłopa, może nie za wysoki, ale za to niemal tak wysoki jak szeroki, toteż stojąc wypełniał swą postacią obszerną przestrzeń kubiczną. Jednym ruchem oderwał woźnych i milicjanta od wyrostków i powiedział:

– Tu, u mnie, nikt ich nie wychowa, a bić nie ma co, żeby się później chwalili, jacy to oni bohaterowie? Niech ich pan wylegitymuje – zwrócił się do milicjanta – i zabierze na komisariat. Tam ich możecie podkształcać.

– A tak! – denerwował się działacz bokserski – trzeba raz na zawsze skończyć z tym chuligaństwem! Żadnej imprezy nie można urządzić bez awantur. Biciem się nic nie zrobi, trzeba inaczej, przez milicję.

Milicjant przysiadł przy stole, wyciągnął blok i rzekł do tego, co się stawiał:

– Legitymację.

– Nie mam.

– A co masz?

– Zaświadczenie z pracy.

– Dawaj.

Chłopak wyciągnął z ceratowego portfela kawałek zniszczonego papieru i położył go przed milicjantem. Milicjant patrzał, czytał, obrócił i rzekł:

– Co ty, wariata strugasz czy jak? Bez fotografii ten świstek i sprzed dwóch lat, nie przedłużony. Jeszcze tam robisz?

– Nie.

– A gdzie?

– Nigdzie.

Milicjant popatrzył nań przeciągle i przygryzł ołówek.

– Jak się nazywasz?

– Stolarek Jan.

– Ile masz lat?

– Szesnaście.

– Zawód?

Milczenie. Oczy chłopaka nie uciekają przed wzrokiem milicjanta. Są ciemne, harde, wrogie i odważne, mocno osadzone w ściągłej, umięśnionej, niezupełnie domytej twarzy, po obu stronach perkatego, twardego nosa.

– No?… Co robisz?

– Nic… Tak jestem… w domu, przy starych.

Drugi miał jasne, małe, rozbiegane oczka i był bardzo ugrzeczniony. Był chłopcem na posyłki w dużym przedsiębiorstwie, nazywał się Kamiol Zbigniew i przyrzekał, że więcej nie będzie. Mówił dużo, z poufałym cwaniactwem, a gdy rozpiął jesionkę, aby wyjąć dokumenty, z kieszeni marynarki wyjrzała nie odpieczętowana butelka wódki. Kierownik sięgnął bez słowa, wyciągnął półlitrową flaszkę i postawił na stole. Kiedy milicjant spisał wszystko, wstał i rzekł:

– No, idziemy…

Kamiol spytał z bezczelnym uśmieszkiem:

– Benzynę chyba można wziąć, panie poruczniku?

I sięgnął po butelkę. Wtedy, zanim ktokolwiek zdołał coś rzec, ciężka łapa kierownika spadła błyskawicznie na rękę Kamiola, miażdżąc ją o blat stołu. Kamiol zawył z bólu, kierownik zaś otworzył okno i z całej siły

szmyrgnął butelką o cegły. Wódka rozlała się na śniegu, zaś kierownik podszedł do chłopaków i rzekł wolno:

– Uważajcie tylko; jak was drugi raz tu złapię, to sam wam gnaty poprzetrącam. A ty – zatrzymał wzrok na Stolarku – nie kozakuj zanadto. Dłużej będziesz żył.

Oczy Stolarka zwęziły się. Spojrzał na kierownika i spotkał zimne, niebieskie spojrzenie, bez odrobiny pasji czy podniecenia. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem – poważny mężczyzna o barach atlety i szczupły, łobuzowaty wyrostek, po czym Stolarek spuścił oczy i mruknął coś niewyraźnie. Za chwilę milicjant wyprowadził obu chłopaków.

Kierownik wyszedł z pokoju, przeszedł pusty korytarzyk, następnie pilnie strzeżone drzwi, prowadzące z szatni zawodników na salę, i znalazł się w zatłoczonym, zadymionym przedsionku. Wszędzie wokół siebie miał podniecone twarze i rozbiegane oczy niecierpliwców, których jedyną myślą było znaleźć się jak najszybciej na widowni. Wszedł wreszcie do tego przybytku emocji. Dobre dwadzieścia minut pozostawało jeszcze do rozpoczęcia meczu, lecz sala była już wypełniona po brzegi. Galerie nabite były ludźmi, na podłogach siedzieli smarkacze z całej chyba Warszawy, zwieszając wolno nogi pod żelaznymi poręczami. Stojący w środku ring oblepiony był szczelnie głowami ludzkimi; najbliżej ringu – głowy sędziów punktowych, działaczy sportowych i prasy, za nimi zaraz, a raczej wciskający się nieustannie między nich – najrozmaitsi ludzie, związani od licznych lat z boksem: byli zawodnicy, byli działacze, krewni, przyjaciele i znajomi byłych i obecnych zawodników. Wszyscy ci ludzie klepali się wzajemnie po ramionach, wymieniali serdeczne uśmiechy i nieodzowne: „Kopę lat!", chociaż widzieli się na poprzednim meczu. Klepali także sędziów, działaczy i dziennikarzy, a już zupełnie promienieli, gdy ci odklepywali w analogiczny sposób. Za nimi – bezimienny tłum, przetkany gdzieniegdzie twarzą kobiecą, przeważnie jednak mężczyźni, młodzieńcy, chłopcy roześmiani i podnieceni, oczekujący z niecierpliwością chwili, kiedy zaczną uwielbiać ujawniającą się na ringu siłę, odwagę, zręczność, bitność – a więc te zalety,

które od początków ludzkości wszyscy mężczyźni wszystkich czasów mają w najwyższej estymie. Miałem przyjaciela, znakomitego pianistę, wrażliwego odtwórcę subtelnych nastrojów, który chadzał na mecze bokserskie, rozkoszując się głównie owymi minutami przed rozpoczęciem spotkania. Nurzał się ze specjalnym upodobaniem w tej atmosferze czekania na walkę. „Gdyby w tej chwili – mówił – zjawił się na tej sali Chopin w drzwiach i posuwał się ku ringowi, wołając: – Ludzie! Ja jestem Chopin! – to myślę, że najbliżej siedzący oświadczyliby: – to bardzo pięknie, panie Chopin, ale siadaj pan i nie zasłaniaj, bo nic nie będzie widać… – Jedynym, co jest w stanie oderwać uwagę mężczyzny od ringu tuż przed rozpoczęciem walki, może być wyłącznie kobieta o pięknie zarysowanych kształtach; ale też nie na długo i tylko młodzieńcy w wieku dojrzewania potrzebują kilku minut więcej dla oderwania wzroku od takiej kobiety." Wydaje mi się, że w słowach tych tkwi sporo racji.

Kierownik stał w przejściu i rozglądał się wokoło. Chłonął tę atmosferę sali przed meczem po raz tysięczny i pierwszy. Nie było tu dlań tajemnic; wiedział, że ledwie uchwytny błysk w najdalszej części wysoko nawarstwionej ławicy ludzkiej, hen, na galerii, wśród zbitej masy płaszczów i plam twarzy, oznacza krążącą wśród wyrostków butelkę wódki; nawisłe nad balustradą oblicza w tanich cyklistówkach z podgiętym daszkiem, z rozdziawionych ust z których padały grubiańskie i głupie okrzyki, miały dlań konkretną, określoną wartość: gardził ich głupotą i prymitywnością, lecz gotów im był wszystko przebaczyć za chwilę wspólnego krzyku na widok wspaniałego, porywającego pięściarskiego pojedynku. Taki widok wyzwalał w nim i w nich jednakie uczucia: uczucia podziwu i uwielbienia dla męstwa. „Dziwna rzecz – rozmyślał kierownik – lecz te minuty przed rozpoczęciem spotkania budzą we mnie zawsze skomplikowane i niepokojące uczucia. Wydaje mi się wtedy, że zmarnowałem życie. Wydaje mi się, że ów dzień, w którym dojrzałem piękno boksu i szlachetność jego reguł, kiedy urzekł mnie heroizm ringowych przeznaczeń różnych Fitzsimmonsów, Carpentierów i Kiecalów – był dniem mej największej

pomyłki. Za dniem tym poszły długie lata ciężkiej pracy; uczyliśmy szermierki na pięści chłopców z Woli, Ochoty i Placu Broni, ucząc ich przy tym dżentelmeństwa, rycerskości i tych wszystkich wyobrażeń o mężczyźnie, jakie zawierał w sobie boks. We wczesnych latach dwudziestych trenowaliśmy w piwnicach odrapanych kamienic Muranowa czy Pragi, zanim przyszedł okres zainteresowania boksem, zanim dano nam obszerne, widne sale instytutów kultury fizycznej i szkół oficerskich. Szczepiliśmy w naszym mieście pojęcie sportowej szlachetności w mozolnych rozmowach z dziećmi wielkomiejskiej peryferii, dla których siła pięści była bożkiem i najwyższymi moralnym prawem, do którego należy się modlić, według którego trzeba żyć. Jak trudno przychodziły te rozmowy nam, młodym zapaleńcom, którzy lepiej odczuwali niż rozumieli, o tym nikt nie wie, kto nie miał wbitych w siebie kilkunnastu par bezczelnych, przedwcześnie dojrzałych, skażonych wódką i nędzą oczu w chwili, gdy przy pomocy nieudanych słów usiłuje się oczom tym ukazać sens dobrego postępku czy uczciwej, zgodnej z przepisami walki. Tyle lat, tyle lat żmudnej pracy, tyle przykładów prostowanych, a potem znów strzaskanych przez namiętności, wódkę, głupotę młodych przeznaczeń, tyle zmagań, załamań i klęsk po to, aby dziś tu, na sali, znów dostrzec owe bezmiary dzikości i ciemnoty i to samo poszukiwanie najgorszych podniet za cenę cudzej męki. Ileż jeszcze roboty do zrobienia, jak wielkie są kopce młodych serc i umysłów, z których każde należałoby podnieść, oczyścić ze szlamu złych uczuć i przekonań i zaopatrzyć w najpiękniejsze sportowe prawdy, które mówią, że człowiek stojący naprzeciw ciebie to przeciwnik, a nie wróg, że zwyciężać – znaczy myśleć, a nie ufać potędze mięśni i zajadłości. A przecież patrząc na tych podpitych, głupich wyrostków z galerii i tych podnieconych cudzą siłą cherlawych buchalterów z parteru, nie mogę się oprzeć pewności, że jest coś, co nas wszystkich na tej sali łączy dobrowolnie i szlachetnie. Jest to chyba wspólna nam wszystkim tęsknota za podziwem, za uwielbieniem tych męskich wartości, które za chwilę błysną – przez ułamek sekundy chociażby – między linami ringu. I jeśli zadaję sobie

często przez tyle lat pytanie: czy warto nadal bić gołymi pięściami w kamienną ścianę upartej głupoty i złej woli? – to zawsze na kilka chwil przed rozpoczęciem meczu widzę jasno i najlepiej, że warto, że trzeba, że musi się ciągle jeszcze odwalać brudną robotę, aby czasem, kiedyś, jak przy przemywaniu złota, błysnęło wśród błotnistej mazi ziarnko czystego kruszcu…"

Kierownik przesunął się pod ścianę i przycisnął swe potężne bary do gimnastycznych drabinek. W tej chwili ósemka Poznania wyszła na ring. Błysk lamp fotoreporterskich, zmieszana wrzawa podnieconych głosów, prezentacja zawodników.

– …W wadze półśredniej – Cichoń, Poznań… – obwieszczał speaker zawodów.

Z poznańskiego szeregu wystąpił młody, mocno zbudowany chłopak, o miłej, otwartej twarzy i krótko przyciętych jasnych włosach. Skłonił się energicznym, oszczędnym gestem w prawo i w lewo, po czym podszedł do swego warszawskiego przeciwnika i wyciągnął doń przyjaźnie obie ręce.

– Przyjemny chłopak – rzucił z cicha kierownik.

– Przyjemny, wiadomo: uczeń, jak to u nich w Poznaniu tacy boksują – podchwycił jakiś przygodny sąsiad z boku. I już wymieniali krótkie uwagi, jak to na meczu.

Kierownik miał dziesięcioletniego synka, którego bardzo kochał. Kiedyś w kwietniu Grześ – tak się syn nazywał – poinformował ojca, że najgorętszym jego pragnieniem jest obejrzeć pewien film, wyświetlany właśnie w kinie „Ochota". Kierownik westchnął, zebrał cały zapas przedsiębiorczości i hartu ducha i udał się wraz z Grzesiem z Saskiej Kępy, gdzie mieszkali, na Grójecką – czyli na drugi kraniec Warszawy. Po dwóch niemal godzinach stania w kolejce bilety zostały zakupione i kierownik wraz z Grzesiem zajęli swe miejsca na kinowej widowni.

Jeszcze przed rozpoczęciem seansu kierownik, jak zresztą wszyscy na sali, zwrócił uwagę na grupę rozbawionych wyrostków, którzy o kilka rzędów przed nim wyczyniali najrozmaitsze ostentacje, mające oznaczać

dowcip i swobodę zachowania. Te niehumorystyczne kawały polegały na wzajemnym zrywaniu sobie czapek z głów i rzucaniu tychże w odleglejsze kąty widowni, co zmuszało pozbawionych w ten sposób nakryć czaszki do nieustannego wędrowania i przepychania się przez zatłoczone rzędy krzeseł. Igraszkom tym akompaniował podniesiony i arogacki ton uwag, jakimi czarujący młodzieńcy obrzucali postronnych widzów, którzy wydawali się niezadowoleni z tych objawów radości życia. Wszyscy ci młodzi ludzie nosili spiętrzone i ufryzowane grzywy wybrylantynowanych włosów, ubrani byli z brudnawą elegancją i sami sobie wydawali się szczytem junactwa, wdzięku i wesołości, która – ich zdaniem – winna budzić ogólny zachwyt. Kiedy światło zgasło, a chłopcy ci nie przestawali się awanturować, wstawać, popychać, zasłaniać ekran, pochylił się ktoś siedzący za nimi i zwrócił im dość ostro uwagę. Uspokoili się nieco, po czym wszystkich pochłonął film.

Światła zabłysły po dwóch godzinach, tłum ruszył z miejsc i tłocząc się posuwał ku wyjściu. Grześ opowiadał coś ojcu, kierownik jednak słuchał mało uważnie. Jego bystre, chłodne oczy błądziły w tłumie, dostrzegając rzeczy trudne do wyłuskania, jemu tylko wiadome. Wstrzymał Grzesia za ramię i powiedział:

– Przepuśćmy ludzi. Nie ma potrzeby się tłoczyć.

Tym, który przed filmem zwrócił uwagę wyrostkom, był wysoki student politechniki wychodzący właśnie w towarzystwie młodej dziewczyny i kolegi. Nieco za nimi posuwali się hałaśliwie młodzi ludzie. Ale nie wszyscy. Dwóch czy trzech szło przed nim, niewidocznie rozmazani w tłumie.

Z tyłu, za kinem, rozciągały się usiane cegłami, nieoświetlone gruzowiska pomiędzy niskimi, wypalonymi domkami. Ludzie rozpraszali się szybko i ginęli w ciemnościach. Student wraz z towarzyszami nawet nie spostrzegł, kiedy odizolowany został od reszty publiczności, dążącej ku oświetlonej ulicy Grójeckiej. Nagle otoczyło go pięć czy osiem postaci. Jedna z nich zawołała niezbyt głośno:

– To ten!…

Inna dodała:

– Ty wszarzu!… Odzywać się będziesz, gdzie nie trzeba…

I momentalnie spadły ciosy i kopnięcia. Napadnięty zgiął się pod uderzeniami, usiłował zakryć twarz ramieniem, drugi stał blady i zdezorientowany, tylko dziewczyna krzyknęła:

– O Boże!… Milicja!… Pomocy!…

Na Grójeckiej ludzie zaczęli się oglądać, kilku mężczyzn rzuciło się w stronę krzyczącej. Napastnicy rozluźnili natychmiast krąg, kilku znikło w najbliższych ruinach. Jeden jeszcze kopnął, jakby na pożegnanie pochylonego studenta i syknął:

– Ciiiicho!… Bo cegłą…

Po czym odskoczył zręcznie w ciemność. Natrafił na coś niewidocznego, twardego, od czego nie mógł się już oderwać. Ogromne zdumienie zamigotało mu w oczach. Upłynęły dwie – trzy sekundy, zanim zrozumiał, że trzyma go za ramię jakaś żelaznej ręka. Pierwszym błyskawicznym odruchem chciał uderzyć w środek wyczuwalnego korpusu, którego szerokie bary rysowały się mdło w mroku; był odważny, nie znał uczucia strachu i pierwszy raz w życiu chyba, chcąc uderzyć – nie uderzył. Szarpnął się tylko z całych sił, lecz zaraz instynktownie pojął raczej niż zrozumiał, że trafił na swojego pogromcę. Od razu też go znienawidził.

Do studenta podbiegli przechodnie, wśród nich milicjant. Wszyscy mówili głośno, jeden przez drugiego, dziewczyna krzyczała, student przykładał chustkę do opuchniętych oczu. Cała akcja trwała zaledwie kilka minut, nic więc dziwnego, że napadnięci byli wiecej przestraszeni i oszołomieni niż poszkodowani. Wreszcie wszyscy poszli w stronę tramwajowego przystanku, dyskutując głośno.

– My się skądś znamy… – rzekł, trzymający do trzymanego – nie pamiętam tylko skąd?…

– Niech mnie pan puści!…

Oczy wyrostka błyszczały pasją i nienawiścią, mózg pracował gorączkowo: „Kto to jest?… Jak będzie mnie prowadził na komisariat, to się

urwę!… Albo zaprawię go już na ulicy!”…

– Tylko nie machnij ręką, bez awantur, dobrze? – powiedział wolno i spokojnie mężczyzna o szerokich barach, jakby zgadując myśli. – Coś sobie przypominam… Już wiem.

– Niech mnie pan puści, bo zlecą się chłopaki i takie bańki tu panu cegłami spuszczą, że żywy pan nie wyjdzie…

– Tokarek… Talarek… Stolarek! Aha, nazywasz się Stolarek… Tak, to ty… No, dobrze. Tylko nie groź cegłami, bo ci kości połamię i twoim chłopakom też.

– Skąd pan wie, jak…

– Nie twoja rzecz, dość, że wiem. Słuchaj, Stolarek, łobuz jesteś, że ze świecą drugiego takiego szukać i powinienem odbić ci parę plomb na zębach, ale jeszcze tego nie zrobię. Mógłbym cię teraz zaprowadzić do komisariatu, gdzie zarobiłbyś parę miesięcy za chuligaństwo. Ale i tego nie zrobię. Natomiast tak się z tobą umówię: przyjdziesz jutro do mnie do ośrodka, wiesz już gdzie, o godzinie piątej i porozmawiamy ze sobą. O ile zaś nie przyjdziesz, to jak następnym, trzecim i ostatnim razem na mnie najedziesz, wierz mi – przelecisz się albo do więzienia, albo do szpitala. I to na dłużej. A teraz pamiętaj: w Warszawie łatwo się spotkać. Do widzenia.

Pchnął Stolarka lekko od siebie i ujął za rękę małego chłopczyka, który stał obok i z wypiekami na twarzy pochłaniał płonącymi oczyma wszystko, co się tu działo, od początku do końca. Nie bał się przy tym nic a nic – wiedział, że przy tatusiu nic mu się złego nie stanie.

Godzina piąta jest w takim ośrodku kultury fizycznej czasem największego ruchu i ożywienia. Na wszystkich korytarzach pulsuje młody, wesoły tłumek. Smukli siatkarze i koszykarze w kolorowych spodenkach i koszulkach, o barkach zlanych potem schodzą z sali treningowej, ustępując miejsca innym siatkarzom i koszykarzom. Pływacy w ciepłych dresach nawołują się: „Rozbieraj się! Ubieraj się! Co tak późno?… Młodzi chłopcy

podglądają, przez wydrapane w matowej szybie dziurki, ćwiczące gimnastyczki, nie szczędząc uwag o treści zasadniczej.

Siedziałem właśnie o tej porze w małym pokoju kierownika ośrodka, który był moim starym, dobrym przyjacielem i którego odwiedzałem od czasu do czasu. Opowiadał mi o swych pracach i swych bolączkach, o swym spokojnym, chłodnym oddaniu młodości, sportowi i wzajemnym tychże powiązaniom, o swym niegasnącym, wytrwałym zapale dla tych spraw. Z tym zapałem było dość dziwnie: kierownik należał do ludzi, którzy dobrze znali podszewki życia, a już na pewno te wszystkie – brudne, postrzępione i wytarte – jakimi sport był podszyty. A jednak zapał jego nie gasł, nie płonął fanatycznie i gorączkowo – prawda – ale tlił się ciepłym, ogrzewającym wszystkich dokoła płomykiem. Człowiek ten nie miał nigdy dość atmosfery sali treningowej i małych, cichych dramatów, jakie w niej się codziennie rozgrywały. Tak było od jego wczesnej młodości, tak już chyba w nim zostanie do końca życia i żadne przeciwności – w rodzaju nie dostarczonych na czas desek parkietowych czy kozłów gimnastycznych, intryg zazdrosnych o stanowisko konkurentów albo grzyba, który pojawił się nagle w ścianach rozbieralni – nie były w stanie nadwątlić zapasu jego opanowanej, stanowczej energii.

Zbierałem się już do wyjścia, gdy wszedł woźny i powiedział:

– Jakiś chłopak do pana kierownika. Mówi, że pan na niego czeka. Nazywa się Stolarek.

Po twarzy kierownika przemknęło zdziwienie.

– Wpuść go – rzekł i dodał w moją stronę: – zostań jeszcze. Zobaczysz coś ciekawego.

Wszedł Stolarek, zdjął czapkę i powiedział:

– Dobry wieczór.

Brzmiało to dość uprzejmie i kierownik poprosił, żeby usiadł. Stolarek usiadł całkiem przyzwoicie. Wrażenie na mnie wywarł nieszczególne. Widać było, że zadbał o swą powierzchowność, zanim tu przyszedł. Uczynił to jednak tak, że wzbudzał co najmniej zabawny niesmak. Ubrany był z ową

tanią, niesłychanie tandetną elegancją, wzorowaną na najbardziej szmirowatych aktorach filmowych, koszulę miał ciemną, nieświeżą, ale wyglądał z niej zmięty, kolorowy szalik, najgorsze zaś były bujne włosy, spiętrzone dziwacznie, z tyłu podcięte, nie myte chyba od miesięcy. Widocznie taka już była moda wśród tych chłopców z przedmieść i Stolarek stosował się do niej z rygoryzmem koryfeusza.

Kierownik wziął z biurka paczkę papierosów i poczęstował Stolarka.

– Palisz?

– Dziękuję – Stolarek zapalił i zaciągnął się aż do pępka. Na to kierownik: – Wódkę pijesz?

– Piję.

– Tak też sobie myślałem. Słuchaj, Stolarek, ja cię tu zaprosiłem, żeby postawić ci jedno pytanie i jedną propozycję. Pytanie brzmi: czy uderzyłbyś cegłą tego studenta, wczoraj, jak groziłeś?

Chłopak zmienił się na twarzy, spojrzał spode łba na kierownika, za chwilę uśmiechnął się. Był to bardzo nieszczery uśmiech i wraz z nim znikła gdzieś cała szorstka naturalność, z jaką zachowywał się dotychczas.

– Skądże znowu, proszę pana… Ja nigdy… To się tylko tak mówi…

– No, dobrze – pokiwał głową kierownik, bawiąc się zapałkami – czy ty, Stolarek, urodziłeś się w Warszawie?

– Tak.

– Na jakiej ulicy?

– Chyba na Karolkowej.

– A gdzie mieszkasz?

– Zupełnie jak w komisariacie, jak Boga kocham… – uśmiechnął się krzywo Stolarek – mieszkam na… – zawahał się chwilę – … na Wroniej.

– A po powstaniu gdzie byłeś?

– Gdzieś koło Grójca, u krewnych.

– Co teraz robisz?

– Pracuję.

– Gdzie?

– W warsztacie.

– W jakim warsztacie?

– Przy naprawie platform, wozów, wie pan?…

– Jak cię tu pierwszym razem przyprowadzili nie pracowałeś, pamiętam przecież.

– A teraz robię, jak pragnę zdrowia. O, jakie ręce…

Pokazał ręce, rzeczywiście brudne, o długich, brudnych paznokciach, lecz nie wykazujące specjalnych znamion spracowania.

– No, dobrze. Posłuchaj, Stolarek, wstań teraz, zdejm płaszcz, marynarkę, koszulę, rozbierz się do połowy.

Stolarek spojrzał na kierownika jak na chorego, wzruszył ramionami, ale wstał. Mruknął:

– Co za szopa, cholera?…

Rozebrał się jednak. W pokoju rozeszła się woń niedomytego, lecz zdrowego, młodego ciała. Chłopak był krzepki, zwięzły, niezbyt szeroki w klatce piersiowej, lecz dobrze wyraźnie umięśniony. Ramiona miał szczupłe, ale twarde, o nierozwiniętych bicepsach, z których ćwiczenia mogłyby uformować płynne, elastyczne akumulatory sprawności i siły, a z których ciężka, długoletnia, fizyczna praca uczyniłaby tylko sękate gruzły. Miał świetnie osadzoną, mocną szyję i chudy brzuch o dobrze zarysowanej muskulaturze. Kierownik kazał mu się odwrócić, unieść ramiona, obrzucił krótkim spojrzeniem grę mięśni barków i pleców, po czym rzekł:

– No, to ubieraj się, synu. A oto moja propozyja: zapiszę cię do sekcji pięściarskiej „Kolejarza". Opiekuję się tą sekcją. Ułatwię ci wszelkie formalności i uprzystępnię świadczenia. Postaram się nawet o załatwienie ci drobnej pożyczki na ekwipunek, o ile będziesz potrzebował. Czy chcesz trenować?

Stolarek wkładał marynarkę; zatrzymał się w połowie i powiedział spokojnie:

– Nie chcę…

– Jak to – nie chcesz?… – w oczach kierownika błysło wielkie zdumienie, które zaraz ukrył. Nie potrafił natomiast skryć lekkiego rozdrażnienia w głosie – przecież lubisz chodzić na mecze, patrzyć na boks, tak się wtedy o to darłeś…

– Lubię – przytaknął Stolarek – ale tylko popatrzyć, jak się inni kotłują. Ja z siebie nie będę robił pajaca. Jeszcze jakiś talent we mnie pan znajdzie, a potem rozpocznie się ta cała gonitwa sprzedażna. To nie dla mnie, znam ten numer, już niejednego chłopaka na to wykołowali, że potem zgłupiał.

– Dobrze – powiedział sucho kierownik – w takim razie bądź zdrów. Pamiętaj tylko o tym, co ci mówiłem wczoraj przed kinem na pożegnanie – to obowiązuje…

Stolarek skłonił się sztywno, poprawił dłonią włosy i wyszedł.

– Nic z tego nie rozumiem… – zacząłem, ale kierownik przerwał mi:

– Że ty nic nie rozumiesz, to normalne, ale że ja, stary wyjadacz, nic z tego nie rozumiem, to jest niepokojące. Widzisz – ciągnął zapaliwszy się w sposób widoczny do tematu – wszystkie niemal filmy i powieści o boksie rozpoczynają się z reguły od takiej historii: jakiś trener, menażer czy inny fachowiec natyka się na chłopaka, który błyska w jego olśnionych oczach nadzwyczajnym talentem. Ten talent polega zawsze, ale to zawsze, na tak zwanym ciosie „kończącym", ścinającym, zwalającym z nóg, jedynym w swoim rodzaju, rasowym, klasycznym, przeczystym ciosie pięściarskim w szczękę, „na punkt", porażającym rdzeń pacierzowy, po którym uderzony traci przytomność i wali się, jak worek z mąką, na ziemię. O takich chłopcach z dynamitem w pięści śnią powieściowi i filmowi fachowcy, marzą w czasie bezsennych nocy, spotykają ich przypadkowo na ulicy, w knajpie, w czasie ulicznej bójki, a potem wiodą ich poprzez ringowe batalie wprost na tron mistrza świata wszechwag. Tymczasem talent w boksie to nie tylko taki cios, to jeszcze coś więcej, czego nikt nigdy na pierwszy rzut oka nie stwierdzi, a co tylko można przeczuć, domyślać się i najczęściej – całkowicie omylić. Słyszałeś moją rozmowę z tym Stolarkiem, widziałeś go, na pewno sam też masz jakieś o nim zdanie. Otóż ja ci teraz

dopowiem to, czego on nie powiedział, czego nie chciał powiedzieć, co skłamał lub zataił. Urodził się w Warszawie, na Karolkowej; czy ty wiesz, co to była Karolkowa przed wojną? To była dżungla. Dla małego, pięcioletniego pętaka to była dżungla, dzika i pełna niebezpieczeństw, w której panowało prawo silniejszego, kształtujące się w jego małej, nierozumnej świadomości jako prawo najwyższe i najwartościowsze. Na ulicy Karolkowej stały domy i leżały bruki jak wszędzie gdzie indziej w Warszawie, być może domy były brudniejsze i bruki bardziej chropowate, ale nie to było istotne. Ważnym było, że Karolkowa stanowiła centralną arterię warszawskiej przestępczości; oflankowana placem Kazimierza, Towarową, Dziką, stanowiła rezerwat Urke Nachalników i Szpicbródek, których legendy rozpłomieniały wyobraźnię. Czy znaczy to, że kształtowały pokolenie na nieodwołalnych przestępców? Nie, tego nie twierdzę. Różne przyczyny składały się na to, że tak nie było, nie chodzi mi jednak o społeczną stronę zagadnienia – raczej o psychologiczną. Chłopcy z tych ulic wychowywali się w cichym kulcie dla nieliczących się z prawem przestępców, rodzice ich – biedni straganiarze, robotnicy, tragarze, nędzni rzemieślnicy – nic nie czynili skutecznego, aby ten kult rozwiać, żyjąc sami w atmosferze najróżniejszych zazębień zawodowych, środowiskowych i towarzysko-rodzinnych o sprawy złodziei, włamywaczy, paserów. W czasie rodzinnych uroczystości, imienin, chrzcin, ślubów, w oparach alkoholu, krążyły podania i opowieści, których niezmiennym, wyidealizowanym bohaterem był nóż lub pięść, ulubionym tłem – bijatyka, godnym podziwu ideałem – pewien żołnierz, który w czasie świątecznego urlopu zabił na Czerniakowie kawaleryjską szablą pół weselnego orszaku. Często dochodziło w biednych, ciasnych mieszkaniach do scen, w których ujawniało się prawo silnej pięści w całej swej krwawej krasie. Szkoła usiłowała przeciwdziałać tym wpływom, lecz cóż mogła dokonać szkoła mając przeciw sobie kino. Pamiętasz kino „Bajka" na Żelaznej, kino „Antinea", kino „Czary", brudną, zaplutą salkę kina „Forum" na Nowiniarskiej?… W tych i niezliczonych innych ciemnych, niechlujnych smrodliwych kinach chłopcy z Karolkowej znajdowali artystyczne, jakże

silne uzasadnienie swego poglądu na świat. Romantyczne niemal filmy o kowbojach, Indianach, amerykańskich szulerach i gangsterach, wzruszające swą jednostronnością stare, łotrzykowskie historie, obrazy z czasu ekspansji Hollywoodu zaraz po pierwszej wojnie światowej pochłaniane były po tysiąckrotnie przez najwdzięczniejszych pod słońcem odbiorców. Chłopcy ci nie zauważali jednak szlachetności Toma Mixa i jego walki o prawo, nie dostrzegali tego, że Ken Maynard, Eddie Polo czy Harry Piel są zawsze po stronie dobra i sprawiedliwości, że biją się w obronie słabszych i pokrzywdzonych. Ich szeroko rozwarte z podziwu i uwielbienia oczy widziały tylko, że biją się i to jak jeszcze, jak wspaniale, jak barwnie i zajmująco, przy pomocy pięści, noży, rewolwerów, kopniaków i całego bogactwa niewidocznych filmowych tricków i teatralnej umowności, dzięki której każda bójka wypadała tak ślicznie, atrakcyjnie i zajmująco. Chłopcy wychodzili z kina i realizowali swe ideały za najbliższym rogiem słabo oświetlonej ulicy. W ten sposób narastała tradycja pięści, bójki i nieprzytomnego zawadiactwa, w ten sposób Ogród Saski, i inne parki warszawskie stały się z czasem istną chłopięcą dżunglą, gdzie ten tylko grał w piłkę, kto miał mężne serce i dostatecznie silne kończyny, aby sobie wywalczyć miejsce. Hegemonia polska w boksie europejskim w latach trzydziestych nie jest rzeczą przypadku, w żadnym bowiem innym kraju pięściarstwo nie natrafiło na tak podatny grunt jak u nas. Polacy mają jakby rozluźnione w przegubach i stawach ręce, a te chodzące lekko ręce wraz z naszą zapalczywością, kłótliwością i nieprawdopodobnymi pojęciami o honorze powodują, że skłonność do bijatyki stanowi u nas coś w rodzaju cechy narodowej. Znamienne jest ponadto, że Polacy lubią bijatykę dla samej radości bicia się, co stanowi raczej unikat w dzisiejszym świecie i chyba tylko Irlandczycy są pod tym względem do nas podobni. Nie chcę przez to powiedzieć, że inne narody są tchórzliwe, o nie, ale młodzi Francuzi, Czesi czy Szwedzi, skoro biją się, to zawsze dzieje się to z jakiejś określonej przyczyny i w jakimś bardzo konkretnym celu. Bicie się dla samego bicia, z popędu, z instynktu walki, jest czymś bardzo naszym.

– No i w boksie daje to świetne rezultaty, czyż nie? – wtrąciłem.

– Otóż nie zawsze, natomiast zawsze wpływa na ogólny klimat życia społecznego, przyznasz chyba. My zaś, starzy fachowcy od boksu, od dawna doszliśmy do wniosku, że odważny i zuchwały łobuz, niezawodny w ulicznym starciu, nie zawsze oznacza wartościowego pięściarza. Rasowego warszawskiego łobuza cechuje w pierwszym rzędzie zaczepność, zawadiackość i szaleńcza odwaga, płynąca z impulsywności, z pasji. Prawdziwy łobuz, cwaniak, „kozak" zaczepia i bije się przede wszystkim dla samego bicia, potem dla swej mołojeckiej sławy, a na dalszym planie dopiero dla innych, ubocznych celów. Przy tym łobuz w czasie bijatyki nie myśli, lecz kombinuje, najczęściej zaś daje się ponieść instynktom. Są to wszystko mało przydatne cechy w pięściarstwie, stanowiącym zdyscyplinowaną sztukę, w której cenne zalety bitności i odwagi muszą być podporządkowane woli zwycięstwa, będącego jedynym i ostatecznym celem walki. Droga zaś do zwycięstwa wiedzie poprzez myślenie i pięściarz, który nie myśli, nie ocenia, nie wybiera metody taktycznej, nie rozpoznaje przeciwnika, taki pięściarz nigdy nie osiągnie większych sukcesów. Łobuz pokazuje z dumą własne podbite oko i mówi: „Dołożył mi, ale jak ja mu dałem…" Pięściarz stara się pobić przeciwnika, inkasując jak najmniej, a otrzymanych cięgów nie poczytuje za tytuł do chwały. Mieliśmy znakomitych pięściarzy, rekrutujących się z mętów ulicznych, to prawda, ale chłopcy ci pozbyli się wszelkich przywar łobuzerki, zachowując z niej tylko bojowość i odwagę. Mieliśmy natomiast świetnych, słynnych w świecie bokserów, którzy w chłopięcym wieku uchodzili za spokojniaków i łamagi i nigdy nie mieli w dzieciństwie guza na głowie ani podbitych oczu.

– A Stolarek?… – wtrąciłem znowu.

– Stolarek – odsapnął kierownik po tej tyradzie – to oczywiście łobuz. Nie wiem, co robił w czasie okupacji, miał wtedy pięć lat, kiedy się zaczęła. Zresztą nie pytałem o to, umyślnie, rzecz jasna, wyobrażam sobie, że niczego chwalebnego nie dokonał. Tacy, jak on teraz, byli postrachem wszystkich różnojęzycznych obozów w Niemczech, w których pracowali auslenderzy

wywiezieni na roboty przez hitlerowców. Wyobrażam zaś sobie, co robi teraz. Twierdzi, że mieszka przy rodzicach; nie jestem tego pewien, ale to nieważne, rodzice od dawna nie mają już wpływu na duszę i losy tego chłopca. Utrzymuje się sam. W jaki sposób? Oczywiście – nie dzięki pracy w jakimkolwiek warsztacie czy wozowni. To było kłamstwo. Jeśli po prostu nie kradnie, to kombinuje, „stara się" – jak oni to mówią. Do pewnego czasu sprzedawał proszek DDT, cytryny i kosmetyki z amerykańskich paczek na Marszałkowskiej. Należał także na pewno do jednej z band, zajmujących się nielegalnym, pokątnym handlem biletami do kin i na imprezy sportowe – ta nowa gałąź ciemnej przedsiębiorczości rozwinęła się do pokaźnych rozmiarów w powojennej Warszawie. Wieczorami odgrywał zapewne doniosłą rolę na konwentach tych młodocianych szajek, koczujących w ruinach wypalonych domów Chmielnej, Złotej, Śliskiej. Jesienią stał zapewne przy wózkach ze skradzionymi owocami. Każdy gest jego głowy, każdy ruch ręki, oszczędny, elastyczny, koci, każde pochylenie korpusu i spojrzenie jego oczu mówi mi o takim, a nie innym życiu. To klasyczny łobuz warszawski, odważny, zepsuty, bezwzględny, wierzący tylko w pięść, spryt i użycie. Takich jak on…

– Co?… Co z takimi, jak on?… – podchwyciłem, widząc, że kierownik ucina nagle, jakby spostrzegł, że powiedział za dużo.

– Nic. To nieważne. Późno już… – spojrzał na zegarek, co chyba miało oznaczać, że mam się wynieść. Daleki jednak byłem od tego.

– Mój drogi – powiedziałem wstając – najpierw zaczynasz opowiadać interesujące historie i wygłaszać cenne, trafne sądy po to, aby przerwać w najciekawszym miejscu. Nie ma tak dobrze. Nie ruszę się stąd, póki nie skończysz.

– Skończyłem już – uśmiechnął się kierownik – prowadzę zaraz trening.

– Co należy robić z takimi jak Stolarek?… – obstawałem przy swoim – nie wymiguj się!…

– Takich należy niszczyć – rzekł cicho – albo…

– Albo?…

– Albo długo i żmudnie przerabiać, oczyszczać, inwestować w nich przyjaźń, serce, pracę. Ale najczęściej to nie prowadzi do niczego. Pewnego dnia nie zjawiają się więcej, przy czym stwierdza się brak własnego zegarka.

– A ty… – gniotłem nieustępliwie – po co sprowadzałeś do siebie Stolarka? Aby niszczyć czy aby przerabiać?…

– Nie wiem. Nie przemyślałem jeszcze tego.

– Nie wykręcaj się. Przecież musiałeś się czymś kierować, prosząc go tu. No, powiedz: czym się kierowałeś?…

Spojrzał na mnie z bliska swymi jasnymi, chłodnymi oczami.

– Może sentymentem… Widzisz, ja tych chłopców dobrze znam, wiem o nich dużo… wszystko… Ja sam…

W tej chwili ostre dzwonki zabrzmiały ze wszystkich stron. Kończył się czas treningu na salach.

Nietrudno jest sobie wyobrazić, co myślał i czuł kierównik, kiedy wizytując jedną z sal treningowych, na której odbywała się zaprawa gimnastyczna sekcji pięściarskiej „Spójni", dostrzegł Stolarka w szeregu wykonującym właśnie, po raz chyba dwudziesty, głębokie skłony tułowia. Było to w półtora miesiąca po ostatniej ich rozmowie. „Ten szczeniak bawi się ze mną w kotka i myszkę czy co?…" – zazgrzytał kierownik i powodowany rozdrażnieniem, co mu się rzadko przecież zdarzało, rzekł do instruktora:

– Co ty? To ma być zaprawa… Czy ty ich przygotowujesz na pielęgniarki czy na zawodników? Do kitu z taką robotą…

Trener „Spójni" Gniotek, ongiś zawodnik, potem szeroko znany, ceniony pijak i jąkała, od dwudziestu lat uważał kierownika za wyrocznię w sprawach boksu. Zaczął się tedy tłumaczyć:

– Chchchło-opcy są zmęęę… zmęęęę…

– Teraz zmęczeni, a potem, na ringu, nie mogą trzeciej rundy odwalić, że też ty, Stefan, chłop stary, i nie wiesz, jak trzeba. Za trzy tygodnie pierwszy krok. Jak długo masz ich w treningu?

– Poooonad mmmmiesiąc.

– Ach, ty specu… Jak ty ich wypuścisz z takimi brzuchami? Przecież to poduszka, a nie brzuch zawodnika…

Lekko zwiniętą pięścią poklepał najbliższego z brzegu chłopaka po dołku. Chłopiec był zbudowany jak kolumna, a przecież zgiął się aż pod tą pokazową pieszczotą. Kierownik odsunął Gniotka, stanął przed frontem i zakomenderował:

– Przysiad podparty. Nogi w tył do podporu. Leżenie przodem. Zegnij nogi w kolanach. Kostki chwyć! Kolana razem, razem… powiedziałem… hej, ty tam, w drugim rzędzie – kolana ci się rozchodzą…

Cała stawka, kilkunastu chłopców, leżała na podłodze jak pluton wyrzuconych na brzeg morski krabów. Twarze im poczerwieniały, szyje nabrzmiały.

– Przechył do przodu i do tyłu… Raaaz, dwaaaa, raaaaz, dwaaaa… Nie zmieniać pozycji. Wytrzymywać… – podawał kierownik, spacerując pomiędzy ćwiczącymi. Chłopcy chybotali ciężko w tył i w przód. Po chwili dały się słyszeć pierwsze ciężkie odgłosy opadających bezwładnie na podłogę nóg. Napięte do ostatecznych granic mięśnie, stawy, ścięgna nie wytrzymywały, ich rozciągliwość miała granicę niezależną od najlepszej woli. Kierownik przystanął przy Stolarku. Stolarek miał zlane potem barki i zacięte, złe usta. Był jednym z ostatnich, utrzymujących się w tej złamanej figurze; wyglądał jak scyzoryk z niedomkniętym ostrzem.

– Aha, Stolarek… – powiedział kierownik – nie wiedziałem, że tak pilnie trenujesz. Wcale mi o tym nie zakomunikowałeś.

– Baaaardzo ppppilny fffacet – dorzucił Gniotek, który posuwał się krok w krok za kierownikiem. W tej chwili nogi Stolarka stuknęły tępo o podłogę, zaś on sam obrzucił kierownika wzrokiem w którym trudno byłoby doszukać się krzty sympatii. „Dlaczego ten chłopak mnie nienawidzi?" – pomyślał kierownik.

– Więcej wytrwałości, Stolarek, to może coś z ciebie będzie – rzekł głośno i skierował się ku wyjściu z sali.

– Bbbbędzie, na ppppewno – powiedział Gniotek do kierownika, i dodał ściszając głos: – ttto ttttalencik…

– Czy aby? – zmarszczył się kierownik – Nie śpiesz się z oceną, Stefan. Znam tego lamusa. Nie przewróć mu przypadkiem w głowie, bo będziesz z nim miał biedę.

I wyszedł. Gniotek zaś krzyknął do chłopców:

– Tttto wam ddddobrze zzzrobi, tttaki ma-a-saż bbbbrzucha. A tttteraz ska-a-a-kanka…

Poskakali trochę w miejscu i wokół sali, po czym ostry dzwonek obwieścił koniec treningu. Stolarek zeszedł do szatni cały obolały.

– Frajer jesteś – powiedział mu jeden z kolegów, kiedy stali pod gorącym natryskiem – trza było puścić te cholerne kostki. Po co sobie żyły wypruwać. Trening treningiem, boks boksem, ale nie można sobie samemu nóg z tyłka wyrywać, żeby wzmocnić dołek.

– Co ty wiesz?… – odparł Stolarek. – Jak się przygotować, to na całego, żeby potem nie było wpadki na pierwszym kroku. Kogo tu kantować? Samego siebie? Oni przecież nas tak naumyślnie nie wrabiają. Tak trzeba.

Ubrał się, zaczesał włosy w „mandolinę" i wyszedł. Nie dochodząc placu Trzech Krzyży spotkał Zbyszka Kamiola.

– Sie masz, Jasiek – rzekł Kamiol – właśnie idę po ciebie.

– Czego chcesz? – spytał Stolarek bez zbytniego ciepła w głosie.

– Sprawa osobista, można powiedzieć. Mam do ciebie interes w imieniu trzeciej osoby.

– Co jest?

– Rudy ci kazał powiedzieć, że można zarobić parę złotych. Mówił, żebyś przyszedł do niego dziś wieczorem. No co, doskoczysz?

– Nie.

– Czyś ty zwariował z tym boksem? Co się z tobą dzieje? Chłopaki śmieją się, że masz zamiar być drugi Luis. Niuśka się o ciebie pyta, powiada, że cię nie widziała ładne parę tygodni.

– Powiedz Niuśce, że nie mam forsy, to się przestanie o mnie pytać – uśmiechnął się Stolarek bardzo dojrzale, może trochę za bardzo jak na siedemnaście lat życia.

Minęli plac Trzech Krzyży i weszli w Bracką. Przy Nowogrodzkiej Kamiol spytał:

– Wódki podobno nie pijesz? Taki przytomny facet dostał szmergla na punkcie boksu. Kto by powiedział…

– Nie piję…

– A może jednak? Mam ćwiartkę, chodź, odbijemy w bramie – Kamiol odchylił płaszcz i pokazał wystającą z kieszeni główkę butelki.

– O, nie. Jak raz powiedziałem, to klapa.

– Co się z nim stało?… – biadał Kamiol. – Chodź, postawię ci piwo. To ci chyba wolno u tych bokserskich zakonników? Tu jest taka meta, zaraz za Kruczą, wstąpimy…

Weszli do ciasnego baru, tandetnie przystrojonego wycinankami z tektury, składającymi się na nazwę: „Gondola". Kamiol przyniósł z kontuaru dwa duże jasne; usiedli przy małym, kiwającym się stoliku.

– No, mów coś, do cholery… – denerwował się Kamiol. – Tyle czasu robiliśmy razem w różnych interesach i nagle wysiadłeś z tego wszystkiego. Powiedz coś, niech ja wiem, co się stało, przecież mówiło się nieraz, że jesteśmy przyjaciółmi.

– Widzisz, Zbyszek – rzekł Stolarek poważnie – nie wiem, czy ty to zrozumiesz. Zresztą ja sam nie wiem dobrze, co się stało. Ja muszę się o czymś przekonać, muszę rozgryźć coś, czego też nie rozumiem. Ty nie myśl, że ja tak z tym boksem na serio, tu nie tylko chodzi o boks. Mnie się wydaje, że ja wielkiego szumu nie narobię; zdrowy jestem, ten trener – Gniotek – powiada, że na swoją wagę mam dobre warunki fizyczne, ale to wszystko nie o to chodzi. Czasem już też mi nosem wyłazi ta mordęga na treningach – to nie dla mnie, takie życie. U chłopaków zawsze miałem dobrą opinię, jak komu trzeba było na twarz nałożyć, to wszyscy wiedzieli, że można na mnie liczyć, że się nie złamię, że mam kwalifikacje; rozumiesz, że

nie po to chodzę na te treningi, żeby się nauczyć, bo jak trzeba kogoś wykopcić, to ja temu trenerowi jeszcze mogę dać lekcję. To nie o to chodzi.

– No to o co? Skończ tę mowę, niech ja wiem. – Kamiol wyjął wódkę i dolał sobie do piwa.

– Z forsą też jest słabo. Powinienem coś zarobić, postarać się, ale teraz nie mogę. Nie mogę, rozumiesz, i już. Muszę dociągnąć do pierwszego kroku. Jak mi tam wstawią bańki i skończy się moja kariera, to w porządku, wracam do branży i wszystko będzie po dawnemu. Jak nie… to jeszcze nie wiem, co będzie. Ja muszę się przekonać, co za tym siedzi…

– Za czym? Mów jasno, do cholery, bo dosyć już mam tej przemowy niemego do mikrofonu…

Stolarek przysunął się do Kamiola.

– Pamiętasz tego kierownika? – spytał.

– Jakiego kierownika?

– Tego, co nas nie pozwolił bić wtedy, jakżeśmy poszli na lewo na Warszawa-Poznań.

– Aha, już wiem, ten, co mi wódkę unieszkodliwił. Drań.

– Drań, nie drań. Ja z nim miałem jeszcze do czynienia, tylko że nic ci nie mówiłem. Ty wiesz, co ja z nim miałem za numer? Byliśmy kiedyś z chłopakami w kinie „Ochota" i tam, po wyjściu, trzeba było jakiemuś studenciakowi spuścić baty, bo się mądrzył. Załatwiło się bez krzyku, ale jak pryskałem, załapał mnie ten kierownik, który stał z boku i wszystko widział. Wiesz, znasz mnie, jak ja jestem przy melodii, to się nikogo nie boję, a chyba nikogo jeszcze w życiu nie miałem takiej ochoty skopać, jak wtedy tego kierownika. Byliśmy sami, ciemno, pusto, cegły pod ręką i wiesz – palcem nawet nie tknąłem. Czy się bałem, czy co, nie wiem, cholera, ale nie to najdziwniejsze. Najdziwniejsze, że on, który mógłby jedną pluchą kaszę ze mnie zrobić – on też nie uderzył. A zły był… Rozumiesz coś z tego?…

– Nic – rzekł Kamiol. Cała rzecz wydała mu się raczej nudna po tylu wstępach. – Ale co to wszystko ma wspólnego z boksem? Uderzył, nie

uderzył, co tobie do tego? Przecież nie trenujesz, żeby mu kiedyś oddać, taki wariat chyba nie jesteś?…

– Mnie się wydaje – powiedział wolno Stolarek – że to ma coś wspólnego z boksem. W każdym razie chcę to sprawdzić…

Dalszy rozwój historii Jana Stolarka nie zawiera w sobie momentów sensacyjnych, oszałamiająco ciekawych lub przynajmniej tak pouczających, aby godne były uwiecznienia w jakiś wyjątkowy sposób. Ktoś, obserwujący pilnie życie ośrodka, na terenie którego rzecz cała się zaczęła, względnie studiujący kroniki sekcji pięściarskiej klubu „Spójnia", ten ktoś na pewno nie zostałby specjalnie zafrapowany historią Stolarka, która niczym nie wyróżniła się z ogólnego kłębowiska spraw tych instytucji. Przypuszczać należy także, że przyszły biograf kierownika – o ile taki się znajdzie – również nie zdoła odszukać szczególnych wpływów tej historii w jego życiu.

W dorocznym pierwszym kroku bokserskim – tradycyjnej imprezie dla debiutantów – Stolarek startował w wadze lekkiej, wygrał swoją walkę bez trudu i w ładnym stylu. Gniotek był zachwycony, kierownik, stojący jak zwykle daleko od ringu, pod drabinkami, uśmiechał się zagadkowo.

– Nic z niego nie będzie – powiedział potem do Gniotka – to jest łobuz, a nie pięściarz. Trafi na swego, który mu pokaże, co to jest boks. I długo nie będzie na takiego czekać.

– Tttty nnnie idziesz z pppostępem – denerwował się Gniotek – ttto jest ffffajting, nnnnajnowszy sty-sty-styl…

– Nie ucz mnie, Stefan, dobrze? Ja wiem, co to jest fighting. Wiedziałem o tym wcześniej niż ty. Każdy łobuz uważa, że jest fighter, ale nie każdy fighter na ringu jest łobuz i w tym tkwi zasadnicza różnica. Jeśli facet idzie na siłę i bez przerwy do przodu dlatego, że cała metoda jego treningu i cała taktyka nastawione są na ten sposób walki – to jest fighting. Ale jeśli ktoś pruje przez trzy rundy „na ura", bo wierzy, że furia, zajadłość i własne mięśnie stanowią dostateczne dane do młócki, której przebiegu i wyniku nie stara się nawet przewidzieć – to taki jest dla mnie łobuz i na ringu wielkiej

kariery nie zrobi. Spójrz tylko na oczy twego Stolarka w trzeciej rundzie, a będziesz wszystko wiedział.

Część warszawskiej prasy była jednak zdania Gniotka i nazajutrz wyrażała się raczej pochlebnie o Stolarku, którego nazwała „fighterem w stylu Antkiewicza" i „ujawnionym przez pierwszy krok, godnym zainteresowania talentem pięściarskim". Kierownik, przeczytawszy te słowa, pomyślał sobie: „No, teraz skończyli chłopaka na dobre. Przewróci mu się w głowie ze wszystkim…" Pomylił się jednak. Stolarek nie wykazywał żadnej zmiany w swym zachowaniu i postępowaniu, tak jakby w ogóle nie czytał gazet, jakby nikt mu nie składał gratulacji, jakby koledzy nie klepali go z podziwem po plecach, a podpity Kamiol nie powtarzał z mieszaniną ironii i zadowolenia w głosie: – A co, nie mówiłem? Zawsze wiedziałem, że z Jaśka będzie gwiazda… – Przychodził nadal regularnie na treningi, trenował pilnie, ze swoistą zaciętością, mówił mało. Gniotek był wzruszony.

– Mmmmmusisz się jjjeszcze du-u-u-żo u-u-czyć – powtarzał i otaczał Stolarka specjalną opieką, wierząc, że znalazł w nim to, o czym marzy każdy trener, a więc talent i pięściarskie morale – dwa czynniki, stanowiące w sumie ideał pięściarza, czyli równie nieosiągalne jak każdy ideał.

Pierwsze oznaki psucia się tego stanu rzeczy pojawiły się zaraz po zwycięstwie Stolarka nad Klusińskim, nieźle notowanym, rutynowym zawodnikiem warszawskim. Było to w ramach meczu międzyklubowego o mistrzostwo okręgu. „Spójnia" odmłodziła skład, Gniotek przeforsował wystawienie Stolarka w lekkiej i w ten sposób Stolarek znalazł się na otoczonym kilkoma tysiącami widzów ringu, został zaprezentowany publiczności w nowiutkim klubowym dresie, wśród błysku lamp reporterskich, i po raz pierwszy wciągnął w nozdrza atmosferę meczowego podniecenia, zainteresowania swoją osobą, popularności. Było to coś zupełnie innego niż na sparringach i na pierwszym kroku. Tam widział tylko swego przeciwnika, którego należało zniszczyć, aby uspokoić łomot własnego serca i głód zwycięstwa. Tu Stolarek dostrzegł samego siebie, swoją własną smukłą, muskularną sylwetkę, odbitą w tysiącach spojrzeń. Kiedy po

gongu został z Klusińskim sam pomiędzy linami ringu, zrozumiał w błyskawicznym olśnieniu, że to wszystko, co za chwilę uczyni – uczyni dla tych spojrzeń, że zwycięstwa chce, ale dla oklasków, których urzekający przedsmak poczuł przy prezentacji. Poszedł więc na Klusińskiego jak huragan, odsłonięty niemal zupełnie, z lewą zwisającą luźno w dole, elastyczny w kolanach jak sprężyna, nabrzmiały rozpierającą go, młodzieńczą siłą w drżących żądzą walki piersiach i barkach. Lecz Klusiński nie był gapa, spędził ładne parę lat na ringu, jego małe oczka, głęboko osadzone po obu stronach złamanego nosa, szybko oceniły sytuację i Stolarka. Zakrył się szczelnie, uciekał od wymiany ciosów, polował na celne, krótkie, błyskawiczne kontry. W drugiej rundzie Stolarek szalał, bił ostrymi seriami mało precyzyjnie, lecz ciosy jego miały potencję, ich gęstość wstrząsała Klusińskim. Inkasował mnóstwo, twarz miał opuchłą od uderzeń, oczy zwęziły mu się do dwóch ciemnych, groźnie błyszczących szparek.

– Teraz go masz na widelcu – rzekł do Klusińskiego sekundant, gdy ten w czasie przerwy dyszał ciężko w swym rogu. – Facet wypompował się zupełnie. To było do przewidzenia, takie tempo…

Oczywiście – sekundant ów pomylił się fatalnie! Przez całą trzecią rundę Stolarek gonił Klusińskiego po ringu, bił chaotycznie, ale bił, i to mocno. Opór Klusińskiego kruszał i tylko jego rutyna, a także niedoświadczenie Stolarka, sprawiły, że spotkanie nie skończyło się nokautem. Grzmot oklasków przetoczył się przez widownię; otulonego w płaszcz przez Gniotka, schodzącego z ringu Stolarka powitały spojrzenia pełne sympatii i uznania. Jakby czując ich przedziwną moc, Stolarek sprężył się w sobie, rozkołysał krok i począł odwijać bandaże ręczne, co miało znamionować klasyczną postać pięściarza po zwycięskim starciu.

Nazajutrz prasa pisała o „młodym, żywiołowym Stolarku, który stoczył ładną walkę, wykazał znakomitą kondycję, świetne warunki fizyczne, bojowość, ale mnóstwo braków technicznych". Gniotek był na ogół zadowolony i mówił:

– Zzzzobaczycie, wyrrro-o-bi się… Mmmmłody jest.

Natomiast kierownik uśmiechnął się, pokiwał głową i powiedział:

– Ten Klusiński, taki stary cwaniak, a przecież i noga. Gdyby kontratakował w drugiej runie, zrobiłby z tego Stolarka marmoladę. Musiał przecież wiedzieć, że takim młodziakom jak Stolarek starczy pary nie na trzy, ale i na pięć rund, żeby nie wiem jak inkasowali.

Stolarek zaś zjawił się po raz pierwszy od czasu rozpoczęcia kariery pięściarskiej na rogu Chmielnej i Marszałkowskiej, w centrum handlu biletami kinowymi. Miał na głowie nową cyklistówkę z wybornie podgiętym do góry daszkiem i nowy szalik. Przyjęto go tam z dużymi rewerencjami. Rudy, mężczyzna w nieokreślonym wieku, o gładko ogolonej twarzy, przylizanych włosach i zapitych, niebieskich oczach, ubrany w zniszczony skórzany płaszcz, przywitał go serdecznie:

– Jak się masz, kozak. Tylko nie zapomnij o starych kolegach, kiedy cię zabiorą na Olimpiadę. Uprzedź przedtem, może da się na tym parę złotych zarobić…

Stolarek uśmiechał się łaskawie, nie bez poczucia własnej wartości. Nie odmówił także pociągnięcia sporego haka z zaofiarowanej mu uprzejmie ćwiartki. Widocznie uznał, że obecnie jego bokserska przyszłość stanowi pewny i niewzruszalny fakt, któremu nie jest w stanie zaszkodzić drobna ilość wódki. W niedługim okresie Stolarek stoczył kilka następujących po sobie walk. Nie wszystkie były zwycięskie, ale nawet przegrane nie obniżały dobrej o nim opinii. Jego pozycja stawała się jasno określona, nie forytowała go zbytnio widząc w nim ciągle jeszcze tylko dobry materiał na pięściarza. Zdanie to podzielali warszawscy działacze klubowi, specjaliści i trenerzy, nie wyłączając Gniotka. Jedynie kierownik utrzymywał, że Stolarek nigdy nie będzie pierwszorzędnym zawodnikiem, ze zdaniem jednak swym nie afiszował się zbytnio, tak że nikt mógłby go posądzić o jakieś osobiste uprzedzenia. Na początku nowego sezonu zaszedł wypadek, który wywołał na twarzy kierownika uśmiech pełen zrozumienia. Stolarek bił się już teraz w wadze półśredniej, rozwinął się i nabrał mięśni przez tyle miesięcy intensywnego uprawiania sportu, znalazł się więc w wyższej kategorii. Do

Warszawy przybyła bardzo silna ósemka jednego z klubów śląskich, „Spójnia" wystawiała specjalnie doborowy skład i początkowo Stolarek nie był typowany do drużyny. Tak się jednak jakoś stało, że lepszy od Stolarka zawodnik w półśredniej nie mógł startować i na dwie godziny przed meczem zapadła decyzja, że Stolarek wyjdzie na ring; jest tedy rzeczą zupełnie zrozumiałą, że nigdy tak Stolarkowi nie zależało na zwycięstwie jak tym razem, tym bardziej, że z ewentualnym sukcesem łączyła się sprawa pożyczki ze strony klubu, która stała się dla Stolarka w owym czasie nieodzowną. Tym razem jednak zwycięstwo było rzeczą bardzo trudną do osiągnięcia. W przeciwległym rogu stanął Gruszka, mistrz okręgu śląskiego, młody, dwudziestoparoletni chłopak, którego czerwona szeroka twarz i krępa, żylasto-koścista budowa wskazywała wyraźnie na chłopskie pochodzenie, spod żółtych włosów patrzały na Stolarka twarde jasne oczy. Upór, kamienista siła – oto zawarte w postaci Gruszki elementy, które wydawały się cechować także i jego ducha. Ruszający do boju Stolarek był jakby przeciwstawieniem Gruszki. W jego napiętej unerwionej, muskularnej sylwetce tlił się wybuch, zryw, pasja. Przez półtorej rundy Stolarek atakował, lecz wszystkie ataki rozbijały się o ścianę chłopskiej odporności. Gruszka przyjmował każdą walkę, nie uciekał przed zwarciem, a w zwarciu łomotał wolno, lecz regularnie, jak cepem, w korpus Stolarka. Po raz pierwszy Stolarek pomyślał w czasie walki, myśl ta sformułowała się w groźną prawdę, już widoczną poprzez zalewający oczy pot, wibrującą przez szum krwi w obolałej, oszołomionej czaszce: „Jak go nie skończę teraz, nie wytrzymam z nim trzeciej!…" Gruszka pracował jak maszyna; jego ciosy nie miały w sobie dynamiki uderzenia, ale niszczyły, otępiały, podrywały siły systematycznie, stale, dokładnie. Przy wyjściu ze zwarcia raczej kocim instynktem ulicznika niż świadomą wolą Stolarek uderzył głową w łuk brwiowy Gruszki. Był to przerażająco zręczny błyskawiczny gest, którego umyślności nikt nie zauważył, ani sędzia ringowy, ani punktowi, ani dziennikarze, ani publiczność, nikt – z wyjątkiem stojącego pod drabinkami kierownika. Po sekundzie Stolarek nic już nie widział poza ciemniejącym

punktem nad prawą brwią Gruszki… „Bić w ranę! – myślał gorączkowo – tylko w ranę!…” Po jednym, niezbyt nawet silnym uderzeniu krew zaczęła spływać wąską strużką na oko Ślązaka, Stolarek zaś bił z zaciętością w rozmazującą się plamę krwi, dopóki nie zalała ona całej skroni, po czym sędzia ogłosił techniczny nokaut. Niewyczerpany, silny Gruszka powędrował klnąc do rogu, a Stolarek wygrał walkę. Wszyscy go potem chwalili za dzielną postawę wobec tak groźnego i rutynowanego, jak Gruszka, przeciwnika, ściskali mu dłonie, klepali po ramionach. Idąc do szatni Stolarek zetknął się z wzrokiem stojącego pod drabinkami kierownika; spośród setek utkwionych weń oczu wyłonił tę jedną parę chłodnych, jasnych, pełnych w tej chwili ironii i zrozumienia, i pojął natychmiast, że kierownik wie wszystko. Umknął wtedy spojrzeniem w bok i uśmiechnął się stereotypowo do oklaskujących. Ubrał się i zamiast powrócić na roztrzęsioną meczowym podnieceniem salę, wyszedł z gmachu ośrodka.

Było pogodne niedzielne przedpołudnie, na ulicach ludzie spacerowali powolnym, świątecznym krokiem. Stolarek napił się piwa w kiosku na rogu i powędrował w stronę Alej. Szedł bez określonego celu; głowa bolała go od uderzeń Gruszki, czuł wzbierające skrzepłą krwią posiniaczenia wokół oczu, ale najgorszy był natłok myśli, które rozsadzały mu czaszkę. Po co to wszystko? Po co te miesiące ogromnego wysiłku na treningach, po co ta cała mgła niezrozumiałych rzeczy wokół problemu: jak należy postępować w życiu, kiedy okazuje się, że jeden niezauważony łobuzerski gest bezwzględnie wykorzystany, może przynieść człowiekowi sukces, oklaski, uznanie. Szukał w boksie odpowiedzi na pytania, których nawet nie potrafił sformułować, a które gnębiły go w niejasny, zamazany sposób, i co znalazł? Znalazł raz jeszcze potwierdzenie, że brak skrupułów, posunięty aż do okrucieństwa, jest najlepszą rękojmią powodzenia, że świat trzeba bić i oszukiwać – zręcznie, aby cwanie, tak, by wraz ze zwycięstwem zdobywać sympatię i szacunek. A przecież wśród wirujących myśli jak przenikliwy zgrzyt widniała ciągle i uparcie para chłodnych, jasnych, ironicznie i wszechwiedząco zmrużonych oczu; nie mógł się tych oczu pozbyć, czuł

bezustannie ich spojrzenie. Jakże nienawidził tego kierownika!… Dotąd nie wiedział, dlaczego go nienawidzi, dziś pojął to całkowicie. Przecież nikt inny, tylko ten kierownik swoją osobą, swymi słowami, swym postępowaniem zaprzecza temu wszystkiemu, co on, Janek Stolarek, uważał za słuszne, piękne, cenne, wartościowe. Ten człowiek o barach atlety stanowi niezrozumiały błąd w Stolarkowym rachunku świata i życia, w tym prostym, nieskomplikowanym, oczywistym rachunku; błąd, którego niesposób nie zauważyć, błąd, który wikła wszystko w tysiące piekielnie trudnych zagadnień. Jak tedy nie nienawidzić człowieka, w którym wszystko jest niezrozumiałe i który samym sobą wyzwala proste, wygodne pojęcia?

Nie dochodząc do Koszykowej spotkał dwie znajome dziewczyny ze swojej dzielnicy, z którymi wdał się w towarzyską rozmowę na temat rzeczy prowadzących wprost do zasadniczego celu. Umówił się z nimi na wieczór, kombinując, jak tu zdobyć pieniądze na kontynuowanie tak miłej znajomości. O kierowniku nie pomyślał już ani przez chwilę. Powziął natomiast mocne postanowienie powrotu do interesów i zlikwidowania swego dobrowolnego bezrobocia, które zmuszało go do korzystania z wiktu ojca-furmana, nałogowego pijaka, ongiś dobrze prosperującego dorożkarza.

Wieczorem dziewczęta stawiły się punktualnie na rogu Chmielnej i Żelaznej, jak to było umówione. Wystroiły się odpowiednio i podmalowały tanią szminką, która śmiesznie odcinała się od pospolitej, zdrowej urody ich młodych twarzy. Stolarek przyszedł w towarzystwie Kamiola, który miał finansować całą imprezę. Weszli w czwórkę do narożnego baru, pełnego w tej porze ludzi, jak to przy niedzieli. W powietrzu gęstym od wyziewów alkoholu i dymu tytoniowego, brodząc wśród zabłoconych trocin, którymi wysypana była podłoga, Stolarek poczuł się jak młody koń, który po długim czasie niewoli znalazł się znów na przestronnej łące. Nabrzmiałe wódką twarze, zamglone oczy, niepewne, chwiejące się postacie, brzęk naczyń i łoskot akordeonu, zalane piwem i wódką stoliki, cyklistówki, brudne kurtki kelnerów, jazgot knajpy – wszystko to dobrze znajome i bliskie. Usiedli przy wolnym stoliku w kącie. Kamiol zrzucił na podłogę mokrą, brudną

papierową serwetę, czym wywołał cierpką uwagę kelnera. W ogóle Kamiol zachowywał się prowokująco od chwili wejścia do baru i ostentacyjnie informował wszystkich wokoło o przedpołudniowym zwycięstwie Stolarka nad mistrzem Śląska. Kiedy pojawiła się na stole wódka, Stolarek początkowo certował się kokieteryjnie, że on – sportowiec, że jemu nie wolno, dał się jednak bez większego trudu namówić i wypił dwie stopki pod mały kawałek ogórka. W tym samym czasie Kamiol użerał się z kelnerami i kwestionował szereg najnaturalniejszych zjawisk, powołując się przy tym co chwila na Stolarka, który przytwierdzał ostro i zaczepnie. Do kłócącego się kelnera doszlusowało dwóch jego kolegów, z których jeden, chłop wielki, kościsty i nie pierwszej młodości, zdawał się tu być wykidajłą, czyli specjalnym funkcjonariuszem do regulowania zatargów z gośćmi. Ten to pan, poruszony do żywego jakąś uwagą Stolarka, oświadczył:

– A ty nie bądź dla mnie znów taki kozak… nie takich bokserów pogotowie spod mojej ręki odwoziło…

Słowo: „bokserów" miało w tym zdaniu tak ironiczną intonację, że Stolarek wstał, oczy mu się zwęziły i zaprawił kelnera otwartą ręką w brodę. Kelnerzy, którzy byli znakomitymi fachowcami, rzucili się momentalnie i zbiorowo na Stolarka, Kamiol przewrócił stolik, dziewczęta wycofały się spokojnie i bez paniki pod drzwi, a w środku sali powstał rodzaj próżni, w której Stolarek, zachęcony przez Komiola okrzykami w stylu: „…Pokaż tym lamusom!…" – kotłował się z trzema kelnerami. Teraz dopiero okazało się, co dał pilnie trenowany boks w połączeniu z długoletnim życiowym doświadczem, wszystkie uniki, zwody, doskoki ujawniały swą błogosławioną celowość, każdy cios Stolarka miał piorunujący efekt, o jakim nie można było nawet kiedyś marzyć. Gdy po kilku minutach walki jeden z kelnerów, trafiony, potężnym swingiem w żołądek, osunął się na podłogę, drugi cofnął się, by ręką poszukać krzesła, a trzeci, wykidajło, ocierając krew z rozbitych warg, sięgnął po butelkę – interweniowała publiczność. Zaczęło się ogólne szamotanie, rozdzielanie, godzenie. Skończyło się, jak najczęściej w Warszawie, na honorowym dla obydwu stron załagodzeniu sporu; pękło

przy tym mnóstwo wódki, dużo było krzyku, całowania się po spoconych policzkach, namiętnego przekonywania i skakania do oczu. W każdym razie zdarzenie dało podstawę do krążącej długo wzdłuż Żelaznej, Towarowej i Chłodnej legendy o bohaterskich czynach Stolarka w starciu z kelnerami, legendy powtarzanej z nabożeństwem przez dziesięcioletnich kulów z całej dzielnicy. Ta rodząca się mołojecka sława zawierała w sobie momenty fatalistyczne, zmuszała bowiem Stolarka do jej gruntowania, podtrzymywania, podtrzymywać zaś można ją było tylko przez ciągłe dystansowanie własnych wyczynów. Cisza i spokój wokół jego osoby oznaczały spadek mitu i prestiżu, powtarzanie tych samych awantur osłabiało pierwotne osiągnięcia, należało więc dokonywać wciąż rzeczy większych, huczniejszych, sensacyjniejszych. Doszło do tego, że podpity Stolarek zakładał się ze swymi kolegami na ulicy, iż uderzy pierwszego lepszego przechodnia, który wkroczy na uprzednio przez nich wybrany i oznaczony kwadrat trotuaru. Realizował te bzdurne przechwałki i prowokował bezsensowne awantury, uchodzące mu jakoś bezkarnie. Chłopcy byli zachwyceni, on sam chodził jak udzielny władca w królestwie pięści. Szybka decyzja do maltretowania bliźniego wydawała mu się najcenniejszą zaletą mężczyzny a wprowadzanie w czyn tej decyzji – chwałą jego życia. Pięść i zdolność posługiwania się nią była dlań bożyszczem i jedyną wartością tego świata.

W kilka tygodni po tych wypadkach miało się odbyć doroczne spotkanie Warszawa-Poznań. Kiedy w kapitanacie sportowym okręgu przystąpiono do ustalania składu, wszystkich zadziwiła propozycja kierownika odnośnie obsadzenia wagi półśredniej.

– Przeciw Cichoniowi, który na pewno będzie bić w ósemce Poznania i który podobno jest w doskonałej formie, musimy wystawić kogoś, kto będzie miał szansę zwycięstwa z tym zawodnikiem, Cichoń reprezentuje taktykę, myśl, opanowanie i wyszkolenie, wobec tego, skoro nie mamy zawodnika o równorzędnych, tych samych zaletach, szansę może mieć tylko

zawodnik o cechach przeciwstawnych krańcowo różnych. Moim zdaniem takim przeciwnikiem dla Cichonia jest w Warszawie tylko Stolarek – dowodził kierownik spokojnie i rzeczowo.

Podniosły się liczne zastrzeżenia, ale rozumowanie kierownika było słuszne, a jego znawstwo i autorytet niezaprzeczalny. W końcu postanowiono wstawić Stolarka do reprezentacji i w ten sposób znalazł się on na zalanym światłem ringu, tkwiącym w morzu głów wypełnionej po brzegi hali ośrodka.

Nastrój był od początku pełen podniecenia, tłumy nie mogły dostać się na salę z powodu braku miejsc. Ludzie wisieli dosłownie na ścianach. Cała niemal sportowa Warszawa chciała asystować przy starciu dwóch najsilniejszych w tym sezonie centrów pięściarskich. Błyski jupiterów i lamp reporterskich, przytłumiony pomruk zemocjowanych tłumów, tłok i nieporozumienia przy wejściu – wszystko to składało się na atmosferę imprezy o dużym ciężarze gatunkowym. Ósemka Warszawy w czerwono-żółtych dresach przyjęta została owacyjnie.

Stolarek był początkowo trochę przytłoczony tą niecodzienną atmosferą skondensowanego, niewyzwolonego jeszcze przez krzyk podniecenia. Stojąc w szeregu podczas przemówień starał się nie patrzeć w tłum; oglądał swego przeciwnika, który nie wzbudzał w nim sympatii. Cichoń wyglądał jak przeciętny, dobrze odżywiony i czysto wymyty uczeń lub student. Był mocno, lecz pospolicie zbudowany, nic w jego sylwetce nie było ciekawego, rzucającego się w oczy. Przy prezentacji Stolarek dostał wielkie brawa; zwłaszcza zgromadzona na galerii młódź w cyklistówkach, z podgiętymi daszkami oklaskiwała frenetycznie swego, krew z krwi i kość z kości, stojącego tam, na ringu, oko w oko z obcym, nienawistnym typem młodego mężczyzny. Padały okrzyki, ochrypłe i przesiąkłe licznymi łykami wódki:

– Jasiek!… Pokaż mu!… Wstaw mu bańki!… Jajeczko! Zabij mistrza!

„Jajeczko” był to przydomek Stolarka w szerokich kołach towarzyskich ulicy Żelaznej i jej przecznic, pochodził od kunsztownej jego fryzury; „mistrz” odnosiło się do Cichonia, który był mistrzem Polski juniorów.

Występując na środek ringu Cichoń skłonił się na dwie strony, podszedł do Stolarka i podał mu rękę, uśmiechając się przyjaźnie. Jego jasne oczy wyrażały zainteresowanie, szczerość i sympatię dla ładnego, smagłego chłopca z Warszawy, któremu ściskał obandażowaną dłoń. W postawie Stolarka brakło tej samej sportowej serdeczności. Uśmiechnął się także, lecz tylko ustami, ciemne jego oczy badały Cichonia przenikliwie i twardo.

Kiedy Stolarek i Cichoń, po czterech poprzedzających walkach, zasiedli w przeciwległych rogach atmosfera w hali zagęszczona była do niemożliwości. W poprzednim spotkaniu, w wadze lekkiej, wygrał poznaniak, werdykt sędziowski nie znalazł jednak uznania wśród publiczności, która protestowała gwałtownie i długo. Przechodzącego przez liny Cichonia powitały ostre, awanturnicze gwizdy. Stolarek miał za sobą widownię i masujący mu kark Gniotek jąkał się podwójnie ze zdenerwowania.

– Szszszszansa!… Ten nnnastrój może go wwwy-y-trącić z rrrówno-o-o-owagi.

Wskakując na ring, Stolarek utonął w oklaskach! Publiczność chciała w nim widzieć zwycięzcę i mściciela.

Natychmiast po gongu Stolarek rzucił się naprzód i zaraz po skrzyżowaniu rękawic zadał pierwszy cios. Krótki, silny, prawy sierp siedział dobrze i prawy policzek Cichonia zaczerwienił się mocno. Nie upłynęły dwie sekundy, gdy usiłującego powtórzyć atak Stolarka trafiła dynamiczna, stopująca kontra. W ten sposób zaczęło się sześć najbardziej upokrzających minut w krótkim życiu Janka Stolarka. Chroniony, szczelnie zakryty Cichoń zapanował nie tylko na ringu, ale nad samym Stolarkiem. Już w pierwszej minucie przerażony Stolarek pojął instynktownie raczej niż oczadziałym walką rozumem, że Cichoń nie broni się przed jego gwałtownymi atakami – jakby to się wydawało patrzącemu z boku – ale je paraliżuje, unieszkodliwia w zarodku. Jasne oczy Cichonia obejmowały przeciwnika chłodnym, badawczym, czujnym spojrzeniem, nie było w nich wrogości, znikła z nich jednak przedmeczowa jasność. Wzrok ten zdawał się docierać do samego

centrum woli Stolarka, przenikać najkrótsze spięcia włókien nerwowych i mięśni; to wzrok ten sprawiał, że ciosy Stoiarka lądowały na rękawicy Cichonia, że krótkie, niebezpieczne haki zawsze trafiały na błyskawicznie podstawioną nasadę ramienia, za którą kryła się bezpiecznie szczęka, że zwody korpusu, szyi, głowy Cichonia w jakiś czarodziejski sposób zabierały o ułamek sekundy wcześniej cel, w który bił Stolarek. Przez całą pierwszą rundę Stolarek parł, przy wielkim krzyku widowni, do przodu, wykazując nieprzebrane złoża witalności, odporności i bitności. Ciosy jego miały w sobie dynamit, cóż z tego, kiedy lądowały na barkach i ramionach Cichonia, znacząc tam czerwone i sine plamy. Przy tym Cichoń nie unikał walki; nie dopuszczał do zwarcia, ale przyjmował chętnie wymianę ciosów na dystans i półdystans. Podczas takich spięć bił krótkimi, celnymi seriami – jedna z nich wylądowała na szczęce Stolarka, wstrząsnęła nim i zmusiła do cofania się. Wtedy broniący się dotąd Cichoń piorunująco rzucił się do przodu, bijąc z obu rąk w głowę i w korpus. Publiczność szalała, podobał się jej gwałtownie walczący Stolarek, od którego oczekiwała jeszcze więcej emocji, nie mogła jednak pozostać nieczuła na zademonstrowane przez Cichonia wartości. Gong przerwał atak Cichonia i uratował Stolarka przed ciężkim kryzysem. Odpoczywając w rogu, Stolarek nie słuchał bełkotu Gniotka, który w podnieceniu gubił całe sylaby. Nie czuł się nadwerężony w swym zapasie sił, tkwiło w nim mocne przekonanie o własnych możliwościach fizycznych; jednocześnie zaś, gdzieś w najskrytszych kątach serca, zaczął czaić się strach przed niezrozumiałym i niewiara w zwycięstwo. „…Nie to, że jest lepszy technicznie… – myślał gorączkowo – to mógłbym rozbić, ale on wszystko wie… Jakim cudem on uprzedza każdy mój cios? Przecież nie sygnalizuję uderzeń, biję krótko i szybko… Och, żeby go móc kopnąć, zaprawić głową, nogą w brzuch..”. Ogarnęło go naraz przemożne pragnienie zniszczenia Cichonia za wszelką cenę, przy mocy wszelkich, możliwych środków. „…Na ulicy to ja bym mu pokazał!…” – pocieszał się, ale wiedział że była to czcza przechwałka.

Wraz z gongiem Stolarek był na środku ringu. Powitały go okrzyki zachęty i dopingu. Wyglądał groźnie, oczy miał zwężone i złe, drżał cały żądny walki. Sunący naprzeciw Cichoń, obmyty dokładnie przez sekundanta, o jasnych, przygładzonych włosach, wydawał się tu być przez nieporozumienie! Z miejsca też Stolarek wziął inicjatywę w ręce, zmusił Cichonia do obrony i wszedł w zwarcie, czym wywołał entuzjastyczny ryk widowni. „Teraz mu pokaże!…" – darli się warszawiacy. Stolarek miotał się w zwarciu z niespożytą siłą, obijał korpus Cichonia, rozsadzała go istna eksplozja bitewnego temperamentu. „…Teraz!…" – przemknęło mu coś na kształt myśli. Ta błyskawica decyzji nie została jednak zrealizowana. Stolarek poczuł nagle żelazną nieustępliwą blokadę własnej głowy przez bark Cichonia. Zanim jeszcze sędzia miał powód interweniować, napominać, ostrzegać – akcja została zduszona w zarodku. Natomiast coś jakby pogróżka błysnęła w zmrużonych z wysiłku oczach Cichonia i teraz nie było już dla Stolarka ratunku. Cichoń odskoczył i przeszedł do kontrataku. Piekielne, dublowane lewe proste szybko nastawiły Stolarka na właściwy dystans. Przez chwilę trwała wymiana uderzeń w miejscu, przy czym Cichoń porzucił metodę szczelnego krycia się i bił sierpami. Jego skurczona twarz o zaciśniętych szczękach nie uciekała za osłonę rękawic. Jeszcze kilka sekund i Stolarek rozpoczął odwrót przed Cichoniem następującym jak niszczący huragan. Runda zmieniła się dla Stolarka w wieczność, w jego zasnutej mgłą uderzeń świadomości zrodziło się jedyne, wyczuwalne pożądanie: pragnienie końca, odgłosu gongu, położenia kresu walce. Zaczął kleić się do nacierającego Cichonia, klinczował, pętał mu ruchy ramion swym bezwładnym ciałem. Silny uppercut Cichonia rzucił go na deski, podniósł się na „sześć" zamroczony, lecz nieustępliwy. Wykonał nawet kilka zwolnionych, rozmazanych ruchów, co miało przypominać chęć ataku. Sympatia publiczności zmieniła się szybko i krańcowo; rozpoczął się wielki doping Cichonia, tłum chciał klęski słabszego i to klęski dotkliwej, ostatecznej – nokautu; pod adresem klinczującego Stolarka padały pełne okrucieństwa okrzyki:

– Pajac!… Jajeczko!… Popraw włosy!… Cichoń! W brylantynę go…

Znawcy boksu wyrażali jednak swoje uznanie dla Stolarka.

– Co za twardy facet! Po takich batach jeszcze na nogach!… Ale ma zdrówko…

Jeszcze jeden cios w odkryty żołądek, poprawka w szczękę i Stolarek upadł na kolana. Sędzia odesłał Cichonia do rogu i zaczął liczyć. Stolarek otarł krew z rozbitych ust i usiłować się dźwignąć, gdy zabrzmiał gong. Trzecia runda, rzecz jasna, nie odbyła się. Stolarek, podtrzymywany przez Cichonia, na chwiejnych nogach opuścił ring.

Wyjący i wymachujący rękami tłum widział jak przez zalaną deszczem szybę, kiedy szedł niepewnie, podtrzymywany przez jednego z kolegów, jakby niekończącym się szlakiem upokorzenia – przez halę do rozbieralni. Na dole wypłukał usta, zabrał rzeczy z szafki i przeszedł do dolnych natrysków, położonych jeszcze o piętro niżej. Nie chciał się za nic spotkać z Cichoniem, który za chwilę mógł pojawić się w łazience. Nie wyobrażał sobie rozmowy z nim, uważał go za wroga, który go pokonał. Ze zwycięskimi wrogami trudno jest rozmawiać.

Usiadł pod prysznicem na kafelkowej podłodze i odpoczywał. Letnia woda kojąco działała na potłuczone ciało, zmywała ból i oszołomienie z głowy. Umył się, ubrał i opuścił gmach ośrodka tylnyni wyjściem. Nie uszedł jednak dwudziestu kroków, kiedy natknął się na idącego mu wolno naprzeciw kierownika.

– Właśnie na ciebie czekałem – powiedział kierownik – to trochę niełądnie z twojej strony, wychodzisz z meczu, gdy twoja drużyna jeszcze się bije, ale ostatecznie można ci wybaczyć. Natomiast niesposób wybaczyć ci twego zachowania wobec Cichonia, które nie było godne sportowca.

– Niech się pan ode mnie odczepi! – warknął Stolarek i przyśpieszył kroku.

Kierownik przytrzymał go za rękę.

– Zaraz. Nie uciekaj. Przecież nic ci złego nie zrobię – głos kierownika był łagodny, poważny, przyjazny – ja uważam, żeś stoczył porywającą walkę,

uległeś lepszemu od siebie, popełniłeś błędy, ale biłeś się wspaniale. Gdybyś zrozumiał, na czym polegają twoje braki, gdybyś je wyrównał, miałbyś wszelkie sznse na zwycięstwo nad Cichoniem. Bez uciekania się do…

– Do czego?… – spytał powoli Stolarek i obrócił na kierownika wzrok pełen ciemnej nienawiści. Spotkał przyjazne, poważne spojrzenie jasnych oczu, ścisnął kurczowo w kieszeniach ręce dygocące z ogromnej chęci zadawania w te oczy ciosów.

– …do swoich kozackich numerów, które cię kompletnie zawiodły tym razem. Okazało się, że Cichoń frajer i gapa, zna się na tych rzeczach niegorzej od ciebie i potrafi cię zawsze wykołować. Jestem pewny, że nie tylko na ringu, ale i na ulicy, o każdej porze. Kiedy ty to zrozumiesz, Stolarek?…

Przez chwilę szli obok siebie w milczeniu.

– Dlaczego ty mnie nienawidzisz? – spytał nagle kierownik.

– Nie wiem – odparł machinalnie chłopak – nie wiem, ale…

– …nienawidzę. Możesz nie kończyć, ja o tym wiem.

– Widzi pan – zaczął Stolarek z wahaniem – ja rzeczywiście coś takiego do pana czuję. Pan… jak to powiedzieć… pan mi się nie zgadza z tym wszystkim, co ja myślę, że jest dobre, że tak powinno być. Gdybym ja miał pana siłę, gdybym ja wiedział o biciu to, co pan wie, i umiał to co pan umie, to dla mnie nie byłoby mocnych na świecie. A tymczasem pan ma żonę, dzieci, dom, jeździ pan codziennie do pracy tramwajem i gdyby pana milicjant zatrzymał za nieprawidłowe przejście przez ulicę, to pan by mu na pewno zapłacił mandat. Jak wszyscy ludzie. Zamiast jechać gdzie daleko, w świat, być wolnym od rodziny i obowiązków, pokazywać ludziom, co się znaczy i jak się ma ich wszystkich gdzieś, to pan taki zwykły, normalny…

Kierownik kiwał poważnie głową. Potem zatrzymał się, uśmiechnął się serdecznie, ujął Stolarka za brodę, uniósł jego twarz do góry. W oczach kierownika znalazł Stolarek pełne zrozumienie wszystkiego.

– Widzisz, Janek – powiedział kierownik – bić się potrzeba o coś. Jeśli myślisz, jeśli nie przestajesz myśleć, wtedy wiesz, o co się bijesz, kiedy zaś

wiesz o co, wtedy bicie się ma sens. Inaczej jest bzdurą, słyszysz, kompletnym idiotyzmem, nie prowadzącym nigdzie. Toteż zawsze ten, kto myśli, zwycięża niemyślącego. Pamiętaj o tym, to jest w boksie pierwsze przykazanie. Pięściarz, który czuje czyjeś gorące uczucia na swych rękawicach, który wie, że bijące serca jego zwolenników czy rodaków towarzyszą każdemu ciosowi, taki pięściarz zawsze bije się lepiej, taki pięściarz myśli, czuje, bije się o coś. Nawet zawodowiec, bijący się o pieniądze, stoi wyżej od zabijaki, bijącego się dla samego bicia. A skoro raz zaczniesz myśleć, szybko pojmiesz, że siła i pięść to nie wszystko, to nawet bardzo mało, że siłą i pięścią możesz regulować świat tylko w zasięgu własnych ramion, a te ramiona są bardzo, bardzo krótkie. To, co ciebie, Janek, gniecie, to mnie kiedyś, dawno, też gniotło. Potem jednak pojąłem, że trzeba inaczej.

– Jak? – spytał Stolarek cicho.

– Gdybym ci teraz powiedział jak, wszystko poszłoby na marne. Rzekłbyś sobie w duszy: „Co tam stary ględzi. Taka mowa to do wiatru…" I za pięć minut nie pamiętałbyś ani jednego słowa. Tacy ludzie jak ty muszą sami przegryźć się przez pewne rzeczy. Pamiętaj tylko o tym, że długo można kozakować; ale w końcu zawsze znajdą się tacy faceci jak Cichoń, którzy będą szybsi o dziesiątą część sekundy i zablokują to, co się nie zgadza z prawidłami. A także tacy jak ja, którzy będą na ciebie czekać przed wyjściem, jakim będziesz chciał wyjść niezauważony przez nikogo. Ci ludzie będą wiedzieć, że chcesz właśnie tym wyjściem wyjść, to jest potęga myśli i na tym właśnie polega życie w społeczeństwie. Pomyśl sobie nad tym, a jak to zrozumiesz – przestaniesz mnie chyba nienawidzić…

Kierownik poklepał Stolarka po ramieniu i odszedł. Stolarek odwrócił się, chciał coś jeszcze powiedzieć, lecz kierownik był już daleko, wmieszany w spokojnie spacerujący, niedzielny tłum.

Warszawa, styczeń 1950 r.

POKÓJ LUDZIOM DOBREJ WOLI…

Yan był Holendrem, nałogowcem fajki, miał dobrze ponad czterdziestkę, pochodził z Leeuwarden, był w jednej osobie pierwszym mechanikiem i maszynistą, siedział cały dzień w maszynowni i tylko dwa razy w ciągu naszej dotychczasowej znajomości odezwał się całym zdaniem. Raz – gdy dostał w mordę od niemieckiego marynarza z patrolu, który zastał go pijanego z Bronxem na terenie strefy zakazanej w porcie Kopenhagi. Według późniejszej relacji Bronxa, Yan miał jakoby sformułować ze swadą następującą deklarację po holendersku:

– Jak się wojna skończy, to ja wam, sukinsyny, pokażę!…

Podobnie długie przemówienie byłoby dla mnie nie do wiary, gdyby nie moje własne doświadczenie. Otóż idąc ze mną kiedyś, późną porą, po nadbrzeżu portu w Oslo, Yan na widok mijającej nas właśnie, z lekka zrujnowanej aparycyjnie i zmęczonej życiem córy Koryntu, szepnął nabrzmiałym uczuciem barytonem:

– Jaka piękna kobieta!…

Ale to były rzadkie zjawiska, zachodzące pod wpływem wyjątkowego wzruszenia. Na co dzień Yan mówił wyłącznie monosylabami.

Inaczej Pierre. Pierre lubił pogadać. Pochylał nad stołem swą dużą głowę i szeroką twarz bretońskiego chłopa, wymachiwał łapami jak łopaty, wiecznie tłumaczył coś i klarował każdemu z nas, przysuwając blisko twarz do twarzy rozmówcy. Pierre pochodził z Brestu, nad morzem urodził się, na morzu wychował, przez wojnę szwendał się po Francji i Niemczech, wreszcie prysnął do Danii i zaokrętował się na „Anne-Louise” w charakterze załogi. No tak, bo jeśli Bronx był kapitanem, to Pierre był załogą pokładową

i na tym koniec. Poza tym słuchał wytrwale Londynu i gdy Yan miał kolacyjną wachtę na, pożal się Boże, pokładzie, Pierre referował Bronxowi i mnie ostatnie *Les Français parlent aux Fraçais…*

Wszystko miało się już wyraźnie ku końcowi z tą parszywą wojną tego wieczoru, 24 grudnia 1944, gdy w migotliwym blasku naftowej lampy wygłosiłem do Pierre'a i Bronxa najnamiętniejsze i najbardziej programowe przemówienie, jakie nasza berlinka kiedykolwiek słyszała. Płynęliśmy właśnie znów przez Skagerrak, jednym rzutem z Frederikehavn do Larvik w Oslofiordzie. Noc była cholerna, deszcz ze śniegiem, niesiony ostrym, bezustannym wiatrem, siekł o szybę iluminatorów i podrywał krótką, szybką falę. Na górze, nad głowami, słychać było kroki Yana. Stałem oparty o dogasającą kambuzową płytę i obciągałem brudną szmatę, która zwisała mi w charakterze fartucha od bioder aż po kolana. Był to przedmiot dumy wszystkich trzech; podobało im się, że ich kucharz, na ich „okręcie", chodzi tak samo ubrany i chędogi, jak cook z dużego frachtowca. Przed Bronxem i Pierre'em stały konserwy, białe bułki, świeże duńskie masło i ser, micha z wodnistym puddingiem i butelka salborskiej Tafel Aquavit. Wszystko to zdążyłem jeszcze kupić w Frederikshavn, chociaż ciskała mnie cholera, że w Wigilię będę się gdzieś tłukł po morzu, zamiast posiedzieć przy normalnym stole.

– Leją się w Ardennach i Budapeszcie. Już – donosił Pierre, z gębą wypchaną przysmażanymi konserwami. Tłuszcz ściekał mu po brodzie, oczy się śmiały – dobrze jest…

– Zamknij pysk i jedz, żeby ci nie wystygło – piekliłem się przy kuchni – ty też masz pomysły, Bronx, żeby akurat na święta płynąć! Jakby mało było tej forsy, coś się już nachapał na prawo i lewo. Po jaką cholerę to wszystko! Mogliśmy poleżeć w Frederikshavn i spędzić Wigilię jak ludzie. Dosyć mam tego wszystkiego! W Larvik schodzę na ląd i pluję na was…

– Daj spokój, Władek – łagodził powolnie Bronx, a oczka błyszczały mu bystrze i wszystkowidząco – co do mojej forsy to nie twój taki owaki interes. Ale święta świętami. Możemy i tu obchodzić, skoro już jesteś taki

chrześcijanin… Pierre przyniesie radio i posłuchamy trochę świątecznych programów.

Śmiał się do mnie albo ze mnie wyraźnie. To był kawał gada, ten Bronx, ale z charakterem.

Radio stało w jednym z luków. Tylko na morzu przenosiliśmy je do kambuza. Pierre wyszedł i za chwilę wrócił z małym, bateryjnym odbiornikiem. Londyn nadawał jak zwykle wiadomości, z Paryża coś tam gadali i tylko niedaleki Sztokholm bił w dzwony. Tylko tam było na razie świątecznie.

– Dziś rano mówili, że o ósmej przerwie się działania wojenne. Święto. Fajrant. Takie niby wszystkie wierzące się porobili – kontynuował temat zasadniczy Pierre.

– Ty, uważaj! – pogroził mu Bronx. – U mnie na pokładzie trzeba wierzyć i nie wolno się z tego nabijać. Stul mordę…

Był przesądnym hipokrytą. Nie wierzył, ale obawiał się rzeczy nieznanych, jak każdy chciwiec.

– Dzisiaj jest wielkie święto, święto przebaczenia – tu znów coś w rodzaju szyderstwa błysło w jego oczach – …dlatego też, Pierre, przebaczam ci, żeś mi ukradł tę paczkę tytoniu w zeszłym tygodniu…

– Że też wy, skipper, zawsze z jakimiś detalami… Ale w sprawie tego wybaczenia, to nie takie proste. Na przykład Niemcom to chyba można nie wybaczać. Po tym wszystkim, co narobili, zwłaszcza u nas…

– Masz rację, Pierre – kiwnął głową Bronx. – Niemcom nie. Tych należy mordować, dobijać, tępić, jak robactwo… Tych…

– Pamiętam – powiedział Pierre, poprawiając się na ławie i smarując chleb grubo masłem – jak kiedyś, na granicy strefy okupowanej i nieokupowanej Niemcy znaleźli jakąś Żydówkę i zabrali ją z pociągu. Albo te rewizje… Jak brutalnie domagali się paszportów i przepustek. Albo na roboty. Kazali się meldować w Paryżu, dawali tydzień czasu na przygotowanie i trzeba było jechać… Straszne… Albo u nas, w Brest,

posądzili jednego, nawet znajomego chłopca o szpiegostwo i rozstrzelali. Sukinsyny! Albo…

– Tak, tak, u nas tak samo. Straszne lata – przyznawał smutnie Bronx.

Czułem, jak mnie coś ponosi. Te święta i te prawidłowe bzdury, akurat w święta. Biała pasja dławiła mi gardło, oczy tańczyły za chybocącą lampą, w uszach pykał odlegle motor. Zbliżyłem się do stołu, wytarłem ręce w „fartuch", nalałem sobie pół kubka wódki. Wypiłem. Zrobiło mi się trochę lepiej, spokojniej. Po czym zacząłem wolnym, nieswoim głosem:

– Słuchajcie, wy biedni idioci! Wy tępe kretyny! – pochyliłem się, zwisając ciężko na rozstawionych rękach nad nimi. – O wy robaki, bezmyślne, brudne robaki, które nie widzą… Cóż wy wiecie o Niemcach?… Cóż wy o nich w ogóle możecie wiedzieć? Co wiesz o nich ty, Bronx, który zarobiłeś na tej wojnie ciężkie pieniądze… Cóż wiesz o Niemcach, Pierre, ty byku o czerwonym karku, zawsze nażarty, chłopski kombinatorze? Co wiecie wy, wasi rodacy i inni Duńczycy i Norwegowie, siedzący w swojej masie w ciepłych przytulnych domkach, których nie dławi klęska? Czy potniały wam ręce i zamierał oddech, gdy wyjmowaliście dowód osobisty z kieszeni, będąc niewinnym jak noworodek?… Czy wiecie, co to jest łapanka?… Wy… Czy widzieliście choć raz w życiu masową egzekucję ludzi z gipsem w ustach? Czy wy znacie brzmienie słów: obóz, krematorium, pasiak… Nieliczni spośród was – tak… Lecz tych jest mało. A my – cały naród!…

Podnieśli się powoli, groźni i zwaliści. Przysunęli twarze, skupione, złe.

– A nasi chłopcy – wypluł Pierre – a *maquis*, a *résistance*, a ofiary, a walka, a lud…

Nie uląkłem się. Jeszcze nie skończyłem. Złapałem obu za klapy marynarskich bluz. Pod pochylonymi ku sobie trzema postaciami niknął wigilijny stół.

– Wszystko zniosę – smagałem – tylko nie bądźcie nikczemni. Dobrze? Pamiętajcie, Bronx i ty, Pierre, tylko bez świństw! Bez dyskontowania zasług kilku bohaterskich chłopców na swoją rzecz. Przysiągłbym, że ani ty, ani ty

nie widziałeś na oczy *maquisarda* czy członka belgijskiego ruchu oporu. Taka mowa to nie dla mnie… Tych chłopców było niewielu, za to po wojnie będziecie pisać o nich tysiące powieści i kręcić tysiąc filmów. Grunt to dobra sprzedaż, nieprawda, Bronx?… Cóż wy o tym możecie w ogóle mieć za pojęcie, poza nielegalną gazetką, którą mieliście kiedyś w ręku i słuchaniem Londynu?… Co możecie wiedzieć o strzelaninie, takiej do samego końca… Czy wy… wiecie… co to jest śmierć całego miasta?… Wy… o Niemcach…

Nie wiem, co byłoby dalej, gdyby nie szybkie kroki Yana po schodkach. Otworzył drzwi, napuścił wiatru i deszczu i rzucił:

– Na górę!

Gdy Yan zabiera głos, nie można tego lekceważyć. Wszystko prysło. Schwyciliśmy nasze okrycia i dwoma susami byliśmy na górze. Pokład przyjął nas bryzgami piany i wody, ogłuszającym, mokrym wichrem i gęstą mazią śniegowo-deszczową. „Anne-Louise", wytrwale pykając, szła swoim kursem. Wszystko się zgadzało. Jedynie daleko od backbortu, hen, hen, poza mżącą firanką, w skłębionej masie wody i ciemności, błyskały jakieś nikłe światełka. Jak złudzenie dochodziło do świadomości lekkie brzęczenie.

Nie trzeba było nam nic mówić. Yan miał rację. To nie chichy – wojna jeszcze trwa. Wiedzieliśmy dobrze, co jest.

– Wcale niedaleko – rzekł Bronx. – Pierre! – krzyknął energicznie. – Łap za koło. Zmieniamy kurs. Weź nord-nord-ost.

– Cholera – powiedział Pierre, oświetlając latarką elektryczną zegarek – teraz rozumiem. Jeszcze nie ma ósmej. Dlatego się jeszcze naparzają.

– Już się nie naparzają – stwierdził fachowo Bronx – już jest po wszystkim od ładnych dwóch godzin. To jakiś ładunek się pali. Smary, tankowiec albo inna cholera. Ciekawym, jak to alianci zrobili. Samoloty czy łodzie… Idą na całego!

Bronx znał się na rzeczy. Gdyby atak na konwój trwał jeszcze, widać byłoby gwałtowne, przerywane błyski. To był pożar, źle widoczny, lecz wyraźny pożar.

– Tiens! – drgnął Pierre. – Słyszycie?

Natężyłem słuch. Nic.

– Nie – rzekł Bronx.

Yan zrobił szybki ruch ręką. Po czym wyjął fajkę z ust.

– Yan, słyszysz?

– Zdaje się…

– Co?…

Bronx złapał mnie za ramię:

– Słyszysz?…

Teraz słyszałem wyraźnie.

– *H i l f e!… H i l f e!…*

– Jakiś Niemiec… – Pierre skulił się przy kole. Bronx złapał za reling backbortu.

– Pierre! – ryknął. – Trzymaj kurs!!

Głos, nabrzmiały rozpaczą ostateczną, pełen zwierzęcego, zatraconego, zachłyśniętego lęku, z niebytu, z nicości czarnego odmętu wody, nocy, deszczu, wichru…

– *Hilfe!… Herr Gott!… Jes…*

Jednym rzutem korpusu znalazłem się na luku. Do ściany nadbudówki przymocowane jest koło ratunkowe. Ręka zawiera się na płóciennej, naolejonej powierzchni. Szarpnięcie, uchwyt zwoju linki, szybki, podwójny, mocny węzeł wokół relingu nadbudówki. Szeroki zamach prawej ręki, za backbort, daleko, za głosem… Gwałtowne szarpnięcie w tył. Koło nie wylatuje w ciemną przestrzeń. Tkwi w mojej ręce. Po drugiej stronie trzyma je silnie druga ręka. Bronxa.

– Ty idioto! – dyszy w czarnym deszczu ogromna postać tuż przy mojej. Naoliwiony, ceratowy płaszcz wali się na mnie jak mokra skała. Jestem skręcony w miejscu, przyparty do ściany nadbudówki. – Idioto!… To Niemiec… Tam… Pies… Wróg!

– *Hil-f-e!… Hil…* – bije mi w mózg z ciemności. Przez ułamek sekundy widzę, jak tamten dusi się, tonie, rozumie już, że musi umrzeć…

– *Hil…* – zanosi się w rozdzierającej rozpaczy za uchodzącym, zbawczym, jedynym stukotem motoru. Symbolem życia.

– Bronx – zgrzytam – oszalałeś!… Puść mnie… To człowiek!… Bronx!… Puść, bo cię… Ja muszę… Rozumiesz!

Nagły cios w szczękę zwala mnie z nóg. Lecę z luku na pokład rufy, chwytam się relingu, dźwigam i chcę iść naprzód, na Bronxa. Uderzył mnie! Za co? Że chciałem być człowiekiem!… O nie, to się tak nie skończy… Dwie ceratowe bryły prą ku sobie na wąskim skrawku pokładu, gdy wchodzi między nie trzecia. Yan wypowiada zdanie, całe zdanie:

– Chwała na wysokościach… – mówi – …a pokój na ziemi… Słuchajcie…

Ważne zdanie, ach, jakie ważkie zdanie. Z otwartych drzwi kambuza dochodzą tony szwedzkiej kolędy. Słodka, tkliwa, szlachetna melodia. Robi mi się niewyraźnie. I po co to wszystko? Bronx – wypróbowany przyjaciel, towarzysz tylu awantur i niebezpieczeństw. Dlaczego chciałem go przed chwilą zabić? Co to było?

– Bronx – mówię – wybacz, stary druhu. Miałeś rację. Przecież to był tylko Niemiec. Widzisz, miałem napad niebezpiecznego człowieczeństwa. To jest takie polskie… Nas trzeba z tego leczyć. Ty jesteś inny, twardy, konsekwentny. Najpierw myślisz, a potem działasz. Podziwiam cię za to…

*

Po wojnie nie straciłem kontaktu z Bronxem. Pisuje do mnie, nawet dość często. Otworzył sobie początkowo duże bistro w dzielnicy portowej Antwerpii. Powodziło mu się doskonale. Niedawno doniósł mi, że sprzedał bistro z portowego nadbrzeża i kupił średniego kalibru hotel w śródmieściu. Robi karierę. Poza tym jest honorowym członkiem szeregu organizacji charytatywnych. „Wszyscy ludzie są braćmi…" – napisał mi kiedyś w jednym z listów. Brzmiało to bardzo ładnie i naprawdę szlachetnie.

Będąc przed niejakim czasem w Gdyni, spotkałem pewnego znajomego marynarza belgijskiego. Poinformował mnie, że Bronx zrobił ogromny

majątek, już po wojnie, na przemycie „rexistów" z Belgii do Hiszpanii i Ameryki Południowej. Stąd ten hotel. Poza tym zwąchał się z jakimiś Anglikami, z którymi rozkręca te… no wiesz… wysyłki paczek dla głodujących Niemców. Pierwszorzędny interes. To porządny chłop, ten Bronx. I mądry. Życiowo.

„Przekrój", 1948

HOTEL ANSGAR

Chłopcom i Marii E

I

– Name?

– Kieński.

– Vorname?

– Olgierd.

Oberscharführer pokiwał głową. Znudzonym ruchem odwrócił głowę w stronę sterty papierów piętrzącej się na kartotece. Wstał od biurka i zaczął grzebać się w papierzyskach. Mnie brała cholera. Byłem głodny, podniecony cudownym zdarzeniem i chciałem jak najszybciej już ze wszystkim skończyć. Niecodziennie przecież zostaje człowiek nagle zwolniony z koncentraka, gdy dotąd przekonany był, że w lagrze posiedzi do końca wojny, jeżeli go przedtem nie uziemią.

– Kiedy cię tu przywieźli, na Victoria Terrace? – odwrócił się do mnie esesman.

– Dziś. Teraz.

– A jak długo siedziałeś?

– Trzy miesiące i dziewięć dni.

– W Grini tylko, czy gdzie indziej też?

– Tylko w Grini.

Na dźwięk słowa „Grini" podniosły głowy dwie norweskie stenotypistki siedzące przy maszynach. Widocznie nawet praca w centrali gestapo w Oslo i niewątpliwa przynależność do Nasjonal Samling, partii Quislinga, nie zabiły w nich jeszcze instynktownego, narodowego odruchu, jakim wzdrygał

się każdy Norweg w tym czasie słysząc te dwie sylaby. Ponieważ już od dłuższego czasu obserwowałem ich kształtne, mocne nogi i frapujące zarysy piersi pod pulloverami, spojrzenia ich, zabarwione lekkim, lecz niezbyt intensywnym współczuciem, nie sprawiły mi bynajmniej przykrości. Odpowiedziałem spojrzeniem, które wyraźnie mówiło, że nie miałbym nic przeciwko małemu sam na sam z każdą z tych pań albo nawet z obydwiema naraz. Było nie było – ponad trzy miesiące…

Esesman tonął w makulaturze. Każdy formularz, przerzucany w niechlujnej kartotece w niedbały sposób, oznaczał los ludzki. Każdy zapisany skrawek papieru był życiem człowieka wewnątrz drutów obozu koncentracyjnego w Grini. Myślałem o tych, co niecierpliwie czekają tam na uwolnienie, a których bezmyślne palce Niemca jednym ruchem zagubić mogą w bezmiarze papierowego zapomnienia.

Niemiecki bałagan, o Boże, wiele złego i wiele dobrego sprawił zarazem niemiecki bałagan organizacyjny, zwłaszcza takiej organizacji, jak gestapo. Gdzież jest mit o niemieckiej systematyczności? Gdzie niemiecki porządek? Jakim prawem zostaję zwolniony dzisiaj rano z hitlerowskiego lagru w Norwegii, ja, który za najlepszy los dla siebie uważałem więzienie do końca wojny, który chciałem uciekać przez naelektryzowane druty w obawie przed egzekucyjnym plutonem. Gdzież sprawność i wszechwiedza Sicherheitsdienstu i Nachrichtenabteilungu? Gdzie są protokoły i praca oddziału gestapo w Trondheimie i Narwiku, i ślady afery, w którą byłem zamieszany i za którą byłem poszukiwany wzdłuż całego, zachodniego wybrzeża Norwegii?

Esesman nagle zatrzymał jeden papier dłużej w ręku i czytał. Serce zaczęło mi bić przyśpieszonym rytmem. Rozpoczęła się ostatnia runda rozgrywki. Zaraz przekonam się, czy to tylko badanie, czy naprawdę za chwilę zostanę zwolniony. I ostrożnie. Gra zaczyna się dopiero za chwilę.

Niemiec usiadł za biurkiem. Wolno, uważnie przewracał kartki protokołu. Obserwowałem jego przystojną, męską twarz, czarne, wyraziste oczy. Czarna wypustka na kołnierzu ozdobiona była dystynkcjami

Oberscharführera – chorążego SS. Nie wyglądał ani głupio, ani antypatycznie, lecz to nie wskazywało jeszcze na nic. Od takich najczęściej dostawało się po uchu. Lekki obrzęk policzków i bruzda znudzenia koło ust wskazywały na ledwie dostrzegalny przesyt życiem i użyciem. Tacy byli zawsze groźni.

– Mówisz, żeś siedział ponad trzy miesiące – zaczął wreszcie.

– Niestety, tak.

– A więc o miesiąc za długo.

– Jak to? – zdziwiłem się.

– Masz wyrok tylko na dwa.

Nie zdziwiłem się za bardzo. W hitlerowskiej jurysdykcji, przy ferowaniu wyroków przez jednego gestapowca i gdy wolność człowieka zależy od tego, czy jakiemuś bydlakowi zechce się zajrzeć do kartoteki, historie takie zdarzały się na porządku dziennym.

– Tak jest, dwa miesiące za odmowę pracy. Jesteś marynarzem?

– Niekoniecznie.

Oberscharführer podniósł wzrok i spojrzał na mnie po raz pierwszy z zainteresowaniem.

– Co to znaczy? Napisane wyraźnie: „Beruf-Seemann". Pracowałeś na morzu?

Poczułem się naraz pewniej. Trzeba wygrać główny atut. I to od razu. Frontalnym atakiem.

– Bo zostałem zmuszony. Siłą wzięty na pokład. Czy to moja wina? Mnie, człowieka z wykształceniem, architekta, który mógłby się tak przydać, zapchali do ładowania węgla w kotłowni.

Esesman patrzał na mnie zaciekawiony. Wciągał się w rozmowę. O to chodziło.

– Niemcy są w piątym roku wojny. Każdy musi pracować, gdzie go postawią – rzekł bez przekonania. – Zostaniesz teraz zwolniony i zameldujesz się w Urzędzie Morskim, gdzie dostaniesz przydział na nowy statek.

Usiłował załatwić sprawę pokojowo, tonem raczej pojednawczym.

– Mowy nie ma – odrzekłem swobodnie i oparłem się wygodnie o poręcz krzesła zakładając nogę na nogę. Wyglądało na to, że jest mi najzupełniej dobrze w pokoju nr 214 głównej kwatery gestapo na Victoria Terrace w Oslo i że nie zamierzam się stąd ruszyć. – Nie mam zamiaru pracować tam, gdzie mnie postawią. Niech to robią Niemcy. Ja jestem cudzoziemcem i sprzedaję swe umiejętności. Poza tym cierpię na morską chorobę i jestem taki marynarz jak z pana mikrobiolog. Niech mnie pan zamknie z powrotem w Grini. Gastronomicznie wyjdzie mi to na jedno. W Grini dostaję mało żarcia, na morzu oddaję całe żarcie za burtę. Co za różnica?

Oberscharführer spoglądał na mnie z wyraźnym uznaniem.

– Więc czego pan chce? – spytał, po raz pierwszy stosując formę właściwego zwrotu „pan".

– Chcę zostać w Norwegii. Wszystko jedno gdzie, w lagrze czy na wolności, aby na stałym lądzie. Morza mam dość, dość, dość…

Zaczynałem histeryzować i to w sposób bardzo umiejętny. Na stenotypistkach zrobiło to niejakie wrażenie. Esesman spozierał na moje wysiłki z sympatią. Nie ze współczucia, raczej z podziwu dla skali mych możliwości. Podobało mu się. Podniósł słuchawkę telefonu i połączył się z Urzędem Morskim. „Tu Oberscharführer Balkenhaus" – zaczął pertraktacje. Przedstawiał moją sprawę w sposób raczej dla mnie przychylny. Widocznie jednak po tamtej stronie przewodu awanturowali się o moją osobę, bez której handlowa marynarka niemiecka nie mogłaby sobie dać rady z wygraniem wojny. Nie należało bynajmniej do rzeczy łatwych wydostać się z macek niemieckiej żeglugi. W końcu doszedł do porozumienia, rozłączył się i połączył na nowo z innym numerem. Znów potoczyła się rozmowa, której słyszałem tylko połowę. Powtarzało się przy tym nieustannie słowo „Pole" i „Bauingenieur", co miało oznaczać, że jestem Polakiem i inżynierem budowlanym równocześnie. O ile pierwsze zgadzało się, o tyle w drugim był nadmiar przesady. Niemniej jednak postanowiłem

zmienić pierwsze. Dla dobra roboty, którą miałem wykonać w Norwegii. Jeśli zaś chodzi o moją umiejętność budowania domów, to zapadła decyzja utwierdzania Niemców w przekonaniu, że to naprawdę potrafię.

Esesman skończył, położył słuchawkę i patrzył na mnie długo i bystro. Po czym rzekł:

– Panie Kieński. Nie pójdzie pan więcej na pokład. Wyciągnąłem pana z żeglugi. Do Grini też pan nie wróci. Chcę dać panu szansę. Oto pana formalne zwolnienie z obozu koncentracyjnego, a to – przepustka na wyjście z tego gmachu. Po wyjściu zaś pójdzie pan prosto na Kirkegate w Oslo i zamelduje się w centrali Organisation Todt.

Podaje mi dwie zadrukowane i zapisane kartki papieru. We mnie z dzikiej radości serce łopocze i tłucze o żebra. Pierwsza runda wygrana! Zostaję legalnie i to nawet z pomocą gestapo w Norwegii. Boże, jaki kamień z serca i ułatwienie pracy, bo ja w Norwegii muszę zostać. A oni sami mi w tym pomagają. Patrzę pustym, nic nie mówiącym wzrokiem na siedzącego naprzeciw Niemca i widzę na jego twarzy znudzenie. Gdyby mi nie pomógł, musiałby mnie bić, przejść scenę oporu, łamania, pasowania się charakterów. To już go nudzi. Woli przygotować się psychicznie do spędzenia wieczoru z jasnowłosą Ingrid czy Gretą, siedzącą przy maszynie do pisania, której piersi i nogi stanowią dla niego w tej chwili życiowy horyzont. Bo poza tym wygląda na niegłupiego chłopca i gdyby tak trochę dookoła mnie poszperał, to musiałbym niechybnie skończyć swą misję w charakterze gościa na seansach spirytystycznych w Oslo i okolicach.

Odbieram papiery, szuram nogą jak grzeczny chłopczyk, ślicznie dziękuję za mile spędzony czas w pokoju nr 214 oraz za tak zwaną wolność, obrzucam jeszcze jednym spojrzeniem stenotypistki i powoli wychodzę. Równie wolno schodzę wyścielanymi chodnikiem schodami. Wolno mi, mam prawo dzisiaj tak, a nie inaczej, zachowywać się w gmachu gestapo, w stolicy okupowanej Norwegii. Byłem przez trzy miesiące klientem tego przedsiębiorstwa. Teraz, po załatwieniu sprawy wychodzę sobie tylko jako interesant tej instytucji. A wszystko śpiewa we mnie z radości i gra młodą

energią życia. Nie dlatego, że jestem wolny, zjem zaraz coś przyzwoitego, po głodzie koncentraka, i niebawem pocałuję dziewczynę. Nie, nie dlatego. Zachwyca mnie ów wyrok Opatrzności, po raz nie wiem który pozwalający mi spaść na cztery łapy, unieść głowę z fantastycznej przygody i w wierze we własną gwiazdę i siły znajdować wieczną rozkosz w poszukiwaniu nowej awantury. Bo cóż cudowniejszy może mieć smak w życiu jak świadomość pięknie stoczonej walki i zasłużonego, triumfalnego zwycięstwa? A czyż nie jest wspaniałym, subtelnym, radosnym zwycięstwem to, że mnie, poszukiwanego łącznika rajdów sabotażowych komandosów brytyjskich wzdłuż wybrzeży norweskich, Niemcy wsadzają do obozu koncentracyjnego pod Oslo za spóźnienie się na pokład statku, na którym byłem zaokrętowany, nazywając to ucieczką z pracy i ułatwiając, dzięki temu, nawiązanie kilku specjalnych kontaktów z norweskim Ruchem Oporu. Nadaremno szukałem tych kontaktów w kilku miastach Norwegii Zachodniej, a tu w koncentraku, w Grini – bęc i jest. I zwalniają mnie po trzech miesiącach. Po to, abym mógł o sto procent efektywniej pracować. I dają zostać legalnie w stolicy tego królestwa, bez potrzeby krycia się. Bajka…

Na półpiętrze stoi dwóch esesmanów. Patrzę na nich z tkliwością. Wolno podchodzę do nich i wyciągając z rękawa jeszcze więzienny niedopałek bankrutki, proszę o ogień. Podają mi. Dziś rano każdy z nich mógł skopać mnie i kazać mi tarzać się w błocie. Byłem w ich mocy. Teraz jestem jeszcze na terytorium ich gmachu, ale już w nowej partii, w nowej rozgrywce z nimi. Na ścieżce wojennej. Dziękuję im grzecznie. Jesteśmy równorzędnymi partnerami, obowiązuje więc uprzejmość.

Na dole wielki żołnierz Waffen-SS w hełmie z trupią główką i otwartą kaburą rewolweru, sprawdza długo przepustkę. Mimo swobodnego zachowania widać po mnie, skąd wracam i kim jeszcze jestem. Po czym sam otwiera drzwi wyjściowe gmachu i powiada:

– Bitte sehr.

Odpowiadam mu grzecznie:

– Do widzenia – gdyż chciałbym szczerze ujrzeć go znów. Ale wtedy ja będę zamykał za nim drzwi.

Stoję na małym placyku wzniesionym ponad poziom biegnącej nieco niżej ulicy na Victoria Terrace. Na lewo mam zamek królewski i park zamkowy, na prawo, w dole, główną magistralę, Karl Johann Gate. Pode mną – mój nowy teren pracy, stolicę Królestwa Norwegii, Oslo, tonące w blaskach jasnego, zimowego słońca.

II

Nie pojechałem jednak prosto na Kirkegate. Przede wszystkim udałem się do Domu Marynarza, w którym powinny były stać moje rzeczy. Aresztowany zostałem bezpośrednio na statku i zdjęty wprost z pokładu zanim statek wyszedł z Oslo, więc mój skromny dobytek powinien trafić do miejscowego schroniska żeglarskiego. Tak było w pradawnym zwyczaju i niepisanym, a uświęconym krzepką tradycją prawie wszystkich portów świata. Gdy marynarz zostaje aresztowany, jego persenningowy worek z chudobą wędruje do miejscowego „sea-man house" i czeka, choćby wiek, na powrót właściciela. W moim wypadku żywiłem pewne obawy. Bardziej szacowne tradycje i prawa gwałciło gestapo w sposób całkiem obcesowy, moją walizkę przeto mogli zabrać ze sobą i dokładnie zbadać.

Tymczasem nie. Walizka stała na swoim miejscu, w brudnym domu żeglarskim na Skippersgata, w portowej dzielnicy Oslo. Drżącymi z emocji rękami otworzyłem ją i zbadałem zawartość. Wszystko było w porządku, nic nie brakowało, nawet mały Nowy Testament, w czarnej oprawie, znajdował się na miejscu. Dziwna to była książeczka ten Nowy Testament, wydany po polsku przez firmę „F. Mildner and Sons" w Londynie. Pomiędzy wersety Ewangelii wplecione były misternie kody szyfrowe, List św. Pawła Apostoła do Koryntian odsłaniał powołanemu oku całą siatkę kontaktową Danii i Norwegii, nieprzeciętnie zaś grube, czarne okładki kryły w swym wnętrzu całą masę interesujących pisemek. Właśnie jeden z takich karteluszków, po

uprzednim troskliwym zamknięciu drzwi od pokoju, w którym sam się znajdowałem, wydobyłem na światło dzienne. Z miłym wzruszeniem pieściłem go w ręku. Nastrój musiał być podniosły, gdyż w momencie tym zmieniałem skórę, czyli narodowość. Cenny ten dokument przedstawiał niejakiego pana o nazwisku Algirdas Kieńskaus, urodzonego w Wilnie, obywatela byłej Litwy, z zawodu architekta, a panem tym od tej chwili miałem być ja. Metamorfoza ta była konieczna. W Grini, w obozie koncentracyjnym, zetknąłem się po raz pierwszy w czasie mojej pracy na terenie Norwegii z Polakami. Chłopcy ci poinformowali mnie dokładnie o stosunkach w organizacji Todt, a przede wszystkim o sporej liczbie Polaków w kraju fiordów. Ponieważ zadanie moje wymagało zupełnego odosobnienia, wolałem przeto nie dekonspirować się narodowo, dzięki czemu mogłem lepiej ingerować w sprawy polskie także.

Postanowiłem dnia tego nie meldować się jeszcze w biurach Todta. Mogłem przespać noc jeszcze w Domu Żeglarza. W pokoju na cztery łóżka, w którym się właśnie znajdowałem, nie było nikogo. Wyciągnąłem tedy wygodnie nogi na cienkim kocu, wparłem się mocniej w łóżko, które po obozowych pryczach wydawało się najbardziej wyrafinowanym i komfortowym miejscem spoczynku, i przystąpiłem do szczegółowej analizy sytuacji.

„Organisation Todt" stanowiła jeden z najmisterniej skonstruowanych majstersztyków, jaki wyprodukowany został przez zbrodniczy geniusz reżimu hitlerowskiego. Nie było chyba na przestrzeni dziejów ludzkości większego przedsiębiorstwa handlu niewolnikami niż ta szacowna instytucja. Jedynym większym mogła być sama Rzesza. Arbeitsfront i kunsztownie upleciona pajęczyna wyzysku, jaką omotali Sauckel i Ley cudzoziemskich robotników w Niemczech, była brutalną i toporną formą wobec tworu inżyniera Todta. „Organisation Todt" stanowiła państwo w państwie. W 1940 roku, gdy krystalizowały się plany budowy Wału Atlantyckiego, największego w historii kompleksu fortyfikacji, który opasać miał kontynent europejski od Zatoki Biskajskiej do Cap Nord i uchronić

„Festung Europa" od anglosaskiej inwazji, inżynier Fritz Todt stworzył największe dzieło swego życia. Inżynier Fritz Todt był szczupłym Niemcem, o zaciętej twarzy fanatyka. Z Hitlerem, który, jak wiadomo, interesował się bardzo architekturą, był w osobistej przyjaźni. Zapewne w czasie owych długich rozmów wieczornych przy kominku willi w Berchtesgaden opracowali wspólnie plan organizacji, której ideą podstawową było budowanie ponurych zamków z żelbetonu, rękami, potem i krwią niezliczonych pariasow z podbitych siłą krajów. Przyznać trzeba, że obmyślili go genialnie. Prawa budownictwa w zastosowaniu do procesu ciemiężenia człowieka wydały twór doskonały w swej grozie. Zasady planu architektonicznego, statyki i wytrzymałości materiału przykrojono do możliwości mas robotników przymusowych całego kontynentu. Niebawem gestapo zaczęło wyciągać siłą z lóżka w czasie nocnych rewizji Jean'a Duponta z Montreuil, Drażę Stepanowicza z Mostaru, Willema Baatebourg z Rotterdamu czy Jana Majewskiego z Rzeszowa. Pakowano ich na samochody, wieziono na punkt zborny OT, ubierano w brązowe mundury z hitlerowską bindą na lewym ramieniu, z czerniącym się napisem „Organisation Todt". Odtąd przestawali być ludźmi, a stawali się numerem porządkowym w monstrualnej kartotece szarego, potężnego gmachu na jednej z ulic w okolicy Wilhelmstrasse w Berlinie, na którego frontonie długoskrzydły, hitlerowski orzeł opierał szpony o swastykę nad napisem „Organisation Todt – Reichszentralstelle".

Odtąd wieziono ich i wieziono bez końca. Po wydłużonych w nieskończoność szlakach kolejowych hitlerowskiego imperium, w brudnych wagonach z tablicami „Nur für OT – Angestellte und Arbeiter" Jean'a Dupont'a zawieziono pod Woroneż, aby w kleszczach rosyjskiej zimy zamiatał przyfrontowe lotnisko niemieckiej Luftwaffe. To nic, że Jean Dupont dostał zapalenia płuc po tygodniu pracy w cienkim płaszczyku z niemieckiego sukna. Zamiótł i umocnił kilka metrów pola i został wykorzystany jako pełnoprawny obywatel nowej, hitlerowskiej Europy. Willem Baatebourg z Rotterdamu pojechał do Polski, gdzie pod

Białymstokiem przykręcał szyny nowej linii kolejowej, potrzebnej Niemcom dla prowadzenia wojny z Rosją. Przy okazji zabity został w czasie akcji bojowej polskich partyzantów. Nie jego winą było, że nie umiał po polsku, a holenderski jest tak bardzo podobny do niemieckiego, iż nie sposób było zanalizować pewnych różnic lingwistycznych, gdy rzuca się granaty w niemieckie okna. Nawet, gdy granat ten rzuca docent filologii warszawskiego uniwersytetu.

Draża Stepanowicz z Bośni pojechał do Hawru, gdzie pomagał ładować torpedy do niemieckich łodzi podwodnych. Angielscy lotnicy uważali pracę tę za niezgodną z interesami Brytyjskiej Wspólnoty Narodów, a ponieważ do Hawru mieli bardzo blisko, przeto codziennie i po wiele godzin bombardowali i obkładali ogniem z karabinów maszynowych bazę niemieckiej marynarki wojennej. W czasie nalotów trzeba było pracować, do chroniących się strzelała niemiecka ekipa nadzorców. Wzięty we dwa ognie Draża dostał kiedyś dwie zgodne serie, z niemieckiego automatu i angielskiego hotchkissa, w okolicę serca i wyzionął spokojnie ducha, oparłszy się o wiezioną na trzykółce torpedę. Jednak spełnił swe zadanie jako bezimienne, numerowane kółko w potwornej machinie, opartej na genialnej kalkulacji panów Adolfa Hitlera i Fritza Todta. Jan Majewski z Rzeszowa pojechał do Norwegii, gdzie postawiono go w skalnych kazamatach Romsdalsfjordu, dano do ręki wiertarkę i kazano umacniać stanowiska artyleryjskie Wału Atlantyckiego. Po dwóch dniach takiej roboty, gdy odpryski skał poraniły mu twarz, a świder elektryczny wypadał co chwila ze zgrabiałych rąk, Jan Majewski miał dość tej zabawy, a ponieważ ulepiony był z nieco innej gliny, niż jego towarzysze i rówieśnicy z Francji, Holandii i Jugosławii, powiedział z pasją „Kij wam w oko, morda wasza twarz", pod adresem swych pracodawców i uciekł do Szwecji. Uciekł w sposób epiczny, będący, jak zawsze, mieszaniną odysejskiej epopei i warszawskiej awantury ulicznej, w sposób właściwy dla młodego Polaka. I w tym leżał jedyny czynnik nieprzewidziany, pozycja, która nie zgadzała się w rachunkach panów Hitlera i Todta. Czynnikiem tym była energia

i przedsiębiorczość młodego pokolenia polskiego na tle tej wojny. Szary, ogromny gmach o smutnych oknach w okolicach Wilheimstrasse w Berlinie planował i przewidywał wszystko. Był mózgiem i sercem monstrualnego aparatu, ssącego soki z całej Europy. Ludzie, siedzący w jego gabinetach, obliczali i wyznaczali normę łyżki wodnistej zupy, którą dostanie niemiecki robotnik OT w holenderskim porcie w Gronningen, i jeszcze wodnistszej, którą nakarmi się belgijskiego robotnika, budującego baraki dla Wehrmachtu w południowej Grecji. Przewidywali grubość skarpet na ekwipunek dla czeskiego majstra i rodzaj szalika dla swego własnego, niemieckiego urzędnika. W pracy tej mieli do dyspozycji wszelkie elementy małego organizmu państwowego. Mieli własny transport, własne hotele, kina, gazety, tysiące biur i urzędów, własny sprzęt, tabor i warsztaty, własną policję, więzienia, służbę śledczą i wywiad nawet. Swoimi ludźmi, swą armią robotników, inżynierów i urzędników, Niemcami i cudzoziemcami rządzili w sposób absolutny. To znaczy – Niemcami i cudzoziemcami z pewnymi wyjątkami. Wyjątki – oczywiście Polacy.

Polacy, to było co innego. Polacy z góry przenieśli walkę swą z kierownictwem OT na zupełnie inną płaszczyznę, niż kierownictwo to mogłoby się spodziewać, i z miejsca też walkę tę rozegrali na swoją korzyść. Nie znaczy to, aby Polakom powodziło się lepiej niż innym narodowościom, przeciwnie, traktowani byli nawet gorzej, wiadomo – Polacy. Lecz podczas gdy inni widzieli w OT jedynie faszystowskiego ciemiężyciela i eksploatatora, Polacy widzieli w tym jeszcze coś, a mianowicie nieograniczone możliwości wspaniałych interesów. Byli Francuzi, Belgowie i Czesi, którzy szli do OT na ochotnika, aby trochę popodróżować. Polacy szli też sami, ale polski „reiser" pod mianem „trochę sobie pojeździć" rozumiał coś innego, właśnie to, co Anglicy nazywają *bussines as usual*. Ta niezrozumiała, drapieżna, konkwistadorska zdolność do interesów i robienia pieniędzy na najdzikszych transakcjach, jaką wykryła w sobie młodzież polska w czasie wojny, święciła tutaj swe triumfy. Było to odkrycie wspaniałych, lecz spóźnionych cech. W połowie ubiegłego wieku Anglicy,

wykorzystując swych żądnych wzbogacenia się młodych kapitanów, budowali na brygach i szkunerach Oceanu Indyjskiego potęgę ekonomiczną i polityczną swego imperium. Transakcja ochrą i soją, dla której conradowscy żeglarze ryzykowali na wodach Australii Wielką Przygodę i rozwijali cały swój geniusz marynarzy-kupców, była aktem o znaczeniu politycznym. Cegiełką w budowie imperium. Polscy „merchant-adventurers" z okresu tej wojny nie wzbogacali swej ojczyzny. Jedyną pozytywną stroną ich akcji było to, że spędzali sen z powiek führerów OT. Zapisywali się na ochotnika, aby dezorganizować twór inżyniera Todta.

Jan Majewski zapisywał się z własnej woli na punkcie werbunkowym OT w Warszawie. Jako ochotnik miał prawo wyboru miejsca pracy. Brał „marschbefehl", oficjalny rozkaz jazdy, gwarantujący spokojną podróż służbowym pociągiem do Kurska czy Woroneża, zaopatrywał się w kilka kilo słoniny, kilka setek papierosów i jechał. W zapadłych punktach głębi Rosji sprzedawał zapitym, zezwierzęconym esesmanom żywność i wódkę, biorąc od nich zapłatę w złotych kolczykach i obrączkach, zrabowanych w gettach polskich i w obozach śmierci. Potem fałszował „urlaubschein", przepustkę urlopową, i narywał swobodnie ze swego miejsca pracy. Narywał przez całą Europę, zatrzymując się aż w Paryżu, gdzie w czarnogiełdziarskich melinach na rue de Rivoli kupował transport perfum, z którym wracał do Warszawy. Wszędzie, rzecz jasna, podróżując wagonem kolejowym „für OT Arbeiter", biorąc żarcie na dworcach z kotłów OT i ich „Eiserne Portion" z „Wurstem" i „Butter" włącznie, zaopatrzony w jakikolwiek świstek ze stemplem hitlerowskiego „koguta", opiewający, że jego posiadacz jest robotnikiem kolejowym („Bahnaushilfsarbeiter x…") w miasteczku X we Francji, Rosji czy Jugosławii i właśnie tam się udaje. Inna trasa szła do Finlandii, tam kupował wódkę, z którą zjeżdżał wzdłuż jakiegoś tam południka z Petsamo do Mediolanu, gdzie za fiński alasz dostawał jedwabne pończochy, w których paradowały za kilka dni warszawianki, ku niememu przerażeniu i żółtej zazdrości grubych niemr z BDM. Rzecz jasna, nie wszystkim się udawało, nie wszyscy tak żyli. Wygniatali warszawscy

rodacy więzienne wyra w karnych lagrach OT od Kopenhagi do Salonik. Ale na ogół taka, a nie inna była praca obywateli GG w „Organisation Todt".

I taka była ta instytucja, z którą ja miałem od jutra zmierzyć swe siły. Wprawdzie miała mi ona służyć za odskocznię dla całkiem innych celów i akcji, niż przewożenie butelek z francuskim koniakiem do Warszawy, musiałem jednak stanąć na wysokości zadania. Nie wolno mi było zaprzepaszczać tradycji mych rodaków. OT musiała mi oddać pewne usługi, a nie ja swoją pracę OT. Z tym niezłomnym postanowieniem zasnąłem.

III

Nie byłem przed wojną w Oslo. Idąc nazajutrz rano ulicami stolicy Norwegii w kierunku centrali OT, zastanawiałem się, w czym uwidacznia się tutaj niemiecka okupacja. Śladów kampanii kwietniowej 1940 roku nie widać było ani na lekarstwo. Ulice czyste, w normalnym stanie, zapełnione ożywionym, dobrze odzianym tłumem. Na pozór nic – poza mundurami niemieckich wojskowych gdzieniegdzie – nie przypominało wojny i okupacji. A przecież…

Puste wystawy, ogonek przed sklepem tytoniowym, wywieszki: „Tylko piwo", na kawiarniach – oto były oznaki rzeczywistości. Gdy wprawniejszy wzrok uderzony został jeszcze dysharmonią czarnych quislingowskich plakatów propagandowych w tym głęboko demokratycznym kraju i gdy w oczach przechodniów dostrzegało się wyraźną wrogość w stosunku do wszystkiego, co nienorweskie – wtedy sytuacja była jasna. Zwłaszcza ta milcząca wrogość i nieufność nawet do cudzoziemca ze sprzymierzonego narodu, którego winą było tylko to, że nie zna norweskiego. Łatwe do zauważenia, niechętne spojrzenia w tramwaju i na ulicy były niesłychanie znamienne.

Norwedzy nigdy nie byli ani wylewni, ani zbyt serdeczni. Wojna i okupacja wyrobiły w nich zimną, odstręczającą powściągliwość. Biedny cudzoziemiec ginął w Oslo nie mając praw do żadnej informacji, jeśli nie

znał norweskiego. Na pytanie po niemiecku jedyną odpowiedzią było wzruszenie ramionami, język angielski uważany był za prowokację. Oto Norwegia Anno Domini 1944, Norwegia bez ulubionej wódki „drammer" i bez tytoniu, za który przeciętny Norweg zaprzeda duszę (lecz nie Niemcom…), Oslo, w którym na zamku króla Haakona rezyduje zdrajca Vidkun Quisling, bezwolna marionetka w rękach prawdziwego wielkorządcy tego kraju, namiestnika Hitlera o brutalnej twarzy niemieckiego fornala w złoconych okularach, Józefa Terboven'a.

Nie bez trudu odnalazłem wielki, nowoczesny gmach OT na Kirkegate. Stojąca przed wejściem uzbrojona warta tak zwanego OT-Schutzu, specjalnej straży, przekonała mnie najlepiej, że to właśnie tu. Ponieważ posiadam wrodzoną zdolność orientowania się w podobnych gmachach urzędowych, nie upłynęło więc piętnaście minut, łącznie z czekaniem, gdy usiadłem przed gładko wygolonym, zażywnym, grymaśno-fałszywym obliczem Herr Oberbauführera Leipke, naczelnika wydziału personalnego OT-Einsatzgruppe „Viking", czyli norweskiej filii tej wielkiej instytucji.

To, że Herr Leipke pochodził z Łodzi i znał polski, jak normalnie urodzony w okolicach Piotrkowskiej facet, o tym wiedziałem jak najdokładniej. Chociażby z racji mego zawodu. Natomiast, że ja pochodzę z Warszawy, o tym Herr Leipke nie wiedział i nie powinien był się dowiedzieć.

W ręku miałem kartkę zwolnienia z gestapo, na której stało umiejętnie przeze mnie poprawione wczoraj nazwisko z „Kieński" na „Kieńskaus", data i miejsce urodzenia, jednoznaczne w moim poprzednim i obecnym dokumencie. Żadnych podejrzeń przeto być nie mogło, a gdyby były – postarałbym się je logicznie rozwiać, co też w trakcie rozmowy zaraz uczyniłem.

Zaczął pan Leipke kleistymi komplementami pod adresem płynności mej niemieckiej wymowy. Podziękowałem grzecznie i spytałem się o możliwości pracy w przedsiębiorstwie OT podając me architektoniczne kwalifikacje. Pan Leipke z zainteresowaniem wysłuchał mojej autoreklamy,

po czym, ubolewając, wyjaśnił mi, że przepisy wojenne zabraniają im, Niemcom, zatrudniać jakichkolwiek cudzoziemców przy kreśleniach i planach, co kolidowałoby zdecydowanie z mymi architektonicznymi zamiarami. Jednak nie omieszka on, Leipke, wykorzystać tak obiecującego i zdolnego młodzieńca, jakim mu się wydaję, w sposób odpowiadający wymogom mego intelektu i erudycji. W jakimś biurze – powiedzmy – jeżeli potrafię pisać na maszynie. Ponieważ umiejętność tę posiadałem w pełni, pan Leipke spytał się jeszcze mimochodem, jakie złe wiatry i nieszczęśliwy zbieg okoliczności zagnał mnie do koncentraka. Odparłem swobodnie, że małe nadużycie alkoholu i związana z takowym kilkudniowa niezdolność i spóźnianie się do pracy zdarzają się od czasu do czasu ludziom w moim wieku, co jednak koliduje z drakońskimi przepisami niemieckiej żeglugi handlowej, której pracownikiem miałem zaszczyt być na przestrzeni ostatnich kilku miesięcy. To widocznie zadowoliło pana Leipke, gdyż zamyślił się, przerwał ożywioną rozmowę i zaczął bębnić palcami w blat biurka. Nagle wlepił we mnie swe rozmazane oczy z niezwykłą bystrością i spytał najczystszą polszczyzną:

– Pan jest przecież Polakiem. Prawda?

Zrobiłem skłopotaną minę, jak człowiek, do którego rozmówca zwraca się ni stąd ni zowąd w narzeczu niam-niam. Dobrze, pomyślałem, gość podejrzewa, lecz nie ma żadnej pewności. Od esesmana Balkenhausa dostał wink, że przyjdę, ale nic więcej. Widocznie Balkenhaus nie miał najmniejszej ochoty mną się zajmować.

– Sądząc z brzmienia słów, zwraca się pan do mnie po polsku – zaatakowałem wytwornym, nadreńskim narzeczem. – Niestety, nie znam tego języka. Gdy miałem rok, rodzice moi przenieśli się z okupowanego przez Polaków Wilna do Kowna.

Po czym z humorem opowiedziałem mu, przy okazji, jak jeden z gestapowców w lagrze Grini rozstrzygnął skomplikowany problem geopolityczny Ziemi Wileńskiej, orzekł, że należała ona do Polski, mnie zaś, w konsekwencji, zapakował do polskiego baraku. Ponieważ Polacy byli

w Grini specjalnie bici i kopani, więc i ja odbierałem swój ryczałt także, chociaż do Polaków żywię awersję prawdziwego, litewskiego patrioty. Doskonały ten kawał, polegający na braniu w mordę przez pomyłkę, rozbawił pana Leipke znakomicie i rozwiał jego podejrzenia, co z kolei pozwoliło mi atakować dalej.

– A jakie są warunki mojej ewentualnej pracy? – spytałem.

– No cóż, utrzymanie, osiemdziesiąt koron miesięcznie, które dostają wszyscy niemieccy robotnicy i pracownicy OT w Norwegii, i mieszkanie w obozie.

– Co to, to nie – odparłem stanowczo. Żarcie i niewolnicza, groszowa płaca to było głupstwo, ale na mieszkanie w obozie, we wspólnym pokoju z innymi, zgodzić się nie mogłem. Musiałem mieszkać sam i mieć niekontrolowaną swobodę ruchów. Tymczasem, aż do odnowienia kontaktów, byłem bez forsy. Mieszkania nie mogłem przeto wynająć prywatnie, mogły też być jakieś zastrzeżenia ze strony Niemców. Należało więc kombinować. – Dość mam mieszkania w obozach, w lagrach, wspólnych izbach i tak dalej. Chcę mieć spokój i móc czytać książki. Jeśli nie załatwi mi pan tego, wracam na morze.

To nie leżało w interesie pana Leipke. W OT, jak i wszędzie, brakowało sił do pracy, a ja, z moją znajomością niemieckiego, byłem biurową siłą nie do pogardzenia.

– Zaraz, panie Kieńskaus – łagodził Leipke, spojrzawszy uprzejmie na kartkę z moim nazwiskiem – mieszkanie nie zależy ode mnie. Może uda się panu coś wydębić od wydziału kwaterunkowego. Tutaj ma pan skierowanie do miejsca pracy. Obejmie pan posadę w biurach magazynów sprzętu kolejowego od jutra. Niech pan spróbuje zaraz w wydziale kwaterunkowym. Mam nadzieję, że będzie się panu u nas podobało. Do widzenia.

Żywiłem tę samą nadzieję, chociaż miałem niejakie wątpliwości, czy będzie się im podobało, co ja będę u nich robił. W każdym razie pożegnałem uprzejmie pana Leipke i z miejsca udałem się do wydziału kwaterunkowego.

W wydziale tym poznałem siedzącą samą w dwóch ogromnych pokojach, pełnych biurek i maszyn do pisania, pannę Käthe Müller. Z miejsca też doceniłem cudowny zbieg losu, który umiejscowił decyzję o moim zakwaterowaniu, jako pracownika OT, w ondulowanej (była sobota…) główce Fräulein Müller. Po dziesięciu minutach równie ładne, co niebieskie i głupiutkie oczęta Kasi poczęły z zainteresowaniem przypatrywać się mojej skromnej osobie. Po minutach dwudziestu dyskretne zarysy jej zgrabnych piersi pod granatową, satynową bluzką zaczęły zmieniać linię zasadniczą, to pod wpływem wesołego śmiechu, to na skutek falującego wzruszenia, przy czym okazało się, że Kasia pochodzi z Królewca, a matka jej była z pochodzenia Litwinką z Połągi. Było to przypuszczalnie prawdą, natomiast niewątpliwą nieprawdą była moja propagandowa informacja o fantastycznych zapasach czekolady, jakie miałem, jakoby, przywieźć z mojego ostatniego rejsu do Szwecji, w której, nawiasem mówiąc, nigdy nie byłem. Po półgodzinie panna Müller była zdecydowanie przekonana o konieczności odpowiedniego pokoju dla mnie, niekrępującego i zacisznego, rzecz jasna, w zaciszności którego była ona, osobiście i specjalnie, zainteresowana. Zamaszyście wystukała przeto skierowanie do jednego z zajętych przez Wehrmacht i OT hoteli w Oslo i oświadczyła, że nie omieszka złożyć mi życzeń szczęścia, jednego z najbliższych wieczorów, na mym nowym mieszkaniu. Westchnąłem ciężko, wspomniawszy czekoladę, ale cóż… tę konsekwencję układów z wydziałem kwaterunkowym należało raczej przyjąć z beztroską rezygnacją. Miałem też nadzieję, że potrafię Kasi zastąpić słodycz czekolady innymi, mniej kosztownymi i bardziej dostępnymi, w piątym roku wojny, środkami.

IV

Stałem na rogu Ny Torget i Moellergate badając topografię dzielnicy. Duży plac, o dwóch kondygnacjach, położonych w centrum miasta. Dzielnica o charakterze „city", handlowa, pełna sklepów, warsztatów, rynek,

dużo ciasnych, brudnych uliczek dookoła. Dworzec Wschodni niedaleko. Port też. Patrzyłem w perspektywę Henrik Ibsensgate i w oczach miałem Oslo z książek Johanna Bojera, starą Krystianię, pełną krętych uliczek wokół portu, w którym stoją brygi wyładowane beczkami wielorybiego tranu i solonych śledzi.

All right, wszystko było w porządku, podobała mi się ta dzielnica, w której miał leżeć pokój hotelowy, przeznaczony dla mnie.

Kilkadziesiąt metrów w głąb Moellergate stał szary fronton nowoczesnego domu, o sześciu piętrach funkcjonalnej, modernistycznej elewacji. Okna z prostych linii błyszczały w zimowym słońcu. Wszystko było szare, czyste, spokojne. Nad skromnym wejściem nieduża, szklana wywieszka: „Missionshotellet Ansgar", a obok specjalna tabliczka po niemiecku: „Nur für Offizieren und OT-Beamten. Beschlagnahmt durch Kommando der V. Armeegruppe Nord-Norwegen". To tu.

Ale zaraz. „Missionshotellet" – hotel misyjny, trzeba zastanowić się nad tym. Wiedziałem nieco o hotelach misyjnych, tak częstych w krajach anglosaskich i skandynawskich, w których kwitło protestanckie sekciarstwo.

Począwszy od Armii Zbawienia, poprzez niezliczone kongregacje metodystów, baptystów, Świętych Dnia Ostatniego, Synów Absaloma, organizacje te rozporządzały siecią domów noclegowych, tanich restauracji i wielkich nawet hoteli. W pokojach takiego hotelu leżała na nocnym stoliku Biblia i wykaz godzin, w których gość może udać się na odprawiane w sali jadalnej nieszpory lub śpiewać psalmy wraz z całą hotelową obsługą. W mojej obecnej sytuacji to, że Ansgar był hotelem misyjnym, stanowiło raczej punkt dodatni w ogólnym planie działania. Norweskie duchowieństwo protestanckie, bez względu na sektowe różnice, znajdowało się od pierwszej chwili okupacji w ostrej walce z nazizmem, Hitlerem i Quislingiem. Biskup Berggrav, głowa konsystorza protestanckiego, siedział w obozie koncentracyjnym w Niemczech, a z profesorem Hallesby, przywódcą politycznym Narodowego Kościoła Norweskiego, miałem zaszczyt rozmawiać za drutami Grini.

Na pierwszym piętrze mieściła się loża portierska i winda prowadząca na dalsze piętra. Gdy wchodziłem, z loży patrzyły na mnie badawczo chłodne, niebieskie oczy niedużego pana, w typowej dla wszystkich portierów hotelowych kurtce z emblematem skrzyżowanych kluczy na kołnierzu. Osobliwością w ubiorze tej postaci był okrągły, biały, sztywny kołnierzyk nad czarnym gorsem, tak jak to noszą kapelani wojskowi, Dziwnie to jakoś nie pasowało do portierskiej kurtki, ale cóż, miałem przed sobą konglomerat portiera-pastora, właściwy hotelom misyjnym.

– Pan sobie życzy? – zwrócił się do mnie uprzejmie po niemiecku. Miał przeciętne norweskie rysy, pokaźną łysinkę i jakąś dziwną elastyczność ruchów. To było w nim nienorweskie, jak również bystrość, przebiegłość wprost oczu.

– Chciałbym dostać pokój u państwa.

Nie przestawał taksować mnie wzrokiem, co ja za jeden. Oho, pomyślałem, ten musi wszystko dobrze wiedzieć o swych lokatorach. Będziemy musieli się zaprzyjaźnić.

– Czy ma pan jakieś oficjalne skierowanie?

Podałem mu karteluszek od Kasi Müller.

– Zgadza się – powiedział.

Wziął do ręki tabelkę planu pokojów, popatrzył z namysłem.

– Mamy wolne łóżko w dwuosobowym pokoju, też z jednym panem z OT. Pokój 324.

– O nie – odparłem żywo. – Czy nie mógłby pan dla mnie znaleźć pojedynczy pokój? Jak pan widzi, nie jestem Niemcem – zapuściłem delikatną sondę. – A wie pan, jak Niemcy reagują na towarzystwo innych narodowości?

Deklaracja ta nie wywarła żadnego wrażenia. Norweg patrzył na mnie w ten sam sposób, uprzejmie, lecz chłodno jak dotychczas. Wobec tego zaatakowałem inaczej, z innej strony.

– Gdzie tu można kupić choinkę na Boże Narodzenie? O, taką niedużą – rzekłem po chwili milczenia.

– Zaraz koło nas, na Ny Torget, będą sprzedawać choinki przed Świętami – odparł nieco zaskoczony tym nagłym zwrotem.

– Bo, widzi pan, już tak dawno nie spędzałem wigilii przy drzewku – cisnąłem, patrząc nań spod oka – a u nas tak pięknie na święta, ach, Boże. Myślałem, że jak dostanę jakiś mały pokoik dla siebie samego, to urządzę sobie małą wigilię. Zwłaszcza teraz, po powrocie z Grini. Czy jest w Oslo jakiś katolicki kościół w pobliżu?

Na dźwięk słowa „Grini" ledwo dostrzegalny błysk zainteresowania przemknął w oczach Norwega. W Grini nie siedzieli Niemcy, każdy z Grini to sprzymierzeniec.

– Owszem, tu niedaleko nawet jest katolicki kościół świętego Olafa.

– Racja, przecież – zawołałem uradowany – mówił mi w Grini o nim profesor Hallesby.

To był cios decydujący. Portier uśmiechnął się przyjaźnie.

– Pan pochodzi z Wilna – przeczytał w mych papierach – to znaczy z Polski?

– Tak – odparłem patrząc mu z naciskiem prosto w oczy – ale jestem Litwinem.

Wytrzymał mój wzrok i coś na kształt nieuchwytnej iskierki ironii zamigotało w jego niebieskich oczach. Uff, odsapnąłem w duchu, zrozumiał…

No i pojedynczy pokój się znalazł. Bajka, nie pokój. Numer 708, na piątym piętrze. Portier zawiózł mnie sam windą na górę, poprowadził prostym korytarzem i otworzył drzwi ostatniego pokoju. Cudo, ostatni, z jednym sąsiadem tylko z prawej strony, oparty o szczytową ścianę… Wewnątrz urządzony z typowo norweskim, spokojnym smakiem prostych, nowoczesnych mebli, z równie spokojnym, czystym komfortem. Okno na ulicę. Norweg wyszedł ze mną na korytarz z powrotem i wskazując na drzwi, akurat naprzeciw moich, rzekł:

– Oto drzwi do kuchennych schodów i bocznego wyjścia z budynku. Na półpiętrze jest okno prowadzące na dach sąsiedniego domu. A w pokoju ma

pan telefon.

Ukłonił się i chciał odejść. Wyciągnąłem doń rękę.

– Moje nazwisko jest Kieńskaus – rzekłem.

Podał mi rękę.

– Pastor Kristoffersen – odparł, ukłonił się raz jeszcze i poszedł.

Uroczy, cudowny, cwany pastor! Zachwycałem się nim, wszystkimi jego „fachowymi" uwagami, pokazanymi mi schodami, wyjściami, telefonem na nocnym stoliku obok Biblii i programu tygodniowych nieszporów – całym hotelem Ansgar, przypadkiem, wcielonym w Kasię Müller, który mnie tu sprowadził. Po czym z rozkoszą ułożyłem się w wygodnym fotelu, zapaliłem małą lampkę obok, wyciągnąłem nogi przed siebie i w kłębach papierosowego dymu począłem współczuć Norwegom.

Bo i tak. Naród, który od przeszło stu dwudziestu lat nie słyszał armatniego wystrzału, z wyjątkiem wiwatów jubileuszowych i kanonad harpunowych działek na wieloryby, nagle zostaje wciągnięty w najokropniejszą, najbardziej morderczą z wojen. Żeglarze, rybacy, kupcy i chłopi na przestrzeni jednego wieku stworzyli jedną z najwspanialszych narodowych kultur i na skalnej, ubogiej części zachodniej Skandynawskiego Półwyspu potrafili zbudować państwo, oparte na jednej z najdemokratyczniejszych konstytucji świata. W państwie tym nie było miejsca na nędzę ludzką, a mądre współżycie człowieka z człowiekiem wydało harmonijną społeczność, cieszącą się jak najbardziej do równomierności zbliżonym podziałem dochodu społecznego, bogactwem, dobrobytem i szacunkiem sąsiadów. Ci potomkowie dumnych i awanturniczych Vikingów doszli, poprzez wieki, do głębszych mądrości politycznych i do najwrażliwszej oceny życia, które kazały im eliminować z narodowego światopoglądu czynniki, takie jak wojna, podbój, przemoc i tyrania. Jedyną formą walki, uznawaną przez Norwegów dwudziestego wieku, jest ukochany przez nich sport i zmaganie się z siłami natury. Po zbójeckich, vikingowych protoplastach z wczesnego średniowiecza nie

pozostało im nic, z wyjątkiem wspaniałego typu rasowego i rodzinnego instynktu, instynktu klanu.

I tak poszła smukła, płowowłosa i niebieskooka młodzież norweska, znana dobrze światu z lekkoatletycznych bieżni i skoczni narciarskich, lecz nic o wojnie nie wiedząca, w kwiecień 1940 roku. Opuścili swe przytulne, jasne, miłe, kolorowe domki, uwieszone na skałach niezliczonych fiordów, i poszli w narciarskich butach i z turystycznymi plecakami. Bo armia norweska, chociaż zorganizowana ze zwykłą temu narodowi sumiennością i skrupulatnością, nie liczyła się z tym, że wysiłek całego narodu będzie konieczny w jednej chwili. Mobilizacja nie mogła objąć wszystkich chętnych, a ojcowie norwescy nie umieli powiedzieć swym synom, co w takich wypadkach robić należy i w jakim lesie szukać schronienia. Sami nie wiedzieli, ani oni, ani nawet ojcowie ich ojców, co to jest walka na śmierć i życie. Tymczasem dopalały się zgliszcza zbombardowanych przez Niemców drewnianych miasteczek, a bohaterski fort Oscarsborg w Oslofjordzie, którego działa przybrzeżne w gwałtownym pojedynku artyleryjskim zatopiły ciężki krążownik „Blücher", legł, obrócony w perzynę armatami innych niemieckich pancerników. Cóż miała robić młodzież norweska? Pomaszerowali wysocy, jasnowłosi chłopcy trochę po górach, pobili się nieco w okolicach Andaisness, Narwiku, Trondheim i wrócili po półtora miesiącu do domów. Czekali. Bo cóż mieli robić? Nigdy nie było w ich kraju karbonariuszy, anarchistów ani konspiracyjnych bojowców, a sam dzielny i nieugięty król Haakon z Londynu nie wzywał bynajmniej do walki, tylko do wytrwania. Wprawdzie przerwało się trochę marynarzy i lotników do Anglii i stworzył się tam zalążek norweskich sit zbrojnych, emigracji jednak nie było ani urywania się masowego na „tamtą stronę", mimo że Wyspy Brytyjskie leżą tak blisko. Tyle, że flota handlowa, przebogata, wielka norweska marynarka wymykała się Niemcom przemyślnie z rąk, gdzie i jak mogła, i dzielnie służyła aliantom.

W kraju pozostał naród norweski oko w oko z podwójnym wrogiem: Niemcami i Quislingiem, okupantem i własnymi zdrajcami. Potoczyła się

bezpardonowa walka pomiędzy zdrową częścią społeczeństwa, obejmującą 95 procent Norwegów, a rodzimymi nazistami. Walka moralnego bojkotu. Spokojny, flegmatyczny Norweg nie znał uczucia zacietrzewionej nienawiści polityczno-narodowej do czasu tej wojny. Teraz nauczył się. Widziałem w Oslo „jössingerów”[1], powolnych i opanowanych, którzy w dyskusji na temat kary śmierci, nie egzystującej w norweskim kodeksie karnym, domagali się natychmiastowego jej wprowadzenia po wojnie i gestykulując gwałtownie, z wypiekami na twarzy, robili projekty, jak to oni po zwycięstwie będą szarpać na strzępy Quislinga i jego ministrów. Widziałem dziewczęta norweskie, które chciały linczować swe koleżanki za flirty z niemieckimi oficerami, bo takich też, mimo wszystko, było sporo.

Trzy lata okupacji postawiły nie znającą od wieków nędzy wojennej Norwegię solidarnie w rzędzie krajów reszty Europy. Brak żywności, mimo ratujących nieco sytuację ryb, brak artykułów najelementarniejszej potrzeby, jak: tytoń, skóra, tekstylia czy opał, przymus pracy, ucisk polityczny, konfiskaty, kontrybucje, ciężar okupacji, zakłamana propaganda – wszystko to pchało do walki. Młodzież szuka rozpaczliwie oparcia, manifestuje na uniwersytecie i ulicach, prze do konspiracji. Powstają pierwsze, nieśmiałe zalążki oporu, Niemcy odpowiadają represjami, obozy koncentracyjne zapełniają się w ogniu walki, organizacje bojowo-polityczne konsolidują się w podziemiu, Anglicy pomagają, zrzucają broń i instruktorów, przysyłają łączników. Po roku norweski Ruch Oporu jest siłą nie do pogardzenia, dysponuje świetnie zorganizowaną siecią komórek, obfitą prasą i bogatym ekwipunkiem. Niedostępność kryjówek górskich jest nieocenioną pomocą w walce. Całe bazy zaopatrzenia i operacyjne mogą kryć się, nieosiągalne dla gestapo i quislingowskiej Statspoliti, w skalistych bezdrożnych fiordach i niezbadanych lasach Alp Skandynawskich. Nadchodzi pierwszy, wielki chrzest bojowy, wysadzenie eksperymentalnej fabryki „ciężkiej wody” w Rjukan, pracującej nad wynalazkiem bomby atomowej. Lecą w powietrze statki, tory kolejowe i mosty. Terkocą serie stenów w zamachach na quislingowskich dygnitarzy na ulicach miast. Wędrują młodzi Norwedzy za

druty Grini z coraz większą wprawą, czując się w politycznym więzieniu, jakby mieli przodków kształconych w Syberyjskiej Katordze.

Jednej linii trzyma się Hjemmefronten konsekwentnie. Nie atakuje bezpośrednio Niemców. Zamachy – tylko na quislingowskich zdrajców. Gdy pytałem o to, dlaczego tak się robi, odpowiedziały mi czynniki najbardziej miarodajne:

– Norwegów jest dwa i pół miliona. Gdybyśmy zaczęli akcję równą w natężeniu polskiej, to licząc się z równymi represjami Niemców, jak w Polsce, naród norweski przestałby istnieć w niespełna rok.

Przyznaję im nawet logiczną rację. Dopalam papierosa i patrzę w smugę dymu, wplecioną w żółty, przytłumiony snop światła spod abażuru. Ale co w takim razie ja mam robić w Oslo, do cholery, skoro tu się nie strzela do Niemców? Przeciągam się leniwie i z przyjemnością. Jest mi dobrze w takim wygodnym, fotelowym nic-nieróbstwie, tym bardziej że niebawem dowiem się, co tu mam do roboty. A wiem na pewno, że nudzić się nie będę.

V

Minęło kilkanaście dni, w czasie których ponudziłem się jednak solidnie. Początkowo czułem się świetnie w mym klubowym fotelu, obok przysłoniętej lampy. Tonąłem w rozkoszach kominkowej samotności, w książkach Anatola France'a i marzeniach w stylu „voyage autour de ma chambre". Po miesiącach przymusowego przebywania z gromadą ludzką w zatłoczonych barakach cisza własnych czterech ścian i samotność działały kojąco. W dni niedzielne włóczyłem się po zaśnieżonych okolicach Oslo, po ucywilizowanych i skalistych stokach Holmenkollen i Frognersaetra, pokrytych przytulnymi, kolorowymi willami w ramach kolorowych opłotków. Polubiłem ten krajobraz znad „dalekiego, cichego fiordu" wraz z jego drewnianymi, pod czerwoną dachówką, akcesoriami.

Moja praca w Alnabru, w wielkich magazynach sprzętu kolejowego i niekolejowego pod Oslo, polegała na 9-godzinnym siedzeniu w biurze

zapasów maszyn elektrycznych tego OT-przedsiębiorstwa. Miałem pod swą opieką kartotekę agregatów, motorów elektrycznych, dynamomaszyn i transformatorów oraz nad sobą szefa – Niemca, technika w randze Bauführera OT, nazwiskiem Mayer, z Hanoweru. Był niski, kaprawy, z wąsikiem a la führer, fanatyczny hitlerowiec, wierzący niezachwianie w zwycięstwo, mimo wojsk radzieckich na Dunaju. Cały dzień ciskał się z pasją po pokoju biurowym, latał pokracznym kroczkiem to tu, to tam, ochrzaniał robotników i krzyczał w najlepszym, hitlerowskim stylu. Mnie się nie czepiał, bo zaraz na wstępie odpowiedziałem mu coś ostro, więc uznał, że zbyt dobrze znam jego język ojczysty, aby nie umieć go rugnąć w razie potrzeby. Po pięciu dniach mojej gospodarki porządnie i skrupulatnie prowadzona dotąd kartoteka, przy sumiennie notowanych wpływach i wydaniach maszyn, wyglądała jak trudna do rozwiązania krzyżówka. Taki sobie niewinny sabotaż dla sportu. Formularze tasowałem co rano jak brydżową talię, agregaty pisałem na blankietach transformatorów, a dynama na kwitach odbiorczych. Mayer, chcąc znaleźć jakiś obiekt, wpadał w białą gorączkę, wrzeszczał, że zawiadomi gestapo, w konsekwencji czego deklarowałem, że jestem z wykształcenia architektem, a lampka elektryczna i agregat to dla mnie jedno i to samo. Zresztą, jak mu się nie podoba, to mogę poprosić wydział personalny o inny przydział. Po takim oświadczeniu Mayer pokorniał, bo o dobrze wyglądających „Kontor-Angestellter" nie było już tak łatwo i lepszy taki jak ja, niż żaden.

Święta minęły przy maleńkim drzewku, puszce norweskich sardynek i kieliszku niemieckiego Steinhägera. Pasterka w nowym, świeżo tynkowanym, pod względem nastroju przypominającym raczej kino, kościele św. Olafa nie pozostawiła żadnych wrażeń specjalnych. Tylko śnieg na Akersgate skrzypiał w nocy tak samo pod nogami jak o kilka równoleżników na południe, na Krakowskim Przedmieściu. Codziennie o szóstej, gdy wracałem do hotelu, witał mnie uprzejmie, lecz bez okazywanego zainteresowania, Kristoffersen. Niezmiennie tak samo, spokojnie, chłodno. Patrzyłem mu na ręce podające mi klucz,

wypatrywałem już od progu, czy nie ma w moim fachu na listy, czy nie ma jakiejś koperty, kartki, znaku. Czyżby o mnie zapomnieli? Może nie wiedzą, że jestem w Oslo? Ale to przecież niemożliwe. Należało czekać karnie i cierpliwie. To była zasada. Żeby nawet nie wiem jak doskwierała bezczynność.

Wreszcie doczekałem się. Pewnego styczniowego wieczoru Kristoffersen podał mi wraz z kluczem zwykłą, białą kopertę. Zaadresowana maszynowym pismem, bez znaczka, widocznie przyniesiona przez posłańca. Maskując podniecenie pojechałem na górę. W pokoju przeczytałem krotki list po niemiecku:

„…dziś wieczór godzina ósma przed apteką Ulvesteda na Stortorget…”

Podpisane *Thomas*

Radość skoczyła mi do gardła. Zgadzało się. „Thomas” był sygnałem wywoławczym dla rejonu Norwegia-Południe-Oslo. Organizacja, dla której zaszczyt miałem spełniać pewne funkcje, pracowała z precyzją i pewnie. Gdy mnie wzywali, znaczyło, że jestem potrzebny, że mają do mnie jakiś interes. Widocznie nie dość było generałowi Eisenhowerowi i marszałkowi Żukowowi odnosić piorunujące sukcesy na obu frontach. Nie dość było dwóch milionów żołnierzy amerykańskich w Europie, kapitulacji Węgier, ofensywy w Ardenach, na Śląsku i w Prusach Wschodnich, zdobycia Mandalay i Krakowa, przystąpienia Turcji do wojny po stronie Aliantów. Do tego morza triumfów w dobrej sprawie potrzebna była jeszcze moja malutka cegiełka do ogólnego dzieła budowy zwycięstwa. I tę cegiełkę gotów byłem dać z siebie z ochotą, *coute que coute*, za wszelką cenę.

Spojrzałem na zegarek, była za piętnaście ósma. Narzuciłem płaszcz deszczowy. Miasto tonęło w odwilży i ciężkiej, wilgotnej mgle.

Na Stortorget było pusto. Pogodnie. Wymarzona pogoda do włamań, morderstw, ucieczek i załatwiania spraw, o których woli się bliźnim nie komunikować. Oparłem się o żelazną barierę, na rogu chodnika przed apteką Ulvesteda. Punkt ósma w mdłym blasku otulonej watą mgły latarni ukazał się szczupły, wysoki kształt w kapeluszu o szerokim rondzie Z twarzą

zasłoniętą wysokim, postawionym kołnierzem „burberry" i rękami w kieszeniach, przeszedł wolno obok mnie. Na wysokości mojej twarzy wyszeptał, ledwo dosłyszalnie, po angielsku:

– Pan jest Sefton Claire?

Skinąłem głową i poszedłem za nim. Trzymałem się o kilka kroków z tyłu, gdyż łatwo go było stracić z oczu we mgle. Wszystko grało we mnie na cześć Przygody. Nareszcie! „Sefton Claire" – to było moje nazwisko w kadrach skandynawskiej siatki. Pod tym, jednym z wielu, zarejestrowany byłem w archiwach głównych niewidzialnych szeregów, w których biłem się o sprawę Wolności. Różnica pomiędzy moim rodzajem broni a innymi była ta, że nie znałem mego towarzysza ani z prawej, ani z lewej strony.

Szerokoskrzydły kapelusz wiódł mnie długo nieznanymi ulicami, w których orientowałem się słabo. Silne i wyraźne buczenie syren okrętowych, nieustanne przy mgle, wskazywało na to, że jesteśmy w dzielnicy portowej. W końcu zatrzymał się przed nikłym światełkiem, dochodzącym z sutereny jakiegoś domu, którego zarysów nie mogłem odróżnić, zszedł kilka stopni w dół i pchnął jakieś drzwi. Buchnęła para, kłęby tytoniowego dymu i duszny odór alkoholu. Weszliśmy do ciasnej, zatłoczonej portowej knajpy. Przy kilku stolikach i wokół brudnego, zalanego piwem szynkwasu gnietli się marynarze rożnych narodowości, pomieszani z niemieckimi żołnierzami i norweskimi prostytutkami. Pod pułapem wisiał nieodzowny model szkunera, grało elektryczne pianino, wszyscy ryczeli, śpiewali *Lili Marleen* w kilku językach, chodzili sobie po nogach, wymachiwali wyciąganymi z kieszeni butelkami, cuchnęli alkoholem i śledziami. Niemcy wyli Norwegom, że wojna się kończy i niebawem wszyscy będą „kamerat". Obecna przy tym grupa Holendrów wrzeszczała, że nigdy „kamerat", tylko Deutschland musi zupełnie „kaput" i wtedy będzie dobrze, a Norwedzy przeklinali Niemców i Holendrów razem.

Mój przewodnik pewnym krokiem przepchnął się przez zator przy szynkwasie i kierował się dalej. Ja za nim. Widziałem, jak stojący za

kontuarem Goliat w białej kurtce kelnerskiej odprowadził go bystrym wzrokiem. Weszliśmy do małego pokoiku, gdzie nie było nikogo. Usiedliśmy przy stoliku, facet naprzeciw mnie ciągle w kapeluszu i z podniesionym kołnierzem. Ja też nie wyglądałem bardziej przystępnie.

– Mam dla pana małą „message" od szefa obszaru Południe, panie Claire – rozpoczęło moje *vis-à-vis*. Mówił po angielsku z wyraźnym cudzoziemskim akcentem. Na pewno Skandynaw, chociaż nie mógłbym powiedzieć, czy Norweg, Szwed albo Duńczyk. – „Boss" wyraża panu uznanie za ostatnią robotę w Trondheim i za urządzenie się w Oslo, po wyjściu z Grini.

Przyznać muszę, że zarumieniłem się pod kołnierzem. „The bosses" nie sypią zbyt hojnie pochwałami.

– Do akcji rozpoznawczej na zachodnim wybrzeżu już pan nie wróci – ciągnął dalej – jest pan przesunięty na inny odcinek i do pracy o innym charakterze.

Szkoda, pomyślałem. Skończyły się wariackie współakcje z komandosami i spadochroniarzami, ochrona tajnych lotnisk i organizowanie punktów przerzutu.

– Pan jest Polakiem, panie Claire, a w Norwegii jest ładne kilka tysięcy Polaków. Skierowany pan będzie przeto do odpowiedniego wydziału Norweskiego Ruchu Oporu jako oficer łącznikowy do spraw polskich. Zadanie: piecza nad elementem i przygotowanie do warunków pokapitulacyjnych.

– A czy nie zrobimy tu małej strzelaniny? Z Polakami łatwo można się dogadać w tej materii.

– To już nie zależy od nas, tylko od Hjemmefronten. Prosili o oficera łącznikowego od nas, więc przydzielamy pana. Ale wątpię w taką możliwość.

– Niepotrzebnie więc zmieniałem narodowość w paszporcie. Może jako Polak siedziałbym lepiej w centrum spraw.

– Właśnie, że zrobił pan doskonale. To konspiruje pana lepiej i pozwoli wydatniej pracować. Teraz niech pan zapamięta adres, pod którym ma się

pan zameldować: adwokat Bjorge Ole-Jensen.

– …ulica Graensen cztery, kancelaria, siódme piętro – dokończyłem z lekkim uśmiechem. Mój interlokutor zrobił gest zdumienia.

– Skąd pan wie?

– Ja też nie próżnowałem. Na własną rękę. Zwłaszcza w Grini – odparłem niedbale.

– *All right*. Nie próżnował pan, i to nawet z sukcesem. Powiem o tym szefowi. Będzie zadowolony. A oto mały zasiłek.

Wręczył mi kilkanaście tysiąckoronowych banknotów, po czym zapłaciliśmy za podane nam piwo i opuścili lokal. Szliśmy przez pewien czas obok siebie, aż na jednym z rogów towarzysz mój podał rękę i rzekł.

– Odtąd jedyny kontakt – Ole-Jensen. My będziemy nad panem czuwali z daleka. W razie potrzeby zjawimy się. Zatem *good-luck and cheeri-o-o*.

Za chwilę rozpłynął się we mgle. Pomyślałem o tym, że nie zobaczyłem jego twarzy i chyba nigdy w życiu nie zobaczę. Ani on mojej. Jeśli kiedyś drogi nasze się skrzyżują, nie rozpoznamy się chyba, a gdyby nawet tak, to nie okażemy tego po sobie. Takie były żelazne prawa instytucji, dla której wspólnie pracowaliśmy i dla której w każdej chwili mogliśmy zginąć. Zwłaszcza w tych pamiętnych czasach bezpardonowej walki we mgle i w ciemnościach.

Nazajutrz rano stałem przed wielkim, nowoczesnym domem przy ul. Graensen 4. Ogromny, wykładany marmurem portal obity był mosiężnymi tabliczkami z nazwami firm, biur i przedsiębiorstw, jak każdy biurowo-handlowy gmach w *city* stolicy Norwegii. Jedna z nich przedstawiała firmę adwokacką Traenum, Ole-Jensen & Co. Na siódmym piętrze otwarłem drzwi długiego korytarza i znalazłem się w dużym, wykładanym drewnianą boazerią kantorze. Młoda, przystojna sekretarka spytała mnie uprzejmie, czego sobie życzę. Odparłem po niemiecku, że życzyłbym sobie ujrzeć adwokata Ole-Jensena. Na dźwięk niemieckich słów błękitnookie, czerwonouste i białozębne, jednym słowem, dziewczę kolorowe jak norweska flaga skrzywiło się niechętnie, spojrzało na mnie nieufnie i znikło

za jednymi z drzwi. Natychmiast też wyszła i poprosiła do środka. Ole-Jensen najwidoczniej oczekiwał mnie.

Duży pokój, o wielkim, nowoczesnym oknie, urządzony był z norweską czystością, norweskim spokojnym luksusem i norweską kulturą wnętrza. Wszystko było ładne, nowe i w dobrym tonie. Wielkie półki pełne książek lśniących pięknie oprawnymi grzbietami, wygodne, wielkie fotele klubowe i obszerne biurko na samodziałowym dywanie. Za biurkiem stał szczupły, wysoki, doskonale ubrany pan o typowo norweskiej, pociągłej twarzy, prosto ciosanych rysach i jasnych oczach. Wyciągnął do mnie mocno kościstą rękę i rzekł po niemiecku.

– Ole-Jensen. Czym mogę służyć?

– Sefton Claire – odwzajemniłem uścisk dłoni, przechodząc od razu na angielski – a jeśli chodzi o usługi, to właśnie ja przyszedłem je zaofiarować.

– Doskonale, że wreszcie pan się zjawił – uśmiechnął się sympatycznie. Podobał mi się. – Czekam na pana. Sygnalizowano mi pana z wielu stron.

– Z Grini też? – spytałem.

– I z Grini. Zresztą jest pan chyba powiadomiony o swoich zadaniach i obowiązkach. Ja chciałem tylko nawiązać z panem osobisty kontakt.

– No to, wobec tego, ja spytam o kilka rzeczy: czy mają panowie jakieś sprecyzowane plany odnośnie Polaków w Norwegii?

– O ile ja wiem, to kierownictwo Hjemmefronten nic jeszcze o tej sprawie nie myślało.

– A czy liczą się panowie z możliwością zbrojnego wykorzystania Polaków w razie jakiegoś spięcia?

Adwokat uśmiechnął się.

– Widzi pan, ja jestem jednym z pionu kierownictwa. Musiałbym dopiero teraz o te rzeczy pytać. Lecz, o ile się orientuję, to te kilka tysięcy Polaków u nas stanowią bardzo niepewny element. Są to robotnicy OT i niektóre raporty naszych komórek z prowincji charakteryzują ich jako ludzi nastawionych proniemiecko. Wiem, że takich jest minimalna ilość, lecz z drugiej strony co lepsi Polacy uciekli już dawno do Szwecji. A zresztą

wiemy, co to są Polacy. Damy im broń do ręki, to narobią niesłychanej awantury, zaczną przed rozkazem, a my spodziewamy się zakończyć wszystko bez walki. Mogą postrzelać także i Norwegów przy okazji. Wiem o indywidualnych wypadkach udziału Polaków w naszych partyzantkach, zwłaszcza na Północy, ale uzbroić rodaków pana masowo, to zbyt dla nas niebezpieczna zabawa.

Nie mogłem mu obiektywnie odmówić racji. Ale przy takim postawieniu sprawy co ja tutaj miałem do roboty. Byłem zły na mojego szefa obszaru, że mnie do nich odkomenderował.

– Więc jak ja się mogę panom przydać?

– Co do pana to Milorg[2] ma jakieś specjalne plany. Proszę czekać na znak przeze mnie. Ja pana zawiadomię.

– O.K. – rzekłem bez entuzjazmu. – Tylko proszę pamiętać: jestem Litwinem, nazywam się Kieńskaus, oto mój adres i telefon. Czekam więc i stoję do dyspozycji.

Pożegnałem Ole-Jensena mocnym shakehandem, a norwesko-narodowo-kolorowe dziewczę w sekretariacie pełnym obietnic spojrzeniem. Wyszedłem wściekły na świat i ludzi, którzy każą żyć spokojnie i czekać. Wiedziałem, co to znaczy „mają w stosunku do pana jakieś specjalne plany". Chodziło po prostu o to, aby mieć pod ręką człowieka orientującego się i odpowiedzialnego za sprawy polskie. Jakaś drobna afera na prowincji z Polakami, przeprowadzanie małych śledztw, inwigilacji, dochodzeń, tłumaczeń językowych. To nie dla mnie. Zbyt nudne.

Na schodach wpadła mi do głowy pewna myśl, która na ulicy przerodziła się w mocne postanowienie. Ja czekać nie będę. Sam skonstruuję jakąś aferę i wciągnę Hjemmefronten i Milorg do roboty. Do polskiej roboty. Zaraz też słońce zaczęło jaśniej błyszczeć, a śnieg jeszcze piękniej się mienić skrzącym, niebieskawym odcieniem. Nie wiedziałem tylko, od czego zacząć. Ale wierzyłem za to w swą szczęśliwą gwiazdę i przypadek.

VI

Obudziło mnie przeciągłe wycie syren alarmowych i natychmiastowa kanonada działek przeciwlotniczych. Gdy skoczyłem do okna, granatowe niebo usiane było różowo-seledynowymi torami pocisków świetlnych. Działka pykały nieustępliwie, mimo że nie słychać było samolotów. Zwykłe minowanie fiordu, pomyślałem, zdarza się co kilka dni. Spuszczą kilka min głębinowych i polecą sobie. Już chciałem wrócić do łóżka, gdy rozległ się kropelkowy pomruk pikującego bombowca, głośna detonacja, gdzieś niedaleko w mieście nagły snop ognia liznął niebo nad czarnym morzem dachów. Na korytarzach hotelu zapanował nagły ruch. Moi niemieccy sąsiedzi uznali widocznie, że nadszedł moment korzystania z przewidzianego w regulaminie Luftschutzraumu i spiesznie ewakuowali się w piżamach na dół. Jeszcze jedna eksplozja, jeszcze jeden pożarowy błysk i wszystko ucichło. Położyłem się na powrót do łóżka i zasnąłem, pełen wewnętrznego, błogiego zadowolenia, jak człowiek, który dopiero co dostał miłą kartkę z powinszowankami od kochanych przyjaciół, nie zapominających o nim.

Nazajutrz rano, gdy schodziłem do pracy, hall hotelowy zatarasowany był plecakami, walizkami i pakunkami oraz gromadką dziewcząt w szarozielonych mundurkach i furażerkach. Nachrichtenhelferinnen, czyli tak zwane Blitzmädel – służba pomocnicza kobiet – telefonistki, maszynistki i tak dalej. Tylko że kolor mundurów tych tutaj był trochę inny, jaśniejszy, policyjny. A więc nie były to dziewczęta z Wehrmachtu, tylko z SS i policyjnego Sonderdienstu. Rodzaj lepszy, fanatyczki z BDM[3], rasowo, politycznie i pod każdym innym względem „nieskazitelne". Wyglądały na wymęczone i zbite, jakby wydostały się dopiero co ze zbombardowanych domów. W trakcie dnia dowiedziałem się, że Anglicy urządzili tej nocy rajd na kompleks budynków kwatery głównej na Victoria Terrace. Niestety, bomby zamiast trafić w główne budynki, zgruzowały i spaliły boczne domy przeznaczone na mieszkania, m.in. całą kwaterę mieszkalną takich właśnie Blitzmädels z SS. Widocznie część z nich została translokowana do hotelu

Ansgar i czekały rano na przydział pokojów, po przejezdnych, jednonocnych hauptmannach i leutenantach.

W kilka dni potem doznałem na hotelowych schodach całkiem miłego szoku. Dotąd widywałem moje nowe sąsiadki i wszystkie klasyfikowałem według aparycji zewnętrznej, znanym, wyścigowym powiedzeniem warszawskim: na błoto, czyli mokry tor. Były ciężkie, niezgrabne, tępe – typowe niemry. Dziewczyna, która właśnie mijała mnie, wyglądała inaczej. Miała okrągłą, miłą, dziecinną twarz, dziecinne, trochę za duże usta, wesołe, piwne oczy, drobną, zgrabną figurkę i poruszała się z wdziękiem. Spod esesmańskiej furażerki spływała ciężka fala wspaniałych kasztanowatych włosów. Obrzuciłem ją tak pełnym zdumionego uznania spojrzeniem, że zarumieniła się z lekka i przyśpieszyła kroku. Zauważyłem jeszcze jej smukłe nogi i rozpocząłem wróżbę z guzików własnego płaszcza, czy to niemieckie zjawisko mieszka w hotelu, czy tylko przyszła w odwiedziny do jakiejś koleżanki.

Mieszkała jednak i to… Ale zaraz, po kolei. Jednego wieczoru, idąc korytarzem na mym piętrze w kierunku własnego pokoju, ujrzałem otwarte drzwi numeru 706. Z wnętrza padała smuga światła nocnej lampki, słychać było dźwięki radia grającego właśnie *J'attendrai*. Lucienne Boyer śpiewała tak ślicznie, że nie mogłem sobie odmówić oparcia się o framugę drzwi i posłuchania znakomitej „divy". Nagle w głębi korytarza, z budki telefonicznej wychodząc, ukazało się moje zjawisko ze schodów. Była w bluzce i rannych pantoflach, pewnym krokiem zmierzała do uchylonych drzwi, obok których stałem, i wszystko wskazywało, że tu właśnie mieszka. Oddzielona jednym tylko numerem od mojego pokoju!… *All right*, takiej okazji nie sposób pominąć.

Zbliżyła się do drzwi, uśmiechnęła. Mnie nie trzeba było nawet takiej zachęty.

– Czy nie ma pani nic przeciwko temu, że w ten oto sposób korzystam z jej radia?

– Ależ proszę bardzo – błysnęła zębami w uśmiechu – jestem gotowa nawet otworzyć szerzej drzwi.

– Ach, co to za przyjemność, radio w pokoju – westchnąłem. – Niestety, nie posiadam go, a tak lubię muzykę.

– Lubi pan Marikę Rokk, jak śpiewa?

– Pasjami, chociaż wolę Ilsę Werner.

– Co to, to nie, ale jest całkiem miła.

– A może tak poszukamy jakichś niemieckich stacji na pani aparacie? Może nadarzy się właśnie Marika Rokk?

Nie należało to do najbezpieczniejszych rzeczy dla cudzoziemca flirtować z esesowską Blitzmädel na korytarzu pełnego Niemców hotelu. Rassenschande i kilka innych hitlerowsko-wojennych paragrafów kodeksu pisanego i niepisanego mogło mieć pod tym względem jakieś zastrzeżenia. Należało raczej wejść do pokoju, co też niebawem uczyniliśmy.

Po półgodzinie majstrowania przy radiu, omijając skrzętnie odgłosy wszelkiego „It's London calling" i czterokrotnego uderzenia w gong, gdy o nic nie pytałem, nawet o imię, natomiast z rozpaczą trzymałem się tematu najnowszych filmów niemieckich, piosenek i aktualnego braku witamin, zaproponowałem:

– Widzi pani, ja mieszkam o jeden pokój dalej, pod 708. Czy nie przyjęłaby pani zaproszenia na szklankę grzanego wina lub na kieliszek cocktailu? Wieczór dopiero się zaczyna.

Spojrzała na zegarek i rzekła:

– Wprawdzie do pracy dzisiaj nie idę, ale czekam na… – zawahała się – …koleżankę. Jeśli nie przyjdzie, to do pana zapukam.

Aha, jakiś lotnik albo marinekapitan ma przyjść, pomyślałem. To nic, zaczekamy.

U siebie wstawiłem butelkę czerwonego wina do gorącej wody i zmieszałem trochę norweskiej akwawity z niemieckim koniakiem, co po dodaniu odrobiny cukru mogło pretendować do miana cocktailu, ale na przyjęciu u Teofila Piecyka na Targówku. Dziewczyna mi się podobała,

wobec czego zmieniłem krawat i umyłem ręce, a poza tym kryła w sobie jeszcze inne możliwości, które niejasno przeczuwałem. Nie ma to jak flirt o posmaku niebezpiecznej przygody… Po czym wyciągnąłem się w fotelu, przyćmiłem światło i się zdrzemnąłem.

Gdy się ocknąłem, była godzina dziesiąta. Ponad dwie godziny kołowałem w przyjemnej, ciepłej Nirwanie. Więc nie przyszła, bo usłyszałbym nawet najcichsze pukanie. Przeszedłem się po korytarzu. Poza jej zamkniętymi drzwiami słyszałem męski głos. Aha, „koleżanka". Wróciłem z powrotem na fotel. Nie upłynęło pięć minut od wzięcia do ręki książki, gdy na korytarzu rozległy się jakieś głosy żegnania, stukot obcasów, a zaraz potem pukanie do mych drzwi. Na progu stała ona.

– Nie mogła pani wcześniej, ze względu na koleżankę. Rozumiem – rzekłem rozgrzeszająco.

– A może to nie była koleżanka? – uśmiechnęła się zalotnie.

– I tak jestem już zazdrosny. Niech pani nie dolewa oliwy do ognia.

Po szklance wina oznajmiła mi, że nazywa się Erni, pochodzi z Kaiserslautern, ma 23 lata i nie cierpi mężczyzn. To były informacje natury ogólnej i niespecjalnie interesujące. Po następnej wyznała, że z wojną nie idzie zbyt dobrze, ale Führer jest genialnym, opatrznościowym mężem i na pewno zrobi Niemcom jakąś wunderwaffe, nadbroń czy inną niespodziankę, która zmiecie wszystkich wrogów z powierzchni ziemi, ocali Niemców i pozwoli wygrać wojnę. W takie tylko zakończenie tej całej afery ona ani na chwilę nie wątpi i nie przestaje wierzyć. To było już ciekawsze. Po czym spytała mnie, czy nie jestem czasem cudzoziemcem, bo aczkolwiek mówię znakomicie po niemiecku, to jednak ona, Erni, ma jakieś złe przeczucie w tej materii. Odparłem, że owszem, jestem Litwinem, któremu jest wszystko jedno, kto wygra wojnę i którego poza kreśleniem i budowaniem domów nic nie interesuje. Na to Erni zmarszczyła swój kształtny nosek, jako prawowierna wyznawczyni Alfreda Rosenberga i mitu rasowego, ale ponieważ będąc obywatelką słonecznej Nadrenii nie wiedziała w ogóle, co to jest Litwa, natomiast doceniała wino, które ze swej strony było ciepłe, dobre

i czerwone, pokój zaś był zamknięty i nikt nie mógł wiedzieć z kim ona dane wino pije – przeto nie czyniła więcej żadnych obiekcji natury narodowej. Po trzeciej szklance spytałem dyskretnie Erni, czy ma dużo pracy i przy czym. Rzekła, że owszem, dużo, nawet bardzo dużo, i to jako telefonistka w centrali biura des Generals Wilhelm Rediess. Bagatela! Generała Waffen SS, szefa gestapo i Sicherheitspolizei na Norwegię! … O to chodziło. Po następnej szklance pocałowałem ją.

Nie cofnęła głowy, lecz nie oddala pocałunku. Rzekła.

– Czy wie pan, że ja mam narzeczonego, a pan jest cudzoziemcem?

O tym nie wiedziałem, nie przypuszczałem jednak, aby wiadomości te mogły wpłynąć na moje postępowanie.

– Czy jest on, to znaczy narzeczony, w Rosji?

– Nie. Właściwie to żeśmy się już rozeszli.

– No więc… – powiedziałem tonem z lekka definitywnym.

Wstała i zabierała się do odejścia. Objąłem ją mocno i zacząłem całować. Nie broniła się. Z czasem jej rozgniecione wargi zaczęły drgać wzajemnością. Szepnąłem:

– Chyba odwiedzisz mnie jeszcze dziś w nocy? Moje drzwi są zawsze otwarte.

– Nonsens – odparła – nie mów głupstw.

Mówiłem coś jeszcze, przekonywałem. Potem uścisnęła mi mocno rękę i poszła. Rozebrałem się i położyłem do łóżka. Wziąłem do ręki książkę i zasnąłem przy zapalonej nocnej lampce.

Zbudziła mnie czyjaś obecność w pokoju, tuż nade mną. Gdy otworzyłem oczy, stała nad mym łóżkiem prosta, smukła, w koronie rozsypanych kasztanowatych włosów, w różowej nocnej koszulce, przez którą przebijała gładka biała skóra. Do drobnych piersi przyciskała mały jasiek, który ze sobą przyniosła.

– Drzwi są już zamknięte na klucz. Posuń się.

Byłem jej głęboko wdzięczny. Nie miałem czasu na zwalczanie oporu ani na to, co Francuzi zowią *faire la cour*. Zgasiłem lampkę i pocałowałem ją.

Oddała wilgotnym, długim, obejmującym zachłannie pocałunkiem.

Po długiej chwili, w ciemnościach, wionęła szeptem:

– Jak tobie jest na imię? Nie dosłyszałam, jak się przedstawiałeś?

– Algirdas.

– Niełądnie. Za długie i niełądne. Będę cię nazywała Peter.

– Ausgezeichnet – odparłem poważnie. Przyszło mi bowiem na myśl, że przecież może się kiedyś przydać taka mimowolna konspiracja.

VII

Właśnie tonąłem w swym fotelu i z rozkoszą wchłaniałem w siebie epikurejską filipikę, z jaką zwracał się ksiądz Hieronim Coignard do ucznia swego, Kubusia Rożenka, w *Gospodzie pod Królową Gęsią Nóżką*, gdy zapukano w me drzwi. Powiedziałem: *Entrez*, jeszcze zanurzony w wykwintną prozę Anatola France'a, drzwi otwarły się i na progu stanął Jakub.

– Rany Boskie! Jakub! – skoczyłem na równe nogi. – Kiedy cię wypuścili?

– O, bracie – Jakub miażdżył mi serdecznie dłoń w swojej łapie – ja już dawno na wolności, ale tyś tak się zamelinował, że cię znaleźć nie można.

Jakub był razem ze mną w Grini. Dziecko Bałut, wybadziany po wszystkich łódzkich rynsztokach, z zawodu był ogrodnikiem, a z zamiłowania złodziejem. Albo raczej odwrotnie – z zawodu złodziejem, bo jak sam się do tego przyznawał, „ciężko było, to i cóż robić", a z zamiłowania ogrodnikiem, kochającym kwiaty i marzącym o skończeniu szkoły ogrodniczej. W Grini uchodził za specjalistę w dziedzinie przyrządzania potraw z jarzynowych odpadków zbieranych pod esesmańską kuchnią i znany był szeroko jako mistrz od pieczenia ciastek z kartoflanych obierek. Teraz stał przede mną ubrany w OT-kurtkę, owijacze i potworne buciory, cała gęba popstrzona cętkami od jakiejś eksplozji, szeroka, o chłopskich, wystających kościach policzkowych, perkatym nosie

i błękitnych oczach, śmiała mu się radością spotkania. W ręku trzymał jakieś zawiniątko, jak chłopi, gdy idą do miasta.

Nalałem dwa kielichy wódy, posadziłem go w moim fotelu.

– Opowiadaj – rzekłem.

– Widzisz – zaczął, łyknąwszy zdrowego haka branntweina – jak wyszedłem z lagru, zapakowali mnie do OT z powrotem. Pojechałem na jakąś budowę, trzydzieści kilometrów od Oslo, szczera wieś i las. Jest nas tam kilkunastu chłopaków, same równe malcy i tak kołujem z dnia na dzień, do kiwania mało, sztamę z chamami-baorami trzymamy, jest co żreć. O, trzymaj, przywiozłem ci coś niecoś, tu w mieście zawsze gorzej.

Rozwinął zawiniątko i wyjął kilkanaście jajek i trochę słoniny. Poczułem się nagle mocno wzruszony.

– Dziękuję, stary – rzekłem.

– O rany, jest co dziękować. Aleś ty się zamelinował. Od miesiąca cię szukam i nic. Tylko, że nasi chłopcy, blacha, wszystko wiedzą. Przyjeżdżałem do Oslo i rozpytywałem, to mówili mi jakieś cwaniaki, co robią na tym Alnabru przy kolei, że jest taki jeden, Litwin nie Litwin, cholera go wie. Powiedzieli, jak wygląda. Zgadza się. Pytam, czy mogą skombinować nazwisko. Po kilku dniach powiadają: Kieńskaus. To ty. Trochę zlitewszczone, ale to ty. Nie ma jak nasze chłopaki. Wszystko wiedzą. Myślę, przyjadę pogadać. Litwin nie Litwin, melinuje się, jego sprawa, widocznie wie, co robi. Zaufanie do ciebie mam. Znam cię z Grini, byłeś równy, a reszta to twoja rzecz.

Poczułem się wzruszony po raz drugi. I jeszcze raz podziękowałem. Zależało mi na takim zaufaniu.

– A dalej to łatwo poszło – ciągnął Jakub – no i znalazłem, i jesteś.

– To powiadaj, co za sprawę masz do mnie? – spytałem.

– Aha, teraz o tym. Wiesz, nasze chłopaki, jak zawsze, nic tylko Szwecja. U nas w okolicy jest kilka obozów OT i spora kupa chłopców. Jedni mówią, że wojna niedługo skończy się, inni, że nie. I chodzą na tę Szwecję. A teraz, rozumiesz, styczeń, najlepsza pora, nie pójdziesz, to już potem gorzej.

Chamy-Norwedzy wszędzie są zablatowani i jakoś odchodzi maza. Tymczasem jakiś tydzień temu ściągnięto nas wszystkich, z całego Oslo i okolic na Kirkegate, na podwórze tam wewnątrz. Zebrali tak coś pod tysiąc chłopa, pościągali nawet z Sarpsborga, Friedrikstad, Drammen i Porsgrun. Patrzym, a tu staje na takim podniesieniu jakiś gość, dobrze ubrany, cywil, za nim dwóch esesmanów, ale takich wyższych oficerów, i ten cywil zaczyna przemawiać po polsku. „Nazywam się adwokat Kowal", powiada, „jestem Polak jak wy i jestem członkiem polskiego rządu, który powstał w Berlinie. Pogodziliśmy się z Hitlerem i Niemcami", tak zalewa, rozumiesz, „bo mamy razem przed sobą bolszewickie niebezpieczeństwo. Żydy i bolszewik! – powiada – rządzą w Warszawie, a my Polacy zakładamy teraz polski legion SS. Zapisujcie się na ochotnika, dostaniecie esesowskie mundury z polskimi odznakami, podwójne racje wódki i papierosów, jak niemiecki żołnierz, i pójdziecie na front bić bolszewików". Chłopaki kikują jeden na drugiego, lipa czy nie lipa. Facet wygląda na szemranego łobuza i nigdy nic nie wiadomo.

Jakub odsapnął i przyjął w siebie haka wódki, objętościowo równego szklance od herbaty. Wiadomo, zdenerwowanie i wysiłek umysłowy. Historia zaczynała mnie mocno interesować i mogła mieć całkiem poważne konsekwencje.

– Ale to nie koniec – ciągnął dalej Jakub. – Wyobraź sobie, wróciliśmy do obozu i dopiero piekło. Jedni krzyczą, że niemiecki kapuś, inni, że ma rację, bo trzeba rżnąć Żydów i bolszewików, i że jeśli to prawda z tym rządem, to cholera wie, co teraz robić i kogo słuchać. Tych z Londynu, tych z Lublina czy tych z Berlina. Tymczasem zebrało się kilku i walą na Szwecję. I co ty na to? Ledwo wyszli, od razu po kilkunastu kilometrach, co się u nas nigdy nie zdarzyło, nakryli ich. Jednego zastrzelili. Uciekał. Trzech urwało się z wsypy, poszli na melinę i skontaktowali się ze mną. Rozmawiałem z nimi, powiadają, że nic, tylko oczywista poruta. Ktoś ich kapował, a nikt inny, tylko ten kapuś w mordę kopany, ten adwokat Kowal. Chodzili do niego rozmaici z chłopców pytać się, to o ten legion, to o wódkę, to

o papierosy, wiesz, jak to nasi chłopcy, i podobierał sobie wśród nich kapusiów, którzy teraz sypią.

Zamyśliłem się głęboko. Sprawa była jasna. Adwokat Kowal to zwykły konfident gestapo, jakiś volksdeutsch i nic więcej. Ale pomysł był dobry. Z Niemcami jest bardzo krucho, tak krucho, że chcą stworzyć polskie legiony SS i przy okazji wzniecają zamęt w cwanych, lecz w gruncie rzeczy ciemnych i niewyrobionych głowach młodych chłopców. Zwłaszcza to pociągnięcie z rządem polskim było nad wyraz udatne. Chłopcy w Norwegii byli odcięci od kraju i pozbawieni wszelkiego politycznego kierownictwa. Nie miał kto za nich myśleć, a sami nie potrafili. Bo też jaki element znajdował się na początku 1945 roku nad fiordami? Do biur firm budowlanych w Warszawie i w Krakowie, pracujących dla norweskiej OT-Einsatzgruppe Viking, zgłaszało się na ochotnika wielu młodych ludzi przez ostatnie dwa lata, traktując Norwegię jako etap w drodze przez Szwecję do Anglii. Całe transporty ledwo schodziły z niemieckich statków i dotknęły stopą norweskiego lądu, waliły od razu na szwedzką granicę. Niektórzy potrafiali do koncentraków, ale większość przechodziła. A w czterdziestym piątym roku pozostali już tylko ci, co albo siedzieli, albo stworzyli sobie jakieś lewe warunki bytu, pracując na niby dla spokoju w OT, a w rzeczywistości kombinując z Norwegami i ucząc ich warszawskiej czarnej giełdy albo najbardziej nieporadni, albo mający kontakty z Norweskim Ruchem Oporu. Przeważnie jednak element młody i niewiele moralnie ani obyczajowo warty. Mimo wszystko byli to jednak Polacy i zakołować ich jakimś „legalnym" rządem polskim w Berlinie było bardzo łatwo. Do tego nie można było dopuścić. Sytuacja taka i działalność Kowala mogły niejednego z tych młodych chłopców unieszczęśliwić na całe życie, przez nieopatrznie i nieświadomie powziętą decyzję. Poza tym współdziałał on z Niemcami na odcinku polskim, demoralizował chłopców krzewiąc szpiclostwo i zagrażał linii przerzutu na Szwecję. Tego nie można było tolerować. Należało coś przedsięwziąć.

– Słuchaj, Jakub – rzekłem powoli – mówiłeś, że jacyś chłopcy chodzili dowiadywać się coś od tego Kowala. Nie wiesz, gdzie on mieszka?

– Tego nie wiem, ale mogę się dowiedzieć.

– To dobrze. Dowiedz się. Aha, jeszcze coś, gdzie są ci trzej, co się uratowali z poruty?

– Melinują się w Oslo. U jednej baby. Takiej Norweżki, co to kombinowała z jednym z nich.

– All right. Czy to pewne chłopaki?

– Równe, powiadam ci, jak kryształ. A na tego sukinsyna, morda jego twarz, Kowala, zagięte jak cholera.

– To fajno. Powiedz im, żeby jutro o trzeciej godzinie jeden z nich zameldował się u mnie tu, w hotelu. Ale już z adresem tego Kowala, rozumiesz. Na mur.

Jakub uśmiechnął się domyślnie.

– Co, chcesz na siłę?

– Nie wiem jeszcze. W każdym razie nie wiem, czy z nimi. Nie chcę tylko, abyś ty tu więcej przychodził. Adres dasz im. Kapujesz, ja jestem na melinie, oni też, to w porządku. Kontakt może być. Ale ty jesteś czysty, wobec tego – z daleka. Zostaw mi swój adres. Jak będę cię potrzebował, dam ci znać.

– W porządku – rzekł Jakub – trzymaj się, bracie.

Ścisnął mi rękę, aż pociemniało mi w oczach, i poszedł. Zacząłem spacerować tam i z powrotem po pokoju, co podobno pomaga w intensywnym myśleniu. Dwie rzeczy wiedziałem na pewno: Kowala trzeba zlikwidować, słusznie czy nie, koniecznie czy nie, zawsze to będzie dobrym uczynkiem. Robotę tę powinni zrobić Norwedzy. Jeśli gość ten mieszka w jednym z wielkich hoteli, zajętych przez gestapo i SS, gdzie cała obsługa jest norweska, szansę powodzenia ma tylko robota z Norwegami. Z naszymi chłopcami nie dam rady. Ale co będzie, jeśli Norwedzy nie zgodzą się? Jak ich do tego zmusić? W tym punkcie urywały się moje

możliwości planowania. W każdym razie jutro będę u Ole-Jensena i pogadamy z Milorgiem. Tymczasem można iść spać.

Nie zdążyłem położyć się, gdy zadzwonił telefon. Telefon? Do mnie? O tej porze? Była już dziesiąta. Podniosłem słuchawkę.

– Hallo?

– Peter – zabrzmiał dźwięczny, kobiecy głos. – Poznajesz mnie?

– Ach, Erni. Dobry wieczór. Co cię skłoniło do tak późnego znaku życia w nocy?

– Nic. Absolutnie nic. Chciałam tylko usłyszeć twój głos. Mam nocną pracę i tęsknię za tobą.

– Jestem szczęśliwy z twej tęsknoty, Erni. Ale… czy ty tak możesz? … Przy twojej pracy? Tak flirtować bez niepokoju…

– Co mi tam praca. Chciałabym być przy tobie teraz. Hallo, uważaj Peter, nie rozłączaj się, ale nic nie mów przez chwilę! Połączę tylko numer z linią główną.

Zamilkłem trzymając słuchawkę przy uchu. Za chwilę rozległ się głos Erni:

– GSH[4], proszę?

Potem męski głos:

– Wydział śledczy, proszę.

Potem znów Erni:

– Łączę – a potem za chwilę do mnie. – Peter? Słyszałeś?

Ja:

– Słyszałem.

– Podoba ci się?

– Nawet bardzo.

I rzeczywiście. Bardzo mi się podobało być włączonym do linii telefonicznej głównej kwatery gestapo w Oslo. Gotów byłem składać małej Erni najgorętsze świadczenia miłosne za takie telefoniczne rozrywki.

– Peter. Tęsknisz za mną?

– Przeogromnie, Erni, kochanie. Ale czuję cię przy sobie. Poprzez druty. To tak, jakbyś była ze mną. Chciałbym jak najdłużej tak z tobą pozostać połączonym…

– Możesz. Choćby całą noc. Mam dyżur do ósmej rano.

Chryste Panie! Wiele rzeczy można dowiedzieć się przez jedną noc! … Na gestapowskim rozdzielniku telefonicznym…

– Erni. W tej chwili układam się, ze słuchawką przy uchu, wygodniej na poduszce, w łóżku. Nie mam sił się z tobą rozłączyć. Niech mi twój głos zastąpi twe pocałunki…

– O, Peter, jaki ty jesteś słodki… Hallo! Uważaj, włączam cię na chwilę do linii głównej. Wzywają mnie do sąsiedniego pokoju, do dalekopisu. Zachowaj się cicho…

I cisza.

Naraz warkot w uchu, jakby dzwonek przy podniesionej słuchawce. A potem głos męski:

– Czy to adiutantura generała Rediessa?

Inny głos męski:

– Tak jest. Kto mówi?

– Tu komenda główna więzienia na Moellergate. W sprawie jutrzejszej egzekucji.

…serce we mnie zamarło. Leżałem bez ruchu, zamieniony w słuch…

– Tak jest. Więc czego chcecie? Dostaliście przecież listę zapotrzebowanych więźniów.

– Owszem. Chciałem tylko spytać, czy będą powzięte jakieś specjalne środki ostrożności na trasie, w trakcie przewożenia więźniów od nas do was, na Victoria Terrace?

– A tam. Jakie znowu środki? Wszystko jest tajne dotąd. Nawet więźniowie nie powinni niczego się spodziewać. Norwedzy dowiedzą się pojutrze z prasy.

– Wobec tego proszę powiadomić pana generała, że jutro o godzinie punkt ósma wieczór wyjedzie od nas, z północnej bramy od Grubbegate,

policyjne auto z pięcioma wyznaczonymi więźniami i przez Karl Johanngate i Stortingsgate pojedzie do was. To na wypadek, gdyby pan generał zadysponował obstawę trasy. *Heil Hitler*.

– Zanotowane. *Heil Hitler*.

Odłożono słuchawki. W gardle czułem piasek. W głowie – szum skłębionych, trudnych do odcyfrowania myśli.

– Peter? Jesteś jeszcze?

– Jestem, Erni. Ale już zasypiam. Nudno było bez ciebie, omal nie zasnąłem. Wiesz co, Erni, pożegnam cię już. Jutro wieczorem wpadnę do ciebie. Dobranoc.

– Dobranoc, Peter. I nie gniewaj się, że się wynudziłeś sam przy aparacie.

– Ja się naprawdę nie gniewam, Erni…

Wolno odłożyłem słuchawkę, tak jak powoli zacząłem sobie uświadamiać, co stało się na przestrzeni ostatnich dziesięciu minut. A stało się wiele. Jestem w tej chwili posiadaczem tajemnicy potężnej wagi i doniosłości. Poza tym trzymam w ręku wielką szansę. I wszystkie nici gry na ogromną skalę, taką, na jaką jeszcze w życiu nie grałem.

Przez całą noc leżałem na wznak z szeroko otwartymi oczami. Wiele godzin upłynęło, zanim myśli, plany i pomysły ułożyły się w głowie, systematycznie i logicznie uporządkowane. Nad ranem dopiero zasnąłem. Lecz zanim zasnąłem, dokładny schemat działania był gotów.

VIII

Świeży, wypoczęty i spokojny wstałem nazajutrz z łóżka. Lubiłem sytuacje jasne i postanowienia zdecydowane. Słońce świeciło poprzez błękitnawą, wilgotną mgłę wiszącą nisko nad miastem, a ja wiedziałem, co miałem robić i co do mnie należało. Z ulicznej budki telefonicznej połączyłem się z Ole-Jensen'em.

– Mam do pana bardzo ważną sprawę. Chciałbym, aby przy naszej rozmowie był ktoś bardzo odpowiedzialny i mogący powziąć doniosłe

decyzje. – Ostatnie słowa akcentowałem ze specjalnym naciskiem.

– *O'key* – zabrzmiała krótka odpowiedź – o dziesiątej u mnie.

Gdy wchodziłem o umówionej godzinie do gabinetu adwokata, przy oknie stał, odwrócony plecami, średniego wzrostu pan w ciemnym garniturze. Odwrócił się, wyciągnął do mnie rękę. Miał mocną, jakby kutą w kamieniu, nieruchomą twarz o przeraźliwie jasnych, bladych oczach. Cała postać, niewysoka, lecz przypominająca kwadratową bryłę, zdradzała napiętą, zwalistą siłę.

– Mr. Sefton Claire – przedstawił mnie Ole-Jensen – Mr. Larsen, szef dystryktu Oslo z ramienia Milorgu.

To dobrze, pomyślałem. Widocznie adwokat przywiązywał dużą wagę do mych słów. Pan, którego przedstawił mi pod nazwiskiem Larsen, odpowiadającemu francuskiemu nazwisku Dupont, gdyż co piąty człowiek nazywa się w Norwegii Larsen, stanowił pozycją swą wystarczający szczebel w hierarchii Hjemmefronten. Szef Organizacji Bojowej na Oslo mógł decydować sam, w pewnych nagłych wypadkach.

– Co pana do mnie sprowadza – zagaił Ole-Jensen, gdy usadowiliśmy się wygodnie w fotelach.

– Sprawy polskie, rzecz jasna – odparłem i opowiedziałem historię akcji Kowala.

– No dobrze – rzekł Jensen, gdy skończyłem. – Ale co to wszystko nas obchodzi?

Zaskoczyło mnie trochę podobne ujęcie, lecz Norwegom należy wiele wybaczać. Myślą nieco flegmatycznie. Wyjaśniłem im przeto, co to mnie obchodzi i w jakim stopniu powinno ich obchodzić.

– Tak – zamyślił się Mr. Larsen opierając wskazujące palce o nos – czego w takim razie żąda pan od nas? Co my mamy zrobić?

– Zlikwidować faceta.

– Wykluczone. My likwidujemy tylko Norwegów. Zdrajców, konfidentów, quislingowców lub norweskich esesmanów. Kowal jest

volksdeutschem, a co za tym idzie, dla nas Niemcem. Tego nie możemy zrobić.

– Poza tym w takiej sprawie musimy odwołać się do Komendy Głównej, która decyduje o zamachach. A to musi potrwać kilka dni – dodał Jensen.

Zaczynała mnie powoli brać cholera. Norweska robota, psiakrew, tak jest, jak się ma z piklingami do czynienia. O kilka gramów ołowiu tyle gadaniny. Ale ja im pokażę…

– Czy wszystkie akcje bojowe muszą być zatwierdzone przez Komendę Główną? – spytałem, oglądając z uwagą własne paznokcie. – Jeśli są wypadki nagłe, które mają się jeszcze dzisiaj rozegrać, a w których musiałby pan improwizować czy nie ma pan na to żadnych możliwości i uprawnień, Mr. Larsen?

– Nie wiem, co pan ma na myśli, lecz nie wyobrażam sobie takiej sytuacji – odparł trochę niecierpliwie.

O tym ze Norwedzy są na ogół pozbawieni wyobraźni, wiedziałem dobrze. Wstałem więc, wziąłem leżącą na biurku gazetę poranną i podałem mu. Na pierwszej stronie wielkim tłustym drukiem widniała wiadomość o wysadzeniu w powietrze przez norweskich sabotażystow, „komunistycznych bandytów", jak podawali Niemcy mostu kolejowego koło Trondhejm.

– I cóż z tego – obruszył się Jensen – wiemy przecież o tym doskonale, ale co to ma wspólnego ze sprawą?

– Ma, moi drodzy panowie – rzekłem powoli, zapalając papierosa. Wstałem z fotela i przechadzałem się wolno po pokoju. – Wiemy o tym doskonale, że akcja sabotażowa w Norwegii wzrosła na przestrzeni ostatniego miesiąca o trzysta procent i osiągnęła rozmiary, skalę i zakres, o którym nam się jeszcze rok temu nie śniło. Niemal codziennie lecą w całym kraju w powietrze fabryki, garaże, warsztaty, tory kolejowe, mosty, ba, nawet całe pociągi ze sprzętem. *Chapeaux bas*, pełne uznanie, panowie, dla grup sabotażowych i *well done*. Robota pierwszorzędna. Odważna, precyzyjna, wartościowa. Ale jest pewien błąd w obliczeniach Komendy

Głównej przy planowaniu akcji sabotażowej. Panowie nie doceniają, a raczej fałszywie oceniają Niemców i ich możliwości. Zwłaszcza w zakresie represji. Ojczyzna panów jeszcze nie poznała pewnych niemieckich metod okupacyjnych, z którymi moja ojczyzna miała pechową okazję zetknąć się już dawno. Jak dotąd rzecz cała rozwijała się w sposób raczej sielankowy. Panowie wysadzali w powietrze obiekty, Niemcy aresztowali podejrzanych i niewinnych, nakładali kontrybucje na okoliczną ludność i zaprowadzali godziny policyjne na kilka dni. Odpowiedzialny za awantury był bowiem nie naród, ale „elementy zbrodniczo-komunistyczne", jak mawia Vidkun Quislmg. I to was ratowało, wy zaś rewanżując się z kolei, nie strzelaliście bezpośrednio do Niemców. Owszem, Niemcy brali spośród was zakładników i ci szli do obozów koncentracyjnych, aby siedzieć tam do końca wojny. To było stosowanie zasady odpowiedzialności zbiorowej, największego barbarzyństwa hitlerowskiego na terenie Norwegii.

Ale są jeszcze inne sposoby stosowania tego wychowawczego systemu w stosunku do krnąbrnych narodów. U nas, w Polsce, ludzie szli do obozów koncentracyjnych prosto z ulicy za to tylko, że byli Polakami. Co zaś robiono z zakładnikami, opowiedzieć by panom mogły najogólniej mury wielu miast polskich, a w szczególności parkany podwarszawskiego letniska o nazwie Wawer.

Zatrzymałem się za biurkiem i oparłem o blat na rozstawionych rękach. Obydwaj Norwegowie słuchali w skupieniu.

– Moi panowie. Zanim nawiązaliście ze mną kontakt, zebraliście za pewne dość odpowiednie referencje o mojej osobie. Wiecie przeto że mówię rzadko, lecz na informacjach moich można polegać. Otóż mogę panom oświadczyć, że jestem w posiadaniu danych, które wskazują na to, iż Niemcy zastosują zasadę zbiorowej odpowiedzialności w odwet za ostatnie udane akcje sabotażowe przez egzekucje zakładników spośród więźniów politycznych, znajdujących się obecnie w ich ręku.

Zerwali się naraz z foteli.

– Skąd pan to wie? – krzyknął Larsen.

Z satysfakcją stwierdziłem podniecenie w jego głosie.

– Skąd wiem, to moja rzecz. Ale wiem. A zwracam panom uwagę, że ludziom z mojego zawodu należy na ogół wierzyć, nie pytając o szczegóły. Poza tym wiem jeszcze, w jaki sposób można by przeszkodzić pierwszej egzekucji.

Norwegom zaświeciły oczy. Widziałem drżenie ręki adwokata Jensena, gdy zapalał papierosa.

– Jak? – zapytał Larsen, nie podnosząc głowy i nie patrząc na mnie.

– Cóż z tego, że powiem, kiedy akcję można skonstruować tylko dziś a pan i tak decydować nie może. Czekać na uchwałę Komendy Głównej – cedziłem słowa wolno – to trochę za długo w takim wypadku.

Byłem przekonany, że Larsen może przedsięwziąć wszystko na własną rękę. Należało go tylko zdopingować, przedstawić korzyści płynące z roboty dla sprawy i dla niego, zapalić do awanturniczości i romantycznego kolorytu całej afery. Tym językiem trudno było mówić z Norwegami, ale trzeba było spróbować.

– W Warszawie miały już miejsce akcje odbijania skazańców – zacząłem. – Rzecz taka stawia Niemców w największym kłopocie, bo nie wiadomo, na kim się mścić. Orientując się z moich danych, tutaj cała sprawa nie wygląda na trudną. Przypuszczam, że przy dobrej reżyserii uda się nawet bez strzelania do Niemców.

Ostatni argument zrobił duży wyłom. Chodzący wielkimi krokami po pokoju Larsen zatrzymał się i nerwowo zgniótł papierosa. Jensen stał odwrócony patrząc nieruchomo przez okno w perspektywę ulicy.

– Czy… to koniecznie musi być dzisiaj? – spytał cicho Larsen.

– Tylko i jedynie – odpowiedziałem bezlitośnie. Widać było, że toczy w sobie walkę. Nie miał zmysłu inicjatywy oficera średniego stopnia i nie wiedział wprost, jak postąpić. Milorg był systematycznie, po norwesku, powiązany w swych poszczególnych członach. Zresztą Norwegowie nigdy nie grzeszyli rzutkością ani nerwem improwizacji, toteż system pracy Milorgu był doskonale przystosowany do ich narodowego charakteru. Lecz

tu był wypadek wyjątkowy, należało z miejsca coś postanowić i Larsen przeczuwał to dobrze.

– Żeby chociaż szef był w Oslo – rzekł zaciągając się głęboko dymem. Miał na myśli naczelnego komendanta Milorgu.

Jensen odwrócił się od okna. Oczy miał jasne i czoło zmarszczone.

– Wiesz co, Larsen, wprawdzie ja tu nie mam nic do powiedzenia, lecz moim zdaniem należałoby zaufać panu Claire i iść z nim. To jest człowiek, który jednak zna się na rzeczy i ma swój odpowiedni staż.

Spuściłem skromnie wzrok, Larsen zaś spojrzał na mnie przeciągle i zatarł ręce, aż zachrzęściło w stawach. Po czym rzekł:

– *All right*. Spróbujemy. Niech pan mówi, co trzeba robić?

– O, jeszcze nie – odparłem bawiąc się nożem do rozcinania papieru – jest jeszcze jedna kwestia do uregulowania, a mianowicie sprawa adwokata Kowala.

Norwedzy jak na komendę zrobili ruch zniecierpliwienia.

– Tego nie możemy zrobić. W żaden sposób. Zresztą dla nas to nieważne. To jest wewnętrzna polska sprawa – zaoponował „Larsen" podrażnionym głosem.

– Może dla panów. Dla mnie to jest tak samo ważne jak odbicie norweskich skazańców – rzekłem zimno. – Nie chcę mieć niepotrzebnych komplikacji po kapitulacji, kiedy będę musiał sądzić otumanionych przez zbrodniczą jednostkę chłopców. Ja jestem tutaj pewną egzekutywą i działam w imieniu polskiego interesu narodowego. Do mnie należy opieka nad wszystkim, co polskie, ja mam przeciwdziałać wrogim wpływom. Panowie sami domagali się polskiego oficera łącznikowego. Ja spełniam jego funkcje, a to, czego się w tej chwili domagam, leży właśnie w jego kompetencjach. Zresztą, co tu dużo mówić, albo dostaję pomoc w sprawie Kowala, albo panowie pozwolą, że ogłoszę swoje kompletne *desinteressement* w ich sprawie.

Poczynał mi już brzydnąć ten targ o rzeczy, które powinno się raczej było ofiarowywać rycerskim gestem. Nie, stanowczo nie nadawałem się do

podobnych pertraktacji. Wolałbym stokroć przyprowadzić Norwegom ich odbitych zakładników i rzec: „macie ich, o tak załatwiamy te sprawy my…”. Byłem zniechęcony, nagle przyszli mi do głowy trzej koledzy Jakuba. Gdybym tak im zaproponował, w ich obecnej sytuacji, załatwienie Kowala na pewno by nie odmówili.

Norwedzy byli z kolei zaskoczeni moim postawieniem sprawy. Nie wiedzieli wprost, jak się znaleźć. Zrobiło mi się trochę głupio. Ostatecznie nie mam prawa do żadnych targów. Nie chcą pomóc, to czort z nimi; moim obowiązkiem jest poinformować ich o translokacji więźniów.

– Są zasady, od których nie możemy odstąpić. Natomiast udzielenie nam informacji zależy tylko od pana dobrej woli i my możemy być tylko panu wdzięczni za pomoc – powiedział niepewnie Jensen.

– Wdzięczność jest dla mnie mało istotną formą zapłaty – odparłem z chłodną wyższością. Wszystko rosło we mnie uczuciem hojnego gestu, z jakim Kozietulski wieść musiał kiedyś swych szwoleżerów na działa hiszpańskiego wąwozu. Przypomnę Norwegom Narwik, pomyślałem. – Panowie, zamiast wdzięczności, dadzą mi auto i broń na trzech ludzi. Sprawę Kowala załatwię sam przy pomocy moich chłopców. Poza tym dopomożemy panom odbić więźniów. Panowie nie mają doświadczenia w tej materii, a my, ludzie z Warszawy, lepiej się na tym znamy.

Norwedzy przylepili zdumione i trochę obrażone spojrzenie do mego ironicznego uśmiechu. „Moi chłopcy” byli dla nich rewelacją. Dla mnie też. Wcale nie byłem pewny, czy ich będę miał. Tymczasem jednak należało grać *a banque*.

– I jeszcze jedno. Ogólne kierownictwo akcji zastrzegam sobie osobiście. Powstają tym samym dwie akcje sprzężone: likwidacja Kowala i odbicie więźniów. W obydwu biorę bezpośredni udział, pozwolą tedy panowie, że nimi pokieruję.

Mówiłem wolno i dobitnie. Z każdego mego słowa biła pewność siebie. Larsen spojrzał mi prosto w oczy, po czym spuścił wzrok i rzekł:

– *All right*. Zgadzam się.

– Zatem dziś o szóstej czekam u mnie w hotelu na auto z norweskim szoferem, cztery rewolwery z zapasowymi magazynami i jeden sten. Szofer ma czekać na dole, na ulicy, z zapaloną tylko prawą latarnia. Może być poinformowany o moim nazwisku. Sam do niego zejdę i powiem mu, co ma robić

– Załatwione – zakończył Larsen.

Po czym siedliśmy wokół niskiego stolika nad mapą miasta i opracowaliśmy dokładny plan działania na najbliższe dwanaście godzin.

IX

O tym, że najdokładniej zbudowane plany, opracowane do ostatnich szczegółów, zawodzą czasami, wiedziałem od dawna. Złośliwy, nieobliczalny duszek, zwany przypadkiem, zbiegiem okoliczności, zarządzeniem losu, fatum czy mojrą, krzyżuje najmisterniejsze kombinacje. Akcję, planowaną przez nas, miał poprowadzić Mr. Sefton Claire. Architekt Algirdas Kienskaus, Litwin, mieszkający w hotelu Ansgar i pracujący w OT, nie miał i nie mógł mieć z nią nic wspólnego. Tymczasem sprawy pogmatwały się nieco, ale nie uprzedzajmy wypadków.

O godzinie trzeciej zapukał ktoś do mych drzwi. Do pokoju wszedł młody chłopak, ubrany w długi, wojskowy płaszcz serbskiej czy belgijskiej armii i norweskie spodnie narciarskie. Miał chudą, trochę bezczelną twarz i piwne, sprytne oczy. Nie wyglądał na więcej niż dwadzieścia lat.

Z miejsca powiedział, że przychodzi od Jakuba. Zacząłem zaraz mówić szybko, nie dając mu dojść do słowa. Powiedziałem, żeby się nie przedstawiał, bo nie chcę znać jego nazwiska. Trochę się przeląkł tego konspiracyjnego początku, stanął prawie że na baczność i zaczął sprężyście wyrzucać z siebie „tak” albo „nie” na moje pytania. Adres Kowala miał.Tak jak się domyślałem, mieszkał drań w Grand Hotelu, największym z hoteli w Oslo, położonym w centralnym i najruchliwszym punkcie miasta. Tam też przyjmował chłopców. Potem najnormalniejszym w świecie tonem, jakby

chodziło o partię „oczka", spytałem go, czy poszedłby ze mną sprzątnąć faceta. Ostatecznie propozycje takie nie należą do codziennych i można spokojnie zdębieć, narobić krzyku, uznać proponującego za wariata lub zasypać go, biorąc przy tym prowizję od gestapo. Zwłaszcza jeśli proponuje człowiek, poznany przed dziesięciu minutami. Serce biło mi trochę mocniej, gdy widziałem mieniącego się na twarzy chłopca, bladego i purpurowego na przemian, z zaschniętymi wargami i zbaraniałym wzrokiem. Ryzykowałem wiele, ale nie było innej rady. Gdyby mi odmówił, musiałbym zrobić całą rzecz sam, a nie należała ona bynajmniej do najłatwiejszych. W końcu referencje Jakuba wzięły jednak górę. Mój gość zaczerpnął szeroko oddech, odgarnął z czoła kosmyk jasnych włosów i oświadczył nieco chaotycznie, że jest Polakiem, Jakuba zna i ma do niego zaufanie, należał do AK w Warszawie i żeby mu tylko dać gnata do ręki, to by już temu sukinsynowi Kowalowi pokazał. Na koniec dodał, że koleżkowie, którzy właśnie na niego czekają w pobliskiej kafejce, też są „równe" i wcale by nie byli od tego, żeby się z nami zabrać. Spodobała mi się bardzo ta dbałość o przyjaciół i ucieszyłem się niezmiernie. Ale rozmówca mój zasępił się nagle i spytał.

– A co potem z nami będzie?

– O to proszę się nie martwić. Pryśniecie we trojkę do Szwecji. A jak ja was pchnę, to taką drogą, że nikt was nie nakryje. Aha – spytałem jeszcze – czy jest wśród was jakiś szofer?

– Jest. I to jaki jeszcze. Warszawski.

Po czym poszliśmy we dwójkę do wspomnianej kafejki. Mieściła się ona przy Storgata, była brudna, goła, o kilku małych stolikach i malowanym na czerwono kontuarze, na którym stało kilka ciastek z ryb, sam widok których mógłby przyprawić najstarszego pracownika prosektorium o ciężkie mdłości. Zbierali się tutaj norwescy kombinatorzy, cudzoziemscy robotnicy z OT i niemieccy marynarze. Wódkę przynoszono ze sobą, a kelner, w kurtce koloru tęczowych plam, za drobną opłatą dawał szklanki. Przybyliśmy w samą porę, gdyż jeden z dwóch kolegów mojego towarzysza, wysoki, krzepki brunet z wełnistą czupryną, z lekko ospowatą twarzą

i wesołymi, jasnymi oczyma odtłukł właśnie zręcznie połowę trzymanej za szyjkę butelki o blat stolika i przeprosiwszy grzecznie siedzącą przy nim damę zamierzał pozostałą część wpakować w mordę jakiemuś pyskującemu niezrozumiale Norwegowi. Usiadłem przy wolnym stoliku i czekałem, co z tego wyniknie. Tymczasem Norwega odciągnęli rodacy, klarując mu, żeby nie zaczynał z Polakami, bo może się paskudnie naciąć, mój zaś towarzysz posadził siłą owego wytwornego bruneta, który ubrany był, jak i trzeci spośród nich, w kurtkę OT i piękną, narciarską czapkę, przefarbowaną z zielonkawego nakrycia głowy niemieckich strzelców górskich. W chwilę potem pucołowata i rzepiasta, norweska panienka „do wszystkiego", która siedziała przy ich stoliku, wstała i oddaliła się z obrażoną miną. Widocznie powiedzieli jej, żeby poszła sobie won, bo mają ważniejsze sprawy do obgadania. Rozprawiali więc w sposób ożywiony, pochyleni ciasno nad stolikiem. Mój niedawny gość referował widocznie sprawę, bronił jej, oni zaś wyłuszczali swe zastrzeżenia. Byłem teraz pewny swojego. Pomogą, raz ze względu na porachunki z Kowalem, po drugie, bo wierzą Jakubowi co do moich możliwości. Przyrzekłem im przecież bezbolesną jazdę do Szwecji, a takich okazji nie odrzucają ludzie w ich sytuacji.

Po czym „chłopaki, równe jak kryształ", podeszli wolno, charakterystycznie rozstawionym, szerokim krokiem do mojego stolika. Wczuwali się już w swoją rolę i chcieli wypaść z fasonem, jak w kowbojskim filmie. Obrzucili mnie cwanym, trochę bezczelnym spojrzeniem i ten wysoki, w czapce gebirgsjäger, zsuniętej na tył głowy, wyciągnął do mnie rękę. Podałem mu swoją siedząc.

– Który z was jest szoferem? – spytałem bez żadnych wstępów. Trzeba było z miejsca narzucić dystans i pokazać, kto tu decyduje.

– Ja – powiedział trzeci z nich.

Był niski, krępy, szeroki w ramionach. Miał spokojne, czarne oczy i zadarty nos. Podobał mi się, na oko.

– Zastawiał pan kiedyś autem?

Spojrzał na mnie niemal tkliwie. Znałem jego język. W jego oczach byłem już „równy".

– O rany – westchnął – i to jak. Na szosach, ciężarówką. W czterdziestym trzecim, w Kieleckiem. Dla organizacji i na własny szczot. Ale zawsze Niemców albo volksdeutschów.

– To dobrze. Dzisiaj będziemy zastawiali. Tu, w Oslo na ulicy. Da pan radę?

– Co mam nie dać. Zrobimy.

– *All right*. Uważajcie panowie. Ponieważ będę się musiał niejednokrotnie do was zwracać z poleceniami przez dzisiejszy wieczór, a nazwisk waszych ani imion znać nie chcę, więc umawiamy się: do pana – wskazałem na szofera – będę mówił po prostu Szofer, pana – wytknąłem palcem wysokiego bruneta – nazwiemy Długi. Będzie wygodniej. A pana, Młodziak, bo nie wygląda pan jeszcze na pełnoletniego – zakończyłem na swym pierwszym gościu.

– Klawo – błysnął zębami w uśmiechu brunet – a my do pana: Szefie. Tak podchodząco.

Było już dobrze po piątej. Zabrałem całą bojówkę ze sobą i poszedłem do hotelu. Tuż obok Ansgaru była mała, zawsze pusta kafejka. Mieli w niej zaczekać.

U siebie spakowałem rzeczy, tak na wszelki wypadek. Nie wierzyłem, aby akcja ta miała mnie zdekonspirować, ale nigdy nic nie wiadomo. Wszystko zostawiłem w pokoju. Rzeczy najważniejsze, jak Nowy Testament od Mildnera i temu podobne, włożyłem do małej, podręcznej walizeczki. Chwilę wahałem się, czy wziąć ją ze sobą, w końcu jednak machnąłem ręką. Gdyby co, to zdążę wrócić po nią, a tam może zawadzać lub mogę zgubić. Po czym włożyłem na lewą stronę piersi moją ulubioną kaburę, z którą, choć pustą, nigdy się nie rozstawałem, na nogi wdziałem grube, sportowe półbuty na gumowej, cichej podeszwie, na siebie zaś wygodne, nieprzemakalne „burberry" i stary kapelusz. Gdy schodziłem, w loży portierskiej stał

Kristoffersen i pozdrowił mnie zwykłym, uprzejmym „dobry wieczór". Minąwszy lożę czułem jego wzrok na swych plecach.

Punkt szósta zatrzymał się naprzeciw wejścia do hotelu, po drugiej stronie ulicy, duży, pięcioosobowy ford. Miał zapaloną tylko prawą latarnię. Zajrzałem do szofera, trudno rozeznać było twarz pod nastawionym kołnierzem. Spytałem kilka słów po niemiecku. Odpowiedział mi w umówiony sposób. Zgadzało się. Powiedziałem mu, że sam poprowadzę, a jego nie potrzebuję. Bez wahania wysiadł z wozu.

– Broń – rzekł – leży na tylnym siedzeniu.

– Poza tym wszystko O.K.?

– *O'key* – odparł, przyłożył dwa palce do ronda kapelusza i oddalił się. Poszedłem po chłopców do kafejki. Wydawali się podnieceni i jakbym czuł od nich alkohol. Nic przecież nie mogli załatwić w tak krótkim czasie, a w norweskich kafejkach nie było wódki. Chyba że mieli przy sobie. Ale szli karnie i spokojni, wobec tego wódka była ich sprawą i nic mnie nie obchodziła.

Ruch, jakim Szofer przekręcił kluczyk i ujął kierownicę, przekonał mnie, że facet zna się na rzeczy. Z nie mniejszym znawstwem badali broń. Były cztery rewolwery, osiem magazynków i jeden sten. Za stena złapał się z miejsca Długi.

– Jak byłem na robocie w Wilanowie, to dali mi z AK takiego stena – rzekł poważnie. – Tylko na tę jedną robotę. Szedłem w obstawie.

Wziąłem sobie nowiutkiego, czarno oksydowanego Smith-Wessona, dziewiątkę, i wsunąłem na piersi. Zrobiło mi się trochę rzewnie. Wojenko, wojenko…

Okrężną drogą, aby wczuć się w maszynę, Szofer podjechał pod Grand Hotel. Zaparkował na Rosenkrantzgate, tuż za rogiem, na prawo od frontowego wejścia. Spojrzałem na zegarek. Mieliśmy godzinę. Była szósta trzydzieści.

– Szofer zostaje w aucie. Ja idę pierwszy na górę. Za pięć minut wchodzi do hotelu Długi. Pyta się o adwokata Kowala i wchodzi na górę pukając do

pokoju. Za następne pięć – Młodziak. Portier wpuści was bez trudu. Jest na pewno przyzwyczajony, że tak ubrani panowie odwiedzą tego sukinsyna. Na górze nic nie mówić. Ja mówię. A jak mi który strzeli przypadkiem bez rozkazu, to ja się z nim potem obliczę! To nie zabawa, a wojna. Więc szczęść Boże i bez strachu…

Wszedłem do jasnego, wytwornego hallu.

– Czy adwokat Kowal jest u siebie? – spytałem nieskazitelną niemczyzną wygalowanego portiera. Otaksował mnie wzrokiem. Mówiłem pewnym głosem i widocznie wyglądałem w sposób budzący co najmniej szacunek. Skłonił się lekko i spojrzał na przegródki. Nie było klucza.

– Owszem. Pokój nr 280. Drugie piętro. Tu jest winda – rzekł uprzejmie wskazując drogę.

– Dziękuję. Pójdę schodami.

Pokój nr 280 znajdował się na końcu zacisznego, obszernego, pokrytego miękkim chodnikiem korytarza.

W biało lakierowanych drzwiach tkwił klucz. Zapukałem cicho. Nikt nie odpowiadał. Otworzyłem bezszelestnie pierwsze drzwi i zapukałem w drugie.

– *Herein*.

Wszedłem. W pokoju było pusto. Spoza kotary, oddzielającej wnękę łazienki, dochodził plusk wody. Za chwilę kotara odchyliła się i stanął przede mną niewysoki, gruby, tęgo zbudowany człowiek. Był w samej koszuli, spodniach i rannych pantoflach. Szelki zwisały niedopięte po bokach. Miał rumianą, dobrze odżywioną twarz ze śladami po świeżym goleniu i małe, świdrujące, jasne oczka. Niesympatycznie uderzał w tej twarzy duży, zadarty nos z wielkimi dziurkami, podobny do świńskiego ryja, i krótko, po prusacku ścięta, sterczęca blond szczecina. Wyglądał jak małomiasteczkowy rzeźnik i nie pasował do wykwintnego wnętrza pokoju.

– Czym mogę służyc? – spytał grzecznie po niemiecku.

Nie wyglądałem z ubioru na Polaka w Norwegii.

– Adwokat Kowal, nieprawda? – rzekłem w tym samym języku. – Nazywam się Leclerc i jestem Belgiem. Poinformowano mnie na Victoria Terrace – spojrzałem na niego znacząco. Uśmiechnął się ze zrozumieniem – że mógłby mi pan udzielić pewnych informacji w sprawach polskich, które mnie interesują.

– Proszę bardzo – rzekł przymilnie – niech pan siada. Pan jest Belgiem. W pana ojczyźnie już się biją. Biedny Leon Degrelle! Jeśli przychodzi pan z Victoria Terrace, to wszystko jest już w porządku.

Rozległo się pukanie.

– Znów jakiś gość – szczerzył zęby Kowal. – Wejść – zawołał.

Na progu stanął Długi. Fizycznie prawie czułem kształt stena pod jego OT-płaszczem

– A pan, czego? – zwrócił się Kowal do Długiego.

– Zaraz – przerwałem siadając na poręczy fotela – niech pan najprzód mnie załatwi. Nie mam czasu. Czy zechce pan odpowiedzieć na moje pytania? – włożyłem z powrotem zdjęty kapelusz na głowę. Długi stał milcząc. Na twarzy Kowala przemknął się jakby niepokój. Wyczuł pewien specyficzny ton w moim głosie, geście i atmosferze pokoju.

– Co mam panu powiedzieć? – rzekł odwracając się szybko do mnie.

– Dlaczego robi pan świńską robotę dla Niemców i działa na niekorzyść polskich interesów – rzekłem wolno i dobitnie po polsku, patrząc mu prosto w oczy. Jego oczy zwęziły się nagle i kłuły mnie jak ślepia złego, rozżartego psa. Po twarzy przebiegł brzydki skurcz.

– Zwariował pan! – warknął – tu jest Oslo, nie Warszawa, a na całym korytarzu mieszkają oficerowie gestapo.

Do drzwi zapukano po raz trzeci.

– Wejść! – powiedziałem po polsku. Wszedł Młodziak, blady jak ściana. Długi wyglądał pierwszorzędnie patrząc spode łba na całą scenę i nie spuszczając wzroku z Kowala.

– Niech pan odpowiada na pytania – rzekłem zimno. – I będzie uprzejmy. Bo można, przedtem jeszcze, dostać w mordę. Jest pan Polakiem,

volksdeutschem czy Niemcem?

– Niemcem – odparł.

Myślał, że mnie to odstraszy. Na słowo „przedtem" wyraźnie pobladł.

– Ale byłym obywatelem polskim?

– Panie! Pan ciężko za to zapłaci – stał na miejscu, bez ruchu, na rozkraczonych ciężko nogach. Nie próbował niczego, czuł się sterroryzowanym, mimo że trzymaliśmy tylko ręce w kieszeniach.

– Czy pan wie, czym to grozi, co pan tutaj wyrabia? – cisnąłem.

Nic nie odpowiedział. Instynktownie wyczułem napięcie jego mięśni, jakby sprężonych do czegoś nagłego. Wyjąłem rewolwer spod pachy. Młodziak i Długi dobyli swoich. Sten został pod płaszczem, zawieszony najlepszą, warszawską modą.

– Dosyć tej zabawy – rzekłem – siadaj pan, panie K-o-w-a-l – wskazałem mu fotel.

Na widok gnatów zrobił się potulny i zaczął trzeć czoło, jak nieprzytomny.

– Młodziak, pilnuj go. Jakby się ruszył, to wal jak w bęben i nie bój nic.

Jednym pociągnięciem zerwałem długi, gruby i mocny sznur z kordonków od portiery oddzielającej łazienkę. Wtedy rozległ się zduszony krzyk. To Kowal usiłował alarmować. Stojący nad nim Długi błyskawicznym ruchem zarzucił mu wiszącą obok na krześle własną marynarkę i rąbnął z całych sił kolbą rewolweru w łeb. Słychać było tylko głuche charkotanie spod szarego szewiotu. Młodziak nikł w oczach. Osiemnaście lat, cholera, pomyślałem, i żeby nie było z nim kłopotu. Rzuciłem mu.

– Młody! Wracaj do auta i niech Szofer zapuszcza. Zaraz pryskamy.

Wyleciał jak z procy. Widocznie było mu słabo. Długi spojrzał na mnie z uznaniem. Splotłem pętlę i podstawiłem krzesło pod wewnętrzne, górne okno od łazienkowej wnęki. Uderzeniem kolby wybiłem szybę i przerzuciłem sznur przez framugę. Wspólnie przytaszczyliśmy nieprzytomnego Kowala pod zwisający sznur. Miał rozwaloną od uderzenia głowę, krew rozmazywała mu się na kredowej, ściętej ohydnym grymasem

twarzy. Skomlał coś cicho, jak w transie. Długi zawiesił się rękami na sznurze. Mocny. Po czym spojrzał na mnie. Miał złe, piekielnie jasne, rozświetlone okrucieństwem źrenice i stężałą, bladą twarz.

– Ja – rzekł – ja chcę. Za Janka Staniaka, co go zastrzelili przy tej ostatniej wsypie. Mój kolega, przez tego skurwysyna, w mordę.

Nie rzekłem nic. Długi umocował Kowalowi pętlę na szyi. Silny musiał być ten Długi, nielicho. Sam podźwignął bezwładny korpus, przytrzymał chwilę i kopnął krzesło. Ciało Kowala zawisło. Po chwili można było stwierdzić zgon.

Długi otarł pot z czoła. Usiadł i wypalił papierosa. Popatrzyliśmy na siebie jak starzy przyjaciele, których bardzo wiele łączy.

– Doprowadź się do porządku i schowaj komin. Idziemy.

Zrobił, jak kazałem.

Gdy już miałem nacisnąć klamkę, zawołał.

– Zaraz. Bobym zapomniał.

Doskoczył do biurka i szybko namazał „kotwicę" na kartce papieru. Po czym wsadził Kowalowi kartkę za otwartą koszulę. Ścisnęło mnie w gardle. Wyrok Polski Podziemnej wykonany w stolicy Norwegii.

Wyszliśmy razem. Ledwo przymknąłem zewnętrzne drzwi od korytarza, serce skoczyło mi w górę. Jezus, Maria! Naprzeciw mnie zbliżał się wyścielanym chodnikiem herr oberbaufϋhrer Leipke z wydziału personalnego. Już na kilka kroków przede mną uśmiechał się swym fałszywie-grymaśnym uśmieszkiem. Cała tłusta, gładka morda promieniała radością, niby to ze spotkania ze mną.

– Witam, panie Kienskaus. *Guten Abend*. Jak panu idzie praca? Widzę, że opuścił pan przed chwilą adwokata Kowala.

Widział. I musiał widzieć, że jestem blady i zdenerwowany. Nie było co się namyślać. Długi był o krok przede mną. Szybko wyjąłem rewolwer i szepnąłem, drżącymi z pasji wargami.

– Jeśli pan piśnie słowo lub wykona jeden niełady ruch, zastrzelę pana jak psa.

Niemy przestrach zamigotał w oczach Niemca. Z wrażenia zapomniał o swym ciągle przylepionym uśmiechu. Dygotał widocznie, ale nie przestawał się uśmiechać. Obok była toaleta. Wepchnąłem go. Za mną wszedł Długi. Przez chwilę byłem bezradny, nie wiedziałem co począć. Do nieprzewidzianego mordu nie miał żaden z nas sił. Strzelać nie mogliśmy, nerwy nasze zaś nadszarpnięte były zbyt mocno reakcją na poprzednią scenę. Z drugiej strony Leipke był czynnikiem groźnym i nieprzewidzianym. Nie zawalał całego planu, lecz odcinał mi drogę do hotelu Ansgar, gdzie leżały jeszcze ważne rzeczy. Gorący pot oblał mnie na myśl o zostawionych nieopatrznie papierach, po które trzeba było wracać. Dlaczego nie wziąłem ich ze sobą?

Ale trzeba było działać, sekundy płynęły. Zerwałem Leipkemu szalik z szyi i zakneblowałem mu pysk. Długi przystawił mu lufę rewolweru do krzyża. Wyjrzałem na korytarz. Był pusty. Szybko przepchnęliśmy Niemca do pokoju Kowala. Na widok kołyszącego się ciała Leipkemu wyszły oczy z orbit. Trząsł się jak w febrze. Kilku błyskawicznymi ruchami, ręcznikami i krawatami Kowala zrobiliśmy z niego tłumok, który Długi jednym kopnięciem wrzucił pod łóżko. Wyszliśmy. Drzwi zamknąłem starannie na klucz, który schowałem do kieszeni.

Przechodząc opanowanym krokiem obok loży portierskiej, byliśmy już obydwaj na poziomie.

– *O'key*, szefie – syknął Długi – przyjemnie się razem pracuje.

Byłem dumny z tych słów. Chłopiec zaczynał mi się nieprzeciętnie podobać.

Ledwie wyszliśmy z portalu Grand Hotelu, od razu skoczyliśmy biegiem za róg. Jednym susem znalazłem się w aucie. Motor „na chodzie". Młody doszedł do siebie, chociaż widać było na nim niepokój z naszego spóźnienia i odbijało mu się co chwila. Szofer spokojnie, jak w Alejach, wyprysnął w Rosenkrantzgate. Ten był pewny. Czekałby jeszcze z godzinę, gdyby było trzeba.

Zegarek wskazywał siódmą czterdzieści sześć. Szesnaście minut spóźnienia. Larsen niepokoi się na pewno. Ale zdążymy.

– Wal przez Torget. Wiesz, gdzie to – pochyliłem się nad Szoferem. – Będziemy zastawiać razem z Norwegami auto więzienne, które o ósmej wyjedzie z ula na Moelleigate. Znasz te zielone klatki policyjne, Szofer, nieprawda? Staniemy przy Grubbegate, pokażę ci zaraz tę uliczkę. Na zgaszonych światłach. O jakieś dwieście metrów od tylnej bramy więziennej. Jak staniesz z prawej strony ulicy maską do więzienia, to będziesz miał po lewej wylot Apotekergate, kapujesz. Gdy wyjedzie karetka, skręcisz i zagrodzisz jej drogę. Długość naszego forda to szerokość całej jezdni na Grubbegate. Przed sobą będziesz miał wtedy tę Apotekergate. Postoisz dwie minuty, w czasie których oni też muszą stać. Skulisz się przy kierownicy, bo mogą z miejsca strzelać. Wtedy my zaczniemy zastawę. My wyłuskamy więźniów. Naokoło mamy norweską obstawę, bardzo mocną. Gdy tylko więźniowie wyskoczą, nic już nas nie obchodzi. Norweskie auta stoją wszędzie rozstawione i oni sami połapią swych ludzi. Młody, zostaniesz w aucie i nie spuścisz z oka szoferki Niemców. Długi, jesteś zdolny chłopak. Masz wyjąć tego esesmana, co siedzi z tyłu, jest zamknięty z obydwu stron i ma klucze od więźniów i od zewnętrznych drzwiczek. To trudna robota, ale będziesz miał obok siebie Norwegów z acetylenem. Będziecie pruć. Ja i Norwedzy zajmiemy się szoferką. Jak się skończy, Szofer, walisz w Apotekergate, którą masz przed sobą. I na miasto. Na spacer. Jak i którędy chcesz. Zrozumiano?

– Jasne – mruknął Szofer.

Długi kiwnął głową. Łapał w lot każde słowo. Młody nie rzekł nic. Z samego wrażenia miał już dosyć. Obydwaj z Długim trzęśliśmy się trochę z zimna, po chwilowym zwolnieniu napiętych nerwów, powstrzymując siłą mimowolne szczękanie zębami.

– I jeszcze jedno. Jeśli nie dacie rady, to Norwedzy za was wykończą. Tak się z nimi umawiałem. Pójdą na ura, z rozpylaczami i strzelaniną, na siłę. Ale wolałbym załatwić cicho, po naszemu, głową, a nie kominem.

– Damy radę – mruknął Długi. – Już coś skombinujem na miejscu. Zawsze pewna robota. Jak nie my, to Norwedzy.

Szofer rwał we wskazanym kierunku. Zdążyłem im jeszcze pokrótce wyjaśnić sprawę. Po pięciu minutach wjeżdżaliśmy w wąską, słabo oświetloną Grubbegate. Była to zawsze pusta uliczka, leżąca na tyłach osławionego więzienia „pod dziewiętnastym" i pomiędzy rządowymi gmachami, pustymi o tej porze. W połowie jej lądował wylot prostopadłej i ślepej ulicy Apotekergate, łączącej Grubbegate z większą arterią. W ten sposób auto ustawione motorem w Apotekergate blokowało zupełnie Grubbegate, samo zaś mogło jednym spięciem walić w miasto.

Siódma pięćdziesiąt jeden – dostrzegłem z trudem na zegarku w mdłym świetle ulicznej latami, gdy zajęliśmy umówioną pozycję. Poranna mglistość w powietrzu przeszła szczęśliwie w prawidłową mgłę. Światła zgaszone, auto roztopiło się w buro-czarnej wacie. Lekka wilgoć pokrywała asfalt, a mgliste powietrze było przejmująco zimne. W aucie czuliśmy u siebie wzajemnie sprężenie wszystkich mięśni, gotowość do skoku. Panowała głęboka, pełna napięcia cisza. Za późno już było na wyjście z wozu i rozglądanie się, gdzie są Norwedzy. Na pewno dojrzeli nas i wszystko jest OK.

Cztery pary oczu wbiły się w ciemność uliczki, w kierunku niewidocznej we mgle bramy więzienia. Serca łomotały dusząco, zaschnięte wargi drgały nerwowo, ręce zaciskały kurczowo przygotowaną broń. Siódma pięćdziesiąt pięć, sześć, osiem, ósma. Ósma jeden, dwie, cztery.

– Jadą! – krzyknęli naraz Szofer i Młodziak. Słychać było odgłos otwieranej, żelaznej, niewidocznej bramy i warkot motoru. Dwa reflektory wbijają się w mgłę. Motor naszego forda zaczyna grać. Zbliża się ciężko duże auto, które raczej wyczuwam, niż widzę. Kątem oka dostrzegam pojawiające się nagle we mgle sylwetki po obu stronach ulicy. Gwałtownym skrętem Szofer wyprowadza nasz wóz w poprzek jezdni. Stop. Jestem naraz zupełnie spokojny, serce bije normalnym rytmem, mózg pracuje jasno i sprawnie. Niemieckie auto jest o kilkanaście metrów. Zwalnia i trąbi ogłuszająco. Wyskakuję z auta. Długi z drugiej strony. Widzę niewyraźną twarz

niemieckiego szofera w policyjnym mundurze i siedzącego obok esesmana. Wóz wali wprost na mnie. O dwa metry, niespełna, hamuje.

Stoję w oślepiającym świetle reflektorów, z rękami w kieszeniach płaszcza.

– *Was ist denn los?* – krzyczy wychylony z okienka niemiecki szofer.

– Auto się zepsuło. Od dziesięciu minut nie mogę ruszyć – odpowiadam wolno i spokojnie.

– *Mach, dass du wegkommst, verflucht nochmal!* … – drze się Niemiec. Motor jego gra donośnie.

Wtedy z ciemności jednym, wspaniałym susem wypada ogromny Norweg w gumowych butach i zawisa na stopniu szoferki. Kolbą trzymanego w ręku rewolweru rżnie wychylonego Niemca w głowę, po czym wyciąga jak duży worek za kołnierz, przez otwarte okno, na jezdnię. Równocześnie z drugiej strony skacze inny Norweg. Esesman usiłuje błyskawicznie wstać i sięgnąć po rewolwer. Bije głową o pułap niskiej szoferki. Rewolwer Norwega siedzi mu już na karku. Daje za wygraną. Przy mnie zjawia się Larsen. Z tyłu więziennego auta rozlega się nagle seria ze stena. Już tam jesteśmy. To Długi pomaga sobie używając stena zamiast wyłamywaczowskiego „raka" i pruje tylne, zewnętrzne drzwiczki karetki przestrzeliwując zamek. Niepotrzebnie, bo oto obok dobiega Norweg z przygotowanym acetylenem. Z tylnego siedzenia wychodzi z podniesionymi rękami niemiecki policjant. Zielony. Widocznie Niemcy nie przedsiębrali większych środków ostrożności, licząc na tajność sprawy. Niemiec boi się wyraźnie i nie próbuje oporu. Takich rzeczy jeszcze w Norwegii nie widział.

– Klucze! – wołam po niemiecku. Długi wyrywa mu z ręki klucz i wskakuje do pierwszej przegródki. Słychać zgrzyt zamka i po chwili wysypuje się pięciu zalęknionych, nieprzytomnych wprost ludzi. Zaraz znikają w ciemnościach, prowadzeni pewnymi, opiekuńczymi rękami. Słychać blisko, na Apotekergate, warkot motorów. Larsena już nie ma. Niemcowi odbieramy broń i wpychamy na miejsce uwolnionych. Klucz

zgrzyta ponownie, po czym wędruje do mojej kieszeni. Mam już dwa tego wieczoru. Wracam z Długim przed szoferkę. Motor ciągle chodzi. Obok wozu Norwedzy trzymają dwóch Niemców. Szofer leży nieprzytomny na bruku. Esesman stoi ze stenem przyłożonym do pleców.

– Daj mu w mordę, ale czymś twardym, żeby tak szybko nie wstał – mówię do Długiego. Długi wyjmuje rewolwer z kieszeni i chwyta za lufę. Wtedy widzę twarz Niemca.

– Nie – wstrzymuję nagłym gestem Długiego. Na dany znak Norwedzy znikają. Staję przed Niemcem i mówię prędko:

– Dobry wieczór, *herr oberscharführer Balkenhaus*. Poznaje mnie pan? Nazywam się Kienski i z zasady nie pozwalam bić ludzi, którzy wyrządzili mi jakąś przysługę. Żegnam teraz. Następnym razem, jeśli los zechce, może pan z kolei będzie miał okazję być wobec mnie uprzejmym. To zawsze popłaca.

Esesman stoi z podniesionymi rękami i uśmiecha się wyraźnie. Poznał. I tak jest mi wszystko jedno, po spotkaniu z Leipkem. Patrzy na mnie z uznaniem w ładnych, czarnych oczach, ale nic nie mówi.

Jednym skokiem jesteśmy w aucie.

– Gaaaz! … – wyje Długi. Szofer wbija się nagłym wyrzutem w Apotekergate, aż zdaje nam się, że ford oderwał koła od ziemi. Ósma dwanaście na zegarku. Cała zabawa trwała osiem minut. Jeszcze dwie sekundy i znika z oczu zielona karetka z zapalonymi światłami i motorem na pełnych obrotach, cała sceneria, z jednym leżącym na ziemi i jednym stojącym, z podniesionymi, jeszcze, w górę rękami.

Szofer rwie jak szalony przy zapalonych na największą moc reflektorach i nieustannym wyciu klaksonu. Ludzie oglądają się na ulicy za nami. Jazda ta przypomina wariacki, amerykański film. Byle przed siebie, jakby się urwała kierownica. Ożywiona ulica pryska na boki, przechodnie uciekają. Szofer gwałci wszelkie prawa ruchu kołowego, plącze się pod tramwajami, robi wiraże na chodnikach. To działa kojąco, jest odprężeniem po poprzednim. Młody zaczyna się śmiać. Bawimy się, jak w lunaparku.

Ale dość tego. Jest jeszcze wiele rzeczy do załatwienia tego wieczoru. A więc – kierunek Ansgar.

– Staniesz tutaj, na rogu Nytorget, i poczekacie na mnie. To potrwa kilkanaście minut, a może dłużej. Ale stać i nie ruszać się, choćby całą noc.

– *O'key*, szefie! – odpowiada spokojnie Szofer.

Jestem pewien, że tak postąpi. Poznaliśmy się dobrze i nauczyli cenić wzajemnie przez te niecałe pięć godzin.

– Ty, Młodziak, znasz drogę do mnie. Pójdziesz przodem i zobaczysz, czy nikt na mnie nie czeka. Leipke miał dosyć czasu, jeśli go uwolnili, aby zaalarmować całe gestapo w Norwegii. Przejdziesz przed bramą hotelu i wrócisz z powrotem. Bez wchodzenia do środka. Jeśli będą, to także na ulicy.

Młodziak, który przyszedł już zupełnie do siebie, kładzie spluwę do kieszeni i wyskakuje z auta. Za nim ja. Idzie ze trzydzieści metrów przede mną. Dociera wreszcie do hotelu, przechodzi wzdłuż całego frontonu, zagląda do wejścia i wraca do mnie.

– Czysto – mówi.

Szybko wchodzę do środka. Przesadzając po trzy stopnie naraz, mijam Kristoffersena, który, jak się zdaje, nie widzi mego podniecenia. Biorę klucz i jadę windą na gorę. Biegnę korytarzem od windy do pokoju, ale stop, zatrzymuję się przy 706. Nie pukając naciskam drzwi. Są otwarte. Wchodzę do ciemnego, pachnącego wnętrza. Wyczuwa się pielęgnowane, czyste ciało kobiety w tym pokoju. Pewnie zmierzam w ciemnościach w stronę lóżka i siadam na nim. W płaszczu i kapeluszu. Erni śpi, oddycha głęboko i równo. Czuję na ręku gładką skórę pełnych ramion i piersi. W nozdrza bije fala miękkiego zapachu kobiety. Trochę jestem zły, że zamiast leżeć tutaj i badać słodkie tajemnice jej młodego ciała, muszę tłuc się po mieście w wilgotną, mglistą noc. Obejmuję ją, unoszę z lekka i całuję w rozgrzane snem, ustępujące uległe wargi.

– Peter – szepce zbudzona – położyłam się wcześnie spać, ale przyjdę do ciebie potem Chcesz? Dlaczego jesteś taki zimny i mokry?

– Muszę iść, Erni. Mam coś załatwić jeszcze. Dzisiaj nic z tego.

– Nie gniewasz się, że cię wczoraj zbudziłam mym telefonem?

– Nie, Erni. Właśnie przyszedłem ci podziękować. Dziękuję ci, Erni, za wszystko.

– Dobranoc, Peter. Do jutra.

Korytarz jest znów rzeczywistością. W moim pokoju łapię walizkę i przenoszę do pustego o tej porze służbowego. Do jutra nikt jej tu nie znajdzie, jutro zaś wycofam ją jakoś. Wracam po małą walizeczkę. Ledwie przekraczam próg, na biurku dzwoni telefon. Błyskawicznie chwytam słuchawkę.

– Tu Kristoffersen – słyszę zdławiony, gorączkowy szept. – Idą po pana! Ma pan pięć pięter schodów czasu… *Good luck*…

Chryste Panie! Myśli spinają się jak błyskawice. Leipke zaalarmował… Jaki cudowny, ten pastor… Zdążył ostrzec… Schody kuchenne…. Skąd on wiedział?… Jak on to zrobił?…

Jedną ręką za walizeczkę, w drugą – rewolwer. Ostrożnie uchylam drzwi. Na schodach słychać ciężkie kroki. Gdy skaczę w drzwi od kuchennej klatki schodowej, są już na korytarzu. Bah, bah, bah – słyszę strzały i tupot biegnących nóg. Staczam się raczej, niż zbiegam, po ciemnych schodach na półpiętro. To tu. Boczne wyjście z hotelu jest na pewno pilnowane, trzeba przez dachy. Kopnięciem wysadzam szybę. Krótki skok w ciemność. Lądуję jakiś metr poniżej parapetu okna na płaskim dachu sąsiedniego domu. Pogoń jest w oknie. Ułamek sekundy zastanawiają się, czy skakać. Jeden skacze, widzę ciemny kształt odrywający się od okna. Wtedy przykucam za szerokim kominem i mój Smith-Wesson pluje trzy ostrzegawcze strzały. Z okna odpowiada ulewa chaotycznych wystrzałów we wszystkich kierunkach. Kluczę pomiędzy licznymi kominami. Wreszcie jest. Otwarty dymnik. Zawadza mi trochę walizeczka zajmująca lewą rękę. Zsuwam się na strych, w labirynt rur i przewodów. Są i schodki zamknięte drzwiami prowadzącymi na główną klatkę schodową. Zamknięte, trzeba wyważyć. Na szczęście są ze słabej dykty i jedno uderzenie ramieniem z rozpędu wygniata

w nich dziurę. Na dachu, nade mną, myszkują gestapowcy. Szukają dymnika. Zlatuję po czterech piętrach w dół, jak po torze bobslejowym. Wychodzę z domu, trudno mi jest od razu zidentyfikować miejsce. Ale mam. Jestem przecież na Ny Torget.

O kilkanaście metrów w prawo stoi mój ford. Dopadam go i walę się na poduszki. Szofer wyrywa już przed siebie, gdzie oczy poniosą. Oddycham, jak mogę, najgłębiej.

– Słuchajcie chłopcy – mówię powoli po chwili – teraz pożegnamy się. Tutaj macie kartkę z adresem, gdzie oddacie auto i broń i skąd was bezpośrednio, dziś w nocy jeszcze, przerzucą na Szwecję. A tutaj trochę szwedzkich koron ode mnie.

Daję Długiemu kartkę i trzy tysiąckoronowe banknoty. Kartka pochodzi od Larsena i zawiera adres centrali przerzutu Milorgu. Zapewniłem to sobie dziś rano, że moi pomocnicy pojadą najpewniejszą drogą, tą samą, którą transportuje się kurierów Ruchu Oporu.

Długi patrzy na mnie dziwnie. W jego jasnych, bezczelnych, łobuzerskich oczach tli się coś miłego i poważnego zarazem.

– A może coś jeszcze znajdzie się tutaj do roboty, szefie?

– Nie, nic tu już po was.

– Żeby tak chociaż pana nazwisko – mówi do mnie odzywający się dotąd rzadko i tylko monosylabami Szofer – tak, na po wojnie.

– Nie, tego nie dostaniecie. Ja też nie chcę znać waszych. Już raz wam to powiedziałem. Ale góra z górą, nigdy nic nie wiadomo. Jedź pan teraz na Graensen 4 i tam mnie zostawicie. Wie pan gdzie to jest?

– Co mam nie wiedzieć – mruczy Szofer.

Ulica Graensen jest pusta o tej porze. Ford hamuje przed numerem czwartym. Potężny fronton domu jest ciemny i wymarły, tylko na siódmym piętrze w jednym oknie widać przyćmione światło. Jensen czuwa, tak żeśmy się umówili.

Chłopcy wyskakują z wozu. Ściskają mi rękę. Dłużej zatrzymuję w swojej dłoń Długiego.

– Do zobaczenia w Warszawie – mówię.

– Musowo.

Jadę windą na górę. Zatrzymuję się przy drzwiach biura Jensena i zamiast nacisnąć dzwonek naciskam machinalnie klamkę. Ku memu zdziwieniu drzwi ustępują. Ostrożny jest ten pan Jensen, nie ma co.

Bezszelestnie przechodzę sekretariat i uchylam drzwi od gabinetu. Stojąca na biurku lampa o płaskim, stalowym abażurze rzuca przecięte światło na pokój. W jednym z foteli leży Larsen, jeszcze odziany „bojowo", to znaczy w długie, gumowe buty i krotką, impregnowaną kurtkę. Drzemie. Przy biurku, na którym widać butelkę ginu, kieliszki, rozsypane papierosy, mnóstwo niedopałków w popielniczkach i srebrną tacę, pełną kanapek z łososiem, makrelami i smażonym dorszem, siedzi Jensen, z głową złożoną na blacie. Drzemie najwidoczniej. Wcale im się nie dziwię. To kosztuje trochę nerwów, taka zabawa. Staję na progu i mówię głośno.

– Dobry wieczór, panom.

Zrywają się obaj na równe nogi.

– Claire! – woła Jensen – Ale mnie pan przestraszył. Dlaczego tak późno? I jak pan się tu dostał?

– Jedynym moim zajęciem, na przestrzeni ostatnich ośmiu godzin, jest straszenie ludzi – mówię nie bez zadumy. – Dlaczego pan miałby być wyjątkiem? Dostałem się zaś najprostszą drogą. Dlaczego późno, a to wyjaśnię zaraz, jeśli poczęstuje mnie pan kieliszkiem ginu, który widzę u pana na biurku.

Larsen nalewa mi duży kieliszek alkoholu. Jestem zziębnięty i wyczerpany nerwowo, toteż gin smakuje mi jak doskonałe, łagodne mleko. Czuję cudowne ciepło w całym ciele i przepyszną jasność mózgu. Bez słowa zaczynam pochłaniać „smoer bröd" – norweskie kanapki. Opróżniam pół tacy, siedząc w płaszczu i kapeluszu na poręczy fotela. Podsuwają mi troskliwymi ruchami to sznytki, to wódkę, wreszcie papierosy. W pokoju wyczuwa się atmosferę odprężenia i ciche, męskie, wzajemne zrozumienie. Walę się w fotel, wyciągam daleko nogi i zaciągając się głęboko –

opowiadam. Siedzą nade mną na poręczach klubowców i patrzą ze skupioną sympatią w moje oczy. Na twarzach i w źrenicach ich widzę wiele, wiele życzliwości.

– Do Ansgaru musiałem wrócić, gdyż zapomniałem tam pewną rzecz, do której jestem bardzo przywiązany – kończę i wyjmuję z walizeczki Nowy Testament od „Mildner and Sons".

– Co to jest? – spytał Jensen.

– Taka katolicka Biblia.

– Niepoprawni romantycy ci Polacy – mruczy z uśmiechem Larsen. Patrzy na mnie z pobłażliwym podziwem. Zdaje mu się, że wszystko rozumie.

– Wszystko było *all right* – mówi Jensen. – Larsen jest pełen uznania dla pana i pańskich ludzi.

– *Well done* – potakuje Larsen.

– Ja z kolei dziękuję za norweską pomoc. Była bez zarzutu – zwracam rycersko komplement. – No, a teraz, moi panowie, przejechałbym się z chęcią gdzieś w góry. Na daleką i spokojną wycieczkę narciarską i zdrowy odpoczynek.

– *O'key* – klepie mnie po ramieniu Larsen – tak pana schowamy, że i Peer Gynt nie mógłby pana znaleźć, a co dopiero Niemcy. Dokąd pan woli na Hardangervidda czy do Telemark?

– Chyba do Telemark. Słyszałem, ze stamtąd właśnie pochodzą najładniejsze w Norwegii dziewczęta.

X

Do Oslo wróciłem szóstego maja, na dzień przed kapitulacją Niemców w Norwegii. Boże, co za wspaniałe, niezapomniane dni. Rozentuzjazmowane tłumy, tonące w konfetti i kolorowych chorągiewkach, tłumy biało-czerwono-niebieskie, jedna narodowobarwna plama, zalegały dzień i noc Karl Johann, plac przed uniwersytetem i park zamkowy. Feeria

świateł, pochodni, sztucznych ogni, płonących stosów – w nocy i trzech kolorów norweskich z majową zielenią – za dnia. I ten ciągły, nieustanny, radośnie bulgocący gwar szalejącego z radości tłumu, synchronizowany co chwila w przecudną kakofonię entuzjastycznych, szczęśliwych krzyków i wiwatów. Tłum norweski pławił się w swym szczęściu nie po norwesku. Z południowym temperamentem demolował niemieckie i quislingowskie instytucje, ze łzami witał autokary wiozące więźniów z Grini, zbitą, wielotysięczną ciżbą unosił do góry auto pierwszych, angielskich spadochroniarzy, którzy wylądowali niebawem w Oslo, zarzucił port wojenny dywanem z kwiatów na zjawienie się pierwszych jednostek bojowych norweskiej floty. Tłum ten nie schodził z głównej ulicy miasta, kłębił się na niej o każdej porze dnia i nocy, tańczył w spontanicznych korowodach wokół gmachu Teatru Narodowego i pił, pił chowane pieczołowicie przez pięć lat na tę chwilę zapasy „akvavity". Każdy Norweg miał ukrytą w domu butelkę na dzień *da fred skal komme*. Teraz pokój przyszedł i szyjki tych butelek sterczały z kieszeni każdego przechodnia. Ludzie obejmowali się na ulicy, całowali siebie i pierwszą proklamację Hjemmefrontu, zdobną w wielki tytuł: *Norwegia jest znów wolna!,* traktowali wódką każdego, kto tylko się pod rękę nawinął. Co chwila buchał w górę śpiew: *Seieren er var – Zwyciężyliśmy* – pieśń Ruchu Oporu. Całe Oslo znało ją już tego samego dnia.

Trwał tak ten karnawał upojenia wolnością dni całe. Snułem się po ulicach ze złotobarwną mgłą w oczach i myślałem o Warszawie. Jak jest tam? Było mi jakoś dziwnie. Chwilami ogarniała mnie szalona, dzika radość, że już jest po wszystkim, skończyła się wojna, zwyciężyliśmy. *Seieren er var.* Łapałem wtedy butelkę z serdecznych rąk pierwszego lepszego sąsiada i ku niememu zachwytowi najbliżej stojących długo nie odrywałem od przechylonej głowy. W pomiętym ubraniu i pokrzywionym kołnierzyku zataczałem się potem w oszalałym tańcu, ławą idących i wpół trzymających się Norwegów.

Chwilami byłem dumny z odniesionego zwycięstwa. Zwycięstwa, budowanego rękami tych angielskich spadochroniarzy, w czerwonych beretach dywizji „Red Devils", przewijających się w tłumie, krwawym wysiłkiem rosyjskich pułków, scementowanego potem amerykańskiego robotnika, a zapoczątkowanego śmiercią pierwszego polskiego żołnierza. W trzydziestym dziewiątym, w nocy z ostatniego sierpnia na pierwszego września, na niemieckiej granicy. Byłem także wielomilionową cząsteczką zwycięskiego teamu. Miałem prawo do dumy.

Chwilami ogarniał mnie wielki spokój, jak po dokonanej ciężkiej pracy, po której można jaśniej i ufniej patrzyć w przyszłość. Wtedy myślałem o domu, matce i latach pracy w słonecznej atmosferze pokoju. Chłonąłem wtenczas w siebie roześmiane twarze norweskich dziewcząt i marzyłem o warszawiankach. Brakowało mi trochę kontaktu z tym tłumem, mimo że piłem, krzyczałem, tłoczyłem się razem z nimi. Nie mogłem się zapamiętać, na to trzeba mi było polskiego tłumu, szalejącej z radości Warszawy.

Któregoś popołudnia tego niezapomnianego, majowego tygodnia zatrzymałem się na rogu jednej z przecznic Karl Johann, by zapalić papierosa.

– Dobry wieczór – odezwał się jakiś znajomy głos tuż za moimi plecami. Odwróciłem się i stanąłem twarzą w twarz z Kristoffersenem. Ubrany był jak protestancki duchowny w krótki, czarny tużurek, nieskazitelnie biały, okrągły kołnierzyk nad czarnym gorsem i czarny kapelusz. W ręku trzymał laskę. Wyglądał dostojnie, godnie i bardzo sympatycznie zarazem, spokojny i zrównoważony, na tle podnieconego tłumu, majowej zieleni, w rozedrganym, majowym, przejrzystym powietrzu. Złapałem go oburącz za rękę.

– Pastor Kristoffersen! Jakże się cieszę, że pana widzę – potrząsałem mocno jego ramieniem.

– I ja cieszę się niezwykle – odparł. Miły, jasny uśmiech, nieznany mi dotąd, rozświetlił mu twarz i oczy. – Niepokoiłem się wtedy o pana.

– Muszę panu podziękować, pastorze. Czy nie będzie to trochę banalne i bez smaku, gdy powiem, że uratował mi pan życie. A jednak tak było. Jak pan to zrobił, z tą windą?

Kristoffersen spojrzał na mnie nie bez lekkiej ironii. Poprzedni, serdeczny wyraz twarzy ustąpił znów miejsca zwykłej mu uprzejmej, chłodnej poprawności. Wyglądało na to, jakby pozwolił sobie na zbyt wiele tkliwości, lecz zmitygował się zaraz i wrócił do właściwego tonu.

– Nic nadzwyczajnego w tym nie było. Po prostu widząc czterech wchodzących gestapowców w mundurach uniosłem pewien hebelek, w tablicy rozdzielczej za lożą portierską, unieruchamiający windę. Niemcy popełnili błąd nie zostawiając nikogo przy mnie. Spytali, czy jest pan w domu i skoczyli od razu na schody, co pozwoliło mi w tej samej chwili włączyć się z centralki telefonicznej do pana. Ułamek sekundy tylko, a dla pana szansa pięciu pięter schodów. No i teraz jestem szczęśliwy i zakłopotany słysząc wyrazy wdzięczności z pana ust, Mr. Sefton Claire…

Cofnąłem się o krok ze zdumieniem. Kristoffersen uśmiechał się powściągliwie. Nagle olśniła mnie pewna myśl. Zrozumiałem wszystko.

– Niechże się pan rozchmurzy – powiedział Kristoffersen. – Na początku to pan mnie, że tak powiem, wykołował. Na tę choinkę, pamięta pan? Dałem panu pokój, bo mnie pan wzruszył, panie… właściwie to nie wiem, jak się pan nazywa. Kieńskaus, Claire czy inaczej?…

– *All right*, pastorze – rzekłem ściskając mu serdecznie dłoń na pożegnanie – przynajmniej raz pan czegoś nie wie. Mojego nazwiska nie powiem panu teraz. Ale na następne Święta Bożego Narodzenia przyślę panu kartę. Taką z powinszowaniami. Już z Polski, rzecz jasna. Wtedy podpiszę wyraźnie moim imieniem i nazwiskiem. Markę pocztową odda pan swemu synkowi, który na pewno jest małym filatelistą i bardzo się ucieszy z tego egzotycznego znaczka. Dla siebie – zachowa pan moje nazwisko. Na pamiątkę…

„BŁYSKAWICĘ” SŁYCHAĆ W OSLOFIORDZIE

„Harvestehude” leżał storpedowany w fiordzie, gdy przyszliśmy na pokład jako ekipa rozbiórkowa.

Był to duży 5000-tonowiec angielskiego pochodzenia, zagarnięty przez Niemców w jakimś francuskim porcie, który od 1940 roku pływał pod banderą hamburskiej linii Hamburg-Süd. Na początku 1944 dostał w przednie partie, gdzieś przy Kristiansand. Odtąd leżał przyholowany w Oslofiordzie, pomiędzy Nordstrand a Oslo, i tu reszta załogi, która pełniła funkcje Wachmannschaftu, której nie zajęto jeszcze do pływania, żywiła cichą nadzieję, że „Harvestehude” nie popłynie już w żadnym konwoju do końca tej wojny.

Pogoda była wspaniała. Fiord leżał jak szklana tafla dookoła statku, słońce prażyło niemiłosiernie. Byliśmy zakwaterowani na statku i notorycznie niewyspani, gdyż trzeba było najprzód przyzwyczaić się do spania w białe norweskie noce. W czasie pracy spaliśmy więc, zaszyci w rozgardiasz rozwalonych nadbudówek pokładowych, chaos lin, rur, spojeń, desek, wantów, belek i pogiętego żelaziwa. Oficerowie i wachmani spali po kabinach, prosząc Boga o to tylko, aby prace reperacyjne jak najdłużej trwały. Nie uśmiechały się im bynajmniej konwoje koło wyspy Hitra, angielskie łodzie podwodne i samoloty obrony wybrzeża.

Byłem jedynym Polakiem na pokładzie, chociaż było tam dwóch marynarzy – Niemców, którzy wykazywali lekkie skłonności do polskości. Jeden nazywał się Kowalski, wyglądał jak cwaniak z Warszawy, nie umiał słowa po polsku i pochodził z Królewca. Zaklinał się, że miał czysto polskich rodziców, którzy urodzili go przypadkiem w Królewcu, a potem zostawili

w powijakach jeszcze na jakimś nadbrzeżu portowym. Wychował się przeto sam, i nie mając innej rady, nauczył się po niemiecku. Tym niemniej głos krwi przemawiał przezeń często, Niemców i Hitlera nienawidził serdecznie, przeważnie po pijanemu i w tym stanie też udowadniał mi kiedyś, że najlepszym sposobem zniszczenia narodu niemieckiego jest robienie z niemieckimi dziećmi tego, co zrobiono z nim.

Drugim był jakiś zwalisty Kaszub z Pucka, który na imię miał Georg i też nie umiał po polsku, natomiast jak relikwię pielęgnował stary paszport obywatela Wolnego Miasta Gdańska. Twierdził poza tym, że z dwojga złego lepiej mu się w Gdańsku kombinowało z Polakami, jak z hitlerowskimi świniami, dosłownie: *mit dieser hitler'schen Schweinehunde*, co często bez żenady akcentował na pokładzie.

Właśnie ten Georg odnalazł mnie w pierwszych dniach sierpnia śpiącego gdzieś na perseninngu i przebudziwszy, zapytał:

– *Was ist denn los in Warschau?*

– Skąd ja mogę wiedzieć – burknąłem.

– To słuchaj radia. Jakieś powstanie. Aufstand.

Podniosłem się zaciekawiony.

– Skąd wiesz?

– Słuchaj radia. Przez nasz Rundfunk jeszcze nie podali. Wiesz przecież, skąd o tym mówię…

Nie było innej rady. Trzeba było słuchać radia.

W oficerskiej messie był aparat, zaś w godzinach popołudniowych i wieczornych oficerowie spali po kabinach albo jechali do Oslo na dziewczynki. Już tego samego popołudnia słuchałem Londynu. „Tu mówi Londyn" – donosiło obszernie, optymistycznie i podniośle. W komunikaty oficjalne wplecione były apele członków rządu, cytowane wypowiedzi anglosaskich mężów stanu, odezwa Mikołajczyka i raporty Delegata na Kraj. Wszystko nastrajało dobrze. Na koniec dowiedziałem się, że radiostacja powstańcza „Błyskawica" nadaje codziennie na krótkich falach. Nazajutrz wymacałem i słuchałem już „Błyskawicy". Wypucowana messa oficerska

i widniejący przez iluminator szarozielony fiord, zalane słońcem stalowobłękitne niebo i fioletowe góry – wszystko to utonęło w kurzu walących się kamienic. Świeżość i spokój norweskiego krajobrazu stłamsił skwar sierpniowej walki ulicznej, huk bomb, pot zalewający oczy pod hełmem, biała chmura tynkowego pyłu zranionej ulicy. Tak odbijało się to na ekranie wyobraźni, a przecież wyobraźnia była jedyną dziedziną przeżywania, gdy z uchem przy głośniku chłonąłem pierwsze dni Powstania.

– Dlaczego mnie tam nie ma? – kołowało bezustannie w mózgu i nie dawało spać w nocy. Było się z nimi całym sercem, aż do krzyku, gdy spiker „Błyskawicy" młodzieńczym, pełnym entuzjazmu głosem wyrzucał w eter:

– „Wczoraj zdobyliśmy niemiecki czołg. Warszawscy mechanicy i robotnicy w ciągu kilku godzin pracy doprowadzili go na powrót do stanu gotowości. Do akcji wchodzi dziś polski czołg!

– Poczta powstańcza funkcjonuje bez zarzutu. Harcerze w najtrudniejszych warunkach donoszą listy na miejsce przeznaczenia. Harcerze i cała nasza młodzież to w ogóle duma Powstania!".

Mówił to głos człowieka, mogącego liczyć lat dwadzieścia jeden. Ale on był już pokoleniem. W jego pokoleniu bohaterstwo było rzeczą zwykłą, samo przez się zrozumiałe. Nikt go nie chwalił. Młodzież – to dziesięć, dwanaście, czternaście lat. Ich bohaterstwo wzruszało nawet jego.

Trudno to było nerwowo wytrzymać. I to, że oni się tam bili, i tę tragiczną, rogatą „Warszawiankę" z radiostacji powstańczej „Błyskawica". Musiałem coś uczynić, zrobić coś za wszelką cenę, nawet jakieś głupstwo, aby iść noga w nogę i ramię w ramię z Warszawą. Z jej wzruszającym, szlachetnym głupstwem.

Toteż gdy przyszedł dla całej naszej ekipy rozkaz okrętowania się na pewien frachtowiec idący do Kirkenes, zawiadomiłem odpowiednie ośrodki norweskiego ruchu oporu, że urywam się z pokładu. Głupio i niepotrzebnie, ale nie czas tu wyjaśniać, dlaczego głupio i dlaczego niepotrzebnie. Właśnie kiedy szedłem na jedno z umówionych spotkań, zaraz po zniknięciu ze

statku zostałem aresztowany na głównej ulicy stolicy Norwegii i przewieziony do słynnego obozu koncentracyjnego Grini, pod Oslo.

Nie tutaj miejsce ani czas na analizy, opisy ani porównania Grini z innymi kacetami. Zarejestrowano, nawymyślano, ostrzyżono i zaprowadzono na barak. Jedyna różnica, że nie dano pasiaków, ale dość szykowne mundurki byłej norweskiej gwardii królewskiej, w których paradowali wszyscy Griniacy. Może i dlatego, że nie było tej podłej, nieforemnej ohydy pasiaka, a opięta, dość zgrabna, eks-mundurowa powierzchowność – Grini było bardziej zadzierzyste.

W kacecie, gdzie by on się nie znajdował: w północnej Grecji czy wschodniej Francji, środkowych Niemczech czy zachodniej Jugosławii – jednym słowem, gdzie tylko istniała ogrodzona naelektryzowanym drutem przestrzeń do siedzenia – byli Polacy. W baraku nr 1 dla „niebezpiecznych", w Grini, 14 kilometrów na północny zachód od Oslo siedziała ich osiemdziesiąteczka. Jak ulał. Chłopaki równe, w ogromnej większości Warszawa. Schemat „przewiny" jednakowy: zapis na roboty do Norwegii, tylko dotknął nogą lądu, zaraz chodu i na szwedzką granicę. Jednym się udało, inni „poleżeli" i za druty. Uciekali i zza drutów i w najfantastyczniejszych warunkach, na dalekiej północy, poprzez skandynawskie lodowce okolic Nordcapu, trasami, których nie powstydziłby się Amundsen, Nobile i Byrd. Ale teraz to nieważne, nie czas na opowiadanie tych epopei, których się potem nasłuchałem. W każdym razie, gdy tylko zobaczyli na baraku nowego, z wielkim „P" na gwardyjskim mundurku, podeszli do mnie – grupa i jeden „taki", co mu trzykartowa robota w mordzie, głosie i ręku leżała, zagadnął mnie:

– Ty, co z Warszawą?

Już wiedzieli.

Opowiedziałem im, jak i co mogłem. Słuchali w skupieniu, w końcu jakiś zawyrokował:

– Na drobne, tłuczone cegłe tym razem Warszawe Krzyżaki porozprowadzają, kij im w oko… Ale jak już do końca, to do końca – kurwa

ich mać!

Końcowy akcent odbił się nieswojo o ściany gór norweskich, otaczających dolinę Grini i poszybował ku Warszawie. Bo była w nim zawarta cała miłość do Miasta i nienawiść do Niemców – prawdziwego warszawiaka.

W Grini każda sztuba barakowa otrzymywała codziennie niemiecką gazetę „Deutsche Zeitung in Norwegen". Niemcy pisali już wtedy o Powstaniu i tak zaczęła się walka o Powstanie. Niemcy pisali, myśmy nie wierzyli. Pod koniec sierpnia Niemcy pisali o zgnieceniu Powstania. My nic nie wierzyliśmy. Jeszcze przed Powstaniem grupka Polaków w porównaniu do kilku tysięcy Norwegów traktowana była najgorzej. Wykonywała najcięższe i najbrudniejsze roboty i szykanowana była w sposób specjalny. W czasie Powstania prześladowania wzrosły wielokrotnie. W czasie najgorszych ćwiczeń karnych śmialiśmy się Niemcom w mordy. Warszawa biła się. Maszerowaliśmy godzinami po placu i doszliśmy do takiej wprawy w niemieckiej mustrze, że SS-mani spędzali Norwegów, aby ci uczyli się, jak należy maszerować. A my waliliśmy drewniakami w kilkugodzinnych paradach i ktoś w głębi czwórszergu cichuteńko gwizdał „Warszawiankę". Tak, abyśmy tylko my słyszeli.

Przez wrzesień – to sami Niemcy znów kilka razy ogłaszali klęskę i kapitulację Powstania. My śmieliśmy się. Lipa.

Aż wreszcie nadszedł dzień. Znajomy Norweg, łącznik ruchu oporu na terenie kacetu, wywołał mnie z baraku i powiedział, że Radio Londyn podało o upadku Warszawy.

Tym razem uwierzyłem. Wszedłem na sztubę i rąbnąłem bez ogródek:

– Chłopcy! Warszawa poddała się…

Próbowali protestować. Jak to? Jeszcze wczoraj i dziś domyślaliśmy się wyimaginowanych sukcesów i śmieli z niemieckich komunikatów, a teraz – taka wiadomość…

Ale uwierzyli. Nie było rady. Musiało się uwierzyć. Potem, przez całą noc słyszałem ciężkie westchnienia. Nikt nie spał, ale też nikt nic nie mówił.

Gorzko dławiła w gardle klęska Miasta.

Nazajutrz przy robocie chłopcom jakby kości powyjmowano. Apatia i zrezygnowany bezwład ogarnął wszystkich. SS-mani wymierzali ciosy kolbami na prawo i lewo. Nic nie pomagało. W końcu skopali i skatowali jednego z nas, typowego warszawskiego złodzieja, zbudowanego jak gladiator, twardego jak hipopotam (był porżnięty na całym ciele z niezliczonych rozpraw nożowych), zdolnego zazwyczaj wytrzymać gorsze uderzenia losu niż kilka kopnięć w brzuch i uderzeń kolbą w twarz.

Gdyśmy się nad nim pochylili, na twarzy spływała mu krew zmieszana ze łzami.

– Boli cię? – pytałem. – Dobrze ci tym razem, cholery, dali.

Otworzył z trudem zapuchnięte oczy i spojrzał na mnie jakby z wyrzutem i jakby z ironią, po warszawsku.

– G… tam mi dali… Jak zwykle… ale ta Warszawa… boli…

„Dziś i Jutro", 1946

JONATHAN MILLER

Jonathana Millera poznałem w jednym ze średnich miast fabrycznych na Zachodzie. Był to okres nadzwyczajnych osiągnięć naszego ciężkiego przemysłu. Dzień za dniem padały rekordy wydobycia węgla, metody produkcji ulegały gwałtownym przemianom w ciemnych sztolniach kopalń, ludzie dokonywali rzeczy niesłychanych, a co za tym idzie ciekawych. Cały kraj interesował się owym patosem, zabarwionym szlachetną sensacją, jaki płynął z życia naszych hut i stalowni. Byłem wtedy w Zagłębiu specjalnym korespondentem jednej z gazet stołecznych. Starałem się formułować na papierze wysiłek, trud i przeżycia, jakie cechowały każdy dzień pracy, i wyciągać z faktów tych wnioski o charakterze dziennikarskim. Miało to przedziwny smak narodowej doniosłości i sportowego podniecenia, symbioza zaś tych dwóch cech dawała to, że ludzie w Warszawie, Białymstoku, Elblągu i Rzeszowie z zainteresowaniem i niecierpliwością rozpoczynali czytanie dziennika od takich właśnie informacji i wiadomości. Codziennie wieczorem udawałem się na dworzec kolejowy, gdzie wrzucałem kopertę z korespondencją do warszawskiego pociągu.

Dworzec kolejowy w tym mieście nie różnił się od licznych dworców, powstałych pod koniec ubiegłego wieku na Śląsku. Był dwupiętrowy w swej centralnej partii, rozłożysty, obszerny i wygodny. Rozbudowana sieć torów, kilka peronów i później dorobione przejścia podziemne na każdy z nich, duże depot i przestawnia dla lokomotyw wskazywały na to, że stacja była węzłowa i ważna. Pierwsze lata po wojnie, lata wielkiej bitwy polskich kolejarzy o doprowadzenie kolejnictwa do stanu normalnego, nie wyszły samym dworcom na dobre. Były ważniejsze rzeczy w grze niż dbałość o czystość i oświetlenie, zaś liczne rzesze repatriantów, walczące twardo z czasem i przestrzenią o swe własne miejsca na ziemi, śpiące na tym

dworcu i gotujące strawę, nie mogły liczyć się z jego wyglądem. Nikt zresztą nie miał o to do nich ani do kolejarzy pretensji. Przyjdą czasy, gdy aktualnym i palącym problemem stanie się estetyka dworców kolejowych w skali ogólnopaństwowej. Na razie przeto dworzec miał swe historyczne prawo być brudny i zapuszczony, pełny kurzu, śmiecia, połamanych framug, ławek i wybitych szyb. Na tle takiego właśnie dworca sylwetka Jonathana Millera stawała się czymś naturalnie przyciągającym wzrok. W Millerze, w przeciwieństwie do patetycznie brudnego dworca, uderzała tandetna, najzwyklejsza czystość. Niezmiennie, każdego wieczora, wyglądał jakby dopiero co wyszedł z taniutkiego magazynu lub pralni. Nosił czysto wyprane i wyprasowane koszule i najtańsze, najbardziej nudne krawaty, jakie kiedykolwiek zdarzyło mi się widzieć. Miał zawsze czyste ręce i starannie ogoloną twarz, wydawał przy tym zapach taniego lizolowego mydła, jakiego używa się do dezynfekcji ludzi, zwierząt i różnych przedmiotów. Wszystko to tchnęło niemczyzną i protestantyzmem, lecz bez tendencji krystalizowania się w określony typ ludzki. Ci, którzy dużo w życiu podróżowali, wiedzą dobrze, że na przykład w południowej Francji można spotkać najrdzenniejszego Prowansalczyka, który wygląda i zachowuje się jak Szkot, a jednak Szkotem nie jest. Z równym powodzeniem w Norwegii zdarza się natknąć na Skandynawa o aparycji i reakcjach Neapolitańczyka i przykłady takie mnożyć można w nieskończoność. Te powikłania nie stanowią bynajmniej o przynależności do narodowego typu. Po to, aby być Szkotem, Neapolitańczykiem albo protestanckim Niemcem, nie wystarczy wyglądać, zachowywać się, a nawet posiadać wewnętrzne cechy charakterystyczne danego typu. Trzeba jeszcze chcieć być i przynależeć, i ta podważana przez różne nacjonalistyczne teorie okoliczność decyduje, moim zdaniem, o narodowych różnicach. Wszystko w Jonathanie Millerze sprzysięgło się, aby uczynić zeń Niemca i protestanta. Urodził się na Śląsku pod niemieckim władaniem, wychowywał się w środowisku niemieckim i protestanckim, otoczenie zaszczepiło w nim mnóstwo wielkich zasad i drobnych upodobań, których źródłem był niemiecki mieszczański styl

życia i ortodoksyjnie protestancki komentarz do Pisma świętego. Nawet imię i nazwisko jego tchnęły opowieścią biblijną ze szkółek niedzielnych i kilkunastoma pokoleniami dobrych, rzemieślniczo-teutońskich protoplastów. Jego bezbarwne, jasne oczy, schludnie, gładko zaczesane, nic nie mówiące włosy i przyjemna, drewniana twarz nie nastręczały na pozór żadnych wątpliwości. Opanowane ruchy i przeciętna sylwetka dopełniały obrazu uderzającej przeciętności, zwykłości i całkowitej wymierności typu. A przecież coś nie zgadzało się w tym prostym i niezawodnym na oko rachunku. Jakiś trybik przeskoczył wadliwie w skomplikowanej maszynie dziejowej, produkującej pokolenia i przeznaczenia. Jonathan Miller sam dobrze nie wiedział, kiedy to było i jak, lecz gdzieś, daleko w tyle, ktoś był Polakiem i katolikiem, i od tamtego czasu tak już pozostało. Drobnomieszczańscy rzemieślnicy, kupcy i urzędnicy nie mają swych rodowodów jak węźlaste sznury peruwiańskiego pisma, na których każdy supeł mówi coś określonego. Nie mają portretów przodków, o każdym z których mogliby udzielić konkretnych informacji. W rodzinie Jonathana Millera katolicyzm i polskość wkorzenione były od wieków, zaś rozsądek i umiar pozwalały je przez wieki przenosić. Nie było w Millerach nigdy żarliwej wiary ani heroicznego patriotyzmu, chętnie obcowali ze swym niemieckim i protestanckim otoczeniem, przejmując odeń zapobiegliwość i twardość. Ale w domu, na własny użytek, mówili i myśleli coś innego. Nie gnili po więzieniach za sprawę ani nie demonstrowali bezużytecznie, lecz swego trzymali się i nie puścili. Dziadek Millera był pruskim urzędniczyną miejskim, głosował za Bismarckiem, ale w domu gościł czas dłuższy powstańca z 63 roku, któremu udało się zbiec przez granicę i uniknąć internowania. Ojciec utrzymywał doskonałe stosunki z niemieckimi sąsiadami. Jonathan nie płonął ogniem wiary, ani nie konspirował, ale abonował pisma Związku Polaków, póki były legalne. Później miał licznych niemieckich przyjaciół, bardzo dobrą posadę i nie odczuwał potrzeby narodowych manifestacji. Sprawy polskości i katolicyzmu nie były dlań w życiu najważniejsze, ale były, istniały i nie nastręczały żadnych

wewnętrznych konfliktów. Gdy przyszedł Hitler, Jonathan przestał abonować gazety, lecz nie przestał myśleć po swojemu i wiedzieć swoje. Nikt go nie aresztował ani nie prześladował, a gdy wybuchła wojna, poszedł do służby pomocniczej, jako że miał żylaki. Po wojnie miał przed sobą jedną prostą drogę. Wrócił do swego miasta, wydoskonalił swą wątłą polszczyznę i zajął stanowisko prokurenta-księgowego wielkich państwowych zakładów hutniczych. Wkrótce zyskał sobie opinię poważanego i cenionego autochtona. Był spokojny, solidny, umiał dużo, znał swój zakres pracy, był pozytywny i pożyteczny. Nie odznaczał się żadnymi nadzwyczajnymi zdolnościami, kariera jego była z góry ograniczona możliwościami, co nie wpływało w żaden sposób na jego wewnętrzną równowagę. W takim samym stopniu nie miały wpływu na ten nieco bezmyślny, statyczny spokój drobne antypatie i sympatie. Miał rdzennym Polakom wiele do zarzucenia. Nie lubił hałaśliwości i niechlujstwa, blagierstwa, niesolidności, kolorowej, strzępiastej fantazji w smutkach i radościach tych nowych przybyszów z centralnej Polski i zza Bugu. Drażniła go zbytnia piękność lub zbytnia brzydota ich kobiet i przesadne zapuszczenie lub przesadna inteligencja ich mężczyzn. To wszystko nie mogło jednak wywrócić lub zmącić jego spokoju i głębokiego przekonania o tym, że jest Polakiem, bez względu na to, czy mu się tak podoba, czy nie. Nawet nie zdawał sobie sprawy, ile w nim było obcości, lecz właśnie ta nieświadomość była najlepszym gwarantem jego dobrego samopoczucia, a mojej pewności, że jednak w końcu wszystko się wyrówna.

A przecież był w nim jakiś ton fałszywy w stosunku do typu, który przedstawiał, ton, którego przez długi czas nie potrafiłem zdefiniować. Gdy zauważyłem go na dworcu po raz pierwszy, wywołał we mnie jedynie refleksję śmiesznego kontrastu, jaki stanowiły jego tanie, lecz błyszczące wyczyszczone buty i schludny paltocik, w stosunku do romantycznego rozgardiaszu peronów. Stał, jak anachronizm, na tle wpół zdrapanego gotyckiego napisu, mając obok siebie rozchełstanego policjanta, z niedbale przerzuconą przez ramię pepeszą, istnego zagończyka z baczkami wokół

klasycznie poleskiej czy wołyńskiej twarzy. Pociąg do Warszawy wtoczył się na peron, wyrzucił z siebie tłum potykających się, gniotących i pchających, okrytych tobołami podróżnych, wchłonął innych i odbił w kłębach pary. Jonathan Miller zaczekał, aż wszystko uspokoiło się i ucichło, rozglądał się przez chwilę, jakby kogoś szukając, włożył ręce w kieszenie płaszcza i poszedł ku wyjściu. Był wtedy w jego postawie leciutki akcent smutku czy niepokoju. Nazajutrz znów powtórzyło się to samo. Pomyślałem, że ktoś, na kogo czeka, jest stanowczo nie w porządku, zmuszając go do powtórnego fatygowania się na dworzec. Po czterech dniach rzecz stała się interesująca. Zachowanie się tego człowieka w średnim wieku, o rzucającej się w oczy przez swą przeciętność powierzchowności, nabrało dla mnie jakiegoś zagadkowego sensu. Niezmiennie rozglądał się poszukująco wokoło, niezmiennie pochylał się lekko w akcencie smutku czy rozczarowania. Spotkałem go kiedyś w dzień, na ulicy. Wtedy nie budził żadnych refleksji, pasował w swej niepozorności doskonale do ulicy, nie odróżniał się niczym od innych. Mijając go zajrzałem z bliska w spokojne, nieco tępe, jasne oczy. Chyba nie poznał mnie, lecz w oczach tych dostrzegłem płytką życzliwość. Tak zresztą patrzył na każdego, prawdziwa bowiem natura człowieka najlepiej jest uchwytna w oczach mijanego na ulicy przechodnia. Na dworcu, owym niepowtarzalnym, a tak typowym dla tych ziem dworcu, stawał się dopiero pełnym, dźwięczącym kontrastem. Dworce były pierwsze naprawdę polskie na Ziemiach Odzyskanych i dlatego tam Miller odcinał się od otoczenia w sposób zasadniczy. Nikt na to jednak nie zwracał uwagi. Dla kolejarzy, żołnierzy, repatriantów, pionierów, milicjantów, szabrowników Miller nie przedstawiał nic odrębnego. W tej magmie, komponowanej z niewiadomej – x elementów, nie mogło być odrębności, zawierała ona w sobie wszystkie możliwe możliwości i sylwetka cichego, nic nie czyniącego człowieka nie ściągała niczyich zdziwionych spojrzeń. Dla mnie sylwetka ta stała się po tygodniu obsesją. Kim jest ten człowiek i czego szuka? Codziennie stał o tej samej godzinie wieczornej w tym samym miejscu i codziennie opuszczał dworzec z niczym. Przeciskałem się przez tłum, aby

znaleźć się bliżej niego, czasami spojrzenia nasze spotykały się wtedy; jak na ulicy, znajdowałem w jego oczach ową spokojną, standaryzowaną, płytką życzliwość, będącą niewątpliwie naturą tego człowieka, stanowiącą z pewnością jego życiową postawę. Gdy wychodził na przeddworcowy plac, krok jego był już przeciętnym krokiem jednego z milionów, ów ledwie odczuwalny smutek ulatniał się bezpowrotnie. Gryzłem wargi ze złości, nic bowiem tak nie męczy jak ulatująca, rozpraszająca się w mroku, niesformułowana impresja. Kim był ten człowiek? Co sobą przedstawiał? Na pewno niczym, przeciętniakiem, zerem, nudziarzem, a może matołkiem. Fakty, że tanie buty błyszczą, tandetna koszula jest czysta, a facet ma niemiecką facjatę, nie stanowią jeszcze powodów do opowieści. Zaś smutek, rozczarowanie, niepokój w postawie – przywidzenia bujnej wyobraźni. A to że jest co dzień, stoi, czeka, nie wiadomo na co – mój Boże, tylu ludzi w tych czasach wystaje na dworcach, nie wiadomo po co, a w końcu okazuje się, że robią całkiem konkretne rzeczy.

W następnym tygodniu poznałem Jonathana Millera. Nie potrafiłbym nawet w tej chwili powiedzieć, jak to się stało. Każdy z nas nawiązywał na pewno w życiu pokaźną ilość takich znajomości, poczętych od jednego przypadkowo rzuconego słowa, lub od wspólnego kierunku drogi w miejscach publicznych. Wyszliśmy z dworca razem, Jonathan stał niezdecydowany, lecz ja natarczywie zaproponowałem mu wspólne wypicie kawy. Odtąd natarczywość moja stanowiła najistotniejszą cechę naszej rozmowy. Wstąpiliśmy do leżącej po drugiej stronie dworcowego placu kawiarni. Był to ciemny, zapuszczony lokal, pełen stłoczonych stolików o marmurowych blatach, tanich krzeseł i blaszanych popielniczek, w jakie przedwojenni niemieccy fabrykanci tanich mebli zaopatrywali wszystkie kawiarnie w środkowej Europie, od Malmö, poprzez Pragę i Sofię, aż po Kretę. Kelner spytał się nas, czego sobie życzymy do picia, a gdy usłyszał, że kawę, przestał się nami interesować. Kawiarnie w niedużych miastach nie mają żadnego ideologicznego usprawiedliwienia, nikt nie przychodzi do nich na kawę, zaś wszyscy na piwo, wódkę lub ciastka. W ten sposób tracą

one swój istotny sens. Kiedy uczyniłem powyższą uwagę, Jonathan Miller uśmiechnął się nieobowiązująco. Mógłbym przysiąc, że ani nic nie zrozumiał, ani nic go to nie obeszło. Wobec tego powiedziałem, że nie dosłyszałem jego nazwiska przy wzajemnej prezentacji. Powtórzył: – Miller. Jonathan Miller – co pobudziło mnie tylko do bezwstydnej, impertynenckiej dalszej indagacji. Na pytanie, czy jest Niemcem, odpowiedział spokojnie, rzeczowo, że nie, że autochtonem. W ogóle wykazywał grzeczną, lecz pełną rezerwy, monosylabową powściągliwość. Ja natomiast miotałem się w sposób co najmniej głupi. Zadawałem najgłupsze, nabrzmiałe niecierpliwością pytania i nie dowiadywałem się niczego. Wreszcie zrozumiałem: to proste, ten człowiek nie ma nic do powiedzenia. Ale w chwilę potem były już wątpliwości: no dobrze, lecz skąd ta cała skoncentrowana, płytka niemieckość, podkreślona najwłaściwszym dla tego koncentratu imieniem, a tu polskość, tutejszość i te godziny na dworcu, ten smutek-nie-smutek, niepokój-nie-niepokój, głupie, spokojne oczy i zagadkowość. Albo ten człowiek robi ze mnie wariata, albo ja sam jestem lekko stuknięty szukając okruchów serca w karburatorze. A może jest jakieś tertium datur, że nikt z nikogo wariata nie robi, tylko o tym nie wie. Może on sam o sobie czegoś nie wie? A może co innego? Ale co? W ostatecznej rozpaczy złapałem za leżącą na sąsiednim stoliku szachownicę i zaproponowałem partię szachów. Miller zgodził się i to było wyjście.

To była metoda powolnego drążenia przy szachach. Obydwaj lubiliśmy tę grę i odtąd graliśmy co wieczór, po wyjściu z dworca, przez resztę mojego pobytu. Szachy są grą powolną i syntetyzującą. Do każdego pociągnięcia dołącza się wiele pierwiastka osobistego, mówi się rzeczy najrozmaitsze, najprostsze wynurzenia. Sam nie wiem kiedy, zarzuciwszy poprzednią natarczywość, dowiedziałem się tego wszystkiego o Millerze i jego rodzinie, co tyczyło polskości i wiary, drobnych radości i smutków familijnych i całego patati i patata zwykłego życia buchaltera wielkiego przedsiębiorstwa. Był kawalerem, i mieszkał ze swą starą matką, ojciec już nie żył. Byli znajomi, owszem, były zainteresowania, trochę sport, trochę śpiew chóralny

w towarzystwie śpiewaczym. Ambicji nie było, poza chyba chęcią wygodnego, spokojnego, dostatniego życia, czego przecież nie można nazwać ambicją. Interesował się życiem społecznym, czytał gazety i tygodniki, odgrywał pewną rolę w organizacjach zawodowych, miał swoje wyrobione zdanie na temat wojny, pokoju, sojuszu, produkcji i współzawodnictwa. Był optymistą. Wierzył, że stopa życiowa się podniesie i że im, Ślązakom autochtonom, uda się w końcu nawiązać braterskie stosunki z repatriantami, że różnice z czasem zatrą się kompletnie, tylko niech oni nie będą tacy niechlujni, ci rodacy, niech mniej się upijają i tak nie krzyczą, a wszystko się ułoży. A dlaczego bywa na dworcu? Tego pytania nie zadawałem nigdy. Wytworzyła się jakby zakazana strefa rozmowy. Na peronie kiwaliśmy sobie tylko głowami, lecz nie zbliżaliśmy się do siebie wzajemnie i wszystko odbywało się tak jak przed zawarciem znajomości. Rozmowa zacząć się mogła dopiero po opuszczeniu terenu dworca. Ani na peronie, ani w podziemnym przejściu pod peronami, ani na schodach, ani w poczekalni, ani w głównym hallu, lecz dopiero na placu przed dworcem. Nie znosiłem tej milczącej konwencji, lecz moja bezczelność załamywała się na progu owej sfery. Przez gardło nie mogło mi przejść pytanie, co oznacza ta cała dworcowa komedia czy tragedia w życiu człowieka, które poza tą periodyczną codzienną chwilą leżało przede mną jak rozwiązana, łatwiutka krzyżówka. Nic w życiu tym nie było tajemniczego ani niezwykłego – wszystko zwykłe, proste, przeciętne, nudne. Tylko ten dworzec i przyjście pociągu i odejście pociągu, i rozglądanie się wokoło, i nieuchwytny cień szlachetnego smutku w zwulgaryzowanym schemacie egzystencji, taśmowej i seriowej kopii milionów takich jak on.

Zbliżał się dzień mojego wyjazdu. W czasie rozgrywanych partii Miller zdradzał coraz więcej chęci zbliżenia. Spytał o mój warszawski adres.

– Czy lubi pan otrzymywać kartki z powinszowaniami na święta? – interesował się – bo ja bardzo. To takie przyjemne.

Nie zachwycała mnie perspektywa otrzymywania kiczowatych pocztówek, ale jakżebym mógł go urazić. Moja ciekawość Millera, jak ją sam

nazywałem, opadała powoli. Cóż, jeszcze jedna z multitudy oglądanych w życiu twarzy i podawanych rąk. W wigilię wyjazdu ciekawość ta doznała jednak świeżego, ostrego bodźca. Był wieczór jak wszystkie poprzednie, Miller stał na swoim zwykłym miejscu, nadszedł warszawski pociąg. Jak co dzień przewalił się tłum pasażerów w kierunku przejść do miasta. Wracałem z rękami w kieszeniach z miejsca postoju wagonu pocztowego, który, jak wiadomo, umieszczony jest zawsze tuż za tendrem lokomotywy. Był to spory kawałek drogi po długim i w tym miejscu odkrytym peronie. Mżył lekki kapuśniaczek i z przyjemnością myślałem o ciepłym wnętrzu kawiarni, o jaśniejszym kręgu światła, do którego przysuniemy wraz z Millerem stolik z szachownicą, i o filiżance gorącej kawy. Już z daleka zauważyłem jednak zmianę w regule codzienności. Jonathan Miller pochylał się nad chłopcem w wieku lat czternastu najwyżej, którego cała postać wyrażała nędzę, bezradność i opuszczenie. Zbliżałem się powoli, dochodząc aż do schodów podziemnego przejścia. Oparłem się o drewnianą poręcz i czekałem, co z tego wyniknie. Miller obejmował chłopca ramieniem i coś mu przedkładał. Przyjrzałem się bliżej chłopcu, dzieliła nas w tej chwili odległość może piętnastu metrów. Moje pierwsze wrażenie nędzy i nieszczęścia ustąpiło znacznie widoczniejszej cwaniakowatości i aktorstwa. Wyrostek był oberwany i brudny, to prawda, wszystko w nim jednak mówiło o jednym z tych małych kozaków, których życie uczyło zdobywczej odporności poprzez nieustanne kopniaki od losu i ludzi. W tej chwili najwidoczniej grał, a nawet zgrywał się wobec pochylonego nad nim Millera. Nigdy bym nie uwierzył w jego miny i płacz, którym markował żałość i trwogę. Jego, z trudem powściągane, gesty małego awanturnika wskazywały wyraźnie, gdzie należy szukać zasad życiowych tego potencjonalnego złodziejaszka. Wojna i ciężkie miesiące powojennego bezhołowia produkowały tysiącami tych przyszłych zdobywców lub bandytów. Problem dzieci bezdomnych, gwardii glinianek i notorycznych włóczęgów kolejowych nie jest ani nowy, ani specjalnie niebezpieczny; od dawna wypracowane są metody rozwiązywania go, a zresztą literatura światowa byłaby uboższa o kilka

arcydzieł, gdyby autorzy ich w dzieciństwie nie mieli możliwości zetknięcia się z tym problemem w sposób jak najbardziej osobisty. Ale cóż wspólnego mógł mieć Jonathan Miller z tym małym włóczęgą? Czekałem, kiedy ręka chłopaka poszuka kieszeni płaszcza Millera i zbada jej zawartość, lecz to nie nastąpiło. Natomiast skierowali się razem ku wyjściu. Wyszedłem za nimi z dworca po to, aby zobaczyć, jak znikają w słabo oświetlonej perspektywie ulicy. Dzisiejsza partia szachów, ostatnia partia, była stracona. Siedziałem przeto sam przy kawie i zastanawiałem się nad nową hipotezą, wynikłą z dzisiejszych faktów. Nie wydawała mi się ona prawdopodobna. Wszyscy znani mi dotąd homoseksualiści byli ludźmi wysokiej inteligencji, odznaczali się swoistą fantazją i finezją, a więc cechami będącymi, żywym i ciągłym zaprzeczeniem Jonathana Millera. Tak się nie pochyla nad młodym chłopcem homoseksualista. W sylwetce Millera pochylonego i kładącego rękę na ramieniu oberwańca nie było nic z owej quasi-męskiej, trochę śmiesznej i trochę krępującej kokieterii pederasty. Był to raczej czerwonokrzyski ruch opiekuna i społecznika. Ale skąd w Millerze te instynkty?

Nazajutrz przed południem pozałatwiałem wszystkie swoje sprawy zawodowe, zaś po południu spakowałem rzeczy. Było już ciemnawo, jak to na jesieni, i właśnie kończyłem domykanie walizki, gdy ktoś zapukał do drzwi mego pokoju. Wszedł Miller i przywitał się poprawnie. Zdziwiło mnie to w pewnym stopniu, gdyż nasza dworcowo-szachowa znajomość nie posiadała dotąd takich bliższych momentów, konkretyzujących się w odwiedzinach czy jakiejkolwiek bądź innej styczności poza peronem i kawiarnią. W tym też tkwiła jej oryginalność, na zniszczeniu której, tuż przed samym końcem, bynajmniej mi nie zależało. Nie było jednak na to rady i poprosiłem Millera, aby usiadł. Zrobił to grzecznie i powściągliwie, po czym powiedział:

– Wyjeżdża pan.

– Tak – odparłem – wszystko na to wskazuje, co pan tutaj widzi.

Odczekał chwilę, jakby chcąc coś powiedzieć. Nie podtrzymywałem rozmowy, pakując drobiazgi do podręcznego neseseru. Korciło mnie, aby spytać o wydarzenia wczorajszego wieczora, lecz była to strefa zakazana naszą milczącą umową.

– Szkoda – odezwał się znów i umilkł.

– Ja też żałuję – pośpieszyłem z rewerencjami. – Zawsze będę bardzo mile wspominał nasze wspólne partie szachów. Pan jest dobrym graczem i miłym partnerem.

– Widzi pan – zaczął i coś się w nim znów zacięło. Po chwili: – Ja mam pana za mądrego i doświadczonego człowieka – wskazał przy tym na małą maszynę do pisania, stojącą na stole, jakby ona była świadectwem mojej mądrości i doświadczenia.

– Bardzo panu dziękuję. Ale… czy mógłbym panu może w czymś pomóc? – zapuściłem delikatną sondę.

– Tak – rzekł powoli – tak. Chociaż, czy ja wiem? Tutaj nie ma mowy o jakiejś pomocy, tu trzeba tylko powiedzieć, czy tak jest dobrze, czy źle, lub co się o tym sądzi.

– Aha. Lecz ja się nie czuję uprawniony do słuchania wyznań o charakterze spowiedzi. Czy był pan z tym u księdza? – próbowałem nadać lekki, żartobliwy ton głosowi, chociaż cała dawna ciekawość, obudzona na nowo i ustokrotniona w napięciu, zbiegła się w mych uszach i oczach.

– Byłem – odparł poważnie, biorąc dialogową fintę za dobrą monetę. – U bardzo mądrego, dobrego księdza. Zrozumiał mnie i współczuł. Kazał mi żałować. Powiedział, że jeżeli moja skrucha będzie szczera, to wszystko będzie dobrze. Ale to mało. Żałowałem szczerze i to czyniło moje życie jeszcze bardziej ciężkim.

Było to słuszne i pełne prostoty. Spowiedź bardzo często nosi w sobie niebezpieczeństwo pozbycia się wyrzutów sumienia tanim kosztem. Poczułem do Millera nagły przypływ sympatii, co jednak nie przeszkadzało temu, że byłem wręcz zakłopotany i nie wiedziałem kompletnie, co powiedzieć. Wybrałem najbrutalniejszą metodę.

– Ktoś do pana przyjechał wczoraj. Czy jakiś krewny? – spytałem, łamiąc za jednym zamachem wszelkie nasze konwencje i milczące umowy. Według dotychczasowej praktyki Miller powinien byłby się zmarszczyć i pominąć to milczeniem. Stało się jednak inaczej. Twarz mu się rozjaśniła i podchwycił natychmiast:

– Nie, żaden krewny. Wie pan – okradł mnie.

– Nie stanowi to dla mnie żadnej rewelacji, o ile ja się znam na tej kategorii chłopców. Natomiast pana zadowolenie z tego faktu jest w równej mierze nieoczekiwane, jak interesujące.

– To przecież dobrze, że mnie okradł. Zresztą wziął niewiele, zaledwie stare żelazko elektryczne i ćwiartkę boczku. Inni brali więcej.

– Znaczy się, że już pana i inni okradali?

– Aha, kilku było takich. Ale jeszcze inni byli bardzo porządni. Z tymi jest gorzej. Zawsze się czuję bardzo niewyraźnie z takimi. Moja matka woli, jak nie kradną, ale ona o niczym nie wie. Uważa mnie za rodzaj dobrego misjonarza i bardzo się tym chwali w gronie swoich kumoszek.

– Jonathanie Miller – powiedziałem – lubię wymawiać pańskie imię, więc niech pan tego nie bierze za okrzyk wzruszenia, ale rzec muszę, że nic z tego wszystkiego nie rozumiem. Jak panu wiadomo, dziś jadę, nie mam jednak jeszcze biletu i muszę zanieść walizkę na dworzec. Proszę mnie odprowadzić, a trudno sobie wymarzyć lepsze miejsce do rozmowy niż nasz niezastąpiony dworzec.

– Chętnie – zgodził się i niebawem opuściliśmy mój hotelowy pokój, w którym wszystko odpychało tak, jak te same rzeczy odpychają w innych małych, prowincjonalnych hotelach na całym świecie.

Osnuła nas rzadka mgła dżdżu i atmosfera wieczoru w średnim przemysłowym mieście. W średnim, a nie dużym czy małym, bo każde z tych rodzajów posiada swoją atmosferę. Szliśmy słabo oświetloną ulicą, wzdłuż nie kończących się murów i płotów fabrycznych, zakończonych wystającym żelaziwem, z rozpiętym wzdłuż drutem kolczastym. Gdzieniegdzie pstrzyły się brudne plamy afiszów w chybotliwym świetle

rzadkich latarń. Hałdy węgla i koksu sterczały stożkowato ponad murami i płotami, raczej wyczuwalne niż widoczne w ciemnościach i mgle. Miller szedł milcząc. Niósł moją maszynę do pisania i małą walizeczkę. Krok miał jakby sprężystszy niż zwykle. Gdy spojrzałem z boku na jego twarz, znalazłem na niej wyraz natężonego namysłu, jakby trawienie jakichś myśli. W pewnej chwili zatrzymał się. i zwrócił do mnie przodem.

– Jak pan myśli – rzekł – na takiej ulicy i w taką pogodę można zrobić jakieś świństwo, prawda, co?

Nie był to ten sam Miller, którego dotąd znałem. Poczciwy przeciętniak zmienił się w jakiś konduktor naładowany niespokojną energią. Poczułem się nieswojo przez ułamek sekundy, lecz minęło to zaraz. W jego głosie nie było ani goryczy, ani brawury. Było raczej cierpienie.

– Można – mruknąłem rozgrzeszając i poszliśmy dalej.

Dworzec był pusty o tej porze. Wykupiłem bilet i przenieśliśmy bagaż na peron. Nie było zimno. Chodziliśmy tam i z powrotem po peronie, tkwiąc w postawionych kołnierzach deszczowych płaszczów. Od czasu do czasu nurkowaliśmy w mleczną parę podstawianych lokomotyw. Stukot zmienianych wagonów i inne odgłosy stacji kolejowej stanowiły najlepszy akompaniament dla słów Millera. Chwilami traciliśmy z oczu nasze twarze. Głosy nasze brzmiały jak z dalekich odległości, wspierane echem. Wszystko to czyniło z rozmowy tej dwugłos dwojga ludzi, którzy się wzajemnie szukają wśród ciemności. Z mgły, dżdżu i pary padło pytanie:

– Czy ja wyglądam na drania?

– Zadaje pan bezkompromisowe pytanie, Jonathanie Miller – odparłem po dłuższej chwili. – Myślę, że w każdym człowieku tkwi kawałek drania, a w najlepszych tylko promile. Ale te są. Wartość człowieka polega jednak nie na tym, ile gramów, czy milimetrów draństwa ma w sobie, lecz w jakim stopniu potrafi uniknąć czynienia draństw innym. Zaś przy ocenie na oko zachodzą często największe nieporozumienia. Tu trzeba sprawdzać dokładnie.

– Ja sprawdziłem. Siebie samego. Zupełnie mimowolnie, ale to było okropne.

– Wierzę panu. Takie rzeczy są straszne.

– Nie staram się w żaden sposób usprawiedliwić. Owszem, była kobieta w tej grze. Stąd łatwo o efektowne zrzucanie winy na inne rzeczy, poza samym sobą. Na afekt, zaślepienie, namiętność, słabość. Ale przecież to wszystko, aczkolwiek jest w nas samych, nie stanowi jednak najbardziej wewnętrznego, najgłębiej tkwiącego momentu. To samo mógłbym zrobić z tysiąca innych powodów, bo to tkwiło po prostu we mnie. Do dziś boję się tylko tego nieoczekiwanego i nieprzeczuwanego, co we mnie było i przeze mnie się ujawniło.

– Ma pan rację. Tego się można bać.

– Przed wojną pracowałem we Wrocławiu. Byłem tam na praktyce jako goniec a potem ekspedient w wielkiej firmie wyrobów metalowych. Nie zarabiałem wiele, lecz nie czułem z tego powodu zmartwienia. Wie pan, ja należę do bardzo skromnych ludzi. Zapewne zauważył pan całą moją drobnomieszczańskość i powszedniość i niech się panu nie zdaje, że ja o niej tak samo dobrze nie wiem jak pan. Jako młody człowiek byłem taki sam. Nie miałem wielkich zainteresowań ani wielkich namiętności, ubierałem się skromnie i źle, nie byłem snobem. Przestawałem z małymi ludźmi i nie gnębiły mnie żadne tęsknoty za czymś większym. Byłem nieśmiały, lecz wcale z tego powodu nie cierpiałem. Mój ojciec był organistą w małym, niedalekim mieście, lecz proszę nie czynić z niego w swej wyobraźni jakiegoś zapoznanego talentu i wzniosłej na prowincji duszy. Był zawsze bardzo złym organistą i nie miał nigdy żadnych ambicji artystycznych. Najchętniej przestawał z drobnymi rzemieślnikami i sklepikarzami, lubił zajrzeć do kieliszka i nigdy nie pozbył się kłopotów finansowych. Odziedziczyłem po nim jego mentalność i upodobania. Najlepiej czułem się wśród sąsiadów w tym niedużym mieście. Interesowałem się kuchennymi plotkami i najbardziej bałem się odmian i niespodzianek. Tymczasem życie w wielkim mieście nie pozwala na stanie w miejscu. Albo spycha w dół, albo

wynosi do góry, utrzymanie środka rzadko komu się udaje. Mnie wyniosło do góry, nawet, przyznam się panu, bez udziału mojej woli. Wiodłem cichy, skromny żywot młodzieńca z pryszczami na twarzy, spędzającego swe niedziele w towarzystwie śpiewaczym, gdy firma, w której pracowałem, wchłonięta została przez wielki koncern metalurgiczny z Nadrenii. Mój szef, awansując, pociągnął mnie za sobą. Zapisano mnie na kursy buchalterii, po ukończeniu których stałem się wykwalifikowanym kontystą. Nikt nigdy nie twierdził, że jestem zdolny i sprytny, ale wszyscy chwalili moją sumienność, uczciwość i solidność. Okazuje się, że jest pewien odcinek życiowej kariery, który można przebyć przy pomocy tych trzech właściwości. Nie jest on wielki, ale zawsze wystarczał, aby doprowadzić mnie do stanowiska nadbuchaltera i całkiem pokaźnej sumy miesięcznej pensji, co przy moich dwudziestu kilku latach stanowiło niemałe osiągnięcie. Czy byłem z tego powodu szczęśliwy? Bynajmniej. Pieniądze w niespodziewanych ilościach niosą ze sobą szereg skomplikowanych problemów takim ludziom jak ja. Przede wszystkim ściągają nowych znajomych, a nawet przyjaciół. W naszej firmie pełno było owych silnych, zaczepnych młodych ludzi w kolorowych krawatach i pstrych marynarkach, którzy, będąc gorzej ode mnie sytuowani, czuli się nieskończenie ode mnie wyżsi. Wcale nie pragnąłem zmieniać tych ich przekonań, lecz oni, gardząc mną, szukali nieustannie ze mną kontaktu. Oddawałem im palmę pierwszeństwa bez walki, lecz oni, biorąc palmę, chcieli walki i nie omieszkiwali mnie w niej upokarzać. Na każdym kroku piętnowali wszystko, co robiłem i jak wyglądałem, ogłaszając to za brzydkie, głupie, płaskie, nudne. Zgadzałem się z nimi w zupełności, uznawałem ich wyższość, ale pragnąłem tylko tego, co mnie się podobało. Okazało się to niemożliwością, gdyż miałem pieniądze. Gwałtem więc sprzedawali mi swój rodzaj humoru i swoje gusta, modele garniturów i recepty na zabawę. Wszystko to w zamian za drobne pożyczki, jakich musiałem im udzielać w myśl ogólnej wiary, iż zarabiam o wiele za dużo jak na moje umiejętności wydawania. Płakałem z wściekłości, widząc, jak nikną moje pieniądze za rzeczy, których nie cierpiałem i nie chciałem mieć. Ciągnęli mnie ze sobą na

wrzaskliwe mecze piłki nożnej, na których dostawałem bólu głowy i mdłości, albo na przedstawienia teatralne, dla mnie nudne i niezrozumiałe, na których zaśmiewali się z dowcipów, dla mnie w ogóle niedostrzegalnych. Pod ich terrorem kupiłem mały popularny samochód na spłaty, marząc w skrytości, że będę nim co tydzień udawać się do mojej rodziny, będę popijać z sąsiadami niedzielne piwo i grać w kręgle. To były marzenia, w rzeczywistości bowiem musiałem jeździć na modne plaże nad Odrą, na pływalnie, lub na krępujące campingi, na których czułem się źle i byłem powodem ogólnej wesołości. Nie potrafiłem pływać crawlem ani nie mogłem zmusić się do włożenia shortów, moja skóra nie znosiła opalenizny, zaś mocny alkohol i dziewczęta w nikłych kostiumach kąpielowych zdawały mi się zaprzeczeniem wszelkiej radości życia. Kiedyś upiłem się na jakiejś koleżeńskiej wieczorynce. Opowiadano mi nazajutrz, że byłem brutalny i napastowałem obecne dziewczęta. Same kobiety, gdy je następnie spotkałem, dodawały, że czyniłem to bez wdzięku, co było w ich oczach jedyną niewłaściwością. Były one dla mnie odrażające, te wymalowane, szczupłe i silne, wysportowane i bezpośrednie studentki i stenotypistki. Pachniały zawsze tytoniem, wodą kolońską i wysiłkiem w tańcu i nie pociągały mnie wcale. Nabijały się ze mnie niegorzej od mężczyzn, nigdy w oczach ich nie znajdywałem krzty współczucia czy zrozumienia. Tolerowały mnie, gdyż ich przyjaciele liczyli na moją niezawodną zdolność do płacenia rachunków. Zresztą nie zależało mi na ich współczuciu czy sympatii. W duszy i w zmysłach nosiłem ideał tęgiej i miękkiej, zasobnej w ciało i grube, spięte warkocze córki piekarza z mojej rodzinnej ulicy. Nazywała się Jadwiga, miała jasne oczy, pełne biodra i policzki, i mleczną cerę. Nie lubiła spacerów ani zbyt natarczywych pieszczot, rozpalała mnie swą biernością i miłości z nią nie mogłem sobie wyobrazić inaczej, jak tylko w ciemnym, dusznym, ciasnym od sprzętów pokoju, w wielkim, pełnym kraciastych pierzyn i poduch łóżku. Jeździłem do niej często, mieliśmy się pobrać niebawem. Myśl o nocy poślubnej, w czasie której spełnią się, w sposób zgodny z moimi przewidywaniami, wszystkie ukradkowe

i niekompletne dotąd pieszczoty, burzyła mi krew w żyłach i pozwalała lżej znosić moje wrocławskie otoczenie. Był to mój tajny rewanż w stosunku do tych spodziewających się, że stanowią dla mnie niedościgły wzór, i czerpiących z tego przekonania dobre samopoczucie oraz pożyczki. Ja też nimi na swój sposób gardziłem, tak jak gardzi się barbarzyńcami, dla których obcą jest i na zawsze obcą pozostanie prawdziwa rozkosz i szczęście.

Jonathan Miller przestał mówić, przystanął i zapalił papierosa. We mgle zamigotał przytłumiony, jakby owinięty ognik zapałki. Stałem zdumiony i zaskoczony, niemal z rozwartymi ustami, w swym przeogromnym zdumieniu. Ta elokwencja i wnikliwość, te krótkie, świetne charakterystyki i sformułowania, ta umiejętność obserwacji, analizy i wypowiedzi – wszystko to stanowiło dla mnie prawdziwy szok. Skromny, niepozorny, szary Jonathan Miller okazywał się, raz jeszcze w mych życiowych doświadczeniach, wspaniałym dowodem wszystkiego nieprzewidzianego i niewymiernego w człowieku. Ogieniek zapałki nabierał znaczenia symbolu. Czyż nie jest prawdą, że w ręku każdego z ludzi migoce stłumiony, otulony mgłą, ledwie dla nas widoczny płomyk, który zbliżony do tkwiącego w ustach papierosa oświetla właściwe rysy twarzy? Czyż nie jest prawdą, że mgła niewiedzy i dżdżu obojętności zamazuje najczęściej w naszych oczach poszczególne postacie ludzkie, z których każda jest przecież człowiekiem, potrafiącym mówić o sobie samym słowa mądre, dojrzałe, frapujące? Spojrzałem nerwowo na zegarek; pozostawały jeszcze niemal dwie godziny do odejścia pociągu. „Aby tylko zdążył wszystko powiedzieć – pomyślałem – w przeciwnym razie będę musiał odłożyć wyjazd do jutra." Miller ruszył z miejsca i znów weszliśmy w równy rytm kroków dwóch zarysowanych we mgle konturów, płynących przez peron śląskiego dworca jak przez Pola Elizejskie. Zresztą rozmawialiśmy językiem naszej epoki o rzeczach, o których rozprawia się na tychże polach od zarania wieków. Miller mówił:

– Nie danym mi jednak było zaznać koniugalnego szczęścia z Jadwigą, które wydawało mi się szczęściem jedynym. Okazało się, że istnieje inne szczęście i inna rozkosz, nagła, gwałtowna, migawkowa, niespodziewana,

zżerająca i niszcząca człowieka, łamiąca najbardziej rozpaczliwe wysiłki, na jakie zdobywa się on, gdy czuje, że tonie w lepkim, dławiącym, a dziwnie przyjemnym szlamie. Robi się czasem rzeczy, o których sądzi się, że są poniżające i głupie, a jednak nie przestaje się ich robić, dziwiąc się samemu sobie, skąd bierze się owa satysfakcja w doznawaniu tych rzeczy, których nigdy przedtem nie było w naszych myślach ani zamierzeniach. Nie pamiętam już gdzie i kiedy poznałem Urszulę. Mogło to być na meczu czy na dansingu, w kawiarni, lub na urodzinach, u znajomych. Nie zwróciłem na nią żadnej uwagi, była jedną z wielu podobnych, niczym od nich się nie różniącą. Tak samo lubiła wódkę i dzikie, jęczące melodie taneczne, tak samo była wątła i mocna zarazem i piersi jej rysowały się tak samo wyzywająco pod obcisłym, barwnym pulowerem. Może tylko oczy jej patrzyły na mnie wyraziściej, z ostrzejszą drwiną z początku, i zęby, białe, zdrowe zęby w pełnych, grubo pociągniętych szminką wargach, częściej odsłaniały się w ironicznym uśmiechu. Przez długi czas byliśmy znajomymi, kłanialiśmy się sobie na ulicy i spotykaliśmy się przy wspólnych, towarzyskich okazjach. Poza tym ignorowałem ją zupełnie i przysięgam, że nigdy nie prześladowały mnie nocne pragnienia, których Urszula byłaby sennym wyobrażeniem. Ale kiedyś zauważyłem jej baczny, jakby zamyślony wzrok, jakim na mnie patrzyła. Innym razem znaleźliśmy się obok siebie na jakiejś wycieczce. Rozmawialiśmy, nie pamiętam nawet o czym, lecz wiem, że w rozmowie tej nie było żadnych dowcipów lub gry słownej, która jedynie była w stanie wywołać w tym środowisku zainteresowanie lub śmiech. Zacząłem darzyć Urszulę pewną sympatią, z przyjemnością stwierdzałem jej obecność, starałem się być niedaleko niej na plaży i w kawiarni. Ona zaś była coraz bardziej uczynna, uprzejma i rozsądna. „Gdyby nie ta wypacykowana twarz i pozbawiona wszelkich prawdziwych powabów szczupłość, to kto wie, całkiem-całkiem kobieta", rozmyślałem o niej w biurze, w czasie pracy; było to jednak raczej notowaniem wrażeń niż konkretnym zainteresowaniem. Aż kiedyś spotkaliśmy się na urodzinach jednego z naszych wspólnych znajomych. W małym, jednopokojowym, kawalerskim

mieszkanku przestrzeń wypełniona była po sufit roześmianymi twarzami dziewcząt, dymem z papierosów, zapachem alkoholu, mężczyznami bez marynarek, opalonymi ramionami obejmujących się w tańcu par i hałaśliwymi dźwiękami jazzu. Przyjmowałem to już wtedy jako rzecz normalną, zło konieczne, które musi się stać udziałem każdego samotnego buchaltera, zarabiającego więcej, niż potrafi wydać i zaoszczędzić. Byłem już w takim stanie wmówionej hipnozy, że uważałem przebywanie w tym środowisku za społeczną konieczność. W dal odpłynęły niedziele w kółku śpiewaczym, a wyjazdy do rodziny stawały się coraz rzadsze. Musiałem chyba znajdować jakieś upodobanie w tym wszystkim, skoro nie zmieniając wyglądu, instynktów i przekonań, ciągnąłem w stronę tych ludzi. Moje wejście z naręczem butelek reńskiego wina wywołało burzę radości i śmiech. Ludzie ci nie zmieniali swego stosunku do mnie, stałem się jednak dla nich, poza moją finansową użytecznością, naturalnym elementem ich rzeczywistości. Szybko też wstawiłem się, zmuszany do licznych, ponad me możliwości, toastów. Nie mógłbym powiedzieć, aby alkohol był mi obcy i wstrętny, ale mam słabą głowę i picie nie sprawia mi specjalnej przyjemności. Tam jednak było czymś tak prostym i koniecznym jak powietrze. Znalazła się przy mnie Urszula, z którą zacząłem tańczyć. Po raz pierwszy tańczenie tych bzdurnych i zawstydzających tang sprawiło mi przyjemność i to bardzo szczególnego rodzaju. Wszystkie dziewczęta, które dotąd ze mną tańczyły, czyniły to w sposób najzupełniej obojętny, nie przestając śmiać się i żartować, trzymając me ramię jak drewniany mebel, narzekając na mą niezręczność, lub klepiąc mnie pobłażliwie po plecach. Urszula czyniła to tego wieczoru inaczej, tak jakby sprawiało to jej najżywszą przyjemność. Wtulała się we mnie w sposób, który początkowo wywołał we mnie zażenowane refleksje, potem zaś zmusił mnie do zrytmizowania mych nieporadnych, plączących się kroków. Zacząłem naprawdę tańczyć, po raz piewszy w życiu. Szukałem mym policzkiem jej rozgrzanej zabawą i alkoholem twarzy i przyciskałem mocno jej piersi do swojej. Wśród ogólnych salw śmiechu zrzuciłem marynarkę i zdjąłem mój

sztywny, przypinany, niemodny, kołnierzyk. Musiałem wyglądać jak pijany zakrystian, lecz wszystkim bardzo to się podobało, mnie zaś najwięcej. Zdało mi się naraz, że jestem nieokiełznanym hulaką, że to jest moja prawdziwa natura, a wszystko dotąd było śmiesznym nieporozumieniem. Piłem wprost z butelki, początkowo bawiłem wszystkich, lecz gdy urodziny poczęły nabierać cech orgii, przestano na mnie zwracać uwagę. Wtedy Urszula wyciągnęła mnie do korytarza, narzuciła mi na plecy marynarkę i niepostrzeżenie wymknęliśmy się z mieszkania. Na dole stał mój tani dwuosobowy samochód. Wsiedliśmy doń, Urszula z pewną obawą ze względu na mój stan, lecz ja, wbrew pozorom, nie czułem w sobie nic z alkoholowej otępiałości, niejasności, lub zmęczenia. Przeciwnie, w głowie miałem przejrzysty, wspaniały szum, prowokujący do jakichś nieznanych mi dotąd, niebywałych rzeczy. Jechaliśmy wolno szerokimi ulicami parkowej dzielnicy, jakby płynąc przez pachnące, późnowiosenne powietrze, ciemne i rozbłysłe gwiazdami. Zatrzymałem wóz i czekałem, sam nie wiedząc na co. Poczułem naraz całą postać siedzącej obok dziewczyny, jej nogi, biodra, ramiona, czułem, że przechyla się ku mnie, obejmuje i wargi jej oklejają moje wargi, rozwierają je swą mięsistą jędrnością i wprawiają cały mój korpus w stan dotąd nawet nieprzeczuwanego drżenia. Widziałem takie pocałunki w kinie, lecz śmieszyły mnie tylko swą afektowaną sztucznością. Nie byłem przecież dzieckiem, całowałem koleżanki z chóru kościelnego w mym rodzinnym mieście, w czasie wiosennych i wieczornych odprowadzań do domu. Nie byłem dzieckiem w żadnej mierze, znałem od dawna żądze szybko zaspakajane przez wiejskie dziewczyny do posług. Całowałem przecież nieraz Jadwigę, dzwoniąc zębami o jej zaciśnięte, drobne zęby i walcząc z jej ręką, broniącą mi dostępu do jej miękkich, obfitych piersi. A przecież, mimo to, pocałunek Urszuli był dla mnie czymś tak rewelacyjnie nowym, niespodziewanym i wstrząsającym, że w pierwszej sekundzie zwątpiłem w jego realność. Gdy z kolei przechyliłem się ku niej, miękko wtulonej w niewygodny fotelik przy kierownicy, gdy poczułem jej świadomą bezbronność, głębię jej pocałunku, jej twarde piersi w mej dłoni,

wąski pasek ciała pomiędzy końcem pończochy a podciągniętą przy siadaniu spódnicą – wszystko to dawane z krańcową świadomością i poszukiwaniem rewanżu, a nie przez bierność i sytuację – odczułem nagły przypływ strachu. Był to strach przed skalą możliwości, o jakiej nie śniłem, nie czytałem, nikt mi nigdy nie powiedział. Zrozumiałem w błyskawicznym skrócie, że miłość fizyczna może być nie tylko odprężeniem, jak sądziłem dotychczas, lecz czymś daleko potężniejszym i pochłaniającym, co zmusza do szukania i powoduje rozkosz, dla której słowa: zadowolenie i uspokojenie są pustym, bezwartościowym dźwiękiem. Kto wie, czy nie byłbym szczęśliwszy, gdybym tego nigdy nie poznał i nie doszedł, jak nie wiedzą i nie dochodzą tego miliony ludzi mego pokroju i typu. Ale stało się, poznałem i wymazać tego nie było można. Bardzo szybko znalazłem się u kresu, lecz całowałem nadal, bez wytchnienia, z zapamiętałą pasją neofity, aż do momentu, gdy spokojne, jasne oczy Urszuli spojrzały na mnie z pobłażliwą sympatią. „Wytrzyj sobie usta – powiedziała i roześmiała się – masz całą twarz umazaną szminką. I odwieź mnie wreszcie do domu. Już późno". Zawiozłem ją więc, wyczerpany, oszołomiony i chyba szczęśliwy. Mieszkała w odrapanej kamienicy w całkiem biednej dzielnicy wielkomiejskich slumsów. Gdy zatrzymałem wóz i chciałem ją objąć, powiedziała krótko: „Nie wygłupiaj się. Dosyć na dzisiaj – a za chwilę dodała: – Jutro jest niedziela. Jeśli nie masz żadnych planów, możemy się wybrać za miasto." Oczywiście, że nie miałem żadnych planów. Jakie zresztą mogłem mieć plany? Jadwiga, rodzina, koło śpiewacze, wszystko rozsypało się naraz jak zręcznie zbite kręgle. Byłem wściekły na siebie, że to ona, a nie ja, przypomniała niedzielę. To było przecież jasne i nieodwracalne jak słońce na niebie, że pojedziemy w niedzielę razem za miasto.

Nazajutrz leżeliśmy więc na trawie nad brzegiem Odry, o kilkadziesiąt kilometrów od Wrocławia. Na szczęście przywiozłem teczkę pełną kanapek z jajkiem i wędliną oraz kilka butelek piwa. Urszula nie zabrała ze sobą nic oprócz kostiumu kąpielowego i książki. Chciałem zaśpiewać jej znaną i prostą piosenkę Schuberta o maju i wiośnie. Wszyscy w domu i wśród

mych dawnych znajomych mówili, że śpiewam ją wyjątkowo ładnie. Po pierwszej zwrotce Urszula rzekła, abym przestał i nie był śmieszny. Poszła się przebrać w kostium i wskoczyła do wody. Nie miałem innej rady i zrobiłem to samo. Woda była strasznie zimna, Urszula odpływała daleko, wracała i zaśmiewała się z mego sposobu pływania, który nazywała stylem archaicznym. Wyszliśmy na brzeg, zziębnięci i zmęczeni i rzuciliśmy się na jedzenie. Jak dotąd nie było mowy o pocałunkach i pieszczotach. Moje nieśmiałe usiłowania zamierały w zarodku, byłem bezradny, nie wiedziałem wręcz, jak przystąpić do tego, czego pragnąłem najbardziej. Po jedzeniu Urszula położyła się z książką na słońcu, radząc mi, abym się przespał, skoro nie przywiozłem nic do czytania. Byłem zły i upokorzony, lecz bałem się myśleć o jakiejkolwiek inicjatywie. Widocznie dostrzegła moją osowiałość, gdyż usiadła przy mnie, podciągnęła wysoko kolana pod brodę i zaczęła ze mną rozmowę. Początkowo odpowiadałem machinalnie i bez głębszego zainteresowania. Pieściłem wzrokiem jej smagłe nogi, szczupłe i kształtne, dość wydatne piersi i wąskie biodra. Z czasem zacząłem przysłuchiwać się jej słowom z uwagą. Urszula mówiła o swych studiach. Wiedziałem, że jest zaawansowaną studentką wydziału architektury wrocławskiej politechniki, lecz jej znawstwo i oddanie się tej sztuce, graniczące z fanatyzmem, stanowiło dla mnie ciekawą niespodziankę. Nigdy bym jej nie posądzał o tyle głębi w traktowaniu swych studiów i przyszłego zawodu, przynajmniej to, co dotąd obserwowałem w jej zachowaniu i rozrywkach, nic na ową głębię nie wskazywało. Teraz odsłaniała przede mną, ze znajomością rzeczy, bogaty i skomplikowany świat linii, fasad, budynków, gmachów, przepajała mnie swym gorącym zainteresowaniem dla tych spraw. Bezwiednie przeszliśmy na tematy bardziej osobiste: Urszula opowiadała mi o swym życiu. Była córką artysty-malarza, pijaka i utracjusza, pozbawionego większego talentu i wszelkich skrupułów. Ojciec nie interesował się nią wcale albo w bardzo małym stopniu, matkę straciła w dzieciństwie. Wychowywała się u ciotki pod Wrocławiem w oschłym średniokupieckim środowisku, przesiąkłym zdawkowym protestantyzmem. Wujostwo kochali

ją na swój sposób, ona zaś, poza przyzwyczajeniem i rodzajem przywiązania, niczym nie mogła im się zrewanżować. Ojca kochała mimo wszystko. Zjawiał się raz na kilka lat w rodzinnym Wrocławiu, wprawiał w zgorszone osłupienie ciotkę i jej męża, córkę zaś przejmował ciągłą tęsknotą za swą kolorową, cygańsko-artystyczną fantazją. Gdy ukończyła szkołę, nastąpiło zerwanie stosunków z domem ciotki. Ciotka bowiem i jej handlowo-luterański mąż twierdzili, że jedynym zajęciem dla niezamożnej sieroty płci żeńskiej jest pielęgniarstwo i domagali się zapisania do odpowiedniej szkoły. Urszula oświadczyła im coś nieprzyzwoitego i zdała z odznaczeniem konkursowy egzamin na architekturę. Odtąd klepała ciężką biedę. Bez żadnego fałszywego wstydu opowiadała mi, ile razy była w życiu głodna i jak głód potrafi być dojmujący. „Myślisz, że te fatałaszki, kolorowe swetry i szaliki to elegancja? – mówiła z doświadczonym uśmiechem. – Gdzie tam! To tania tandetka, tylko ładna i odpowiednio noszona. My z architektury albo ci z akademii sztuk pięknych, my mamy smykałkę do takich rzeczy, że wyglądają na nas extra-klasa." Dziwna rzecz, ale nie czułem dla niej współczucia. Nie kojarzyłem nędzy, głodu i trosk z tą kolorową dziewczyną, która stała się dla mnie naraz nieznaną mi dotąd, grzeszną i podniecającą urodą życia. Nędza, troski i głód to były przecież rzeczy znane w moim rodzinnym środowisku, jakże jednak wyglądały inaczej w tej naszej interpretacji. W zasadzie byłem po stronie jej wuja i ciotki, moim zdaniem mieli zupełną rację. Człowiek powinien kontentować się danym, małym i spokojnym, zaś robić to, co wywołuje powszechny szacunek i uznanie. Cóż zaś jest bardziej godnego szacunku i uznania, niż zawód pielęgniarki? Lecz gdy wyobraziłem sobie Urszulę bez szminki, jako naturalnie bladą, poprawną siostrę szpitalną, wykrzyknąłem: „Mój Boże! Jak to dobrze, że nie zostałaś pielęgniarką!" W tej samej chwili przeląkłem się samego siebie.

Nadszedł czas powrotu. Byłem zły, rozczarowany i niespokojny. „Jak to się stało? – myślałem gorączkowo – że żadne z mych półsennych przedstawień i marzeń, na jakich spędziłem resztę poprzedniej nocy po powrocie do domu, a których spełnienia byłem pewien, nie zrealizowało się

w czasie dzisiejszego campingu? Wsiedliśmy do auta. Przed zapuszczeniem motoru próbowałem ją niezręcznie pocałować. Była to daremna, zawstydzająca, nieporadna próba. Nie broniła się, lecz nic w niej nie było z przyzwolenia, a co gorsza – zainteresowania taką ewentualną czynnością. Wyczucie śmieszności i wyraźna, znudzona dezaprobata z jej strony torpedowały jakąkolwiek akcję. Zrezygnowany ruszyłem przed siebie. W kilkanaście minut potem mijaliśmy przydrożną gospodę, rodzaj turystycznego hoteliku, zwykłego przy wielkich szosach. „Może byśmy tu zjedli kolację – zaproponowała z nagłym ożywieniem Urszula – taka jestem głodna!". Zbliżała się ósma godzina. W pustej salce jadalnej usiedliśmy do parówek i piwa. Był to najprzyjemniejszy posiłek w moim życiu. Urszula była czarująca, mówiła tysiące mądrych i niemądrych, ale zawsze ciekawych rzeczy. Interesowała się każdym mym ruchem. Zachowywała się swobodnie i godnie zarazem, jak młoda, rozbawiona dama. Wtedy też uświadomiłem sobie w całej pełni jej urodę, z dumą przypatrywałem się jej wielkim, szarym oczom w szczupłej, smagłej twarzy, jej długim palcom o wąskich paznokciach, które manewrowały szybko i trochę zachłannie widelcem i nożem, jej smukłym przegubom i fali opadających na oczy, ciemnobrązowych włosów. Doznawałem dziwnej, jedynej w swoim rodzaju satysfakcji plebejusza, służącego wielkiej pani, niewolnika i zdobywcy zarazem. Na myśl, że te palce i ramiona obejmowały mnie wczoraj i pieściły, radość ściskała mi gardło. Czułem się jak bohater kinowego romansu o pani i jej lokaju-kochanku, w kinowej, nieprawdopodobnej sytuacji. Po kolacji Urszula powiedziała tym samym co przez cały czas tonem: „A może zostaniemy tu na noc?" – „Jak to?" – nie zrozumiałem w pierwszej chwili. „Po prostu – dorzuciła – prześpimy się tutaj i wrócimy rano do Wrocławia. Odwieziesz mnie prosto na politechnikę, pojedziesz się ogolić, a potem do biura. Aha, temu tutaj gospodarzowi powiesz, że jesteśmy małżeństwem. W podobnych hotelikach nie sprawdzają dokumentów. Mają od licha takich klientów, jak my." Formalności z gospodarzem załatwiłem jak we śnie. W tym samym odrętwieniu wszedłem za Urszulą na górę. Był tam nieduży

pokoik, w którym stało szerokie drewniane łóżko. Usiadłem na krześle, nie wiedząc co czynić. Urszula rozebrała się szybko i wskoczyła pod kołdrę jak zziębnięta, rozbawiona dziewczynka. „Na co czekasz? – rzuciła spod kołdry – gaś światło i chodź. Nie będziesz przecież siedział całą noc na krześle, ty głuptasie." To, co tej nocy przeżyłem, było dla mnie objawieniem nowego świata pojęć i doznań; czytywałem nieraz popularne powieści o rozmaitych cesarskich oficerach huzarów, tych arystokratycznych nierobach i nicponiach, którzy zabijali z miłości swe kochanki i popełniali samobójstwa. Uważałem to za bzdury, zaś postępowanie takie za najzupełniej nierealne. Moje doświadczenie w zdobywanej dotąd rozkoszy, a nawet to, czego najoptymistyczniej w przypływach najbogatszej fantazji spodziewałem się od Jadwigi, nie pozwalało mi na zestawienie tych spraw z potężnym, przerażającym zagadnieniem śmierci. Można umierać lub zabijać na wojnie, owszem, tego mnie nauczono i stanowiło to dla mnie prawo moralne, wiara w mniejszym już stopniu obowiązywała do takich rozwiązań ostatecznych, lecz zabijanie lub umieranie z miłości czy rozkoszy wydawało mi się czystym nonsensem, niepoważną, nieistniejącą fanfaronadą. Gdy po bezsennej nocy leżałem nad ranem obok stulonej, wyczerpanej, drzemiącej Urszuli, pojąłem naraz sens owych sensacyjnych plotek na ten temat. Z całą moją przyziemną trzeźwością i rozsądkiem zrozumiałem od razu, że od tej nocy będę posłusznym niewolnikiem tej dziewczyny. Jasno dostrzegałem, do czego może to doprowadzić, lecz wiedziałem także, że nie znajdę w sobie sił zdolnych przeciwstawić się namiętności. Namiętność było to pojęcie, które uważałem dotąd za wymysł papierowych ludzi z książek, ludzi nie znających prawdziwych kłopotów, półwariatów, dla których nie istniały problemy codziennego życia. Namiętność wiodła ze sobą zazdrość i upadek, zaś upadek był dla mnie, syna organisty, jedynie konsekwencją grzechu, lub w najgorszym razie – niepowodzenia w interesach. Zazdrość? Ta już była we mnie. Przypomniałem sobie opinię Urszuli o „podobnych hotelikach." Skąd ona o tym wiedziała? Czy bywała już w podobnych hotelikach z innymi? I ile

razy? Zbudziłem ją natrętnym pocałunkiem. Oddała go sennie i leniwie, lecz bez ociągania się. Znów była gotowa do objawiania mi nowych, niepojętych cudów, ta niezmordowana mistrzyni, „Słuchaj – szepnąłem – czy ty mnie kochasz?" „Zwariowałeś – odparła przytomnym pełnym głosem – skąd ci to przyszło do głowy? A zresztą ty mnie także nie kochasz, mówię ci, zapamiętaj to sobie. Nigdy nie możesz i nie będziesz mnie kochać. Miłość to zupełnie coś innego." Skończyło się nowym, gwałtownym uściskiem, w którym były nowe objawienia i już akcenty rozpaczy.

Wróciliśmy do Wrocławia. Odwiozłem Urszulę na politechnikę i udałem się natychmiast do wielkiego magazynu konfekcyjnego, gdzie kupiłem wzorzystą, luźną marynarkę i krawat w oślepiających kolorach, taki, jaki nosili moi męscy znajomi. W biurze powitano mnie z pełnym ironii uznaniem. „Cóż, cywilizujesz się – rzekł najbardziej światowy z naszych młodych urzędników, który winien był mi całkiem przyzwoitą sumę – ale dlaczegoś z tego powodu tak zbladł?" Czułem w sobie przepyszne, radosne zmęczenie i pełne zadowolenie z nowych elementów mego zewnętrznego wyglądu. Natomiast Urszula powiedziała wieczorem: „Jesteś skończonym idiotą. Zrzuć z siebie te łachy. Wyglądasz w nich, jak bezrobotny klown. Wolę cię stokrotnie w twym dawnym ubraniu. To nic, że przypominasz w nim stolarza na niedzielnej wizycie u szwagra, ale za to masz swój własny styl. A styl to bardzo wiele". Wróciłem więc do dawnej skóry, aczkolwiek było to silnym ciosem w świeżo zakwitłe ambicje. Wyłaniały się przede mną inne, daleko groźniejsze problemy.

Odnajmowałem wtenczas pokój w mieszkaniu pewnej bogatej bogobojnej wdowy, dla której byłem uosobieniem wszystkich chrześcijańskich cnót męskich i kawalerskich. Jej piętnastoletnia córka rumieniła się, gdy wychodziłem z ubikacji. Przez dwa lata nie odwiedzał mnie nikt, zaś co rano otrzymywałem identycznie takie samo śniadanie na serwetce ozdobionej wyhaftowaną maksymą: „Wstrzemięźliwość i cnota – to radość i ochota". Moja gospodyni uważała mnie za wzór sublokatora. Skutki, jakie mogłaby wywołać wizyta Urszuli w moim pokoju, równałyby się

rewolucji i trzęsieniu ziemi na raz. Decyzję na taką wizytę powziąłbym chyba tylko w przypływie najbardziej desperackiej odwagi. Ale co robić? Urszula mieszkała wraz z dwiema koleżankami w ciasnym, niewygodnym pokoiku przy jakiejś niezamożnej rodzinie. Tymczasem już po dwóch dniach doszedłem do wniosku, że jeśli nie dostanę od niej drugiej takiej nocy, to zwariuję w trybie nagłym i nieodwołalnym. Przy pracy popełniałem straszliwe, brzemienne w skutki omyłki. Zachowywałem się jak lunatyk. Na stronicach księgowanych przeze mnie sald, debetów i kont, pokrytych kolumnami liczb, skakały przede mną urojone obrazy i konkretne wspomnienia, w następstwie których arabskie cyfry zaczynały nabierać cech lubieżnych. Najdziwniejsze skojarzenia wywoływały ósemka, szóstka i dziewiątka. Wieczorami, gdy umawiałem się z Urszulą w kawiarni, na godzinę przed oznaczoną porą oczekiwałem już przed kawiarnią. Ponieważ spóźniała się zazwyczaj o pół godziny, oznaczało to dla mnie pięć tysięcy czterysta sekund wypatrywania jej postaci wśród ulicznego tłumu. 5 400 sekund rozpaczy, niepewności i zwątpienia. Albowiem niczego nie mogłem być pewny, wszystko wisiało pomiędzy księżycem a moją osobą na ziemi, w kosmosie przyjacielskiej obojętności, z jaką odnosiła się do mnie w ciągu tych dni Urszula. Nie mogłem tego pojąć, wydawało mi się, że to, co przeżyliśmy, łączyło raz na zawsze nas dwoje na śmierć i życie, lecz Urszula najwidoczniej nie była tego samego zdania. Całym swoim zachowaniem jakby ignorowała to, co pomiędzy nami zaszło. Pod koniec tygodnia zdecydowałem się na rewolucję i trzęsienie ziemi. Zaprosiłem Urszulę do siebie, dodając z błagalną prośbą, że najtrudniejszą rzeczą będzie prześliznąć się przez korytarz, w moim zaś pokoju, jeśli będziemy się odpowiednio cicho zachowywać, nie będzie już żadnych powodów do obaw. Urszula spojrzała na mnie z ironią. „Mój drogi – powiedziała – nie mam zwyczaju odwiedzania mężczyzn potajemnie. Jeśli masz mieć z tego powodu nieprzyjemności, to doprawdy, skórka nie warta wyprawki." Czułem, jak słowa te zwalają całe gmachy marzeń o rozkoszach raju, snutych przeze mnie przez ostatnie kilka nocy. W przypływie rozpaczy, powodowany raczej

intuicją niż wiedzą, zaproponowałem hotel. „To mnie nie znasz – odparła zimno – ja nie jestem z tych, co załatwiają te sprawy w hotelach. A już w żadnym wypadku z tobą. Zresztą w piątek wyjeżdżam na trzy dni z całym klubem w góry."

To był cios ślepy i bezsensowny. Przez sobotę i niedzielę leżałem bez przerwy na swym łóżku, wypalając nieskończoną ilość papierosów, bez chwili snu przez dwa dni i dwie noce. Myślałem i cierpiałem, zaś im jaśniej i skuteczniej myślałem, tym więcej cierpiałem. Uświadomiłem sobie, że jestem w mocy niezrozumiałych dla mnie potęg, ciemnych i groźnych, dla których nie istnieją prawa logiki i ładu i które oddalone są o całe lata świetlne od tego, co rozumiałem przez słowo „miłość". Milion razy zadawałem sobie pytanie, jaka była moralna różnica pomiędzy podmiejskim hotelikiem, w którym przeżyłem rzeczy z pogranicza snu i rzeczywistości, a każdym innym hotelem, i milion razy nie znajdywałem odpowiedzi. Gryzła mnie dręcząca, bezsilna zazdrość. Na zewnątrz świeciło słońce, słychać było przyjemny gwar wiosennej niedzieli, ja zaś leżałem nieogolony w łóżku i łzy spływały mi po nieruchomych policzkach na myśl o tej bandzie wesołych i zdrowych drabów z klubu sportowego, którzy w tej chwili oglądają bez krzty nabożnej czci gołe nogi Urszuli w shortach i ocierają się o jej okryte lekką bluzką piersi. Dlaczego słowem nawet nie dała do zrozumienia, że interesuje ją, co ja będę tej niedzieli robić? Dlaczego nawet najmniej obowiązująca propozycja wspólnej jazdy nie wyszła z jej ust? Jedyną odpowiedzią było zaniepokojone krzątanie się mojej gospodyni, która nie mogła zrozumieć nic z mego zachowania i już dwukrotnie pytała, czy nie jestem chory.

W poniedziałek powlokłem się do biura jak człowiek naprawdę ciężko chory. Ledwie usiadłem przy biurku, zadźwięczał telefon. W słuchawce wibrował głęboki, uprzejmie rozbawiony głos Urszuli. Wszystko dokoła, ludzie, sprzęty, powietrze, przegrupowało się w mych oczach jak w kalejdoskopie; ponura, czarna kombinacja szkiełek zmieniła się z chrzęstem w jasną, barwną i radosną. Urszula pytała, jak bawiłem się

w niedzielę, ta czarownica, po czym oświadczyła, że ma mi coś ważnego do powiedzenia i spytała, czy mogę zwolnić się z biura. W kilka minut potem byłem na oznaczonym miejscu. Opaliła się przez te trzy dni i nosiła jakąś nową, ładną sukienkę, „Źle wyglądasz – powiedziała, lecz nie interesowała się bliżej, jak spędziłem czas – wiesz, myślałam o tobie i zdaje się, że coś wymyśliłam." Po czym poinformowała mnie, że muszę zmienić mieszkanie i że ona już coś dla mnie ma. Było to najzupełniej nieoczekiwane, a przecież tak cudownie proste. Sam nigdy bym na to nie wpadł. Zgodziłem się też bez wahania. Urszula zaprowadziła mnie do jednego z tych wielkich, nowoczesnych domów w najnowszej dzielnicy, gdzie na siódmym piętrze obejrzałem mały, wytworny apartamencik, złożony z miniaturowego hallu, jasnego, współcześnie uformowanego pokoju z łazienką i rodzajem balkonu. Czułem się tu jak szewc w chemicznym laboratorium; wszystko to było ciekawe, nawet ładne, ale straszliwie obce. Komorne wynosiło sumę piętnastokrotnie wyższą od tej, jaką płaciłem za swój kawalerski pokój przy rodzinie. Cóż miałem robić? Wynająłem. Jeszcze tego samego dnia wymówiłem mojej gospodyni, która patrzała na mnie z pełnym wyrzutu smutkiem. Czułem się jak renegat. Z głębi walizki, z pokładów bielizny, wyciągnąłem swoją książeczkę oszczędnościową. Posiadałem sporo zaoszczędzonych pieniędzy, przeznaczonych na ślub z Jadwigą i inne inwestycje. W przyszłości planowałem kupno nieźle prosperującego sklepu kolonialnego w moim mieście. Dotąd suma ta zwiększała się nieustannie, teraz, po raz pierwszy, miałem ją naruszyć. Kupiłem żelazne, składane łóżko, stół, kilka krzeseł. Nazajutrz byłem już na nowym mieszkaniu, a wieczorem przyszła Urszula. „To straszne – powiedziała na wstępie – te ohydne sprzęty. Ale nic. Ja to zmienię." Noc, która nastąpiła, przeszła wszelkie moje wyobrażenia i przeczucia. Byłem małym, głupim, zagubionym w błogosławionych ciemnościach uczniakiem, któremu odsłaniano wielkie tajemnice życia. Byłem gotów oddać wszystko, swą duszę, swe siły i ostatni grosz z oszczędnościowej książeczki za trwanie tej wspaniałej nauki. Rano Urszula oświadczyła: „Właściwie nie widzę powodu, dla którego mielibyśmy

mieszkać oddzielnie. Jestem teraz kompletnie bez forsy i zastanawiałam się nawet nad koniecznością przerwania studiów. Zjawiłeś się w samą porę." Byłem już innym człowiekiem. Przed dziesięciu dniami sytuacja, która teraz wynikła oraz jej uzasadnienie wydawałyby mi się wstrętne, nikczemne, odpychające i karygodne. Tego ranka uważałem to za cudowne, mało – za jedyne i ożywcze rozwiązanie zagadki bytu.

Nastąpiły dwa miesiące, w czasie których liczyły się tylko noce. Dnie były odrętwieniem lub piekłem. Mieszkanie moje zapełniło się sprzętami i ludźmi, których nie cierpiałem i nie rozumiałem. Nienawidziłem kupionych przez Urszulę za moje pieniądze niskich, kokieteryjnych stoliczków i głębokich, klubowych foteli, jedynie szeroki, modny tapczan przemawiał do mnie zrozumiale. Nie znosiłem rozpierających się w fotelach, przystojnych chłopców i barwnych dziewcząt w krótkich spódnicach, śmiejących się z najbardziej szanowanych przeze mnie spraw, zaś rozprawiających gwałtownie o rzeczach, które mnie wydawały się śmieszne. Urszula należała do nich, śmiała się z ich dowcipów, pasjonowała się ich sprawami. Dla mnie była antypatyczna i niegospodarna, drażniły mnie jej maniery i poglądy, wszystko zaś, co ja czyniłem, spotykało się z jej pogardliwą obojętnością. Zresztą nie dochodziło między nami nigdy do żadnych scysji. Bałem się jej, słuchałem we wszystkim, wiedziała też o tym dobrze i nie nadużywała swej władzy. Byłem jej doskonale obojętny. Ja też doszedłem w końcu do wniosku, że o miłości z mojej strony nie było mowy. Była tylko ogromna, pochłaniająca namiętność, mój życiowy horyzont kończył się bez reszty na piersiach i biodrach tej dziewczyny. Czasem przychodziły reflekcje bolesne, lecz nigdy nie buntownicze.

Natomiast sytuacja finansowa pogarszała się w sposób stały i znamienny. Urszula nie uznawała jadania w domu, skoro, jak mówiła, można to było wygodniej załatwić. Wygoda ta pochłaniała dużo pieniędzy. Komorne nadwątlało moją pensję, zaś owa tania elegancja Urszuli okazała się mitem kiedy tylko można było zastąpić ją drogą i prawdziwą. Nie przeczę, Urszula potrafiła ubrać się jak skończona dama. Mówiła, że nigdy w życiu nie miała

możności wykazania swych talentów na tym polu i że teraz nie powinienem jej żałować tych drobnostek. Drobnostki pochłonęły samochód, który z jakiegoś specyficznego powodu Urszula nie uważała za niezbędny i wstrząsnęły depozytem. Zaczęło przeświecać dno. Moje nowe życie nie pozostało bez wpływu na pracę. Wszyscy wiedzieli o nim, podziwiali moje uwspółcześnienie i życiową przebojowość, ale zarazem skończyły się gratyfikacje i premie za solidność i przykładową pracę, której już nie mogłem z siebie dać, ja, niewolnik zmysłów, jak w zeszytowej powieści. Wydatki zaś rosły nieproporcjonalnie do wpływów. Jednocześnie zaczęła mnie drążyć straszna myśl, co będzie, gdy skończą się pieniądze? Kiedyś spróbowałem nieśmiało przeciwstawić się jakimś żądaniom finansowym Urszuli i napomknąłem cicho, że jestem w kłopotach pieniężnych. „Taaak – rekła Urszula przeciągle i chłodno – tego się nie spodziewałam". Po czym dodała jakby w zamyśleniu; „ A ja przecież muszę skończyć studia…" Ogarnęło mnie drętwe przerażenie. Nie to było ważne, że skonkretyzowały się me najtajniejsze podejrzenia o istotnym znaczeniu mojej osoby w tym związku, nie to, że brutalnie postawiony zostałem przed brzydotą pewnej prawdy o tej dziewczynie, lecz możliwość jej utraty po wyczerpaniu się środków stanowiła dla mnie groźbę śmiertelną. Upadłem tak nisko, że gotów byłem świadomie za to płacić, aby tylko zatrzymać ją przy sobie. Problem zwęził się. Chodziło już tylko o posiadanie pieniędzy, a więc te musiałem zdobywać za wszelką cenę. W kilka dni potem, gdy sobie to dogłębnie uświadomiłem, zjawił się Willy.

Urszula przedstawiła mi go jako swego byłego narzeczonego. „To mój pierwszy narzeczony" – powiedziała dokładnie. Nie wnikałem bliżej w określenie, tak jak nigdy nie wiedziałem, ilu tych narzeczonych było. Na początek wystarczyło mi, że Willy stanowił moje krańcowe przeciwstawienie i był tym wszystkim, czym dokładnie ja nie byłem. Wysoki, silnie zbudowany, stale uśmiechał się owym miłym, otwartym uśmiechem współczesnych, młodych i zadowolonych z życia chłopców. Był zawodowym piłkarzem o międzynarodowym rozgłosie, ostatnio czołowym zawodnikiem

jednego z węgierskich klubów zawodowych. Przyjechał do Wrocławia opromieniony sportową sławą i olśniewający barwnością swych zagranicznych szalików, koszul i kapeluszy. Uśmiechnął się do mnie serdecznie i nie wyczułem w nim bynajmniej wrogości czy chęci odebrania mi mojego szczęścia. Niebezpieczeństwo tkwiło w Urszuli, a nie w Willym, bowiem ani on, ani ja nie decydowaliśmy o niczym. O wydarzeniach decydowała Urszula.

Jeszcze tego samego dnia, całkiem przypadkowo, podsłuchałem fragment ich rozmowy. „Skąd wytrzasnęłaś takiego?" – pytał Willy głosem, w którym nie było pogardy, lecz rodzaj przyjacielskiej drwiny. „Proszę cię, tylko bez nabijania się – odparła Urszula – on wcale nie jest taki głupi, przynajmniej w pewnych rzeczach. Ma w sobie dużo ciekawej, małomiasteczkowej witalności." Przełknąłem ślinę z gorzką satysfakcją. Tego samego wieczora zapłaciłem duży rachunek za kolację powitalną na cześć Willy'ego. Bankructwo zbliżało się nieuchronnie, a wraz z nim sytuacja komplikowała się tragicznie. Następnych kilku nocy Urszula nie spędziła w domu. Wracała we dnie, nie mówiła nic o tym, gdzie była. Zresztą o nic też nie pytałem. Wiedziałem, jaką odpowiedź, jasną i prostą, bez kłamstw i usprawiedliwień, otrzymam, gdy spytam, więc po co? Po nocach szalałem z tęsknoty. Gdy po kilku dniach wybraliśmy się znów we trójkę na kolację, Willy nie wykazywał w stosunku do mnie żadnego zakłopotania, natomiast wiele uprzejmej życzliwości. Urszula wróciła ze mną. Podejrzewałem głucho, że uczyniła to za namową Willy'ego, i byłem mu nawet trochę wdzięczny. Najprostsze, zaszczepione mi przez rodzinne środowisko kryteria złego i dobrego rozpadły się we mnie w niepojęty sposób. Odtąd musiałem zdobywać pieniądze na wystawne kolacje, dansingowe szaleństwa i pijaństwa. Musiałem za wszelką cenę, gdyż od czasu do czasu Urszula z najobojętniejszą swobodą oświadczała, że dziś śpi w domu, i wtedy otrzymywałem swoją dawkę narkotyku. Brzydziłem się samego siebie, lecz to nie pomagało nic. Książeczka oszczędnościowa stała się odległym

wspomnieniem, zacząłem pożyczać. Wkrótce wyschły wszystkie źródła i możliwości pożyczkowe we Wrocławiu. Wtedy pojechałem do domu.

Przyjęli mnie tam wrogo. Wiedzieli o wszystkim, lecz pomoc czy współczucie mogłoby być ostatnią konsekwencją tej wiedzy. „Jak ty wyglądasz! – krzyknął mój ojciec. – Mieszkasz z jakąś lafiryndą i co się z tobą stało? Jakżeś postąpił z Jadwigą!" Jadwiga – mój Boże, uświadomiłem sobie z całą ostrością, że nie myślałem o niej od niepamiętnych czasów. Wypadła ze mnie przed wiekami i na wieki jak wymazana gumką kreska, pokryta inną, grubą, ołówkową linią. Ale cóż obchodziła mnie Jadwiga i zdanie mojego ojca o moich postępkach? Nie zależało mi na czyimś zdaniu, dobrej radzie czy litości, potrzebowałem pieniędzy. Gdy powiedziałem o tym ojcu, zawołał ostro: „Zwariowałeś! My tu żyjemy biednie, lecz w dobrych obyczajach, a ty chcesz pieniędzy na twoje bezeceństwa!…" Nie powiedział: „Idź precz!", lecz i tak sam sobie poszedłem. Nie mogli mnie zrozumieć i nie miałem o to do nich pretensji. Gorzej, że nie dostałem ani grosza. Trzy godziny do odejścia pociągu włóczyłem się w jesiennym deszczu po tym mieście. Wiedziałem, że nie mam po co wracać, nie potrafiłem jednak nie wrócić. Nie marzyłem, nie buntowałem się, nie modliłem, nie usiłowałem upić się, oszołomić, zapomnieć. Nie błagałem Boga o cud uwolnienia mnie z męki, gdyż wiedziałem, że cudów nie ma, tak jak nie miałem w tej chwili pieniędzy. Jasne było dla mnie to, że jedynie ona może mi pomóc, odchodząc ode mnie raz na zawsze. Było to jednak rozwiązanie równe zabójstwu. Poza nim widziałem już tylko czarną, bezkształtną plamę, żadnej przyszłości. Nie wierzyłem w życie i jego możliwości. W pociągu stanąłem w pustym korytarzu. Stukot kół wybijał w mym mózgu uporczywe „nic-nic-nic… Nie-mam-pieniędzy-nie-mam-pieniędzy…" Dalej nie mogłem sięgnąć myślą. Czułem dreszcze i jakąś wzbierającą we mnie chorobę. Patrzałem tępo na jedyną oprócz mnie osobę w korytarzu. Był to młody, może czternastoletni chłopak, siedzący na małym drewnianym kuferku, typowy syn wiejski, jadący do miasta. Wszystko w nim wskazywało, że podróż ta jest wielką przemianą w jego

życiu. Miał na sobie tanie, odświętne ubranie, ciężkie, toporne, ale nowe buty i czystą, świeżo wypraną, barchanową koszulę w ordynarną kratkę. W ciężko sformowanej, zdrowej, rumianej twarzy tkwił perkaty, niezgrabny nos i małe, twarde oczy. „Na pewno – myślałem – jest to jeden z tych, którego rodzina wysyła do terminu, czy do szkoły rzemieślniczej, by zdobywał lepszą przyszłość. Głupie, chłopskie nasienie! Ten tępy prostak spodziewa się, że wytrwałą pracą zdobędzie sobie miejsce w życiu, że zależy to tylko od niego, że wróci pełen wrażeń i pieniędzy do swej wsi, aby spokojnie profitować. Nie wie, co to znaczy wielkie miasto i jego pokusy, ten piekielny młyn obcego środowiska, który zmiażdżył już tyłu i zmiażdży i jego". Pomyślałem sobie, że kilka lat temu musiałem tak wyglądać, jadąc tym samym pociągiem w tym samym kierunku i ożywiony tymi samymi nadziejami. I proszę, oto ja dzisiaj, po latach pracy i dorobku. Gdyby mi ktoś wtedy powiedział, co się ze mną stanie, nie mógłbym w ogóle pojąć jego słów nieznanych memu realnemu światu prostych potrzeb i doznań, światu kawałka chleba z masłem, kubka kawy, twardego łóżka, pieca i prostodusznej moralności. A ten jedzie, jak bezmyślna ćma, w tysiące nieszczęść, których powstawania i rozwoju w sobie samym nawet nie jest w stanie przeczuć.

Chłopiec wyjął z kieszeni jakieś starannie złożone papiery i przez chwilę przeglądał je z uwagą jakby sprawdzając ich obecność. Złożył je, schludnie, z wieśniaczą zapobiegliwością i włożył do kieszeni. Potem wyjął portfel. Musiało to być jego wielkie osiągnięcie, ten tani, zwyczajny ceratowy portfel, jaki za grosze nabyć można w każdym straganie pasmanteryjnym, gdyż trzymał go nieledwie czubkami palców, w wielkim poczuciu wagi tego przedmiotu. Z przegródki wystawały końce dwóch banknotów. Były to dwie pięćdziesięciomarkówki, skrupulatnie zgięte i świeże. Wysunął je i przyjrzał im się z widocznym szacunkiem, z miłością nieledwie, tym dwóm kawałkom papieru oznaczającym w tej chwili dla niego wszystko, teraźniejszość, przyszłość i wstęp do realizacji zamierzeń. Na widok pieniędzy coś się we mnie ocknęło. Refleksje ustąpiły uczuciu. Pieniądze! Sto marek – a więc dwa

dni, z grubsza licząc, z Urszulą i z Willym. I być może – dwie noce z Urszulą. Pieniądze za wszelką cenę, tak, muszę je mieć. Uświadomiłem sobie w tej chwili, że jeśli dotąd nie przyszło mi do głowy, aby kraść czy rabować, to tylko dlatego, że byłem słaby, tchórzliwy i nieporadny. Nie czułem się na siłach, aby coś w taki sposób osiągnąć. Tutaj zaś był rzadki wypadek mojej przewagi pod każdym względem. Byłem niewątpliwie silniejszy fizycznie, bardziej doświadczony i śmielszy od tego chłopca, to przecież leżało w naturze rzeczy. Oczywiście, mowy nie mogło być o innym układzie sił, układ ten wykluczał wszelkie ryzyko, ryzyka zaś bałem się zawsze w mym życiu najwięcej. I wtedy przyszła mi do głowy myśl najpodlejsza: jaka przedziwna mądrość rządzi życiem! Przecież zabierając mu te pieniądze robię w gruncie rzeczy dobry uczynek sobie i jemu, działam dla swojego i jego dobra, zmuszając go do powrotu, zawrócenia z drogi, panicznej ucieczki do własnej gleby. Tak, tak, życie jest dobre i mądre, gdy pozwala mamić się własnym sensem. Kiedy dojeżdżaliśmy do Wrocławia, byłem dogłębnie przekonany o swym posłannictwie. Wyszedłem za nim z dworca. Chłopak szedł wolno, wyraźnie niezdecydowany. Na placu przed dworcem przystanął. Był widocznie pod wrażeniem wielkomiejskiego ruchu. W siąpistym deszczu, na mokrej jezdni, wśród wilgotnego, ciemnego, nieprzejrzystego powietrza krzyżowały się reflektory aut, tramwaje, dzwonki, klaksony, tłum ludzki. Chłopiec był zbity z tropu. Stał, rozglądając się niepewnie, mglisty wieczór nie pozwalał na dowierzanie własnemu wzrokowi. Podszedłem doń szybko i spytałem, dokąd chce iść. Poznał we mnie współpasażera z wagonu, we wzroku jego nie było zaufania, za to była bezradność. Wyjął jakąś kartkę z zapisanym adresem i wymienił ulicę. Powiedziałem, że idziemy w jedną stronę i że go zaprowadzę. Ruszyliśmy z miejsca. Przez kilka minut zadawałem pytania, na które chłopiec odpowiadał lakonicznie i niezręcznie. Nie był gadatliwy. Pochodził z wioski niedalekiej od mego miasta. Do Wrocławia przyjechał na naukę i praktykę w dużych warsztatach ślusarskich. Trafność mych obserwacji i sądów przejęła mnie gorączkową radością. Czułem przy tym, że coś nie jest

w porządku z mym sercem i mózgiem, drżałem na całym ciele. Ciemność i mgła pokrywały wszystko. Byłem tak skoncentrowany na mojej najnowszej koncepcji działania i tak przejęty umacnianiem słuszności tego, co miało się stać, że myśl o przyczynie wszystkiego, o Urszuli i nocach z nią, o tych, które były i o tych, na które czekałem, znikła gdzieś niedostrzegalnie. Narastało we mnie coś nowego. Oczywiście, nie szedłem w kierunku pożądanego przez chłopca adresu. Prowadziłem go w długie, słabo oświetlone, fabryczne ulice, rozciągnięte wzdłuż niemych o tej porze zabudowań i gołych, mokrych murów. Nie spotykaliśmy na swej drodze nikogo. W pewnej chwili przystanąłem obok wysokiego drewnianego płotu, w mdłym kręgu zawieszonej wysoko latarni. Dalej ulica ginęła w zupełnym mroku. Chłopiec przystanął również, nie wiedząc, o co chodzi. Złapałem go za marynarkę. „Oddaj pieniądze!" – usłyszałem swój własny głos. W ustach czułem suchą żółć. Oczy chłopca, blisko moich, wyrażały niepojęte zdumienie, dopiero w sekundę potem rozbłysły rozpaczliwym przerażeniem. Zaczął się bronić z dużą siłą krzepkiego wyrostka. Przyparłem go do mokrych desek i z całej siły uderzyłem kilkakrotnie, na ślepo, w twarz i brzuch. Skulił się, jęcząc piskliwie. Bijąc, wyszarpnąłem mu portfel z wewnętrznej kieszeni marynarki. „Ty gówniarzu! – krzyczałem – wracaj do swojej wsi! Jeszcze mi kiedyś podziękujesz za to, co dla ciebie zrobiłem…" Chłopak wyrwał się z mojego nacisku. Raz jeszcze dostrzegłem jego zapuchłą twarz i małe oczy, ziejące bezsilną, chłopską nienawiścią. We mgle i sypkim świetle, wyglądał strasznie. Szybko porwał z bruku swój kuferek i zaczął uciekać w stronę, z której przyszliśmy.

Poszedłem prosto przed siebie, w wilgotną czarność. Nie myślałem o niczym, szedłem szybko, nie czułem zmęczenia. Nie wiem, jak długo szedłem zupełnie ciemną ulicą. Wszystkie myśli i uczucia wymiotło ze mnie do czysta. Byłem pusty, kompletnie pusty, jakby wypruto ze mnie całe wnętrze i została tylko najbardziej zewnętrzna powłoka, ciało, skóra, ręce, nogi, ubranie. Przede mną znów zamigotały światła i za chwilę znalazłem się na oświetlonej ulicy. Krok za krokiem zbliżałem się do coraz ludniejszych

dzielnic. Przechodnie, samochody, tramwaje, ludzka obecność wokół znaczyła się coraz wyraźniej. Wtedy przyszło pytanie: co ja zrobiłem? – a wraz z nim automatyczna odpowiedź: świństwo. Ohydne, brudne, niskie świństwo, plugawe draństwo ostatniego rzędu. Wyrządziłem straszliwą krzywdę słabszemu od siebie człowiekowi, zabiłem własnymi rękami jego nadzieje i jego przyszłość, zabrałem mu jego życiową szansę, a co najgorsze – znieprawiłem, zdeptałem i obrzuciłem błotem to wszystko, co chłopak ten myślał i wiedział o świecie i życiu. Dlaczego to uczyniłem? Dlaczego? I tu przyszło wielkie, oczyszczające zdumienie. Nie potrafiłem znaleźć odpowiedzi, dlaczego to zrobiłem. Przecież chyba nie dla Urszuli, tej dziwki i jej łóżkowego lunaparku? A więc dlaczego? Mój Boże, nie potrafię już znaleźć słów na określenie tego, co się ze mną działo. Wiem tylko, że było coś radosnego w tym bezdennym chaosie i upadku: radosna świadomość małości własnych nieszczęść i pożądań wobec ogromu cudzej krzywdy. Pobiegłem z powrotem na miejsce pod latarnią, wołałem na głos, jak wariat, oczywiście na próżno. Teraz, po tylu latach rozpamiętywań, rozumiem, dlaczego febrę leczy się chininą, która wzmaga dreszcze i dygotanie chorego. Ten brudny czyn i związana z nim krzywda – to była moja chinina, lecząca konwulsyjnymi drgawkami z dławiącej mnie od miesięcy febry. Jak szalony wpadłem do pierwszego z brzegu komisariatu. Cud, że mnie wtedy nie zatrzymano, musiałem przecież strasznie wyglądać, rozpalony, rozdygotany, mokry. Pytałem, czy nie znaleźli młodego chłopca, który zaginął, mój krewny, kuzyn, brat. Dyżurny policjant patrzał na mnie podejrzliwie, ale pozwolił mi odejść. Pobiegłem do mego mieszkania. Urszuli nie było. Spakowałem swoje rzeczy, rozmontowałem meble tak, aby gotowe były do natychmiastowego wyniesienia. Pracowałem całą noc. Nad ranem umyłem się i poszedłem do owych warsztatów ślusarskich, których adres zapamiętałem. Rozpytywałem o chłopca, jeszcze go tam nie było. Było to ryzykowne, lecz wtedy nie zdawałem sobie dokładnie sprawy z możliwych konsekwencji. Pozostawiłem dlań kopertę z portfelem, pieniędzmi i małą kartkę, na której napisałem: „Przebacz mi". Było to śmieszne, głupie,

melodramatyczne i ckliwe, lecz czyż zna pan człowieka, który nie ma w sobie choć odrobiny śmieszności, głupoty i ckliwego sentymentalizmu? Wróciłem do domu, zaś w pół godziny potem przyszła Urszula. Powiedziałem jej krótko: „Zabieraj swoje rzeczy i wynoś się". Musiało coś być we mnie, czego dotąd nie znała, a co podziałało na nią widocznie, gdyż spojrzała na mnie z podnieceniem i ogromnym zainteresowaniem. Pytała o coś, lecz nie wyrzekłem więcej ani słowa. Spakowała swoje rzeczy do dwóch dużych walizek, gdy się tu zjawiła, miała tylko jedną, małą. Powiedziała, że przyśle po te walizki. Chciała się ze mną pożegnać. Popatrzyłem na nią jak na obcego człowieka i rzekłem: „Do widzenia". Powiedziała: „Nie spodziewałam się tego po tobie". W głosie jej nie było żalu czy złości. Był tylko wielki podziw.

W ciągu dwóch dni sprzedałem wszystko. Poprosiłem mego szefa, aby mnie przeniósł do jakiejś małej filii. Poszedł mi na rękę. Rozpocząłem tak zwane nowe życie. Z jedną, zasadniczą zmianą. Od czasu do czasu wychodziłem na dworzec, by patrzeć, co się dzieje z młodymi chłopcami, wychodzącymi samotnie z pociągu. Teraz, po wojnie, gdy tyle jest bezdomnych dzieci i sierot, chodzę codziennie. Wielu takim już pomogłem. Czasami mnie okradają, lecz nie mam za to do nich żalu. Uważam to raczej za rodzaj smutnej sprawiedliwości.

Mgła przerzedziła się zupełnie, za to padał drobny, rzęsisty deszcz. W migotliwych kropelkach i lśniącym gumowym płaszczu Jonathan Miller wy-glądał jak świeżo wymyty. Za pięć minut miał nadejść mój pociąg.

– Dlaczego mi to pan wszystko opowiedział? – spytałem z lekka zachrypłym po długim milczeniu głosem.

– To proste – odparł po namyśle – proszę mi powiedzieć, czy uważa pan tę całą historię z Urszulą za grzech niewybaczalny, za jakąś kwalifikującą mnie moralnie podłość?

– Chyba nie – burknąłem – to może się każdemu przytrafić.

– A całą sprawę z chłopcem?… Czy według pana postąpiłem w tym wypadku podle?

– Tak. To było najgorszego gatunku świństwo. Postąpił pan jak ostatnie ludzkie bydlę.

– Widzi pan. Wiedziałem, że pan tak odpowie, i na takiej odpowiedzi zależało mi nieskończenie. Ksiądz, któremu spowiadałem się, potępił w równej mierze jedno i drugie. Kazał mi się kajać i żałować za jedno i za drugie w równym stopniu. Ja jednak oddzielam wyraźnie i czuję się winnym tylko za drugie, jako za konsekwencję pierwszego. Musi być jakaś gradacja świństw w świecie, póki nie jesteśmy jedną, wielką gromadą chodzących, jedzących, śpiących i kochających się ideałów. Kiedyś rozmawiałem z pewnym cnotliwym i bogobojnym protestantem. Opowiedziałem mu tylko o chłopcu, pierwsza część była i tak poza granicami jego rozumienia życia. Powiedział mi, że powinienem złożyć większą sumę na jakiś przytułek dla opuszczonych wyrostków i wtedy osiągnę spokój. Zazdrościłem mu łatwości, z jaką kwitował problem sumienia. Ja chciałem dawać żywą pomoc żywemu człowiekowi, a nie uspakajać się, patrząc na dyplom honorowy za filantropię. Innym razem zwierzyłem się przy wódce pewnemu cynikowi. Oświadczył, że cała sprawa Urszuli to przyjemna słabość z mojej strony, dopiero zabierając chłopcu pieniądze postąpiłem jak prawdziwy mężczyzna. Było to oczywiście idiotyczne i nie do przyjęcia. Szukałem człowieka, który by zrozumiał tę prostą prawdę, że najłatwiejszym, najbardziej bezmyślnym wyjściem jest kłaść znaki równania pomiędzy rzeczami, że namiętność w swym źle nie równa jest krzywdzie, zaś krzywdy niesposób wyrównać we własnym sumieniu pieniędzmi. Pan to pojął i dziękuję panu za tę odpowiedź.

– A jednak coś się nie zgadza w pańskim rachunku, Jonathanie Miller. Czy myśli pan, że nie czując urazy ani nie dążąc do ukarania okradających pana chłopców naprawia pan wyrządzoną kiedyś krzywdę? Chyba nie. Jest to jakieś wykrzywione zastosowanie zniekształconej zasady „oko za oko, ząb za ząb” do własnej, źle pojętej pokuty. Wydaje mi się, że przez to nic pan nie naprawia.

– O, nie – uśmiechnął się Miller. – Myślałem o tym wiele. Jest to ciągły trybut dla prawdy, którą kiedyś sam w sobie odkryłem. Przypomina pan sobie: owa radosna świadomość małości własnych pożądań wobec cudzej krzywdy. Doszedłem do wniosku, że jeśli jednemu chłopcu chociaż nie przejdzie przez gardło kęs skradzionego z mojej spiżarni boczku, gdy pomyśli, że może mi wyrządził krzywdę, że postąpił źle płacąc przestępstwem za życzliwość, wtedy ja naprawdę coś w tym świecie naprawiam. To jest właśnie mój skromny wkład. Bo widzi pan, ja mimo wszystko, co w życiu widziałem, wierzę w świat i ludzi. Wiele widzieć i wiedzieć to niekoniecznie oznacza, że trzeba odrzucić optymizm.

Nadszedł pociąg. Miller pomógł mi wstawić walizki. Pożegnaliśmy się krótko, lecz ciepło, jak dwaj ludzie, którzy wzięli od siebie wszystko, co było do dania i brania. Stanąłem w oknie pulmana. Wśród tłoczącego się na peronie tłumu tkwił na swym zwykłym miejscu schludny, przeciętny i pospolity Jonathan Miller. Trwał w swej wyzwalającej, optymistycznej ekspiacji.

Warszawa, 1948 r.

GORZKI SMAK CZEKOLADY LUCULLUS

Nazwisko wasze?

– Panhard.

– Imię?

– Guy. Guy Panhard.

– Skąd?

– Z Paryża.

– Z samego Paryża? – inspektor meldunkowy uśmiechnął się z instynktowną sympatią, na dźwięk nazwy miasta, miłemu każdemu Europejczykowi. – Paryż to ładne miasto.

– Ładne – rzekł Guy. – I duże.

– Byłem tam trzy miesiące. Zaraz po zdobyciu Paryża przez nasze wojska.

– To ładnie z pana strony – rzekł chłodno Panhard.

– Pan mówi dobrze po niemiecku – urzędnik wykazywał skłonność ku gawędziarstwu – gdzie się pan tak dobrze nauczył?

– W szkole.

– To u was uczą w szkole po niemiecku?

– Uczą.

– Ale żeby tak dobrze się nauczyć? Ja uczyłem się po francusku w szkole i nic nie pamiętam. Tylko takie skrawki, niech pan posłucha: Allons enfants de la patrie le jour de gloire est arrive… Poprawnie?

– Bardzo dobrze – pochwalił Panhard. Słowa tej pieśni w wykonaniu urzędnika policji, w gmachu prezydium policji w Moguncji, w czterdziestym drugim roku, nabierały specjalnego czaru.

– To świetnie, że nareszcie możemy ze sobą przyjaźnie rozmawiać. Ja zawsze miałem słabość do Francji. A to, że możemy, zawdzięczamy i my, i wy naszemu Führerowi.

– Kiedy mam odebrać karty? – zapytał grzecznie Panhard.

– Co pani o tym sądzi? Kiedy karty będą gotowe? – inspektor zwrócił się do siedzącej przy sąsiednim biurku dziewczyny.

Dziewczyna uniosła głowę i okazało się, że ma tak świetliste oczy, jakich Panhard dotąd nigdy w życiu nie widział.

– Nie mogę dokładnie powiedzieć – rzekła odpychająco i opryskliwie – może za tydzień. Z kartotekami jest dużo roboty.

Wstała i podeszła do stojącego w ciemnym kącie regału. Była wysoka, wyższa nawet nieco od Panharda. Na jej samodziałowym tyrolskim swetrze z grubej wełny widniała duża odznaka BDM – hitlerowskiej organizacji dziewcząt.

– Szkoda – rzekł Panhard. – Nasi ludzie mają trudności z wychodzeniem po pracy do miasta. Bez tych kart trudno się poruszać. A przecież im się to należy.

– Należy – rzekł inspektor. – Niech pan przyjdzie w przyszłym tygodniu. Aha – dodał – kim pan jest z zawodu, panie Panhard?

– Studiowałem historię sztuki.

– I co pan teraz robi u nas, na kolei?

– Jestem tłumaczem.

– No, tak, wojna. Nie ma rady. Trudno.

Wychodząc z gmachu prezydium policji w ciasną Klarastrasse, Panhard odetchnął z ulgą. Śliczny, stary barok nadreński, rozkwitły w tych wąskich uliczkach jak cenne, delikatne kwiaty, hodowane w pieczołowitym zamknięciu, wzbudzał w nim zawsze radość. Przystępność inspektora meldunkowego rokowała dobre nadzieje. Nie śpiesząc się szedł przez miasto w stronę dworca towarowego. Była pogodna wiosna, kobiety spoglądały nań z zainteresowaniem. Był smukły, ubrany schludnie i z pewnym kolorowym

wdziękiem. Nie sprawiał wrażenia cudzoziemskiego robotnika w Niemczech.

– Karty będą w przyszłym tygodniu – rzekł do Webera, wchodząc do baraku.

Weber był niemieckim szefem obozu; miał rybie oczy, platfus i szerokie biodra. Mimo swej niemęskiej urody chwalił się nieustannie udziałem w poprzedniej wojnie. Podobno był wzorowym kasjerem kolejowym przez długie lata. Wyglądał na takiego i skrzętnie skrywał cierpienia natury hemoroidalnej.

– Powiedzcie to ludziom sami, Panhard. Ja mam dość tych ciągłych złorzeczeń i awantur o karty.

– Dobrze. Idę na obiad.

W kuchni mieszał zupę Wincenty Kozioł.

– Co dziś na obiad? – zapytał Panhard.

– Jarzynowa.

– I to wszystko?

– To wszystko. Jak z kartami, panie Dolmetscher?

– Będą w przyszłym tygodniu.

– Cholera. Dopiero?

– Daj mi, Kozioł, miskę tego błota twojego wyrobu.

Kozioł zostawił wielką chochlę w ogromnych rozmiarów kotle, otworzył drzwiczki kuchennej dachówki i wyjął blaszaną miskę, pełną duszonych, przyrumienionych na słoninie ziemniaków. Wyglądało to apetycznie i pachniało urzekająco.

– To dla pana. Premia ze wycieczkę na Klarastrasse.

– Mówiłem ci już, Kozioł, żebyś tego nie robił. Nie chcę nic innego niż wszyscy. Dość mam tych wielkich afer o cztery kartofle.

– Owa, po co ten krzyk – Kozioł był kucharzem, a więc człowiekiem rozsądnym. – Jak ja gotuję zupę dla sześćdziesięciu Francuzów i stu dwunastu Polaków, to moje najświętsze prawo jest odstawić trochę ziemniaków i parę skwarek na bok. Jeszcze nie było takiego, który by potrafił

powiedzieć, że nie. Pan tego nie rozumie, panie Dolmetscher, że nikomu się tu nie dzieje krzywda, bo takie jest prawo życia.

– Głupstwa mówisz, Kozioł. – Panhard usiadł na beczce po kapuście i wziął gorącą miskę między kolana. Jadł wolno, estetycznie i ze smakiem. – To ty nie jesteś w stanie tego nigdy zrozumieć, że równość nie polega na dokładnie jednakowym podziale dóbr, ale na jednakowo przyjętych na siebie obowiązkach i trudnościach.

– Nie znam się na tym, ale myślę, że to bzdura. Nasi chłopcy nie wyglądają za dobrze i nie chorują z przejedzenia, prawda? Ale czy chociaż jeden zaszurał kiedy, że ja tak wyglądam, jak wyglądam? Kucharz musi tak wyglądać jak ja, bo inaczej, co to byłby za kucharz. Nie mieliby do niego zaufania, a tak jest wszystko w porządku.

Rzeczywiście. Kozioł wyglądałby jak reklama mączki „Nestle", gdyby nie wielodniowy zarost. Był różowy, pyzaty, jego szerokie bary rozpychały koszulkę.

– A jak pan widzi, że chłopcy są głodni i boli pana serce, to niech się rżnie z kotami, żeby zwiększyli przydział chleba i margaryny. To nasze, co kotom z gardła wyrwiemy, a pan się musi najeść, żeby się z nimi użerać.

– No, chyba robię, co mogę – Panhard uśmiechnął się skromnie. Odpowiadała mu ta logika. – Wiesz przecież, ile razy awanturowałem się o to w Bahnmeisterei i nic.

– To trzeba dalej. Aż do skutku.

– Jasne. – Panhard skończył jeść, podziękował i skręcił dwa papierosy. Czuł się wyśmienicie, jak po dobrym obiedzie u Capoulade'a. – Powiedz, Kozioł, czy to jest jakiś polski przysmak narodowy, te ziemniaki?

– A tak. To u nas robiło się prezydentowi na pierwsze śniadanie.

– Idiota – rzekł czule Panhard. – Wyobrażam sobie, jak bardzo cenionym kucharzem byłeś w Warszawie.

– To może za dużo – rzekł skromnie Kozioł, po czym dodał z godnością – byłem kucharzem wojskowym.

Kłamał, ale z wdziękiem. Z zawodu był wysoce poważanym pajęczarzem z okolic placu Kazimierza i tylko kiedyś przez tydzień, przydzielony do kuchni polowej na manewrach, zastępował kucharza, który złamał nogę.

– Co macie dziś do roboty, Dolmetscher? – spytał Weber rozpinając kołnierz munduru i wyjmując termos z teczki.

– Idę z Collinem i Ferrettim do doktora – rzekł Panhard, ziewając w okno. Za barakiem widać było szyny, tory, hałdy węgla, pojedyncze wagony, parowozownię i całe zaplecze dużej stacji węzłowej.

– Co im jest?

– Collinowi spadła szpała na nogę i ma tak spuchnięty palec jak pańska głowa, Weber. Ferretti ma biegunkę. Za dużo zupy. Już czas zwiększyć przydział chleba.

– Dolmetscher, wiecie, że to jest niemożliwe. I tak obóz otrzymuje największą normę przewidzianą dla cudzoziemskich sił roboczych.

– Nieprawda. Włosi z Bischofsheimu dostają dwa razy tyle.

– Ja to sprawdzę.

– Nie potrzebuje pan sprawdzać, Weber. Pan dobrze o tym wie.

– No, to co, że wiem? Co ja mogę zrobić? Czy to moje zarządzenie? Ja bym wam dał mandarynki, gdybym miał…

Przez chwilę milczeli. „Wszyscy jesteście dobrzy – myślał Panhard – tylko, że niestety śmierci na was nie ma…”

„Te draby poderżną nam kiedyś gardła – myślał Weber – najlepiej byłoby zrobić z nimi koniec, tylko kto wtedy będzie pracować?…”

– Jak wstąpicie do Bahnmeisterei, to weźcie dla Polaków Bezugscheiny na obuwie robocze – rzekł Weber.

– Po co? Przecież nikt nie kupi tych drewniaków za swoje ciężko zapracowane fenigi.

– Moje dzieci chodzą do szkoły w drewniakach! – zaperzył się Weber – a tym brudnym Polakom nie wypada! Nie trzeba było zaczynać wojny!

– Niech pan to powie Polakom. Może dadzą panu kilka par w prezencie. Tylko niech pan uważa, żeby nie rzucali.

– Aha, był telefon do was, Panhard. Z prezydium policji.

– Z prezydium? – Panhard poczuł lekką czczość w okolicy serca. Trwało to chwilę, zaraz się opanował. Takiego uczucia doznawali w Niemczech wszyscy cudzoziemcy na dźwięk słowa „policja", albowiem nie było w Rzeszy cudzoziemca o czystym sumieniu. Już sam fakt, że nie było się Niemcem, obciążał w tym państwie sumienie.

– Z Klarastrasse. Jakiś inspektor Boettger. Powiedział, żebyście dziś zatelefonowali.

– Dobrze. Zaraz zatelefonuję – rzekł Panhardt z ulgą. Skoro tylko telefon wchodził w grę, nie było jeszcze najgorzej.

Wyszedł z baraku i poszedł przez tory w kierunku brudnego, odrapanego budynku z surowej cegły, nad którym wisiała tablica z czarnym, dobitnie kolejowym napisem: Bahnmeisterei Maintz – Hbf.

– Dzień dobry – rzekł wchodząc do biura.

– Heil Hitler. Co jest znowu? – urzędnik, który to powiedział, nosił czarne zarękawki na kolejarskim mundurze, grube okulary na nosie i był krostowaty.

– Czy można zatelefonować?

– Co znowu?

– Podobno telefonowali tu po mnie z Klarastrasse.

– Zdaje się. Telefonujcie. Myślę, że we Francji były jakieś telefony i umiecie posługiwać się takim aparatem.

– Spróbuję – Penhard uśmiechnął się do krostowatego. Był młodym, zdrowym, przystojnym mężczyzną, co drażniło krostowatego niewymownie.

Nakręcił numer. W słuchawce odezwał się jakiś kobiecy głos:

– Prezydium policji. Pokój trzysta osiem.

– Tu Panhard. Tłumacz obozu Deutsche Reichsbahn przy Mombacherstrasse. Czy mógłbym prosić pana inspektora Boettgera?

– Nie, panie Panhard, nie trzeba. Moje nazwisko jest Koehler. Greta Koehler. Widzieliśmy się przedwczoraj, kiedy był pan u nas w sprawie kart. To ja dzwoniłam dziś rano w imieniu inspektora Boettgera? Chciałam pana prosić, aby pan przyszedł dziś do nas, o ile to możliwe.

„Co się dzieje? – pomyślał błyskawicznie Panhard – czego ona może chcieć? Uważaj, chłopcze, uważaj…"

– Postaram się zaraz porozumieć z moim szefem – rzekł po krótkiej chwili przerwy. – Proszę powiedzieć panu inspektorowi, że przyjdę, pann…

Urwał w pół słowa, gdyż zauważył badawczy wzrok krostowatego. „Po co ma, wszarz, wiedzieć, że rozmawiam z kobietą…" – pomyślał.

– Doskonale. A więc czekam, panie Panhard. Do widzenia.

– Do widzenia.

Wyskoczył z biura w stronę baraku. Na głównym torze sunął powoli długi pociąg pełen żołnierzy. Żołnierze śmiali się, śpiewali, wymachiwali rękami do pracujących na torach kobiet z napisem „Ost" na plecach. Był to czas, kiedy żołnierzom niemieckim było jeszcze wesoło. „Czego oni mogą chcieć ode mnie? – denerwował się Panhard oczekując przejścia pociągu – nic nie wspomniała o kartach. I jaka nagle uprzejma… – przypomniał sobie nadętą minę hitlerowskiej urzędniczki – nic nie rozumiem…"

Webera nie było w baraku. Panhard poszedł do kuchni, gdzie Kozioł stawiał diagnozę w sprawie palca Collina. Palec u lewej nogi był potwornie rozdęty niedobrą, ropna opuchlizną.

– Trzeba naciąć. Chcesz, mam dobrą żyletkę, niezardzewiałą. Opalę ją i zrobię ci. Po cholerę masz wlec się do lekarza – radził Kozioł.

– Nix, nix… – bronił się rozpaczliwie Collin. Nie znał niemieckiego na tyle, aby skutecznie protestować, ale rozumiał dobrze całą grozę propozycji Kozła.

– Zostaw go – rzekł Panhard – pójdę z nim po południu do doktora. Słuchaj, Kozioł, jak przyjdzie Weber, to powiedz, że poszedłem na Klarastrasse. Wzywają mnie.

– Co się stało? Czego znowu chcą?

– Nie wiem.

– Może w sprawie kart?

– Może.

– Niech pan ich poprosi, pani Dolmetscher, bo bez tych kart żadne życie.

– Jeszcze czego, prosić ich będę. Karty należą się, nie jesteśmy jeńcami ani niewolnikami, ich obowiązkiem jest dać i już.

– Ojej, panie Dolmetscher, ja pana nie rozumiem. Korona panu z głowy spadnie, jak pan poprosi? Co za dziwni ludzie, jak Boga kocham, o co tu drzeć się? Alianci nie przegrają wojny, jak pan poprosi, a także będzie pan mógł bez wstydu spojrzeć w oczy swemu staremu ojcu po powrocie do domu. A tu ludzie będą mieli pożytek.

– Już dobrze. Zobaczę.

Wstąpił na chwilę do siebie, zmienił koszulę i wpuścił kolorowy szalik w otwarty kołnierzy. „Trzeba wyglądać jak człowiek. Nie okazywać wrogom zapuszczenia i dbać o utrzymanie stopy życiowej" – uzasadnił wobec siebie te czynności.

Szybko przeszedł wiadukt i wskoczył do tramwaju, z którego wysiadł na rogu Klarastrasse i Emmeransstrasse. Po kilku minutach pukał do pokoju trzysta osiem.

– Wejść – odpowiedział kobiecy głos ze środka.

Gerda Koehler była sama w pokoju.

– A… to pan – powiedziała.

– Czy zastałem inspektora Boettgera?

– Nie. Niech pan siada.

– Dziękuję.

Usiadł naprzeciwko niej przy biurku.

– Karty jeszcze nie są gotowe.

– Szkoda. Niedobrze. Jest mi przykro wobec naszych ludzi, że to trwa tak długo.

– Mniejsza o to. Panie Panhard, to ja pana wezwałam, nie inspektor Boettger.

– O! – rzekł Panhard inteligentnie.

– Boettgera nie ma. Wyjechał służbowo.

– To interesujące – rzekł Panhard, lecz natychmiast uznał, że uwaga ta może się wydać podejrzana i dodał szybko: – To przyjemne – co z kolei wydało mu się całkiem głupie i poprawił na: – To ładnie z jego strony, że daje pani trochę wytchnienia w tej nieustannej pracy.

Gerda zarumieniła się. Jej wzrok tkwił w kawałku bibuły, na którym rysowała bez przerwy drobne znaczki starannie zatemperowanym kopiowym ołówkiem. Były to maleńkie swastyki.

– Chciałabym panu pomóc – powiedziała cicho.

– Pomóc? – zdziwił się Panhard i zamilkł. Było to zbyt nieoczekiwane, aby od razu zająć wobec tego jakieś stanowisko.

– Wyobrażam sobie, jak panu jest źle w tym okropnym obozie, wśród tych strasznych ludzi. Wśród tych francuskich przestępców i półdzikich Polaków.

– Najgorzej jest z jedzeniem – rzekł zdecydowanie Panhard. „Trzeba być politykiem – pomyślał – polityka polega na niezapominaniu o najważniejszym w każdej sytuacji…”

– Tak. To smutne. My sami, jak pan widzi, nie mamy za wiele.

– No, tak – rzekł Panhard myśląc: „Tylko jak to się dzieje, że wszyscy wyglądacie jak po tucznej kuracji dla gruźlików…”

– Czy miał pan kiedyś do czynienia z kreśleniami?

– Ttttak. Kreśliło się coś niecoś – rzekł niepewnie.

– Widzi pan, ja mam znajomych w zakładach MAN, w Gustavsburgu pod Moguncją. Tam potrzebują kreślarzy. Może uda mi się coś załatwić.

– To byłoby świetnie – rzekł Panhard. „Co za bzdura! – pomyślał. – Ale nic. Aby nie tracić kontaktu. Zobaczymy, co z tego wyjdzie…”

– Muszę się dziś porozumieć z moimi znajomymi, a jutro chciałabym się z panem spotkać. – Gerda zarumieniła się ponownie.

– Przyjdę wobec tego jutro.

– Nie. Wolałabym na innym gruncie. Rozumie pan… – wzrok Gerdy tkwił znów w bibule. Malutkie swastyki mnożyły się w oszałamiającym tempie.

– Wobec tego – gdzie? – spytał wyraźnie Panhard ze swobodą światowca, obytego w sprawach schadzek, spotkań, umawiania się.

– Zna pan skwer przed wejściem do szpitala miejskiego? – rzekła szybko Gerda.

– Znam – powiedział równie szybko i skwapliwie Panhard. Jasne dlań stało się, że każdy szczegół był tu opracowany i przemyślany zawczasu. Za szpitalem rozciągała się obszerna, willowa, parkowa dzielnica, pusta i ustronna.

– A zatem na tym skwerku, jutro o szóstej.

– Znakomicie. Dziękuję.

– Po co, na razie… Tylko… – policzki Gerdy przybrały kolor piwonii, koniuszki uszu, widoczne przy schludnie uczesanych „a la Gretchen" jasnych włosach, płonęły podnieceniem. – Tylko… proszę przyjść bez tego szalika. To zbyt wyzywające jak na prowincjonalne niemieckie miasto… Bez niego wygląda pan jak każdy przyzwoity Niemiec…

Panhard uśmiechnął się ze zrozumieniem i ujął wyciągniętą na pożegnanie rękę. „Boi się – pomyślał z ulgą – to dobrze, bo ja też się bardzo boję…"

Wrócił akurat na obiad. W baraku pełno było ludzi, zaduchu, błota, zgrzytu blaszanych łyżek, zderzających się z dnem wylizywanych do cna blaszanych talerzy. Ludzie siedzieli przy stołach w uwalanych, granatowych drelichach roboczych, przepoconych swetrach i rudych od szlamu gumowych butach. Polacy, skończywszy jeść, grali w „oko", Francuzi pitrasili sobie dodatkowe porcje kradzionej cebuli i kartofli. „Cholera! – zaklął w duchu – jak tu się od tego gówna uwolnić? Gdyby ta Koehler… Chociaż żeby mieszkać na mieście, sam, w sublokatorskim pokoju…"

– Coś taki elegancki? – zagadnął go stary Dernault, marsylczyk, włóczęga i pijak.

– Reprezentuję jak mogę naszą piękną Francję – odparł twardo Panhard – trzeba wam jakoś pomagać.

– Co z kartami? – rzucił ktoś ze środka stołu. Polacy, na dźwięk słowa „karty", oderwali się od „oka". To były także i ich sprawy.

– Jeszcze nie dali.

– Słuchaj, Panhard – Dernault uniósł się z ławy z gestem starego, wytrawnego demagoga z podejrzanych knajp – nie na to my cię trzymamy w ciepłym baraku, żebyś sobie urządzał z Kozłem wytworne obiadki i tył. Albo będziesz załatwiać sprawy, jak należy, albo przespacerujesz się z nami do dźwigania szpał. No nie?…

– Słuchaj, Dernault – rzekł zimno Panhard – ty mnie szpałami nie strasz, bo ja się ani roboty, ani ciebie nie boję. Całe przedpołudnie kłóciłem się na policji o wasze parszywe karty i nic. Jak wam się nie podoba, to użerajcie się sami z Niemcami o karty, o marmoladę, o zwolnienia, pyskujcie u lekarzy, w Bahnmeisterei i diabli wiedzą gdzie. A to, czy mnie jest ciepło, czy nie, to niech cię głowa nie boli, dam sobie radę. Nie zginę.

Stół zmienił się natychmiast w trybunę. – Ma rację! Dajcie mu spokój! Robi, co może – krzyczeli jedni. – Wygląda jak na urlopie! Patrzy tylko, aby się migać! Tyramy na niego! – awanturowali się drudzy. W spojrzeniach Polaków, asystujących przy rozróbce z pełną satysfakcją, raczej nie było sympatii dla Panharda.

– Looos! – rozległ się krzyk od progu. – Do roboty! Wychodzić, wy, cudzoziemskie bydło! Koniec żarcia!

Mały, apoplektyczny kolejarz, zwany „Trąbką", postrach obozu, miotał się w baraku, przewracając stołki, szarpiąc jedzących, wypychając na dwór. „Trąbka" nie był w gruncie rzeczy najgorszy, z Polakami nawet pił tani fusel po nocach, jako nadzorca jednak zbyt upajał się władzą. Panharda obchodził raczej z dala.

– Nie miej do mnie żalu, stary – rzekł przymilnie Dernault, przechodząc obok Panharda. – Wiesz, my, prawdziwi republikanie, mamy obowiązek

zachowywać tradycje wolnej krytyki w tym faszystowskim kraju… – dodał z fałszywym uśmiechem na zdartej przez alkohol i tanią rozpustę twarzy.

– Skądże znowu, przyjacielu – uśmiechnął się Panhard. – Żal? O co?… – i pomyślał niespokojnie. „Czyżby ten stary łotr wiedział coś o mnie? Póki jestem silniejszy i mnie potrzebuje, to nie groźne, ale gdyby było inaczej…"

– Ja ci pokażę jeść! Ty świnia! – wrzasnął Trąbka strącając ze stołka młodego Polaka, który kończył wylizywać miskę, i wyrzucając go zręcznym kopnięciem z baraku. „O, Boże – westchnął Panhard w duchu – powstrzymaj moją nogę! Albo pozwól mi nareszcie kopnąć Trąbkę w bandzioch i niech wreszcie będzie koniec tym upokorzeniom…"

– No i jak tam, panie Pfiffer? – zwrócił się pogodnie do Trąbki. – Dużo roboty?

– Jak zawsze z tą trzodą – rzekł spokojnie Trąbka, skręcając papierosa i częstując Panhardta. – „O Boże, pozwól! Raz w tę mordę i tą czerwoną, łysą pałą o ścianę, o podłogę, pod obcas! Co za los tłumacza! Ze wszystkimi trzeba być dobrze po to, by ludziom czynić dobrze…" – wzdychał ciężko Panhardt biorąc bibułkę i tytoń.

– Ilu chorych? – spytał Trąbka.

– Dwóch. Ferretti – biegunka i Collin – naderwany palec.

– Żeby mi jutro byli zdrowi.

– Tego panu nie mogę przyrzec, panie Pfiffer.

– Już ja ich sprawdzę! – krzyknął Trąbka i wybiegł z baraku.

– Słyszeliście? – rzekł Panhard podchodząc do piętrowych łóżek w głębi.

– Idziemy zaraz do doktora? – spytał Collin.

– Nie, synku, pójdziemy jutro po południu i to prosto do szpitala.

– Kiedy mnie boli. Chcę z tym jak najszybciej skończyć.

– Poczekasz do jutra. Za to pójdziesz o dzień później do roboty. Już ja to załatwię. Powiem, żeś nie mógł chodzić. Co, nie opłaca się?

– Cudownie – rzekł słabym głosem Ferretti – jesteś porządny chłop, Panhard.

Za piętnaście szósta Panhard wyszedł ze szpitala. Pożegnał Collina, który powlókł się sam do baraku, Ferretti został na badaniu do następnego dnia.

Przed szpitalem rozciągał się duży, ukwiecony skwer. Panhard usiadł na ławce naprzeciwko przystanku autobusowego i zapalił papierosa Drava. Papierosów tych dostarczali do obozu Polacy wprost od jeńców jugosłowiańskich, dzięki czemu kosztowały one względnie tanio. „Uważaj, chłopcze – powtarzał sobie bez przerwy – ta dziewczyna podoba ci się, przeto uważaj. Nie masz przecież ochoty znaleźć się w sytuacji tych dwóch Polaków, których tak efektownie powieszono na placu publicznym w Kostheim za stosunki z Niemkami. Uważaj, uważaj. A zresztą ona chyba o tym wie równie dobrze, już ją tam nauczyli w BDM i w Hitlerjugend, że nie wolno, że to hańba, że Żydzi, Murzyni, Polacy, Francuzi, a nawet Włosi-sprzymierzeńcy to be, że tego nie wolno, że oni brudni, cuchnący, rasowo niżsi. I że jej zgoli się głowę za takie figle i na roboty, do koncentraka, aha… A zatem – czego ona chce? Pomóc mi? Wrogowi, Francuzowi, przeklętemu cudzoziemcowi? Wolne żarty. Więc co? Uważaj, synku, uważaj, nie wolno ci na chwilę zapomnieć, żeś tu przyjechał wprawdzie dobrowolnie, ale nie dla przyjemności, nie na turystykę, ani tym mniej na konkiety. Że ryzykujesz nagie, zwykłe, swoje własne życie, które tam, w Paryżu, wisiało już na włosku. A może ona?… Uważaj, chłopcze, uważaj, tylko ostrożnie, chłodno, bystrze, nerwy na wodzy, żadnego błędu, tu każdy kroczek, na tym śliskim boisku, może decydować. A może ona z Ges…? I to możliwe, dlaczego nie? Ale daj spokój, Gestapo nie używałoby tak wyrafinowanych metod w stosunku do nędznego obozu polskich i francuskich kolejowych pariasów z Mombacherstrasse w Moguncji. A może jednak? Uważaj, syneczku, uważaj, każde słowo, każdy gest…”

Gerda wysiadła z autobusu. Panhard zgasił papierosa i szybko schował niedopałek do kieszeni. Przywitali się.

– Dokąd idziemy? – zapytał Panhard.

– Nie wiem – odparła rumieniąc się.

Na tle ulicy, kwiatów, błękitnego wiosennego popołudnia, eleganckich białych sztachet tej dzielnicy jeszcze silniej akcentowały się harcerskość i kanciastość typu jej urody. Nie było w niej nic, ani finezji, ani wdzięku czy wytworności. Solidne półbuty na płaskim obcasie, białe wełniane pończochy, brązowa bluzka, spięta BDMowską broszą-emblematem, i narzucona na ramiona skórzana tyrolska kurtka. „Schludność, zdrowie i uroda – pomyślał Panhard. – Jest tak inna niż Suzy, taka inna niż pani Bovary, taka inna niż Scarlett O'Hara, taka inna nawet niż Marlena Dietrich. Podoba mi się."

– Jest pan tak inny niż nasi chłopcy, że aż strach z panem chodzić – powiedziała idąc obok niego wzdłuż zielonej ulicy.

– Mój Boże, przecież wyrzuciłem szalik – uśmiechnął się – cóż mogę więcej uczynić? Ostatecznie jestem nieodrodnym synem Quartier, kość z kości i krew z krwi Boul'Michu.

Rzeczywiście – mimo roboczych granatowych spodni drelichowych i zniszczonej wiatrówki było coś takiego w jego ubiorze, sposobie poruszania się, w rozpiętym kołnierzyku u koszuli, co tchnęło nonszalancką, niezamierzoną wytwornością, coś, co różniło go od niej i od mijanych z rzadka, dostatnio ubranych mężczyzn. „Il etait swing, swing, swing…" – pomyślał nie bez dumy słowami bulwarowej piosenki.

– Co to jest Quartier i Boul'Michu? – spytała.

– Nie słyszała pani o Dzielnicy Łacińskiej w Paryżu? Boulevard Saint-Michel to jej główna ulica.

– Nie ciągnie mnie Paryż. Wcale bym nie chciała tam pojechać.

– To dziwne. Na ogół spotyka się w Europie ludzi, którzy chcą inaczej. Ale ja panią rozumiem.

Szli przez chwilę w milczeniu.

– Niestety, z pracy w MAN nic nie wyszło – rzekła Gerda. – Powiedziano mi, że Gestapo nie zezwala na zatrudnianie cudzoziemców przy kreśleniu.

– Proszę… Zresztą można się było tego spodziewać. W każdym razie dziękuję bardzo.

– Za co pan dziękuje?

– Za zainteresowanie.

– No, wie pan. Ostatecznie już jest pokój z Francuzami. Dlaczego nie miałabym panu pomóc?

– A zatem dziękuję za pomoc.

– Przecież nic z tego nie wyszło pożytecznego.

– Tym bardziej jestem pani wdzięczny.

Ulica między willami utonęła w obszernym parku. Po kilku chwilach znaleźli się na otoczonej niskim żywopłotem skarpie, skąd rozciągał się widok na miasto.

– Usiądźmy – rzekła Gerda.

Usiedli na ławce, wtulonej w krzaki głogu i oflankowanej kolumnadą wysokich tui.

– Ładnie tu – rzekła Gerda.

– Ładnie.

– Czy ma pan rodziców?

– Mam. A pani?

– Mam. I brata. Jest na froncie.

Panhard myślał. „Powinienem ją teraz pocałować. Powinienem ją pocałować… Jak to śpiewał Maurice Chevalier wtedy w Bobino?… U licha, ale ta katedra moguncka jest piękna! Co za śliczna romańszczyzna i jak ją stąd widać… Brat na froncie, ładna historia…”

– Czy pani specjalizuje się w pracy policyjnej? – spytał nagle. „Idioto – sklął się naraz – co robisz? Co cię to obchodzi?…”

– O nie, pracuję tam z nakazu mobilizacyjnego – rzekła spokojnie – po wojnie zamierzam powrócić do pracy w aparacie partyjnym. To jest wspaniała praca. Ciekawa i pożyteczna.

– Oczywiście, te kryminalne historie, rozumie pani, to nie to. To dobre dla amatorów powieści detektywistycznych.

– O, nie. Teraz ta praca ma charakter poważny, sens społeczny i patriotyczny. Przy tej ilości niepewnego elementu, cudzoziemskich

robotników, jeńców wojennych, trzeba dobrze uważać. Mój szef, inspektor Boettger, jest miły, pan go zna, prawda? Aha, proszę przyjść jutro po karty. Będą gotowe.

– Doskonale – rzekł Panhard. „Czy ja się mylę, czy ona przysuwa się do mnie coraz bliżej?… – pomyślał w popłochu. – Uważaj, chłopcze, uważaj. Ale ma oczy!…"

– Ładnie tu – rzekła Gerda – tak mi się nie chce wracać do miasta. I jaka pogoda…

– Ma pani ładne oczy – rzekł Panhard odsuwając się zdecydowanie.

– Ach, wy Francuzi – uśmiechnęła się bez wdzięku. Miał teraz naprzeciw siebie jej twarz pod jasnym hełmem konwencjonalnie upiętego warkocza, twarz o czystej cerze i kilku bladawych piegach u nasady nosa. Poczuł naraz, że gotów byłby zaryzykować wiele dla tej dziewczyny, dla jej ciężkiej, masywnej urody, dla jej rysujących się twardo pod bluzą piersi i silnego ciała.

– Niech mi pani opowie coś o sobie – powiedział odsuwając się jeszcze dalej. Usłyszał tylko początek o tym, że się urodziła gdzieś pod Lipskiem, że ojciec był technikiem drogowym, że chodziła do szkoły, że BDM, że dziewczęta… „Co za szmira – myślał Panhard – opowiada mi o sobie, na serio opowiada mi o sobie… Kicz. I po co to wszystko? Przecież nie pocałuję jej dzisiaj. I w ogóle, chyba nigdy…"

– Muszę, niestety, już iść – rzekła Gerda – mam jeszcze dzisiaj odprawę swojej drużyny.

– Jaka szkoda.

– Szkoda. Tu jest tak przyjemnie. Odprowadzi mnie pan kawałek?

– Oczywiście.

Zeszli ze skarpy inną drogą, zbiegając miejscami po pochyłościach wąskich ścieżek. Niebawem znaleźli się w dzielnicy przedmiejskiej, wśród jednostajnie ciągnących się kamienic spółdzielni mieszkaniowych, współczesnych i bezbarwnych. Było tu pusto i czysto. Na rogu ulicy stała czerwona budka telefoniczna.

– Świetnie – powiedziała Gerda. – Muszę zatelefonować.

– Zaczekam – uśmiechnął się Panhard.

– Dlaczego? – zarumieniła się Gerda, otwierając drzwi. – Niech pan wejdzie, proszę bardzo.

Stanął obok niej w ciasnym wnętrzu. Gerda zamknęła drzwi. Jej twarz i ruchy nabrały jakiejś inności, zupełnie dotąd nieznanego Panhardowi wyrazu. Wrzuciła monetę, wykręciła numer.

– Czy mogę prosić porucznika von Holm? – rzekła. – To mój dobry znajomy – powiedziała do Panharda, zakrywając lekko ręka tubę i uśmiechając się kokieteryjnie. – Heinz, to ty? Jak się masz. Słuchaj, chłopcze, nie będę mogła dziś przyjść. No, trudno, tak się składa. Tak, jestem zajęta, oczywiście. Zresztą, może mi się uda jeszcze wieczorem wpaść na kilka chwil, ale nie czekaj na mnie specjalnie, to może być bardzo późno. Będziesz czekać? No, jak uważasz. Heil Hitler.

Odkładając słuchawkę dodała dobitnie, z zaskakującą wulgarnością, jakby ignorując obecność Panharda.

– Pocałuj mnie w… – po czym zarumieniła się gwałtownie.

– Jaka szkoda, że tak słabo znam niemiecki – rzekł Panhard. Poczuł się naraz doskonale w zupełnie nowej atmosferze wygodnego, łobuzerskiego cynizmu. – Nie wszystko zrozumiałem, co pani mówiła.

– Czyżby? – spytała Gerda. – Mnie się wydaje, że pan zna bardzo dobrze niemiecki.

Atmosfera mądrego łobuzerstwa ulotniła się bez śladu. „Idiotka” – pomyślał Panhard.

– Rozumiem – rzekł Panhard – odprawa drużyny stoi na przeszkodzie miłemu rendez-vous z porucznikiem von Holm. Widocznie jest to bardzo ważna odprawa. Obowiązek przede wszystkim.

– Głupstwa pan gada – rzekła opryskliwie Gerda wychodząc z budki. Panhard zamknął za nią pieczołowicie drzwi. – Odprawa nie gra żadnej roli. Mogę pójść, mogę nie pójść. Po prostu mam zajęty wieczór, a raczej… przypuszczam, że będę mieć zajęty wieczór – dodała. Twarz jej pałała

intensywnym pąsem. – Jestem umówiona z kimś innym – zakończyła cicho i niezręcznie.

– Rozumiem – rzekł bezlitośnie – ma pani po prostu wielu dobrych znajomych.

– Mam wielu – odparła sztywno. Głos jej ochłódł do granic lodowatej grzeczności. – Ale są to sami Niemcy. Znam wielu oficerów. Pan jest pierwszym cudzoziemcem, którego znam. W ogóle nie rozumiem, jak mogłam pójść z panem na spacer – w głosie jej zabrzmiała specyficzna, tak dobrze znana, niemiecka opryskliwość. – To takie kłopotliwe. To, jak pan chyba wie, jest zakazane, tego nie powinno się robić.

Z otwartego okna słychać było muzykę radiową. Zarah Leander śpiewała niskim, urzekającym głosem „Kann die Liebe Ende sein?…

– Ale śpiewa – rzekł Panhard z uznaniem.

– Teraz pożegnamy się i dalej pójdę sama. Do widzenia. Było mi bardzo przyjemnie. Proszę przyjść jutro po karty – ostatnie zdanie wypowiedziała twardo, odpychająco, jak rozkaz.

– Oczywiście – rzekł miękko Panhard – przyjdę.

Szybko podeszła do przystanku, przy którym zatrzymał się tramwaj. Wsiadła i odjechała, nie spojrzawszy w jego stronę. Panhard ruszył w kierunku obozu. „Pod koniec mówiła do mnie, jak do niewolnika – myślał z humorem – trochę się czuję jak niewolnik na usługach amazonki czy walkirii. To ma swój urok. Biedna walkiria!… Przypuszczała, że będzie mieć zajęty wieczór. Jakże mi jej żal, ale cóż zrobić. Moja walkiria albo pójdzie wcześniej spać, albo uda się z porucznikiem Heinzem von Holm na wojenne, wodniste, robione na sacharynie lody…”

– Wejść! – zabrzmiał ostry głos spoza drzwi pokoju trzysta osiem. „Coś nowego” – pomyślał Panhard wchodząc. Za biurkiem Boettgera siedział spłowiały facet o mięsisto-kanciastej, niemieckiej twarzy. „Wygląda jak najantypatyczniejszy z portretów Dürera” – westchnął Panhard w duchu.

Gerda pisała coś przy swoim biurku. Spojrzała szybko na wchodzącego Panharda i natychmiast wróciła do pisania.

– Czy zastałem inspektora Boettgera? – spytał Panhard.

– Nie ma. A o co chodzi?

– Chodzi o karty meldunkowe dla obozu robotników cudzoziemskich z Mombacherstrasse przy Bahnmeisterei Mainz-Hbf. Jestem tłumaczem obozu.

– A co tam są za ludzie?

– Francuzi i Polacy.

– Ci najlepsi – uśmiechnął się zgryźliwie spłowiały i nagle rozdarł się w doskonałym, feldfeblowskim stylu. – Co to za porządki, do cholery! Czekać, aż się zawiadomi! Nie nachodzić! Nie przerywać pracy, do pioruna! Kart im się zachciewa, tym parszywcom!…

– Tłumacz Panhard miał dziś przyjść po karty – rzekła spokojnie Gerda.

– Zaraz, panno Koehler. Ile wy macie lat, Dolmetscher?

– Dwadzieścia trzy.

– Co za świństwo. Nasi chłopcy umierają za ojczyznę, za Europę, urabiają sobie ręce, a wy wałęsacie się o tej porze – spojrzał na zegarek – o jedenastej przed południem, po mieście? Co za porządki!

– Nam się należą karty meldunkowe – rzekł chłodno Panhard – jesteśmy ochotnikami i jako tacy jesteśmy traktowani przez Arbeitsamt.

„Potrzebna mi ta cała zabawa… – myślał ze zdenerwowaniem – zechciało mi się zwalniać z kolei i mieszkać w mieście, a ten łobuz może się jeszcze przyczepić do tego, co robię, a raczej do tego, że nic nie robię…”

– Część kart jest gotowa – rzekła Gerda. Nie spojrzała ani razu na Panharda, w jej postawie i głosie wyczuwało się wyraźną solidarność ze spłowiałym. – Proszę, panie Panhard, oto one.

Panhard zwrócił się do biurka Gerdy, która podała mu plik kartonowych legitymacji. Pomiędzy pierwszą z nich, a ręką Gerdy widniała mała karteczka, którą Panhard szybko nakrył dłonią.

– Żeby mi tu więcej nie zjawiać się bez zawiadomienia od nas! – ryknął na zakończenie spłowiały. – Heil Hitler!

Na schodach Panhard rozgiął kartkę. „Proszę przyjść dziś, o godz. siódmej wieczór, do mnie. Zanggasse 4, II p. na prawo. Post Scriptum: wolałabym, żeby nikt Pana nie widział. Ma Pan być ostrożny."

Podarł kartkę i uśmiechnął się. „Te tricki: część kart gotowa… Wszystko dla utrzymania kontaktu. Biedni chłopcy… Jeszcze długo będą czekać na karty meldunkowe, bo panna Koechler rozgrywa partię. I ja, rzecz jasna, rozgrywam… Oczywiście, że nie pójdę, na tyle nie ufam sobie…"

– Czy tu mieszka panna Koehler?

– Nie, proszę pana.

– Przepraszam bardzo, pomyliłem się.

Panhard czuł strużkę potu, spływającą mu wzdłuż kręgosłupa. „Psiakrew! – klął gryząc wargę – po co u diabła darłem adres! Co mi przeszkadzał! Co za matoł ze mnie!" Były to trzecie drzwi, do których dzwonił na próżno. „U każdych stał wróg i badał mnie wzrokiem i uchem. Nie wyglądam na cudzoziemskiego robotnika, to prawda, ale tylko najtępszy krótkowidz może mnie wziąć za Niemca. Mówię dobrze po niemiecku, zgoda, ale każdy Niemiec, o ile ma w porządku bębenki, rozpozna zaraz mój cudzoziemski akcent… Drzeć adres! Co za nonsens… Przecież ja musiałem do niej pójść. Jeśli dziewczyna pisze do mnie wyraźnie, abym był ostrożny, to dziewczyna idzie na całego, a jeśli dziewczyna idzie na całego, to lepiej przyjść, bo może być gorsza bieda z dziewczyną, pracującą na policji. A może to nie ten dom?" Zbiegł piorunem po schodach. Pamiętał, że numer domu był parzysty. „Jakie szczęście, że ta Zanggasse taka krótka" – pomyślał desperacko.

W następnym domu wisiał spis lokatorów. „Koehler Gerda, urzędniczka, II p." Wbiegł po schodach, ciesząc się: „Jednak własne mieszkanie. Nie sublokatorskie…"

– Spóźnił się pan – rzekła Gerda otwierając drzwi.

Z małego przedpokoju wchodziło się do jednopokojowego mieszkania. „Ideał – pomyślał Panhard – o czymś takim marzy się podczas nieprzespanych nocy… Ideał mieszkania, jakie winna posiadać kobieta idealna w pojęciu młodego robotnika cudzoziemskiego w III Rzeszy…” W pokoju stał tapczan i kilka tandetnie ładnych, standardowych mebli, z niskiego sufitu zwisał stylizowany na gotyk żyrandol, z tych do nabycia w każdym domu towarowym. Nad tapczanem wisiał popularny portret Hitlera, mając z obu stron mniejsze portrety Leo Schlagetera i Horst Wessela, zaś pod sobą – sztylecik z Hitlerjugend oraz bezbarwną reprodukcję obrazu „Erlkonig”. „Trudno – pomyślał Panhard z rezygnacją – to wnętrze prowokuje do czynów wielkich, gwałtownych i za wszelką cenę…”

– Dobrze, że w ogóle przyszedłem – powiedział nonszalancko – wie pani, to nie takie łatwe dla cudzoziemskiego robotnika, rozumie pani?…

– Nic nie rozumiem. Niech pan siada.

Usiadł na tapczanie.

– Czy mogę zdjąć marynarkę? Dziś gorąco.

– Proszę bardzo – uśmiechnęła się koleżeńsko – niech się pan czuje tu całkiem swobodnie.

Stolik przy tapczanie nakryła czystą serwetką i postawiła dwie filiżanki.

– Kawa, niestety, zbożowa, ale za to – otworzyła szafę, wyjęła coś, co schowała niby figlarnie za siebie – …ale czekolada prawdziwa! – wyciągnęła triumfująco rękę z tabliczką czekolady w czerwonym opakowaniu.

– Czary – rzekł dowcipnie Panhard – co za czarodziejka. Skąd takie skarby?

– Aha – droczyła się – to tajemnica.

„Tajemnica stanu zaopatrzenia aprowizacyjnego oficerów-lotników na urlopie” – pomyślał dojrzale Panhard.

– Lubi pan czekoladę?

– Uwielbiam. Czekoladę i jazdę na nartach.

– Też zestawienie. To świetna czekolada. Lucullus – przeczytała na opakowaniu – dobra, przedwojenna firma – ułamała kawałek, włożyła do ust, położyła napoczętą tabliczkę przed Panhardem. Nalała kawy i usiadła obok niego na tapczanie.

– Dlaczego się pan spóźnił?

– Bo się śpieszyłem do pani. Wie pani, jak ktoś się śpieszy, to zawsze się spóźnia.

– To się nazywa francuska lekkość w prowadzeniu rozmowy, prawda?

Spojrzała nań wyzywająco. „Czyżby była zdolna do ironii? – pomyślał. – To chyba za wiele…" I naraz znów, jak wtedy na ławce, poczuł jej bliskość, dostrzegł przy swej twarzy świeże, nietknięte szminką wargi. „Oto chwila, kiedy wszystko zależy ode mnie" – pomyślał spokojnie, odsunął się nieznacznie i zapalił papierosa.

– Niech mi pani coś opowie o sobie – rzekł. „To zabawne – pomyślał – jak wiele kosztuje mnie opanowanie głosu…" – A może ma pani jakieś zdjęcia? Pasjami oglądam zdjęcia, te z ostatnich wakacji, na przykład, wie pani, z plaży, znad morza, z gór…

Gerda pochyliła się nad filiżanką.

– Nikt pana nie widział, jak pan tu szedł?

– Owszem – rzekł obojętnie – widziało mnie kilku pani sąsiadów z domu obok. Proszę sobie wyobrazić, że przezornie podarłem kartkę z pani adresem, stosując się do pani zaleceń o ostrożności, po czym miałem kłopot z odnalezieniem pani mieszkania i dzwoniłem do innych drzwi, pytając o panią.

Gerda wstała i podeszła do okna. Kiedy się odwróciła, twarz miała bladą, skrzywioną grymasem hamowanych uczuć. „Oho, kryzys – pomyślał Panhard – zaraz się wyjaśni, na jakim tle…"

– Teraz pan stąd pójdzie, panie Panhard – rzekła spokojnie i przesadnie wolno – chcę panu jeszcze tylko powiedzieć, że jest pan tchórzem, wstrętnym tchórzem, nędznym, śmierdzącym tchórzem. Nie dziwię się, że w parę tygodni rozbiliśmy w drzazgi Francuzów, jeśli…

– To wystarczy – rzekł pogodnie Panhard, wstając – ta sprawa nie ma nic wspólnego z Francuzami. To jest moja sprawa i pani sprawa, a rozgrywa się w niemieckich warunkach… „Spokojnie, chłopcze, nie unoś się – pomyślał – i tak partia jest już rozegrana, po co prowokować awantury. Skończyło się na tchórzostwie i tak jest dobrze…" – Czuł zadowolenie, odprężenie i lekkość płynąca z likwidacji odwiecznego w duszach ludzkich zmartwienia: co czynić?

– Nie – twarz Gerdy złagodniała. Coś, jakby ból, przemknęło przez jej rysy, oczy, spojrzenie. – Ja muszę z panem jeszcze pomówić. Niech pan nie idzie. Albo… niech pan idzie. Wie pan, gdzie jest Loewenbrau Bierstube?

– To będzie jeszcze nieostrożniej – rzekł łagodnie Panhard – niż gdybyśmy zostali tutaj.

– Nie, nie. Tu może w każdej chwili ktoś przyjść. Pan nie wie, jacy są ludzie, jacy u nas są niektórzy ludzie… Nie, to nic. Przysiądę się do pana, jak obca. Wie pan, gdzie to jest?

– Wiem.

– Niech pan tam czeka. Będę za parę minut.

Panhard wziął marynarkę.

– I jeszcze – rzeka Gerda – ta czekolada jest dla pana.

– No nie. To byłoby za wiele…

– Proszę ją wziąć. Bardzo mi na tym zależy. Proszę to uczynić dla mnie i wziąć ją…

Szybkim ruchem włożyła mu tabliczkę do kieszeni marynarki. „Ostatecznie – pomyślał Panhard – jestem pariasem w tym kraju i bardzo lubię czekoladę. Te dwa fakty łączą się ze sobą harmonijnie, wykluczają niepotrzebne, tak zwane honorowe demonstracje. Poza tym biorąc tę tabliczkę wymierzam cios w zaopatrzenie korpusu oficerskiego armii wroga, a to się nazywa skutecznym sabotażem. Na skalę nader drobną, to prawda, ale zawsze…"

A więc…

Tymczasem. „Czego ona jeszcze chce ode mnie? Czego może chcieć?" – rozmyślał Panhard idąc przez Grosse Bleiche. Wszedł do Loewenbrau Bierstube. Była to znana piwiarnia, położona przy głównej ulicy miasta. Wielka, nisko sklepiona hala, stylizowana na średniowieczną oberżę, pełna była ludzi. Pseudogotyckie kolumny i sklepienia, zbudowane parę lat temu, pasowały znakomicie swą lśniącą nowością i czystością do porytych kratkowaną ceratą stołów i ogromnej, błyszczącej niklem instalacji do piwa na kontuarze. Z rozmieszczonych wszędzie głośników płynęły dźwięki marsza „Panzer rollen in Afrika vor".

Panhard szukał wolnego stolika. Były miejsca przy wielkich stołach ogólnych po bokach sali, wpodle kolumn i w kątach załomów ścian – nie sposób było jednak usiąść przy takim stole bez ryzyka, że zostanie się wciągniętym w ogólną rozmowę. Wybrał pusty stolik, położony blisko środka sali, wśród tłumu pijących piwo, palących tytoń i rozchichotanych mieszczan, przeważnie odzianych w mundury. Była to pora wieczornej halby piwa.

„Moguncja to małe miasteczko – gryzł się Panhard w duchu – tu się wszyscy znają. Popatrz, prawie wcale nie ma młodzieży. Dlaczego zgodziłem się na tę idiotyczną imprezę? Ze mną jeszcze pół biedy, biorą mnie tu za Włocha, nie dostrzegam wrogich spojrzeń, co najwyżej zainteresowanie. Z zainteresowaniem patrzy na mnie ten gruby sklepikarz z odznaką partyjną w klapie i ta starszawa blondynka w sztucznym lisie, i ten kapitan rezerwy, w cywilu chyba buchalter. Ale co będzie z Gerdą?…"

Weszła Gerda i szukała go, idąc między stolikami. Panhard dostrzegł, że mężczyźni się za nią oglądają.

„No tak – pomyślał z rezygnacją – dla tych tu Gerda Koehler to gwiazda. Ideał germańskiej urody z Hitlerjugend…" Gerda spostrzegła go i usiadła bez chwili wahania przy stoliku. „Żadnego kamuflażu, żadnego udawania, o Boże!" – jęknął w duchu Panhard i wziął z pełnej tacy, niesionej przez kelnerkę dwa piwa, za które od razu zapłacił.

– Niech pan mi powie – Gerda zaczęła od razu rozmawiać – co to wszystko ma znaczyć? Dlaczego pan nie wstał i nie przywitał się ze mną?

– Nie spytała nawet pani, czy można się przysiąść. Przecież mamy udawać obcych. Nawiasem mówiąc, możemy udawać, że znamy się z terenu urzędowego i spotkaliśmy się przypadkowo. A propos: co z resztą kart?

Muzyka przestała grać. Rozległy się fanfary, co było zapowiedzią specjalnego komunikatu naczelnego dowództwa sił zbrojnych. Na sali dał się odczuć wyraźny przypływ podniecenia, po czym uciszyło się.

– Guy – rzekła Gerda miękko – czy pan… czy pan zna tu jakąś Francuzkę? Z tych, co pracują na wsi, czy tych służących? A może którąś z tych odrażających Polek z obozu Ruesselsheim albo inną…

Jasny, pełen radosnej emfazy głos spikera zabrzmiał w głośnikach. Donosił, że łodzie podwodne niemieckiej marynarki wojennej w bohaterskim ataku na potężny konwój nieprzyjaciela zatopiły na północnym Atlantyku mnóstwo wrogich jednostek bojowych i handlowych, wyrażających się fantastyczną cyfrą rejestrowanych ton brutto. Po ostatnich słowach szmer zachwyconego podziwu przeszedł po sali.

– Niech pan powie, Guy, dlaczego? Co jest przyczyną?… – nalegała Gerda z łagodną rezygnacją.

– Przyczyna jest prosta – rzekł chłodno i wyraźnie Panhard – podoba mi się pani w sposób tak silny, tak potężny i tak oszałamiający, że boję się pani. Ma pani rację, jestem tchórzem, jak to najczęściej bywa z ludźmi przewidującymi. Nie mogę na panią patrzeć spokojnie, a bliskość pani sprawia, że…

– Nie zauważyłam tego, jak dotąd… – przerwała Gerda cicho. „Czyżby poczucie humoru? – zdziwił się Panhard w duchu – taka Niemka…"

W głośnikach buchnęło „Deutschland, Deutschland über alles". Rozległ się szurgot odsuwanych krzeseł, wszyscy wstali. Twarz Gerdy przybrała wyraz znany Panhardowi z jej biura. „Kryzys minął – pomyślał Panhard – wszystko w porządku. Jest znów oficjalnie niemiecka, poprawna, normalna,

taka, jak trzeba, godna pochwały i tego, aby figurować na okładce propagandowego pisma dla młodzieży. Za chwilę zacznie śpiewać…”

Rzeczywiście – gdzieś na sali zrodził się śpiew. Piwoszom i drobnomieszczanom zabłysły oczy, sprężyły się kręgosłupy i stwardniały klatki piersiowe – poczuli się naraz gąsienicami mocarnego pojazdu na bezmiernym trakcie historii. Radio odegrało rolę sprzęgła. „Co za magiczna skrzynka – pomyślał Panhard – przenosi atmosferę pola bitwy do cuchnącej codziennością knajpy…” Śpiew runął na salę i wraz z nim wyrósł dokoła, jakby podtrzymując go, las rąk. Zewsząd sterczały ręce, wyciągnięte ramiona, wzniesione w hitlerowskim pozdrowieniu dłonie. Panhardowi krew zbiegła do serca. Przez sekundę załomotały mu pulsy w skroniach, drgająca mgła przysłoniła oczy. „Tego nie mogę zrobić… – pomyślał z wysiłkiem, jakby gramoląc się w kopnym śniegu pod górę – tego nie mogę zrobić… a raczej nie mogę przestać być sobą… nie… nie…” Stał prosto i niewzruszenie, trzymając ręce kurczowo przyciśnięte do boków. Naprzeciw niego Gerda śpiewała z wyciągniętym prosto przed siebie ramieniem. Twarz jej tężała i bladła jak wobec krwawego ulicznego wypadku. Jakby spod prawego ucha Panharda wypełzł strach, ściskająca serce, mokra pięść. „Moguncja to małe miasto – tłukło się między uszami – to piekielnie małe miasto… Już zaczynają zwracać uwagę, już, już… Unieś rękę, unieś rękę, co ci szkodzi, unieś rękę… Ona pochodzi spod Lipska, to prawda, ale Moguncja to małe miasto, tu wszyscy się znają… W Paryżu czekają, w Paryżu czekają, w Paryżu czekają na ciebie… Unieś rękę, unieś rękę, bo w Paryżu czekają… będzie po wszystkim, wszystko na próżno… A jeśli uniesiesz rękę, to dobrze, to w porządku… Unieś rękę…”

„Deutschland, Deutschland über alles” przeszło w „Horst Wessel Lied”. Wyciągnięte ramiona drgnęły wyżej z wdzięcznością dla partii za zatopione alianckie tony. Oczy Gerdy wypełniły się błaganiem.

„Idiotka! – zgrzytnął Panhard – ona chyba myśli, że ja to zrobię dla niej, przez nią, żeby pokazać jej…”

Przy pobliskich stolikach zaczęto obracać się ze zdziwieniem ku stojącemu bez ruchu Panhardowi. W oczach Gerdy narastało przerażenie, potworne, niszczące przerażenie, u góry policzków wystąpiły dwie ceglaste plamy. Ręce godziły w Panharda jak dzidy i włócznie pogan w wyprostowanego męczennika. „Czego ja bronię? – pomyślał naraz przenikliwie i jasno i natychmiast znalazł odpowiedź. – Siebie, gubiąc siebie… Nie mogę tak nie postąpić, choćby… – zawahał się chwilę przed ostatecznym sformułowaniem – …choćby mnie tu mieli zatłuc kuflami, rozdeptać, zmiażdżyć, wdeptać w ziemię!… Mam gdzieś Gestapo, paryskich szpiclów, Hitlera, wojnę, Rzeszę, hymny, Gerdę, tych drani tutaj, wszystko, co ich! Niech żyje wolność! Ja walczę…" – Zrozumiał, że za chwilę będzie się śmiertelnie bał, ale na ten moment śpiewu znikło wszystko, wraz z drżeniem kolan, mgłą w oczach i skurczem serca. Została walka.

Śpiew skończył się szurgotem przesuwanych krzeseł. Gerda i Panhard usiedli. Wokół ich stolika narastały podniecone głosy. Dreszcz zimnego potu przykleił Panhardowi koszulę do pleców, na czoło wystąpiły krople. „Trzeba działać…" – zdążył pomyśleć.

– Idziemy – rzucił Gerdzie, po czym wstał. Zdawało mu się, że pomiędzy słowem, a oderwaniem się od krzesła minęła wieczność. Ujął mocno Gerdę za ramię i popchnął ją zdecydowanie przed siebie. Szła jak nakręcona dziecinna lalka.

– Szybciej, szybciej – szeptał blisko jej twarzy, pchając ją przed sobą.

Nim ktokolwiek zdołał się zorientować, coś przedsięwziąć, Panhard, sterując Gerdą, minął niebezpieczną strefę sąsiednich stolików, wyszedł z sali, minął hall i wypadł na ulicę. Błyskawicznie skręcił w małą, ciemną uliczkę, w prawo, wlokąc niemal Gerdę za sobą. „Błogosławione zaciemnienie…" – myślał, pełen już teraz radości z udanej ucieczki, ruchu, biegu, tempa wydarzeń.

Skręcił raz jeszcze w przecznicę, przeszli kilkadziesiąt metrów szybkim krokiem, po czym przystanęli.

– Tu się pożegnamy – rzekł Panhard.

– Słusznie – rzekła Gerda.

Na tle muru jaśniała w ciemnościach plama jej twarzy. Panhard ujął ją za ramiona i pocałował w usta, gorzkie jeszcze od przebytej trwogi. Stała martwa, bez ruchu, lecz oddała pocałunek.

– Żegnam panią, Gerdo. Myślę, że będzie lepiej, jeśli wróci pani sama do domu.

– Aha – rzekła ochryple. – Żegnam pana. Karty będą gotowe na pojutrze. Na pewno. Proszę nie przychodzić, przyślę je panu przez policjanta.

Odwróciła się i odeszła. Panhard poszedł w stronę Mombacherstrasse. Wokół roiły się fioletowe, czerwone i granatowe światła zaciemnionych sygnałów stacyjnych. Oparł się łokciami o żelazną balustradę i zapalił papierosa. „A cóż to za dziwny epizod – zastanowił się – w którym policjanci odgrywają rolę posłańców, niosących pożegnalne prezenty miłosne. Dary, symbolizujące rozstanie…”

– Karty będą pojutrze. Załatwiłem wam je w końcu – rzekł Panhard, wchodząc do niskiej, drewnianej budy, w której mieszkał z Kozłem. Była to stara budka dróżnika, stojąca obok głównego baraku. Na środku stał krzywy stół bez nogi, dwie skrzynki z obitym wierzchem zamiast krzeseł i piętrowe łóżko, na którego dolnej kondygnacji leżał Kozioł w pasiastej koszulce gimnastycznej i grał na ustnej harmonijce „Mucha crawlem pływa w zupie…”

– Do tej pory pan załatwiał? – Kozioł skręcił papierosa. – Pracowicie, panie Dolmetscher.

– Właśnie – westchnął Panhard. Poczuł się naraz bardzo dobrze w tej groteskowej budzie, przypominającej mieszkanie Chaplina z jego nieszczęśliwych filmów. Dobrze jak w domu.

– Posłuchaj, Kozioł, to coś ci powiem.

Kiedy skończył, Kozioł przewrócił się na bok i oparł brodę na dłoni.

– No i głupio – rzekł.

– Może i głupio – odparł Panhard. Usiadł na skrzynce i smarował chleb margaryną.

– No tak, że głupio – Kozioł zamyślił się głęboko, co dało całkiem efektowną przerwę. – Pamięta pan, panie Dolmetscher, tych dwóch Polaków, co się tak ładnie bujali na drzewie w Kostheim.

– Pamiętam.

– Trzeba się było za nich zemścić. To raz. Po cichutku. Pomalutku, żeby nikt nie wiedział, nikt nie widział, nikt nie słyszał. Ale zemścić się.

Panhard nałożył marmoladę na margarynę. Kozioł zaciągnął się potężnie dymem.

– Potem głupio – mówił puszczając wolno dym nosem – że pan lekką ręką stracił dziewczynę. Wszystko można, byle ostrożnie, a o kobietę nie tak tu łatwo. To dwa.

Panhard zaczął jeść ze smakiem. Kozioł wyciągnął oskarżycielsko palec.

– To, że babina pracowała na policji, to była złota żyła, rozumie pan, złota żyła. Największy fart życiowy, jaki się panu mógł trafić. Jak trzeba jakiś paszporcik, stempelek, papierek, coś z tych rzeczy, wie pan, ma pan od razu wszystko pod ręką. Pan mi nie wierzy. Że niby obowiązek, policja, ona pracuje, ona patriotka? U nas w Warszawie, przed wojną, jedna maszynistka z urzędu śledczego, zakochała się w jednym doliniarzu. Wszystko chłopak wiedział, jeszcze kolegom mógł pomóc. I za nic, za miłość, szczęśliwa była, jak go spotkała. Mówię panu, dla zakochanej babki nie ma problemów, ona wie jedno i nic ją reszta nie obchodzi. A co pan jest gorszy od warszawskiego złodzieja? Mógł pan mieć taką samą pomoc tu na miejscu. I coś takiego zmarnować! Trzeba być zupełnie drętwym. To trzy.

Panhard nalał do kubka zimnej kawy z blaszanego dzbanka.

– No a cztery, to ten numer z ręką. Taki przytomny facet jak pan, żeby takie głupstwa robić. Jak pan mógł? Co to panu szkodziło? Komu pan zrobił na złość? Co za cholera, jak pragnę zdrowia… – Kozioł jednym skokiem stanął na nogach i pochylił się nad jedzącym Panhardem. – Tu! – pukał się palcem w głowę, krzycząc niemal – tu… tu… nagłe zaćmienie! Czaszka

przestaje pracować! Dziwne, że pan tu jeszcze wrócił! Bohater, nikt go nie widział, manifestant, psiakrew! Nie może wyciągnąć ręki! W takiej chwili! Wyciąga się, niech ich cholera weźmie, co pan im życzy, to pana, ale trzeba się ratować, trzeba ich do wiatru wystawiać, trzeba wyciągać… Ręka – niech będzie ręka… Do góry – niech będzie do góry, aby przeżyć… I jaki gentelmen! O niej to pan nie pomyślał, że ją pan kopie, że wylegitymują, że zaczną szukać, że pana do Dachau albo pod ścianę, a jej ogolą łeb…

– Właśnie się mściłem – zauważył spokojnie Panhard.

– Zemsta to nie tak – rzekł zimno i wolno Kozioł – zemstę trzeba oglądać, wolniutko i spokojnie, przypatrywać się, a nie tak, żeby przez nią tracić życie.

– Skończyłeś?

– Skończyłem.

Panhard sięgnął do kieszeni wiszącej na łóżku marynarki po tytoń i bibułkę.

– Aha – rzekł – chcesz czekolady?

– Czekolady? – Kozioł zrobił wielkie oczy.

Panhard wyjął tabliczkę z kieszeni, odłamał kawałek i poczęstował Kozła.

– Doskonała. Marka Lucullus. To od niej.

Kozioł jadł ze smakiem. Panhard odłamał kawałek i wziął do ust. Wydala mu się gorzka jak piołun. „Gdzież jej do chleba z margaryną i marmoladą tej czekoladzie Lucullus…" – pomyślał i uśmiechnął się do siebie.

Otworzył okno na oścież i szerokim zamachem ramienia wyrzucił tabliczkę w ciemną, wiosenną noc.

– Co pan, dzieciak? Jaki nagle honorowy… – mruknął Kozioł ze wzgardliwą ironią.

– Widzisz, Kozioł, jest to sposób dawania świadectwa noszonym w sobie, w człowieku, prawdom. Trudnym prawdom, ale własnym, najbardziej własnym, tak z człowiekiem zrośniętym jak dusza z ciałem. Już

po raz drugi dzisiaj daję w ten sposób świadectwo prawdzie. Jest to sposób może nazbyt ostentacyjny i melodramatyczny, ale w pewnych sytuacjach, uważasz, jedynie słuszny. Domyślam się, że nic z tego nie rozumiesz, ale na to już nie ma rady. A zresztą, jeśli ci tak bardzo smakuje, to idź, poszukaj, chyba niedaleko upadła…

– Zwariował pan – rzekł twardo Kozioł.

Położył się na łóżku tyłem do Panharda i zaczął cicho grać na harmonijce. Był wyraźnie obrażony.

Warszawa, listopad 1952 r.

KAJALUK

Lato roku czterdziestego czwartego nad Bałtykiem brzemienne było już nie w nadzieję, lecz w pewność. Zuchowatą, zaczepną pewność w zwycięstwo, w szybki marsz naprzód, w niezawodne alianckie ofensywy. Leżeliśmy przeto dnie całe na workach z cementem lub w rozgardiaszu skrzyń i beczek, piętrzących się na nabrzeżu, półnadzy, brudni i pełni wzbierającej siły w młodych, nagrzanych słońcem i morskim powietrzem mięśniach. Czekaliśmy na chwilę, kiedy skoczymy Niemcom do gardła. Wchłanialiśmy w siebie łapczywie skąpe jedzenie i ożywczą, portową atmosferę, a zapach starych cembrowanych nadgniłymi drewnianymi balami kanałów gdańskich stał się dla nas podświadomą rozkoszą.

Do dziś zachowałem w myślach i w sercu dwa Gdański, dwa różne miasta o różnych obliczach. Jeden – wielki port, konglomerat magazynów, kei, nabrzeży, kanałów, basenów, torów kolejowych, hałd węgla, dźwigów, marynarskich knajp, nastrojów i przygód. Drugi – koronkowy poemat w kamieniu i cegle, pełen nagłych wzruszeń i zachwytów na widok jakiegoś wykusza, jakiejś bramy, podcienia, ganku, starego spichlerza, attyki. Ten drugi Gdańsk zaludniony był niezwykłymi postaciami, tkwiącymi w mej wyobraźni od czasów dzieciństwa i ożywał jedynie w czasie mych samotnych wędrówek niedzielnych po zalanych słońcem i błękitem bałtyckiego nieba uliczkach. Pierwszy istniał cały tydzień, pulsowało w nim prawdziwe, rzeczywiste życie i przeżywałem go z Włochem Savino i Duńczykiem Nilsem.

Nasza ówczesna pozycja społeczna była na ogół mocno skomplikowana. W przybliżeniu dałaby się określić jako pozycja cenionych i wytrawnych robotników portowych i stanowiła wynik szeregu przesłanek natury ekonomiczno-militarnej, zwanych w sumie drugą wojną światową. Byłoby

szczytem zakłamania twierdzić, że przedstawialiśmy jakąś klasę w tym zawodzie. Przeciwnie, zarówno nasze możliwości fizyczne, jak i dyspozycje psychiczne sprawiały, że praca nasza dawała odwrotne od zamierzonych przez naszych zwierzchników efekty. Sam jednak fakt kompletnego braku wykwalifikowanych robotników portowych do załadunku i wyładunku czynił, że byliśmy cenieni na wagę złota. To nic, że ledwie wchodziliśmy na pokład i stawaliśmy przy windzie pokładowej, zaraz coś się w najnowszej i najlepszej windzie psuło. To nic, że sznury, wiążące worki z cementem rozplątywały się, gdy ładunek taki wisiał jeszcze trzy metry nad dnem luku i wszystko spadało w chmurze cementowego pyłu i rozdartych worków. To nic, że ładując beczki, robiliśmy zazwyczaj taki bałagan przy ustawianiu, że czasem tysiąctonowe luki trzeba było dwukrotnie przeładowywać i statek opóźniał o trzy dni termin wyjścia na morze. Tego rodzaju rozrywki stanowiły naszą urodę życia i myśli nasze nieustannie pracowały gorączkowo nad tym, co i jak robić, aby gruby spedytor Upmann dostał apopleksji, nie nasuwając przy tym miejscowemu Gestapo żadnych przypuszczeń na temat naszych zdolności i przedsiębiorczości w dziedzinie wrogiego sabotażu. Z drugiej strony Savino był istnym geniuszem lenistwa. Włosi mają cudowne uzdolnienia w tym kierunku i nic nie jest w stanie przeszkodzić ich wyrafinowanym drzemkom w czasie największego zatrzęsienia pracy i godzinnym dywagacjom na temat wyższości makaronu nad kartoflami, przy oczywistym wciągnięciu niemieckich vorabaiterów, bosmana i rachunkowego w zapalczywą dyskusję. Savino miał dwadzieścia lat, oliwkową cerę, szeroką klatkę piersiową, mocne ramiona, ciężkie powieki i wieczną ochotę do przygód miłosnych. W dzień wylegiwał się ze mną na słońcu, brudny i uśmiechnięty, opowiadając niestworzone historie o zamożności swoich rodziców. O piątej po południu, czysto ogolony i z czarnymi włosami, lśniącymi od brylantyny, biegł w zielonej koszuli i żółto-czerwonym szaliku po miłosne upojenie na ulice gdańskiego śródmieścia. Twierdził, że jest studentem medycyny mediolańskiego uniwersytetu i antyfaszystą, w rzeczywistości zaś był dobrze

zapowiadającym się fryzjerem i jedynie zdrowy rozsądek zaprowadził go do Rzeszy jako robotnika portowego, zamiast do dywizji czarnych koszul i na piaski Libii. Wzgardliwa nonszalancja biła nieodparcie z całej jego postaci, gdy stawał na pokładzie przeznaczonego do ładowania statku, a na sam widok jego leniwego wdzięku Niemcy dostawali białej gorączki. Z najmniejszą skrzynką potrafił bawić się tak nieporadnie przez godzinę, że najcierpliwszy bosman płakał z wściekłości, gdy Savino, patrząc łzawo swymi czarnymi oczami gazeli, jakby przepraszał za własną niezręczność. Inaczej z Nilsem. Był on w istocie żylastym, mocno zbudowanym i słomianowłosym robotnikiem portowym z Aarhus, który przyjechał do Niemiec skuszony wysokimi, wojennymi zarobkami, z niezłomnym zamiarem solidnej pracy. Szybko naprawiliśmy to skrzywienie w jego psychice i nastawiliśmy go na jedyny właściwy stosunek do zagadnienia pracy dla Niemców. Okazało się, że jako fachowiec potrafi udzielić nam szeregu nieocenionych wskazówek. W każdym razie firma maklersko-ekspedycyjna Walter Upmann & Soehne, która nas zatrudniała i w której magazynach w Nowym Porcie mieliśmy mały stryszek i trzy drewniane łóżka do naszej dyspozycji, nie miała zamiaru rezygnować z naszych usług. Jedynie twierdząc, że działamy demoralizująco na resztę pracujących z nami robotników-Niemców, dodała nam specjalnego nadzorcę, nazwiskiem Schilke, który nie miał nogi, za to posiadał donośny głos i zasób sformułowań niedopuszczalnych pod żadnym pozorem w ogródkach jordanowskich i na żeńskich pensjach. Ten Schilke był kiedyś marynarzem, nogę stracił w bitwie jutlandzkiej zeszłej wojny, zaś przez dwadzieścia lat międzywojennych brał udział we wszystkich antypolskich awanturach na terenie Wolnego Miasta Gdańska, należał do S.A., był fanatycznym hitlerowcem, a w zwycięstwo wierzył nawet teraz. Zaczęły się tedy ciężkie czasy. Schilke gonił nas nieustannie do roboty, stał nad nami, patrzył nam na ręce na nabrzeżu, na pokładach, a nawet na dole, w lukach, kilka razy kopnął Savina i stale wyrażał najrozmaitsze przypuszczenia na temat zajęć zawodowych naszych przodków po kądzieli. Ale znalazła się i na niego rada.

Schilke lubił opowiadać o swoich przygodach na morzu i na wojnie. Wystarczyło go umiejętnie sprowokować, by w locie złapać godzinę pogaduszki na workach. Cholera go tylko brała, gdy nie mógł nam zaimponować, lub gdy wiedzieliśmy coś lepiej od niego. W ten sposób wynikła kiedyś wspaniała awantura.

Zaczęło się tak: myliśmy się raz po robocie, wszyscy czterej, bo i Schilke musiał czasem zakasać rękawy niebieskiej koszuli i przyłożyć swą żylastą, tatuowaną łapę do jakiejś skrzyni, gdy naraz Savino rzekł:

– To niemieckie kartkowe mydło jest do kitu. Podobnego świństwa w życiu nie widziałem. To w ogóle nie jest mydło, tylko jakiś cholerny ersatz. Eskimosi na pewno by go do ust nie chcieli wziąć…

– A wasze włoskie to niby chcieliby – wykrzywił się ironicznie Schilke. Poczuł się urażony atakiem na niemieckie mydło.

– Oczywiście – odparł Savino. – Eskimosi bardzo lubią mydło, a włoskie z pewnością bardzo by im smakowało. Prawdziwe włoskie toaletowe, phi?

Pojąłem od razu, jakie możliwości kapitalnego ataku kryją się w tej małej konwersacji.

– To pan o tym nie wiedział, panie Schilke – rzekłem – że największym przysmakiem eskimoskim jest mydło? Tyle pan podróżował i nic… Wstyd! Prawda, Nils, że tak jest, ty się przecież świetnie znasz na Eskimosach?

– Tak jest – potwierdził poważnie Nils – największym eskimoskim przysmakiem jest kotlet z mydła lawendowego z groszkiem i zieloną sałatą.

– O, nie – zaprzeczył żywo Savino – ja słyszałem, że Eskimosi szaleją za zwykłym mydłem do prania, cienko krajanym w plasterki w sosie pomidorowym. A może to jest zależne od okolic…

Schilke wściekał się, nawymyślał nam od oślich łbów, bydląt i „blode Auslander", zapowiedział, że jak będziemy robić z niego durnia, to on nam pokaże, trzasnął drzwiami i poszedł.

Nazajutrz pieklił się cały dzień, a potem wszystko było znów po dawnemu. Zapomnieliśmy już o tej rozmowie, gdy po kilku dniach Schilke zagadnął nas z krzywym uśmiechem:

– Z tym mydłem to będziemy mogli sprawdzić. Na redzie stoi „Hango", a na „Hango" jest podobno jeden palacz, prawdziwy Eskimos, czy Lapończyk. To wszystko jedno. Jutro się go spytam.

Ale nazajutrz nie pytał nikogo. „Hango", średni fiński frachtowiec z Helsinek, przycumował na jedenastym nabrzeżu, w basenie węglowym, koło ujścia Wisły. Schilke tam nie pokuśtykał, za to Savino i ja skoczyliśmy zaraz po pracy. Spytaliśmy, czy mają na pokładzie Eskimosa, odpowiedziano nam, że tak. Savino upewnił się jeszcze, czy aby prawdziwy, odparli, że najprawdziwszy, z Wyspy Baffina. Wywołaliśmy go przeto na nabrzeże. Na trapie zjawił się krępy, nieduży pan w brudnej gimnastycznej koszulce, o żółtomiedzianej cerze, granatowo-czarnych włosach i czarnych, wąskich szparkach oczu. Pozdrowił nas uprzejmie łamaną niemczyzną i przedstawił się jakimś niezupełnie obco brzmiącym wyrazem. Savino nachylił doń głowę i spytał:

– Jak?

– Kajaluk to moje nazwisko – rzekł pogodnie Eskimos.

– Chyba się zgadza – zaopiniował w moją stronę Savino – tak samo jak „kajak", tylko ma jedną sylabę „lu" w środku. A kajak, jak wiadomo, jest pochodzenia eskimoskiego.

Pan Kajaluk uśmiechnął się i oświadczył, że rzeczywiście jest narodowości eskimoskiej, pochodzi z Ziemi Królowej Wiktorii i poprzez Wyspę Baffina, na której się wychował, i Grenlandię znalazł się w Petsamo, gdzie trzy lata temu zaokrętował się na fiński frachtowiec „Hango", na którym pływa po dzień dzisiejszy. Po czym spytał nas, czego sobie życzymy.

– Otóż to – rzekłem z namaszczeniem – panie Kajaluk, czy to prawda, że mydło jest ulubionym przysmakiem Eskimosów?

Pan Kajaluk stał się naraz bardzo zły i odparł, że jak o to chodzi, to możemy sobie pójść do jasnej cholery, bo on, bardzo nie lubi tego rodzaju pytań.

– Spokojnie, panie Kajaluk – mitygował Savino – my pracujemy w bogatej firmie. Dla nas kilka flaszek oryginalnego alaszu z Rygi czy

dobrego machandlu, to fraszka. Moglibyśmy dojść do porozumienia i zrobić transakcję na dobrych parę litrów, jeśli tylko zgodzi się pan zjeść niedużą porcję dobrze przyprawionego mydła. Pan sam zdecyduje, jakie, panie Kajaluk, i z octem, czy z musztardą, czy na słodko…

Po tych słowach palacz Kajaluk zaczął wyraźnie bawić się jakimś podłużnym przedmiotem w kieszeni swych drelichowych spodni. Przedmiot ten wyglądał zdecydowanie na nóż sprężynowy. Kajaluk, jak sam mówił, pływał przez trzy lata z Finami, ci zaś mają szczególny pociąg do ostrych przedmiotów i produkują znakomite fińskie noże. Tego rodzaju rozumowanie nakłoniło nas do jak najszybszej wymiany pożegnalnych uprzejmości i rozejścia się pośpiesznie, a w spokoju. Savino wrócił do domu, ale zaraz przebrał się i poszedł na miasto.

Nazajutrz wypadki potoczyły się błyskawicznie. Przez cały ranek Savino był w doskonałym humorze, a śpiewał: „Viens, viens o ma pus belle…" i nawet trochę pracował. W czasie przerwy obiadowej zaś rzekł:

– Pamięta pan, panie Schilke, tę historię z mydłem?

– No i co?… – mruknął Schilke znad menażki z zupą.

– Jeśli chce pan zobaczyć, jak Eskimosi obsuwają z apetytem mydło, to niech pan przyjdzie dziś o siódmej „Pod Zardzewiałą Kotwicę" i przyniesie trochę tego produktu. Ale obficie, bo ten mój Eskimos z „Hango" potrafi opędzlować solidną porcję narodowego przysmaku.

Schilke o mało co nie udławił się z wrażenia grochówką, my z Nilsem też. Zwłaszcza zaimek „mój" wyprowadził mnie zupełnie z równowagi. Po obiedzie praca się już na to konto nie kleiła, drań Savino nie chciał nic mówić, tylko zmienił melodię i gwizdał bez przerwy „J'attendrai". Po pracy zaś zniknął gdzieś niepostrzeżenie.

O wpół do siódmej siedzieliśmy z Nilsem „Pod Zardzewiałą Kotwicą", która była pierwszą mordownią na cały Nowy Port i Zatokę Gdańską, popijając cienkie, wojenne piwo, z lekka zaprawione szmuglowanym spirytusem. Był to jedyny środek na powrót do utraconej w czasie obiadu równowagi. Niebawem przyszedł Schilke. Pod pachą niósł zawinięty

w gazetę nieduży pakunek, w klapie kurtki miał swastykę. Rozglądał się wokoło, jakby wstydząc się, że ma usiąść z cudzoziemcami, w końcu jednak usiadł przy naszym stole, lecz nic nie mówił. Za chwilę wszedł Savino, Kajaluk i, ku memu zdziwieniu, mała Flamandka imieniem Elli. Elli była przemiłym zjawiskiem o kasztanoworudych włosach, mlecznej, z lekka piegowatej cerze i obfitych piersiach, zatrudnionym w pobliskiej fabryce konserw rybnych. Kiedyś darzyła mnie swoimi rubensowskimi wdziękami, z czasem przerzuciła swe łaski na Savino i wszyscy byliśmy z tego powodu bardzo zadowoleni. Teraz wisiała u ramienia promieniejącego Kajaluka, który w żółtych kamaszach, smokingowej koszuli z czarną muszką i marynarskim kubraku sprawiał bardzo wytworne wrażenie, i trzeba przyznać, że wyglądała przyjemnie i ładnie w swej taniutkiej perkalowej sukience w kwiatki. Cała trójka była wyraźnie pod tak zwanym gazem. Savino przedstawił wszystkich wszystkim, usiadł, pociągnął łyczek pojemności ćwierć litra z mojej szklanki, po czym rzekł:

– Panie Schilke, jak się pan zapewne domyśla, siedzący tu pan Kajaluk jest przedstawicielem wielkiego narodu eskimoskiego. A więc proszę, mydło na stół i zaczynamy ucztę!…

Przy tych słowach Kajaluk uśmiechnął się rozkosznie do Elli. Alkohol parował z niego tak potężnie, że muchy omijały go z daleka. Schilke rozwinął pakunek. Były tam cztery kawałki kartkowego mydła typu „R5”.

– Co? – Oburzył się Savino. – Takie świństwo pan przyniósł! Nigdy! Nie bój się, Kajalukuchna, nie dam ci tej kartkowej trucizny!…

Przy tych słowach pogłaskał Eskimosa czule po czarnej głowie, pocałował w czoło i wyjął z kieszeni kawałek toaletowego mydła firmy „Nivea”. Schilke patrzył na nas jak na wariatów.

– Czekaj, Kajaluczek, ja ci to zaraz przyrządzę – rzekła Elli. – Nils, daj Kajalukowi piwka, a ty, Savino, przynieś z kuchni co trzeba…

Nalaliśmy mu piwa, pół na pół ze spirytusem. Eskimos wziął półlitrowy kufel, przyłożył do ust i… rany boskie, w życiu nie przypuszczałem, że Eskimosi to takie oliwy… Za chwilę Savino przyniósł z kuchni ocet,

musztardę, paprykę, sól i pieprz, Elli pokrajała mydło na plasterki, przyrządziła z tego wszystkiego efektowną sałatkę i Kajaluk wziął z namaszczeniem widelec.

Z napięciem zawiśliśmy wszyscy nad stołem. Kajaluk uśmiechnął się do Elli, potem do nas, wreszcie nabrał zdrowy kęs i zaczął z upodobaniem przeżuwać. Po chwili odłożył widelec, namyślił się głęboko i rzekł:

– Czegoś tu brak…

– Czego?… – zapytał zduszonym głosem Savino.

– Chyba… cukru…

Savino jak żbik rzucił się po cukier. Kajaluk pocukrzył dobrze i zaczął ze smakiem jeść. Jak zahipnotyzowani wodziliśmy wzrokiem za widelcem, ruszającym się szybko od talerza do ust i z powrotem. Schilke miał nieme przerażenie w wyszłych z orbit oczach i ceglaste wypieki na twarzy. W końcu Kajaluk zjadł wszystko, popił piwem i przymknął powieki z rozkoszy dosytu. Odetchnęliśmy z ulgą.

– Wytrzyj usta, Kajaluk – błagał tkliwie Savino – bo jeszcze puścisz banieczkę mydlaną…

– Dość tej szopy! – rąbnął pięścią w stół Schilke. Miał bladą, rozżartą wściekłością twarz i latające wargi. – Wy wszyscy jesteście jedną bandą przeklętych cudzoziemców i trzymacie razem przeciwko nam, na naszą zgubę!… Ale to wam się nie uda! – wrzeszczał. – Niemcy tę wojnę wygrają, a wtedy my wam pokażemy!!!…

Przewrócił krzesło i wybiegł z lokalu.

– Czego ten Niemiec się drze? – zapytał wyrwany z błogostanu Kajaluk.

– Nic, Kajaluk – rzekłem – popij sobie jeszcze tej wody ognistej, a jutro przyniosę ci kawałek polskiego mydła „Elida". Mówię ci, pycha, takiego jeszcze w życiu nie jadłeś…

Kajaluk popił sobie aż do tego momentu, kiedy zanieśliśmy go nieprzytomnego na pokład „Hango". Po czym usiedliśmy we czwórkę na balach nabrzeża. Noc była śliczna, jasny księżyc kładł granatowe cienie na

spokojnej tafli portowego basenu. Savino wyjaśnił nam pewne rzeczy, których z Nilsem nie rozumieliśmy:

– Wczoraj byłem umówiony z Elli w mieście. Byłem z nią właśnie w jednej kafejce koło Dworca Głównego, około ósmej wieczorem, gdy wtem patrzę, wchodzi Kajaluk. Usiadł przy sąsiednim stole i od razu zapatrzył się w Elli jak w tęczę. Mówię wam, to było to, co Francuzi nazywają „coup de foudre". Zakochał się od pierwszego wejrzenia. Po pół godzinie wstał, podszedł do mnie i powiada: „Znamy się przecież od kilku godzin. Czy mogę się przysiąść?" No i został z nami. Miał przy sobie butelkę jakiegoś alkoholu, obciągnęliśmy ją więc w tym wirtschafcie we trójkę. Kiedy zostawił nas na chwilę, zdążyłem powiedzieć Elli o tej całej sprawie z mydłem, a ta, zaraz potem, zapytała, czy to prawda, że mydło to przysmak i tak dalej. Na to Kajaluk najbardziej nieoczekiwanie na świecie, mówi, że owszem, bardzo lubi i tylko mu dać. Na to ja, że jutro, Elli – żeby jutro i resztę znacie.

– Jadł z apetytem nawet – powiedziała smutno Elli – a już myślałam, że to poświęcenie, dla mnie…

– A to jest w istocie najciekawsze – zastanowił się Nils – czy Kajaluk opędzlował to mydło dla Elli, zmuszając się do tego, aby tylko zdobyć uznanie w jej oczach, czy po prostu prawdą jest, że mydło to narodowy przysmak Eskimosów?…

Chwilę panowała cisza. Po czym przenieśliśmy wzrok na Elli. Twarz jej wydawała się matowa i biała wśród granatowej nocy nad seledynową wodą, księżyc lśnił w jej rudawych włosach, a usta ciemniały wyzywająco. W oczach naszych był podziw dla jej potęgi.

Warszawa, 1948 r.

NIEDZIELA W STAVANGER

I

Na początku roku czterdziestego czwartego postanowiliśmy z Piotrusiem opuścić Niemcy. Obrzydły nam ciągłe alarmy lotnicze, bombardowanie miasta, przymus otępiającej, niewolniczej pracy, w ogóle Niemcy. Ponadto Piotruś, po ostatnim pobycie w domu, stał się strasznym zwolennikiem dynastii Orańskiej i zdecydował się zadokumentować czynnie swe przekonania polityczne. Należy tu wyjaśnić, że Piotruś był Holendrem i pochodził z przemiłego, wiatrakowatego, tulipanowego i mlecznego, jednym słowem, holenderskiego miasteczka Deventer. Poza tym był smukły, wysoki, miał ciemnoblond włosy, szaroniebieskie oczy i był lojalnym, oddanym przyjacielem.

Po to, aby aktywnie wziąć udział w walce o restaurację monarchii w Niderlandach, należało dostać się do Anglii, zaś najkrótsza droga na Wyspy Brytyjskie prowadziła wówczas przez jeden z nielicznych krajów neutralnych, przez Szwecję. Ponieważ rząd królestwa Szwecji nie zdradzał wyraźnych zamiarów oficjalnego zaproszenia nas na swoje terytorium, zaś władze Rzeszy Niemieckiej nie przejawiały specjalnego entuzjazmu dla udzielenia nam wiz wyjazdowych, udaliśmy się do Szczecina, aby bezpośrednio nad Bałtykiem zbadać możliwości ewentualnej podróży.

W Szczecinie, ściślej mówiąc w barze „Mexico", zawarliśmy cenną znajomość z pewnym fińskim palaczem okrętowym, który mimo mocno zalkoholizowanej atmosfery i ilości pochłoniętej wody ognistej miał do nas

przemowę, odznaczającą się klasyczną logiką i racjonalistyczną jasnością rozumowania:

– Żaden szwedzki kapitan nie weźmie was „na zielono" na pokład. Statki są zbyt dokładnie kontrolowane przez policję niemiecką przed wyjściem z portu, a nawet w czasie ładowania, aby mogło się udać podobne przedsięwzięcie, w razie nakrycia was kapitan idzie pod niemiecki sąd morski, a sami wiecie, co to dzisiaj znaczy. Jedynym wyjściem z sytuacji jest zaokrętowanie się na jakiś statek niemiecki, idący do Szwecji. Po trzech dniach podróży jesteście tam, schodzicie na ląd w pierwszym lepszym porcie, walicie prosto do angielskiego konsula, a tam już wszyscy mogą was… – zakończył pogodnie.

– All right – powiedział Piotruś – da się zrobić. Od jutra szukamy statku.

Popatrzyłem na niego z nietajonym podziwem. Z zawodu był absolwentem Wyższej Szkoły Handlowej i usiłował zrobić karierę w bankowości. Tego rodzaju przygotowanie profesjonalne nie dawało mu przecież prawa brania perspektywy pracy pokładowej tak optymistycznie. Ale ostatecznie! Westchnąłem, wspominając Jana z Kolna, Krzysztofa Arciszewskiego, Conrada i Mariusza Zaruskiego i oświadczyłem swobodnie:

– Jasna rzecz, do jutra jest wszystko ready, a jutro okrętujemy się na pierwszą lepszą balię.

Opuszczając bar „Mexico" kołysaliśmy się, Piotruś i ja, stylowo w barach.

Okazało się jednak, że nazajutrz dopiero wyłoniły się trudności. Minęły owe szczęśliwe epoki, kiedy kandydat na wilka morskiego szedł do kapitana byle jakiego statku i nabazgrawszy trzy krzyżyki na podsuniętym mu kontrakcie, okrętował się jako chłopiec, majtek, marynarz, kanonier, cieśla, siadał na bocianim gnieździe, zostawał piratem i na koniec tonął bogobojnie w wielkiej filiżance słonej wody. Nawiasem mówiąc, na chłopców okrętowych byliśmy nieco za starzy, lecz to było jeszcze nic w porównaniu ze skomplikowanym procesem przemieniania się we współczesnego marynarza.

Przede wszystkim należało mieć tak zwaną „książeczkę morską", czyli dokument uprawniający do wykonywania zawodu marynarza. Do posiadania podobnych wydawnictw nie byliśmy upoważnieni w żadnej mierze. Potem trzeba było mieć pozwolenie Urzędu Morskiego, zaświadczenie Urzędu Pracy, zgodę policji i opinię lekarską o zdolności do służby morskiej. Ale jednocześnie był to piąty rok wojny, niemieckie frachtowce tonęły w owym czasie po kilka sztuk dziennie, ochotników na rejsy bałtyckie było coraz mniej, o załogi coraz trudniej. Gdy zastanawialiśmy się z Pietrkiem, idąc wolno Bollwerkiem (pogoda była wspaniała, jak to w czerwcu nad Bałtykiem), skąd wydostać tę masę papierów, mignął nam przed oczyma szyldzik biura werbunkowego Urzędu Morskiego.

– Wchodzimy? – spytałem Piotra wzrokiem.

Piotruś przestępował już próg.

Przyjął nas krępy, barczysty, tatuowany nawet na dłoniach urzędnik i spytał, czego sobie życzymy. Chcieliśmy na morze. Czy jesteśmy marynarzami? Nie, ale właśnie mamy ochotę zostać. Czy pracowaliśmy kiedyś na morzu? Jeszcze nie, ale jesteśmy młodzi i nie tracimy nadziei na wyuczenie się tego rodzaju roboty. Jakie są nasze stosunki z Urzędem Pracy?

– Uregulowane – odpowiedział wymijająco Piotruś.

Zgadzało się to o tyle z prawdą, że Niemieckie Urzędy Pracy poszukiwały nas na terenie całej Rzeszy za notoryczne wymigiwanie się od przyjęcia jakiejkolwiek roboty, co było podówczas w Niemczech surowo karane. Należeliśmy właśnie wtedy do pilnie tępionej kategorii dobrowolnych bezrobotnych. Lecz cóż, należało grać va banque.

Urzędnik popatrzył na nas podejrzliwie. Myślałem, że złapie za telefon, ale nie, wziął jakiś formularz, spytał nas o nazwiska i zaczął pisać.

– Jaką robotę możecie wykonywać na pokładzie? – rozważał. – Jedynie jako trimmer, palacz lub robotnik pokładowy. Sterować nie potraficie, nie możecie więc okrętować się jako marynarze.

– Jako robotnicy pokładowi – powiedziałem stanowczo. – Zawsze to na świeżym powietrzu.

– Zakosztujecie już wy świeżego powietrza – ironizował gryzipiórek, kręcąc nosem. Coś mu się w tej całej aferze nie zgadzało. W końcu wypełnił formularze i podał nam dwa statki leżące w Szczecinie, na których mieliśmy się zameldować.

Obydwa parowce leżały w ósmym basenie węglowym i bynajmniej nie przypominały „Queen Mary", „Normandie" ani jachtu „Potomac". Można było wręcz rzec, że miały odrapaną farbę, zakopcone nadbudówki, czarne kominy i w ogóle były cholernie brudne. Poza tym, co nas najbardziej przykro uderzyło, tętniły na pokładach gorączkową pracą. Czerwcowe słońce lało płomienie na zgięte, lśniące od potu grzbiety, windy pokładowe terkotały ogłuszająco. Zatrzymaliśmy się przed trapem wiodącym na pokład…

– Okropny hałas – rzekł Piotruś.

– Rzeczywiście – przytaknąłem. – Nie lubię tego. Zawsze byłem zwolennikiem pracy w zbożnym skupieniu.

– Popatrz, tamci dwaj chcą wciągnąć tę ogromna beczkę – wskazał na dwóch robotników portowych o potwornie napiętych mięśniach i obrzmiałych karkach, hissujących sporą beczkę na bloku. – Tylko we dwójkę! Zdaje mi się, że dostaję morskiej choroby…

– Piotr – spojrzałem na niego surowo. – Chcesz zobaczyć oświetlone, nie zaciemnione miasto?

– Chcę – jęknął.

– Chcesz jeść ser holenderski?

– Chcę…

– Chcesz z powrotem wprowadzić Wilhelminę na utracony tron?

– Chcę koniecznie.

Za nami, z tyłu, ktoś strasznie brzydko klął po francusku. Głos ów zbliżał się powoli i wreszcie spoza stosu skrzyń wynurzył się przysadkowaty facet w pasiastych, biało-niebieskich spodniach, smokingowej marynarce

i okrągłej czapce z daszkiem, jakie noszą niemieccy marynarze. Niepewnym krokiem kierował się w stronę trapu, koło którego staliśmy.

– Najmocniej pana przepraszam, monsieur – zwróciłem się wytworną francuszczyzną w stronę nieznajomego. – Nie wie pan przypadkiem, dokąd udaje się w podróż ten oto statek?

Ziomek Ludwika Świętego spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Cholera go wie. Ale na pewno nie pojedzie beze mnie.

– Uważaj – rzekł Piotr – to może sam kapitan.

Spojrzałem na niego z politowaniem.

– Kapitan, nie kapitan – obraził się Francuz – ale kucharz. Bez kapitana jechać można, bez kucharza nie.

– Dziwne więc, że sam kucharz nie zna najbliższego rejsu.

– A może i znam. Co wy zresztą za jedni, czego chcecie?

Znałem dobrze typ Francuza w Niemczech. Tutaj nie należało bawić się w żadne kołowanie i owijanie w bawełnę. Widać było, że chłop swój i może pomóc, gdy się z nim odpowiednio pomówi.

– Słuchaj, bracie – rzekłem. – Jesteśmy dwaj zmęczeni Rzeszą cudzoziemcy i chcemy do Szwecji. Mamy skierowanie do pracy na tym pudle, lecz przed rozmową z kapitanem wolałbym porozmawiać z tobą.

Francuz spojrzał na mnie bystro, bez śladu alkoholu w oczach. Zrozumiał.

– Nie – odparł. – Ten statek nie idzie na Szwecję. Zresztą w Szczecinie nic nie znajdziecie. Stąd wszystko wali na Norwegię. Jedźcie koleją do Gdańska, a tam bon courage, bye, bye…

Złapał się za poręcz trapu i począł windować na pokład.

Po upływie czterdziestu ośmiu godzin wychodziliśmy z Urzędu Morskiego na Langegasse w Gdańsku. Piotruś miał w kieszeni przydział na frachtowiec „Hella", ja – na statek węglowy „Charlotte Cords". Asekurowaliśmy się na dwie strony.

Wieczorna wizyta w „Sanct Pauli Mampe", jednym z najpopularniejszych zakładów rozrywkowych na Neufahrwasser, wprawiła nas w zachwyt. Nie to,

aby wykwint tego lokalu czy szampańska atmosfera w nim panująca pozwoliły nam przeżyć czarujące chwile szaleństwa. „Sanct Pauli Mampe" było raczej ponurą budą, o zalanych cienkim piwskiem stołach, odrapanych ścianach i suchotniczym akordeoniście, do picia należało przynieść coś niecoś w kieszeni, obecne tam bajadery przedstawiały wojenne i kartkowe wydanie swego gatunku, ale spotkaliśmy za to naszych przyszłych kolegów z pokładów „Helli" i „Charlotte Cords". Na domiar powodzenia panowie ci opowiadali nam wzruszająco, w otwartości swego zapijaczonego stanu, że „Hella" idzie z cementem do Goteborgu, zaś „Charlotte Cords" ładuje węgiel na rejs do Lulea. Więcej nam nie było trzeba. Krótka narada wojenna uchwaliła, że pojedziemy oddzielnie, każdy na swoją rękę dostanie się do Sztokholmu, a tam już odnajdziemy się wzajemnie.

Nazajutrz meldowaliśmy się u kapitanów; ponieważ „Charlotte Cords" szła tego samego dnia na morze, Piotruś odprowadził mnie na pokład.

Węglowiec leżał w ujściu Wisły w porcie węglowym. Pośród potężnych hałd węgla, w jazgocie kranów i dźwigów, na żelaznym pokładzie śródokręcia żegnałem się z Piotrusiem. Ucałowaliśmy się jak bracia i muszę przyznać, że coś mnie w gardle łaskotało, bowiem kochałem go mocno i wiele przeżyliśmy razem. Pietrkowi także było jakoś niewyraźnie w oczach, a blond czupryna wiała mu smętnie na bałtyckim wietrze.

W chwilę potem meldowałem się u mego kapitana. Siedział w salonie (pożal się, Boże, co za „salon"), jak mnie poinformował jakiś obdartus podający się za stewarda, i zajęty był właśnie likwidowaniem obiadu. Zapukałem. Wszedłem.

– Jestem przydzielony na pański statek, captain.

Wszechmocny zmierzył mnie od stóp do głów, nie przerywając żucia. Należy tu wyjaśnić, że pojęcie o przeciętnym marynarzu było nieco oddalone od mojego wyglądu. Nosiłem akurat wtedy długą, szarą marynarkę „swing" i krawat kupiony u „Byrona" na Champs Elysee. Aby więc wyprzedzić jakiekolwiek nieporozumienie, rzekłem szybko:

– Mam skierowanie jako pokładowa siła robocza. Na morzu jeszcze nie pracowałem, lecz niech się pan nie boi, dam sobie radę.

– Ja się nie boję – padło z jamy ustnej wypchanej makaronem – ale ty możesz się bać. Manatki zaraz na pokład, po południu jedziemy.

Była godzina dwunasta piątego czerwca czterdziestego czwartego roku, gdy tak oto zostałem marynarzem.

Ledwie rzuciłem swą walizkę na wskazaną mi w kubryku koję, od razu zagoniono mnie do roboty. Matko święta! Jak ja się wtedy napracowałem… Oblepiony potem zmieszanym z węglowym pyłem, o zdartych, połamanych paznokciach, z głową rozsadzoną dygotaniem maszyny i stukaniem wind pokładowych rozciągałem jakieś brezenty, zabijałem kołkami persening na lukach, ciągnąłem jakiejś potwornej długości i grubości liny przy rytmicznym wyciu „A-ho-i" sześciu innych potępieńców, hissowałem jakieś belki, wreszcie ostatnim wysiłkiem mięśni, kręgosłupa i woli wlokłem za polewającym pokład bosmanem monstrualny szlauch, który puszczał bokami i moczył mnie do nitki słoną, tłustą od plam portowego basenu wodą. Po tym debiucie, utykając na umęczone nogi, zrezygnowałem z kolacji, dokusztykałem do marynarskiego kubryka na dziobie, walnąłem się, tak jak stałem, czarny od brudu i mokry, na mą koję i przytuliwszy skołataną głowę do żelaznej ściany burty zasnąłem snem świeżo upieczonego robotnika pokładowego.

Przebudzony zostałem wcale nie według zasad marynistycznych opowiadań, to znaczy dygotaniem pokładu lub kołysaniem statku, lecz ochrypłym pyskiem jednego z moich nowych kolegów po fachu. Należało wstawać na wachtę, rozpoczynającą się o godzinie szóstej. Wciągnąłem na siebie przemoczone łachy, każdy mięsień stawał w wyraźnej opozycji do mych centrów nerwowych, po czym z trudem wdrapałem się na pokład. Tam czekał już na mnie pierwszy oficer, który nie omieszkał przypomnieć mi, że nie znajduję się na pokładzie jachtu wypoczynkowego, tylko węglowego frachtowca, i że jeśli co rano przejawiać będę podobne skłonności wypoczynkowe, to on już dopomoże mi kopniakiem w zadek,

abym szybciej osiągnął pokład. Na koniec postawił mnie na samym dziobie statku, dał w rękę gwizdek i kazał uważać na miny. W razie, gdybym zauważył na falach coś nieprawidłowego, należało gwizdać, zupełnie jak na meczu futbolowym. Było to bardzo interesujące zajęcie, które pozwoliło mi przede wszystkim na wygodne ułożenie się na zwoju lin, co samo przez się poprawiło wydatnie me samopoczucie, po czym oddałem się gruntownym studiom otoczenia.

Znajdowaliśmy się już na pełnym morzu i dookoła siebie miałem wszystkie akcesoria morskiej romantyki. Pogoda była cudowna, słońce bez zarzutu, fale jak to fale i niebo jak we wszystkich opisach bałtyckiego nieba. Zresztą interesowały mnie te wspaniałości bardzo umiarkowanie, prawdziwy wilk morski nie zważa na tego typu atrakcje, wprawiające w zachwyt jedynie szczurów lądowych. Daleko ciekawszym przedmiotem obserwacji była sama „Charlotte Cords". Z niejasnym uczuciem niepokoju kontemplowałem jej trzy tysiące pojemności, nieregularnie rozstawione nadbudówki, odrapaną farbę, brudny żelazny reling, chaos splątanych lin, bloków, łańcuchów i drutów. Mimo wczorajszego szorowania wszędzie leżała gruba warstwa lepkiego, zwilgotniałego od morskiego powietrza pyłu węglowego. Każde dotknięcie, krok każdy zostawiał ślady, wokół rzęs czuło się stale osad czarnego kurzu. Mimo woli porównywałem ją do owej travenowskiej „Yorikki", lecz brakowało tu momentu beznadziejności, jaką „Yorikka" była przepojona. „Charlotte Cords" oznaczała dla mnie nadzieję, drogę do wolności, do przyjaciół, do życia.

Z kapitańskiego mostku pierwszy oficer wyraźnie groził mi pięścią. Miało to oznaczać, że mam uważać na miny, a nie gapić się na statek, zaś miny zazwyczaj znajdują się od dziobu, a nie na kominie. Wobec tego usadowiłem się wygodniej, schowałem gwizdek do kieszeni i zasnąłem. Nie mogłem przecież na taką odległość wytłumaczyć draniowi, że jest absolutnie wszystko jedno, gdzie się patrzę, bowiem jestem i tak krótkowzroczny, a nosić okulary na pokładzie byłoby bardzo niestylowo.

Nie upłynęła godzina, gdy zostałem wyrwany z drzemki. Przede mną stał niewielki, młody człowiek w białym, drelichowym mundurze roboczym niemieckiej marynarki wojennej. Nie robił na mnie złego wrażenia. Jasne oczy patrzyły wesoło i przyjaźnie na świat, a zatem i na mnie, agresywnie zadarty nos świadczył o młodej ciekawości. Był mniej więcej w moim wieku i jak na to wskazywał uniform, należał najwidoczniej do załogi artylerii przeciwlotniczej, jaką w czasie wojny miał na pokładzie każdy statek handlowy. Zdążyłem zresztą już zauważyć, że „Charlotte Cords" także była zaopatrzona w jedno małokalibrowe działko i dwa karabiny maszynowe.

– Masz coś do picia, bracie? – zaczął rozmowę w całkiem niewymuszony sposób.

– Jeszcze nie – odparłem zgodnie z prawdą. – Jestem nowy na pokładzie, od wczoraj dopiero.

– To nic, ale będziesz miał. Dzisiaj dostajecie wódę wy, załoga.

– A wy, z przeciwlotniczej?

– My dostaliśmy wczoraj. Już wspomnienie tylko zostało. Znasz ostatnie nowiny?

Złe przeczucie mnie tknęło.

– Jakie nowiny?

– Ta cała zajechana wojna skończy się niedługo.

– Aha, rozmawiałeś wczoraj chyba z Hitlerem albo jesteś spirytystą.

– Alianci wylądowali we Francji.

Podrzuciło mnie w górę.

– Inwazja!

– Dzięki Bogu. Nareszcie skończy się to całe guano. Bydlak radiotelegrafista zbudził dziś w nocy całe śródokręcie. Captain siedział przez noc przy radiostacji. Ma nowe rozkazy. O czwartej z rana zmieniliśmy kurs z nord-ost na nord-west.

Kolana się pode mną ugięły.

– Nie płyniemy do Lulea? – jęknąłem.

– Nie, do Bergen.

– Masz coś do picia? – spytałem tym razem ja.

– Już nie, ale jak skończysz wachtę, to przyjdź do nas na dół, na śródokręcie. Jest nas ośmiu, same zgrane kumple, może się coś znajdzie.

Słońce straciło swój blask, niebo lazur, fale koloryt, tak intensywnie zastanawiać się począłem nad nowo wytworzoną sytuacją. Wsiąść na statek, idący do wschodniej Szwecji, a wylądować w zachodniej Norwegii stanowiło dla mnie nie tylko pewną różnicę w południkach i równoleżnikach, lecz wyłaniało niesłychanie skomplikowane zagadnienia i problemy.

Około godziny dziewiątej mijaliśmy Bornholm od back-bordu. Teraz nie miałem już żadnych wątpliwości: jechaliśmy na pewno w północno-zachodnim kierunku. Bóg mi świadkiem, że z większą radością znalazłbym się w tym momencie na wysokości Wysp Alandzkich, lecz na podobne kopniaki przeznaczenia nie było rady. Aby więc podnieść się nieco na duchu, poszedłem po skończeniu wachty zakosztować po raz pierwszy słynnej morskiej aprowizacji.

Zaznaczyć należy, że właśnie wyżywienie było w czasie wojny najlepszą przynętą w rekrutowaniu załóg do niemieckiej marynarki handlowej. Statki niemieckiej żeglugi nie znały prawie ograniczeń kartkowych i dawały marynarzom poczwórne ilości mięsa, tłuszczów, chleba, tytoniu i alkoholu w stosunku do racji reszty ludności Rzeszy. Nic więc dziwnego, że mimo niebezpieczeństwa min magnetycznych i szmerowych, radzieckich łodzi podwodnych i angielskich samolotów torpedowych, mimo kolosalnie wysokiego procentu topionych statków niemieckich zawsze jeszcze znajdowała się spora liczba ochotników, rekrutujących się spośród mas cudzoziemskich, zapełniających Niemcy.

Na przeciętnym parowcu frachtowym jedynie oficerowie pokładowi i maszynowi, bosman, kucharz i żołnierze przeciwlotniczej byli Niemcami, resztę załogi stanowili przeważnie cudzoziemcy – Francuzi, Włosi, Rosjanie, Holendrzy, Litwini czy Łotysze, którzy skuszeni podobnymi możliwościami, lekką ręką podpisywali kontrakty i po pewnym czasie zdecydowanie wylatywali w powietrze, względnie ginęli w falach czterech mórz i jednego

oceanu. Zaokrętować się było łatwo, ale droga odwrotu już w zasadzie nie istniała. Obozy koncentracyjne portowych miast niemieckich i terenów okupowanych pełne były zawsze żeglarzy, mających dosyć rozkoszy wojennego pływania.

Rzecz jasna, że warunki pracy na deku niemieckich statków nie należały do idealnych. Żelazna dyscyplina, wyzysk sił ludzkich, szesnastogodzinny dzień pracy, przemoc, gwałt i bicie należały do zjawisk normalnych, tym bardziej, że przesiąkła wódką, przepojona ustawicznym lękiem o życie atmosfera czyniła z czasem z najspokojniejszego kapitana obojętnego na wszystko chama.

W kambuzie poznałem wuja Studemanna i znajomość ta objawiła mi się od razu w całej swej doniosłości. Miał on właśnie przemowę do obierającego kartofle koksmata, wysokiego, cienkiego, o suchotniczym wyglądzie i końskiej twarzy szczeniaka z Lubeki, który wybrał się na morze w poszukiwaniu przygód, znalazł gruźlicę wykąpawszy się w falach północnego Atlantyku przy jakimś storpedowaniu i jak każdy początkujący odkrywca i żeglarz czyścił na razie garnki w kambuzie „Charlotty Cords".

– Na początku był duch i duch stworzył materię. Tak twierdzą idealiści! – wykładał Studemann płynnie gestykulując trzymaną w ręku, potężną pokrywą od kambuzowego kotła. – Mimo, że nie posiadasz specjalnie inteligentnej twarzy, gówniarzu, powinieneś to zrozumieć. Materialiści zaś mówią: nie! Co widzę, co czuję, co słyszę, to istnieje, najprzód powstała materia i z materii wyszedł duch. Koksmat, sukinsynu, jak będziesz tak grubo obierał kartofle, skopię ci mordę na irlandzki gulasz! Ja jestem materialistą i należałem do Klubu Wolnomyślicielskiego w Rostoku. Z tego powodu miałem u siebie w domu dużo książek filozofów materialistów, jak pani Ludenford i Karol Marks, które zabrały mi te hitlerowskie świnie po swoim dojściu do władzy. Ale to wszystko jeszcze nic w porównaniu do tych czasów przed Wielką Wojną, kiedy byłem kucharzem na „Dorze Fritzen". Jak myśmy się wtedy bawili w Libawie! Nie było to jak bawić się w Rosji. „Ja wam skażu adin sekret…" – zanucił po rosyjsku. Niebieskie, wypłowiałe

oczy przybrały rozmarzony wyraz, a cała wysoka, krzepka jeszcze postać wyprostowała się jak za dawnych dobrych czasów.

– Statek przycumował, już waliliśmy do kasyna, ja we fraku, Franz z kotłowni we fraku, jedwabny szal, jedwabna peleryna… Szmugiel, koksmat, szmugiel odchodził jeszcze wtedy, nie tak jak dzisiaj, torpedę możesz zarobić na morzu. Koksmat, suchotniczy wyskrobku, znowu nie napełniłeś dużego kotła! – z całej siły trzasnął trzymaną w ręku pokrywką w środek kamiennej płyty.

Muszę przyznać, że zaimponowało mi to wszystko, chociaż zląkłem się niepomiernie. Już miałem zrezygnować z jedzenia, aby tylko nie ściągnąć na siebie uwagi groźnego władcy kambuza i wycofać się dyskretnie, gdy z iluminatora wysunęło się kościste a muskularne ramię i przytrzymało mnie mocno za kołnierz żeglarskiej jaki. Z drzwi kambuza wychyliła się reszta długiego tułowia Studemanna.

– Ty, nowy, czego nie przychodzisz po jedzenie? – Niebieskie oczka śmiały mi się drwiąco prosto w twarz.

– Mam wrażenie, że nie odpowiada mi północnoniemiecka kuchnia. Muszę się powoli przyzwyczajać.

– Co ty za jeden?

– Mój ojciec był Francuzem, matka – Polką, urodziłem się na redzie Barcelony na belgijskim statku, wobec tego mam trudności z uczuciami patriotycznymi.

Studemann przyjrzał mi się z uznaniem.

– Z ciebie taki marynarz, jak z koksmata „kwiat Hawaju".

Spojrzałem na koksmata, który przyglądał mi się kilka chwil z szacunkiem, jako człowiekowi, z którym jego pan i władca rozmawia już całe dwie minuty nie podnosząc głosu do ogłuszającego wrzasku. Samo to zjawisko przekonało biedaka, że jestem istotą wyższą i godną podziwu.

– Zresztą, wszystko mi jedno, kto jesteś i co tu robisz – ciągnął kucharz. – Ja jestem materialistą filozoficznym i dlatego uważam, że internacjonalizm ma wielkie możliwości na przyszłość. Tylko musi być zachowana czystość

rasy, bo inaczej występują objawy degeneracji jak u jednego palacza z Hamburga, z którym byłem w 1912 roku na frachtowcu „Kalliope". Był on wynikiem skrzyżowania Malaja z Eskimoską i z tego powodu pomieszało mu się poczucie zimna i ciepła. Schodził na wachtę do kotłowni w zimowej bieliźnie i w czasie pracy ubierał się coraz cieplej, a gdyśmy byli raz w okolicach Ziemi Franciszka Józefa, przyszedł do kambuza rozebrany do naga i chciał mnie zakłuć nożem, jak mu nie dałem na deser lodów.

Spojrzałem na Studemanna spod zmrużonych powiek. Czy robi ze mnie wariata? Koksmat słuchał i wierzył. „Czekaj – pomyślałem – pokażę ci", po czym rzekłem z nonszalancją:

– To jest objaw zwykłej schizofrenii. Rozdwojenie jaźni o zabarwieniu kontrapunktycznym. Mówi o tym Freud w swojej „Psychoanalizie", wspomina Adler, a także znakomity redemptorysta angielski P.G. Woodehouse.

Taka ilość niezrozumiałych wyrażeń i pięknych nazwisk zrobiła swoje. Wuj Studemann potulnie spuścił wzrok i wycofał się, a koksmat, który właśnie zaczął obierać kartofle, zajechał się nożem w rękę z przerażenia. Stylowym ruchem podciągnąłem spodnie, zabrałem przynależną mi menażkę z makaronem, oblanym słoniną, i rozkołysanym krokiem ruszyłem w stronę kubryku.

Czułem się nieco podniesiony na duchu. Pierwsze zetknięcie z rzeczywistością pokładową nie zakończyło się moją bezapelacyjną klęską. Jeszcze trzymam się jakoś. Na razie poczyniłem dwie cenne znajomości. Pierwsza – żołnierz z przeciwlotniczej, który zrobił na mnie nienajgorsze wrażenie, druga – to Studemann. Ten wywąchał, kto ja zacz, ale nie przejawia na razie wrogich zamiarów. W każdym razie Studemann to cwaniak i będzie szperał. Nie wystarczy mu sam fakt stwierdzenia, że z morzem mam mało wspólnego. O tym wiedzą przecież zarówno koledzy z załogi, którzy obserwowali mnie przy robocie, jak bosman, którego jeszcze trzeba będzie rozgryźć, jak i oficerowie. Tylko że ta cała banda wraz z kapitanem nie zastanawia się nad motywami pójścia na morze takiego

ochotnika albo bierze pod uwagę tylko chęć przygód i zarobku na szmuglu. Zwłaszcza kapitan ma mnie za częsty w portach typ szmuglera, który jedzie na tak zwane „skoki". Widziałem to w jego pogardliwym wzroku, gdy mnie pierwszy raz ujrzał, i było mi z tym wygodnie, gdyż usuwało inne podejrzenie. Przed wojną żaden kapitan nie okrętował tego typu ludzi, gdyż mieli oni przeważnie fałszywe książeczki morskie i schodzili po jednym rejsie z pokładu. Brak załóg w czasie wojny zrobił swoje. Brali każdego.

W kubryku była dość wygodna sytuacja. W moim boksie stało sześć koi, na których spało pięciu włoskich marynarzy i ja. Żaden z Włochów nie znał innego języka oprócz włoskiego, ja – nie znałem włoskiego. Poza życzliwymi uśmiechami i strzępami niemieckich słów, wystarczającymi do najogólniejszego porozumienia, nie prowadziliśmy więc żadnej konwersacji. Zjadłem swój makaron i nastrojony jeszcze optymistyczniej rozwaliłem się na koi, aby przemyśleć położenie, w jakie wepchnął mnie los i decyzja generała Eisenhowera.

Kurs na Norwegię nie zmieniał nic. Znowu lądowałem w kraju zajętym przez Niemców. Ucieczka lądem do granicy szwedzkiej w obcym kraju, z bagażem i bez znajomości języka, byłaby samobójstwem. Można by było jeszcze coś zdziałać w Oresund, w cieśninach między Danią i Szwecją. Należałoby się zdecydować na skok do wody i próbować osiągnąć wpław brzeg szwedzki. Było to wykonalne tylko w ciemnościach, we dnie strzelano by do mnie z pokładu i istniały małe szanse przepłynięcia, nawet najtęższym crawlem, kilkuset metrów pod ogniem cekaemów z mostku. Według moich obliczeń powinniśmy byli wejść do Oresundu jutro, ale nie wiedziałem dokładnie, o jakiej porze, był więc czas do ostatecznej decyzji. Ponieważ nie potrafiłem na długo przejmować się sytuacją, a w gwiazdę swoją zawsze wierzyłem niezachwianie, zasnąłem tedy w błogim przekonaniu, że jakoś to będzie.

Zbudziło mnie lekkie popychanie, co samo przez się wskazywało, że przy koi nie stoi żaden z moich przełożonych. Rzeczywiście, w ciemności kubryka bielał drelich artylerzysty z przeciwlotniczej, z którym

rozmawiałem w czasie rannej wachty na dziobie. Zadarty nosek wprost godził w moją twarz, a niebieskie oczęta powleczone były rozkoszną alkoholową mgiełką. Zapach Hamburger Steinhagera, czyli tak zwanego „Fusel", rozchodził się w regularnych kręgach nad koją.

– Ty, bracie, to ja, Heinz. Fasowałeś już wódę?

– Jeszcze nie – odpowiedziałem uspokojony, że nie wzywają mnie do roboty.

– To fasuj i chodź na śródokręcie.

– Da się zrobić.

Ciekawiła mnie ta część społeczności pokładowej, która panowała na śródokręciu. Wstałem i wraz z Heinzem poszedłem do kwatermistrza, gdzie otrzymałem swoje dwa litry fuslu. Tak zwana porcja pełnomorska, do najbliższego portu. Ze skarbem tym zeszliśmy do przestronnej kajuty obok przedniego luku. Tu rezydowali artylerzyści, co przypominało czasy handlowych brygów, o burtach pełnych dział, chronionych przez żołnierzy przed kaperami, piratami i wojennymi fregatami wrogich państw. Teraz bryg zmienił się we frachtowiec, złoto i diamenty Hispanioli w czarne diamenty węgla ze Śląska, fregaty i kaperzy w samoloty torpedowe i łodzie podwodne, a kanonierzy osiemdziesięciofuntówek w obsługę szybkostrzelnego działka.

Na dole było ciemno od dymu i panował wszechwładnie zapach fuslu. Na kojach leżały porozwalane postacie w białych drelichach albo w kompletnych granatowych mundurach i w kolorowych pasach ratowniczych. Byli to ci, którzy w zasadzie mieli wachtę na mostku, ale nie kwapili się na górę, póki ostatnia butelka fuslu stała jeszcze na stole.

Z jednego końca dochodziła skoczna melodia „Ship Ahoi", z drugiego smętna i tkliwa „Aloha – ha". Pośrodku grał ktoś na harmonijce na przemian „Harst Wessel Lied" i „Lili Marleen". Całość robiła więc na mnie na ogół dobre wrażenie miłej przytulności.

Moje wejście z fuslem przywitane zostało szmerem zachwytu, zmieszanego z podziwem. Byli to przeważnie młodzi chłopcy w typie Heinza. Wszyscy natychmiast wstali z koj, przygładzili włosy i mundury,

przedstawili się grzecznie i usiedli dookoła stołu. Heinz nalewał już alkohol do aluminiowych kubków. Gdy na pytanie o moją przynależność państwową oświadczyłem, że jestem Francuzem, zaczęła się z miejsca generalna dyskusja.

Z początku wszyscy zachwycali się „moją ojczyzną", piękną Francją, wesołymi portami, dziewczętami i urokiem francuskiego życia. Następnie ktoś zauważył, że gdyby Francja poszła ramię w ramię z Niemcami, to wtedy Führer z łatwością opanowałby świat. Na to ktoś inny dodał, że Francuzi to mądrzy ludzie, mają Niemcy i Führera gdzieś, dobrze zrobili, że mu, to znaczy także nam, Niemcom, pokazali tyłek, bo wiedzą, jak należy żyć i nie dać wykorzystać się kapitalistom. Podobnie, według przemawiającego, działo się przed wojną w Czechosłowacji, o czym on wie najlepiej, bowiem zakosztował takiego życia, pochodząc z Sudetenlandu, którego największym nieszczęściem było przyłączenie do Rzeszy.

Po niniejszym oświadczeniu dyskutanci podzielili się na dwa obozy. Jeden obóz utrzymywał, że wojna to „Scheisse", powinna jak najszybciej się skończyć i to klęską Niemiec, w którą żaden nie wątpił ani na chwilę. Drugi obóz twierdził, że Hitler jest opatrznościowym mężem stanu, a wojna koniecznością obronną narodu niemieckiego przed zalewem bolszewickiego barbarzyństwa, które, według niedawnych słów Goebbelsa, ma zamiar wykastrować wszystkich młodych Niemców. Przez kilka chwil obydwa obozy wyzywały się wzajemnie od świń, zdrajców, bolszewików i kapitalistycznych pachołków, po czym jeden młodzieniec z obozu prohitlerowskiego zapytał młodzieńca z Sudetenlandu:

– Jak cię taka cholera bierze, to dlaczego nie spuszczasz łodzi ratowniczej w Oresundzie i nie wyrywasz do Szwecji. Wiesz przecież, że nie będziemy strzelali do ciebie.

W tym miejscu rozmowa zaczęła być dla mnie szczególnie interesująca. Mimo znakomitej ilości wypitego fuslu, otrzeźwiałem momentalnie i nadstawiłem ucha.

– Bo nie chcę, boję się i nie potrafię sam. A zresztą… – Niemiec z Czech machnął ręką i położył zamroczoną głowę na stół.

Wyszedłem z artyleryjskiego kubryku na nocną wachtę. Trzeba było zadecydować sprawę Oresundu. Wiedziałem, gdzie leży łódź; kwestia wymagała tylko postanowienia. Nazajutrz mieliśmy być w Oresundzie.

II

Nie urwałem się jednak w Oresund. Stałem leniwie oparty o reling, gdy mijaliśmy brzeg szwedzki w odległości niecałych czterystu metrów. Przy jednym dobrym zrywie crawlem osiągnąłbym brzeg bez trudu, pogoda była bowiem wspaniała i morze gładkie. Szwedzkie miasto Helsingborg śmiało się do mnie zapraszająco wesołymi, białymi domkami. Mimo to nie było we mnie żadnego wahania, żadnej duchowej rozterki, żadnego „być albo nie być", chociaż po stronie Danii mijaliśmy właśnie zamek Hamleta w Helsingor. Postanowienie było jasne jak krótki rozkaz: nie skaczę i nie robię zamachu na szlauchbot, trzeba czekać lepszej okazji. A powody – dwa, ale wyraźne i ostateczne: weszliśmy do Oresund o ósmej z rana, wyszliśmy o trzeciej po południu, a na mostu stał cały czas pierwszy oficer, szturman Johann Goebel, i patrzył na mnie badawczo.

W moich obliczeniach z poprzedniego wieczoru stawiałem na to, że żołnierze, obsługujący cekaemy na górnym mostku, postaraliby się, nawet strzelając, nie trafić we mnie. Tym bardziej iż dowiedziałem się, że wachtę ranną mają ów Sudetczyk i jeden z jego zwolenników we wczorajszej dyskusji. Nie przewidywałem natomiast, że na mostku nawigacyjnym wachtę będzie miał Goebel. Jak zachowa się w wypadku mego skoku do wody, nie miałem żadnych złudzeń. Odepchnąłby z pewnością służbę cekaemu i postarałby się trafić. I trafiłby na pewno. Ponure bydlę – ten szturman Goebel. Potężnie zbudowany, krępy i rozrośnięty, miał twarz bladą, skrzywioną i jakby schorowaną, która dziwnie nie pasowała do atletycznego korpusu. Spod brudnej, białej oficerskiej czapki patrzyły

złośliwie wyłupiaste, czarne, wiecznie podkrążone oczy. Cierpiał na jakąś zastarzałą chorobę żołądka, nabytą gdzieś w tropikach, zjadał potworne ilości jakichś pastylek i lekarstw, co nie przeszkadzało mu wcale w piciu wódki.

Na pokładzie uchodziłem za Francuza, gdyż miałem lewy paszport, opiewający na francuską przynależność państwową. Kapitan, okrętując mnie, wpisał bez zastrzeżeń „Francuz" do musterrolki. Tylko Goebel podejrzewał coś na początku. Przed kilku dniami, jeszcze w Gdańsku, gdy bunkrowaliśmy węgiel, rozmawiałem z rosyjskim palaczem, Griszką, po polsku. Goebel stał niedaleko, a potem zahaczył mnie:

– Ty, mówicie po polsku, nieprawda?

– Po polsku – zgodziłem się.

– A skąd ty umiesz?

– Moja matka była Polką – odparłem swobodnie.

Uśmiechnął się złośliwie prosto w oczy i poszedł. Potem zauważyłem, że inni oficerowie, wraz z kapitanem, patrzą na mnie podejrzliwiej niż na początku. Widocznie Goebel podzielił się w messie oficerskiej swym spostrzeżeniem. Komplikowało to trochę położenie, ale nie dawało powodów do rezygnacji.

Góra oficerska na „Charlotte Cords" nie przedstawiała się bynajmniej sympatycznie. Kapitan, nieokrzesany cham z Rugii, wielki, bykowaty blondyn, o świńskiej czuprynie i zapitych, bladych oczkach, pokazywał się rzadko. Cały dzień siedział w budce nawigacyjnej albo w swojej kabinie i pił wódkę. Nie czyniło go to sympatycznym z punktu widzenia towarzyskiego. Do ludzi mówił monosylabami i jedyną jego rozrywką było maltretowanie obdartego stewarda – Holendra, który latał cały dzień z żarciem między kambuzem a kajutą kapitana. Steward ten, mimo że na morzu zachowywał się i był marynarzem całą gębą, tak zahukany został przez to nieustanne latanie po schodkach z gorącą kawą, że zaczął z czasem popełniać najkardynalniejszy błąd żeglarski, to jest wylewać wszystko od nawietrznej.

Miało to ten skutek, że co by nie zostało wylane za burtę, wiatr wracał z wdziękiem z powrotem na pokład. Właśnie wczoraj steward w ten sposób opróżnił z górnego pokładu kubeł uryny z kajuty kapitana. Zawartość ta nie omieszkała wrócić po chwili, niesiona wiatrem, prosto na dolny pokład koło kambuza, gdzie wuj Studemann otwierał puszki z konserwami na kolację. Krewki staruszek, mimo namiętnej skłonności do materialistycznego wolnomyślicielstwa, nie odznaczał się bynajmniej filozoficznym spokojem i równowagą ducha. Chyżo pobiegł tedy na górny pokład i przy pomocy kilku celnych uderzeń zwichnął stewardowi szczękę. Na odgłos tego zaimprowizowanego spotkania bokserskiego – steward bowiem, chłop nie ułomek, usiłował zachować gardę i zasunął przy tym Studemannowi kilka sierpowych w ucho – wyszedł kapitan i dowiedziawszy się, co się stało, najpierw uśmiechnął się krzywo, a potem, aby zakończyć incydent nieodwołalnym akcentem, tak kopnął parę razy stewarda, gdzie popadło, jedynie w celu autorytatywno-wychowawczym, że poszkodowany całą noc wił się z bólu na koi.

Element uświadomienia politycznego reprezentował w łonie ciała oficerskiego pierwszy mechanik. Był to typowy Prusak z Rostocku, po pięćdziesiątce, o krótko ściętej sterczącej szczecinie siwych włosów, bladoniebieskim, przeraźliwie zimnym spojrzeniu i potężnym brzuchu portowego szynkarza. Na mundurze nosił stale przypiętą odznakę partyjną i chociaż kapitan i Goebel też należeli do partii, musiał mieć nad nimi jakąś zdecydowaną przewagę. Swoją ważnością przygniatał wprost drugiego oficera maszynowego, flegmatycznego gdańszczanina, tatuowanego na całym ciele, który zmuszony był do odrabiania i swojej, i połowy wachty swego przełożonego, „Chief" bowiem, zamiast łazić regularnie do maszyny, potrafił spać bez przerwy monstrualne ilości godzin w swojej kabinie.

Najsympatyczniejszą postacią w oficerskiej messie był drugi nawigacyjny. Młody, przystojny chłopak nie wadził nikomu, mówił rzadko i mało, a jak zabierał się do mówienia, to przeważnie w celu zrugania piegowatego radiotelegrafisty z Hitlerjugend, do którego czuł głęboką

awersję. W naszych oczach drugi szturman urósł specjalnie od czasu ostatniej nocy w Gdańsku, kiedy kontrola wojskowa zakazała sprowadzania gości na pokład, a on przyniósł sobie na noc dziewczynę w worku żeglarskim, przespał się z nią, a nazajutrz wyniósł tą samą drogą, pod okiem pilnującej straży nadbrzeżnej.

Trzeciego dnia podróży wpłynęliśmy do Skagerraku. Odtąd od steuerbordu mieliśmy zielone, łagodne wzniesione brzegi Norwegii. Oslofiord został od południo-zachodu i pod wieczór stanęliśmy na redzie Kristansand. Maszyna ucichła, ciężko wyładowana „Charlotte Cords" kołysała się lekko na kotwicy, kapitan pojechał do dowództwa portu po instrukcje. Siedziałem na przednim luku i patrzyłem na rozrzucone na stokach gór kolorowe norweskie domki. Wyglądały bardzo zachęcająco i wiele dałbym w tym momencie, aby móc znaleźć się z dala od życia morskiego, przygód, londonowskich wrażeń, w takim norweskim zaciszu. Przyszła mi na myśl jedna z czytanych niegdyś w zamierzchłym dzieciństwie, książek. „Nad dalekim cichym fiordem" – brzmiał jej tytuł, a opowiadała o małych Norwegach, którzy mieszkali w takim właśnie ślicznym barwnym domku nad pięknym fiordem i robili wspaniałe wystrzyganki z papieru. W domku było czysto i ciepło i wszystko tchnęło miłą, dziecięcą przytulnością. Tymczasem jednak, gdy siedziałem na przednim luku niemieckiego węglowca „Charlotte Cords", latem 44 roku, Norwegia mało mi mogła dać ze swej idyllliczności, zaś fiord bynajmniej nie był cichy. Ciszę jego rozrywały wybuchy min, eksplozje torped i syreny alarmowe atakowanych statków. Taka była sytuacja norweskiego fiordu. Moja nie przedstawiała się lepiej; prowadziłem sam zaciętą walkę z otaczającymi mnie zewsząd ludźmi, walkę i grę zarazem, w których stawki były bardzo wysokie: życie i wolność.

Z refleksji tych wyrwało mnie przyjazne klepnięcie w plecy, skutkiem którego o mało nie spadłem z luku. Przede mną stał wuj Studemann i ocierał nos rogiem fartucha.

– Te, młodziak, chcesz się napić czegoś dobrego?

Przyznam się, że podobna propozycja ze strony tak wysoko postawionej w pokładowej hierarchii osobistości, jaką jest kucharz, w stosunku do nędznego robotnika z deku zdziwiła mnie niepomiernie. Poczułem jednocześnie dumę i całkiem usprawiedliwioną nieufność do tego nagłego przejawu łaski. Ale odmówić nie było sposobu.

W kabinie Studemanna stała na desce butelka whisky i blaszana puszka z holenderskim tytoniem „Dobelmanna" do skręcania. Były to niesłychane luksusy jak na piąty rok wojny i tylko dobrze otarty o portowy szmugiel kucharz mógł takie rzeczy skądś wykopać. Cała historia zaczęła mi się bardzo nie podobać, a niepokój mój wzrósł jeszcze, gdy nagle drzwi się otworzyły, do kabiny wszedł bosman i przywitawszy się grzecznie, usiadł obok mnie na koi.

Z tym bosmanem to było tak: zrobił na mnie nie najgorsze wrażenie; młody, dobrze zbudowany, miał otwartą prostą twarz, jasne oczy i fantastycznie ciekawy tatuaż na piersiach. Nie posiadał natomiast trzech palców u prawej ręki. Przy robocie nie czepiał się mnie nigdy, wydawało się, jakby nie zwracał na mnie uwagi, ale czasem czułem jego badawczy wzrok na swoim karku. W każdym razie chłop był równy i wyglądał na szemranego cwaniaka. Pochodził z Hamburga i chociaż wiem, że potrafił mówić znakomitą, czystą niemczyzną, używał przeważnie straszliwego, trudno zrozumiałego żargonu portowego.

Studemann nalał w aluminiowe kubki czystej whisky, dry.

– No, cyk. Napijmy się. Skol!

Wypiliśmy. Raz. Drugi. Skręcili po bankrutce. Zapaliliśmy. Malutka kajutka z miejsca stała się czarna od ciężkich kłębów dymu marynarskiego kanastru – machory. Noc była ciemna, bezgwiezdna. Ciągnął nieznaczny szkwał, poprzedzany ciężką, parną bryzą. Otwarty iluminator doprowadzał duszne, gorące powietrze, nie rozpraszające dymu. W tej atmosferze potoczyła się rozmowa, jedna z najtrudniejszych w moim życiu.

Zaczął Studemann prelekcją o wolnomyślicielskich kołach w Lubece, w których wygłaszał jakoby referaty o materializmie filozoficznym. Bredził

tak z pół godziny, po czym spytał mnie, kto to był Karol Kautsky. Odparłem, że słyszałem o podobnym nazwisku w związku z ostatnią olimpiadą w Berlinie i o ile sobie dobrze przypominam, to facet ten zdobył złoty medal w skoku o tyczce. Bosman parsknął na to krótkim, jasnym a złym śmiechem.

Studemann nalał. Wypiliśmy. W ciemnościach opalone twarze wyglądały jak dwie czarne plamy, rozbłysłe pasmami zębów i siwizną kucharza.

Studemann zaczął znowu. Tym razem o kobietach. Opowiadał o najrozmaitszych dziwkach od Nordcapu do Lizbony i w dole – od Kadyksu poprzez Aleksandrię, do Odessy. Bosman dorzucał fachowe uwagi, przeważnie o burdelach w Marsylii i Salonikach. Ja, aby nie pozostawać w tyle, przypominałem sobie na gwałt całą przeczytaną literaturę pornograficzną.

Naleli. Wypili.

Teraz Studemann nie wytrzymał. Prosto w twarz rzucił mi pytanie: kto ja jestem i po cholerę poszedłem na morze?

„Tu cię mam!" – pomyślałem i wolno, przeciągle, czując na razie wszystkie atuty w ręku, opowiedziałem wzruszającą historię o tym, jak zostałem prosto z uniwersytetu (student filologii…) w Paryżu wywieziony na roboty przymusowe do Niemiec i jak mając do wyboru pracę w fabryce albo na morzu, postanowiłem się trochę powłóczyć i być przynajmniej żywiony jak człowiek, a nie marmoladą i kostką margaryny (błogosławiona aprowizacjo morska!…) Tym samym zmieniłem kurs o 180 stopni i zniszczyłem opinię, że jestem przemytnikiem portowym, jaka na początku panowała na pokładzie w stosunku do mej osoby. Interlokutorzy okazywali fałszywą litość i potakiwali moim wywodom współczująco.

Znowu naleli. Wypili i tym razem bosman zaatakował.

Ni stąd, ni zowąd zaczął opowiadać o pewnej awarii, jaką przeżył kiedyś w Zatoce Biskajskiej. Od zatonięcia miał jego i innych wyratować jakiś polski frachtowiec o dźwięcznej nazwie „Robur" i numerze porządkowym.

Opowiadał przy tym wiele pochlebnych rzeczy o polskich marynarzach i ich zawodowych umiejętnościach. Potem mówił, jak został zmobilizowany na pierwsze miesiące wojny do marynarki wojennej i brał udział w ataku na Westerplatte z pokładu jakiego trawlera. W oleisty sposób chwalił obronę Polaków. Powoli zaczynała mnie brać cholera. W zimny, aż za zimny sposób oświadczyłem, że aczkolwiek matka moja jest Polką, nigdy w Polsce nie byłem i mało się na Polsce i Polakach wyznaję.

Studemannowi plątał już się język. Ja też zaczynałem być mętny, mimo że zostawiałem połowę zawartości kubka za każdym razem lub wylewałem sobie resztę na spodnie. Tylko bosman wyglądał, jakby pił ovomaltinę.

Nalał znów i stuknął się ze mną. Studemann kiwał się w sposób wyraźny.

Teraz bosman zaczął gadkę o klubach marynarskich w różnych portach. Były to tak zwane międzynarodowe kluby żeglarskie i wiedziałem o nich, że miały zawsze komunistyczny charakter, a centrala była w Leningradzie. Właśnie o tej centrali opowiadał, twierdząc że jest jej członkiem i że za to siedział dwa lata w hitlerowskim więzieniu, jak również o jakiejś pierwszomajowej demonstracji w Hamburgu, w czasie której został przez gestapo zraniony.

Zastanawiałem się powoli, już w pijanym widzie, czy kucharz i bosman zadenuncjują mnie po tym wieczorze jako agenta Intelligence'u czy jako agenta Kominternu. I jedno, i drugie oznaczało kulę. Otrząsnąłem się jednak z tych pijackich refleksji, gdyż partia nie była jeszcze przegrana. Dotąd nie palnąłem żadnego głupstwa. Zrobiłem to dopiero na końcu, ale konsekwencje tej gaffy były dużo późniejsze.

W pierwszym momencie bosman spytał mnie wprost, czy nie mam zamiaru narywać przez Norwegię do Szwecji. Parsknąłem mu w nos, żeby nie gadał nonsensów, bo gdybym chciał narywać, to przede wszystkim do Francji, gdzie mógłbym się najlepiej zamelinować. Ale, dodałem nieopatrznie, w Norwegii zostałbym chętnie na jakiś czas, bo ciekawi mnie ten kraj i zdaje się, że już trochę mam dość pływania.

Na tym się skończyło. Wrzuciliśmy na koję śpiącego Studemanna, skręciliśmy po ostatnim papierosie, bosman – w kunsztowny marynarski sposób, przy pomocy tylko jednej ręki, czego mu śmiertelnie zazdrościłem, bo nigdy nie mogłem się tego nauczyć i poszliśmy w końcu spać.

Nazajutrz wczesnym rankiem podnieśliśmy kotwicę. Mieliśmy teraz przed sobą najniebezpieczniejszy odcinek drogi. Kristiansand był ostatnim portem w Skagerraku, zaś opuściwszy go, wchodziliśmy w bezpośrednią strefę działania brytyjskich łodzi podwodnych i samolotów Coast Commandu. Na pokładzie panował nastrój minorowy. Po pierwsze – szliśmy bez konwoju. W 44. roku niemieckie arterie komunikacyjne w północnej Europie tak już były naruszone przez angielską ofensywę morską, zwłaszcza na Morzu Północnym i wschodnio-północnym Atlantyku, że niejednokrotnie brakowało eskorty konwojowej. Widocznie „Charlotte Cords" miała pilny rozkaz osiągnięcia Bergen z ładunkiem, gdyż na konwój nawet nie czekano.

Po drugie North Sea przyjęła nas nielichym sztormem. Fala była duża i padało rzadko, ale bez przerwy. Zaraz po wyjściu statku zarządzono ostre pogotowie alarmowe. Na mostku stał kapitan i pierwszy, obydwaj w naoliwionych płaszczach, w zapiętych pasach ratunkowych, i lornetowali bez przerwy niebo. Obsługa działka i cekaemów kuliły się przy swoich warsztatach pracy w komplecie. Miałem ranną wachtę, masę roboty przy dychtowaniu luków i wind i dużo okazji do samouwielbienia. Przede wszystkim nareszcie czułem się jak prawdziwy żeglarz i w duchu pomiatałem niejakim Frankiem Zawadzkim, który będąc moim kolegom szkolnym, uciekł w grubo przedpoborowym wieku na morze i przeżył jeden sztorm na wysokości Rozewia. Potem wrócił za sprawą policji i władz szkolnych z powrotem na tę samą ławkę obok mnie i przez ładne parę miesięcy dawał odczuć swoją wyższość, patrzył na mnie z góry, a nawet nabijał się w pewnych momentach z moich lądowych przyzwyczajeń. Teraz, po latach, miałem swój rewanż i za każdą falą, oblewającą przedni pokład i moczącą mnie do nitki, odczuwałem głęboką satysfakcję. Wprawdzie

mdliło mnie niechudo, lecz kładłem to na karb wczorajszej whisky. Tak mi się to wszystko podobało, i ten dziób to lecący do góry, to zapadający w piętrowe doliny wodne, mokry, pokryty pianą morską pokład, łączny szum wzburzonego morza i nie mniej podnieconego wiatru, groźne, nawisłe niebo i cała, cała sceneria, którą dotąd oglądałem tylko na filmach, że chwilami zastanawiałem się na serio, czy morze nie było moim istotnym powołaniem. Ukrytą tęsknotą mojej duszy, odsłonięciem własnej niezbadanej jaźni, taki, powiedzmy, zew krwi, jak to się kiedyś mawiało. Nieregularne, odrapane i pokraczne nadbudówki, mostki i wentylatory „Charlotty Cords", tak niepodobne do swych śnieżnobiałych odpowiedników z „Batorego", teraz dopiero odsłaniały mi swą celowość w walce z żywiołem, swe bohaterstwo frachtowego statku, że powoli rodziło się w mym sercu przywiązanie do tego starego pudła. Dopiero gdy urwany przez wicher z liny blok dźwigowy wyrżnął mnie znowu w ucho a paznokieć złamał mi się przy naciąganiu persenningu, moja wezbrana miłością do morza i statku dusza zaczęła się powoli uspokajać i uczucie prysło. Zatęskniłem nawet gwałtownie za małym domkiem z ogródkiem, gdzieś w górskiej okolicy, koło Rabki, za gromadką jasnowłosych dziatek, które otaczałyby mój fotel (tylko nie bujający) i baczyły na mój spokój, gazetę i miękkie pantofle.

Inne zgoła refleksje nasuwał mi stan alarmowy na pokładzie i zatroskane spojrzenie, jakim wodzili kapitan i Goebel po niebie. Nie miałem nic przeciw jak najszybszemu zobaczenia chłopców z RAFu i ich maszyn, ale nie w tych okolicznościach. Uważałem, całkiem zresztą logicznie, że nic nie zmieni się w planach strategicznych i sposobie prowadzenia ofensywy morskiej wszystkich Lordów Admiralicji, o ile „Charlotte Cords" zostanie storpedowana, względnie zbombardowana, w kilka dni później, kiedy ja będę już stał pewną stopą na lądzie. Muszę przyznać, że uznałbym za nietakt, gdyby moi brytyjscy sprzymierzeńcy postąpili inaczej.

Po całym dniu takiego kiwania się z falą mijaliśmy Stavanger od steuerbordu. Przed nami był Atlantyk wraz z wszelkimi swymi humorami

i swą wielkością. Mój podziw dla samego siebie urastał do niebywałych rozmiarów. Pływać po Atlantyku w czasie sztormu, w charakterze marynarza, a nie pasażera – o tym nie śnił chyba sam Franek Zawadzki w swych najśmielszych wspomnieniach.

Położyłem się na koję i od czasu do czasu bijąc głową o żelazną ścianę burty w takt kołysania, zasnąłem szczęśliwy i dumny. W nocy, mniej więcej na wysokości Haugesund, weszliśmy w labirynt wysepek fiordów i poszarpanych brzegów Hardangerviddy. Taka żegluga pod osłoną brzegu dawała nieco zabezpieczenia przed nalotami, nasuwała jednak przy sztormowej pogodzie niebezpieczeństwa nawigacyjne. Kapitan zaryzykował lawirowanie. Rano, gdy wyszedłem na pokład, płynęliśmy już Hardangerfiordem. Obsada mostu była nie zmieniona, tylko zamiast po niebie lornety ślizgały się po morzu w poszukiwaniu peryskopu. Podobno angielskie submarine'y miały specjalne skłonności do melinowania się w fiordach i atakowania w najbardziej zacisznych i osłoniętych miejscach. Szliśmy także na półparze, ze względu na pogodę, z lekka zaprawioną mgłą.

Inaczej wyobrażałem sobie wycieczkę na fiordy i oglądanie słynnego ze swych uroków Hardangerfiordu z leżaka pokładowego S/S „Kościuszko" albo S/S „Sobieski". Niezbadane są drogi i statki, na jakich dopływa się czasem do norweskich fiordów. Na razie stałem oparty o reling i oglądałem Hardangerfiord z pokładu niemieckiego frachtowca węglowego „Charlotte Cords", rozmyślając przy tym intensywnie. Ale przedmiotem mych myśli nie była ani egzotyka, ani dostojne piękno wspaniałego fiordu. Pod koniec dnia „Charlotte Cords" przycumować miała w porcie Bergen. Należało podjąć jakąś decyzję i obmyślić plan działania. Gdy bosman odgwizdał mnie na wachtę, dał w rękę brudną ścierkę i sidol i kazał czyścić mosiężne okucia na śródokręciu, decyzja była powzięta i plan był gotów.

III

W Madrycie odbywają się co tydzień walki byków. W Chicago żuje się gumę. W Chamonix jeździ się na nartach, w Karlsbadzie pije się gorzką wodę przeczyszczającą, na Florydzie przez okrągły rok praży słońce, a w barze na Marszałkowskiej pije się wódkę. Są takie pewniki, stany i objawy normalne, w idealnej zgodzie z właściwym porządkiem rzeczy we wszechświecie.

W Bergen pada deszcz. Normalnie i codziennie – pada deszcz. Gdy nie pada, wszyscy czują się nieswojo. Dlatego gród ten cieszy się sympatią meteorologów całego świata i stanowi obiekt westchnień wszystkich instytutów przepowiadania pogody. W Bergen nie ma pomyłek w meteorologicznych horoskopach. Latem, zimą i o każdej innej porze roku można tam z czystym sumieniem przepowiedzieć opady deszczowe na następny dzień. Jeśli nie pada z rana, to będzie lało po południu. Z pewnością. Niezawodnie.

Bergen leży nad niedługim, szerokim, usianym wysepkami fiordem. Oglądane od strony morza, przypominałoby jakieś miasto południowego wybrzeża Francji, gdyby nie wieczna deszczowa firanka. Leży przytulone do stromej, wysokiej, nawisłej nad portem góry. Na stoku pełno kolorowych domków o czerwonych dachach.

Jest to drugie, co do wielkości, miasto Norwegii po Oslo. Duży, wygodny port o głębokich basenach; rozbudowane keje i nabrzeża świadczą dobrze o obrotach portowych. Staliśmy długo na redzie, czekając na holownik, pilota i wprowadzenie do portu. W basenach leżało wiele niemieckich parowców, widać było także szwedzkie frachtowce, zaopatrzone w ochronne znaki neutralności.

„Charlotte Cords" przycumowano przy nabrzeżu węglowym. Zaraz też zaczęła się szaleńcza praca. Na pokład weszli, pod eskortą niemieckiej straży przybrzeżnej, tak zwanej Kustenpolizei, norwescy robotnicy. Zabrali się, wraz z nami, do rozbicia luków. Nakierowano krany i dźwigi, pokładowe windy zaniosły się jazgotem i zaczął się wyładunek.

Norwegowie wyglądali czysto i przyzwoicie. Zdrowe, wysokie, kościste chłopy o niebieskich oczach, jasnych włosach, poubierani w granatowe drelichowe fartuchy robocze i gumowe buty. Próbowałem zagadnąć jednego po angielsku. Nie chciał mówić, bał się prowokacji. Gdy zwróciłem się do drugiego w czystej niemczyźnie, popatrzył na mnie z ironią i udawał, że nie rozumie, chociaż dałbym głowę, że rozumiał. Dopiero gdy rzekłem do trzeciego w typowym sea-pidgin ogólno-cudzoziemsko-żeglarskim żargonie: – Churchill – all right, Hitler – Scheisse, moi – Francais, Norvegian – o'key! – uśmiechnął się do mnie radośnie, pokazując końskie zęby, i powiedział:

– Javel, tak.

Myślałem, że zgodził się ze mną po polsku, i spojrzałem nań z podziwem.

Potem okazało się, że „tak" oznacza po norwesku „dziękuję" i z miejsca przeraziłem się norweskiej uprzejmości, która każe dziękować nawet za zgodność poglądów.

Do jednego przyznawali się Norwegowie z chęcią: z żarciem było u nich krucho. Kraj biedny, skalisty, skazany przed wojną na duży import środków żywnościowych, biedował mocno pod niemiecką okupacją. Jedyne, co pozostało, to ryby, kraby i wielorybia słonina, toteż jedzono te ryby we wszystkich możliwych postaciach, robiąc nawet ciastka z dorsza. Widziałem z deku, jak Studemann, ze swobodą i wdziękiem prawdziwego Niemca, gania snujących się zbyt blisko kambuza, dumnych potomków Vikingów.

Jeżeli chodzi o Vikingów, to zaraz po przybyciu do Bergen nabrałem do nich głębokiego szacunku. Nie tyle dla ich słynnych żeglarskich zdolności, ile dla budowniczego kunsztu. Niedaleko basenu, w którym stała przycumowana „Charlotte Cords", wznosiły się ponure, romantyczne ruiny z grubo ciosanego kamienia. Jak mi opowiadano potem, w tymże basenie leżała przez kilka miesięcy niemiecka szkuta wyładowana amunicją dla rozsianych w tych stronach niemieckich garnizonów przybrzeżnych, zawierająca miedzy innymi 60 ton dynamitu. Otóż norwescy sabotażyści

z ruchu oporu wysadzili cały ten ładunek w powietrze. Skutki były fantastyczne. Domy, stojące po drugiej stronie basenu, a więc w odległości ponad pół kilometra, prawidłowo straciły równowagę, w całym Bergen wyleciały szyby, natomiast znajdujące się zaledwie o kilkadziesiąt metrów od miejsca wybuchu dostojne ruiny zamku Heralda Pięknowłosego z XI wieku nawet nie drgnęły. Kilka kamieni przesunęło się tylko z miejsca na miejsce. Oto co znaczy solidna robota vikingowska z wczesnego średniowiecza.

Pod wieczór, po skończonej wachcie, cała załoga stała w kolejce do kwatermistrza po wypłatę w norweskich koronach. Czyści, wymyci i uczesani, poubierani w odświętne szatki. Wszyscy z litrem wódki i papierosami z morskiej aprowizacji w kieszeni, bo tych cudów w Norwegii nie było, wygarniali się na ląd, na dziewczynki. Miałem cały szereg propozycji spędzenia wspólnego wieczoru. Moi Włosi z kubryku zachęcali mnie do zwiedzenia pewnego lokalu, w którym, według ich entuzjastycznej relacji, urzędowała cud piękności Neapolitanka. Opisywali jej wdzięki, unosząc ekstatycznie źrenice i składając ręce jak do modlitwy, dodając przy tym z naciskiem, że bardzo tanio bierze. Gdy odmówiłem – byli głęboko dotknięci w swych patriotycznych uczuciach i przejawiali niedwuznaczną ochotę, aby nadać realne kształty swemu oburzeniu. Dopiero, gdy im wytłumaczyłem, że szukam tu pewnej Francuzki, przymrużyli porozumiewawczo każdy jedno oko i uścisnąwszy mi z wylaniem prawicę, poszli na ląd spełnić swój patriotyczny obowiązek, gwiżdżąc zgodnie „Santa Lucia". Nie byli widocznie na tyle szowinistami, aby nie uznać bezapelacyjnej wyższości Francuzek nad ich rodaczkami.

Także Studemann, ubrany w cynobrowe kamasze, frakową koszulę z czarną muszką i piękny zielony pulower, zaofiarował mi swoją pomoc przy zwiedzaniu Bergen. Odmówiłem tłumacząc, że jestem zmęczony i zostanę na pokładzie pierwszego wieczoru.

Bosman miał wachtę, ale nigdzie go jakoś nie było widać, pewnie spał. Studemannowi śpieszyło się bardzo, jak każdemu marynarzowi po rejsie, do pójścia na ląd, więc nie namawiał mnie długo i poszedł. Mignął mi jeszcze

w wypucowanym odświętnym mundurze Heinz, który też coś do mnie wołał przesadzając w dwóch skokach trap, ale zbyt się śpieszył, aby zaczekać na odpowiedź.

Kapitalny jest zawsze pęd na ląd, gdy tylko statek przycumuje i opadnie kotwica. Człowiek dostaje jakby gorączki na myśl o tym pierwszym zejściu, nie może doczekać się chwili dotknięcia stopą ziemi, i pomaszerownia przed siebie bez ograniczania się do pewnej ilości metrów kwadratowych pokładu. Wachta dyżurna pierwszego wieczoru po przycumowaniu jest tragedią dla każdego marynarza.

Gdy wszyscy już polecieli na zbity łeb, poszedłem się odmeldować do dyżurnego oficera. Goebel był pijany ze zmartwienia, że musi siedzieć w pierwszy wieczór, i nawet nie zwrócił uwagi na to, że idę ostatni, późno i zupełnie sam, co nie należy do żeglarskiego zwyczaju. Gdy schodziłem po trapie, ktoś zawołał do mnie z burty:

– Baw się dobrze!

Spojrzałem w górę. Oparty o reling stał bosman i patrzył na mnie z ledwie dostrzegalną ironią.

„O, w mordę bity – pomyślałem – to ty za mną patrzysz i widzisz, kiedy idę i jak idę!… Może zechciałbyś jeszcze zobaczyć, dokąd idę? All right…” Bosman włączył się do partii jako ktoś groźny. Dobrze. Zagramy z bosmanem. I aby gra była prawidłowa, spojrzałem mu w oczęta i z miłym uśmiechem odparłem:

– Dziękuję. Postaram się jakoś zabawić… – potem podciągnąłem szerokie marynarskie spodnie i poszedłem wolnym, swobodnym krokiem wzdłuż szyn kolejowego nabrzeża. Czułem się jak bohater sensacyjnej powieści, w jednym z ostatnich rozdziałów. Gdy odwróciłem się, by spojrzeć na statek, widziałem jeszcze jak bosman wchodzi do kajuty Goebela.

Ciekawie układają się drogi młodego neofity morskiego w nieznanym porcie. Jakby nie maszerował krętymi portowymi zaułkami o drewnianych, zmurszałych chodnikach, zawsze trafi do knajpy. Dzielnica portowa Bergen jest dostatecznie egzotyczna i malownicza, aby móc się włóczyć po niej

godzinami. Drewniane domki i spichrze nad kanałami, pamiętające hanzeatyckie czasy, latarnie uliczne, jakby wycięte z dekoracji w music-hallu, i sceny, odgrywane pod nimi, wszystko to dawało przeżycia same w sobie. Szwendając się z rękami w kieszeniach, pozornie bez celu, miałem jednak cel, który uświadomiłem sobie znakomicie. Musiałem znaleźć jakiegoś Polaka. O tym celu wiedział również ów dobry dżin, mój duch opiekuńczy z „Tysiąca i Jednej Nocy", który tak nieomylnie wiódł mnie przez kręte uliczki, aż wprowadził do szynku Knuta Olsena, gdzie poznałem Alfonsa Kminka. Błogosławiony ów Alfons Kminek, udzielił mi, przy wyciągniętym z mojej kieszeni pół litrze machandelu, informacji, wskazówek i rad, które wytyczyły moją drogę życia w Królestwie Norwegii.

Poznanie odbyło się w sposób niewymuszony.

Po wejściu do brudnej, ciemnej knajpy, oparłem się o kontuar i zażądałem piwa. Ogromny, zwalisty jak bryła skalna, Norweg, który wypełniał przestrzeń między kontuarem i półkami, nalał mi piwa i spytał, wskazując paluchem, jak żerdź od płotu, na mnie:

– Tysker (Niemiec)?

– No, ikke (Nie) – odparłem trzęsąc głową w straszliwym oburzeniu.

– Who are you? – indagował dalej, tym razem po angielsku.

– Gówno cię to obchodzi – zakończyłem konwersację po polsku, raz, aby się przekonał do reszty, że rzeczywiście nie jestem Niemcem, po drugie, że zaczynał mnie już denerwować.

Na dźwięk tych słów z głębi podniosła się jakaś postać średniego wzrostu, ubrana nie tyle z waszecia, ile z rybacka, o smętnych, niebieskich oczkach, perkatym nosie i najeżonym blond wąsiku pod nim. Pan ten podszedł żeglarskim, kołyszącym się krokiem do mnie, popatrzył mi długo i tkliwie w oczy i zapytał, zaciągając z lekka:

– Co ty tu robisz?

Muszę przyznać, że podobny sposób witania rodaka w okolicach Koła Polarnego na Półwyspie Skandynawskim wyprowadził mnie trochę z równowagi. Powitania ziomków na dalekiej obczyźnie mają być

nacechowane entuzjazmem, a nie objawiać się w formie idiotycznych pytań. Toteż odparłem niedbale:

– Czekam na siedemnastkę…

– To ty z Warszawy – zaopiniował pewnie mój rozmówca.

Na to zgodziłem się bez wahania. Usiedliśmy i Kminek opowiedział mi swoje dzieje.

Urodził się w Wilnie z rzadką w tamtych okolicach namiętnością do morskich przygód, jako potomek całkiem lądowego stolarza meblowego. Jeszcze w mocno szkolnym wieku uciekł do Gdyni i odtąd pływał na polskich statkach. Po 39. roku wrócił do Wilna, zaś w czasie okupacji stał na czele obiecującego przedsiębiorstwa szmuglerskiego na linii Wilno-Kłajpeda. Właśnie w Kłajpedzie nakryli go raz Niemcy i skuli solidnie w mordę do utraty przytomności. Ocknął się jednak nie w obozie koncentracyjnym, ale w kotłowni jakiegoś frachtowca, już na pełnym morzu. Zawdzięczał to temu, że znaleźli przy nim książeczkę morską, a w Kłajpedzkim Urzędzie Morskim panował akurat wtedy chroniczny brak załóg dla niemieckich parowców.

Rejs szedł do Norwegii i Kminek odbył go jako palacz. Norwegię znał trochę ze swej poprzedniej kariery, zszedł więc na ląd z mocnym postanowieniem dyskretnego unikania w przyszłości niemieckiej marynarki handlowej. Traf chciał, że bogowie skrzyżowali drogi jego z drogami pewnej jasnowłosej i błękitnookiej córy dalekiej północy o dźwięcznym imieniu Ingrid i nieustalonym zawodzie. Ingrid pochodziła z Narviku, gdzie w 40 roku była zaręczona z bliżej nieokreślonym Tadziem z Brygady Podhalańskiej, który brał udział w bohaterskim zdobyciu tego miasta i między innymi zdobył Ingrid. Po tym bojowym wyczynie ów Tadzio wycofał się wraz z resztą Ekspedycyjnego Korpusu Alianckiego i Brygady Podhalańskiej do Szkocji pozostawiając biedną Ingrid w nieutulonym żalu, nie tyle za narzeczonym in personam, ile za polskim sposobem miłowania i intensywną krzepą uczuć, właściwą polskim żołnierzom, a będącą, według relacji Kminka, w wielkiej u Norweżek estymie. Toteż spotkawszy Alfonsa,

Ingrid uznała, że jedynym środkiem ukojenia trawiącej ją nostalgii będzie przyciśnięcie tegoż Kminka do zdrowo rozwiniętej piersi tak, aby go nie puścić już nigdy, już nigdy… Kminek tylko szukał takiej okazji. Zameldował się u dziewczyny, która miała domek w Bergen, kupił sobie lewe papiery, poduczył się trochę po norwesku i z czasem wypuszczać się zaczął z norweskimi rybakami na połowy na kutrach rybackich. Przyznał mi się szczerze przy tym, że kusiło go machnąć kuterkiem na Wyspy Szetlandzkie, mimo że Niemcy pilnowali jak cholera, a stamtąd do polskiej marynarki do Anglii, ale ostatnio Ingrid powiadomiła go, że coś się tam klei w konsekwencji ich pracy doświadczalnej nad amelioracją europejskiego typu antropologicznego przez skrzyżowanie elementu słowiańskiego ze skandynawskim. Postanowił więc czekać, nawiązał kontakty z norweskim Hjemmefrontem (Ruch Oporu), pomagał Polakom, którzy z rzadka, ale czasami zawieruszali się w te strony, i z czystym sumieniem twierdził, że czy z Norwegami, czy z Polakami, to wszystko jedno – aby bić Niemca w zadek. Na koniec, wysłuchawszy moich dziejów i zapytań, oświadczył poważnie:

– Czy tak, czy siak, narywaj z pokładu i melduj się u pyklingów.

Pyklingi był to obrazowy synonim dla Norwegów, ze względu na namiętną skłonność tego narodu do śledzi. Zwrotu tego używała cała międzynarodowa brać marynarska we wszystkich językach, zaś Polacy, jak się później przekonałem, ze szczególnym zamiłowaniem. Przyznać trzeba, że po polsku brzmiało to imponująco.

– Jeżeli nie możesz się urwać legalnie – ciągnął Kominek – to znaczy na jakąś prawidłową chorobę albo dolegliwość, to wal do marinearzta i niech cię zrobi niezdolnym do morskiej służby. Wtedy zostaniesz w Bergen i zanim się szkopy zdążą tobą zaopiekować, przyjdź tu do Olsena. Już my cię pchniemy na melinę. Jeśli urwiesz się na siłę, to też smaruj od razu tutaj.

Podszedł do zwalistego Norwega i coś z nim pogadał. Olsen pokiwał głową potakująco.

– Gdybyś znalazł się w Oslo przypadkiem, bo nigdy nic nie wiadomo – kontynuował Kminek, wróciwszy do mnie – to idź na Storgata, ulica łatwa

do znalezienia, bo największa w portowej dzielnicy, znajdź bar „Rio Rita" i pogadaj z właścicielem. Taki jeden Johannsen. Powiedz, że Alfons Kminek cię przysyła, on ci wszystko obłatwi. Nic nie pisz, wszystko pamiętaj. No, morda ich niemiecka twarz, daj piątkę, bracie, i może się jeszcze spotkamy.

Pożegnaliśmy się serdecznie i wylewnie, rozbiwszy wprzód na szczęście pustą butelkę po machandlu. W wytworny sposób poprosiłem Kminka, by pozdrowił panią Ingrid ode mnie, jak również i całą spodziewaną progeniturę, co wprawiło go w zadowolone zażenowanie. Pożegnałem z pewnymi rewerencjami Olsena, który skrzywił toporny pysk w ponurym grymasie, mającym oznaczać życzliwy uśmiech, i poszedłem wprowadzać w życie nieocenione przykazania Alfonsa Kminka.

Trzeba było działać szybko i to atakować samemu. Wiedziałem, że wyładunek potrwa jeszcze dwa dni, a zatem później „Charlotte Cords" wychodzi pusta do Oslo, gdzie dostanie nowy ładunek, najprawdopodobniej cement z kursem na jakiś niemiecki port. Wiadomości te pochodziły od Heinza, a przeciwlotnicza na ogół była dobrze poinformowana. Na powrót do Niemiec nie mogłem przystać w żadnym razie. Nie lubiłem cofać się. Należało przeto spróbować trochę zmarkietować na początek, a przyprawione dolegliwości to była moja specjalność. Kiedyś, w gimnazjum jeszcze, złamałem lewą rękę w jakimś meczu hokejowym. Ręka ta została źle złożona i zrosła się z bardzo widocznym defektem na całe życie. Postanowiłem spróbować tej szansy. Nazajutrz robota wrzała jak cholera, statek tonął w chmurze czarnego pyłu, gdy pukałem do drzwi kapitańskiej kajuty.

– Wejść!

Wszedłem, mnąc czapkę w rękach. Obawa i nieśmiałość biły z całej mej postaci. Kapitan w pidżamie siedział w fotelu. W kajucie gorąco nie do wytrzymania. Pogoda była duszna i ciepła, zaś wszystkie iluminatory szczelnie zamknięte ze względu na kurz węglowy, unoszący się z luków nad pokładem.

Wszechmocny wydawał się jeszcze ciężko zamroczony po jakimś wczorajszym pijaństwie. Przymrużył swoje świńskie gały i warknął:

– Czego?

– Panie kapitanie – zacząłem cicho i łamiącym się głosem. Przestępowałem z nogi na nogę i gniotłem czapkę niemiłosiernie a w najwidoczniejszy sposób. – Przyszedłem prosić o odokrętowanie i zwolnienie z pracy. To jest za ciężkie dla mnie. Byłem głupi i przeliczyłem się. To jest ponad moje siły.

Uniósł się groźnie:

– Zwariowałeś! Teraz, w powrotnym rejsie, kiedy mi tak brak załogi. Zresztą zabronione jest zwalnianie zaokrętowanej w niemieckim porcie załogi. Mogę to zrobić tylko po powrocie, w jakimś niemieckim porcie. A teraz poszedł precz, do roboty.

– Panie kapitanie, jeśli chodzi o odokrętowanie, to tu jest też niemiecki urząd morski i da się załatwić. Ja naprawdę byłem głupi, jak podpisywałem musterrolę. Nie wiedziałem, co podpisuję.

– Ale podpisałeś! Teraz leżysz. Mogę zrobić z tobą wszystko, bo podpisałeś – świńskie oczy śmiały się do mnie złośliwie.

– Panie kapitanie – zagrałem mym głównym atutem. – A ta ręka?

– Jaka ręka? – obruszył się.

Wystawiłem mu przed nos lewą rękę z widocznym defektem i czekałem z wyrazem twarzy umierającego człowieka, który skręca się z bólu.

– Ta ręka. Lewa. Jestem inwalidą drugiego stopnia, z lewą ręką totalnie niezdolną do fizycznej pracy.

– Ty, przestań się wygłupiać z tą ręką, bo będzie źle… – nasrożył się.

– Jak Boga kocham, kapitanie, to nie śmiech. Nie mogę pracować tą ręką. Niech pan patrzy, jaka bezwładna… – rzeczywiście ręka nagle zwisła bezwładnie. – Ja muszę do doktora, kapitanie.

– To po coś się okrętował z taką ręką, idioto!

– Nie wiedziałem, że morskie powietrze i wilgoć tak podziałają na szpik. Kapitanie, niech mnie pan ratuje, ja tu dostanę gruźlicy kości!

– Jakiej gruźlicy?

– Kości.

– Nie ma takiej gruźlicy, durniu! – wściekał się już nie na żarty.

– Jest, kapitanie. Niech pan zajrzy do Duden-Lexicon-Handbuch, to się pan przekona – nie zamierzałem ustępować.

– Paszoł won, do roboty, bo ci skuję pysk. Dostaniesz krankenschein i pójdziesz do lekarza. Jak cię tam zbadają, to ruski miesiąc popamiętasz. Ale pływać u mnie będziesz, żebyś choć miał jednym palcem tylko ruszać, ty…

Na tym się skończyło. Kapitan rozsierdził się na dobre i potem cały dzień wszystkich rugał. Sama rozmowa nie dawała pomyślnych horoskopów na dalszy rozwój sprawy. Tym niemniej po południu drugi oficer dał mi zaklejoną kopertę i kazał z nią iść do lazaretu marynarki wojennej, gdzie mieli mi zbadać rękę. Musiałem się spieszyć, gdyż tego wieczoru należałem do dyżurnej wachty.

W szpitalu przyjął mnie marinearzt. Był to opasły szkop w randze kapitana fregaty, z wielkim, krościatym nosem i świdrującymi oczkami. Z koperty wyjął krankenschein i jakiś list, który przeczytał, i pokiwał głową. Potem zbadał mi dość dokładnie rękę i orzekł, że nic mi nie jest i że młodzi Niemcy niejednokrotnie bez ręki nawet idą na front, walczyć za ojczyznę. Na to zwróciłem mu uwagę na moją słabą konstrukcję fizyczną i na to, że praca na morzu jest ponad moje siły. Kazał mi się rozebrać, po czym oświadczył, że słabiej zbudowani Niemcy giną obecnie masami na polu chwały, wobec czego nie rozumie, dlaczego ja nie miałbym zginąć w falach Atlantyku, czego mi zresztą bynajmniej nie życzy. Spróbowałem z sercem, ale zbadał i orzekł zupełnie szczerze, że działa jak dobry motor Diesla. Chciałem mu podsunąć jeszcze płuca, ale znając swoje, bałem się, że się w końcu zdenerwuje i da mi w szczękę. W duchu od początku przyznawałem mu rację we wszystkim i nawet byłem trochę wdzięczny, bo zawsze, jakby nie było, jest przyjemnie być zdrowym i słyszeć o tym od doktora. W końcu spokojnym tonem postawił diagnozę, że jestem

śmierdzącym leniem i markierantem, i nie omieszkał wpisać tej opinii na odcinek krankenscheinu, który musiałem zanieść kapitanowi.

Wychodząc z gabinetu rozmyślałem już intensywnie nad wytworzoną sytuacją. Gdy pierwszego wieczoru wychodziłem na ląd nikt nie podejrzewał mnie jeszcze o chęć zostania w Norwegii czy ucieczki. Po dzisiejszej rozmowie z kapitanem odsłoniłem, do pewnego stopnia, przyłbicę. Próbowałem zostać legalnie. Teraz mogą mnie zacząć pilnować, a jutro leżymy ostatni dzień w Bergen. Może już się teraz urywać? Nie wrócić na statek? Póki jestem sam w mieście – walić do Olsena. Może to jest ostatnia szansa? Czort tam z walizką i rzeczami, pójdę tak, jak stoję, tym bardziej, że dokumenty i forsę mam przy sobie.

Wolno schodziłem po schodach gmachu lazaretu, ze wzrokiem spuszczonym na dół. Gdy stanąłem na dole i podniosłem oczy, przede mną stał bosman.

Uśmiechał się z ledwo dostrzegalną drwiną w oczach i pokazywał mi zabandażowany kikut jednego ze swych odciętych palców.

– Zaczynało ropieć, to poszedłem do lazaretu, aby mi przemyli. Wracasz na statek? – spytał mnie.

– Nie. Mam jeszcze coś do załatwienia w mieście – odparłem patrząc mu prosto w oczy.

– Dziewczynka… – uśmiechnął się domyślnie. – To nic, przejdziemy się razem. Mam ochotę trochę się powłóczyć i czegoś napić.

Był tylko w spodniach i niebieskiej koszuli roboczej. W tylnej kieszeni przeczuwałem raczej niż widziałem maszynę, a instynkt nigdy mnie jeszcze nie zawiódł. Teraz nie ulegało wątpliwości, że bosman pilnował mnie od czasu wyjścia z lazaretu. Bezmyślne dwa zdania wypowiedziane pod koniec pijatyki u Studemanna, przynosiły obecnie owoce. Bosman podejrzewał mnie i był najgroźniejszym przeciwnikiem w rozgrywce. Czułem intuicyjnie, że pracuje na spółkę z Goebelem.

Poszliśmy razem. Naprzód zaprowadziłem go do jakiejś knajpy, gdzie był tłok, po to, aby się do niego w tym tłoku przycisnąć. Instynkt mnie nie

zawiódł. Miał rewolwer. Nie miało sensu pozbywać się go siłą. Był biały dzień, ulice pełne Niemców, miasta prawie nie znałem i wcale nie byłem pewny, czy w gorączce ucieczki trafię do Olsena. Poza tym bosman był to chłop nie ułomek, na pewno nie słabszy ode mnie, w dodatku uzbrojony. Wróciłem na statek.

W podnieconym nastroju odwaliłem tego wieczoru swą dyżurną wachtę. Na pokładzie szła robota wyładunkowa do zapadnięcia zmroku. Jasne było, że statek będzie gotów do drogi następnego dnia. Ten następny dzień był ostatnią szansą. Oczywiście liczyłem na przeszkody i to nie byle jakiego kalibru, zastanawiałem się tylko nad ich rodzajem. Wiedziałem, że jutrzejszego wieczoru nastąpi gremialna pijatyka całej załogi, z wyjątkiem wachtowego maszynisty, dwóch już z tego powodu zrozpaczonych marynarzy i jednego palacza. Byłoby naruszeniem najświętszej morskiej tradycji, gdyby zabroniono mi pójścia na ląd w ostatni wieczór przed niebezpiecznym rejsem. Przypuszczałem tylko, że dadzą mi obstawę, ale formy jej nie mogłem przewidzieć. W każdym razie nastawiony byłem na ostatni akt rozgrywki.

Nazajutrz, z samego rana, kapitan pojechał na odprawę konwojową, gdyż mieliśmy iść w konwoju. Około dziesiątej wyładunek został zakończony. Podnieśliśmy kotwicę, odcumowano nas i „Charlotte Cords" zaholowana została na redę, gdzie formował się konwój. Natychmiast też spuszczono szalupę, która miała utrzymać kontakt z brzegiem, odtransportować idących do miasta i przywieść ich z powrotem pijanych w drobny mak.

Kapitan wrócił około południa, po czym zrobiliśmy statek „klar", to znaczy gotowy do drogi. Luki zostały zabite, pokład sprzątnięty, wszystko umocowane, powiązane i zapięte. Po czwartej chłopcy zaczęli wymykać się na ląd. Pogoda była wspaniała i, o dziwo, w Bergen świeciło słońce. Wyszedłem z kubryku umyty i przebrany w czystą koszulę i zwykłą bluzę roboczą. Miałem przy sobie wszystkie najpotrzebniejsze rzeczy, pieniądze i dokumenty. Przechyliłam się przez reling, żeby stwierdzić, czy łódź jest

przy trapie. Była. Wolnym krokiem podszedłem do trapu. Przy wysokim otworze w burcie, gdzie zaczynał się trap, stał bosman i zagradzał mi drogę.

– Nie pójdziesz dzisiaj na ląd – rzekł twardo. Patrzył mi przy tym wrogo w oczy. Miał złe, ściemniające się źrenice.

Cofnąłem się o krok. Serce waliło mi jak młotem. Zaczyna się. Tylko ostrożnie i bez głupstw.

– Jak to? – wycedziłem. – W ostatni wieczór?

– Tak to. Rozkaz kapitana.

Z tyłu czułem czyjś wzrok. Odwróciłem się. Na przednim pokładzie stał kapitan i Goebel. Patrzyli na mnie uważnie, rozkraczywszy nogi z rękami w kieszeniach.

Bez słowa odwróciłem się i poszedłem do nich. Na pokładzie pojawiło już się kilku z załogi i z przeciwlotniczej. Zbliżali się powoli do nas, węsząc awanturę.

– Czy to prawda, że zabronił mi pan wyjść na ląd, kapitanie? – spytałem siląc się na spokój.

– Tak – odparł zaczepnie.

– W ostatni wieczór? Muszą być jakieś ważne powody? – pytałem natarczywie.

Zbliżył się do mnie o krok. Górował nade mną wzrostem o głowę.

– Są… – warknął.

Z boku usłyszałem jadowity, wściekły syk:

– Ty polska świnio!

Odwróciłem się nagle. Przed sobą miałem zmętniałe z pasji, ohydne, czarne oczy Goebela.

– Ty polska świnio! – bluznął charkoczącym wrzaskiem kapitan powtarzając za Goebelem.

Pierwszy cios trafił mnie w szczękę. Bił kapitan. Usiłowałem zachować jakoś osłonę rąk. Rozbili ją, bijąc na zmianę, w brzuch i w twarz. Jeden celny prosty Goebela powalił mnie na pokład.

Leżąc, poczułem pod ręką kawał żelaza. Łom do zabijania luku. Niech się dzieje, co chce. Stali nade mną, gotowi do dalszego bicia. Krew zalała mi oczy, krew i pasja. Niech mnie zabiją, ale…

Skoczyłem na równe nogi z łomem w ręku. W tej samej sekundzie ktoś chwycił mnie z tyłu za ramiona w żelazny uścisk. Jednocześnie do ucha wionął mi szybki szept:

– Nie bij! Oddaj to! Daj się bić!

Poznałem Griszkę, rosyjskiego palacza.

Wyłuskał mi łom z ręki, odrzucił i puścił. Rzucili się znowu na mnie. Ostatkiem świadomości zrozumiałem prośbę Griszki. Potem straciłem przytomność.

IV

Ocknąłem się w więzieniu okrętowym. Była to malutka ciupka nad halą maszyn, sformowana ze stalowej podłogi i schodzącego się z nią sufitu, z jednym zakratowanym iluminatorem. Zasadniczo był to magazyn farb i pędzli, okolicznościowo tylko służył, jako zakład karny. Kubatura tego wnętrza była tak oszczędna, że chociaż nie odznaczam się bynajmniej imponująca postawą, nie mogłem ani wstać, ani usiąść, ani się położyć. Znalezienie więc dogodnej pozycji dla umiejscowienia mej fizycznej osoby w przestrzeni stanowiło najpoważniejszy na razie problem. Głowa bolała mnie jeszcze od bicia, zaś nieustanny, ogłuszający stukot, dochodzący z pobliskiej hali maszynowej, rozsadzał wprost czaszkę. Te początkowe impresje oraz skraweczek starego komiśniaka i butelka słodkiej wody, które to przedmioty zauważyłem koło siebie, pozwoliły mi z czystym sumieniem stwierdzić, że okrętowe więzienie ustępuje pod względem komfortu i wygody znanym mi więzieniom lądowym. Miało jedną tylko przewagę. Pływało. To było wszystko.

Odgłos maszyn i skrawek zewnętrznego świata, widziany z mego iluminatora, pozwoliły mi skonstatować, że posuwamy się pełną parą

naprzód i jesteśmy najprawdopodobniej już na otwartym Atlantyku.

Przede wszystkim zjadłem chleb i popiłem wodą. Na razie jeszcze mnie nie zabito, pracować nie potrzebuję, nie ma więc powodów do nagłej rozpaczy. Ostatnie słowo zaś jeszcze nie zostało powiedziane i nie z takich matni… Ale co tu się chwalić. Już miałem przystąpić do szczegółowej analizy zdarzeń i obecnej sytuacji, gdy w żelaznych drzwiczkach zazgrzytał klucz i pojawiła się głowa, a potem górna część tułowia mego kapitana. Wyglądał odświeżony, zadowolony i prawą rękę trzymał na wysuniętej z kieszeni kolbie rewolweru. Widocznie odeszły go złe humory na jakiś czas po wyładowaniu się na mnie.

Wstać, mimo najszczerszej chęci, nie mogłem, więc przyjąłem go siedząc, pozdrowiwszy pogodnie.

– Dzień dobry, kapitanie.

Popatrzył na mnie zdziwiony, ale widocznie nawet moja bezczelność nie mogła go wyprowadzić ze stanu głębokiej równowagi i szczęśliwości.

– Dzień dobry – odparł z przyzwyczajenia. – Aleś sobie biedy napytał – zaczął kiwając protekcjonalnie głową. – Pewna teraz kula w łeb.

– Za co, jeśli można wiedzieć – zapytałem z głębokim zainteresowaniem.

– Jak to, za co? – żachnął się. – Bunt na otwartym morzu! Niemieckie prawo morskie karze to, w czasie wojny, śmiercią!

– Kapitanie – rzekłem z wyrzutem – pomówmy poważnie. Kto się zbuntował?

– Co znaczy, kto… Ty, draniu – zaczynał się denerwować.

– Fe, kapitanie, skopał mnie pan, we dwójkę z pierwszym – podkreśliłem silnie to „we dwójkę" – i jeszcze mi pan zarzuca bunt. Chciałem tylko pójść ostatniego wieczoru na ląd. Przecież pan jest marynarzem. Wie pan, co ostatni wieczór oznacza.

– To racja. Ale tyś chciał uciec.

– Ja? Uciec? – cała moja zdemolowana twarz wyrażała najbardziej bezgraniczne zdumienie, na jakie ją było stać. – Gdybym chciał się zerwać,

to zrobiłbym to pierwszego wieczoru. Ja chciałem tylko pożegnać pewną dziewczynę, z którą byłem pierwszej nocy.

– Tak, dziewczynkę, znamy się na tym. A zresztą będziesz odpowiadał także za odmowę pracy i markieranctwo.

Tym razem nie odpowiedziałem nic. Było jasne, że kapitan przekaże mnie najbliższej jednostce Gestapo, a jeśli miałem już za coś odpowiadać i być skazany, to najlepszy był ostatni zarzut. Spuściłem tedy głowę ze skruchą i wyglądałem jak grzesznik przyznający się do winy. Rozumowałem słusznie, gdyż zakończył on wizytę następującymi słowami:

– A zresztą, kto cię tam zna. Gestapo w Stavanger już się przekona, coś robił i co ty za jeden, Francuz, Polak, czy inna cholera. Powiedzą ci tam dokładnie, za co cię powieszą. A teraz, masz.

Wrzucił mi korkowy pas ratunkowy i zatrzasnął drzwi, przekręcając kilkakrotnie klucz.

Na ręcznym zegarku kapitana zauważyłem ósmą godzinę. Bergen musieliśmy więc opuścić około piątej nad ranem. Przez mój zakratowany iluminator, który wychodził na przedni pokład pod schodkami koło prawej burty, widziałem otwartą przestrzeń oceanu. Znaczyło to, że idziemy w dużym konwoju, który nie przemyka się fiordami, lecz odbił się nieco od brzegów i wali Atlantykiem. Fakt ten wprawił mnie w dobry humor. Duże konwoje ściągają Anglików. Nie będą chyba trzymać mnie zamkniętego w czasie bitwy. A jak trafi – to wóz albo przewóz, jeśli się wyratuję, to uniknę przynajmniej obcowania z Gestapo i urwę się od razu, a przecież nie wszyscy giną przy storpedowaniu. Przypomniałem sobie, że w drodze do Bergen prosiłem w duchu Anglików o odłożenie storpedowania „Charlotte Cords" na kilka dni. Teraz mogli zaczynać. Nie miałbym nic przeciwko temu, a nawet byliby mile widziani.

Rozmyślania przerwało ciche psyknięcie. W iluminatorze widniała przyciśnięta do krat twarz Griszki-koczegara. Za nim dostrzegłem jednego z moich Włochów. Wsuwali mi przez kratę wałówę, świeży chleb

z margaryną, pudełko sardynek i kubeł z gorącą kawą. Ponadto Grisza donosił szeptem:

– Nie bój się. Zsadzą cię w Stavanger, a tam musisz już sam patrzeć, abyś się wykaraskał. Twoje szczęście, żeś nie uderzył, bo bosman, który nie bił cię, stał z boku i trzymał odbezpieczony rewolwer w ręku, czekał tylko na to. Zakatrupiłby cię bez słowa, bo taki jest morski zakon, jeśli uderzysz kapitana na pokładzie, to kaput z tobą. Mają prawo zatłuc cię na miejscu. A żarcia ci jeszcze przyniesiemy.

– Dziękuję, Grisza – wionąłem wdzięcznym szeptem.

– Ni cholery tam. Patrz aby cię nie wykończyli w Stavanger. A jak przejdziesz, to fartuj dalej. Good luck – dodał po angielsku, bo to był bity chłop, ten Griszka-koczegar, wysmarowany po wszystkich portach. Jego smagła twarz, z czarnymi od węgla cętkami, wyrażała szczerą troskę. W czasie całego mojego pobytu na „Charlotte Cords" rozmawiałem z nim zaledwie kilka razy, gdyż Griszka albo siedział na dole w kotłowni, albo spał, a w Bergen urwał się na dwie noce i całe trzy dni na dziewczynki. Pochodził z Leningradu i serdecznie nienawidził Niemców.

Nażarłem się i odpoczywałem. Myślałem o bosmanie. Ten był najniebezpieczniejszy. Kapitan to głupie bydlę, Goebel to sadysta i niemniejsze, lecz wcale niegłupie bydlę, ale mało zależało mu na czymś innym poza biciem. Bosman to co innego. Od początku widocznie śledził mnie i podejrzewał. Chciał nie tylko położyć mnie, ale przed tym wszystko o mnie wiedzieć, wszystko ze mnie wydobyć. Jasne było, że to on naprowadził Goebla i kapitana na myśl, że gram jakąś podejrzaną rolę i że mogę próbować ucieczki. On, niewątpliwie, poinformował ich o rozmowie w kajucie Studemanna i o tym, że chciałem odokrętować się i zostać w Norwegii. On wreszcie napuścił obydwu na mnie, a potem czekał chłodno, obliczając słusznie pewne momenty psychologiczne, na to, aby zabić mnie w absolutnej zgodzie z prawem. Interwencja Griszki uratowała mi życie. Ale porachunki między bosmanem a mną pozostały jeszcze do wyrównania.

Refleksje te przerwały blade oczki Studemanna, które śmiały się do mnie drwiąco spoza krat iluminatora.

– No cóż, siedzisz, synku – szydził wolnomyślny materialista.

– Studemann – rzekłem z poważnym uśmiechem, nie pozbawionym pewnej melancholijnej zadumy – jak się kiedyś spotkamy po śmierci, w co ty nie wierzysz, to opowiem ci wiele ciekawych rzeczy. A jak się spotkamy jeszcze przed śmiercią, to zapamiętasz sobie to spotkanie do śmierci.

– Bezczelna polska morda – zasyczał tolerancyjnie ateista.

Po czym zaczął trzepać jakiś dywanik umyślnie w mój iluminator, tak że gryzący, brudny kurz wypełnił dusząco moją, i tak niezbyt przewiewną, klitkę. Był to przeraźliwie niemiecki gest, godny całkowicie niemieckiego filozofa.

No i zaczęło się. Musiało to być gdzieś na wysokości Haugesund, około czwartej godziny, właśnie wpadłem w gorączkową półdrzemkę w bliżej nieokreślonej pozycji (coś pośredniego pomiędzy przykucnięciem a figurą tańca, zwanego kozakiem, gdyż jedna noga musiała być wyciągnięta), gdy rozległo się wycie syren u nas i na innych statkach konwoju. Jednocześnie uderzono w alarmowy dzwon, co oznacza: „Wszyscy na pokład". Kadłub statku przebiegło nerwowe drżenie, setki alarmowych dzwonków elektrycznych. Po pokładzie zatupotały nogi. Drzwi moje otwarły się z trzaskiem, stanął w nich Goebel z rewolwerem w ręku.

– Wychodź – warknął.

Złapałem korkowy pas i w dwóch skokach po żelaznej drabince byłem już na pokładzie. Aż zatoczyłem się pod wrażeniem nabranego w pełnym oddechu świeżego powietrza. Jednym rzutem oka ogarnąłem spokojne morze o małej fali, dość pogodne niebo w lekkich, strzępiastych obłoczkach i konwój. Szło siedem statków, cztery naładowane, trzy, wśród nich „Charlotte Cords", puste. Jako eskortę widać było dwa torpedowce, jeden na czele, a drugi zamykający, i jeden trawler po środku od backbordu. Statki szły jeden za drugim, ale nie w kilwaterze, tylko z odchyleniami do stu

metrów na boki. Wszystkie były większe od naszego, miały mniej więcej po 4 – 5 tysięcy ton.

Z tyłu, tuż za mną, miałem lufę rewolweru Goebela. Weszliśmy na prawy dek śródokręcia, a potem na trap prowadzący na mostek. Cholera, prowadził mnie w centralny punkt statku, najbardziej newralgiczne, mózgowe miejsce.

Na mostku, na sterówce, stał kapitan, drugi oficer i bosman, wszyscy w hełmach i schwimmwestkach. Zza koła sterowego mrugnął do mnie porozumiewawczo pewien marynarz. Belg z Antwerpii. Cieszył się, że zaraz będą lać szkopów, a jednocześnie obawiał się, aby sam przy okazji czego nie oberwał.

Nikt na mnie nawet nie spojrzał, tylko Goebel kazał mi stanąć w kącie i rzekł:

– Jak zrobisz jeden podejrzany ruch, to… – pogroził przy tym znacząco spluwą.

Z nawigacyjnego mostku wszystko widać było jak na dłoni. Na pokładzie statków panował gorączkowy ruch. Umacniano i dychtowano wszystkie przedmioty. Artyleria przeciwlotnicza w pełnym umundurowaniu, hełmach i schwimmwestkach oblepiła swe narzędzia pracy, z których pościągano już pokrowce. Rozluźniono boki szalup ratunkowych, szlauchboty i ramy blaszanych pływaków, które służyły za koła ratownicze.

Lądu nie było widać, co oznaczało, że odbiliśmy daleko na Atlantyk. Oznaczało to także przekreślenie części moich planów. Nie miało sensu skakanie do wody w czasie zamieszania. Gdyby „Charlotte Cords" wyszła cało z bitwy, to natychmiast zawiadomią odnośne ośrodki. Wyłowią mnie wtedy, zanim osiągnę brzeg, i nie poprawi to bynajmniej mojej sytuacji. Jeśli zaś statek zostanie trafiony, to wtedy i tak znajdę się w wodzie. W charakterze trupa albo jeszcze żywy. I wtedy mam szansę. Jeżeli zaś w dodatku zatłuką jeszcze moich specjalnych prześladowców, jak kapitana, Goebela czy bosmana, to wtedy nawet mogę dać się wyratować przez Niemców. Sprawa na razie pójdzie w zapomnienie, a zanim sobie

przypomną, postaram się w międzyczasie udać na indywidualne zwiedzanie Norwegii.

Prowadzący torpedowiec rozpoczął nadawanie jakichś sygnałów świetlnych. Ręka kapitana, oparta o telegraf maszynowy, wykonała dwa energiczne ruchy i strzałka stanęła na „full". Oznaczało to pełną parą naprzód. Konwój usiłował się wymknąć.

Jednocześnie wszystkie lornety, karabiny maszynowe i lufy szybkostrzelnych działek na wszystkich statkach uniosły się do góry, godząc w południowo-zachodnią stronę nieba. Spodziewano się więc nalotu od steuerbordu.

Na początku był szum. Delikatny, platynowy warkot motorów niewidzialnych maszyn. Potem wysoko, wysoko, ale niespecjalnie daleko, ukazało się sześć ledwie dostrzegalnych punkcików. Lornety przylgnęły do nich jak zahipnotyzowane. Cekaemy zaniosły się grzechotem krótkich, urywanych, jakby ostrzegawczych serii.

– Trzy Mosquito 4-11 torpedowe. Osłona myśliwska, trzy Thunderboldy – meldował bosman.

Oho – pomyślałem – to wykształcony chłopak, ten bosman.

Nie podejrzewałem go nawet o takie umiejętności, jak znawstwo samolotów nieprzyjaciela.

No i zaczęła się zabawa. Trzy dwumotorowe samoloty spikowały gwałtownie i przy ogłuszającym ryku motorów. Rozległo się szybkie miarowe bicie niemieckich działek. Trzy jednomotorowe Thunderboldy pozostały w górze. W odległości kilkuset metrów od konwoju, jakby się zmitygowały. Ułamek sekundy, jakby zamknięcie silników, i dwumotorowe Mosquito kładły się w czysty łagodny ześlizg po to, aby w oszałamiającym tempie przemknąć kilkanaście metrów nad błyskającymi i dymiącymi ze wszystkich rur statkami konwoju. Cząsteczka ułamka sekundy, jaką wyły nad nami, wystarczyła, by wszyscy w sterówce, mimo woli przysiedli. Cud, że nie zawadziły o jakiś maszt albo komin.

Looping, beczka, ogromne koło nad nami i znów ta sama historia, atak od prawej burty, od prawego boku konwoju. Ale jeszcze nic nie zostało zrzucone. Mosquito idą w niezbitym szyku, we trójkę, między masztami swoich ofiar, mając na sobie skoncentrowany ogień siedmiu frachtowców i trzech jednostek marynarki wojennej. Patrzyłem jak urzeczony na to brawurowe a zarazem flegmatyczne macanie, ustawianie się we właściwej pozycji do zadania niezawodnego ciosu.

Konwój usiłuje zmienić kurs o kilka stopni. Na próżno. Za następną parabolą samoloty znów są prawidłowo i prostopadle do prawych burt konwoju. Thunderboldy chodzą sobie wolno, wysoko w górze.

Znów koło nad nami. Już zaczyna to być nudne, gdy nagle Goebel drze się:

– Tam! Torpeda!

Widać pienistą smugę po torpedzie zrzuconej w odległości najwyżej dwudziestu metrów od drugiego frachtowca konwoju. Wyładowany. Musieli stwierdzić w górze. Dla statku nie ma ratunku. Potężny wybuch okrywa wszystko rudoczarnym całunem dymu i ognia. Drugi szturmann wypada ze sterówki i gwiżdże przeraźliwie na ludzi. Rzucają się do szalupy na śródokręciu. Samoloty ciągle kołują nad nami, ciągle w ten sam sposób. Nawet już nie liczę kół. Działka i cekaemy biją bez przerwy.

– Druga! – wyje kapitan.

Pienista smuga – tym razem kilka metrów od sąsiedniego statku, idącego w odległości kilkudziesięciu metrów od nas. Siła eksplozji obala nas na podłogę. Belki lecą na nasz pokład. Pierwszy trafiony statek ma wyrwaną całą prawą burtę i obróci się zaraz do góry kilem. Widać ludzi skaczących do wody. Teraz opada zasłona dymna z drugiego. Idzie błyskawicznie na dno. Już widać tylko rufę z wymalowaną nazwą statku i portem macierzystym – „Celia" – Bremen. Dokoła pływają belki, różne drobne przedmioty i trupy. Żyjący – gorączkowo usiłują odpłynąć jak najdalej od wirowatego leju, który utworzy się za chwilę, gdy rufa zniknie pod wodą. W tej sekundzie dostaje torpedę, w samą halę maszyn, idący na czele konwoju torpedowiec.

Ogłuszająca eksplozja. „Celia" znika. Drugi szturman i kilku marynarzy spuszczają nareszcie szalupę. Mosquito zrzuciły wszystkie torpedy. Krążą teraz wysoko w górze. Tylko dwa. Jeden został strącony i płonie w falach o jakieś dwa kilometry od konwoju. Teraz pikują Thunderboldy. Będą atakowały z broni pokładowej, z sześciu ciężkich karabinów maszynowych, jakie mają wmontowane w skrzydła. Jednocześnie dwa Mosquito zniżają nieco lot i sieją wzdłuż konwoju masę podłużnych, drobnych krążków. Bomby zapalające. Jedna padła na dziób „Charlotty Cords". Bucha wysoki płomień. Thunderboldy schodzą od strony rufy i sieką, świszcząc ogłuszająco, gradem kul. Zuim, zuim, zuim – słychać z każdej strony. Wszyscy kładą się na podłogę i szukają osłony, nawet obsługa broni przeciwlotniczej. Thunderboldy przeszły. Bosman wyrywa mnie za ramię ze sterówki. Ma skręconą wściekłością, rozżartą walką twarz.

– Do roboty! Wszyscy! – krzyczy wskazując ogień na dziobie. Gwiżdże na ludzi, którzy biegną już ku przedniemu pokładowi. Spadamy raczej niż zbiegamy z mostku. Thunderboldy formują się w górze do nowego ataku, ale tylko dwa. Jeden musiał dostać, gdyż go nie widzę. Jezus, Maria! Czuję, ze coś się szykuje! Bosman ma okazję załatwić się teraz ze mną. Trudno… Albo on mnie… Dopadamy kubryku. Odsuwam żelazne drzwi. Wpadamy razem po stalowej drabince na górę dziobu przez podniesioną wspólnym wysiłkiem żelazną klapę. Ogień, dym, nic nie widać. Bosman ma już jakiś szlauch czy gaśnicę i zaczyna pryskać. Jesteśmy tylko we dwójkę. Serce wali mi jak młotem, nie z wysiłku, z podniecenia. Chwytam za jakąś żelazną sztangę, duży drąg, aby go usunąć z środka ognia. Siedzi luźno. Trafia mnie pewna myśl jak olśnienie. Widzę wszystko jasno i pewnie. Thunderboldy zeszły już do nowego ataku. Walą prosto na „Charlotte Cords". Od rufy. Może dziesięć metrów nad statkiem. Nawet metra pokładu nie ominie siekanina pocisków. Bosman stoi na samym krawężniku dziobowego wzniesienia. Dwa metry pod nim – przedni pokład. Wokół nas – bure kłęby dymu. Z mostku nic nie widać, jak ja nie widzę mostku. Gorące żelazo drąga parzy mi ręce. Patrzę po raz ostatni na bosmana. Jedną ręką trzyma szlauch,

drugą łapie się za tylną kieszeń spodni. Teraz!… Bosman pada ciężko, z jękiem, na pokład. Drąg pcham za burtę. Sam rzucam się w ostatniej chwili w otwór klapy kubryku. Thunderboldy już wiszą nad statkiem. Ziu, ziu, ziuuuuu – zająkliwa ulewa pocisków zalewa wszystko, każdą otwartą powierzchnię. Klekoce metalowy grad o żelazną ścianę kubryku. Przeszły. Wychylam się ostatkiem sił. Rozbiłem sobie mocno głowę przy upadku. Na pokładzie, dwa kroki od kubryku, leży przeselekcjonowany angielskimi seriami trup bosmana. Leży twarzą do pokładu. Twarz ta jest tak zmasakrowana przez kule, że nie widać na niej nawet śladów uderzenia. Cofam się do kubryku i robi mi się niedobrze. Z rozbitej głowy obficie cieknie krew.

Ocknąłem się w swej więziennej klitce. Na głowie miałem prawidłowy opatrunek. Było szaro, godzina najwyżej czwarta nad ranem. Szliśmy wolno na pół pary, tłoki w maszynie pode mną poruszały się leniwie. Widocznie zbliżaliśmy się do Stavanger.

Powoli uświadomiłem sobie przebieg wczorajszych wypadków. Jedno było jasne… „Charlotte Cords" ocalała, widocznie pożar na dziobie nie był groźny i został po nalocie ugaszony. O bosmanie nie myślałem wiele. Walczyliśmy ze sobą na mózgi i na mięśnie. Dlaczego? Nienawidził mnie po prostu i już. Szans równych nie mieliśmy przy starcie, a jeśli przegrał… Miał cały czas te same myśli co ja; wyciągnął mnie ze sterówki w czasie nalotu, aby się ze mną załatwić. Poza tym był uzbrojonym Niemcem, podczas gdy ja bezbronnym cudzoziemcem. Zdaje mi się, że wygrałem o sekundę, sięgał już do tylnej kieszeni spodni.

Niepokoiła mnie natomiast ostatnia runda, która nadchodziła teraz.

Około ósmej stanęliśmy na redzie portu w Stavanger. W jakiś czas potem drzwiczki otworzyły się i stanął w nich drugi oficer.

– No, chodź – rzekł.

Wyszedłem na pokład. Zaprowadził mnie do kubryku, gdzie spakowałem swoją walizkę. Potem wyszedł ze mną na pokład.

Przed trapem, który był już spuszczony po prawej burcie, stał kapitan, Goebel i jakiś podoficer w mundurze Kustenpolizei, policji nabrzeżnej.

– To ten – powiedział kapitan.

Feldfebel spojrzał na mnie po niemiecku.

– Idziemy – rzekł.

Zeszliśmy po trapie do stojącej przy burcie motorówki; kapitan, policjant i ja. Policjant wyjął pistolet z kabury i pogroził mi:

– Gdybyś spróbował…

Motorówka powoli odbiła od burty. Cała załoga „Charlotte Cords" wyległa na pokład. Oparci o reling przedniego deku wymachiwali mi przyjaźnie moi Włosi, Griszka i inni „auslanderzy". Obok nich stała dalej grupa artylerzystów. Kiwali smutnie głowami. Na deku śródokręcia widziałem Studemanna, dwóch oficerów mechaników i Goebela. Ci uśmiechali się złośliwie. Ostatnim spojrzeniem obrzuciłem brudny, obdarty kadłub węglowca „Charlotte Cords" z Rostoku, łajby na której odbywałem mój chrzest morski.

Przepłynęliśmy koło innych statków konwoju. Chociaż wyszły cało z bitwy, były trochę popalone i widocznie ucierpiały. Potem przybiliśmy do molo koło kapitanatu portu. Tam też mieścił się posterunek policji nabrzeżnej.

Wprowadzili nas do jakiegoś pokoju. Feldfebel dostał jeszcze w korytarzu jakiś nagły rozkaz i zdążyłem zauważyć, jak nagle złapał coś i skoczył do stojącego przed bramą auta. Wyjeżdżał. Było mi to bardzo na rękę.

Zostaliśmy we dwoje. Kapitan milczał. Odeszła go jakoś werwa po wczorajszym ataku. Wyglądał niezbyt zadzierzyście, tak, jakby myślał o czekających go jeszcze atakach.

Do pokoju wszedł jakiś młody oficer policji. Wyświeżony i pachnący, w odprasowanym mundurze. Miał czysto ogoloną twarz i idiotycznie błękitne, zadowolone z siebie oczęta. Patrząc na niego, uświadomiłem sobie, że dzisiaj jest niedziela.

– O co chodzi? – spytał uprzejmie. Kapitan ocknął się z melancholijnej zadumy i rozpoczął wyliczanie moich przestępstw. Bunt, odmowa wykonania roboty, markierowania, awantura z oficerami na otwartym morzu, chęć ucieczki do Szwecji, zamiar ucieczki w Norwegii, doniesienie bosmana, który właśnie wczoraj poległ bohaterską śmiercią za ojczyznę, szacherki z obywatelstwem, paszportem, narodowością – i w ogóle wróg. Wróg Niemiec – oto wszystko, a na to nie trzeba dowodów. Wystarczy spojrzeć na twarz i w oczy.

Oficerek notował coś piąte przez dziesiąte. Potem spojrzał mi w twarz i w oczy, aby stwierdzić. Miał tak głupie oczy, że przyszła mi nagle ochota roześmiać się i spytać go, czy stwierdził. Ale trzeba było zacząć działać. Właśnie zabierałem się, w braku obrońcy, do dłuższej przemowy, w której miałem odeprzeć postawione mi zarzuty i skonstruować żelazny, logiczny dowód mej niewinności, gdy nagle drzwi otwarły się z trzaskiem i do pokoju wpadł bliżej mi nieznany oficer marynarki wojennej.

– Czy jest tu kapitan z „Charlotte Cords”? – wrzasnął z progu.

– Tu! – odwrzasnął kapitan.

– To zbieraj się pan na pokład. Jestem zastępcą dowódcy konwoju. Już podnosimy kotwicę. Sygnalizują falę bombowców wzdłuż całego południowo-zachodniego wybrzeża. Ponadto rozkazy z Oslo. Jak najszybsza koncentracja konwojów w Kristiansand.

– Panie, ja mam tu przewód śledczy. Przestępca! – krzyczał kapitan wskazując na mnie.

– Sami się z nim tu załatwią. Wal pan na pokład, mówię! – krzyczał tamten, a ściślej wrzeszczał, jak to jest u Niemców w zwyczaju, a co oni uważają za rozmowę.

– Rozkaz! – ryknął kapitan. Po czym złapał czapkę i chciał lecieć. Ale przypomniał sobie jeszcze mnie, oparł się rozrzuconymi ramionami o biurko oficerka, zawisł całym korpusem na nim, zachrypiał godząc paluchem we mnie:

– Pamiętaj pan… Wróg!… – i wyleciał jak z procy.

Zostaliśmy we dwójkę. Oficerek wyglądał na takiego, co z karabinem w garści może by sobie i dobrze poczynał w obliczu wroga. Ale była niedziela i oficer ów od początku przesłuchania nie zdradzał dlań specjalnej uwagi. Taka piękna pogoda, niedziela, może jakieś rendez-vous, a tutaj siedź w obliczu wroga i rób łokciowe protokoły.

Wstał, podszedł do okna i długo patrzył na ulicę. Wrócił do biurka, spytał mnie o coś, zapisał i znów do okna, gdzie stał jeszcze dłużej, z rękami w kieszeniach. Widocznie chytry plan działania zrodził się w jego głowie, bo nagle wrócił do biurka i zaczął porządkować coś w szufladach. Rozpychał się przy tym łokciami na blacie tak, że dotychczas zapisane w mojej sprawie arkusze spadły bezszelestnie i harmonijnie na stojący obok stoliczek i utonęły w chaosie leżących na nim papierzysk. O błogosławiona systematyczności i porządku niemiecki. Cześć wam!

Po czym wyprostował się i rzekł groźnie:

– Poczekaj tu, zaraz wracam. Żebyś się z tego krzesła nie ruszał.

I poszedł. Błyskawicznie uświadomiłem sobie rozkład budynku. Pokój, korytarz, schody, hall wejściowy i od razu ulica. Przy drzwiach warta. All right!

Minuta, dwie, trzy – jak wieczność. Nikogo nie słychać na korytarzu. Niedziela. Podnoszę się, łapię walizkę i do okna. Na ulicy mało przechodniów, ani jednego Niemca. Jednym susem jestem przy drzwiach.

Kroki na korytarzu. Siadam z powrotem. Ręce w ciup, buzia w małdrzyk… Nie, wróć! Cholera! Odwrotnie. Serce mi trochę bije z emocji.

Do pokoju wchodzi jakiś podoficer. Zupełnie nowy. Jest. Jest szansa! Teraz albo nigdy! Naprzód. Ma zaspaną twarz i rozchełstany mundur. Wstaję z walizką w ręku i cała moja postać przejawia rozdrażnione zniecierpliwienie. Tamten patrzy na mnie ze zdziwieniem.

– Co tu robisz, marynarzu? Na co czekasz? – pyta mnie normalnym, urzędniczym tonem.

– Cholera! – wybucham i wszystko drży we mnie z pośpiechu. – Zostałem ranny w czasie wczorajszej bitwy konwojowej. O, niech pan patrzy

– wskazuję na obandażowaną głowę. – Dziś odokrętowali mnie i mam jechać do Bergen. Czekam na przepustkę kolejową już od godziny. Co za traktowanie rannych marynarzy, no niech pan sam powie. Tu jest moja książeczka morska!

Na biurku leżą moje dokumenty. Tych oficerek nie strącił. Opatrzność czuwa nade mną.

– No, no – uspokaja szwab. – Zaraz będzie przepustka.

Bierze dokumenty i blankiet, przystawia stempel i wypełnia. Każdy nerw chodzi mi jak struny gitary przy passodoble. Serce mam w gardle. Trwa to minuty, mnie się wydaje stuleciem. Daje mi przepustkę i dokumenty.

Nakładam najsilniejsze hamulce woli na nogi, aby nie iść za szybko. Mówię jeszcze „do widzenia" i powoli wycofuję się z pokoju. W mózgu mam lawę pomieszanych myśli, instynktów, nagłych postanowień, ale widzę wszystko trzeźwo i wyraźnie. Powoli mijam wartownika i wychodzę na zalaną słońcem ulicę. Jeszcze trochę! Jeszcze kilkanaście metrów nadludzkiego wysiłku, ostatnie chwile opanowania. Mijam róg i startuję do szaleńczego sprintu o nagrodę wolności na trasie wąskich drewnianych uliczek norweskiego portu Stavanger. Łapię jakichś Niemców-żołnierzy i pytam gdzie dworzec kolejowy. Niedaleko. Już go mam.

Jest niedziela. Malutki dworzec, jak podmiejska stacyjka, jest prawie pusty. Stoi jakiś pociąg. Do Oslo. Kiedy? Za dwadzieścia minut. O, key! Wchodzę do bufetu i siadam przy stoliku. Wstawienie czterech liter wyrazu „Oslo" pomiędzy słowa: „Bestimmungsort" i „Bergen" jest kwestią chwili. Pierwsze jest drukowane, drugie pisane ręką mego mimowolnego dobroczyńcy. Podrobić ołówkiem cztery litery nie jest wielką sztuką.

Pewnie wsiadam do pociągu. Przedtem jeszcze informuje mnie norweski kolejarz, że pociąg do Bergen odejdzie za cztery godziny. Doskonale. W tamtym będą mnie szukali.

W przedziale jest tylko kilku Norwegów. Siedzę jak na węglach aż do gwizdu i ruszenia pociągu. Gdy rusza, podchodzę do otwartego okna i zwisam bezwładnie. Chce mi się tylko spać.

W dole niknie Stavanger, małe miasteczko, pełne drewnianych domków z desek, o oknach jak na Alasce. Leży, zalane czerwcowym słońcem niedzielnego popołudnia. Patrzę nań z wdzięcznością. Właśnie za tę niedzielę. Ostatni dzień wielkiej gry.

Daleko widać błyszczący fiord. Jeszcze dalej – morze. Mam dość morza. Dość pływania, przygód morskich, Londona, pokładu, Zaruskiego, wantów i buntów na oceanie. Sercem wiszę raczej przy tych norweskich skałach, na które wspina się pociąg. Mam wiele teraz do zrobienia, ale na lądzie. Na twardej norweskiej ziemi, w barze „Rio-Rita" w Oslo albo na przełęczach nadgranicznych Szwecji.

Tym niemniej pływałem jeszcze w charakterze siły roboczej. I muszę przyznać, bez specjalnej awersji. Zacząłem nawet rozumieć tych, co kochają morze. Ale to już całkiem inna historia – jak mawiał Kipling.

Oslo-Warszawa, 1945-1946 r.

TÜBINGEN MA BIAŁE KOMINY

Gdy uświadamiam sobie teraz całą śmieszną grozę tej historii, przestaję natychmiast o niej myśleć. Po co denerwować się i oblewać gorącym warem na myśl, co by było, gdyby… kiedy i tak jest już po wszystkim. Ostatecznie każdy człowiek ma w swoim życiu kilka takich „co by było" i najczęściej wzdryga się przed uświadomieniem sobie najgorszych konsekwencji swojego „gdyby". Był to czas, na szczęście krótki i definitywnie zakończony, kiedy realizowałem słodkie marzenia mych szczenięcych lat i byłem marynarzem. Domyśliłby się ktoś w słowach tych jakiejś mizantropii czy zgoła goryczy pod adresem stanu żeglarskiego. Uchowaj Boże! Jest to wspaniałe zajęcie i daje możliwości niezastąpionych przeżyć, ślicznych chwil zamyślonego podziwu dla świata, morza, nieba i ludzi oraz do głębokiego zadowolenia z samego siebie. Do dziś dnia czuły jestem na całą rozległą romantykę żeglarskich akcesoriów, a widok najdrobniejszego nawet okrętowego przedmiotu budzi we mnie sentymentalne wzruszenia. Na statku, w wymiarze życia morskiego, każdy przedmiot ma swój specyficzny, inny od lądowego, wygląd i charakter. Inaczej wygląda i spełnia swe zadanie stół w messie, inaczej kuchnia i garnki, inaczej przyrząd do spania, czyli koja, a nie łóżko. Lampa na lądzie jest rzeczą statyczną, niezmienną i raczej martwą. Na morzu żyje, tańczy, chyboce i bierze aktywny udział w rozmowie. O wszystkim tym wiedziałem dobrze, gdyż przez czas pewien mej żeglarskiej kariery okupowałem stanowisko człowieka, mającego najwnikliwszy wgląd w sprawy statku, rzeczy i ludzi na nim żyjących, a mianowicie byłem stewardem. Steward… lecz przejdźmy raczej do wypadku „Tübingen", bo tak można bez końca.

Latem czterdziestego czwartego znajdowałem się w Oslo, będąc jednocześnie w posiadaniu tak zwanej książki morskiej, czyli najistotniejszego dokumentu, decydującego o mej przynależności do zawodu i dającego mi prawo okrętowania się na statki handlowe wszelkiej przynależności państwowej. Było to ściśle teoretyczne prawo, równie iluzoryczne jak wszystkie prawa pisane i niepisane, czasu tej wojny. W praktyce wszystkie urzędy morskie w Norwegii obsadzone były przez urzędników niemieckich, pozostających w najściślejszym kontakcie z Gestapo, przy czym istniał przymus meldowania się w takim urzędzie w trzy dni po opuszczeniu pokładu. Flota norweska z drobnymi wyjątkami znajdowała się po stronie alianckiej, zaś w norweskich portach stały wyłącznie frachtowce niemieckie lub pracujące dla Niemców. Szwedzi płynęli zawsze ze skompletowaną załogą i nie wolno im było uzupełniać w norweskich portach. Na wodach Bałtyku, cieśnin Morza Północnego i Atlantyku czyhały na frachtowce niemieckie brytyjskie samoloty torpedowe i radzieckie łodzie podwodne. Podczas gdy każdy nalot aliantów na miasta niemieckie przyjmowało się z entuzjazmem, na morzu sprawa była nieco skomplikowana. Trudno jest żywić gorące uczucia sojusznicze widząc biegnącą prosto w siebie torpedę. W momencie takim następuje szereg gwałtownych nieporozumień psychicznych i w końcu człowiek nie wie, czy ma chcieć, aby torpeda trafiła w niemiecki statek, na którym sam siedzi. Oczywiście, w takim układzie rzeczy należało starać się o właściwe miejsce dla siebie. Hasłem dnia było tedy: za żadną cenę na morze!

Co za przedziwna, niezbadana, tajemnicza siła sprawia, że ludzie się ze sobą spotykają lub rozmijają? Kto potrafi odkryć jej prawa, zbadać jej mechanizm, wyjaśnić elementy jej działania, wykryć ogólne prawidłowości ją cechujące? Nikt – rzecz jasna i jak świat stary i szeroki przywykliśmy do niej nie przywiązywać większej wagi, co w konsekwencji mści się na nas okrutnie lub szyderczo. Uważamy spotkania z ludźmi za normalność, zdaje nam się, że krzyżówki i plątanina dróg ludzkich to zwykły układ rzeczy i tylko kiedy spotkanie jakieś ma zgoła wstrząsające bytem naszym, złe,

dobre, lub dziwaczne skutki, wtedy decydujemy się nazwać je złym, dobrym lub dziwnym przypadkiem. W tym naszym stosunku do zagadnienia tkwi jakaś bezradna, bierna naiwność i dopiero, kiedy przychodzą na nas chwile olśnienia, korzymy się przed zupełną niepoznawalnością owej siły i wpadamy w drugą krańcowość, bąkając nieśmiało o wszechwładnym, absolutnym Przypadku, rządzącym światem i życiem. Popadamy wtedy w bałwochwalstwo absurdu i nonsensu, zapominając o tym, że nasza niezdolność poznania i wymierzenia tej siły nie oznacza jej ślepoty. Wspomniane olśnienia przychodzą do nas najczęściej w kinie, kiedy najbzdurniejsza nawet komedia omyłek zdolna nam jest objawić syntezę działania owej tajemniczej siły; oglądaliśmy już nieraz jakże absurdalnie smutne a zarazem realistyczne fakty, gdy poszukujący się od wielu lat i tęskniący za sobą ludzie mijają się w drzwiach obrotowych wielkiego hotelu, otarłszy się niemal łokciami i nie spostrzegłszy się wzajemnie. Czasami nazywamy idiotycznym przedstawiony nam artystycznie fakt, z którego wynika, że w milionowym skupisku miejskim ktoś znalazł czy spotkał kogoś najbardziej sobie potrzebnego i koniecznego; i ta ocena jest najdalej posuniętą naiwnością, realizm bowiem takiego zdarzenia jest najcodzienniejszego gatunku. Musimy sobie tedy jasno powiedzieć: istnieje jakaś potężna moc, stykająca ze sobą ludzi, której zbadać ani wyjaśnić nie możemy, której za ślepą i bezmyślną uważać nam nie wolno – a która posiada nieulegającą żadnej wątpliwości własną, wewnętrzną logikę działań. Jedyną postawą, godną człowieka, jest tedy uznać w tej sile swego sprzymierzeńca, zaufać jej, uwierzyć w nieskończone bogactwo jej możliwości i bezgraniczną, nie liczącą się z niczym potęgę. Co do mnie, to chwila, w której potęga ta zetknęła mnie z panem Schmitzem, stanowiła chwilę jedyną i niepowtarzalną, właśnie ten precyzyjnie wybrany moment, w jakim tylko mogło zacząć działać ruchome pasmo przyczyn i skutków. Wszedłszy do biura urzędu morskiego przy Stortingsgata w Oslo, skierowałem się do solidnego, dębowego kontuaru, na którym widniała tablica: „Uzupełnianie załóg". Po drugiej stronie kontuaru stało dwóch

niemieckich urzędników; jeden z nich, niski, szpakowaty i wygolony, mówił właśnie:

– Proszę cię, Schmitz, tylko pięć minut, zaraz wracam.

Pan Schmitz miał długi nos, ciemne, załzawione oczy i nosił czarne biurowe zarękawki.

– Mój drogi, ale ja mam tyle roboty…

– No, pięć minut, Schmitz, bądź kolegą – powiedział szpakowaty, poklepał Schmitza po plecach i odszedł.

Wyciągnąłem moje papiery z kieszeni i położyłem przed Schmitzem na kontuarze.

– Przyjechałem ze Stavanger. Oto moja książka żeglarska i skierowanie. Co mam robić?

Schmitz spojrzał na mnie niechętnie i łzawo. Wziął do ręki papiery, przeczytał.

– W porządku. Dam panu kartkę do Domu Żeglarza. Odpocznie pan trzy dni i dostanie pan przydział na statek. Dlaczego pana zdjęli z „Charlotte Cords”?

– Pokłóciłem się z kapitanem.

– Co za nonsens – uśmiechnął się Schmitz – na niemieckich węglowcach cudzoziemscy trymerzy nie kłócą się z kapitanami. To byłoby za wiele.

– Panie Schmitz – zacząłem poważnie i z uczuciem – przepraszam, że pozwalam sobie nazwać pana jego nazwiskiem, które przypadkiem dane mi było usłyszeć; otóż panie Schmitz, czyż nie zdaje pan sobie sprawy z tego, kogo ma pan przed sobą? Czy ja wyglądam na zejmana albo trymera? Jestem ofiarą wojny, pomyłką, nieporozumieniem, wrakiem ludzkim. Muszę to panu powiedzieć, gdyż wyczuwam w panu bratnią duszę, artystę tak jak ja, tylko, uwięzionego za biurkiem, jak ja jestem przykuty do trymerskiej szufli.

Efekt tego nieprzytomnego strzału był piorunujący. Oczy Schmitza zaszły autentycznymi łzami.

– Niemcy są w piątym roku wojny – szepnął – ja muszę za biurkiem, pan musi na morze. Biedny. Istotnie jestem muzykiem, kompozytorem. Jak pan to poznał?

– My artyści – rzekłem, przy czym oryginalny skurcz melancholii uszlachetnił mi rysy – ech, co tu dużo mówić… Pańskie oczy, panie Schmitz, powiedziały mi prawdę.

– A pan?

– Jestem architektem.

Coś jakby rozczarowanie odbiło się na twarzy Schmitza. Szybko jednak oświadczył:

– Architektura. Poezja linii, kolumn, fasad. Piękna rzecz.

Teraz już nie miałem żadnych wątpliwości, że jest trzecim fagocistą w drugorzędnym zespole kameralnym i komponuje bez żadnych szans sukcesu.

– Panie Schmitz, ja nie pójdę na morze. Nie przetrzymam następnego rejsu. Obowiązkiem pana jako artysty, wrażliwego artysty, jest pomóc mi.

W głębi hali biurowej ukazał się szpakowaty. Podszedł do biurka i spojrzał na mnie ostro.

– Znowu jeden z tych cudzoziemskich partaczy. Dziękuję ci, Schmitz, już ja to dokończę, jeszcze raz dzięki. Wasze papiery – krzyknął w moją stronę.

– Chwileczkę, kolego Kluge – powiedział Schmitz – zabieram z sobą tego człowieka. To jest steward, a na „Harvestehude" prosili o stewarda. Dotychczasowy zachorował ciężko i został odesłany do kraju.

Schmitz wznosił się na wyżyny poświęcenia i bohaterstwa w imię kultu Apollina. Sprawiało mu to widoczną przyjemność, twarz mu się ożywiła, oczy zabłysły. W moim seebuchu stało jak byk „trimer", a nie „steward", zaś gigantyczne kłamstwo Schmitza otwierało przede mną wonne i lazurowe perspektywy, podobne do wizji muzułmanina odurzonego peyotlem i śniącego właśnie o rozkoszach ogrodu Allacha.

– Proszę bardzo, kolego Schmitz – rzekł Kluge z uśmiechem, który mówił wyraźnie, że sprawia mu to czystą przyjemność odstąpić ten brudny łach, to znaczy mnie, swemu drogiemu koledze, gdyby bowiem chodziło o niego, to wpakowałby mnie natychmiast na pierwszy lepszy frachtowiec z cementem. Cement oznaczał koniec czyli nieuchronną śmierć w razie storpedowania; ładunek cementu to był wyrok, a Kluge wyglądał na takiego od wyroków.

Kiedy w dwie godziny później, schodząc ze stacji Nordstrand pod Oslo ku fiordowi, ujrzałem w dole „Harvestehude" na długich cumach, fala ciepła opłynęła mi serce. Różni maryniści różnych literatur i języków różnie mówią o statkach. Przyrównują je do przyjaciół i rasowych zwierząt, personifikują ich jestestwa, obdarzają je życiem duchowym. Zapytany o istotę statku odpowiedziałbym chyba: statek to dom. Gdy pomiędzy statkiem a jego załogą wytworzy się owa więź mieszkaniowej przynależności, wtedy dopiero w sercach ludzkich występują objawy prawdziwego przywiązania, zrozumienia i miłości do konglomeratu belek, żelaznych spojeń, nitów, mosiądzu i desek obdarowanego nazwą i pochodzeniem z macierzystego portu. Na widok „Harvestehude", leżącej cicho i spokojnie pod jasnym kloszem nieba na szarozielonej tafli fiordu, pojąłem z błogim zadowoleniem, że jej zadaniem jest spełniać rolę cichego, przytulnego domu, odległego od rozgardiaszu bitew konwojowych. Z miejsca też przysiągłem sobie, że uczynię wszystko, by ten urzekający dom na wodzie pozostał mym domem do końca wojny, której groźne oblicze szczerzyło się tuż obok. Od lewej burty „Harvestehude" ciągnęło się bowiem ponure cmentarzysko statków; leżały, spięte żelaznymi klamrami, wszystkie o równym mniej więcej tonażu i o jednakich okaleczeniach: wyrwane burty, strzaskane kominy, smutny chaos splątanych belek, przewodów, przewróconych masztów, pogiętych relingów. I tylko na prawym skrzydle, wyżej niż inne wraki, leżało pięć tysięcy ton „Harvestehude", której nadbudówki tylnego pokładu, a zwłaszcza, kubryk rufowy, wykazywały ślady jakiejś poważniejszej awantury; mimo to jednak coś takiego wisiało

nad statkiem, co mówiło wyraźnie, że na tym pokładzie, wbrew umrzykowemu sąsiedztwu, gości radość i wesele. Czy był to dym z kambuza świadczący niedwuznacznie, że tu gotuje się strawę i chyba nie najgorszą, czy facet w pasiastej koszulce gimnastycznej, który zwrócony ku lądowi stał na dolnym pokładzie śródokręcia przed sztalugą i w najoczywistszy sposób malował norweski krajobraz – dość, że „Harvestehude" tchnęła spokojem, dosytem i jakąś gigantyczną kombinacją. Pełen najlepszych przeczuć zawołałem tedy przyjaźnie „Ahoi", co miało oznaczać, że czekam na łódź. Po wspaniale długim trapie zeszła więc wolno jakaś postać i leniwie wiosłując zbliżyła się do skalnego brzegu, na którym stałem z workiem żeglarskim na ramieniu i drewnianym kuferkiem przy nogach – obrazek równie klasyczny jak kiczowaty, na wszystkich sentymentalnych pocztówkach z wszystkich portów świata. Przy bliższym poznaniu postać okazała się zwalistym chłopem, o topornym pysku, modelowanym przez dobrotliwego Stwórcę siekierą i to chyba najtępszą, jaka była na składzie. Stanął w szalupie, wypluł szczątek papierosa do wody i rzekł:

– Nowy steward, co?

– To ja – odpowiedziałem nie bez kokieterii.

– Jestem bosmanem, na imię mi Georg. Witaj, stewardzie.

Ostatnie słowa zabrzmiały jakoś szekspirowsko a przy tym bardzo mile. Skłoniłem się tedy grzecznie i przerzuciłem do łodzi bagaż oraz siebie. Płynąc do trapu podziwiałem sterczące w górę kilkanaście metrów burty; statek z wyrwanym przez torpedę steuerbordem – bo tylko taka możliwość zachodziła, skoro backbord był widoczny, czyściutki i nie uszkodzony – otóż taki poharatany statek nie może tak wysoko leżeć na wodzie po prostu jak zdrowy, nie wyładowany frachtowiec. Coś w tym tkwiło niejasnego, ale pożytecznego.

– Wysoka burta, długi trap – westchnąłem od niechcenia.

– A wysoka – potwierdził pogodnie Georg przybijając do kratownicy trapu. – Piękny trap – dodał beztrosko. W głosie jego nie było najmniejszego

podejrzenia, że mógłbym za czymś węszyć. Musieli być zupełnie pewni swego ci zejmani z „Harvestehude".

Na dolnym pokładzie midshipu trwało nadal studio malarskie. Artysta nosił shorty, a jego czarne, podkrążone oczy, oliwkowa cera i krucze, tłuste włosy znamionowały południowca. Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem i rzekł zaczepnie;

– Steward, hę?

– Tak, to ja. Przyjemnie maluje się w taką pogodę, co? Bo dobrze to chyba nie.

Musiałem się jakoś bronić, a na płótnie rzeczywiście widniał koszmar w kolorze. Plastyk spojrzał na mnie z zainteresowaniem i powiedział daleko łagodniej:

– Ledwie gówniarz przyszedł a już się stawia. Norwegowie kupują, a przecież trzeba z czegoś żyć. Grasz w skata?

– To cię nie uratuje – powiedziałem – już lepiej maluj tę tapetę. Nie gram w skata.

– Steward – odezwał się Georg, który usiadł na luku i skręcał papierosa – zgadnij, jakiej narodowości jest ten oto smarownik?

„Smarownik" było w tym wypadku zręczną grą słów, albowiem mogło to oznaczać i rzeczywistą funkcję południowca w hierarchii maszynowni, i jego znęcanie się nad pędzlem.

– Diabli go wiedzą – Włoch, Portugalczyk, Hiszpan, Grek?

– Nie – Georg uśmiechał się z wdziękiem, którego ekspresja mogłaby przyprawić o szok nerwowy co słabszą jednostkę – on jest Szwajcar. Z Tessinu. I osiemnaście lat na morzu.

– Powinien zostać admirałem floty szwajcarskiej. Niech Bóg ma w opiece jego i jego flotę.

Szwajcar uśmiechnął się bez gniewu. Uważał się za unikat i nie bez słuszności. – Idioci – szepnął w naszą stronę, lecz słowo to miało znaczenie przyjazne i niemal pieszczotliwe.

Powoli schodzili się ludzie „Harvestehude", by obejrzeć nowego stewarda. Aktorów tego wejścia na scenę było wszystkiego sześciu, jeśli nie liczyć Georga i Szwajcara. Z kombuza wysunęła się szczupła, wysoka sylwetka jasnowłosego cocka – hamburskiego pijaka o widocznym zapaleniu spojówek. Podał mi milcząc rękę, spojrzał przeze mnie jak poprzez przestwór oceanów i znikł w kombuzie, śpiewając fałszywym barytonem: „Unter die roten Laternen von Sankt Pauli…" Nad głową moją oparł się o poręcz schodni pewien zażywny pan w średnim wieku, w shortach, z obnażonym, pełniutkim brzuszkiem i miękką piersią, wysmarowaną kremem „Nivea". Właśnie wstał z leżaka, zamachał mi przyjaźnie ręką i powiedział:

– Nazywam się Mehring. Jestem pierwszy. Po obiedzie przyjdziecie do mnie podpisać musterrolę. Tymczasem good luck – i dodał szybciutko – chciałem powiedzieć: powodzenia.

Ta błyskawiczna ucieczka od angielszczyzny usprawiedliwiona była zbliżeniem się kwatermistrza, ponurego dziadygi, w czapce z imponującym, złotym galonem, błyszczącego ponadto z daleka srebrną odznaką partyjną. „Aha – pomyślałem – więc pierwszy oficer to miazmat czyli element rozkładowy, zaś kwatermistrz reprezentuje tu zdrowego ducha NSDAP i żelazne ramię Führera."

– Dlaczego nie przysłali Niemca? – spytał oschle kwatermistrz.

– Wszyscy niemieccy stewardzi, zarejestrowani w Seeamcie Oslo, polegli na polu, a raczej na falach chwały za wodza, naród i ojczyznę – odparłem służbiście.

– Proszę więc, aby moja kajuta była dokładnie sprzątana. Mam zwyczaj sprawdzać codziennie, czy kurze zostały starte.

Dotknął palcem daszka i oddalił się. Poznałem jeszcze pierwszego mechanika o wyglądzie podstarzałego amanta filmowego w roli oficera marynarki i marynarza Kowalskiego, który miał wygląd warszawskiego łobuza i zapowiedział mi z miejsca:

– Tylko nie myśl, że ja jestem Polak. Ja z miasta, z Królewca. Jak ja mogę być Polak, kiedy urodziłem się w mieście. U nas Polacy są tylko ze wsi.

Wreszcie na górnym pokładzie zbliżył się do relingu sam kapitan Arnstein. Skinął mi głową, lecz nie rzekł słowa, wyglądał przy tym bardzo ładnie w nieskazitelnie białym tropikalnym uniformie, zapiętym pod szyję, fason: 1880 „Dzieci kapitana Granta" – do którego świetnie pasowała siwa bródka-hiszpanka. Ten czcigodny wygląd według conradowskich wzorów rozwiał się przy pierwszym obiedzie, kiedy captain okazał się całkiem nadgniłym staruszkiem, który płaczliwym głosem prosił mnie, abym mu przyniósł dodatkową porcję kompotu. Poszedłem do kombuza i powiedziałem o tym cockowi, ale ten rzekł twardo:

– Powiedz tej starej łajzie, że nie ma kompotu.

– Idź mu sam powiedz – zdenerwowałem się widząc na stole świeżo otwartą i ledwie napoczętą puszkę z kompotem. – Ja nie powiem.

Cock spojrzał na mnie lekceważąco, wzruszył ramionami i krzyknął w korytarz, prowadzący do salonu.

– Panie kapitanie! Nie ma kompotu. Koniec z kompotem. – Po czym rzekł do mnie. – Trzeba go krótko trzymać, bo jest łakomy, a łakomstwo to brzydka przywara.

Natomiast w sprawie nocnika kucharz utrzymywał, że kapitan postępuje słusznie. Okazało się bowiem, że mając dobrze urządzony klozet na mostku, kapitan robił systematycznie siusiu do wielkiego porcelanowego nocnika ze szlaczkiem w kotwice i żaglowce pod pełnymi żaglami. Byłem dogłębnie oburzony, stwierdziwszy to pierwszego dnia, ale cock i Georg, którym ujawniłem swoje rozgoryczenie, nie przyznali mi słuszności.

– To, widzisz, jest jego kapitańskie prawo. Kapitan na przyzwoitym statku musi mieć nocnik, bo inaczej to żaden kapitan. A Arnstein to kapitan jak się patrzy; kiedyś, przed pierwszą wojną, znany był jako nawigacyjny na całym południowym Atlantyku.

W ten sposób zaczęły się piękne dni Aranjuezu. „Harvestehude" była zbudowana przed czterdziestu laty w jakieś angielskiej stoczni jako

półpasażerski na regularną linię i nosiła wszędzie cechy miłego, solidnego komfortu, z jakim w tych dobrych, starych czasach budowano statki. Ciężkie, dębowe poręcze, glazurowane boazerie w messie – już wiecie chyba, jak to wygląda. W latach trzydziestych pływała pod flagą Kompanii Hamburg-Sud na trasie Wilhelmshafen-Rio. W kabinie śródokręcia, którą otrzymałem – a tak, bo wszyscy tu mieszkali teraz w kajutach, o kubryku mowy nie było – zachował się jeszcze podzwrotnikowy wentylator, który włączałem w czasie mych południowych sjest, a którego podniecający szmer ułatwiał barwne marzenia o egzotycznych nastrojach. Rano sprzątałem cztery oficerskie kajuty i podawałem śniadanie, gwiżdżąc rozgłośnie: „Oczy dziewcząt z Colombo", co należało do rytuału i usposabiało do mnie przyjaźnie mych zwierzchników; co kilka chwil wzdychałem przy tym nabożnie na intencję nigdy nie dość błogosławionego pana Schmitza. Z pełną satysfakcją zabierałem się następnie do półgodzinnego obrządku w „pendree" – messowej spiżarni – która była moim królestwem i którą utrzymywałem w stanie wzorowego ładu. Nigdy nie mogłem dość się nacieszyć równymi rzędami słoików z dżemem truskawkowym i sztucznym miodem, kostkom pierwszorzędnej margaryny w lodówce i nieskazitelnym platerem. Otrzymywaliśmy pełne „U-boot-sverpflegungu", czyli najwyższą wojenno-morską stawkę zaopatrzenia, a jak tego dokonywali moi patroni leżąc w bezpiecznym fiordzie na niekończącej się wilegiaturze – tego nie doszedłem nigdy. Dość, że zadowolony z nich i z siebie rozkładałem sobie leżak na przednim luku, respektując z należytym szacunkiem oddalenie od leżaka pierwszego oficera, który kładł się na górnym deku. Po dziesięciu dniach opalony byłem w ładnym, morelowym odcieniu, którego zalety dyskutowaliśmy z pierwszym. W tym czasie cock gotował obiad, nie przestając cały czas narzekać, że jest jedynym ciężko pracującym człowiekiem na tym parszywym pudle. Z cockiem zaprzyjaźniłem się też bardzo – był to pogodny abnegat o wrodzonej inteligencji, pełen czułych sentymentów i pasji dobrego ubierania się, a przy tym doskonały kucharz. Po obiedzie i zmyciu naczyń kładłem się w swej kajucie gdzie przy szmerze

wentylatora czytywałem Fichtego z okrętowej biblioteki. Fichte, aczkolwiek w tych warunkach stanowił lekturę wręcz humorystyczną, pomagał mi utrzymać pewien pion moralny w odmęcie błogiego lenistwa, markieranctwa i wyszukanej gnuśności. Próbowałem kiedyś, siedząc na stole w kombuzie, poinformować o tym cocka; powiedział, że jestem kretyn, że katońską surowość i romantyczny zapał filozofa ma gdzieś i że taki Fichte na pewno nigdy nie zastanawiał się nad tym, co zrobić zamiast makaronu ze słoniną na kolację, a co jest rzeczywiście problemem zasadniczej wagi. Trudno było nawet odmówić słuszności temu amoralnemu cockowi-relatywiście, albowiem makaron ze słoniną, podany trzy razy z rzędu, mógł wywołać apokaliptyczną awanturę. Przy stole oficerskim w salonie panowała bowiem ciężka atmosfera; wyjąwszy pierwszego i chiefa-mechanika, którzy utrzymywali ze sobą towarzyskie stosunki, jako że przyjaciółki ich w Oslo były z kolei przyjaciółkami – góra oficerska „Harvestehude" nienawidziła się wzajemnie. U podstaw tej nienawiści i podejrzliwości tkwiła obawa, aby nie zostać odkomenderowanym na inny, pływający statek. Jedynym ich zainteresowaniem była ewentualna data zakończenia wojny bez względu na wynik, o czym nie mówili jednak nigdy przy hitlerowcu-kwatermistrzu, który, rzecz jasna, najbardziej bał się zdjęcia z pokładu, a musiał nieustannie robić bezczelnie dobrą minę do bardzo złej gry. Jedynym, co mobilizowało solidarność wszystkich czterech, było zagadnienie remontu. Co kilka dni przebierali się w ciemne, błyszczące odznaczeniami uniformy i płynęli do Oslo na namiętne konferencje z lokalną filią Oberkommando der Handelsmarine, na których celem ich zgodnych wysiłków było przekonywanie tamtych biurowych baranów, że „Harvestehude", mimo groźnych i poważnych uszkodzeń, nadaje się do remontu, a w tym celu musi mieć część załogi na pokładzie, a owa część musi istnieć w niezmienionym składzie z kucharzem, Szwajcarem, Georgiem, Kowalskim i stewardem y compris. Po każdej konferencji chief-mechanik przebierał się w granatowy kombinezon i wraz z bosmanem, Kowalskim i smarownikiem stukali trochę młotkami po zardzewiałych rurach i innym żelaziwie w maszynowni, lukach

i na pokładzie, po czym mył ręce i jechał wraz z pierwszym do Oslo, do swych zaprzyjaźnionych przyjaciółek, skąd wracali nazajutrz dopiero i na ciężkim gazie. Kowalski z Georgiem siadali do niekończących się partii skata, Szwajcar malował, kapitan z kwatermistrzem lokowali się wygodnie w słomianych fotelach na mostku, przystępując, do powściągliwej, lecz wyczerpująco dokładnej rozmowy o środkach przeczyszczających, a cock i ja przebieraliśmy się w wytworne garnitury z niemieckich pokrzyw, aby natychmiast po zmyciu statków ruszyć do Oslo na tak zwane nocne życie czyli szał. Cock upijał się przy tym jak carski oficer, awanturował się, parł ku niebywałym a wyrafinowanym atrakcjom i za każdym razem wypadał mi z łodzi, gdy późnym wieczorem wracaliśmy na pokład; nie utopił się jednak nigdy, gdyż był to człowiek w gruncie rzeczy rozsądny.

Taka cudna, słoneczna, margarynowa, leżakowa idylla na fiordzie przy pełnych racjach tytoniowych i alkoholowych, z niezawodną wieprzowiną i „irish stew" z puszki na obiad, nie mogła trwać długo. Nosiłem w sobie głęboką świadomość życiowych rekompensat i im wspanialsza była rzeczywistość, tym spokojniej i pewniej oczekiwałem nieuchronnych siedmiu lat chudych. Tym razem zaczęło się od przypadku, wcielonego w małą akrobatkę Uschi, która stanęła pewnego popołudnia na skalnym brzegu fiordu i zawołała o łódź. Leżeliśmy właśnie wszyscy na perseningu tylnego luku, nieprzyzwoicie syci po obiedzie i zupełnie rozpłynięci w lenistwie. Gdyby wołającym był admirał Donitz albo sam duch Nelsona, jeszcze kłócilibyśmy się, kto ma podjąć morderczą wędrówkę kilku metrów do trapu i zdobyć się na śmiertelny wysiłek wiosłowania dwudziestu metrów do brzegu, ale smukła sylwetka kobieca w kolorowej jedwabnej szmatce, stojąca na skalistym wykrocie jak owa z piosenki Marianna, czekająca przybijającego do portu kochanka, podziałała na nas jak dynamit skojarzony ze środkiem na wywołanie swędzenia. Stoczyliśmy się do szalupy wszyscy w piątkę i popłynęliśmy do brzegu. Uschi przywitała się grzecznie i spytała, czy na „Harvestehude" pracuje niejaki Kunze z Rostocku, palacz. Zasmuciła się szczerze, gdy okazało się, że nie pracuje, ale rozpogodziła się

natychmiast, kiedy nadmieniliśmy, że nie ma co się martwić o jakiegoś brudnego smolucha i że każdy z nas wart jest co najmniej kilkunastu Kunzów, na co najlepiej wskazują nasz wykwintny styl bycia i nasze odpasione pyski. Taka dowcipna konwersacja doprowadziła Uschi do zwierzeń; okazało się, że jest ona z pochodzenia wiedeńską Czeszką, z zawodu akrobatką, że została zmobilizowana jako telefonistka, że ma dziecko, chłopczyka, że nie ma męża, że lubi solone fistaszki, że wprawdzie jedno jej niebieskie oko jest nieco większe od drugiego na skutek jakiejś nieudanej operacji, ale że mężczyznom to się bardzo podoba i mówią, że to ma swój urok. Chcieliśmy zabrać Uschi na statek, ale na górnym deku stał oparty o reling kwatermistrz i łypał na nas złym okiem. Na genialną myśl wpadł tedy cock: spytał mianowicie Uschi, czy ma jakieś koleżanki, a otrzymawszy odpowiedź twierdzącą – zaproponował urządzenie wieczorem wesołego pikniku na tym oto brzegu, co w niczym nie powinno wzbudzić obiekcji kapitana. Właśnie poprzedniego dnia otrzymaliśmy nasze tygodniowe racje bremeńskiego machandlu, zwanego popularnie fuslem, więc projekt cocka spotkał się z ogólnym entuzjazmem.

Wieczór był wspaniały pod względem meteorologicznym, wyrzuciliśmy tedy na brzeg mnóstwo koców, kieliszków, szklanek i aprowizacji i udaliśmy się na stację Nordstrand po gości. Uschi nie zawiodła – przybyła na czele niewielkiej ekipy składającej się z dwóch kelnerek jakiejś oficerskiej stołówki i jednej stenotypistki z Organisation Todt. Były to grubawe, źle umalowane Niemki, bardzo wesołe i wypalające niezmierne mnóstwo naszych papierosów. Zeszliśmy więc rozbawionym korowodem na brzeg fiordu; jasno-granatowe niebo zapowiadało jedną z owych pozbawionych ciemności nocy, tak częstych latem na tej wysokości geograficznej. Przyznać trzeba, że nieodzowna dla takich imprez atmosfera wytworzyła się z miejsca. Na „Harvestehude" spał kapitan, pierwszy i chief pojechali zaraz po kolacji do Oslo, ledwie zaś roztasowaliśmy się na brzegu, zszedł na ląd kwatermistrz, uśmiechnął się do nas krzywo, przypatrywał się chwilę z uwagą Uschi i poszedł w kierunku stacji, co wskazywało na to, że jedzie do Oslo na piwo.

Czuliśmy się zatem jak we własnym salonie i to bardzo pięknie urządzonym. Fusel, rozprowadzony do szklanek, znikał nader szybko, wyzwalając z naszych wnętrz różne tęsknoty, uczucia i talenty. Już wkrótce Szwajcar błagał z płaczem stenotypistkę, aby pozwoliła mu się malować, cock śpiewał: „Keine Angst, Rosemarie", łaskocząc jedną z kelnerek, która zanosiła się śmiechem, wołając, że jest najbardziej łaskotliwą kelnerką Trzeciej Rzeszy. Georg wyjął swe dowody osobiste i skrupulatnie badał, czy ma jeszcze stary i nieważny paszport Wolnego Miasta Gdańska, do którego to dokumentu przywiązywał niezwykłą wagę, a Kowalski, objąwszy w pół drugą z kelnerek, palącą przytomnie papierosa za papierosem, rozglądał się niespokojnie, nie wiadomo za czym. Uschi trzymała się blisko mnie, powiedziała, że się jej podobam, i spytała, czy mam ochotę ocenić jej akrobatyczne wykształcenie, na co przystałem z entuzjazmem, wobec czego wykonała ona świecę, mostek i jeszcze kilka figur, których produkcja nie nastręczałaby trudności jakiejkolwiek uczennicy rytmoplastycznej szkoły w Krotoszynie. Wobec jej opowiadań o występach w berlińskiej „Scali" zachowałem się taktownie i powściągliwie, napomykając zręcznie, że ma śliczne jasne włosy, co daje daleko więcej szczęścia w życiu niż najbłyskotliwsza kariera na polu zawodowym, a co przynajmniej odpowiadało prawdzie. Na początku wieczoru, jak to w takich wypadkach bywa, wszyscy mężczyźni palili się do Uschi i emablowali ją na wyścigi, kiedy jednak po zastrzyku alkoholu zarysowały się konkretne sympatie i skłonności, jedynym moim rywalem został Heintz, szesnastoletni jung pokładowy, o którym dotąd nie było ani słowa. Otóż Heintz bawił na przeszkoleniu lokalnej Hitlerjugend, kiedy ja przebywałem na „Harvestehude", a wrócił na dzień przed omawianym jublem. Był to spokojny, tępawy, jasnowłosy chłopak z Lubeki, bez szczególnych znamion. Uschi wywarła na nim oszałamiające wrażenie, siedział więc naprzeciwko nas, pił wódkę, nic nie mówił, nie odrywając tylko swoich krowich oczu od Uschi, co nie wpływało bynajmniej dodatnio na swobodę mego samopoczucia. W końcu jednak fusel zrobił swoje, Szwajcar oświadczył, że słońce pali nieznośnie i że trzeba się wykąpać, Uschi pytała

się, czy można zawiesić trapez, bo ma mi coś specjalnego do pokazania, a ni stąd, ni zowąd pojawił się kwatermistrz i uczynił rzecz wstrząsającą, bo zamiast minąć nas i popłynąć na statek, jak przystało oficerowi niemieckiej marynarki handlowej i członkowi partii, usiadł na kocu i zaczął pić wódkę. Już wkrótce cock łomotał kwatermistrza po plecach i nazywał go starym łotrem, jednym z tych, którzy prowadzą Niemcy w otchłań klęski, kwatermistrz uśmiechał się krzywo i nieszczerze, twarz rozmazywała mu się pod uderzeniami fuslu i tylko oczy jego tkwiły w Uschi jak w urzekającym obrazie. Zrozumiałem, że mam przed sobą wypadek szczególnego starczego „coup de foudre", że ten hitlerowski Hulot z Kilonii ogarnięty został wielką, może ostatnią namiętnością, wobec czego najspokojniej w świecie pochyliłem się ku Uschi i zacząłem ją całować. Nie pamiętam, co było dalej, dość że obudziłem się około godziny jedenastej rano na ławce, na peronie stacji Nordstrand, pod surowymi i wrogimi spojrzeniami norweskich kolejarzy. Zbiegłem na brzeg, pełen śladów nocnego szaleństwa, i wskoczyłem do łodzi. Przy trapie złapał mnie Kowalski, który zaciągnął mnie do maszynowej schodni i tam opowiedział, jaki sądny dzień panuje na statku od rana. Kapitan, obudzony przez hałasy na pokładzie, zeszedł w pidżamie na dół, a zwabiony śpiewem kobiecym udał się do kajuty Heinza, w której Uschi leżąc na koi, śpiewała na cały głos: „Kann die Liebe Sünde sein?", a Heinz, klęcząc na podłodze, wpatrywał się w nią z zachwytem. Nastąpiła piekielna awantura, kwatermistrz odwiózł Uschi na brzeg i miał jakoby oświadczyć, że to steward sprowadził tę dziewczynę na pokład w celach deprawacyjnych. Tarłem czoło zdruzgotany tym wszystkim, a co najgorsze – trudno mi było temu zaprzeczyć, skoro niewiele pamiętałem, co się działo, a wszystko na świecie jest możliwe. Kiedy o zwykłej porze nie podałem śniadania, kapitan wściekł się i kazał pierwszemu jechać do urzędu morskiego po nowego stewarda. Zmaltretowany przez wódkę i ponury jak noc zabrałem się do sprzątania czując, że padłem ofiarą jakiejś podłej intrygi. Sprawa wyjaśniła się cokolwiek w kambuzie tuż przed obiadem, kiedy Heinz czkając

z podniecenia oświadczył, że to on przywiózł Uschi; nie wydawało się to jednak ostatecznym rozwiązaniem problemu, bo sam Heinz nigdy by na taki pomysł nie wpadł.

– Ty wszarzu – zgrzytnąłem – to dlaczego nie idziesz do starego i mu tego nie powiesz?!

– Bo się boję – pisnął Heinz, zaraz jednak dodał arogancko – a tobie to niewiele pomoże.

Trzymany w ręku talerz z zupą pomidorową poslałem Heinzowi na twarz, co było jedyną moją satysfakcją. Wstrząsnął się, jakby chciał rzucić się na mnie, ale dał spokój bojąc się czegoś twardszego niż kolorowa ciecz z kluskami. Wszyscy trzymali się pazurami tego statku, jako Polak pozycję miałem najsłabszą, widocznie więc mnie było sądzone odpokutować upojne chwile zeszłej nocy. Po południu pierwszy wezwał mnie na mostek, wręczył mi moją musterrolę i skierowanie do urzędu morskiego, przy czym powiedział z żalem:

– Coś ty, chłopcze, narozrabiał z tą dziewczyną?

– To nie ja, panie Mehring, jak pragnę zdrowia. Powiem panu szczerze i otwarcie, jak ojcu, kto ją sprowadził: to kwatermistrz, ten drań, ale jak mi się przed nim bronić i udowodnić moją niewinność…

Oczy pierwszego stały się okrągłe ze zdumienia, a potem zwęziły się w bardzo złośliwej radości.

– No, to good luck, chłopcze. Już my tu cię pomścimy.

W ten sposób wymierzyłem pierwsze uderzenie rewanżowe, na chybił-trafił co prawda, lecz raczej skutecznie. Rzecz jasna – były to moje niesprawdzone jeszcze domysły, lecz ja mam intuicję w tych sprawach. W każdym razie uruchomiłem dobry motorek plotek na pokładzie, którego działalność może w dostatecznym stopniu obrzydzić życie kwatermistrzowi przez długie miesiące. Siedzieliśmy więc smutni w czysto sprzątniętym kambuzie – cock, Georg, Szwajcar, Kowalski i ja – i piliśmy steinhagera na pożegnanie. Ze stojącego pomiędzy rondlami radia rozlegały się rytmicznie „My guy comes back" i „American patrol", roznoszone w ekscytujących

synkopach przez saksofony orkiestry Glenna Millera, jako że zawsze słuchano tu zakazanych stacji. Wszyscy przypominali sobie intensywnie kolejność wypadków ubiegłej nocy, białe plamy niepamięci rozciągały się jednak tak rozlegle w świadomości każdego z nas, że niesposób było zrekonstruować jakąś logiczną całość.

– Zapamiętajcie moje słowa – powiedziałem na koniec – ta cała historia z Uschi to sprawka kwatermistrza.

Pożegnaliśmy się czule, Georg i cock odprowadzili mnie na stację Nordstrand i już niebawem wraki, cmentarzysko, skalny brzeg fiordu i „Harvestehude", niknąc za zakrętem toru, przeszły do rekwizytów mych wspomnień.

Oczywiście, zamiast do urzędu morskiego, pojechałem do Uschi. Mieszkała nie opodal Lilie Torget, w dzielnicy przesiąkłej wonią śledzi, kanałów portowych i atmosferą powieści Johanna Bojera, w małym, dość brudnym hoteliku, zarekwirowanym przez władze okupacyjne. Nie było jej w domu, czekałem ponad dwie godziny, wreszcie przyszła w towarzystwie jakiegoś podoficera-lotnika, którego zresztą zaraz lojalnie na mój widok pożegnała. Zmartwiła się bardzo, kiedy opowiedziałem jej konsekwencje wczorajszych radości, albowiem miała naprawdę dobre serce, ta Uschi. Pięknym gestem zaofiarowała mi gościnę u siebie na czas nieograniczony, co w praktyce sprowadzało się do trzech dni, w tym bowiem czasie musiałem się meldować w Seeamcie. Siedziałem wobec tego przez dwa dni w owym hotelu, czytając Anatola France'a, którego zniszczoną „Gospodę pod Królową Gęsią Nóżką" znalazłem gdzieś w kącie nory zwanej tu westybulem; ostatniego zaś wieczoru poddałem Uschi badaniu śledczemu i w krzyżowym ogniu pytań doprowadziłem ją do nabrzmiałego skruchą wyznania, z którego wynikało, że Heinz przywiózł ją na pokład za poduszczeniem kwatermistrza, przy tym dziadyga w szalupie, w czasie jazdy, nakazał wszystko zwalić na mnie. Zeznając to Uschi precyzyjnie pochyliła głowę w poczuciu ogromnej swej winy, co pozwoliło dość efektownie rozsypać się jasnym włosom, a odsłonić inne fragmenty jej smukłego ciała. Trzeba było

jednak zakończyć tę groteskową rywalizację z jednym starcem i z jednym wyrostkiem, zgrzytnąłem więc ostentacyjnie zębami i przybierając postawę typu ponury, mściwy Hiszpan, oświadczyłem:

– No, to teraz już ja tego starego łobuza urządzę!…

Było to czczą przechwałką, albowiem w mojej sytuacji nikogo nie mogłem urządzać, a już najmniej kwatermistrza. Niemniej jednak słowa te osiągnęły pewien skutek i wyciągnęły au clair nową stronę problemu, bo oto naraz Uschi rzekła całkiem ozięble:

– Proszę cię, tylko bez głupstw, dobrze? Pan kwatermistrz jest bardzo przyzwoitym człowiekiem, ma mnóstwo zaoszczędzonych kart żywnościowych i wcale nie jest taki stary, jakby się wydawało.

Wobec powyższego spakowałem swój worek, rzuciłem tkliwe spojrzenie na wystrzępiony tom France'a, w którym zawarte były tak mądre słowa o wszystkich Uschi od początku do końca świata i czule pocałowałem na pożegnanie jasnowłosą akrobatkę w policzek.

– Bądź zdrowa, Uschi, dziękuję ci za te trzy dni. Jesteś wspaniałą dziewczyną, albowiem można się nie obawiać żadnych niespodzianek z twojej strony. Poza tym spotykając się z kwatermistrzem, nie zapominaj o Heinzu. On też może mieć swoje walory.

I opuściłem Uschi, gwiżdżąc z cicha „Je suis seul ce soir…"

Dwa skrzydlate duszki szczęścia unosiły się nad moją głową, kiedy wchodząc nazajutrz do urzędu morskiego ujrzałem pana Schmitza na miejscu pana Kluge, który był tym razem, jak się okazało, chory. Pan Schmitz znał już całą aferę i bardzo był nią przybity, wzdychał dość nieporadnie i robił mi dyskretne wyrzuty jako artyście. Powiedziałem mu, że prawdziwych artystów zawsze spotyka taki los, podczas gdy nędzni pacykarze – co było chwytem nielojalnym w stosunku do Szwajcara – odpoczywają sobie na fiordach, i dodałem jeszcze, że padłem ofiarą nędznej intrygi tak jak Beethoven. Nie miało to wszystko żadnego sensu, ale Schmitz zaczął rozpytywać o intrygę, wobec czego oświadczyłem, że ja już taki jestem, że wolę cierpieć niewinnie, ale nic nie powiem, zupełnie jak

Beethoven. W końcu zaproponowałem, aby wypytał przy okazji pierwszego oficera Mehringa, który wie wszystko, a mnie dał skierowanie na jakąś analogiczną do „Harvestehude" melinę w imię ochrony artystów. Schmitz wziął to sobie do serca, szukał długo wśród kablogramów z całego zachodniego wybrzeża, wreszcie powiedział:

– Jest. Okręt szpitalny „Tübingen". Leży do pojutrza w Stavanger. Potrzebują stewarda.

Zrobiło mi się trochę nieswojo, lecz fakt, że mam kontynuować karierę stewarda był sam w sobie niezmiernie pozytywny.

– Zgoda – odparłem – ale niech mi pan pozwoli się zastanowić. Jestem wrażliwy i jęki rannych mogą mnie przyprawiać o bicie talerzy.

Schmitz był nieoceniony, zgodził się na zastanawianie, co było w Seeamcie zdarzeniem nieprawdopodobnym, udałem się przeto do baru „Rio Rita" na Skippersgata, w którym czekali na mnie cock i Georg przy stoliku nakrytym mokrą od piwa bibułą.

– „Tübingen", osiem tysięcy ton, półpasażerski z Bremy, pływał przed wojną do Ameryki na stałej linii, teraz przerobiony na szpitalny – poinformował mnie Georg, usłyszawszy o propozycjach Schmitza,

– To nie jest zła myśl – rzekł cock po znaczącym namyśle – pomówmy szczerze: to jest dla ciebie szansa. Te szpitalne chodzą do Szwecji, do Malmö i tam wyładowują transporty rannych, których wiezie się następnie promem do Danii i koleją na dół. Urwiesz się więc z pierwszego rejsu z Malmö i już masz spokój.

Byłem wdzięczny cockowi za tak jasne postawienie sprawy. Ostatecznie był przecież Niemcem.

– Masz rację – powiedziałem – trzeba będzie tak zrobić.

– Sami cię zawiozą – dodał Georg, który jako gdańszczanin nie miał sprecyzowanego poczucia przynależności narodowej, a czuł ogromną awersję do Hitlera za to, że tocząc wojnę zniszczył mu brutalnie jakieś kwitnące przedsiębiorstwo szmuglerskie w gdańskim Nowym Porcie… – „Tübingen" jest wyraźnie cechowany, cały biały, ma białe kominy i czerwony

krzyż na śródokręciu. Da Bóg, Anglicy wam niczego nie wsadzą w Skagerraku.

Miałem wątpliwości co do moralnych hamulców lotników brytyjskich na widok okrętów szpitalnych, ale możliwości odkryte przez cocka miały znaczenie decydujące. Ostatecznie – popłynąłem do Norwegii, aby dostać się do Szwecji. „Tübingen" więc spadał w samą porę z samego nieba na łagodnym, rozczulającym spadochronie. Otworzyły się naraz perspektywy, o których przedwczoraj jeszcze nie śniłem, a Schmitz urastał w mych oczach do wymiaru dobrotliwego Anioła-Stróża.

Nie znam nic bardziej w świecie tajemniczego i przypadkowego niż przedział kolejowego wagonu. Znikąd, z niebytu, z pustych przestrzeni kosmicznych zjawia się naraz sześciu ludzi, którzy nie mieli dotąd zielonego pojęcia o swoim wzajemnym istnieniu, po to aby usiąść na malutkiej przestrzeni obok lub naprzeciwko siebie i interesować się sobą przez kilka lub kilkanaście godzin. Cóż ja mogłem wiedzieć o ponurym Norwegu w samodziałowym wzorzystym swetrze, który siedział wciśnięty w kąt przedziału, kiedy tam wszedłem na Dworcu Zachodnim w Oslo. Mruknąłem coś na przywitanie, facet odmruknął, usadowiłem się naprzeciw niego, przy czym uderzył mnie ogrom jego rąk, podobnych w proporcjach do rakiet tenisowych. Takie ręce wywołują na ogół nieprzyjemne skojarzenia, ale mało mnie one obchodziły, tak jak obojętnym był mi fakt zjawienia się w przedziale starszej pani w czarnym słomkowym kapeluszu, systemu „aptekarzowa na spacerze", oraz pewnego grubawego blondyna, w nieprzemakalnym płaszczu, o wyglądzie buchaltera przebranego za detektywa. Nietrudno było zresztą wyczuć, że nie jestem Norwegiem, a Norwegowie uważali w czasie okupacji wszystkich cudzoziemców za Niemców, co bardzo utrudniało osobiste kontakty, szczególnie w miejscach publicznych. Zwracanie się do nich po niemiecku było bezcelowe, gdyż udawali, że nie rozumieją, angielski uchodził za prowokację i tylko śmiałe ataki w stylu: „Hitler – Scheisse! Roosevelt – o'key! Moi – Polak!" dawały pozytywne rezultaty, o ile nie trafiło się na Norwega-quislingowca, który za

taką allokucję prowadził prosto na Gestapo. Znając więc delikatność sytuacji wtuliłem się w róg ławki i marzyłem o białych kominach „Tübingen". Ten statek zsyłał mi najlepszy z mych opiekuńczych dżinnów, wcielony w pana Schmitza; moje położenie w Norwegii stawało się coraz cięższe, w końcu musiałbym znów ruszyć na morze albo z powrotem do Rzeszy – zaś ta alternatywa była nie do przyjęcia. Zamiast więc ucieczek przez górskie przełęcze, ukrywania się w lasach, wymykania się tropiącemu mnie Gestapo i walki z nieufnością Norwegów nadpływał majestatycznie „Tübingen", który bez żadnej szarpaniny przewiezie mnie luksusowo do Szwecji, abym tam, pożegnawszy się ironicznie z kapitanem i rzuciwszy pogardliwe spojrzenie portretowi Hitlera w messie, zeszedł na ląd, witany entuzjastycznie przez licznie zgromadzonych Szwedów. Tak mi się przedstawiały te rzeczy w drzemliwych rojeniach na twardej ławce, w których „Tübingen" zmieniał się w skrzydlaty jacht przecudnej piękności, o dziwacznych, ogromnych, śnieżnobiałych kominach, większych od kadłuba i masztów. Zdołałem jeszcze zauważyć, że Norwegowie zabrali się do jedzenia wafli – klasycznego pożywienia norweskiego w podróży – i zasnąłem. Kiedy ocknąłem się, za oknami było już ciemno. Jechaliśmy wolno; w mdłym, ciemnoniebieskim świetle zaciemnionej lampy drzemali moi współpodróżni. Byłem głodny, a zarazem uświadomiłem sobie, że mam przed sobą jeszcze około dwudziestu godzin takiej jazdy, czyli w sam raz tyle czasu, aby wstąpić na pokład „Tübingen" na jakieś trzy godziny przed opuszczeniem portu. Zastanowiłem się przez chwilę, co mnie zbudziło, głód czy jakaś myśl o czasie, dzielącym mnie od Stavanger, kiedy poczułem na sobie coś gniotącego jak ciężar kota na piersiach pogrążonego we śnie. Z przeciwległej ławki jarzyły się w niebieskawych ciemnościach przerażająco jasne, bardzo dziwne oczy: niesposób było odróżnić w nich białka od tęczówki, tkwiły we mnie świetliście jak dwa odległe, zimne reflektory, oświetlające samolot próżno usiłujący wyrwać się z ich kręgów. Norweg w swetrze, o rękach jak „slasengery", pochylił się ku mnie i szepnął kilka słów po norwesku. Odpowiedziałem, że nie rozumiem, przy czym niespodziewanie dla siebie

samego użyłem angielszczyzny, czego nigdy nie czyniłem, przedkładając niechęć ze strony Norwegów nad posądzenie o prowokację. Norweg pochylił się jeszcze i spytał łamanym angielskim, kto ja jestem. Odpowiedziałem, że jestem Polakiem, na tym skończyła się nasza konwersacja. Norweg wstał – jak się okazało, miał chyba ze dwa metry wzrostu – i głową sięgał ponad półki – podszedł do drzwi, przekręcił zatrzask, zamykając je od wewnątrz, po czym zaczął budzić aptekarzową i buchaltera. Przecierali oczy, zdumieni i zaskoczeni, kiedy zaś Norweg zaczął im coś klarować po norwesku, głosem tępym i przyduszonym, na twarzach ich odbiło się tak wyraźne mimo zaciemnienia przerażenie, że poczułem się nad wyraz nieswojo. Zauważyłem też, że buchalter o wyglądzie detektywa, siedzący ze mną na jednej ławce, przysuwa się ku mnie nieznacznie. Ośmielony tym, że Norweg w swetrze powtórzył kilkakrotnie słowo „polakk", wskazując na mnie i dodając przy tym „good boy", zbliżyłem się do buchaltera i spytałem go z cicha po niemiecku:

– Panie, czego on chce?

– Dobry Boże – odparł drżąc buchalter – on chce zabić Hitlera!

– To dzielny chłopiec. Może potrzebuje pieniędzy na drogę i prosi o sfinansowanie tej imprezy?

– Nie. On chce, abyśmy mu pomogli…

Norweg w swetrze trzymał aptekarzową za kołnierz płaszcza i tłumaczył coś z werwą tej kobiecinie, która zbliżała się w oczach do ataku histerycznego. Mimo całej grozy sytuacji zacząłem gryźć wargi, aby nie wybuchnąć śmiechem, co mogło się skończyć wyrzuceniem mnie przez okno, ale myśl o buchalterze i aptekarzowej, jako o zamachowcach na Führera wyciskała mi łzy radości z oczu.

– O Boże! – jęczał buchalter – to wariat! Co robić?

Norweg w swetrze wstał w całej swej rozpiętości i wymachując rakietami zaczął jakieś głośniejsze przemówienie.

– On mówi, że jeśli mu nie damy pomocy, to się z nami załatwi – tłumaczył zesztywniały buchalter. – On mówi, że jesteśmy zdrajcy, że on jest

Peer Gynt, że popłynie wpław do Niemiec, że jest potomkiem Haralda Pięknowłosego, że utopi zęby w czyjejś piersi, że dawno nic nie jadł… Ja dłużej nie mogę… Oooo!…

Tu buchalter osunął się na podłogę i stracił przytomność, w przeciwieństwie do aptekarzowej, która skoczyła z nagłym krzykiem na równe nogi i złapała za hamulec. Teraz dopiero zaczęło się piekło: pociąg stanął, Norweg w swetrze zatoczył się na aptekarzową, na korytarzu rozległy się podniecone hałasy, ja rzuciłem się do drzwi, usiłując błyskawicznie otworzyć zatrzask, Norweg w swetrze zamachnął się jedną ze swych rakiet w moją stronę, wskutek czego zostałem zasmeczowany pod samo okno i przestałem się orientować w wydarzeniach. Podnosząc w jakiś czas później prawą powiekę, ujrzałem wokół siebie bardzo małą poczekalnię dworcową, a obok siebie norweskiego policjanta. Lewego oka otworzyć nie mogłem w ogóle, okazało się bowiem tak fantastycznie podbite, że jeszcze przez długie tygodnie sygnalizowało z dala brany przeze mnie udział w wydarzeniach gwałtownych i bezkompromisowych. Zerwałem się tedy od razu na równe nogi z ławki, na której leżałem, podczas gdy małomiasteczkowy, różowy na pysku i bykowaty policjant uśmiechał się do mnie uspokajająco i porozumiewawczo. Na moje pytanie, gdzie jestem, odparł, że w Porsgrund, dodając ze zmrużeniem oka, że u przyjaciół. Zaczynała mnie powoli ogarniać panika, czułem, że wpadłem w jakąś nową, dziką aferę, co okazało się nie bez podstaw, ze słów bowiem mojego nowego opiekuna wynikało, że mają mnie tu za polskiego wariata, który wraz z norweskim wariatem zamierzał dokonać zamachu na Hitlera. Taką o mnie opinię urobiła aptekarzowa na stacji w Porsgrund, gdzie poskromiono w końcu Norwega w swetrze. Ponieważ zaś w pociągu nie było ani Niemców, ani quislingowców, Norwegowie zajęli się mną z sympatią, w Porsgrund znajdowało się znakomite sanatorium dla nerwowo chorych, w którym postanowiono doprowadzić mnie do stanu normalności. Przez chwilę zastanawiałem się nad nie najgorszą ewentualnością spędzenia reszty wojny w takich norweskich Tworkach, szybko jednak doszedłem do

wniosku, że Gestapo by mnie tam bez trudu odnalazło i gruntownie uleczyło przy pomocy skutecznych, choć nie zawsze naukowych metod. W każdym razie mój zamierzony rejs na „Tübingen" wisiał na włosku – od chwili zatrzymania się pociągu pod Porsgrund straciłem już przeszło cztery godziny, a w perspektywie miałem jeszcze oczekiwanie na następny pociąg. Należało więc działać szybko, o ile chciałem ratować me plany. Spojrzałem więc zimno na norweskiego buraska w mundurze, oświadczyłem mu, że jest pacan, że ciężko odpokutuje, chroniąc wrogów Führera przed sprawiedliwością niemiecką, którą im wymierzyć należy bez względu na ich stan mentalny, i dodałem, że jeśli się natychmiast ode mnie nie odczepi, to zadzwonię po Kustenpolizei, która mu pokaże, co znaczy zatrzymywać śpieszące na pokład załogi. Poczciwy policjant osłupiał, zaczął coś jąkać, ale nie uczynił gestu nawet, gdy spokojnie zabrawszy worek i kuferek, wyszedłem z dworca po to, aby dopiero nie wiedzieć, co dalej czynić. Stojąc na niewielkim placyku pogwizdywałem sobie bezmyślnie: „Siekiera, motyka, piłka, supeł, ale ja dostałem w…", co bardzo zainteresowało pewnego przechodzącego właśnie młodzieńca o wybitnie zadartym nosie, odzianego w skórzane spodnie, otomańską kurtkę i wytworną cyklistówkę z podgiętym daszkiem. Pan ten obrzucił mnie radosnym spojrzeniem i rozpoczął następujący, zwięzły, a jakże treściwy dialog:

– Polak?

– Z Warszawy.

– Z Radomia. Zejman?

– Zejman. Szofer?

– Szofer. Dokąd potrzebujesz?

– Na Stavanger. Dokąd lecisz?

– Właśnie w tamtą stronę. Mogę cię podrzucić do Arendal.

– W dechę, panie kolego. Kiedy?

– Za godzinę prujemy,

Za godzinę leżałem więc otulony w plandekę na lorze wielkiej ciężarówki firmy MAN, wyładowanej płytami korkowymi i kablem, i pruliśmy do

Arendal, a pruliśmy tak dobrze, że byliśmy na miejscu w niespełna trzy godziny. Chłopcu z Radomia podałem do szoferki paczkę tytoniu, uśmiechnął się przyjaźnie, uścisnął mi mocno rękę i powiedział:

– No, fartuj się dalej, panie kolego, i dobrego powietrza.

W słowach tych była zawarta cała serdeczna życzliwość wysokiej próby, na jaką stać jest ludzi, nie przedstawiających się sobie wzajemnie. Wpadłem więc, pełen nadziei, na dworzec w Arendal po to, aby dowiedzieć się, że wszystko na próżno. Mój pociąg odszedł godzinę temu, następny idzie za osiem godzin, a dopiero z Kristiansand, odległego o ponad sześćdziesiąt kilometrów, kursowały dwa dodatkowe pociągi do Stavanger. Poszedłem bez żadnej rozsądnej przyczyny na peron, jakby tknięty napadem dworcowego somnambulizmu, i oto ujrzałem pociąg pod parą z tablicami „Oslo – Stavanger", jedynie z małym dodatkiem: „Tylko dla wojska". Cóż mógł jednak znaczyć dla mnie ten dopisek, kiedy trzeba było grać va banque. Rzecz jasna – wskoczyłem do pierwszego wagonu za tendrem, gdy tylko pociąg ruszył. Myślę, że każdy człowiek postąpiłby w ten sposób i wcale by na tym źle nie wyszedł.

Widziałem w życiu różnych żołnierzy: bohaterskich żołnierzy i tchórzliwych żołnierzy, smutnych i rozbawionych, brutalnych i rycerskich, upojonych zwycięstwem, obojętnych abnegatów i przygniecionych klęską, tępych i sprytnych, pełnych krzepy i przesiąkłych defetyzmem – ale nigdy w życiu nie widziałem tylu na raz szczęśliwych, zadowolonych z życia i z siebie żołnierzy jak w owym pociągu z Arendal do Stavanger. Pociąg nabrzmiały był szczęściem i radością, pękał wprost od piosenek, piwa i butter-brotów ze sztucznym serem. Wszyscy wszystkich klepali po plecach, wołali „prosit", winszowali sobie wzajemnie jak na chrzcinach i to podobno tak od trzech dni bez przerwy. Tajemnica tej euforii była prosta: oto 117-ty pułk strzelców heskich, przygotowany do wyjazdu na front wschodni, dostał naraz rozkaz obsadzenia baz w środkowej Norwegii. Było to coś jakby przeniesienie z ogarniętego dżumą miasta do zacisznego pensjonatu dla bogatych starców w idyllicznej, górskiej okolicy. Oczywiście – przyjęty

zostałem z wszelkimi rewerencjami, mowy nawet nie było o jakichkolwiek prześladowaniach. W wagonie toczyła się właśnie wartko rozmowa na tematy sportowe, do której natychmiast włączyłem się z całą energią i oddaniem, jakie zaimponowało moim rozmówcom. Byli to przeważnie faceci w średnim wieku, taki wybrakowany landsturm, świeżo oderwany od sklepów kolonialnych i stacji benzynowych, z dużym sentymentem wspominaliśmy więc stare mecze Schalke 04 z wiedeńską Admirą czy Rapidem oraz przewagi Harbiga na bieżni i von Cramma na kortach. Myśli moje krążyły jednak nieustannie wokół możliwego spóźnienia, należało przeto coś przedsięwziąć, aby takiej ewentualności uniknąć. Ni stąd, ni zowąd w nagłym natchnieniu opowiedziałem więc zebranym równie sportową, jak bezsensowną historię o zakładzie, jaki zawarłem z pewnym facetem, siedzącym w tej chwili w pociągu osobowym z Oslo do Stavanger. Zakład miał jakoby polegać na tym, że podjąłem się osiągnąć Stavanger w tym samym czasie co tamten, dając mu jeden pociąg fory. Opowiadanie to podziałało na sportsmenów z Hessen-Nassau jak waleriana na kota. Wszyscy zgodnie orzekli, iż z chwilą, kiedy znalazłem się w ich pociągu, mój honor sportowy stał się ich honorem sportowym, że nasze losy są wspólne i odtąd razem będziemy walczyć o nasz wspólny sportowy sukces. Poczęto tworzyć różne koncepcje przyśpieszenia biegu pociągu, jeden z najbardziej zapalonych sportowców poszedł przez tender do lokomotywy, skąd wrócił niebawem, donosząc, że maszynista-Norweg słyszeć nie chce o zwiększeniu tempa. Na te słowa pewien feldfebel z Gustavsburgu oświadczył, że nie na to wiosłował on w regatowej ósemce F.S.C. Ruderverein, która zdobyła w trzydziestym piątym mistrzostwo środkowego Menu, aby jakiś parszywy Norweg zawalał mu tu całe, pierwszorzędne i jedyne w swoim rodzaju kolorowe zawody, po czym odpiął kaburę, dobył automatycznego waltera i powędrował tą samą drogą przez tender. Argumenty jego musiały być dość przekonywujące i niewątpliwie zdołał on zapalić ducha sportowego w starym maszyniście, gdyż naraz nasz dychawiczny schleppzug zaczął przeć przed siebie ledwo dotykając szyn, jak nie przymierzając „Latający Szkot”

albo „Błękitny Express". Martwiałem na myśl, co się za mną stanie, jeśli ogarnięty żądzą zwycięstwa maszynista zapomni w sportowym szale o elementarnych prawach kolejnictwa i zechce przegonić jadący przed nami pociąg. Tymczasem jednak wszyscy sportowcy z Hessen-Nassau byli zachwyceni, darli się przez okna, dopingując nie wiadomo kogo i śpiewali z całego serca „Es geht alles voruben…", mając zdaje się przede wszystkim na myśli Hitlera i wojnę. Przez Kristiansand przemknęliśmy jak pociąg widmo, zostawiając na peronie rozdziawione ze zdumienia twarze zawiadowcy i bahnschutzów oraz mnóstwo „Hurrah!" i „Allez!", wyrzuconych z naszych okien. Norweg zupełnie oszalał, tak że kiedy po kilku godzinach wpadliśmy na dworzec w Stavanger, na pusty na szczęście tor, zahamował z trudem dopiero kilkadziesiąt metrów za peronami. Z tylnych wagonów drugiej klasy biegli ku lokomotywie oficerowie, z lokomotywy zaś sportowcy wynosili na rękach bladego, słaniającego się maszynistę, składając sobie wzajemnie nową serię gratulacji, co wykorzystałem, by dyskretnie zniknąć w dworcowej ubikacji, z której przedostałem się na tyły dworca i popędziłem ku portowi. Kręte uliczki Stavanger nie otwierały dobrego widoku na port, toteż dopiero dobiegłszy do kapitanatu ujrzałem wychodzący właśnie w morze piękny, biały statek, z czerwonym krzyżem na śródokręciu, o białych kominach. Cichy jęk wyrwał się z mej piersi – identycznie taki sam jęk, jak w milionie innych opowieści tego typu w tym samym miejscu. Usiadłem na kuferku, z głową w dłoniach i z zupełną pustką w myślach, sercu i żołądku, spoglądałem za białymi kominami, lśniącymi w słońcu na tle zatoki. Wielkie słowa i czyny były zbyteczne – Tübingen mijał dalekie falochrony awanportu, a wraz z nim przepływała tamtędy moja Wielka Szansa.

– Niech pan się tylko nie rusza – posłyszałem naraz obok siebie jakiś głos – o tak, jeszcze moment. Pozwoliłem sobie zrobić panu już dwa zdjęcia, potrzebne jest mi jeszcze jedno en face. Dziękuję. Jest pan wolny. Wyglądał pan wspaniale, urzekająco, jak uosobienie żeglarskiego losu, jak sam żeglarski smutek. Będzie z pana znakomita okładka, którą zatytułujemy: „Tęsknota za bezmiarem oceanu" albo „Po awarii". Pan pozwoli, że się

przedstawię: Rudi Sperl, fotoreporter „Berliner Illustrierte", obecnie sprawozdawca wojenny. A teraz chwila wyznań: właściwie dlaczego pan się martwi?

Wszystkie te słowa wypowiedział smukły, młody człowiek w mundurze marynarki wojennej, z imponującym Rolleiflexem na piersiach. Poczułem doń od razu sympatię, aczkolwiek raził mnie w nim brak zsuniętego z czoła, miękkiego kapelusza, kolorowego, rozluźnionego krawata przy rozpiętym kołnierzyku i butów na słoninie. Mundur nie był jego skórą. Opowiedziałem mu o mych troskach, uśmiechnął się z wdziękiem.

– Ha, ha, ha, mój stary przyjacielu, oto koniec twych zmartwień. Dowiedz się zatem, że „Tübingen" płynie do Kristiansand, skąd pojutrze dopiero pójdzie do Malmö. Wiem o tym z godnego zaufania źródła, to znaczy od pewnej ciemnowłosej pielęgniarki imieniem Erika, którą dziś wczesnym rankiem odprowadziłem z żalem na pokład. Za trzy godziny masz wygodny pociąg do Kristiansand, a tymczasem chodźmy na obiad.

Obiad zjedliśmy w restauracji najwytworniejszego w Stavanger hotelu „Atlantic", który z zewnątrz przypominał urząd gminny w Klarysewie, ale w środku był całkiem niczego. Menu było nader urozmaicone: przystawka ze śledzia, zupa rybna, kotleciki ze szprotów, budyń z dorsza. Rudi miał w kieszeni pół litra duńskiej anyżówki, która ułatwiła nam mocno zbliżenie, tak że pod koniec obiadu układaliśmy plany wydawania własnego periodyku, poświęconego sprawom morskim, ze szczególnym uwzględnieniem portowego życia nocnego. Trudności nastręczały się tylko odnośnie języka, wobec czego postanowiliśmy zapełniać nasze pismo wyłącznie materiałem fotograficznym, w odpowiednio przejrzystym układzie. Ponadto Rudi umiał wróżyć z ręki i powiedział mi, że wisi nade mną w tej chwili wielkie niebezpieczeństwo, z którego wyjdę cało i zdrowo. Ucieszyło mnie to bardzo i znów ujrzałem siebie po szczęśliwym rejsie zstępującego z godnością z trapu „Tübingen" na nabrzeże w Malmö. Ledwie zdążyłem na pociąg do Kristiansand, przy czym Rudi robił mi zdjęcia do

ostatniej chwili, to znaczy kiedy wskakiwałem do pociągu w biegu i machałem mu przez okno chusteczką.

Pomny na przedwczorajsze doświadczenia wolno taszczyłem swój worek i kuferek przez korytarz wagonu, wybierając pieczołowicie przedział i unikając jak ognia Norwegów w samodziałowych, wzorzystych swetrach. Zresztą wybór mój był z góry przesądzony, gdy tylko dostrzegłem przez jedną z szyb bardzo ładną dziewczynę – oprócz niej znajdował się w przedziale jeden jeszcze pasażer. Wszedłem więc z grzecznym uśmiechem na ustach i pogwizdując z cicha, lecz z uczuciem „J'attendrai" usadowiłem się obok dziewczyny, a naprzeciw pana, który był najwidoczniej pastorem – na co wskazywał okrągły, biały kołnierzyk, wieńczący pod marynarką czarny, pastorski gors – jednym z tych zażywnych, czerstwych na twarzy pastorów w pumpach, którzy chodzą na dalekie turystyczne wycieczki, z plecakiem i w podkutych butach, a których chłopięce, błękitne oczy tak otwarcie spoglądają na świat spod przyprószonej siwizną czupryny. Jeśli zaś chodzi o dziewczynę, to wyglądała ona ze swymi niebieskimi oczami, czerwonymi ustami i bladą cerą jak norweski sztandar narodowy. Przez chwilę przyglądaliśmy się sobie wszyscy we troje wzajemnie, przy czym zauważyłem ślady jakiegoś zmęczenia na twarzy dziewczyny, wreszcie wtuliłem się w kąt, aby odespać wczorajszą noc, a pastor wyjął z walizki książkę, której tytuł postarałem się ze starego przyzwyczajenia odczytać.

– Wszelki duch Pana Boga!… – zawołałem na widok tego tytułu – to pan… pastor, znaczy się, rozumie po polsku?

Jasne, chłopięce oczy spojrzały na mnie spokojnie, jakby fakt ten był najnormalniejszym zjawiskiem w środkowej Norwegii.

– Cieszę sie, że spotikam polakka – odparł poprawnie, ale chłodno i z rezerwą – ja rozumie po polsku. Polski jeżyk to moje… if you understand, it's my hobby, how do you say that in polish? Nie wiem jak to być po polski.

I na potwierdzenie tego, jak powinno się traktować swoje hobby, odczytał mi z trzymanego w ręku „Pana Tadeusza" wstęp do księgi czwartej,

łamiąc sobie język, krztusząc się fatalnie i czerwieniejąc z wysiłku. Po tym wdaliśmy się w dłuższą rozmowę, bardzo rzeczową i wyzbytą wszelkiej serdeczności, przy czym pastor od czasu do czasu tłumaczył zaciekawionej tym wszystkim dziewczynie, o co chodzi, zupełnie jak na szkolnej wycieczce do muzeum, ta zaś uśmiechała się do mnie coraz życzliwiej. Na przeszkodzie dalszej konwersacji stanęły tunele, niezwykle częste w tej górzystej części Telemarken, przez którą właśnie jechaliśmy, tunele bowiem wytworzyły zgoła nową sytuację w przedziale. Gdzieś w trzecim czy czwartym z kolei tunelu, sam nawet nie wiem, jak i kiedy, bo na pewno nie rozmyślnie, znalazłem się dosyć blisko Sølvejg – o którym to imieniu młodej damy poinformowany zostałem nieco później. W tunelu szóstym czy siódmym nastąpiło zupełnie niewytłumaczalne z logicznego punktu widzenia zetknięcie się mojej prawej dłoni z lewą dłonią Sølvejg, a w dziewiątym czy dziesiątym jakiś kompletnie absurdalny odruch zbliżył do siebie nasze głowy. Świeżość warg Sølvejg ustokrotniona była w swym uroku oryginalnością sytuacji. Pastor drzemał w przeciwległym rogu nie reagując na częste zmiany jasności dnia w tunelową ciemność; zresztą siedzieliśmy z Sølvejg twarzami w kierunku jazdy i owe błyskawiczne odrywanie się naszych głów od siebie na pierwszy ton szarości w oknie, oznaczający wyjście z tunelu, dodawał wszystkiemu posmaku szlachetnej emocji. Tunele ciągnęły się aż do Kristiansand; na pewien czas przed końcem podróży, gdy Sølvejg wyszła na chwilę z przedziału, pastor ocknął się, wyjął z portfela wizytówkę, na której dopisał coś ołówkiem, i podał mi ją ze słowami:

– Jadę dalej, do Oslo. Jeśli pan będzie mnie potrzebował kiedyś, w jakiejkolwiek sprawie, to proszę mnie poszukać pod tym adresem. Poza tym radzę unikać całowania się w przedziałach trzeciej klasy, gdyż jest to niewygodne, bolą potem plecy, a przy tym robi pan to niezręcznie i zawsze o ułamek sekundy za długo.

Słowom tym nie towarzyszył żaden uśmiech ani jakikolwiek akcent ironii, sympatii czy ciepłego zainteresowania. Ta doskonała, obojętna rzeczowość sprawiła, że nie poczułem się zdruzgotany. Pożegnałem się

grzecznie i chłodno, co pastorowi spodobało się najwyraźniej, i opuściłem pociąg wraz z Sølvejg, która także wysiadała w Kristiansand. Wieczór był ciepły i pachnący; zostawiłem bagaże na dworcu i postanowiłem odprowadzić Sølvejg do domu, zanim poszukam noclegu. Szliśmy więc najprzód wąskimi, drewnianymi uliczkami wśród piętrowych domów z desek i po drewnianych chodnikach, aż doszliśmy do niedużego domku z drzewa, leżącego w ogrodzie, nieco za miasteczkiem, na zboczu górskim nad samą zatoką, lśniącą teraz spokojnym, fioletowo-srebrnym odblaskiem północnego nieba. Spoza zaciemnionych okien domku łyskały ukradkiem blaski lampy i dochodziła muzyka radiowa; wszystko razem sprawiało wrażenie takiej przytulności, że ciężkie westchnienie wydarło się z mej piersi, a łza o mało co nie zabłysła mi w oku. Zacząłem się żegnać, gdy naraz Sølvejg powiedziała cicho:

– Zaczekaj. Muszę z tobą pomówić.

Usiedliśmy więc pod żywopłotem i Sølvejg mówiła szybko i cichutko:

– Posłuchaj: spodziewam się dziecka…

Włosy zjeżyły mi się na głowie.

– Ależ, Sølvejg!… – jęknąłem – to chyba wykluczone…

– Nie – uśmiechnęła się blado – zachowuj się rozsądnie i oszczędź dowcipów mnie i sobie. W Stavanger znałam pewnego młodego Francuza, nazywał się Jean Moniot i pochodził z Gentilly pod Paryżem, może znasz tę miejscowość, może tam byłeś? Wiesz – zwykła historia, zakochałam się, on był taki czarujący, taki inni niż nasi chłopcy. Dwa tygodnie temu skończył się jego okres pracy przymusowej i odesłali go do Francji. Widzisz, ja bardzo kocham moją rodzinę i oni mnie kochają, i ja naprawdę nie chciałabym im robić zmartwienia. Mój ojciec taki miły staruszek, jest trzydzieści lat inspektorem na poczcie, tu w Kristiansand, wszyscy go znają, lubią, szanują. Ja cały czas mówiłam w domu, że wychodzę za mąż za Jeana, zresztą on chciał się nawet ze mną ożenić, kiedy to wszystko tak nagle się skończyło i zostałam sama z tym swoim kłopotem.

– To wszystko jest bardzo smutne, Sølvejg, ale w czym ja ci mogę pomóc?

– Nie wiem, czy mnie zrozumiesz, ale kiedy wszedłeś do przedziału gwiżdżąc tę francuską piosenkę, zupełnie jak Jean, pomyślałam sobie, że możesz mi oddać przysługę, ogromną przysługę, mnie i memu ojcu, i mojej rodzinie. Widzisz, chodzi tylko o to, abyś ty przyjechał zamiast Jeana, na dwa dni chociaż, na dzień, na parę godzin, ale niech mój ojciec zobaczy mojego narzeczonego, niech poklepie go po ramieniu i wypali z nim razem fajkę przy stole. Na świecie jest wojna, mój narzeczony może wyjechać na tydzień i nie wrócić nigdy, zostawiając mnie z dzieckiem, trudno, gorsze rzeczy mogą dziś spotkać każdego, ale niech moi rodzice otrzymają swoją satysfakcję, niech ujrzą prawdziwego narzeczonego z krwi i kości, który przyjechał wraz z ich Sølvejg do ich domu…

– Sølvejg – rzekłem zduszonym głosem – to jest bardzo ładne i szlachetne z twojej strony i chciałbym ci pomóc, ale ja muszę, słyszysz – ja muszę jutro w południe znaleźć się na pokładzie statku, który nad ranem wpłynie do Kristiansand. Ja muszę, dziewczyno, to jest moja ostatnia szansa i nie mogę niestety nic dla ciebie zrobić, nie mogę ryzykować niczym… nie mogę, rozumiesz?…

Widocznie było coś takiego w moim głosie, co sprawiło, że oczy Sølvejg stały się naraz bardzo tkliwe i mokre od łez. Pocałowała mnie lekko w policzek i pociągnęła w kierunku furtki w żywopłocie. Zdążyłem jeszcze spojrzeć na zegarek: było wpół do dziesiątej, trzecia noc z kolei zapowiadała się burzliwie, jeśli nie bezsennie. Od razu też zostałem wciągnięty w wir spraw zupełnie obcych i trudnych dla mnie do strawienia w tym tempie, jako że dopiero przed dziesięcioma minutami stałem się Jeanem Moniot, mechanikiem samochodowym z Gentilly. Wraz z otwarciem drzwi małego domku otoczyły mnie twarze, nastroje, słowa i spojrzenia jakby z sentymentalnego filmu, którego stałem się bohaterem, a który zarazem oglądałem, siedząc rozparty w kinowym fotelu. Ojciec Sølvejg był szczupłym staruszkiem o szlachetnej twarzy naukowca – zdarzają się w Skandynawii

tacy urzędnicy pocztowi o wyglądzie profesorów uniwersytetu. Nosił przy tym niebieskie szelki, klepał mnie bezustannie po ramieniu i od razu nabił dwie świetnie przepalone fajki, które ćmiliśmy przy stole, w kręgu rodzinnej lampy, pamiętającej chyba czasy wczesnej młodości Bjørnsena. Oczy mamy promieniały poprzez okulary w metalowej oprawce; od razu też zaczęła się gorączkowo krzątać, postawiła na stół mnóstwo rzeczy, podsuwała mi to pyszny serek owczy, to wyborną galaretkę, to kruche ciasteczka, napełniła pokój zapachem świeżej bielizny pościelowej, przysuwała, poprawiała, słała, czyściła, częstowała. Smukły, jasnowłosy brat imieniem Knut wypadł zaraz z domu po niejaką ciotkę Ingrid, jedyną w rodzinie osobę, która jakoby znała francuski. Ciotka ta leciwa, lecz jeszcze w pretensjach, nadbiegła co tchu w nieprawdopodobnym kapeluszu, kupionym podobno w Paryżu w roku 1923, i od razu zameldowała mi, że ona jest tres contente de me voir i spytała czy aimez-vous la Norvege przy czym dalej nie mogła wykrztusić ani słowa, a tym bardziej zabawiać mnie w mym rodzinnym języku. Tymczasem mnie zaczynały się coraz bardziej podobać te konfitury, śnieżnobiała pościel, bujające fotele, wyszywane w domu poduszki, chleb w odwiecznym koszyczku, serwetki przy nakryciu, na ścianie portrety przodków, którzy poświęcili życie dla chwały norweskiej poczty królewskiej, ten cały dobry, kolorowy domek znad dalekiego, cichego fiordu – cały wytęskniony przez lata awantur miąższ poczciwej, drobnomieszczańskiej egzystencji. Niejasne projekty pozostania w tym miejscu aż do końca wojny uwierały moją świadomość jak ziarnka żwiru w bucie w czasie uciążliwego marszu. Coraz bardziej czułem się Jeanem Moniot z Gentilly, zacząłem nawet opowiadać, jaki to ze mnie un mécano formidable, co ja potrafię w mym fachu dokonać – i dopiero te bezczelne kłamstwa otrzeźwiły mnie nieco, jako że z trudem przychodziło mi dotąd odróżnić karburator od maszynki do mielenia mięsa. Spłoszone, dziękczynne spojrzeniami siedzącej w milczeniu Sølvejg doprowadzały mnie również skutecznie do przytomności, ale kiedy staruszek wyciągnął dwie butelki norweskiej „drammer" mocnej kminkówki przedwojennej, chowanej dotąd na dzień

zbliżającego się zwycięstwa nad Niemcami – wtedy pękły wszelkie tamy. Oświadczyłem lojalnie, że nazajutrz te hitlerowskie świnie wysyłają mnie transportem do Francji, ale że dziś należy do nas i okoliczność tę trzeba należycie wykorzystać. Wprawdzie ciotka Ingrid upierała się, że Francuzi piją wino i tylko wino, ale obrzuciłem ją lodowatym spojrzeniem i natychmiast obciągnąłem dwa solidne haki ku przerażeniu zgromadzonej rodziny, po czym odśpiewałem, ku rodzinnemu zachwytowi „Ah, si vous conaissiez ma poule!" z repertuaru Maurice Chevalier, a potem, z rozpędu – „Rozkwitały pęki białych róż", który to tekst wzbudził słuszne podejrzenia ciotki Ingrid, rozwiane moim przytomnym wyjaśnieniem, że jest to piosenka korsykańska w specyficznym narzeczu, którego nauczyłem się od swego wuja-Korsykanina. Przypominam sobie jeszcze, że klepałem długo i dość mocno starego ojca po ramieniu i zażądałem jeszcze jednej fajki, dzięki czemu dojrzałem w jego oczach budzącą się ku mnie miłość, oraz że kilkakrotnie wznosiłem toasty na cześć króla Haakona VII, jego rodziny i wszystkich rodzin w Norwegii. Obudziłem się nazajutrz w małym mansardowym pokoiku na pierwszym piętrze; zegarek mój stał, ale musiało być jeszcze wcześnie. Skoczyłem do okna, skąd rozciągał się doskonały widok na niewielki port w Kristiansand. „Tübingen" nie było na redzie, wobec czego położyłem się z powrotem do łóżka i zasnąłem. Powtórnie obudziła mnie Sølvejg i to przy nakładzie pewnego wysiłku.

– Już późno – rzekła – wstawaj. Boję się, czy wszystko jest w porządku z twoim statkiem, żaden dziś rano nie wchodził do portu. Taka ci jestem wdzięczna.

– Która godzina?

– Pierwsza. Na jaki statek czekasz?

– „Tübingen". Ma białe kominy.

– Żaden taki nie stoi na redzie.

Czułem w powietrzu nieszczęście. Szybko pożegnałem się z wszystkimi, ucałowałem Sölvejg ostentacyjnie, mamę z wdzięcznością, staruszka z sympatią, brata Knuta z przymusem i pobiegłem do kapitanatu portu.

W filii urzędu morskiego siedział jakiś krostowaty urzędnik w tyrolskich spodniach i dłubał w nosie.

– Jestem mess-steward, skierowany przez Seeamt Oslo na „Tübingen". Co jest z tym cholernym statkiem? Gonię go po całym zachodnim wybrzeżu.

– Tylko bez krzyku, dobrze? – nie dał się krostowaty. – Trzeba było się tu zjawić o ósmej rano, to bylibyście już na pokładzie. Znamy takie numery. Jak się nie chce komuś pływać, to zawsze się spóźni. Ale do czasu – zrobimy w końcu porządek z tą całą waszą międzynarodową bandą.

Kolana ugięły się pode mną.

– Przecież nie stawał na redzie?… Ja naprawdę chcę, muszę pływać na „Tübingen"…

– Nie tym razem. O, właśnie wraca szalupa…

Podszedł do okna, z któtego widać było ciągnącą do nabrzeża motorową szalupę policji przybrzeżnej.

– Na litość boską! Gdzie stała ta straszliwa łajba?…

– Zaraz za cyplem – złagodniał urzędnik drapiąc się w owłosione łydki – nie wchodził na redę, nie wiem nawet dlaczego, to nie moja rzecz.

– A może by tak szalupa jeszcze raz…

– Słuchajcie, steward, nie bądźcie dzieckiem. Wiem, że tam was oczekiwali, miałem awizo i pytanie, czy jesteście gotowi. Nie było was na czas, więc trudno, możemy najwyżej skoczyć na wieżę i zobaczyć, jak już daleko odpłynęli.

Skoczyliśmy. Z wieży kapitanatu, przy pomocy lornety, ujrzałem raz jeszcze białe kominy, uciekające przede mną na pełne morze. Wraz z nimi uciekała bezpowrotnie Wielka Szansa. Musiałem tym razem wyglądać jak żywy obraz pod tytułem „Rozpacz żeglarza", mówiąc stylem Rudiego, gdyż nawet krostowaty był pod wrażeniem.

– Co wam tak zależy na tym szpitalniaku? – spytał podejrzliwie.

– Pływa na nim pewna pielęgniarka, brunetka, imieniem Erika. Uczucie, rozumie pan… – uśmiechnąłem się blado i melancholijnie.

– Dam wam nowe kartki żywnościowe i bilet do Oslo. Ostatecznie nie jeden „Tübingen” we flocie i nie jedna Erika na świecie. W Oslo dadzą panu jakieś nowe pudło, a nową Erikę sam pan sobie znajdzie – zakończył dojrzale.

O to właśnie chodziło, o nowe pudło, na jakie w żadnym wypadku nie mogłem przystać. Stałem otępiały przy kontuarze, podczas gdy krostowaty wypełniał druczki. I co teraz? Gdzież jest nowy Rudi z nową, ratującą wszystko ideą, dlaczego nie zjawia się teraz, w odpowiedniej chwili? Dlaczego nie zjawia się jakiś nowy szofer z Radomia, nowi sportowcy z Hessen-Nassau, nowy pan Schmitz? Nikt się jednak jakoś nie zjawiał, natomiast krostowaty, poprosił mnie o paszport. Kiedy go wyjmowałem z kieszeni, wypadł na podłogę mały, podłużny kartonik, podniosłem go i przeczytałem:

SIGURD HEIERVANG
Pastor w Trondheim

oraz dopisane ołówkiem: „przez dwa tygodnie – Oslo, Oscarsgate 32”. W błyskawicznym skrócie przypomniałem sobie słowa pastora, wypowiedziane na pożegnanie, intonację głosu, jakim je wypowiadał, i jak w olśnieniu pojąłem znaczenie owego sformułowania: „w jakiejkolwiek sprawie”. Kładąc wizytówkę na powrót do kieszeni, wiedziałem już, co zrobię: jedyny, słuszny plan działania był gotów, słońce znów jasno świeciło nad głową, a świat ciągle jeszcze wydawał mi się boiskiem piłkarskim, na którym umiejętny przebój, kondycja fizyczna i odrobina szczęścia decydują o sukcesie.

Drogę do Oslo przespałem w spokoju, odrabiając znaczne zaległości. Rano, prosto z Dworca Zachodniego, udałem się na Oscarsgate, gdzie dowiedziałem się że pastor Heiervang wyjechał na dwa dni do Lillehamer. Była to drobna i niegroźna komplikacja, mnie zaś podobała się ruchliwość pastora; taki latający duchowny dawał pewne gwarancje fachowości w zamierzonej przeze mnie wyprawie na szwedzką granicę. Oczywiście – mowy być nie mogło o meldowaniu się w Seeamcie, co z kolei wykluczało

nocleg w Domu Żeglarza. Pozostawała Uschi – jeśli tli się w niej najniklejsza choćby iskierka uczucia, należało iskierkę tę rozdmuchać tak, aby zabłysła kilkudniowym płomieniem do czasu załatwienia sprawy z pastorem.

Przyznać trzeba, że Uschi stanęła na wysokości zadania i zachowała się z godnością. Powitała mnie swobodnie, lecz bez wylewności co miało oznaczać, że wszystko między nami skończone, ale że nic nie stoi na przeszkodzie poprawnym stosunkom towarzyskim. Spytała, kto mi tak oporządził oko, i wyraziła gotowość opatrzenia mnie kompresem z octanu glinu. Kiedy wyłuszczyłem jej moją prośbę, zamyśliła się głęboko, po czym rzekła:

– Sytuacja nie jest prosta. Widzisz – ja się teraz kocham. To jest wielka miłość w stylu prawdziwego romantyzmu i kto wie, czy nie skończy się związkiem dozgonnym. Mój narzeczony jest matem w intendenturze, a w cywilu zajmuje się badaniem wierszy na uniwersytecie w Heidelbergu. Taki doktor od poezji, rozumiesz, ciągle czyta mi jakieś wiersze różnych facetów, których nazwiska ciężko jest zapamiętać. Poznaliśmy się w kinie. On mówi, że najbardziej podoba mu się we mnie moja tkliwość i wrażliwość na uduchowioną poezję, której nie mają za grosz współczesne dziewczęta, i zapewnia mnie, że jestem szlachetna i niezdolna do niskiej zdrady, tak częstej w naszej zmaterializowanej epoce. Myślę, że ma rację i poznał się na mnie doskonale. Skoro więc chcesz tu zostać na parę dni, mogę powiedzieć, że jesteś moim kuzynem Alojzem z Wiednia, a Ernest, to jest mój narzeczony, na pewno nie będzie miał nic przeciwko temu, a nawet ucieszy się z poznania członka mojej rodziny.

Rzecz jasna – przystałem skwapliwie na wszystko i przy najszczerszych intencjach. Powiedziałem też Uschi kilka ciepłych i wzniosłych słów o tym, jak cieszę się, że wreszcie na jej drodze życia pojawił się właściwy człowiek, któremu będzie ona mogła zawierzyć kwiat i skarbczyk swoich czystych uczuć i który nie nadużyje jej szlachetnych porywów. Dodałem przy tym, że oszałamiająca nagłość tej miłości i narzeczeństwa jest najlepszym dowodem wysokiego gatunku sentymentów, jakimi płoną ich dwa serca, oraz świetną

gwarancją na przyszłość. Uschi była bardzo wzruszona, oświadczyła mi, że zawsze wiedziała, iż zostaniemy oddanymi przyjaciółmi, i dodała, że żałuje, iż nie jestem naprawdę jej krewnym, bowiem dobrze jest mieć rodzinne oparcie w takich ludziach, jak ja. Napomknąłem jeszcze mimochodem o kwatermistrzu, co wywołało pogardliwy uśmiech na twarzy Uschi, która opowiedziała mi o tym, jak ten wstrętny starzec, przyniósłszy miesięczną kartkę żywnościową na mięso plus kilka paczek papierosów i dwie puszki skondensowanej śmietanki, dał jej do zrozumienia, czego się od niej spodziewa. Oczywiście – został odpowiednio potraktowany, to znaczy wyrzucony na zbitą twarz, przy czym Uschi miała jakoby krzyknąć, że jeśli będzie ją nadal napastował za tę odrobinę koleżeńskiej pomocy żywnościowej, to zastrzeli go jej narzeczony, który jest romantykiem. Na tym się skończyło, a wieczorem poznałem narzeczonego Ernesta, który był bardzo chudy, wysoki, miał nieczystą cerę, nosił okulary, wzdychał ciężko, wpatrywał się w Uschi wzrokiem dobrego jamnika i kilkakrotnie zacytował Hölderlina, a potem Mörikego. Na mnie spoglądał uprzejmie, lecz początkowo nie wiedział, jaką zająć względem mnie postawę; dopiero kiedy Uschi wyciągnęła butelkę kirschu, gdy kieliszki zostały spełnione – przy czym ja piłem ze szklanki do mycia zębów z cynobrowego plastiku, doskonale nadającej się do nadużyć na moją korzyść – i kiedy zacząłem długo i obficie opowiadać o dzieciństwie Uschi, o mojej nad nią opiece, i o wspólnych igraszkach dwojga złotowłosych kuzynów w Parku Ratuszowym – wtedy Ernest spojrzał na mnie z prawdziwie rodzinną sympatią. Piliśmy więc długo – Ernest mało i z objawami niechęci. Uschi powściągliwie, a ja na całego – za pomyślność młodej pary, po czym odśpiewaliśmy wspólnie: „Abends auf der Heide". Ernest poszedł, Uschi posłała mi na podłodze rodzaj barłożku z brudnej bielizny i koców i usnęliśmy w miłym poczuciu rodzinnej przynależności.

Nazajutrz nie ruszałem się przezornie z domu i dopiero trzeciego dnia postanowiłem pójść na Oscarsgate. Nie ulegało żadnej wątpliwości, że Seeamt poszukuje mnie już przy pomocy policji. W brudnej dziupli,

uchodzącej za hotelowy hall, siedział norweski sprzątacz, pełniący jednocześnie funkcje portiera. Skinął na mnie, kiedy schodziłem ze schodów.

– Jakiś oficer marynarki pytał przed piętnastoma minutami o pannę Uschi i jej narzeczonego – poinformował mnie obojętnie.

– Czy jest stąd drugie wyjście? – spytałem spokojnie, chociaż serce zaczęło we mnie łomotać jak na minutę przed gwizdkiem, rozpoczynającym mecz. Słowami tymi otwierałem wielką partię pomiędzy Gestapo a mną, oczywistym było bowiem, że Norweg jest konfidentem.

– Jest – powiedział po chwili i wskazał drogę. W korytarzu, wiodącym na podwórze, usłyszałem jeszcze, jak Norweg podnosi słuchawkę telefonu. Nie było chwili do stracenia. Wyjrzałem ostrożnie z bramy, która wychodziła na tę samą ulicę, co główne wyjście. Uliczka była pusta, musiałem ryzykować te kilkanaście metrów trotuaru do następnej ulicy, prowadzącej na wielki, ożywiony plac o nazwie Lilie Torget. Słońce zalewało uliczkę jasnym blaskiem, koszula lepiła mi się do pleców z gorąca i emocji. Szybko ruszyłem z bramy i zbliżałem się już do rogu, kiedy z tyłu, tuż na karku, usłyszałem:

– Hallo, steward, co to, nie przywitacie się ze swym dawnym oficerem?

Jednocześnie ręka kwatermistrza ujęła mnie dość krzepko pod ramię, a zgryźliwy głos ciągnął dalej:

– Otóż i narzeczony, wychodzący od narzeczonej. A oko kto ci tak oporządził, czy nie jakiś inny narzeczony? I nie zastrzeliłeś go? Przecież jesteś narzeczony-romantyk, jak mi to oświadczyła twoja narzeczona. Jak wam smakowała śmietanka?

W głosie kwatermistrza znać było histeryczną wściekłość na tle zazdrości. To należało wykorzystać, to była szansa. Nie zatrzymując się ani na chwilę w marszu ku Lilie Torget zacząłem układnie:

– Drogi panie kwatermistrzu, jest pan tym właśnie człowiekiem, którego najbardziej życzyłem sobie teraz spotkać. Niech mi pan nie pochlebia, nie jestem narzeczonym Uschi, która w tej chwili myśli tylko o panu. Proszę

sobie wyobrazić, że dostała się ona w szpony pewnego jasnowłosego brutala o nieprawdopodobnie szerokiej piersi, chłepczącego z grymasem triumfu pańską śmietankę. Właśnie wczoraj Uschi powiedziała mi, że tęskni niezmiernie za ową życiową solidnością poważnego człowieka, jaka tchnie z pańskiej osoby przy bliższym poznaniu. Zawrzyjmy tedy ze sobą sojusz dla pokonania tej blond-bestii, która zwie się samozwańczo narzeczonym Uschi, a wtedy wróci ona do pana, a mnie odda wreszcie moje pieniądze.

Ostatni strzał siedział w samym środku tarczy. Kwatermistrz spojrzał na mnie podejrzliwie, lecz z bezmierną Schadenfreude w oczach.

– To ciebie ona też nacięła, ta Uschi? I to na forsę?

– Mnóstwo pieniędzy – powiedziałem chyląc smutnie głowę, co sprawiło kwatermistrzowi istną rozkosz – a teraz do widzenia, drogi kwatermistrzu. Mogę się z panem umówić na popołudnie, gdyż obecnie śpieszę się bardzo.

– O nie, mój syneczku – uśmiechnął się krzywo kwatermistrz – nie pożegnamy się teraz, lecz pójdziemy razem do Seeamtu, gdzie oczekują cię od kilku dni w związku z aferą „Tübingen". Nie zapomnij, że jestem niemieckim oficerem, a ty – brudnym, polskim markierantem, uciekającym od roboty. I jeszcze uprzedzam cię, że mam broń przy sobie…

Szliśmy więc w milczeniu aż do Lilie Torget. Kiedy opłynął nas potok przechodniów, kwatermistrz zaczął się oglądać za jakimś niemieckim autem. Trzeba było działać.

– Ty stara świnio – powiedziałem nagle i cicho- rozwalę ci makówę następnym razem, a tymczasem – zadatek!

I kopnąłem go z całych sił w kostkę. Zawył z bólu i zaczął podskakiwać na jednej nodze, podczas gdy ja prułem najwspanialszym życiowym sprintem, lawirując wśród oniemiałych Norwegów. W sekundę później zgiełk ulicy rozdarł strzał i krzyk o pomoc po niemiecku. Mój tor biegu zaczął błyskawicznie pustoszeć, pędziłem wolną ulicą, czując z tyłu pogoń. U wylotu Brugt-gata zamigotały niemieckie mundury, z tyłu tupały w pościgu niemieckie buty. Walka stawała się beznadziejna. Chciałem minąć nadbiegających od Storgata quislingowskich policjantów, gdy z boku

wynurzyło się kilku niemieckich lotników. Byłem sam na środku puściutkiej ulicy, widoczny jak mucha na łysinie, w kilka sekund później zwaliła się więc na mnie lawina mundurów, krzyków, ramion i uderzeń.

Odwieziono mnie w triumfie na Victoria Terrace, do gmachu Gestapo. W krótkiej, gwałtownej i obfitującej w epitety rozmowie z pewnym Oberschar-führerem SS zarobiłem kilkanaście miesięcy obozu koncentracyjnego za złośliwe uchylanie się od pracy. Jako świadkowie oskarżenia zeznawali pan Kluge z Seeamtu i kwatermistrz. Pan Kluge oświadczył, że jestem stary łotr i markierant, znany dobrze urzędowi morskiemu, kombinator wymigujący się od pracy, gdy tylu szlachetnych młodych ludzi ginie na wszystkich frontach. Kwatermistrz potwierdził to wszystko z naciskiem. Dwa dni przesiedziałem na Victoria Terrace, po czym przewieziono mnie do kacetu (Grini) pod Oslo. Tam to, oddając rzeczy do pakamery, dostałem ataku tak radosnego i pokrzepiającego śmiechu, jakim nie śmiałem się od dawna i rzadko kiedy potem. Oto, podnosząc z podłogi starą niemiecką gazetę sprzed kilku dni w celu opakowania nią butów, przeczytałem, co następuje:

OKRĘT SZPITALNY ZATOPIONY!

Statek szpitalny „Tübingen", osiem tysięcy ton, zapadł na minę magnetyczną w Skagerraku i zatonął wraz z całym transportem i załogą.

Warszawa, marzec 1952 r.

[1] Patrioci (antynaziści)

[2] Organizacja bojowa

[3] Żeńskie Hitlerjugend

[4] Geheime Staatspolizefs Hauptquartier